



Krystyna Stareczak-Kozłowska

Życie na przełomie

Opowieść o Andrzeju Szwalbe

Krystyna Starczak-Kozłowska

Życie na przełomie

Opowieść o Andrzeju Szwalbe

wydanie II poszerzone

Redakcja: **Stefan Pastuszewski**

Korekta: **Elżbieta Rogucka**

Redakcja techniczna: **Andrzej Adamski**

Projekt okładki: **Maciej Kozłowski**

Skład, łamanie, wykonanie okładki, przygotowanie do druku: **Piotr Nadolski**

18 kolorowych zdjęć Bydgoszczy: **Wiesława Wolna**

Załącznik: film DVD o A. Szwalbe autorstwa **Macieja Kozłowskiego**

Współfinansowanie:

Solbet Sp. z o.o.

Agencja Reklamowa Remedia

Miejskie Wodociągi i Kanalizacja w Bydgoszczy

ISBN 978-83-89194-56-5

Wydanie I – Instytut Wydawniczy *Świadectwo*, Bydgoszcz 1999

Serdeczne podziękowania
Panu Andrzejowi Adamskiemu
za inspirację II wydania
niniejszej książki

Łączy nas Bydgoszcz



Krystyna Starczak-Kozłowska

Życie na przełomie

Opowieść o Andrzeju Szwalbe

wydanie II poszerzone

Wydano z dotacji Urzędu Miasta Bydgoszczy
przy współudziale
Stowarzyszenia Andrzeja Szwalbego Dziedzictwo
Bydgoszcz, 2018

Pamięci św. Jana Pawła II
Patrona Województwa Kujawsko-Pomorskiego
autorka

Bydgoszcz, lipiec 2018 r.

Pisali o „*Życiu na przelomie*”

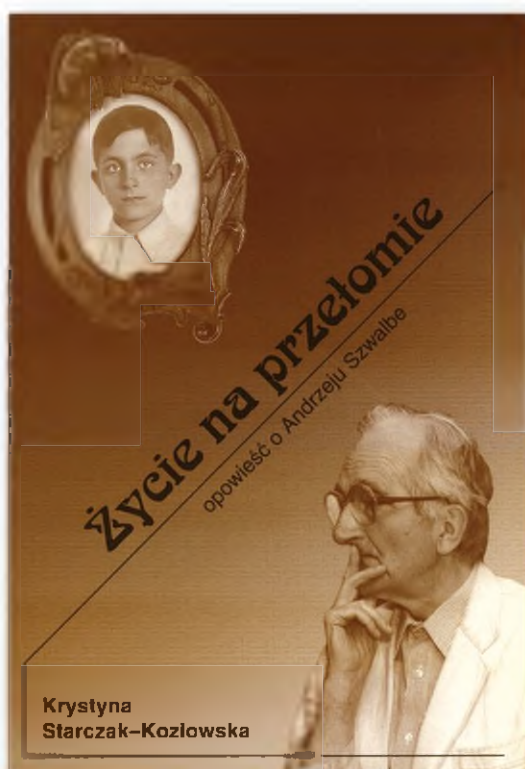
Fragmenty recenzji, zamieszczonych w prasie ogólnopolskiej i lokalnej po ukazaniu się pierwszego wydania książki

Juliusz Tyszka: „Ważna książka z Bydgoszczy”

„Odra” – miesięcznik ogólnopolski, grudzień 2000, nr 12

Wpadła mi w ręce arcyciekawa, niedostępna w Poznaniu, gdzie mieszkam, bydgoska książka Krystyny Starczak-Kozłowskiej *Życie na przelomie. Opowieść o Andrzeju Szwalbe* (...) Muszę przyznać ze wstydem, że o bohaterze książki prawie nic nie wiedziałem – ot, jego nazwisko obilo mi się o uszy, może w związku z budową bydgoskiej Opery. I oto znalazłem w tej pozycji portret nie tylko wspaniałego animatora i administratora dóbr kultury, lecz także erudyty, kolekcjonera, przyjaciela i rozumnego mecenasa wielkich artystów (...).

Autorka buduje portret Szwalbego bardzo starannie, poprzez przytoczone w mowie pozornie zależnej losy jego i jego rodziny od czwartego pokolenia wstecz, relacje, komentarze i refleksje samego bohatera w mowie



niezależnej, a także poprzez cytaty z wywiadów, artykułów i listów. Z gęsto tkanej narracji wyłania się człowiek nieprzeciętny – ale i nietatwy, z którym chętnie bym się pokłócił o wiele zasadniczych spraw: o Boga, o ludzką naturę, o znaki obecności dobra i zła w naszym życiu (...).

Szczęśliwie autorka unika cukierkowej laurkowatości wielu dzieł o podobnej tematyce – m.in. przez umiejętne i taktowne dopuszczenie do głosu innych, a przede wszystkim (i chwala jej za to) dzięki skupieniu się na niezwykle szerokim kontekście historycznym i filozoficznym kolei losów Andrzeja Szwalbego. Starczak-Kozłowska zachęca czytelnika do samodzielnej refleksji na tematy nasuwające się zazwyczaj przy lekturze rozmaitych biografii – na przykład roli wybitnej jednostki w historii, rodzinno-genetycznych determinant ludzkiego losu, czy wartości rozmaitych historiozoficznych koncepcji dziejów Polski. Jej dociekliwość w rozmowach z bohaterem książki, a także pieczołowitość w zbieraniu materiałów tudzież ich analizie godna jest najwyższej pochwały.

Wartością książki jest także rozrzutne bogactwo tła, na którym prezentowane są losy bohatera. Wiemy, czego dokonał, możemy więc – zachęcenii dyskretnie przez autorkę – skupić się na śledzeniu, w jaki sposób kilka pokoleń dzielnych Polek i Polaków „pracowało” nad pojawieniem się wybitnej jednostki oraz w jaki sposób kolejne życiowe wpadki kierowały Szwalbego ku spełnieniu jego powołania. Dyskusje autorki z bohaterem na tematy filozoficzne dają wgląd w niezwykle bogate życie intelektualne i duchowe Szwalbego. I tu refleksja: ludzie czynu są w swoich czynach o ileż skuteczniejsi i precyzyjniejsi, jeżeli za ich „wołą mocy” stoi jasna samoświadomość, sięgająca metafizycznych podstaw bytu.

A teraz popadam w zakłopotanie z prozaicznego powodu: dostałem tę książkę od osoby, mieszkającej w Bydgoszczy i nie wiem, co poradzić czytelnikom „Odry”, którzy chcieliby ją przeczytać. Cóż, zjawiskiem nie nowym, ale coraz ostatnio niepokojącym jest pogłębiająca się regionalizacja.

Juliusz Tyszk

* * *

Bożena Budzińska: „Wielcy są pośród nas”

„Akant” – miesięcznik ogólnopolski, 1999, nr 9

Życie na przelomie. Opowieść o Andrzeju Szwalbe Krystyny Starczak-Kozłowskiej to książka, skłaniająca do różnorodnych refleksji o sztuce, pięknie, pracy i funkcjonowaniu regionalnych społeczności (...) Widzimy Andrzeja Szwalbego w towarzystwie Michała Kubiaka i Krzysztofa Pendereckiego, w innym miejscu czytamy o dziejach znajomości niezwykle bydgoszczanina z Jerzym Maksymiukiem i Stefanem Kisielewskim. Wielu jeszcze sławnych ludzi można by z tej okazji wymienić. Dla swych ziomków, co potwierdza omawiana książka, A. Szwalbe stanowi symbol, jakiego może pozazdrościć każde miasto: magnesu przyciągającego wybitne osobowości, człowieka, któremu w trudnych warunkach PRL udało się chronić sztukę jako wartość samoistną (...). Należy mu się więc pomnik, równy pięknemu popiersiu dłuta Michała Kubiaka – rzeźbiony czystą i urokliwą polszczyzną Krystyny Starczak-Kozłowskiej.

Bożena Budzińska

* * *

Kazimierz Jułga: „Piękne wewnętrzne przestrzenie”

„Promocje Pomorskie” 1999, nr 8

Przeczytałem książkę *Życie na przelomie. Opowieść o Andrzeju Szwalbe*, napisaną przez Krystynę Starczak-Kozłowską. I stało się coś, co jest prawie nierealne, co jest niezwykle. Czytając tę książkę stopniowo doznawałem uczucia, że autorka otwiera przede mną piękne wewnętrzne przestrzenie tego człowieka, przestrzenie tak przestronne, że obejmują one nie tylko zagadnienia sztuki, muzyki i problemy ludzkiej egzystencji, ale także kosmos z istniejącym w nim Bogiem.

Książka w sposób chronologiczny przedstawia życie Andrzeja Szwalbego. W pierwszej części są fragmenty sprawiające wrażenie, że ja, czytelnik widzę świat oczami kilkuletniego Andrzejka. Są to fragmenty pięknie napisanej prozy poetyckiej, niezwykle złożonej i bogatej w poetyckie obrazy. Czytając dalej wracamy na twardy grunt realnych faktów i stopniowo, chronologicznie poznajemy życie głównego bohatera tej interesującej publikacji. Powoli możemy się zorientować, że jest to nie tylko... opowieść o Andrzeju Szwalbem, ale o licznych gronie ciekawych ludzi. A więc książka Krystyny Starczak-Kozłowskiej jest tak ciekawie zredagowana, że można ją czytać jednym tchem. (...) Sam zastanawiałem się nieraz nad sensem naszej egzystencji. i tutaj, w tej książce natrafiam na niezwykle głębokie wypowiedzi Andrzeja Szwalbe o Bogu, którego nazywa też Prawdą, Dobrem i Pięknem. A równocześnie, według Szwalbego, jest On czymś nieogarnionym, niemożliwym do zdefiniowania, ale to właśnie On kieruje zarówno kosmosem, jak i nadaje sens naszemu ziemskiemu istnieniu.

Podzieliłem się tylko niektórymi refleksjami, które obudziła we mnie książka o Andrzeju Szwalbe. Zawiera ona wiele zagadnień z różnych dziedzin życia i ukazuje nasz kraj od lat międzywojennych do lat ostatnich. Jest w niej zarysowane, poprzez wypowiedzi różnych osób, szerokie tło historyczne tego okresu. Z pewnością będę do niej wracać jeszcze wiele razy.

Kazimierz Jułga

* * *

Zdzisław Pruss: „Szwalbe sportretowany”

„Dziennik Wieczorny”, czerwiec 1999

Najbardziej cieszy fakt, że Honorowy Obywatel Bydgoszczy – romantyczny wizjoner i pozytywistyczny realista, któremu nasze miasto tyle zawdzięcza – doczekał się swojej, drugiej już co prawda, ale pierwszej tak obszernej i wnikliwej biografii. A że książka ta jest nie tylko wynikiem reporterskiej

dociekliwości autorki, ale przede wszystkim owocem jej literackiego talentu – więc owa radość jest tym większa. Bo oto człowiek, który całe życie pracował w sztuce i dla sztuki – doczekał się prawdziwie artystycznego sportretowania. To już nie fotografia, ale portret właśnie – z szeroką paletą barw, psychologiczną głębią. I na dodatek ów wielowymiarowy, acz indywidualny wizerunek wkomponowany został w jakże ważne tło społeczne i historyczny koloryt. Szczególnie rozdziały, dotyczące okresu dzieciństwa, dorastania i młodości urzekają nastrojowością opisu, bogactwem słownictwa, dyskretną językową archaizacją. Świetnie napisana książka o wspaniałym człowieku.

Zdzisław Pruss

* * *

Marek Żelkowski: „Niezwykła opowieść o niezwykłym człowieku”
„Bydgoski Informator Kulturalny”, wrzesień 1999

Do lektury książki *Życie na przelocie. Opowieść o Andrzeju Szwalbe* autorstwa Krystyny Starczak-Kozłowskiej zasiadłem w przekonaniu, że czeka mnie ponad trzysta stron pomnikowej, nużącej lektury o życiu Honorowego Obywatela Bydgoszczy. Ku mojemu zaskoczeniu „rzecz czytała się świetnie” i ani się obejrzałem, gdy dotarłem do ostatniej strony (...)

Książkę warto przeczytać nie tylko ze względu na opowieść o życiu niepospolitej i powszechnie szanowanej postaci Andrzeja Szwalbego, ale i ze względu na piękno języka oraz zajmujący sposób narracji. Krystyna Starczak-Kozłowska daje się poznać jako autorka wrażliwa, o wnikliwym darze obserwacji oraz znakomitym kronikarskim zacięciu. To rzadkie i cenne dary, chociaż niektórzy w dalszym ciągu sądzą, że biografię można pisać na kolanie.

Szczególnie urzekła mnie część pierwsza „Kraj lat młodzieńczych”, będąca rodzajem sagi rodzinnej, w której autorka w literacki sposób przedstawiła dzieciństwo i młodość Andrzeja Szwalbego.

Marek Żelkowski

Janusz Kutta – z „Przedślowia” do I wydania książki:

Andrzej Jan Szwalbe, bo o nim mowa, swoimi dokonaniem godnymi podziwu na trwale wpisał się w dzieje Bydgoszczy i regionu kujawsko-pomorskiego. Wielu można by nimi szczerze obdzielić. Nic też dziwnego, że Bydgoszcz obdarzyła go najwyższą godnością – Honorowego Obywatela, a mieszkańcy zaliczyli do najznakomitszych bydgoszczan dwudziestego stulecia.

Dzieciństwu i młodości Szwalbego Starczak-Kozłowska poświęciła w swojej opowieści bardzo wiele uwagi i miejsca. Zbyt wiele, powiedzą niektórzy. Skrupulatnie zebrała wszystkie możliwe fakty, bez których nie sposób zrozumieć jego formacji intelektualno-moralnej i procesu jej formowania. Silny charakter, ukształtowany w domu rodzinnym, pozwolił Szwalbemu przetrwać różne przeciwności losu: klęskę Polski w wojnie z Niemcami w 1939 roku, tragedię Powstania Warszawskiego, pacyfikację Woli, gdzie śmierć bezpośrednio zaszła mu w oczy. Zdawał sobie sprawę z faktu, że odrodzona po wojnie Polska nie jest państwem suwerennym i Rzeczpospolitą jego marzeń. Przekładając idee pozytywistyczne ponad marzenia romantyczne, pracował i działał dla tej Polski, którą nosił w sercu. I właśnie na trudne czasy PRL przypadł najbardziej aktywny i twórczy okres w jego życiu. (...)

Książka Krystyny Starczak-Kozłowskiej, napisana ze znanstwem i talentem, jest opowieścią o człowieku skromnym, jego życiu godziwym i niezniszczalnych dokonaniach. W najtrudniejszych momentach historii Szwalbe pozostawał człowiekiem przyzwoitym, życzliwym ludziom. Opowieść Starczak-Kozłowskiej o życiu człowieka na przełomie epok i formacji ustrojowych jest też ważnym przyczynkiem do poznania dwudziestowiecznych dziejów Warszawy, Bydgoszczy i regionu kujawsko-pomorskiego.

Janusz Kutta

* * *

Henryk Gasiul (fragment listu do redakcji)

Bydgoszcz, 6.11.1999

Szanowna Pani Redaktor,

Otóż wydaje mi się, że to, co Pani napisała, co przekazała społeczności, stanowi nie tylko rejestrację jednostkowej biografii nieprzeciętnej umysłowości człowieka (p. Szwalbego), ale staje się czymś głębszym; ono chwytta kontekst społeczności, klimat kultury i jego twórców, jakoś nie zawsze wprost przecież wyrażane tło, w jakim przyszło ludziom spełniać ich zadania. Sądzę, że w takim ujęciu zaprezentowana pozycja staje się cennym źródłem refleksji socjologicznej i psychologicznej. W tym kontekście wątek, w którym pojawia się dyskusja nad uniwersytetem, staje się swego rodzaju wypełnieniem.

Gratuluję trafności chwytania rzeczywistości ludzkiej.

Henryk Gasiul

* * *

Zbigniew Słoniewski (list do redakcji)

Bydgoszcz, 7.09.1999

Szanowna Pani!

Pani książka *Życie na przełomie* należy do pozycji literatury pięknej, które czyta się jednym tchem. Prezentuje ona bogactwo i kolorystykę naszego języka, barwnie przedstawia zdarzenia z życia człowieka na przełomie epok, doskonale oddaje atmosferę lat dwudziestych i powojennych, przywołuje czas miniony i umiejętnie wprowadza weń czytelnika, tak że czuje on swą obecność w opisach i zdarzeniach. Jeśli za Platonem powiemy sobie, że sztuka jest Pięknem widzianym oczyma artysty, to bez wątpienia Pani książka tym jest. Piękno pojawia się w opisach przyrody, architektury,

przeżyciach estetycznych i duchowych bohatera, a także widzimy tu piękno moralne. Jest Pani daleka od współczesnego relatywizmu i być może jest to bardzo istotne dla tej książki. Przedstawia w niej Pani wartości ponadczasowe, te, które nie przemijają.

Dzisiejsi młodzi ludzie są zagubieni, a wielu wychowano w duchu relatywizmu, bezideowości, oportunistycznym. Czy będą w stanie przejąć pałeczkę po Szwalbem i po późnych romantykach i pozytywistach? Ta książka daje do wyboru – po stronie jakich wartości staniesz młody człowieku? Mówi się, że w naszej epoce nie ma wzorców. My w Bydgoszczy mamy człowieka, którego słusznie Pani nazwała „guru”. Dlatego można *Życie na przelomie* polecić jako lekturę szkolną. Stwarza możliwość mądrych dyskusji o postawie romantycznej i pozytywistycznej, o tym, jak kształtuje się w młodości osobowość i co w życiu najważniejsze. Pokazuje, że Ojczyzna to coś więcej niż krzyże i groby – to nasze czyny i uczucie, które każe pomnażać Jej bogactwo duchowe i materialne.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Zbigniew Słoniewski

Od autorki

Książka o Andrzeju Szwalbe, wydana w 1999 roku, była dla mnie wielką, pasjonującą, nie tylko intelektualną przygodą. Jej genezy trzeba szukać o wiele wcześniej, w moim zafascynowaniu postacią i dziełami pana Andrzeja, których byłam świadkiem najpierw jako uczennica, przechodząca w drodze do szkoły obok budującego się gmachu Filharmonii Pomorskiej w Bydgoszczy, następnie jako studentka, a potem jako dziennikarka. Przeprowadziłam z nim, poczynając od lat siedemdziesiątych XX wieku, wiele wywiadów, zawsze od nowa zdumiona tym, że oto spotkałam człowieka, u którego słowa idą w parze z czynami, a jakaś niesłychana determinacja popycha go do działań tak znaczących, właściwie nawet wiekopomnych dla miasta i regionu. W tym, co mówił i czynił, była zawsze głębsza prawda, pewna wartość nadrzędna, ponadczasowa, niezależna od panującej opcji.

Wokoło dewalowało się tyle fałszywych idei i autorytetów, przyszło nam bowiem żyć w PRL-u i niełatwych czasach transformacji ustrojowej, a on pozostał dla mnie, i myślę, że dla nas wszystkich – autorytetem.

Może dlatego w 1996 roku postanowiłam napisać o nim książkę. Rozpoczęło się długie, pracowite zbieranie materiałów, trwające ponad rok. A były to niekończące się rozmowy z Andrzejem Szwalbem, o skrupulatnie wyznaczonych przez niego stałych terminach. Spotykaliśmy się w jego domu ponad rok, regularnie co tydzień, w każdy czwartek, zawsze na 5 godzin: od 12.00 w południe do 17.00. Może było tych rozmów 60, a może trochę więcej – trudno dokładnie zliczyć. Żona Szwalbego, pani Dobrusia, zawsze przygotowywała nam kawę z ciasteczkami i zjawiała się tylko wtedy, gdy przychodził czas na opowiadanie jej kolei losu i historii jej rodu, którą zresztą małżonek znał doskonale. Bardzo się angażował

w przekazanie mi swych dziejów i przemyśleń. Jeśli czegoś nie dopowiedział w rozmowie, to pisał do mnie list lub przysyłał mi kopie listów, pisanych przezeń do innych ważnych osobistości, mających wpływ na obraz miasta i jego kultury.

Z natury jestem osobą dociekliwą, więc coraz głębiej wchodziłam w poszczególne okresy życia pana Andrzeja. Szczególnie urzekło mnie jego dzieciństwo i lata młodzieńcze, spędzone jakby w innej epoce, w bujnym okresie polskiego międzywojnia, charakteryzującym się wysoką temperaturą idei odrodzonego państwa. Dlaczego tak penetrowałam jego młodość? Odpowiedział na to pytanie dr Janusz Kutta w cytowanym fragmencie „Przedśłowia” do pierwszego wydania: „Bo bez tego nie sposób zrozumieć formacji intelektualno-moralnej bohatera książki, procesu jej formowania”.

Tak, pragnęłam wiedzieć, co ukształtowało zaiste żelazny charakter i niezłomną wolę Dyrektora, jego stosunek do polskości – i tu doszłam do niezwyklej postaci jego matki, Eufemii Antoniny z Sobierajów, rodu zasiedziałego w Nieszawie, która uważała, że nie można tylko „żyć, aby żyć” – i miała ściśle nakreślony plan życiowy, a realizowała go nieugięcie, konsekwentnie, wpajając synowi wartości humanistyczne, ideały prawdy, dobra i piękna, a także – co bardzo ważne – poczucie społecznej i narodowej służby. Chciała zeń zrobić artystę muzyka i choć jej się to nie udało, wpoila mu niejako nakaz stałego przekraczania siebie, popchnęła w kierunku zadań niepospolitych, jakie potem sobie postawił.

Interesująca była też dla mnie postać ojca, Sylwestra Jana Szwalbego, piłsudczyka, działacza, a potem komendanta obwodu POW w powiecie kutnowskim. Uderzyła mnie modelowość jego losu, gdy idzie o czynne opowiadzenie się po stronie ważnych wydarzeń, które przeżywała w owym czasie Polska pod dowództwem Józefa Piłsudskiego. Wymazana z mapy Europy, walczyła z niesłychaną determinacją o swój byt narodowy, co tak sugestywnie oddał poeta „świtu niepodległości”, Edward Słoński w swym słynnym wierszu oraz w tomiku pn. „Ta co nie zginęła”, który w 1914 roku obiegił cały, uciemieniony w niewoli kraj i porwał Polaków pod zaborami do zwycięskiej walki. Ojciec Andrzeja zdemobilizowany został dopiero po zwycięskiej batalii Józefa Piłsudskiego w 1920 roku.

Coraz bardziej zafascynowana, śledziłam lata szkolne i młodzieńcze Andrzeja Szwalbego, kształtowanie się jego osobowości na tle dziejów międzywojennej, a potem wojennej Warszawy, z niewysłowioną tragedią Powstania Warszawskiego, z tak nieludzkimi wydarzeniami włącznie, jak pacyfikacja Woli – dzielnicy, w której mieszkał z rodzicami, gdzie we wrześniu 1939 roku w ciągu dwóch dni hitlerowcy zabili ponad 50 tysięcy mieszkańców, a młodziutki Andrzej, gnany z ojcem ulicami powstańczej Woli na rozstrzelanie, stanął już na stosie trupów i śmierć zajrzała im w oczy.

Toczyliśmy potem przejmujące dyskusje o dramacie Powstania Warszawskiego, które boleśnie zaciążyło na modzieńskich latach Szwalbego. Tak powstał rozdział „Spotkania niespełnione”, gdzie pojawiają się znani osobiście niektórym przyjaciółom i bliskim Szwalbego poeci Powstania Warszawskiego – Baczyński, Trzebiński, a w tle Gajcy.

Pojechałam do Gdańska, do serdecznej przyjaciółki z lat dziecinnych i młodzieńczych, Marii Ziemeckiej, która okazała się być w młodości również bliską koleżanką Kamila Baczyńskiego. Mogę powiedzieć, że na pasjonujące spotkanie z panią Marią, już blisko osiemdziesięcioletnią, „zdążyłam przed Panem Bogiem”. Umarła w miesiąc po mojej wizycie. Miała ona ogromny wpływ na powstanie wspomnianego rozdziału pierwszej edycji tej książki. „Spotkania niespełnione” – to był ulubiony przez Szwalbego rozdział książki.

* * *

Sięgałam dalej w czas i zagłębiałam się w historię osiadłych na Kujawach rodów Sobierajów i Szwalbów, z których nasz bohater się wywodzi – historię tak niezwykłą, zwłaszcza dla dziejów rodu jego ukochanej żony, Dobrosławy z Ruszkowskich (która sprowadziła Szwalbego do Bydgoszczy). Pochodziła po mieczu ze znanego kujawsko-wielkopolskiego rodu Pobóg-Ruszkowskich, zasłużonego dla Rzeczypospolitej, podobnie jak po kądzieli Dobrosławy – ród Sulima-Przyborowskich. Pokazałam dzieje życiowego romansu tych dwojga: Andrzeja i Dobrosławy – trwającego do

końca ich życia. Tak powoli powstawało w pierwszej części książki coś w rodzaju sagi rodzinnej, gdzie przewijają się wujkowie i ciotki, dalsza i bliższa rodzina, mająca tak duży wpływ na kształtowanie się fenomenu osobowości Szwalbego.

Ale dla piszącego ważne jest nie tylko usłyszeć, ale niejako dotknąć, zobaczyć, by obraz nabrał barw, stał się plastyczny i wiarygodny. Więc nie wystarczyły rozmowy. Musiałam zobaczyć te miejsca, w których Andrzej Szwalbe spędzał młodość. Rozpoczęłam dużą serię wypraw do krainy jego dzieciństwa – na Mazowsze i Kujawy. Parokrotnie jeździłam do jego miasta ukochanego – Płocka, gdzie stale wracał, zapraszany przez krewnych. Byłam w Ciechocinku, gdzie spędzał wiele czasu, bo mieszkali tam dziadkowie ze strony ojca i do dziś stoi ich willa. Odwiedziłam w Nieszawie dom jego dziadków, Sobierajów ze strony matki i ich grób. Wybrałam się nawet do nieistniejącego już folwarku w Brochocinku na Mazowszu, gdzie Andrzej spędzał coroczne wakacje.

Wielokrotnie jeździłam do Warszawy i szłam jego śladami w tym mieście, gdzie przyszedł na świat i mieszkał aż do pierwszych dni Powstania Warszawskiego. Odwiedzałam już nie domy, w których wzrastał, bo one nie istniały, zmiecione przez pożogę wojenną, lecz miejsca, gdzie one stały przy ulicy Królewskiej, Oboźnej, Chłodnej...

Byłam w jego szkole – Gimnazjum im. Reja, które kończył w okresie, gdy międzywojenna Polska żyła wciąż świeżo odzyskaną niepodległością, nastroje patriotyczne rosły, panowała atmosfera romantycznego uniesienia. Andrzej nie był wówczas skłonny do uniesień, ale do głębokich przemyśleń na temat Ojczyzny. Mądrzy nauczyciele wpoili mu umiłowanie kultury polskiej jako takiej, a zwłaszcza epoki Oświecenia.

Tu kształtował się jego świat wartości, wyobrażeń, dążeń, na podstawie których postawił przed sobą cele. Wyszedł z Gimnazjum im. Reja w Warszawie ze swoją wizją Polski wielkiej, bo w takiej Polsce upatrywali jego nauczyciele ów ideał, który należy wcielać w życie. Ci ludzie wierzyli w posłannictwo narodu, w dzieje kultury jako ogólnoludzki nakaz doskonalenia się. Był to wpływ tak silny, że Andrzej postanowił potem, po latach, idee i dzieła Oświecenia niejako odtworzyć w Bydgoszczy. I ze szcze-

gólnym akcentem przywoływał słowa wyryte na frontonie Gimnazjum im. Reja, ową maksymę: „Macte animo”, co oznacza: „Odwagi! Bądź mężny!”.

* * *

I tak wędrowałam ze Szwalbem „w poszukiwaniu czasu utraconego” – mówiąc słowami Prousta. Zagłębiałam się w jego przeszłość, jak w ów labirynt, gdzie znajdę klucz do rozszyfrowania jego osobowości. Chciałam też go widzieć oczami jego przyjaciół, krewnych i robiłam wiele wypraw do nich, nie tylko w Polsce.

W Warszawie odwiedziłam stryjeczną siostrę Szwalbego, córkę brata jego matki, Marię Sutkowską. W Kanadzie dotarłam do jego powinowatej, bliskiej krewnej jego żony, Krystyny Przyborowskiej-Orłowskiej, która pół wieku wcześniej, w Powstaniu Warszawskim była łączniczką, a po wojnie, już w Toronto, przez lata prowadziła z ogromnym zaangażowaniem zgrupowanie, dawnych uczestników Powstania pn. „Stowarzyszenie AK-owców”. Toczyłam z nią dyskusje o sensie Powstania Warszawskiego, którego była entuzjastką. Mówiła o panu Andrzeju, jego rodzinie i jego dokonaniach, poznanych przez nią dogłębnie podczas przyjazdów do Bydgoszczy. A była żoną człowieka wybitnego, Stanisława Orłowskiego, który w czasie II wojny światowej z generałem Władysławem Andersem przeszedł cały szlak bojowy, a potem w Kanadzie pełnił funkcję pierwszego architekta Toronto. Był też prezesem Kongresu Polonii Kanadyjskiej i Kongresu Polonii Świata.

Ich oboje też wprowadziłam do pierwszego wydania książki, w rozdziale „Jeśli komu droga otwarta”, podobnie jak do mojej ostatnio wydanej w 2015 roku książki „Kanada uskrzydłona polskością”, gdzie pokazuję powikłane koleje losu tych Polaków na emigracji, nie tylko utalentowanych artystów, którzy wynieśli z domu rodzinnego wielki szacunek i miłość do narodowego dziedzictwa kulturowego, a ich aktywność na obczyźnie wykracza poza ramy Polonii, dzięki czemu kultura polska wpisuje się w krwiobieg kultury kanadyjskiej.

Z kolei postać bohatera mojej książki pokazałam Polakom zamieszkałym w Kanadzie. W Toronto pisałam artykuły o panu Andrzeju do polo-

nijnej prasy kilkakrotnie, a nawet dwa razy zamieszczane były całe rozdziały z pierwszego wydania mojej książki „Życie na przełomie”: „Matka i serce syna” oraz „Niebo rozpada się nad nami”.

* * *

Przejdźmy do czasów bydgoskich Andrzeja Szwalbego, tak obfitych w dokonania. Przeplatałam je fragmentami rozmów, wywiadami o nim i z nim. Chciałam, żeby przede wszystkim on mówił, ale również mówili o nim inni – artyści, jak Jerzy Maksymiuk czy pisarz Stefan Kisielewski, bo Szwalbe umiał skupić wokół Filharmonii najwybitniejsze osobowości twórcze. Wypowiadają się też w pierwszej edycji ludzie naszego miasta, którzy stykają się z nim w owym czasie w różnych sytuacjach niemal na co dzień: Eleonora Harendarska, Michał Kubiak, Zdzisław Pruss, Stefan Pastuszewski, Janusz Kutta, Ewa Grzybowska-Łukaszek i inni.

Ale najwięcej mówi on sam. Robię ze Szwalbem wyobrażeniowe wycieczki za miasto i w głąb duszy naszego miasta, słucham jego przemyśleń na temat perspektyw Bydgoszczy, a także jego wyznań bardzo osobistych – o jego stosunku do Boga i ludzi, jego widzeniu szczęścia, wadze sumienia...

O tym, jak młodzi odbierali w owym czasie postać Szwalbego, świadczy przykład pracy magisterskiej, napisanej w 1999 roku u prof. Janusza Rulki w Instytucie Historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy przez Macieja Kozłowskiego. Tematem pracy pt. „Andrzej Szwalbe – biografia wybitnego bydgoszczanina” były wizjonerskie dążenia Szwalbego. Załączony jest do niej ciekawy trzydziestominutowy film o dokonaniach dyrektora Filharmonii Pomorskiej, gdzie sam Szwalbe występuje jako rozmówca podczas przeprowadzanych z nim wywiadów. Ów film na DVD dołączony jest też do niniejszej książki.

* * *

W pierwszym wydaniu „Życia na przełomie”, w 1999 roku, jeszcze za życia Andrzeja Szwalbego, nie udało się przywołać wszystkich jego bydgoskich

dokonań. Na to potrzebny jest dystans czasowy. I dziś, szesnaście lat po śmierci Dyrektora, nadszedł taki moment. Spojrzeniu na efekty jego wizjonerskich dążeń poświęcona jest dopisana przeze mnie w ostatnim czasie, cała trzecia część książki, wprowadzona do obecnego, drugiego wydania.

Ogólnie znana jest – i nawet wymienić się nie da jednym tchem – imponująca ilość powołanych przez Szwalbego do życia instytucji, co zresztą starały się przypominać niemal wszystkie osoby, z którymi prowadzę wywiady. No bo jak można nie wspomnieć, że Andrzej Szwalbe to przede wszystkim Filharmonia Pomorska, której był budowniczym i dyrektorem, a potem do końca życia Honorowym Dyrektorem, dalej Wyższa Szkoła Muzyczna, Bydgoskie Towarzystwo Naukowe... A to, że stworzył w sercu Bydgoszczy całą Dzielnicę Muzyczną, że budował też, jako główny społeczny inwestor, przez lata ogromny gmach bydgoskiej Opery, czy zupełnie odmienny, a też ciekawy w kształcie architektonicznym i stosunkowo szybko wzniesiony budynek Biura Wystaw Artystycznych. A to, że stworzył z położonego blisko Bydgoszczy, wówczas zaniedbanego, a pięknego i zabytkowego kompleksu pałacu i parku w Ostromecku – ważny obiekt narodowej kultury, rozbrzmiewający koncertami, będący miejscem nie tylko imprez artystycznych czy naukowych miasta, ale także siedzibą zebranej przez Szwalbego cennej kolekcji dawnych fortepianów, trzeciej co do wielkości w kraju. Podobnie pałac w Lubostroniu uczynił miejscem festiwalu i koncertów muzyki klasycznej. A to jeszcze nie wszystko, bo niemal każdy z moich rozmówców chciał dodać, że Szwalbe zapisał się też jako autor licznych projektów artystycznych i kulturalnych: Bydgoskich Festiwalu Muzycznych, Międzynarodowych Festiwalu MAEO, Konkursów Pianistycznych im. Paderewskiego, kongresów muzykologicznych itd.

Czasy bydgoskie Honorowego Obywatela Bydgoszczy, o których tyle już pisano, wbrew pozorom trudne były do uchwycenia. To prawdziwy ocean spraw, działań i ludzi, z którymi stykał się w swych upartych, dalekosiężnych dążeniach. Z tym natłokiem trzeba się było uporać, nie nie pominąć, nie przeoczyć, dać jakąś ludzką, sprawiedliwą miarę tym trudnym latom PRL-u i równie niełatwym czasom transformacji ustrojowej. W realizowaniu swych wizjonerskich zamierzeń Andrzej Szwalbe wykazywał nie tylko niezwykłą determinację i siłę woli, ale i to, co na-

zywamy „lekką ręką” – wielki talent do mediacji z ludźmi wpływowymi i zdobywania ich dla swych planów, które wprowadzał w życie nie tylko z pasją, ale i z ogromną cierpliwością. U niego talent organizacyjny połączony był z ukrytymi, ale szczególnymi umiejętnościami psychologicznymi. Rozumiał zarówno artystów, jak i urzędników, potrafił znaleźć drogę do jednych i do drugich, a wspierał radą i serdecznym kontaktem i tych twórców, którzy aktualnie byli w niełasce. Wiedział, jak ułatwić im to przejście przez sito urzędnicze, zawsze kierując się niezłomnym przekonaniem o niepowtarzalnej wartości kultury i sztuki.

No i upór w dążeniu do celu oraz niespotykana cierpliwość, gdy pojawiały się przeszkody. Legendą wręcz stała się oparta na prawdzie anegdota, że gdy Szwalbe jechał do Warszawy do ministra, by wystarać się o pieniądze na którąś z inicjatyw, to nie dał się odstraszyć, gdy sekretarka obwieszczała, że danego ministra nie ma.

– To ja poczekam – odpowiadał i potrafił czekać parę godzin, albo ponownie przychodził przed 15.00 i przyjmowano go w końcu, bo był znany z tego, że inaczej się go nie pozbędzie.

Słynna była jego oszczędność, wyrobiona przez lata, gdy musiał mozolnie zbierać społeczne fundusze na wielkie cele.

Znalazło to wyraz w zabawnej wymianie zdań między mną a nim, gdy pierwsze wydanie mojej książki *Życie na przelocie* ukazało się w 1999 roku. Okazało się, że książka została przez Szwalbego przyjęta entuzjastycznie. Skąd o tym wiem? Od niego samego. Wróciłam już wówczas do Toronto, gdzie przyśnił mi się w jednym z moich intuicyjnych snów Dyrektor, mówiący do mnie: „Ta książka niesłychanie wprost mi się podoba”. Po obudzeniu się od razu zadzwoniłam z Kanady, przedstawiłam jego wypowiedź z mojego snu, a on skomentował ją z satysfakcją i znamienym dla niego poczuciem humoru:

– No widzi pani, nie musiałam wydawać pieniędzy na telegram!

* * *

Wychodziłam z założenia, że dzieła Szwalbego na ogół są znane, a mniej – jego widzenie rzeczywistości, jego portret wewnętrzny. Miał głębokie, flo-

zoficzne podejście do zagadnień związanych z ludzką egzystencją. Im dłużej rozmawiałam z nim, tym bardziej przekonywałam się, że jego refleksyjność, to nie jest ot, taka sobie zaduma nad życiem, że ten erudyta i intelektualista zasługuje właściwie, zgodnie z definicją *Słownika języka polskiego*, na miano myśliciela. Czytamy tam: „Jest to człowiek dążący do poznania i rozumienia rzeczywistości, realizujący dążenie w pracy myślowej”.

* * *

Efektom wizjonerskiej, dalekosiężnej, a skutecznej działalności Andrzeja Szwalbego poświęciłam trzecią, oddzielną część książki. Zawiera dwadzieścia wywiadów, w tym wiele ze znaczącymi dla bydgoskiej kultury ludźmi tego miasta. Wszyscy moi dzisiejsi rozmówcy podkreślają, że dokonania Szwalbego odcisnęły widoczne piętno na wizerunku miasta. Szkoda tylko, że wpływ cywilizacji konsumpcyjnej zdaje się zacierać dziś głoszone przez niego idee.

Wiele razy odbywałam w związku z wywiadami długie spacerunki po Bydgoszczy, od jednej instytucji artystycznej, dzięki Szwalbemu powołanej do istnienia, do drugiej i następnej. Szczególnie często szłam przez Dzielnicę Muzyczną, mijałam dzieło jego życia: Filharmonię Pomorską. Upajałam się widokiem monumentalnej sylwetki Opery Nova nad Brdą, której gmach Szwalbe przez trzydzieści lat uparcie, mimo stałych trudności, wznosił. Uwielbiam stworzoną współcześnie, obok Opery scenę na wodzie – pobliski amfiteatr, gdzie przez całe lato odbywają się urokliwe koncerty przyciągające tłumy bydgoszczan i zdaje się płynąć przez miasto „rzeka muzyki”. A ma to wszystko miejsce w niezwykłym pejzażu, z widokiem na gotycką sylwetkę katedry...

Chodząc tak i przystając, myślałam sobie, jak to miasto pięknieje z roku na rok, a może z miesiąca na miesiąc. Ale czy pięknieje duchowo i staje się jednocześnie ośrodkiem głębokiej humanistycznej myśli – o co najbardziej zabiegał Szwalbe przez całą swą działalność...?

O to również pytałam moich rozmówców. Przyznają, jestem pod urokiem pasjonujących rozmów z wybranymi bydgoszczanami, przeprowa-

dzanych w atmosferze szczerości i dążenia do istoty sprawy, bynajmniej nie laurkowych, lecz pogłębionych. Notowałam przywoływane wspomnienia, w których znajdował potwierdzenie fenomen osobowości Szwalbego. Mówiliśmy o jego stosunku do miasta i ludzi – ale nie mniej, a może przede wszystkim – o współczesnej kulturze Bydgoszczy, którą on uczynił „miastem muzyki” i nie tylko. Wyłaniały się problemy, na jakie dziś, w dobie populizmu napotykać ludzie, związani z wysoką kulturą, nie tylko w grodzie nad Brdą – artyści, pasjonaci sztuki przez duże „S”.

I tak szłam po latach przez piękniejącą w oczach Bydgoszcz, już nie „w poszukiwaniu utraconego czasu”, lecz współczesnego wizerunku miasta, które Szwalbe ukochał i uznał w przyszłości za „skazane na wielkość”. Na ile Bydgoszcz podąża tą drogą...?

Krystyna Starczak-Kozłowska

część I

Kraj lat młodzięńczych



Barwy dzieciństwa – Brochocinek

Dzieciństwo widziane oczyma dorosłego jawi się jako kraina raczej sielska, utracona już na zawsze. Gdy pytam o kraj lat dziecińczych Andrzeja Szwalbego, zaczyna on od usytuowania swego dzieciństwa w realiach społecznych i historycznych tamtych czasów. Należy do ludzi, którzy lubią dogłębne analizy i wnioski, więc od razu zadaje sobie pytanie, jak się miało owo dzieciństwo może nie tyle sielskie, co niewątpliwie barwne, do dalszych ścieżek jego myślenia i działania.

Ja jednak nie ustępowałam. Chciałam wiedzieć, jakie barwy i zapachy opromieniały tamte wczesne lata, jakie były odbłaski słońca w podwórkowych (a może salonowych) zabawach, jakie zapamiętał drzewa, parowy, czy studnie niezgłębione w swej tajemniczości? A radości dzieciństwa ukrywane przed dorosłymi, czy też z nimi dzielone? Które odgłosy świata pierwsze dotarły do dziecięcej świadomości, jakie zdania przez innych wypowiedziane otwierały nieznanne światy? Jakie były pokoje i korytarze, przez które się beztrudno przebiegało, albo w których może dręczyły wyimaginowane strachy? A książki dzieciństwa – te małe skarbnice fantazji i wiedzy, w pamięci najczęściej utrwalone jakby na filmowej taśmie, bo nigdy już potem nie czytało się plastycznie, jakby film przed oczyma przewijało?

Tego wszystkiego byłam ciekawa, więc prosiłam pana Andrzeja, aby ze mną powędrował przez krainy swego dzieciństwa. Wtedy namalował mi słowami najpierw obraz, ale nie Warszawy, gdzie się w 1923 roku urodził i spędził wszystkie lata dziecięce i młodzińcze po sierpień Powstania Warszawskiego. Zamiast tego, zaczął od corocznych wakacji spędzanych w Brochocinku – sporym, bo siedmiowłokowym mająteczku, położonym

7 kilometrów od Płocka – gdzie siostra matki Jędrka (jak bliscy nazywali Andrzeja) wyszła za mąż za dzierzawcę folwarku, wuja Sikorowskiego. Był tam przemiły prosty dworek z gankiem, bynajmniej nie nowoczesny, ot prawdziwy polski dworek tamtych lat, obrzucony tynkiem, bielony. Wszystko w nim było w odpowiednich proporcjach, na przykład okna właściwego formatu i na odpowiedniej wysokości, zaś drewniany ganek cały obrośnięty był dzikim winem, tak gęstym, że było tu chłodno nawet w największe upały, a duże, wygodne ławki zdawały się wręcz zapraszać do odpoczynku.

Gdy przekraczało się próg domu, dziecięce nozdrza uderzała bardzo charakterystyczna symfonia zapachów, wśród których dominowała woń wspaniałej peklowanej wędliny, w ogóle wędzenia, szynki, kiełbas, boczków, bo właśnie tu, w sieni kryły się schowki na owe wiktuały. Dalej przechodziło się przez przyjemny salon z biblioteczką i oknami wychodzącymi na pachnący rezedą klomb, wokół którego był podjazd do dworku dla zapraszanych tak chętnie gości. Nie musieli oni przemierzać pieszko porośniętej drzewami alei, wiodącej do bramy, mogli wysiąść tuż przed gankiem. Prowadziło się ich przez ów pokój-gabinet do stołowego, gdzie stały ciężkie dębowe meble, a okna z kolei wychodziły na ogród, owocowy sad i staw pełen wesoło kumkających żab. Dalej była codzienna jadalnia, no i wuja pokój „narad sztabowych z ekonomi”, gdzie dyskutowało się nad każdą sprawą związaną z folwarkiem aż do najdrobniejszych szczegółów. Tam też codziennie wuj nad rachunkami wysiadywał długie wieczory.

Ten wuj Sikorowski z Brochocinka to prawdziwy człowiek wsi. Na jego twarzy zimowe zadymki, smaganie wiatru i żar słoneczny wiejskiego lata zostawiły ślad niezatarty. To ogorzałe oblicze, naznaczone sumiastym wąsem, pełne było głębokich bruzd, a oczy jakby wyblakłe od patrzenia w niebo i słońce. Spojrzenie tych oczu spod krzaczastych brwi było uważne, skupione, ale często głęboko zamyślane, jak to bywa u ludzi blisko obcujących z naturą. Wuj nigdy nie był rozmowny, lecz raczej milczący. Podczas wędrówek po polach odbywał rozmowy z samym sobą i Bogiem. Urodzony gospodarz wszędzie musiał być, wszystko co dotyczyło folwar-

ku zobaczyć, dotknąć ziemi i jej spraw. Miał nowoczesny, bardzo ekonomiczny sposób myślenia i to dawało efekty.

A ciotkę Marię, jego żonę, cechowała jakaś głęboka i piękna pobożność. Andrzej widzi ją we wspomnieniach, jak chodzi po zadbanych, obsadzonych kwiatami alejkach brochocińskiego ogrodu. Lubiła pielic – i gości też do tego zachęcała, ale rano lub wieczorem często szła tymi samymi alejkami z różańcem. Jej usta bezdźwięcznie poruszały się w modlitwie, podczas gdy ręce przesuwały ogniwka zdrowasiek. Jej myśli szły wówczas dwoma torami: jeden był skierowany do Boga, dziękczynno-błagalny, a drugi – gospodarski podsumowywał, co było zrobione i co jeszcze do zrobienia pozostało.

Niezwykła i tajemnicza była sypialnia wujostwa z pięknym ołtarzykiem, w którym jaśniał oświetlony świecami obraz Madonny. Tu odbywało się codzienne prawdziwe domowe nabożeństwo z litanią, częścią różańca i gorącymi modłami o deszcz czy słońce – w zależności od pogody, oczywiście z udziałem fernali, służby i wszystkich domowników. Ludzie wsi zbyt bezpośrednio obcuja na co dzień z chmurami i słońcem, a ma to tak namacalny wpływ na ich życie, że modlitwy błagalne brzmiały zawsze szczególnie autentycznie, choć i pochwalne też stanowiły codzienny rytuał. Na pewno nieklamana pobożność obojga wujaszków miała wpływ na stosunek Andrzeja do Boga.

Ich córki, cioteczne siostry Andrzeja, wyrosły na osoby subtelne i wykształcone. Lenka, z męża Ulasiewiczowa, skończyła socjologię w Paryżu na Sorbonie i w Warszawie. To osoba o złożonej naturze, bezkompromisowa w miłości do ojczyzny. Od pierwszych dni wojny po Powstanie 1944 działała w konspiracji. Do jej bliskich znajomych należał Andrzej Markowski, dyrygent, twórca późniejszej Vratislava Cantans, autor piosenek powstańczych. Lenka mieszkała w Warszawie przy Obożnej 9 – w tej samej kamienicy, co Jędrzek z rodzicami.

Z kolei Celinka Sikorowska, pani o filigranowej sylwetce i głębokim życiu wewnętrznym, to wybitny intelekt i wielkie serce. Umysł ścisły – chemię studiowała na Sorbonie i w Warszawie. Andrzeja uczyła francuskiego z takim skutkiem, że do dziś oddaje się on lekturze w tym języku. Celinka

wojnę spędziła w Brochocinku, a potem zrobiła doktorat z chemii. W Instytucie Higieny w stolicy miała eksponowane stanowisko.

Dwie pozostałe córki Sikorowskich, Hanna i Urszulka, poświęciły się rolnictwu. Urszulka gospodarowała w majątku Umienino niedaleko Brochocinka.

* * *

Wśród przytulnych pokoi brochocińskiego dworku był wprawdzie i ten, w którym stało nieszczęsne pianino i mama z jakąś nieprzepartą determinacją zmuszała do codziennych ćwiczeń, odrywając Andrzeja od najciekawszych zajęć, jakie można sobie wyobrazić – a była to na przykład zwózka zboża czy też młocka. Już jako chłopiec wyżywał się w uwielbieniu dla maszyn rolniczych – tych przedziwnych trzęsaczy lub wialni pracujących pod wpływem siły mięśni, centryfug, działających za pomocą korby. Najtrudniejsze, a jednocześnie najbardziej pasjonujące było urządzenie oczyszczające ziarno z łusek – wzniecało tumany kurzu i wokół pełno było fruujących plew. Doprawdy niełatwa to była praca – uruchomić specjalne sita, aby trzęsąc się oczyszczały ziarno. Ciekawiło go też wyrabianie masła w centryfudze, sprowadzonej z Niemiec – to była prawdziwa przyjemność śledzić, jak mechanizm pięknie pracuje: rytmicznie poruszające się trzepacze oddzielały grudki tłuszczu od maślanki, która ściekała specjalnym otworem. I od takiej pasjonującej roboty odciągano Jędrka, by zapędzić go do nudnych ćwiczeń na pianinie.

Tam w Brochocinku pokochał konie, powoził bowiem bryczką, powozem, linijką dwukonną, umiał prowadzić konie na manezu. Nie mógł zrozumieć rodziny wuja, która z lękiem śledziła te jego konne wyczyny. Nie wiedzieli, iż już posiadał tę prawdę, że koniowi można spojrzeć głęboko w oczy, przyjaźnie się odezwać, a to czujne i mądre zwierzę bezbłędnie zareaguje na każde czułe i zdecydowane słowo. Nauczył się jeździć na koniu sam, bez niczyjej pomocy – po prostu siadał na nim i podczas kilkukilometrowej przejażdżki rozmawiał z nim serdecznie jak z człowiekiem. Galop wychodził im znakomicie i była to jedna z naj-

większych frajd w życiu Jędrka. Przyznaje, że nie miał zdolności manualnych, fizycznych, nie wyżywał się w młodzieńczych biegach, skokach czy jakimś salto mortale, bo serce od dzieciństwa dawało mu się we znaki, ale jazda konna – to było to!

Polubił też brochocińskie krowy, które w liczbie od czterdziestu do sześćdziesięciu nieraz pomagał zapędzać do wodopoju czy obory. Te zwierzęta, prawie ludzkie o smętnym spojrzeniu, jakże są łagodne i dobre. Na ich wspomnienie odczuwa prawie ból, gdy dziś zaciekle mówi się w TV o „wściekłych” krowach w Anglii.

Był w Brochocinku znakomity pies imieniem Aza – później kilka takich psów w życiu spotkał, o których, jak o ludziach, mówić można tylko z czułością największą. Z Azą, wylicią łagodną i mądrą, zaprzyjaźnił się jak z człowiekiem. Brała ona udział w polowaniach, które urządzali wujostwo – w salonie strzelba wisiała na rogach jelenich i bynajmniej nie był to rekwizyt.

Lasów nie było w pobliżu, tylko daleko, jak okiem sięgnąć wszędzie rola z uprawą buraka cukrowego. W Borowiczkach była cukrownia, na rozbudowę której żwir wydobywano niedaleko dworu. Tak powstał jar tzw. Prągiełki z gromadzącą się w dole wodą, gdzie można się było poopalać czy pluskać, bryzgać w promieniach słońca, ale Andrzej w takich harcach nie gustował, wolał czytać w tym ustroniu. Nie miał, co prawda, zbyt dużo czasu na lekturę – nieprzeparcie wciągało go w swój wir realne życie Brochocinka. Czulo się nieskażoną naturę, biegano na bosaka z psem – to była prawdziwa głusza. Wiejskie życie poznawał nie zza szyby, lecz w bezpośrednim kontakcie. Nie można było być letnikiem wygrzewającym się w słońcu, czy wylegającym w cieniu – trzeba się było brać do roboty. Tak czynili wszyscy domownicy, nawet cioteczne siostry, studentki Sorbony. Każdy był potrzebny i przydatny – wystarczy, że zebrały się chmury, zaczynał padać deszcz zrazu wielkimi, rzadkimi kroplami – a już kto mógł, leciał do stogu, by go nakryć słomą – żeby ziarno nie zostało zwilgocone. A z drugiej strony jaka była radość – z deszczu wiosna! Do dziś pozostało mu to czekanie na wiosenny deszcz i nie może darować panom z telewizyjnego okienka, którzy, mówiąc o pogodzie, zapowiadają deszcz niemal jak dopust Boży.

Gdy dojrzewała plantacja malin, przez wiele godzin dziennie, za cenę pokłucia okrutnego palców i niemniej okrutnych podrapań trzeba było zrywać lepkie, czerwone owoce aż do bólu i całkowitego poplamienia palców sokiem. Miło było natomiast dowozić samemu wodę beczkowitzem do lokomobili, która napędzała młockarnię. Andrzej doskonale znał opłacalność mleka, hodowli buraka czy na przykład uciągu konnego. Wieś nie miała dla niego tajemnic, wchodził w jej życie niemal jak ktoś, kto tam stale mieszka. A te przyjaźnie z fornalami, których mądrość życiową do dziś pamięta. Jak oni się nazywali – Pankowski, Marciniak, Lencki. Ich proste życie, może trochę prymitywne, pociągało nieodparcie swą autentycznością, a ich poczucie godności budziło szacunek.

Wtajemniczenia w życie odbywały się w różnoraki sposób. Na strychu nad oborą mieszkał sezonowo dziwny robotnik najemny – wyglądał na rasowego inteligenta. Andrzej szybko się z nim zaprzyjaźnił i rozmawiali wieczorami o różnych sprawach. W jego zmęczonych, przygarbionych plecach odbijał się trud codzienny, a Andrzej miał wówczas zaledwie piętnaście lat i książki połykał całymi partiami. To ich właśnie połączyło. Obaj byli naładowani intelektualnie. Kim był ten szczupły, niemłody już człowiek? Być może był to przedstawiciel administracji, który wszedł w robotniczą rzeczywistość ze swoją misją. Wyczuwał, że Andrzej rozwinęty był pod względem wiedzy socjologicznej, ale poprzestał na ogólnych dyskusjach, nie objawił się przed nim jako agitator społecznych przemian. Kimże więc był?

* * *

Wkoło toczyły się ciekawe procesy społeczne, odbywało się uparte windowanie w górę, lub powolny, a nieuchronny ruch w dół tych, którzy nie umieli podjąć wyzwania czasu. Wujostwo Sikorowscy ze swym folwarkiem nie przypominali bohaterów *Wiśniowego sadu* Czechowa, ale coś z nimi mieli wspólnego. Nie byli przykładem deklasującej się szlachty kujawskiej. Ród ten – wuj Sikorowski pochodził z inowrocławskiego – umiał się zatrzymać na niezłym poziomie. Wuj utrwalił się Andrzejowi w pamięci jako

przykład fenomenalnego wprost gospodarza, który w starciu z epoką nieuchronnych przemian stanął na wysokości zadania.

W Płocku na targu można było kupić najbardziej stylowe meble, nawet wspinała antyki z dworów deklasującej się szlachty. Andrzej nie bez dozy współczucia obserwował rodzinę koleżanki matki, państwa Różyckich, którzy powoli, bezpowrotnie, tracili swój punkt oparcia. Śledził ostatnie lata, a nawet dni ich wiejskiej egzystencji – gdy ratunek widzieli już tylko w sprzedaży majątku. I co znamienne, zaobserwował, że ci ludzie nie tyle odbierają tragicznie zaistniałą sytuację, co widzą w perspektywie sprzedaży majątku w końcu pewną ulgę – że wreszcie będą mieć już za sobą tę bolesną niemożność przestawienia się na nowe tory myślenia, odbierania świata.

Tak, społeczny klimat epoki końca lat dwudziestych i trzydziestych poznał Andrzej niejako na własnej skórze. Bo z drugiej strony, w kontakcie z Jadzią Kuźniarską, córką kolejnej siostry matki – Stanisławy, poddawany był ciśnieniu w górę. Te ambitne panie, które losy rzuciły do Warszawy, kształciły się na wszystkie strony. Jadwiga z Kuźnierskich, córka ciotki Stasi, zaczęła brać tam lekcje gry na fortepianie – jej nauczycielem był wybitny pianista, Stanisław Szpinalski – duży, otyły pan, znany z tego, że świetnie jadł. Słuchając gry Jadwigi, powtarzał najczęściej z przekonaniem: – Pani dziś grała fenomenalnie! Trudno mu się dziwić, jako że Jadwiga była naprawdę ładną młodą kobietą, w której nieopatrzenie łatwo się było zakochać. Swoją drogą zadziwiający są te spotkania z ludźmi w ciągu naszego życia. Niektóre z nich zdają się być w sposób tajemniczy kierowane jakby ręką losu – znając Szpinalskiego z takich oto okoliczności przed wojną, po latach, w Bydgoszczy, Andrzej Szwalbe organizował jego recitale w Pomorskim Domu Sztuki.

Ów pęd w górę, któremu tak poddały się płockie ciotki, odbił się i na Andrzeju, bo stąd właśnie i ze znajomości matki Andrzeja z kuzynkami wschodzącego Witolda Małcużyńskiego owo życiowe nieporozumienie: gra na fortepianie. Nie bacząc na gimnazjum i perspektywę matury, matka wkroczyła w jego życie z żelaznym programem: codziennie pianino przez kilka godzin. Musiał tłuc i to nie tylko w Warszawie czy Brochocinku, gdzie w domu było pianino, lecz nawet w Ciechocinku na wakacjach, na

wynajętym, opłaconym pianinie – to było ściśle kontrolowane. Do dziś pamięta swe odczucia z tym przymusem związane. A potem przyszło konserwatorium – zarówno w czasach wolności, jak i okupacyjnej niewoli.

* * *

Zbyt daleko odeszliśmy już od smaków i zapachów dzieciństwa, a przecież lepiej nie poganiać i nie przyspieszać tych niepowtarzalnych chwil doznawania istnienia w całej jego nieskażonej dziecięcej pełni – bo i tak przebiegną zbyt szybko jak wszystko, co beztrudnie, jasne i proste. Któż odtworzy jedyną, niezapomnianą atmosferę spacerów z dziadkiem Janem (ze strony ojca), gdy się miało tak niewiele lat, a jego ogromna miłość do wnuka zdawała się opromieniać cały świat. Dziadkowie mieszkali w Ciechocinku – drugiej, mimo wszystko wspaniałej, krainie dzieciństwa Andrzeja. W czasie wakacji ciechocińskich ćwiczenia na pianinie przyszło później, najpierw był przez lata codzienny rytuał – towarzyszenie dziadkowi w jego porannej drodze do rynku z jatkami, owego wielkiego placu, gdzie z trzaskiem biczów i charakterystycznym odgłosem hamowania, co rusz, zajeżdżały furmanki. Dziadek, zanim coś kupił, długo przeglądał zawartość przywiezionych przez chłopów tobołków z wiktuałami, a potem nieodmiennie fundował Andrzejkowi serdelki. Andrzej uważał ich smak za szczególnie klejnot tamtych lat i z petyzmem go przechowywał w pokładach wyobraźni. Pamiętał też dokładnie drogę powrotną do domu, gdy dziadek taszczył już kosze warzyw i mięsa (aby ciotka Janina mogła ugotować obiad), a on zajadał się serdelkami niemal zapamiętane, w drugiej ręce zawsze trzymając bułkę chrupką w sposób wprost niewysłowny (obecnie takich nie uświadczysz). Była posmarowana grubą warstwą świeżego, rozpuszczającego się masła. To były prawdziwie „metafizyczne” doznania smakowe – ów ciechociński serdelek z bułką, bo wszystko ma swoją względną miarę zależnie od znaczenia, jakie mu przydajemy. W krainie dzieciństwa nie ma smaków wyrafinowanych, są proste i niewymyślne. Stąd tylko pączki, przesyłane później przez dziadków do warszawskiego mieszkania jego rodziców, mogły konkurować z tym wspomnieniem.

Do warszawskich pączków jeszcze wrócimy, na razie pozostaniemy w Ciechocinku, gdzie przy ulicy Mazowieckiej – dziś Szmurły 4, stała piękna willa dziadków ze strony ojca, którzy byli obywatelami Ciechocinka w czasach, gdy ta słynna wówczas miejscowość uzdrowska urosła do rangi miasta. Ich pensjonat, przeważnie wynajmowany rodzinom warszawskich Żydów, którzy szczególnie upodobali sobie ten kurort, miał wyraźne cechy stylu ciechocińskiego (jeśli można użyć takiego określenia) ze swymi secesyjnymi werandami i w ogóle udziałem rzeźbionego drewna, które w architekturze uzdrowiska odgrywało ogromną rolę, przydając jej lekkości i wdzięku. Warto też przywołać słynną muszlę koncertową w parku, która ma w sobie wiele ze stylu zakopiańskiego, jej autorstwo przypisywano zresztą Stanisławowi Witkiewiczowi, a wykonawcami byli rosyjscy drwale z samej Syberii, którzy pracowali tylko za pomocą toporów, tak że cała muszla – mówiono – „wyszła spod ciosu toporem”.

Otóż w dziadkowej willi rządy sprawowała babka. Warto przyjrzeć się zdjęciu, gdzie mały Andrzej siedzi między babką a dziadkiem, wtulony w nich ufnie, po dziecięcemu, choć spojrzenie dziecięcych oczu nad wiek uważne i wnikliwe. Twarz dziadka dobrodusznym, pogodnym znamionuje człowieka otwartego, serdecznego – przeciwieństwo babki władczej, konkretnej i surowej, co widać w sposobie ułożenia ust. W ocenie zjawisk była apodyktyczna, a przy tym zachłannie kochała swego syna, ojca Andrzeja, stąd między nią a matką chłopca nigdy nie było wielkiej miłości. Dystans wytwarzała też natura obu kobiet. Obie były despotyczne – widać, trafiła kosa na kamień. Żadna z nich nigdy nie rezygnowała ze swojego stanowiska w jakiegokolwiek sprawie, a potem z cichej satysfakcji, wyrażającej się w słowach: „Na moim stanęło!”. Ta cecha matki, o paradoksie – okazała się jednak w jego życiu zbawienna, a jej niezłomne dążenie do postawienia na swoim, także jeśli idzie o ukierunkowanie jego młodzieńczej egzystencji, przyniosło nadoczekiwane skutki. Ale tu dojsć musimy do prymatów duchowych i ideowych pewnego stylu życia w międzywojniu, a zwłaszcza rodziny, najbliższej otoczki dziecka, bez których pisanie curriculum vitae – jak utrzymuje z perspektywy lat Andrzej Szwalbe – dryfuje, jak okręt bez sternika. Bo dziś już rozumie, że „celem owej usilnej pedagogiki domowej,

a mamy w pierwszym rzędzie, było wykształcenie sił, a także pewne ich spiętrzenie, w obliczu przeczuwanych raczej, aniżeli uświadamianych sobie wyraźnie zadań”. Dotknęliśmy tu bardzo poważnego tematu, na razie pozostaniemy jednak przy ulotnych momentach beztroski w czasie corocznych wakacji Andrzeja w domu babki, choć może z powodu zadawnionych, a skrytych animozji między nią a matką, a może ze względu na sam charakter ówczesnego Ciechocinka, wakacje tutaj spędzane miały w sobie zawsze coś bardziej oficjalnego.

Samo bycie w Ciechocinku miało wtedy swój oficjalny „sznyt”. Uzdrowisko bardzo wówczas głośne i popularne, było ulubionym miejscem kuracji tzw. lepszego towarzystwa. A ponieważ jest się nie takim jakim się jest, ale jak miejsce, w którym się jest – wedle maksymy sformułowanej przez Zofię Nałkowską – w wypadku małego Andrzeja znajdowało to swój wyraz w konieczności starannego ubierania się w odpowiednie spodenki, buciki, krochmaloną koszulę – i odbywania trochę sztywnych spacerów z matką po parkowych promenadach, niezwykle zadbanych, wśród pięknie przystrzyżonych szpalerów i trawników. Miała tam miejsce prawdziwa rewia mody, prześcigano się w eleganckich strojach, grzecznych ukłonach i beztroskich konwersacjach. Nie brakowało też przeżyć kulturalnych, których dostarczały koncerty w parkowej muszli, nieodmiennie kończące się wieczorem odśpiewaniem „Wszystkich naszych dziennych spraw”. Słońce zachodziło za korony wysokich drzew, w parku odzywały się i milkły ptaki, spokój natury udzielał się ludziom – i wówczas Ciechocinek tracił swój oficjalny charakter, stawał się zielonym gajem, miejscem pełnym ciszy, którą zakłócały jedynie odgłosy muzyki, dochodzącej z restauracji.

Przed południem do rytuału należały kąpiele w miejscowym wykwintnym basenie i słuchanie orkiestry Golda i Petersburskiego, która tu zjeżdżała latem. Basen był rzeczywiście bardzo nowoczesny. Nawet dziś myjąc się w zimnej łazience domu przy ulicy Dworcowej w Bydgoszczy z sentymentem wspomina pan Andrzej ową dyszę z ciepłym powietrzem, którą można się było wysuszyć po wyjściu z kąpieli i splukaniu tuszem – ręcznik nie był potrzebny. Sam basen był usytuowany bardzo atrakcyjnie – niemal prosto z wody, po odprawieniu owego rytuału z dyszą, można było udać

się do kawiarni i zjeść lody czy dobry posiłek. Wylegując się w słońcu, widział Andrzej przez otwarte okna kawiarni jakieś wykwintne, omszałe butelki wina, ustawione na stolikach. Tam życie towarzyskie wrzało, część kuracjuszy przybywała tutaj, aby się leczyć, ale większość zjeżdżała latem z Warszawy czy Łodzi w poszukiwaniu owego intensywnego życia towarzyskiego w rekreacyjnych warunkach. Jakże daleko zdawał się być Brochocinek z jego nieskażoną naturą i bieganiem na bosaka z psem po łąkach...

* * *

A może Brochocinek i Ciechocinek – to były dziecięce wtajemniczenia w dwie strony życia: tę spontaniczną, prostą, jaką daje natura – i tę uładzoną, „przystrzyżoną”, jaką niesie cywilizacja, potrzeba pokazania się światu gotowym do podjęcia gry? Obie te strony życia muszą się przeplatać, choćby dlatego, że świat jest (a może bywa) teatrem.

Zdecydowanie wolał prostotę i zwyczajność. Ale gdy potem przyszło uczestniczyć w życiu publicznym, przemawiać, otwierać w Bydgoszczy międzynarodowe kongresy muzyczne, walczyć o realizację swych zamierzeń – wówczas skądś rodziła się barwa głosu i właściwy ton, którym opanovać umiał najszersze gremia. Wiedział, że to była charyzma, udzielona niejako do spełnienia publicznej roli.

Smaki dzieciństwa – Warszawa

Warszawa – to najpierw lata najwcześniejsze, które ledwo pamięta, jakieś niewyraźne zarysy dziecięcych wspomnień, pierwszych olśnień i ukochania rzeczy przez dorosłych uznanych za nieważne. Należy do nich nieodłączny towarzysz pierwszych zabaw – wielki pluszowy miś, którego można było, kiedy się chciało, przytulić lub pociągnąć za ucho. Dlaczego on właśnie utrwalił się wśród tych ważnych dziecięcych wspomnień z ulicy Królewskiej, gdzie Andrzej przyszedł na świat w mieszkaniu wujostwa Rydlów, którzy użyczyli rodzicom na początek małżeństwa swego lokum? Z ulicy Królewskiej pamięta jeszcze licznych gości, przyjmowanych z wielką pompą i rozprawiających o czymś gromko wśród wybuchów śmiechu. I wielką, śnieżną zimę, gdy przez okno ich pokoju cały uliczny świat wydawał się jakby odrealniony. Jak dobrze było wtedy wtulić się w maminią miękką suknię, napawać się ciepłem i poczuciem bezpieczeństwa...

Z głębin pamięci, dotyczących wczesnych doznań dzieciństwa, wypływa też ogromna landara, stanowiąca atelier wujostwa Rydlów, którzy prowadzili z rozmachem dobrze prosperujący zakład fotograficzny. Najpierw mieli takowy w Warszawie, potem w Płocku, otrzymywali intratne zamówienia z Targów Poznańskich. W Chorzowie robili fantastyczne fotografie ówczesnych wielkich, parowych lokomotyw – zachowało się całe archiwum ich zdjęć naprawdę świetnych. W stolicy wujostwo mieli najpierw piękny, bardzo elegancki zakład fotograficzny z wielką przeszkloną werandą na wzór oranżerii. I właśnie najbardziej fascynujące wrażenia z najdawniejszego dzieciństwa – to owe tajemnicze błyski fleszy w mrokach wujowego zakładu. Wujek nakładał magnezję, ogromny blask jawił się od razu w całym mieszkaniu, jakby nagle piorun weń strzelił. Na do-

datek intensywny zapach magnezji wszędzie się rozchodził i dla dziecka było to przeżycie zgoła egzotyczne, bajkowe, przyprawiające o dreszczyk emocji. Gdy oswoił się już z tak niecodziennymi, fantastycznymi efektami, dostrzegł w nich źródło przedniej zabawy. Jako mały, milczący, dobrze ukryty gdzieś obserwator, śledził z zapartym tchem, jak pozujący wujkowi ludzie na moment jakby kamienieli. Przez chwilę trwali tak znieruchomieli, starając się nawet nie mrugnąć, bo – jak wyjaśniał wujek – cały efekt poszedłby na marne. A potem ci sami ludzie figurowali na zdjęciach, utrwaleni w swych imponujących pozycjach już na zawsze. Trudno to było paroletniemu dziecku zrozumieć, dlaczego o tych na wieki trwających na fotografii pozach decydował jeden krótki błysk flesza. To była niezwykłość i tyle, przyjmował to do wiadomości, a dla dziecka niezwykłość świata jest czymś zupełnie naturalnym, niewymagającym dodatkowych wyjaśnień...

* * *

Cała ich trzyosobowa rodzina: on – Jędrus, mama i tatuś gnieździli się u ciotki na Królewskiej całe trzy lata i prawdopodobnie nie byłoby innego wyjścia, niż wyjechać do rodzinnej willi w Ciechocinku (która zresztą od lat była wynajmowana), gdyby nie fakt zgoła nieprawdopodobny, coś na kształt *deus ex machina*, które nagle pojawiło się w ich życiu. Otóż wuj Leonard, jeden z licznych braci mamy, który wyemigrował do Ameryki i tam się dorobił, kupił im w Warszawie mieszkanie przy ulicy Oboźnej. To był doprawdy wielki gest, dzięki któremu Andrzej stał się warszawiakiem. Jeszcze nieraz miał okazję przekonać się, że ma szczęście do szczęśliwych okoliczności. Tylko że później sam je prowokował.

Wejźmy więc do tego nieistniejącego już domu przy ulicy Oboźnej 9 (tuż przy Teatrze Polskim). Mieszkanie, zapamiętane jako najpiękniejsza kraina dzieciństwa, w istocie było skromne. Mieściło się na drugim piętrze. Szło się doń czyściutką klatką schodową, gładko wyfroterowanymi schodami, dom przy Oboźnej był bowiem bardzo schludny, niemniej nie było ciepłej wody, która to wygoda stała się wynalazkiem powojennym. Przywołując wspomnienia, Andrzej zawsze z pewnym wzruszeniem staje

przed stylowymi drzwiami ich mieszkania, przy których dzwonek był kręcony, tzn. trzeba było podnieść rączkę i wtedy metalowe kółeczko uderzało o czaszę dzwonka, wywołując charakterystyczny chrobotliwy dźwięk.

W przedpokoju z braku miejsca – bo mieszkanie było naprawdę nieduże – znajdował się nieodzowny pawlacz, a w nim antresola na mąkę i inne wiktuały, nadające się do przechowywania. Na wprost była kuchnia z dużym oknem, pod którym poszerzony parapet krył podręczną spiżarnię. Z prawej wejście do alkowy, gdzie Jędrus sypiał. Był tam świetlik ten sam, co w kuchni, a ściana budynku naprzeciw wyrastała przed nim w odległości dwóch metrów. Lubił tę alkowę z dużym mahoniowym lustrem i lampami o secesyjnych kształtach, z oprawami z brązu. Na konsoli owego lustra fascynowała go zawsze stojąca tam ogromna muszla, szumiąca niczym fale oceanu, gdy przyłożyć ucho. Wsłuchiwał się często w ten tajemniczy szum, bo objawiał mu on wysniony w dzieciństwie smak morza, którego przed wojną nie dane mu było poznać, podobnie jak gór.

Od lustra już tylko krok do kanapy, grającej rolę jego łóżka i mahoniowej szafy z odzieżą. Meble te, jak pamięta, były znakomitej klasy, szkoda tylko, że nieco ścieśnione z powodu braku miejsca.

Alkowa szerokim przejściem łączyła się ze stylowym pokojem, gdzie w 1930 roku zawitał telefon – nowość w tym czasie niezwykła. Niemniej atrakcyjną nowością był aparat radiowy na kredensie. Zasilany był nie z sieci, lecz z baterii, stojącej na dole, połączonej drutami z samym aparatem, który był prawdziwym przyjacielem rodziny. Godzinami słuchało się koncertów, recitali, odczytów. Ile godności miało w sobie wówczas to radio! Andrzej nigdy nie zapomni pierwszych kontaktów z nim za pomocą słuchawek i kryształka. Wybierało się stację ruchami igiełki właśnie, za pomocą owego kryształka, podczas gdy słuchawki leżały na talerzu – żeby więcej osób mogło słuchać jednocześnie. Utrwalił się w pamięci Andrzej ciepły blask lampy, krąg nachylonych głów i nabożne skupienie wszystkich. Potem zjawiły się heterodyny i superheterodyny z okiem magnetycznym. Jakże cieszył odbiór przez głośnik! Skromne radio stanowiło ważny aspekt ich życia na Oboźnej. Retransmisje z Londynu czy Paryża przyprawiły wręcz o wypieki.

Mysłąc o Oboźnej, Andrzej widzi jeszcze oczyma duszy wielką palmę w pokoju stołowym – stałą troskę matki. Często, stojąc na stołku, uważnie zdejmowała z niej mszyce. Ta palma w ciasnym mieszkaniu była domownikiem trochę uciążliwym, dopiero w przestronnym lokum na Chłodnej 8, dokąd się przenieśli, znalazła konieczną dla siebie przestrzeń i perspektywę.

No i kredens w stołowym, z którym związane były niezapomniane smaki dzieciństwa. Piękny mebel z tylną lustrzaną ścianą krył w swych przepaściach naprawdę dobrą porcelanę, bo tylko taką mama kochała. No i parę razy w roku na tym właśnie kredensie, w wielkim pudle leżały świeżo przesłane od dziadków z Ciechocinka pączki, przypominające trochę racuchy, mniej nasycone ingrediencjami i przez to znakomite. Do dziś podniebienie Andrzeja zachowało wyraźne wspomnienie zawartości słodkiej konfitury i chrupkiej skórki, przesypanej pudrem. Tych pączków o smaku niedoścignionym dziadkowie przesyłali ze dwieście, parę razy w roku.

* * *

Koło Biblioteki Krasińskich było konserwatorium. Dalej szło się na wspinały targ „Ordynak” przy obecnej ulicy Kopernika. To miejsce – apetyczne, na swój sposób piękne, barwne – ważne było w życiu rodziny. Tu się zaopatrywano. Do „Ordynka” w swoich regionalnych strojach przybywali Kurpie, Łowiczanie, a nawet górale – w parzenicach. Nie była to bynajmniej cepeliada, lecz ludowy autentyzm, który wtedy jeszcze istniał. Towarzystwo było barwne i rozgadane. Wkoło wisiały różne przesmaczne wędliny, zwłaszcza niezapomniane kabanosy, pełno rozmaitych serów, w których Jędrzek był wprost zakochany. Sery grube, obfite, uzyskiwane były z odpowiedniego wyciskania w worku. Bańki z mlekiem, śmietaną, miodem – wszystko smakowite, pachnące. Och, te kolorowe jarmarki tamtych lat!

Sprzedawano też najrozmaitsze inne rzeczy, na przykład drzazgi do podpałki w piecach. I nie kupowało się nic – jak dziś – w gotowych, wyrefinowanych, plastikowych, błyszczących opakowaniach, które trzaskają

złą energią i tylko pozór stanowią, jak fałszywa moneta. Wtedy wszystkiego można było namacalnie doświadczyć. Matka z koszyka wyjmowała dzbanek i kładła do niego ogórki kiszone, a do słoika – kapustę, też kiszoną. Bezpośredni kontakt z soczystą materią najrozmaitszych wiktuałów wywoływał ślinkę w ustach. Andrzej zapamiętał śledzie, kupowane u Żyda za Żelazną Bramą, gdzie był wielki bazar. Jak ów Żyd umiał prezentować tłustego matyjasa, wkładać go z maestrią do podstawionego słoja – to był cały rytuał, obrządek. A jednocześnie był to wyraz społecznej więzi. Chytróść, zapobiegliwość i swoista taktyka sprzedawcy, cały ten świat handlarzy, grubych kobiet w kolorowych kieckach – był w istocie ludziom przyjazny.

Tak, smak da się zachować w pamięci przez długie lata. Te znakomite wędliny u Justa, w jego wędliniarni, ciastka u Zmijewskiego, a ile smaków w delikatesach (dawnych, kolonialnych jak w *Lalce*) u braci Pakulskich...

Polska była krajem nieco zacofanym, niezupełnie opanowanym przez cywilizację. Więc tym bardziej fascynowały nowe typy motocykli, samochodów. Oglądało się na wystawach błyszczące zderzaki, reflektory, paradną trąbkę i wiele innych różności. Ta nowoczesność wciskała się dość natrętnie – z renomowanych salonów samochodowych spoglądały nieosiągalne skarby, przeznaczone dla plutokracji. Nikt ze świata urzędniczego, czy drobnych kupców, nie myślał, że posiadzie „Bolid”, wspaniały samochód o sześciu czy ośmiu cylindrach, o sprężystości i sposobie poruszania się, porównywanym z biegiem pocisku (bolidy).

Andrzej przechodził obok tego spokojnie, bez uczucia zazdrości, a prasa opisywała wypadki samochodowe, których było coraz więcej na ciasnych szosach, pełnych wyrw i dziur, obrośniętych po obu stronach niebezpiecznymi dla kierowców drzewami.

Wiedział, że ten rewir dla niego z góry jest wyłączony, podobnie jak świat drogich zabawek, kupowanych u braci Jabłkowskich przy ulicy Brackiej. Gdy opadały zasłony, kryjące różne cuda, reklamowane jako prezenty świąteczne – Jędrzek i jego koledzy doznawali prawdziwego zawrotu swych małych uczniowskich głów, oglądając na przykład zabawkę arcydrogą – rozjazdy kolejowe, uruchamiane za pomocą silników elektrycznych, obie-

Lata dziecięce Andrzeja Szwalbe



Mały Andrzej Szwalbe w Boże Narodzenie 1931 roku



Młodość Andrzeja Szwalbe



Ślizgawka na Dynasach w Warszawie



Andrzej Szwalbe z ojcem i stryjem
w Alejach Ujazdowskich w War-
szawie w 1933 roku



Lata okupacji w Warszawie

gające całe obszary krajobrazu – domostw, gór, rzek. Mknął za wystawową szybą pociąg złożony z lokomotywy i kilkunastu wagoników, podnosiły się semafony, opadały szlabany, zwrotnice zmieniały bieg jazdy, tak że pociąg pokonywał tunele, wdzierał się pod górę i wylatywał wspaniały, zwycięski – posłuszny potem temu szczęśliwemu demiurgowi, jakim stawało się dziecko bogatych rodziców.

A on, Jędrak, stał za wystawową szybą i oczy jego niewolniczo wędrowały za biegiem tej maszyny, obserwując ruch na jej malutkich dworcach. Tu wszystko było imaginacją, kształceniem wyobraźni. Wiedział, że to nieosiągalne i serce go nie bolało. Sam otrzymał od rodziców mały skrawek tej wspaniałości: jedną kolejkę, jeden zestaw szyn po owalu biegnący, całość nie elektryczna, lecz nakręcana. Po dłuższym czasie eksploatacji nużyła, szła do kąta.

Produkowano też autentyczne miniaturowe lokomobile na parę, które nawet gwizdały jak prawdziwe. Ale na Jędrka w Brochocinku pod Płockiem w czasie wakacji czekała autentyczna lokomobila, sprzęgnięta z młocarnią i przenosząca na nią energię za pomocą pasa. Do worków, szepionych w gardziele, ziarno się sypało, a słoma w tumanach kurzu była odrzucana. Lokomobila działała na parę wodną i on po wodę do tej lokomobili w Brochocinku parę kilometrów jeździł. To było ciekawsze niż zabawkowa iluzja.

* * *

To nie było łatwe dojrzewanie dziecka: jedynak, z wadą serca, który lubi myśleć i wiedzieć, i potrafi wieść z samym sobą długie wewnętrzne rozmowy. Tak przeżywając dzieciństwo, nie można mieć zbyt licznych kolegów, nie imponuje się rówieśnikom na tyle, by stanąć na czele jakiegoś młodocianego klanu czy ruchu. Nie mając cech przywódcy, nie sposób pogрузić się całemu w radosnej chwili dominowania nad zespołem.

Ale można z takiej „słabości” uczynić siłę, robiąc coś pożytecznego dla ogółu. Tę prawdę pozna później w swej działalności i przyczyni się do tego jego matka. Ale nie wybiegajmy w przyszłość, na razie Jędrak, chłopiec

ośmio- czy dziesięcioletni, mieszka przy ulicy Oboźnej w Warszawie. Pytam go Anno Domini 1997, jakie pamięta zabawy podwórkowe, a Szwalbe nie ma mi na ten temat nic do powiedzenia. Później zapytany o to samo przez redaktora „Dziennika Wieczornego”, Marka K. Jankowiaka (D.W. 29-31.05.1998 r.) w wywiadzie pt. *Moje skrzydła*, tak powie o swym dzieciństwie na Oboźnej:

– *Byłoby zapewne ciekawiej, gdybym teraz mógł opowiedzieć, jakim to urwisem podwórkowym byłem. Ja jednak woląłem czytać książki, oglądać albumy. Byłem spokojny. Nie miałem takiego ciekawego scenariusza w dzieciństwie. Może również dlatego, że wcześniej wykryta wada serca nakazywała ostrożność w potęgowaniu wysiłku. Moją towarzyszką dziecięcego życia była więc przede wszystkim wyobraźnia, a ją kształtowałem, czytając głównie polskich klasyków – Prusa, Sienkiewicza, Żeromskiego. Ale Karol May też tam był.*

Zapytany o to, kim chciał być bardzo młody Andrzej Szwalbe, w tym samym wywiadzie odpowiedział:

– *Nie przypominam sobie, żebym się kiedykolwiek opowiadał za jakimś konkretnym zawodem, który chciałbym wykonywać. Może wiele wskazywało na to, że zostanę budowlanym. Chętnie bowiem z mojej niezliczonej liczby klocków i blaszanych wytlaczanek budowałem pałace, zamczyska i drapacze chmur. Byłem zawsze z wolennikiem szybkiego odrabiania lekcji, zaraz po szkole, tak by potem zawsze mieć czas na te budowlane fascynacje.*

Tak więc wszystko jest w porządku – Jędrrek przeżywa dzieciństwo zgodnie ze swoją naturą. Ciekawe, że tendencja do „budowania” nie minęła i w młodości:

– *To się potem przerodziło w „moje niebieskie migdały”. Dookoła destrukcja, straty podczas oblężenia 1939 ogromne, spłonęło wiele zabytków, bibliotek. A ja, mając wolny czas, snułem marzenia, a raczej wyobrażenia – że gdy wojna się skończy – będę wznosił nowe, wspaniałe budynki. Predyspozycja do wymyślania fantastycznych obiektów zakorzeniła się we mnie i nie operując klockami, w początkach wojny wyobraźnią tworzyłem gospodarstwa wspaniałe, spichlerze, domy dla pracowników, osiedla. Widziałem szklane domy Żeromskiego, ale jako konkretne moje realizacje. To był ekwiwalent, szukanie punktu zaczepienia w ponurej rzeczywistości.*

Był jeszcze przy Obożnej pokój z balkonem, gdzie stało pianino Andrzeja. Okna tego pokoju wychodziły na część frontową Teatru Polskiego. Coś wyjątkowo pociągającego miał w sobie ów podjazd do teatru; emanował nieuchwytną atmosferą, zwłaszcza gdy dawano jakąś dobrą sztukę. W scenach widzenia przeszłości Andrzejowi utrwalil się taki widok: jest wieczór, balkon zamknięty, zimno, pada deszcz. Ulica Karasia pięknie wyasfaltowana i w jej mokrej powierzchni załamują się odbłaski świateł gazowych lamp. Zbliża się godzina rozpoczęcia spektaklu i oto z cichym szelestem zaczynają nadjeżdżać samochody, konne dorożki. Wysiada z nich wyelegantowana elita Warszawy, eleganccy panowie podają ramię wykwinntym paniom, znikają w kryształowych wnętrzach. To określenie nie ma w sobie przesady – w holu teatru kinkiety z kryształowymi ozdobami rozbijają światło na stubarwne kolory i całe wnętrze teatru zdaje się mienić od blasku...

To był widok dla dziecka niemal magiczny, Jędrus nie mógł oderwać wzroku, czuł, jak teatr staje się jego miłością. Często wraz z mamą i ojcem, specjalnie ubrany na tę okazję, chodził na premiery – było tak blisko, że rodzice tylko narzucali płaszcz na ramiona. Wówczas ukradkiem Andrzej patrzył na matkę – taką piękną i wytworną. Była kobietą kochającą teatr i sztukę w ogóle, lubiącą czytać, bardzo chłonną intelektualnie. Wybacział jej więc tę bezwzględną apodyktyczność, gdy do pianina ciągnęła go niemal siłą i był okres, kiedy nawet klapsy funkcjonowały w razie oporu. Ojciec nie uderzył go nigdy, może tylko raz niemal chwycił za pas, ale to był wypadek incydentalny – przecież Andrzej, jedynek z urodzenia, wyrastał w cieniu dorosłych, cały w książkach i rozmowach z nimi. Po prostu nie było powodu.

Uwielbiał rzeczowe dysputy i niczego bardziej nie pragnął, niż żeby przyszedł do nich w odwiedziny pianista, prof. Lewiecki, czy wybitny pedagog i pianistka Jadzia Sukiennicka, Feliks Grędziński, człowiek interesu – osoby, które umiały naprawdę ciekawie dyskutować. Interesowało go wszystko, co dorośli mówili między sobą, a sam nauczył się czytać, mając

5 lat, by być w tych dysputach trochę bardziej liczącym się partnerem. Zresztą potrafił egzekwować u dorosłych wysłuchanie swego poglądu na daną sprawę. Toteż gdy miał 5-6 lat, mówiono nań w domu: „mały rebe”.

Czytał z mamą dużo, podsuwała mu książki, które potem należały do jego ulubionych. Ojciec, urzędnik skarbowy, nieodmiennie bardzo zapracowany, niewiele miał na to czasu. Malejące dochody z pensji – bo urzędnikom obcinano zarobki w ramach szukania narodowych oszczędności – nadrabiał, przyjmując dodatkowe, czasem nawet ryzykowne prace, na przykład administratora domów na Starówce, co wiązało się z nieprzyjemnym użeraniem się z lokatorami. Czynił to jednak z całym poświęceniem, żeby rodzina mogła poszerzać zasoby – książek, obrazów, własnych portretów, malowanych przez artystów na zamówienie.

Ojciec miał dwie ludzkie słabości: papierosy i brydż. Uwielbiał zapach dymu i szalone brydżowe rozgrywki. Żeby było taniej, kupowało się tytoń w drewnianym pudełku i oddzielnie gilzy. Wieczorami cała rodzina siadała przy stole i za pomocą specjalnej maszynki napełniała te gilzy tytoń. Ważne wówczas były papierośnice – robiono z nich prezenty. Ojciec też otrzymał taki prezent od kolegów biurowych z charakterystycznym napisem: „Wstrzymać aż do odwołania”. Był to dowcipnie wykorzystany zwrot, używany w jego fachu: u dłużnika skarbu państwa wstrzymywało się egzekucję aż „do odwołania”.

Drugą swą słabość – brydż – realizował ojciec najczęściej z sąsiadem, panem Grzybowskiem, pracownikiem gazowni miejskiej, mieszkającym vis à vis na Oboźnej. Razem udawali się w Aleje Ujazdowskie, gdzie za Gimnazjum Królowej Jadwigi był lokal znanego kolekcjonera warszawskiego (który tu eksponował swoje nabytki), zamieniony później, po jego wyprawdzie, na Klub Pracowników Państwowych. Tu się grało w brydża do drugiej, trzeciej nad ranem.

Dziecięce lektury

Te niezapomniane, ukochane książeczki, najpierw czytane przez mamę do poduszki, a później samemu nie tyle czytane, co pochłaniane i przeżywane tak intensywnie, że w sposób niemal plastyczny odbite na dziecięcej kliszy pamięci.

Każda scena z lektury na lata całe utrwalona w szczegółach, kolorach i blaskach.

Wspomnienie wypieków na twarzy, gdy z zapartym tchem przebiegało się przez stronice *Dziesięciu tysięcy mil podmorskiej podróży* Verne'a czy Karola Maya *Winnetou*. Z jednakową przyjemnością czytało się *Bajki* Kraświckiego i Makuszyńskiego *Pannę z mokrą głową*, *Szatana z siódmej klasy*. Oczywiście były i lektury codzienne, brane do ręki wieczorem, przed snem: Pismo św. w obrazkach oraz Stary i Nowy Testament z bardzo dobrymi drzeworytami – otrzymane w podarunku od dziadków z Ciechocinka.

Pana Balcera w Brazylii Konopnickiej pochłaniał w pewnym okresie nie z powodu ideałów autorki, lecz z punktu widzenia zawartych w tym poemacie opisów dalekich podróży do nieznanych krajów – do dziś zresztą ma egzemplarz tej książeczki z dzieciństwa. Z kolei *Bajka o żelaznym wilku*, rzecz o Józefie Piłsudskim, napisana przez Wacława Sieroszewskiego, kupiona przez rodziców ze względu na umiłowanie przez ojca postaci Marszałka – utrwaliła mu się w pamięci z powodu jakichś zawartych w niej puszczańskich krajobrazów i pewnego fragmentu urastającego do roli metafory: autor przedstawia alegorycznie w nim Piłsudskiego jako żelaznego wilka – postać bynajmniej nie zachęcającą. Ale w skudłaconym potworze rozbłyskuje raptem wspaniałe oko: symbol świata wewnętrznego tego człowieka. To był świetny chwyt pisarski

– tak oddać osobowość człowieka. Na pewno książka była antytezą sentymentalnej dzisiejszej *Lessie wróć*.

Chętnie sięgał po Przyborowskiego *Bitwę pod Raszynem*, bardzo udaną pozycję, kształtującą u dziecka wyobraźnię historyczną, patriotyzm. Później tak się dziwnie złożyło, że rodzina żony – to Przyborowscy i Walery Przyborowski, autor *Bitwy*, należał do jednej z jej linii.

Wśród tych dziecięcych lektur były i dostępne pisane popularnonaukowe, na przykład *300 tys. kilometrów na sekundę* – praca zbiorowa, popularyzatorska o tajemnicach natury i techniki. Rzecz naturalna, kanon dziecięcych lektur nie mógł pominąć i *Serca Amicisa* – książeczki szlachetnej w intencjach i urokliwie napisanej, pobudzającej do dobra. A także *Baśni* Andersena, w których nieodmiennie od nowa odkrywał coś pięknego, czego wcześniej nie zauważył. Czytał w ogóle wiele baśni, ale w owym czasie przepełniały je stwory i wytwory fantazji przyjazne ludziom, dobro zwyciężało zło w wyniku pasjonujących rozgrywek. Dziś w bajkach dla dzieci pełno detonacji, mordów, wzajemnie zadawanych ciosów, wszyscy biją się ze wszystkimi i nic z tego nie wynika. Zwycięża nie harmonia świata, ale chaos, dzieci wdrażane są do bezduszności. Fantomy dziecięce stają się groźne dla świata.

– To, niestety, są skutki źle pojętej kultury amerykańskiej – mówi Andrzej Szwalbe, nie kryjąc zatrwożenia z powodu zalewu naszej kultury masowej przez komercyjną amerykańską produkcję.

Ale wracamy jeszcze do początków jego czytelnictwa i wówczas on przypomina sobie, iż jako dziecko brał do ręki wszystko, co drukowane, stąd czytać i pisać nauczył się nie wiadomo kiedy. I właśnie najchętniej sięgał po tygodniowy dodatek ilustrowany do „Kuriera Warszawskiego”. Od czasu do czasu czytał też po „Płomyczek”. Niezłe przed wojną redagowany był również „Rycerz Niepokalanej” O.O. Franciszkanów (po wojnie już nie tak). I co tam zaciękało go najbardziej – to konkretne sukcesy ojca Kolbego w Japonii. Od dzieciństwa Andrzej nie lubił destrukcji i właśnie to, że Kolbe był znakomitym gospodarzem misji w Japonii – pociągało go najbardziej. Do dziś św. Maksymilian pozostał dla niego nie tylko męczennikiem z Oświęcimia, lecz tym, który stawiając

zręby wiary katolickiej w Japonii, budował tam kaplice, sierocińce, domy opieki, kościoły...

Zawsze fascynowało go wznoszenie czegoś nowego. Zapamiętał z prasy i inną ciekawą inicjatywę katolicką – ks. Blizińskiego w Liskowie. W tej zaniedbanej, rozbitej wsi zjawia się duszpasterz i poprzez pozytywne działania konsoliduje mieszkańców. Wznosi szkoły łącznie z gimnazjum, bibliotekę z czytelnią, piekarnię, młyny, zabudowania gospodarcze, ochronki. Bieda-wieś bogacieje, rozwija się też duchowo, staje się symbolem ludzkich możliwości. Ksiądz Bliziński został potem senatorem, samego prezydenta u siebie przyjmował. To był dla Jędrka drugi obok Kolbego wzór, co zrobić w przyszłości ze swym życiem.

* * *

Ze spokojnych i bliskich sercu lektur dzieciństwa, czytanych w mieszkaniu przy Oboźnej, wyrwała Andrzeja wojna, która przewaliła się tu z całym swym okrucieństwem. Ten dom przy Oboźnej 9 już nie istnieje, zmieciony wichrem historii, wraz ze wszystkimi barwami Andrzejewego dzieciństwa. Pozostał po nim mały, kusy i brzydki skwerek tuż przy Teatrze Polskim – o dziwo ocalałym, świadczącym o pięknie dawnej Warszawy, nie tej najdawniejszej, bo budynek Teatru wzniesiony był w 1912 roku według planów Czesława Przybylskiego, dzięki funduszom, zbieranym przez Arnolda Szyfmana. Otóż ten stylowy gmach ostał się opodal naprędce wybudowanego parkingu i wyrosłych tu i ówdzie stereotypowych PRL-owskich bloków, jak plomby wkładanych w puste miejsca po wyburzonych przez wojnę domach.

Zadziwiająca są te specyficznie polskie historie. Zwłaszcza warszawskie, bo przecież to miasto ma swoją magię. Dopiero z lektury „Tygodnika Powszechnego” („List do T.J.”, 6.10.96) dowiedział się Szwalbe, że przed wojną przy Oboźnej 11, a więc dwa numery dalej, mieszkał ze swymi rodzicami Jan Kott. I on, gnany nostalgią, odwiedził to mieszkanie (a mógł to czynić, bo dom przy Oboźnej 11 ocalał), już w „trzecich ćwierciach” naszego wieku, a więc w latach na przykład sześćdziesiątych, by zrozumieć, że w żadnym kraju nie było „takiego absurdu i groteski, i wielkiej historii”.

Może warto zacytować, opisane w liście do nieznanego nam przyjaciela, wrażenia Kotta z owej wizyty po latach, której Szwalbe nigdy nie mógł odbyć przy ulicy Oboźnej 9. Będzie to małe dopełnienie polskich losów:

„Kiedy wszedłem do tego dawnego mieszkania moich rodziców (...), paliła się tam świeca, a może to była mała lampka przed ołtarzykiem z posązką Buddy. I w całym pokoju snuł się dym kadzidła. Wprowadziła mnie do tego domu młoda i bardzo ładna dziewczyna, ciemna i smukła. Są takie krótkie spotkania, które niespełnione w erotyce, wracają czasem nad ranem, jakby domagające się dopełnienia. Chciałem tam jeszcze raz przyjść, ale już nie było kiedy.

W tym samym mieszkaniu na ulicy Oboźnej, jak piszesz w tym liście, drukowałeś ulotki, czy jakieś pisemko, daj nam Panie Boże literackie, już w stanie wojennym. Była tam jakaś dziewczyna, ale chyba inna, a może ta sama; bo kiedy weszli ubecy, paliła się jeszcze ta świeca albo lampka przed Buddą. Zdumieli się i wyszli. Ach, ta polska historia, ciągle inna i zawsze ta sama”.

Tyle nie poznany bliżej „sąsiad” Andrzeja z lat młodości, Jan Kott. Historia jakże inna. Ale właśnie: ciągle inna i zawsze ta sama – polska, warszawska historia. Bo to miasto rzeczywiście ma swoją niepowtarzalną magię. I ma ją też nasza ojczyzna.

Wyprawy dzieciństwa – Płock

Najpiękniejsze wyprawy dzieciństwa wiązały się z Płockiem. Tam się nie tyle jeździło, co wraz z mamą, a potem i bez niej – płynęło. Rodzice wykupywali dwa miejsca lub całą kabinę w przedsiębiorstwie „Vistula”, mieszczącym się w Warszawie przy ulicy Mazowieckiej. Na przystań szedł Jędrus w towarzystwie mamy, z małą walizką w ręku. Był ciepły i pachnący, późny wieczór czerwcowy – oto zaczynały się wakacje. Ojciec też podążał z nimi, ale on tylko rodzinę odprowadzał. Przystań mieściła się przy Wybrzeżu Kościuszkowskim, które wówczas wyglądało jak z obrazów Gierymskiego. Komin zgrabnego stateczku o utrwalonej na kole nazwie „Polonia” lub „Francja” już dymił, a chlupot wody w ciemności stwarzał dla dziecięcej wyobraźni scenierię bardzo pociągającą, krył w sobie przedsmak niecodziennych wrażeń.

Z kabiny pod pokładem wychodziło się szybko na zewnątrz, by pomachać ojcu, który stał samotnie na brzegu i bardziej namacalnie uczestniczyć w odjeździe o symbolicznej porze, równo o północy. W tym momencie koła napędowe wolno zaczynały się obracać i słychać było charakterystyczny odgłos bicia łopat o powierzchnię wody. Wtedy Jędrus nieodmiennie czuł, że spełnia się oto jedna z niby małych, a w istocie wielkich przygód jego dzieciństwa. W ciemności ulegał złudzeniu, że brzegi Wisły zdają się rozstępować – rzeka stawała się morzem. Reflektor rzucał tajemnicze blaski świecąc miarowo: prawo – lewo – wprost. Stateczek mijał kontury główek wiślanych, jakieś zamglone chaty. Czasami światelko przesyłane z daleka tężało w coraz silniejszym blasku, aż obok materializował się jakiś statek, który przepływał nieopodal, silnie oświetlony jak na morzu. Cały świat gdzieś odpływał, stawał się nieważny, daleki, bardziej realna wydawała się rzeczywistość wodna, kusząca nieznaną dalą...

Na górnym pokładzie, gdzie pracowali ubrani w dystyngowane mundury kapitan i sternik, rozlegały się miarowe okrzyki: „Cała naprzód!”, „Cała wstecz!”. Musieli oni przecież wiedzieć, jak ominąć wydmy i gdzie trzeba przycumować, bo po drodze były przystanie, na przykład w Wyszogrodzie, gdzie prawy brzeg Wisły wylaniał się górzysty i tajemniczy. Andrzej lubił obserwować, jak stateczek wszystkie zadania wypełniał z pewną nieuchwytną gracją. Był to naprawdę elegancki statek i przyjemnie było po nim spacerować. Na górnym pokładzie rozłożony był piękny czerwony dywan aż do progu wytwornej restauracji, gdzie kelner witał ich w nienagannej białej marynarce. Jadło się śniadanie mając z obu stron widok na rozległe brzegi Wisły i świadomość, że oto tak pięknie i beztrasko rozpoczynają się wakacje.

Płynęło się całą noc, pokonując odległość 120 kilometrów między Warszawą a Płockiem w 8-9 godzin. Płock, ze swą niepowtarzalną panoramą miasta z bajki, rozłożonego na stromej wysoczyźnie, jawił im się w łagodnym blasku poranka. W przezroczystym czerwcowym powietrzu, w jasnym słońcu, błyszczały kopuły katedry i innych kościołów, zarysy zamczyska. Widok tak znajomy, nieodmiennie jednak zapierał Jędrkowi dech w piersiach – uczucie, które ogarniało go zawsze, gdy stawał oko w oko z wielkim, nieobjętym pięknem. Jeszcze rzucił tęskne spojrzenie na niknący w oddali statek, który już bez nich płynął do Włocławka, Ciechocinka, Torunia, a finałem jego podróży miał być sam Gdańsk, gdzie statek zjawiał się chyba po dwóch dniach, co wówczas nikogo nie nużyło, bo czas w tych jasnych latach trzydziestych nie był tak zagoniony, jak obecnie. Wówczas po morzach pływały jeszcze parowce, kryjące w sobie, w środku, maszynę zasilaną węglem, której silnik poruszała para.

Przydawały one morskim pejzażom dzieciństwa Jędrka wielkiego uroku, ale znikły potem bezpowrotnie z wodnych krajobrazów, tak jak znikają czarodziejskie latarnie i inne zjawy dzieciństwa.

W Płocku czekała na nich konna dorożka o kołach obciążniętych grubą gumą. Jechali wolno pod górę, ulicą Piekarską, mijając po drodze wielką katedrę płocką, zamek książąt mazowieckich, Bibliotekę im. Zielińskich, gmach sądu. Ranek był rześki, od Wisły szedł chłodny, delikatny powiew

i stary Płock witał go znowu w swej niepowtarzalnej krasie. Ale oto czekali już na niego najważniejsi aktorzy jego płockiej sceny: ciotka Stasia i jej mąż, rejent Kuźniarski, a przy ulicy Kolegialnej – ciotka Urszula Rydlowa z mężem Waclawem.

Najpierw jednak trzeba było się rozgościć. U wujostwa Kuźniarskich przy ulicy Piekarskiej 5 było zacisznie i spokojnie. W przestronnej bibliotece czekali Prus i Żeromski, których Andrzej w szkolnych latach bardzo pokochał. Zwłaszcza Prus – taki był dobry, ojcowski, jak ktoś bliski, niemal krewny. Jędrak lubił w owym czasie zarówno realizm mieszczański, jak i ekspresjonizm. No i oczywiście Sienkiewicza. Najczęściej przesiadywał i czytał na tyłach hipoteki, gdzie wuj pracował w dawnym pałacu biskupim. Wielogodzinne lektury zaspokajały jego tęsknotę za światem, widzianym oczyma tych autorów. Potem odbywał – jak zawsze – spacer za katedrę i wzgórze płockie na planty, gdzie wciągały go nieodparcie widokowe aleje o kapryśnych liniach. Stąd roztaczała się szeroka panorama drugiego brzegu Wisły z siną pręgą dalekich lasów. Dużo powietrza, dali, przestrzeni działało jak narkotyk. Chciało się wydłużać w nieskończoność perspektywę, patrzeć na przykład w bok w prawo, a wówczas na dalekim horyzoncie jawiła się wieża katedry włocławskiej. To był zamglony widok, jak sen odległy... Więc stamtąd kierował oczy znów ku Wiśle – na sunące po rzece parostatki, strzelające wesołym pióropuszem dymu, ciągnące za sobą berlinki, wypełnione rolnikami z pobliskich wsi i ich pakunkami, pełnymi zboża, nabiału, drobiu w klatkach. Przy odgłosach gęgania, gdakania uwięzionych gęsi i kur zdążali oni do Płocka na bardzo malowniczy rynek, który stawał się kolorowy od wszelkiej maści wiktuałów i produktów, owoców i jarzyn, zwożonych przez chłopów.

Bywało, że mgła zasnuwała coraz szczelniej dolinę Wisły. Płynąc nisko nad ziemią, przesłaniała wysokie drzewa, które podmyte przez opary, jakby odrywały się od ziemi i też płynęły w powietrzu, stopniowo ginąc w krajobrazie coraz bardziej ogarnianym przez zmierzch. Szczególnie lubił te chwile, gdy skarpę oświetlały ostatnie promienie zachodzącego słońca. Śledził, jak ona potem stopniowo mroczniała, jak gromadka lekkich obłoków na ogromnym niebie nad doliną Wisły zmieniała swe bar-

wy od złotawych do dymnych, aż stawały się zupełnie granatowe i topiły się w wieczornym niebie, które zdawało się gasnąć. Za chwilę zapalały je gwiazdy, długo jeszcze nie nastawała ciemność. Słuchał wtedy ciszy, niemal namacalnej, przystrzyganej tylko rytmicznie przez świerszcze. Czuł, jak spokojnie oddycha świat i wszechświat, jak wielkie ukojenie czerwcowego, pachnącego wieczoru spływa na wszystko, co żywe. Biegnie czas, a z nim „planeta kosmicznym obrotem zmienia porę”. I wszystko wydaje się takie proste i dobre. Jego dziecięca wrażliwość odbierała przedziwną harmonię tego momentu. A jednak postrzegał już świat w jego złożoności, wiedział, że istnieje śmierć. Uwieriała świadomość, czym w istocie jest życie...

Teraz jednak czuł, że musi czym prędzej pójść do domu, bo ciotka się niepokoi.

* * *

Nazajutrz znowu był w parku za Tumem. Miał on piękny strzyżony żywopłot, chroniący przed upadkiem ze skarpy. Wzdłuż promenady stały ogromne kasztany – świadkowie tylu zmian w scenerii czasu. Z drugiego krańca parku roztaczał się niezapomniany widok na Warszawę, Łąck i na sam Płock – stolicę Mazowsza, miasto przedziwne, nad którym wciąż olbrzymiała katedra. Zaglądał do niej często, bo z nią związanych było wiele doniosłych chwil jego dzieciństwa. Dumą napawał go fakt, że należy ona do największych i najstarszych budowli sakralnych w Polsce. Chętnie stawał przed jej frontonem, zwieńczonym wieżami z zębatym szczytem, w którym widniały cztery herbowe tablice, upamiętniające biskupów, dokonujących przebudowy bazyliki katedralnej. Największy respekt budził oczywiście ten, który ją wzniósł w latach 1126–1144 – tajemniczy biskup flandryjski, Aleksander z Mallone. Nieodparcie skłaniała do refleksji świadomość, że Płock już w 1075 roku był „centrum dyspozycyjnym państwa”, czyli za panowania Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego spełniał funkcję stolicy. Władysław Herman był nawet łaskaw umrzeć na zamku płockim w 1102, a w 1168 roku wyprawiono tu wspaniały pogrzeb Bolesławowi III Krzywoustemu. Andrzej, przystając w Kaplicy

Królewskiej przy doczesnych szczątkach tych władców, spoczywających w pięknym klasycystycznym sarkofagu z czarnego marmuru z alabastrowym Orłem Piastowskim, uświadamiał sobie, że tu, w katedrze, kłania się osiem wieków polskiej przeszłości. Lubił o różnych porach dnia zwiedzać ją niemal drobiazgowo, metr po metrze, wyławiając nagrobki, epitafia, późnorennesansowe pomniki i ambonę, manierystyczne grobowce, barokowe i neoromańskie ołtarze, nowoczesne i dawniejsze witraże. Elementy wielu stylów: romańskiego, gotyckiego, renesansowego, barokowego i klasycystycznego harmonijnie narastały w ciągu niemal tysiąclecia, mówiąc o pięknie minionych epok. Tu zdawały się drzemać kolejne wieki, budzone przez muzykę organów, śpiew i modły wiernych. Przeszłość i terażniejszość podawały sobie ręce przed Madonną Mazowiecką. Katedra zdawała się być przeniknięta na przemian muzyką i ciszą. Chwilami wydawało mu się, że cisza jest jej muzyką...

Przepiękny widok był zwłaszcza o świcie, gdy słońce miało już wstawać za Tumem. Szło się zielonymi bulwarami i widziało przed sobą dwie romańskie wieże katedry, a między nimi wschodzącą czerwoną kulę słońca. Obserwować można było wtedy kleryków w ordynku, szybkim truchtem idących ku bazylice, za nimi organista na chór spieszył – to miasto miało swój styl, swój rytuał. Tu się czuło tchnienie wielkiego świata kultury średniowiecznej, barokowej. Pobożność zdawała się być elementem życia codziennego – rozmodlone sylwetki księży na spacerach były częstym zjawiskiem, a i modlący się biskup nierzadko szedł nad Tumem.

Z zapartym tchem starał się Andrzej w muzeum diecezjalnym wniknąć w dokument z 1345 roku, wystawiony w Awinionie przez dwunastu biskupów francuskich, nadających katedrze płockiej duchowe przywileje. W ogóle rozsmakowywał się w starych graduałach i nastrojowe, piękne to muzeum, mieszczące się tuż przy katedrze w neogotyckim budynku ze szkarpami i neoromańskimi oknami, projektu Stefana Szyllera, odwiedzał wielokrotnie z wielkim upodobaniem. Fascynował go Ewangeliarz z przełomu XI i XII wieku, olbrzymi Graduał, подарowany przez Erazma Ciołka, biskupa płockiego. Przystawał przy jednym z trzech na świecie, obok praskiego i krakowskiego – Kodeksie płockim, przyglądał się bulli Grzegorza

IX z 1232 roku. Wyobraźnię rozbudzał XIII-wieczny dokument lokacyjny, mówiący o dziewięciu wiekach Płocka. W sali rzeźb zdawały się zastygać w niemej religijnej ekstazie rzeźby średniowiecza i wczesnego renesansu. Wyczuwał, ile głębi metafizycznego przeżycia musieli włożyć anonimowi w większości mistrzowie w swe dzieła, że wieki nic nie zmieniły z ich siły wyrazu.

Niemcy podczas II wojny światowej rzucili na stos bezcenną bibliotekę seminaryjną, jednak najważniejsze rzeczy zdołały przetrwać. Całość – to było bogactwo, którym się nie afiszowano, ukryte przed profanami, strzeżone, by przez czyjeś „zaoczenie” skarb nie został umniejszony.

Nie tylko o płockiej, ale i europejskiej kulturze od czasów najdawniejszych wiele mógł się dowiedzieć w Bibliotece im. Zielińskich, założonej w 1820 roku w zabytkowej gotyckiej kanonii o charakterystycznym wykuszu i przysadzistych skarpach. Andrzeja pochłaniała myśl, że wybitny poeta romantyzmu, Gustaw Zieliński ze Skępego, słynny autor *Kirgiza* i jego syn Józef, są głównymi fundatorami słynnej Biblioteki, stwarzając bazę dla jednego z najbardziej szacownych towarzystw naukowych – Płockiego Towarzystwa Naukowego. W jego podwojach unosił się duch mądrego polskiego oświecenia, rozmiłowanego w wiedzy i służbie ojczyźnie.

Trudno było oderwać oczy od inkunabułu z 1487 roku, zawierającego druk *Boskiej komedii* Dantego, od Statutu Jana Łaskiego z 1506 roku czy pierwszego wydania dzieła Kopernika z 1543 roku *O obrotach ciał niebieskich*. Szczególnie działały na wyobraźnię pergaminowe przywileje z podpisami królów polskich, ważne dokumenty z historii Polski, autografy sławnych ludzi, na przykład Frycza Modrzewskiego, Tadeusza Kościuszki, księcia Józefa Poniatowskiego, Jarosława Dąbrowskiego. Zasobność i ogromna różnorodność sędziwego księgozbioru wryły się w pamięć Andrzeja. I ten niepowtarzalny zapach starych ksiąg i dzieł bezcennej wartości. Chętnie wertował XVIII-wieczną encyklopedię oświeceniową.

Z rozmów w rodzinie orientował się, że biskup i arcybiskup – rządcy wielkiej diecezji płockiej – byli ludźmi bardzo wykształconymi i światłymi, podobnie jak profesory płockiego seminarium duchownego, tacy jak znajomi rodziny: klasyk ks. Stanisław Tenderenda i germanista ks. Adam Zalewski

(który później, podczas wojny, w 1941 r., w niemieckim obozie koncentracyjnym w Działdowie razem z arcybiskupem Antonim Julianem Nowowiejskim, poniósł śmierć męczeńską jako kapelan biskupi w Działdowie).

Z ks. Zalewskim, który pochodził z zasobnej rodziny chłopskiej, zamieszkałej w lasach po drugiej stronie Wisły, wujowie Andrzeja zaprzyjaźnieni byli na tyle, że kiedyś on również jako podrostek zaproszony został na wiejskie wesele, odbywające się w rodzinie księdza. Jako że ciało i duch mają swoje prawa – do dziś pamięta poczęstunek na owym weselisku: gorący, złocisty rosół z makaronem na bogatym podkładzie jajecznym. W scenach jego widzenia tamtego czasu utrwalił się zarówno niepowtarzalny smak tego rosółu, jak i dotknięcie letniego upału na rozradowanych obliczach weselników.

Ale najbardziej wbiły mu się w pamięć rozmowy z wymienionymi wyżej, światłymi humanistami płockiego seminarium na tematy najróżniejsze: o literaturze, sztuce, historii, filozofii... Byli to ludzie o wielkich intelektualnych temperamentach – z tego, co mówili, czerpało się wiele podniet i wskazówek. Można było z nimi w nieskończoność rozprawiać o istnieniu, wieczności, Bogu...

* * *

Odwiedzana rzadziej w Płocku ciotka, Urszula Rydlowa, która z zakładem fotograficznym przeniosła się tu z Warszawy ze względu na mniejszą konkurencję, wykazywała wprost ogromną przedsiębiorczość, jak wszystkie Sobierajówny. Rola każdej ciotki spośród sióstr mamy (a i samej mamy również) zawsze była w ich małżeństwach rozstrzygająca. One wszystkie miały silny instynkt rodzinny i były opiniotwórcze, gdy szło o życie tego ogromnego klanu rodzinnego, jakim byli Sobierajowie. Mąż ciotki, Wacław Rydel, potomek warszawskiej rodziny mieszczańskiej, stanowił prawdziwy kontrast w stosunku do niej – uosabiał miękkość, subtelność, atłasowość. Podobnie wuj Kuźniarski, świetny prawnik, rozważny statysta.

Ciotka Urszula właściwie trzy razy budowała zakład fotograficzny, bo w Płocku były dwie edycje firmy „Rydel”. Po ostatniej wojnie: zakład „był

ciągnięty” – a jest to właściwe określenie – aż do jej śmierci, co zdarzyło się kilkanaście lat temu. Andrzej, jako dyrektor Filharmonii, jeżdżąc do Warszawy, wstępował do niej i dawne przedwojenne życie Płocka stawało jak żywe w jej wspomnieniach.

Zyła sobie dobrze przy ulicy Tumskiej, a w jej mieszkaniu po dawnemu królowała serwantka i przedwojenna porcelana. Ciotka nieodmiennie witała go ciastkami i sernikiem ze śmietaną. A była to śmietana tak gęsta, że nóż się nie przewracał, zdobyta zapewne w pobliskich wsiach, może w Kostrogaju czy Borowiczkach, a może w Trzepowie lub Niegłosach. Miała ciotka w tych podpłockich wsiach naprawdę serdeczne kontakty z ludźmi poprzez owe zdjęcia, robione przez całe dziesięciolecia z okazji ślubów, chrzcin, narodzin i pogrzebów. Była więc co się zowie zadowolona.

Tam, w Płocku, została jeszcze żona młodszego syna Wacków, Maćka, który zginął w wypadku samochodowym. Starszy syn Rydlów żyje w Warszawie i jest mężem krewnej Dobrusi, Bożenki.

* * *

Najczęściej Jędrzek przebywał w Płocku u wujostwa Kuźniarskich, którzy z upodobaniem nabywali stylowe meble, jakich pozbywała się zubożała szlachta. Zapamiętał zwłaszcza pokój sypialny wujostwa i piękne łóżka z mahoni u o owalnych szczytach. Ukradkiem je podziwiał, czuło się dobrą robotę snycerską.

Nie czytał jeszcze wówczas Rilkego, ale rozumiał niemal instynktownie, że „wszystkie stworzenia przenika tajemnie wewnętrzny świat”. Wierzył, że tajemna dusza kryje się również w świecie rzeczy, ale nie wszystkich – jedynie w tych pięknych wytworach ludzkiego rzemiosła. Wyczuwał ją w kunsztownie rzeźbionych meblach, zwłaszcza w dębowym kredensie, znajdującym się w pokoju stołowym, który mógł uchodzić za szczyt kredensowej architektury. Uwielbiał też stary fortepian wujostwa – sam jego widok stwarzał atmosferę. To zamiłowanie do dawnych fortepianów przybierze na sile i wiele lat później Andrzej Szwalbe, jako dyrektor Filharmonii Pomorskiej, zgromadzi ogromną kolekcję zabytkowych fortepianów.

Ale wróćmy do saloników wujostwa lat trzydziestych. Andrzej lubił też żywioł życia, który wkraczał do stołowego pokoju wraz z gośćmi, zwłaszcza na święta. Rozsuwano wtedy ciężki, dębowy stół i zasiadało przy nim dwadzieścia parę osób. Ciotka, Stanisława z Sobierajów, wystawiała wówczas przepiękny, miedziany samowar – nastrojowy relikw z epoki, który, to się czuło, szczególnie silnie przeniknięty był przez ów „wewnętrzny świat”. Bardziej jednak uwagę przykuwała ciotka: niewiasta tęga, władcza, znakomita gospodyni. Takie były wszystkie Sobierajówny – jako się rzekło – same brały w swe ręce kierownicę życia domowego, sterowały nim jak należy. I, o dziwo, mężowie to lubili. Wuj rejent, Władysław Kuźniarski, był co się zowie łagodny i wyrozumiały. Wywodził się z bardzo bogatej rodziny, która – o czym Andrzej myślał z podziwem – miała tak ogromne tereny lasów na Pomorzu, że do samego Gdańska można było nimi dojechać.

Pejzaż z okien siedziby wujostwa Kuźniarskich rozpościerał się bezkresny i nieskażony, w tonacji zależnej od pory roku. Zimą była to biel aż po horyzont, zamknięta grubą, siną kreską lasów, zaczynających się nie wiadomo gdzie, daleko i mgliście. Od tej grubej, sinej kreski gładko i nieskończenie płasko, jak przystało na Mazowsze, wszystko pokryte było śniegiem. Andrzej szczególnie głęboko odczuwał urodę tego widoku, gdy wielkie, czerwone zimowe słońce, chyląc się ku zachodowi, wydobywało z tej nieskończonej, białej przestrzeni całą gamę iskrzących się fioletołów. Wtedy najbardziej kochało się Fałata za jego widzenie śniegu. Wiosną natomiast pejzaż ożywiał się, nabywał tonów promiennych lub groźnych, bo przybywał uwolniony z lodu nowy, niezwykle aktor tej scenerii – potężna Wisła, stale zmienna, nieobjęta w swym jestestwie. Może to się wydawać dziwne, ale nie utrzymało się Andrzejowi we wspomnieniach z tamtych lat niebezpieczne wzniesienie wód na Wiśle, lecz raczej obraz wielkiej rzeki, mozolnie toczącej swe wody przez coraz to nowe łachy piaszczyste. Niepostrzeżenie narastała ich gęstwina, przez którą nurt wiślany uparcie szukał sobie drogi. Żeby jednak nie wiadomo jak królowa polskich rzek była tu płytka i jakie slalomy musiała przedsiębrać, by utorować sobie łózysko – jej nurtem płynął nieodmiennie statek do Włocławka, Dobrzynia, odwożąc ludzi wieczorem z płockiego targowiska. Wczesnym rankiem też

nieodmiennie wysypywał się ze stateczku rój wieśniaczek, gracko maszerujących po wąskiej kładce z pękatymi koszami, pełnymi serów, grzybów, chlebów, wszelakich słodkich wypieków.

Podziwiając niemal cyrkowe wyczyny bab na owej kładce, wiodącej ze statku na ląd, Andrzej czuł, że patrzy na nie oczyma Gierymskiego, że one żywcem wyjęte są z jego płócien. Bo już wówczas sztuka potrafiła przesłonić mu widzenie świata, narzucić własne.

Nie myślał o sztuce, gdy nad Wisłą kłębiły się burze. Najwspanialsze były pierwsze chwile przed burzą, kiedy zdawała się zbierać jakaś ponura, groźna siła, a nagle pociemniałe niebo zaczynały rozświetlać złowrogie błyski. A potem rozpętywał się żywioł. Burze nad Wisłą miały w sobie coś przedziwnie monumentalnego, a przy tym prawdziwie infernalnego. Srożyły się wielkie, potężne, jedna gorsza od drugiej. Najstraszliwsza była ta, która szła znad Kujaw, lecz jeszcze gorsza była ta znad Wisły. Obie jednak musiały ustąpić tej od Torunia – była ona po prostu rozstrzygająca, siekająca piorunami niczym mieczem Archaniola, niosąca przejmującą świadomość, że oto można się spodziewać kresu.

Ale wszystkie trzy były niczym wobec tej od Dobrzynia, która zdawała się rozpętywać wielkie spektrum końca świata. Po niej było się pewnym, że już tylko zagłada totalna może nastąpić...

Takie to były wspaniałe, infernalne burze, śledzone oczyma dziecka nad Wisłą, zataczającą wokół Płocka ogromne półkole. Na wyniosłej wiślanej skarpie żywioły rozpętane były do swych granic, bo niestłamszone żadnymi zabudowaniami. Na całe życie zapamiętał Jędrus te stugębne pioruny, siekące seriami kanonady, rozświetlające nagłym blaskiem rozległy, tajemniczy krajobraz nocy – na mgnienie oka, niczym rozpalona żagiew, rzucona przez Stwórcę.

Dobrze było wówczas siedzieć cichutko w domu wujostwa i patrzeć przez rozświetlone błyskami okna, jakby z łoży, na wielką batalię, rozgrywaną w *theatrum mundi*. Przytulny salon wujostwa Kuźniarskich, w którym meble były w stylu Ludwika Filipa, ozdobił piękny secesyjny żyrandol, kuszący, puszasty dywan i dobry fortepian. Najważniejsza była oczywiście duża biblioteka, w której Andrzej, gdy podrósł, znajdował tyle książek dla siebie.

* * *

Pierwotnie dom wujostwa musiał być chyba Kazimierzowskim spichlerzem – takie stały wzdłuż całej Wisły o grubych, arcygrubych murach. A ten wznosił się w miejscu tak ryzykownie stromym. Zawsze, gdy Andrzej zbliżał się do owego domostwa przy ulicy Piekarskiej, doznawał niejasnej obawy, że może ono pewnego dnia zniknąć, skarpa bowiem niebezpiecznie obsuwała się ku Wiśle.

I rzeczywiście, ten dom, w którym wujostwo Kuźniarscy witali go na wysokim brzegu wiślanym, na wyniosłej skarpie, już nie istnieje. Zniknął jak wszystko, przez co – jeśli nie przeszła wojenna zawierucha – to po prostu czas, ten niezawodny czyściciel ludzkich śladów. Nienaruszony pozostał tylko szeroki wiślany pejzaż, w którym ubytek ludzkiego domostwa nie pozostawił nawet szczyrby...

Drzewa Mazowsza

Już wówczas, w Brochocinku, wniknął głęboko w te istoty zielone, zakorzenione w ziemi, prześwietlone słońcem, towarzyszące nam przez lata życia w tak różnych formach. Drzewa.

Do drzew – uważa – dojrzewa się, dochodzi poprzez kontakt z ich niepowtarzalnymi skupiskami – lasem, puszczą, borem. W Borach Tucholskich do swych drzew przewspaniałych dorastał Wyczółkowski, malarz niezwykle, który odbywał całe studia nad istotą drzewa, portretował je. W mazowieckim doświadczeniu Andrzeja nie było lasów – tylko skupiska drzew, kępy tak charakterystyczne dla pejzażu mazowieckiego, nadające mu rytm nieregularny, jak tempo rubato Chopina.

Różne były w czasach jego dzieciństwa i młodości kępy mazowieckie, które tak pokochał. W jednych mieszkało ptactwo, głównie kuropatwy, chyżo uciekające przed myśliwym. W innych znowu spotykał płową zwierzynę: zające, sarny, a w jeszcze innych lubił obserwować siedziby ludzkie – dwory. Jak to pięknie wyglądało, zwłaszcza porą przedwieczorną, gdy zbliżało się do kępy, dobrze widocznej na mazowieckiej płaszczynie. Już z dala na horyzoncie, kiedy powoli zapadał zmrok, widać było, jak kępa zaczyna od wewnątrz rozbłyскиwać światłem, nie jaskrawym, lecz delikatnym, żółtawym, które pokazywało się w szybkach kwadratowych okienek, umieszczonych w białych, tynkowanych i bielonych ścianach dworku. Oto padające przez okno światło zarysowuje na moment ostrzej równiutko ułożony żwir alejki, rozchylają się drzwi wejściowe, ukryte pod spadzistym dachem ganku, zapraszając przyjezdnego gościnnie do środka. Płomień lampy naftowej biegnie dalej na przeciw gościa, widać już brzeg wielkiego, okrągłego klombu, który obowiązkowo rozpościera się przed każdym

dworkiem, zmuszając bryczkę lub powóz do objazdu. Andrzej w owym czasie spotykał dwory i na zrąb budowane, z bierwion cisowych i modrzewiowych, nad którymi opiekuńczo rozpościerały się konary topól, rzadko dębów.

Wypatrywał w kępach świerki i brzozy. Te ostatnie najchętniej sadowią się niewielkimi grupkami na rozstajach mazowieckich dróg, dla których tak charakterystyczna jest płynność linii, bo często przed pierzeją leśną brane są zakręty. W tym momencie właśnie budziła się w nim ciekawość – dokąd ta dróżka leśna może prowadzić? Zakręt zawsze był dlań hasłem wywoławczym ciekawości, źródłem pewnego emocjonalnego napięcia. Czuł, iż owe wątle skupiska drzew stanowią dla spokojnej równiny mazowieckiej też ogniwa pewnego napięcia, jak każda zapowiedź niespodzianki.

Lubił drzewa poszczególne, zwłaszcza świerki, które często w wędrownkach rodziny po dworkach mazowieckich pojawiały się na powitanie gości, będąc jakby strażnikami domowego obejścia. Najbardziej jednak upodobał sobie cisy i modrzewie – matuzalemy epoki minionej bezpowrotnie. Już wówczas, jak i dziś, występowały rzadko. Pojedyncze okazy stały samotnie, skromnie, z cudownie szeroko rozstawionymi konarami. Nie mógł oderwać wzroku od bogatych kiści charakterystycznie długopalczastego igliwia, czuł, że w tych podłużnych, a przedziwnie miękkich igłach kryje się coś bezpowrotnie wielkopańskiego.

Tak utrwalił mu się w pamięci ów pejzaż niejako syntetyczny równiny mazowieckiej. A pamięć serca szczególnie zachowała jedno drzewo wyniosłe na straży dworku brochocińskiego, ważne dla dzieciństwa Jędrka, bo zawieszona tam była huśtawka, z której tak często korzystał. Obok stała psia buda, gdzie wylegiwała się Aza, poczciwy wyżeł o łagodnym spojrzeniu, wielka przyjaciółka lat dziecinnych. Było też tam okno, patrzące na klomb – ów kwadrat światła rzucany wieczorami przez lampę naftową na pachnącą rezedę. Wtedy ganek, obrośnięty dzikim winem, w którym w dzień buszowały owady, stawał się schronieniem szpaka czy wilgi, których tajemnicze głosy niosły się w czystym powietrzu.

Ptaków było więcej, co uwidaczniało się zwłaszcza przed burzą, gdy w listowiu niespokojnie kręciło się ptactwo. Latem panował tam niepowta-

rzalny chłód, a poczucia rozkoszy dopełniała bijąca bąbelkami, nieskażona woda z pobliskiego źródła. Było ono jakby z innej epoki, tej lodowej chyba i przez stulecia przechowywało najzimniejszą wodę. Gdy się ją piło z kryształowej karafki, stojącej na stoliku pod tym zielonym, gęsto wijącym się winem – to chciało się powiedzieć za Faustem: „chwilo trwaj, jesteś piękna”... Wkoło trwał lipcowy upał, popołudniową ciszę przerywało tylko brzęczenie pszczół nad klombem, pełnym rezedy i bratków. A dużo później, gdy trzeba było na zawsze opuścić to miejsce, bo rozpętała się wojenna zawierucha i zmieniały się epoki – przypomniały się słowa wiersza Leśmiana:

*Gdym odjeżdżał na zawsze znajomym gościńcem,
Patrzyły na mnie bratków wielkie, złote oczy,
Podkute szafirowym dookoła sińcem.
Był klomb i rój motyli, i błękit przeźroczy,
I rdzawienie się w słońcu dojrzałej rezedy.
A gdy byłem już w drodze, sam nie wiedząc kiedy
I czemu — przypominałem te oczy, przyziemnie
Śledzące mą zadumę i wpatrzone we mnie
Tym wszystkim, czym się można wpatrzeć w świat
i dalej...*

(...)

*Czy nie wolno nic nigdy porzucać na zawsze
I zostawić samopas kędyś — na uboczu?*

Andrzej Szwalbe zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy nie pożegnał do końca tych ukochanych miejsc dzieciństwa, a szczególnie brochocińskiego folwarku, którego już po prostu nie ma – zapadł się w studnię czasu, nie przetrwał wojennych i powojennych perturbacji. Gdy pół wieku potem starałam się, idąc śladami biografii dyrektora Filharmonii Pomorskiej, odnaleźć dawny Brochocinek, nie mogłam doń trafić, kierując się wskazówkami Szwalbego co do dróg i skrętów w lewo czy prawo, jemu znanymi kiedyś traktami. Topografia dróg mazowieckiej równiny okolic Brochocinka zmieniła się tak bardzo, że również mój kierowca, człowiek

młody i bywały w Polsce – ciągle gubił trop. Błądziliśmy może ze dwie godziny i daliśmy spokój – przecież i tak stanęlibyśmy jedynie na miejscu, w którym niegdyś znajdował się folwark. Może tylko udałoby się popatrzeć na drzewa – jedynie one potrafią przetrwać kataklizmy dziejowe i stać się świadkami czasu... W drodze powrotnej śledziłam uważniej pejzaż mazowiecki jakby niezmieniony: szeroką, płaską równinę naznaczoną tu i ówdzie kępami drzew. Ale z tych kęp bezpowrotnie poznikały dworki...

Pozostała tylko miłość zawsze żywa do tej ziemi – jak w wierszu Baczyńskiego:

Mazowsze. Piasek, Wisła i las.

Mazowsze moje. Płasko, daleko –

pod potokami szumiących gwiazd,

pod sosen rzeką.

(...)

* * *

Drzewa dzieciństwa i młodości brochocińskiej tak wrosły w postrzeganie świata Andrzeja Szwalbego, że gdy lata powojenne zaprowadziły go na Pomorze, do Borów Tucholskich – długo trwało, zanim pozbył się kompleksu lasu: poczucia jakby zamknięcia w jego brązowo-zielonym wnętrzu. Gdy za Toruniem wjeżdżał w lasy, zwane Puszcza Bydgoską, wydawało mu się, jakby zamykały się za nim niewidzialne wrota. Z otwartego mazowieckiego krajobrazu trudno było wkroczyć w zamknięty krajobraz pomorski czy pogranicza z Pomorzem. Tu, w kraju borów, rozpościerających się do samego Gdańska, brakowało mu na początku powietrza. Nawet w dużych miastach Pomorza o dość rozległych placach i w miarę nowoczesnych ulicach, nie mógł pozbyć się wrażenia, że ze wszystkich stron jest zamknięty...

To dziwne uczucie przeszło mu dopiero po latach, gdy wgłębił się w serce lasów pomorskich, gdy nauczył się docierać do ich środka, by podziwiać piękno tak inne, a już mu bliskie – ciemne, puszczańskie. Nielatwe bynajmniej w poznaniu, bo trzeba było zdobywać je powoli, wgryzać się w nie: polubić omszałość drzew, które nie zaznały nigdy słońca. To też jest

swoiste piękno, rozumiał – ten wieczny mrok czy półmrok, jak we wspaniałej gotyckiej katedrze, gdzie liście pełniły rolę witraży, przez które słońce kładło się ruchliwymi plamami, stale zmienianymi przez wiatr. Polubił chwile słonecznej ciszy, przerywanej tylko dalekimi odgłosami ptaków, gdy zdawało się, że nie drgnie nawet gałązka... I pnie – te kolumny leśnej katedry – coraz bardziej go fascynowały, o ileż potężniejsze od drzew kęp mazowieckich, niebotyczne, w półmroku wyrastające ku słońcu. To był inny, o głębszej urodzie krajobraz, który się smakowało, czując gdzieś w okolicy serca jakąś nieokreśloną bliżej nutkę goryczy. Może niosły ją dzieje tej ziemi, jej trudne przejścia i peregrynacje. I nagle przychodziła świadomość: pod takimi to drzewami chadzał Smętek.

* * *

– Przyznam otwarcie, że długo wrastałem w ten region. Jeździłem kiedyś służbowo z Bydgoszczy do tej mojej ukochanej Warszawy i gdy wracałem – już od Sierpca byłem nieszczęśliwy, że muszę tu wracać. Na wakacje wyjeżdżałem do Jelitkowa, nad morze albo do rodzinnego Płocka, który też bardzo kocham. Potem jednak wszystko się jakoś odmieniło. Dziś nie mam już wątpliwości, że Pomorze i Kujawy – to moja ziemia. Mojego życia bez lasów nadnoteckich, czy Borów Tucholskich już sobie nie wyobrażam. A gdy ktoś ma wątpliwości, czy mam moralne prawo o ten region walczyć, zawsze przywołuję z pamięci fakt, że mój ojciec sercem był w Ciechocinku, w którym się urodził, a matka pochodziła z Sobierajów urodzonych w Nieszawie.

(Fragment wywiadu zamieszczonego w „Dzienniku Wieczornym” 29-31.05.1998 r., przeprowadzonego przez Marka K. Jankowiaka)

Rodzinne curriculum vitae

Szwalbowie

Trzeba nam odbyć dłużej w czasie trwającą wyprawę, bez której curriculum vitae Andrzeja Szwalbego nie miałyby swej barwy i perspektywy. Chodzi o społeczną historię rodziny, a szerzej biorąc – rodu. Tak, wypada wyjść na chwilę z ciepłych pieleszy dzieciństwa, by poprzez kronikarsko potraktowane dzieje rodu dojść w końcu do pytania: „Jak jawiła mu się polskość od zarania świadomości?”.

Początek tej zawilej trochę historii rodziny zamyka się gdzieś w połowie XIX wieku i tu osobno trzeba spojrzeć na sprawy rodziny ojca i matki, wyrosłe z innych tradycji i obyczajów.

Jeszcze z dokumentów, które Andrzej pamięta, rzekłabym, wzrokowo, bo utraconych w Powstaniu Warszawskim, dowiedział się, że był niejaki Johann Schwalbe, który w 1798 roku przywędrował na ziemie polskie z Saksonii.

Dlaczego tak dokładnie zapamiętał tę datę? Bo to rok narodzin Mickiewicza, wryty w pamięć jeszcze w szkole. Dziś dyrektor Szwalbe patrzy na fakt emigracji swego przodka od strony historycznej i staje się ona dlań zupełnie zrozumiała, jeśli uświadomić sobie, że trzy lata wcześniej, w 1795 roku miał miejsce ostatni rozbiór Polski. Prusom przypadła wówczas w udziale ogromna część kraju, ciągnąca się wzdłuż Wisły, a więc przez Nieszawę, Ciechocinek, Płock. Dochodzi ów zabór aż do Warszawy i Białegostoku, obejmuje ogromny szmat ziemi dawnej Rzeczypospolitej. Błyskawicznie zaczynają Prusy planować akcję zasiedleńczą na tych terenach, nie było więc przypadkowości we wspomnianym dokumencie, który – jak

Andrzej pamięta z lat młodości – miał wszystkie cechy dokumentu XVIII-wiecznego.

Idąc za możliwościami, jakie stwarza nowo otwarty dla emigracji kraj, Johann Szwalbe z północnej Saksonii osiedla się w Słońsku nad Wisłą, w pobliżu dzisiejszego Ciechocinka, w miejscowości zamieszkałej przez ludność niemiecką do czasu ostatniej wojny. Powoli jednak, poprzez róż-
liczne mariaże, coraz więcej ludzi z owej osady przechodzi do społeczno-
ści polskiej i oni to właśnie zamieszkują takie miejscowości jak Nieszawa,
Raciążek, Ciechocinek. A ich małżonki pochodzą zwłaszcza z Raciążka.
Jednym z synów Johanna Schwalbe jest Augustyn Szwalbe – z imienia
wnioskować należy, że tradycja niemiecka jeszcze nie wygasła w tej ro-
dzinie. W drodze ożenków ród Szwalbów wchodzi jednak coraz głębiej
w życie polskiej społeczności, co odnotowywane jest zresztą w kościele
parafialnym w Raciążku (Ciechocinek nie był jeszcze wówczas parafią).
Dowiadujemy się więc stamtąd, że Augustyn Szwalbe w roku 1858, w wie-
ku lat czterdziestu, ożenił się z dwudziestopięcioletnią Józefą Kleczewską.
Urodziło im się dziecko, któremu nadali imię Jan i to jest dziadek Andrze-
ja, który już nie znał języka niemieckiego. Jego matka, z domu Kleczewska,
pochodziła ze szlachty kujawskiej z Biesiekierskich. Mamy więc powiąza-
nie Szwalbów z tymi rodami – niebawem dołączą się Kępscy.

Dziad Jan w polskim duchu wychowany przez matkę, ożenił się z panną
Ohde, której matką była Kępska. Ród Ohde o tradycjach holenderskich
osiedlił się w Raciążku.

Doskonale to mieszanie się narodowości oddaje *Ziemia obiecana* w ory-
ginale Reymonta i w filmie *Wajdy*: z jednej strony pauperyzacja szlachty,
z drugiej – rozwój nowych sil ekonomicznych, z czego stopniowo rodzi się
współczesna burżuazja.

Dziadek Jan był członkiem samorządu, został rajcą. Na pewno podkre-
ślał jego pozycję zbudowany przezeń w Ciechocinku pod koniec XIX wie-
ku okazały pensjonat, piękna willa „Janówka”, która ze względu na swój
styl, noszący znamiona dalekiej secesji, objęta jest dziś ochroną konserwa-
torską. Po II wojnie światowej zabrana została rodzinie Szwalbów i prze-
kształcona w sanatorium (obecnie zwrócona).

O tym, jak szybko przebiegało spolszczenie rodu, niech świadczy fakt, że syn Jana Szwalbego, a ojciec Andrzeja – Sylwester Jan, w czasie I wojny światowej już należy do POW – organizacji konspiracyjnej, rozwiniętej przez Piłsudskiego po jego zerwaniu z Niemcami. Jest komendantem jednego z obwodów POW, prawdopodobnie ciechocińskiego, w powiecie kutnowskim. Później, w wyprawie kijowskiej Piłsudskiego, jako ogniomistrz, zdobywa nawet Krzyż Niepodległości. Z kolei młodszy jego brat Edward, w II wojnie światowej wraz z Andersem przemierza szlak od Tobruku po Monte Cassino. Tak odbywał się ów proces radykalnego spolszczenia rodu Szwalbów.

* * *

– Ale znikome relikty niemieckości tu i ówdzie przetrwały. Należy do nich „Tante Hilde aus Berlin”, która stała się rodzinnym mitem, czy raczej micikiem i ciągle funkcjonuje w rodzinie jako żartobliwe powiedzenie. Była to jakaś kuzynka, której nie umiem ulokować w drzewie rodzinnym.

Kto to w ogóle był? Stryjeczne siostry ojca, Stanisława i Maria, pamiętały ją ze swego dzieciństwa. Poumierały i nie zdołały przekazać więcej, ale dzięki nim przetrwało w rodzinie wspomnienie o krewnej z przelotemu wieków, która przyjeżdżała z Berlina do swej rodziny w Ciechocinku. Stara, śmieszna pani w salopce i kapeluszu z epoki fin de siècle. Ojciec i wuj Edward znali ją też. Ale mój ojciec szedł wraz z legionami Piłsudskiego ku wolnej Polsce przez wszystkie meandry tęsknot i nadziei świtu niepodległości – i Tante Hilde była mu raczej obca. A dla mnie stanowiła tylko echo dawniejszych czasów i upamiętniła się jako rodzinny żart o „Tante Hilde aus Berlin”.

* * *

Odnośnie mnogości losów Szwalbów jest jeszcze do odnotowania spostrzeżenie Andrzeja Szwalbego, dokonane przezeń w Galerii Tretiakowskiej w Moskwie. Otóż pod obrazem Kipreńskiego, jednego z twórców malarstwa rosyjskiego, obok nazwiska malarza pojawia się nazwisko:

Szwalbe. Zaciekawiony dyrektor Filharmonii znalazł kustosza tego działu Galerii i spytał go o powinowactwo między tymi dwoma. Dowiedział się, że Kipreński jest naturalnym synem Szwalbego i że „tu dużo było tych Szwalbów” z Inflant.

Widać z Saksonii przez Kurlandię Szwalbowie zawędrowali i do Moskwy, przez Łotwę, Inflanty. Ów Szwalbe, którego nazwisko widnieje pod obrazem, zafundował Kipreńskiemu studia we Włoszech w początkach XVIII wieku.

Trudno się dziwić, że pana Andrzeja opanowało coś w rodzaju snobistycznej nadziei, że ów Szwalbe-mecenas był kuzynem Johanna Szwalbego.

* * *

Warto wspomnieć i o Szwalbach, którzy powinowatymi na pewno nie byli. Należy do nich Stanisław Szwalbe, wielki działacz PPS, współorganizator Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, wicemarszałek Sejmu po wojnie. Otóż nie był on krewnym Szwalbego, ale z jego synem uczył się Andrzej w tym samym gimnazjum im. Reja. I był ów syn Stanisława Szwalbego zabijaką co się zowie, tak że matka Andrzeja, Eufemia Szwalbowa, musiała nieraz go upominać, że „rozrabia” na rachunek syna.

W 1970 roku Stanisław Szwalbe przyjechał do Bydgoszczy i zgłosił się do dyrektora Filharmonii ze słowami:

– *Musiałem do Pana do Bydgoszczy przyjechać, żeby Pana obejrzyć – tyle mi o Panu opowiadano.*

Interesował się wówczas możliwością postawienia w Parku Kochanowskiego pomnika Marii Konopnickiej, poświęcił się bowiem propagowaniu wielkości tej poetki.

* * *

Ale zbyt oddaliliśmy się już od dziejów rodu Szwalbów. Może warto przytoczyć na koniec ten znamieny przykład „romansu z ojczyzną” wuja Edwarda.

Do Ciechocinka wrócił on po wojnie z Zachodu, uwiedziony komunistyczną propagandą. Andrzej pamięta go jak dziś, tego pięknego wuja o urodzie Rudolfa Valentino, który lubił śpiew, dobre towarzystwo i kobiety, które za nim szalały. Ale nade wszystko był on żołnierzem i Andrzej nigdy nie zapomniał okrzyku, jaki wydał Edward na wieść o wybuchu wojny. Ten przystojny człowiek miał duszę polskiego ułana i prawdziwie po ułańsku wojnę przywitał: odbył z Andersem cały bojowy szlak, był i w Tobruku, i pod Monte Cassino. Wyzwolenie zastało go na Zachodzie, ale zmęczony wojną coraz chętniej nastawiał ucha PRL-owskiej propagandzie, która głosiła, że miejsce strudzonego żołnierza jest w kraju. Postanowił wrócić.

Andrzej widział go jeszcze na pokładzie statku, który przybija do brzegu – gdy stoi tak pełen oczekiwania, nadziei, odmłodzony tym błyskiem szczęścia w oku, że oto utęskniony krajobraz stał się realnością, a długo niewidziani bliscy i kochający będą na wyciągnięcie dłoni.

Jakże ten niepoprawny polski idealizm miał go zawieść! Nie wiedział jeszcze o tym, gdy wsiadał do samochodu, który Andrzej specjalnie wypożyczył z Filharmonii na jego przyjazd do Ciechocinka. I ten rycerz brygady karpackiej, który po latach walki na wielu frontach znalazł się znowu w ojczyźnie, okazał się jej synem mało już potrzebnym. Tego zawodu nie potrafił przyjąć w sposób stoicki. Za dużo włożył energii w to tułacze, żołnierskie życie. On, w którym kochały się kiedyś wszystkie kobiety świata (zwłaszcza te o aksamitnym stosunku do życia), stracił cały blask. Zaczął w Ciechocinku wieść szarą i nieciekawą egzystencję – dojeżdżał do pracy do Włocławka i finansowo nie najgorzej mu się powodziło, ale dręczyła go samotność i poczucie bezsensu wszystkiego. Minął czas rozkochanych w nim kobiet, szampańskich spotkań i bohaterskich wyczynów. Teraz powoli nadchodziła starość w tonacji przykrego zgrzytu. Pozostał sam jak palec, a przyplątała się poważna choroba nóg...

Sobierajowie

Rodzina matki Andrzeja – to Sobierajowie. Na ich przykładzie prześledzić możemy intensywny u schyłku XIX wieku proces kształtowania się warstwy mieszczańskiej.

Mieszkają w Nieszawie – wówczas wyjątkowo ruchliwym miasteczku pogranicznym, które dzięki komorze celnej przeżywa w drugiej połowie XIX wieku swój szybki boom gospodarczy. Rocznie przez komorę celną przeprawia się tu około 3000 statków. Pod względem ekonomicznym jest to więc atrakcyjne miejsce dla ludzi z aspiracjami.

Nie znamy historii Sobierajów do osiedlenia się w Nieszawie, ale tutaj widać już, jak czują się na siłach odgrywać określoną rolę w mieszczańskiej społeczności, bogatej i z tradycjami. Około 1900 roku Władysław Sobieraj wystawia w Nieszawie, przy zbiegu ulic Mickiewicza i Ciechocińskiej, jeden z najpiękniejszych tutejszych domów, w którego frontonie, nad drzwiami wejściowymi, umieszczone zostaje bardzo udane popiersie Adama Mickiewicza. Wokół niszy wije się roślinny ornament. Wyżej – w zwieńczeniu szczytu naroża kamienicy – balustrada z dwiema dziecięcymi figurkami, które zdają się lekko przytrzymywać niewielki portyk. W jego niszy znajduje się niepozobawiona uroku figurka dziecka, trzymającego księgę. Dziś trudno nie zauważyć tej bardzo charakterystycznej i wykwintnej budowli (otoczonej ogromnym wówczas ogrodem), której wiele uwagi poświęcono w wydanej przez Muzeum Ziemi Kujawskiej we Włocławku książce pt. *Świadectwa przeszłości Nieszawy*. Może warto zacytować:

„Bardzo ciekawą kompozycję architektoniczno-rzeźbiarską stanowi elewacja zewnętrzna budynku narożnikowego u zbiegu ulic Mickiewicza i Ciechocińskiej. Powstała ona w 1900 roku. Motyw dekoracji budynku

wynikał prawdopodobnie z atmosfery domu rodzinnego fundatora, z którego wyniósł głęboko zakorzeniony patriotyzm i umiłowanie literatury romantycznej. Treścią dekoracji rzeźbiarskiej jest bogaty ornament roślinny, dziecięce muzy oraz popiersie Adama Mickiewicza. Całość kompozycji rzeźbiarskiej cechuje niezwykła spójność malowniczości, alegoryzmu i historyzmu”.

Autorzy tekstu, Andrzej Mietz i Jan Pakulski, doszukują się w tym: „pewnej reakcji na sztukę pozytywizmu” i dążeń emancypacyjnych w kulturze mieszczańskiej początku XX stulecia, dziwiąc się, że coś takiego pojawiło się „w małym, prowincjonalnym miasteczku, hołdującym raczej tradycjom rzemieślniczym i kupieckim”.

* * *

Myślę, że Nieszawa – malownicze miasteczko nad Wisłą zostało w tym określeniu skrzywdzone, miało ono przecież bardzo rozwinięte ambicje ponadkupieckie. Tu, podobnie jak potem w Kazimierzu nad Wisłą, kwitła atmosfera sprzyjająca sztuce, zwłaszcza malarstwu – ze względu na malowniczość położenia, dodającą blasku pięknej architekturze tutejszych klasycystycznych kamieniczek z urokliwym, wysmakowanym ratuszem na czele, a także zabytkowym kościołom, wśród których wyróżnia się późnogotycka fara. Wydaje się, że Kazimierz Jagiellończyk wiedział, co robi, przenosząc w 1460 roku Nieszawę w górę Wisły. Na wyniosłej skarpie wybrał miejsce, nacechowane szczególnym pięknem. Patrząc na szeroko rozlane wody Wisły, które zdają się ciepłym ramieniem obejmować miasteczko, odnosi się wrażenie, że Bóg uśmiechał się, tworząc to miejsce i jego atmosferę, przydając ludziom fantazji, aby sprawili, że przyroda i architektura stanowią jedno. Trudno się dziwić, że właśnie Nieszawa wydała wielkiego rysownika, malarza i architekta, Stanisława Noakowskiego.

Tu w 1867 roku przyszedł na świat ten znakomity twórca, który potem był profesorem w moskiewskiej Szkole Malarstwa, Rzeźby i Architektury, a po odzyskaniu przez Polskę niepodległości – profesorem historii

sztuki na Politechnice Warszawskiej. To on narysował czy namalował wiele tysięcy „fantazji architektonicznych” z niezwykłym rozmachem i wyczuciem stylu, nie oddając w sposób dosłowny widoków zabytkowych, budowli i wnętrz, lecz tworząc jakby impresje, wydobywające ich nastrój i klimat. Można godzinami się w nie wpatrywać, czując, że artysta uchwycił duszę tych budowli – w domu Noakowskich, zamienionym w piękne muzeum. Odlew dłoni malarza i jego maska pośmiertna skłaniają z kolei do refleksji nad ludzkim losem, jednakim dla wielkich i maluczkich tego świata.

Biały, klasycystyczny nieszawski dworek z kolumnienkami, gdzie spędził Noakowski dziecięce lata, znajduje się niedaleko siedziby Sobierajów.

* * *

Wróćmy jednak do curriculum vitae Sobierajów, których dom w Nieszawie mówi tak wiele o kulturze mieszczańskiej tego czasu. Wspaniały kiedyś ogród wokół domu został rozparcelowany, nie ma już śladów jego świetności, jak to zwykle bywa z niegdysiejszymi ogrodami, po których przewaliła się historia okresu przełomu. Ale dom pozostał nietknięty, nie-naruszony zębem czasu, dzięki swej architekturze po dawnemu tajemniczy i niezwykły. Obchodzę go z wszystkich stron, lecz zajrzeć do środka nie śmiem, bo cóż tam znajdę prócz rozdrobnienia na niebogatą mieszkanca lokatorów?

Pójdźmy jeszcze na parafialny cmentarz nieszawski, nad którym góruje imponujący grobowiec Sobierajów z przełomu XIX i XX wieku.

U wezłowania granitowej płyty wyniosły cokół, a na nim stylizowana, ryta w kamieniu Golgota z krzyżem, wykonanym jakby z pnia drzewa, z naturalną fakturą kory. Wysokość prawie ośmiometrowa nagrobka przydaje całości charakteru monumentalnego – krzyż zdaje się sięgać konarów wysokich, starych drzew. A wyżej już tylko niebo, błękitne dziś i dziwnie ruchome dzięki przepływającym obłokom. Lekki wiatr pochyla też czubki drzew, jakby w niemym pokłonie ludzkim losom, które tu znalazły swój kres. O twarz otarł mi się jeden z wolno spadających liści. Tak, to począ-

tek jesieni. Bezwiednie zaczęłam w myślach przywoływać mój ulubiony wiersz Rilkego:

*Opada liść, z bardzo daleka spada
jak gdyby wędłto coś w niebiańskich sadach;
pada z powolnym gestem zaprzeczenia.
Po nocach zaś opada ciężka ziemia
ze wszystkich gwiazd na dno osamotnienia.
Przyjrzyj się innym, przyjrzyj ręce własnej:
listopad ów odnosi się i do niej.
Jest jednak ktoś, kto w bezgranicznej łasce
trzyma spadanie owo w swojej dłoni.*

Ten wiersz najbardziej godzi mnie z prawem natury, którym jest przemijanie. Jak, niejako na przekór naturze, wskrzesić czas utracony Sobierajów? Więc tu kończyli swoją drogę ci, których nie dane mi było poznać na tyle chociaż, by pobudzili moją fantazję i wyobraźnię. A przecież ich nieznanne losy stwarzają perspektywę w głąb swoistej studni człowieczego czasu. Za tym opodal znajdującym się pięknym domem z popiersiem Mickiewicza i niemniej stylowym grobowcem stoją ludzkie losy – wydarzenia i emocje, które składały się na miąższ ich życia. Jak zajrzeć za kurtynę minionego już czasu, by ujrzeć sceny pełne dramatyzmu, dziania się epickiego i lirycznego. Narodziny, miłości, nienawiści, śmierci...

I znowu narodziny, i znowu... Noce i dni na tle dekoracji historii.

Niech wynurzy się z odmętu czasu wspaniały dziadek Władysław, ojciec matki Andrzeja, budowniczy domu i nagrobka. A może i ojciec Władysława, Kazimierz Sobieraj, urodzony w 1810 roku, pracownik komory celnej w Nieszawie, który żył bardzo długo, a żona jego, Anna z Rybczyńskich, doczekała nawet 102. roku życia, była zresztą od męża 20 lat młodsza. Jakże przejmujące były losy Kazimierza w młodości: po upadku Powstania Listopadowego powołany został na 19 lat do Siemionowskiego Pułku Leibgardii Cesarskiej. Na szczęście po powrocie zdążył jeszcze nacieszyć się udanym małżeństwem. Zastanawia niezwykła płodność tej małżeńskiej pary. Mieli dużą ilość dzieci, której trudno się dziś doliczyć (chyba

dziewięcioro), najprawdopodobniej z wielkiej pobożności, z której słynęli. Zdumiewa fakt, że w pewnym okresie życia ta rodzina wyjechała z Nieszawy i wylądowała w Wichertowie koło Turka.

Pierworodny syn Kazimierza, ów dziadek Władysław to prawdziwy człowiek renesansu – wszechstronny, zainteresowany sztuką, czuł na piękno. Wybitny budowniczy, bo samouk, a taki zdolny – sam projektował ich piękny dom z popiersiem Mickiewicza. Miał ukryty talent, jeśli tak uwiecznił pobyt rodziny w Nieszawie. Należał do Rady Miejskiej miasteczka, ale działał nie tylko tu: miał udział w budowie Szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie. Przedsiębiorczy – założył jedną z pierwszych wytwórni wód gazowanych.

A jak twardy i silny charakter miał ten człowiek! Świadczy o tym bezwzględność, z jaką kierował losami liczego potomstwa, które miał ze swą żoną, Marcjanną z Nowakowskich, urodzoną w 1855 roku w Nieszawie (zdjęcie tej pięknej pani, oprawne w stylową ramkę, stoi na stoliku do kart w pokoju „fortepianowym”, w którym toczyliśmy z Andrzejem Szwalbem nasze niekończące się rozmowy). W parze z ekspansją w górę idzie bowiem, jako się rzekło, ta ogromna rozrodczość Sobierajów: wymienieni wyżej dziadkowie Andrzeja mają dwanaścioro dzieci, zrodzonych w ostatnim kwartale XIX wieku: siedmiu synów i pięć córek – i oni wszyscy też pną się w górę przez intensywne kształcenie w kraju i poza granicami. Jeden z synów kończy szkołę inżynierską w Berlinie, najstarszy zakłada własne przedsiębiorstwo w Warszawie. Jedna z siostrz matek – ciotka Urszula otwiera świetnie prosperujący zakład fotograficzny najpierw w Warszawie, potem w Płocku. Całe ziemiaństwo u niej się fotografuje.

Inna z córek dziadka, ciotka Stanisława, zostaje żoną Władysława Kuźniarskiego, rejenta w Płocku i do niej w odwiedziny będzie jeździł Andrzej przez lata całe. Następna – ciotka Maria jest żoną dzierżawcy folwarku w Brochocinku, z którym to miejscem tak zrosło się dzieciństwo Andrzeja. Przykładem ambicji rodu jest zresztą jego matka, Eufemia Antonina, urodzona w 1889 roku w Nieszawie, inspiratorka muzycznej edukacji, z taką siłą narzucanej później Andrzejowi, co czyniła jako nieodrodna córka swego ojca, Władysława Sobieraja, który wpoił wszystkim dzieciom nakaz

kształcenia w czasach jej młodości. Władysław był to człowiek o żelaznym zaiste charakterze i nie znał litości dla słabeuszy czy pechowców. Bez względu na dążeniu i narzucaniu innym swego ideału życia – kierował synów w świat, gdy nie udało im się w kraju. A niektórym z jego dwanaściorga dzieci nie bardzo wychodziło w szkole. Kazał im więc opuścić kraj i na emigracji szukać szczęścia w interesach.

I tak wypchnął paru synów do Ameryki, żeby tam się dorobili. Trzech z nich uczyniło to z takim skutkiem, że wprowadzi się zamerykanizowali, ale i wzbogacili. Dobrobyt z dala od ojczyzny nie dał jednak szczęścia wujowi Ryszardowi, który po II wojnie światowej, jak mógł, ratował z biedy rodzinę Sobierajów. W jednej z dobroczynnych podróży odwiedził Bydgoszcz. Prosił, by jechać przez Trzemeszno i Mogilno, bo udając się przed laty do Ameryki, u jednego z krewnych tu właśnie nocował jako kilkunastoletni chłopak z Nieszawy. Ojcu nigdy nie wybaczył, że kazał mu wtedy opuścić Polskę i emigrować za ocean.

Gdy wuj Ryszard zebrał całe rodzinne towarzystwo na wielkim obiedzie w Bristolu w Warszawie – a przybył tłum ludzi – powiedział im szczerze i ze smutkiem:

– Nie łudźcie się co do Ameryki, moi kochani. To jest kraj trudny, mogę wam powiedzieć ze swego doświadczenia. Musiałem się tam imać ciężkiej pracy. Pamiętajcie, tu jest nasze miejsce – w Polsce, i tu zostało moje serce...

Ten człowiek dorobił się za oceanem, ale do końca pozostał chłopcem z Nieszawy. Z licznych dzieci i wnuków jego brata Władysława tylko dwójce odwiedziło Polskę.

* * *

Inny z synów Władysława, wuj Leonard, już jako człowiek zamożny odwiedził kraj w latach dwudziestych. Cały swój majątek stracił potem w ciągu jednego dnia w wyniku inflacji w okresie wielkiego kryzysu w Ameryce lat trzydziestych. To on zdobył się na ten wielki gest, że rodzicom trzyletniego wówczas Andrzeja kupił mieszkanie w Warszawie przy ulicy Oboźnej. Późniejsza utrata wszystkiego, czego dorobił się w życiu, była ciosem zbyt

wielkim i dobry, poczciwy wuj Leonard sam przyspieszył swoją śmierć. Czasem bowiem wydaje się nam, że znajdujemy się w tunelu bez wyjścia i ciemność zalega wokół nas. Nie zawsze wówczas znajdzie się ktoś, kto roznieci przed nami tę małą iskierkę, z której później narodzi się jakiś zaczątek jaśniejszej barwy – nadzieja...

* * *

Skąd to liryczne zdanie w związku z losami jednego z Sobierajów? Widać zdołał przebić się przez pewną barierę obojętności, jaką stwarza przedział czasu i brak bliższych danych o człowieku. Przestał być dla mnie beziemienną garstką popiołów przeszłości. Przez swój królewski dar – mieszkanie dla rodziców Szwalbego, a potem przez utratę wszystkiego i tragiczną śmierć – stał mi się nagle szczególnie bliski ten człowiek o wielkim geście i zbyt wrażliwej naturze, urodzony prawdopodobnie u schyłku stulecia. Zdjęcie rodzinne ukazuje go jako dziecko, a potem młodego, gładkiego człowieka. Jakże napięta i pełna przedwczesnych zmarszczek z powodu dramatycznej sytuacji musiała być jego twarz, gdy podejmował tę tragiczną decyzję i nikogo przy nim nie było.

Na ogół jednak Sobierajowie to byli twardzi ludzie, surowo wychowani przez dziadka, a więc charaktery silne, odporne na przeciwności losu.

Wisła toczyła swe wody w okolicy Nieszawy czy Płocka leniwie, cała w mgłach lub słonecznych blaskach. Wyglądała tak łagodnie, a potrafiła być nie tylko groźna, ale i bezlitosna. Pewnego ranka zabrała starszego syna wujostwa Kuźniarskich, dorastającego już chłopca imieniem Wojtek. Utonął koło Nieszawy, w tej tak przez wszystkich ukochanej rzece. Wpadł w jeden z jej wirów i już się nie wymknął. Przetrzymała go pod wodą tak długo, aż zamknął się nad nim świat... Dopiero po paru dniach oddała ciało, wyrzuciła je na brzeg. I tak w ten straszny czas, gdy wydawało się, że znikąd nie ma zmiłowania, jego matka, ciocia Stasia, modląc się usilnie, chroniła się od zwątpienia, od popadnięcia w niewiarę. O tym Jędrzek dowiedział się od swej matki, sam był bowiem zbyt mały, gdy wydarzyła się ta tragedia, by zapamiętać postawę wujostwa.

Inny przykład niezwykłego męstwa Sobierajów zobaczył już sam, gdy podczas II wojny światowej wszyscy w Płocku mieszkali u nich, „na kupie”. Był tam wtedy i wuj Kazimierz, brat Stanisławy z rodziną i Staś Sobieraj, syn wujostwa Kazików, żonaty i dzieciaty (pierwsze dzieci już przyszły na świat). Wykryto wówczas u wuja Kazimierza prątki gruźlicy. Przyjął to bardzo spokojnie i pewnego dnia powiedział po prostu, zwyczajnie, jakby nigdy nic: „Zostańcie z Bogiem!”. Wcisnął czapkę na uszy i poszedł sobie. Na Radziwiu dostał nędzny pokoik, bo wokoło toczyła się wojna. Więcej u rodziny się nie pokazał. Umierał powoli, w samotności, w tym nędznym pokoiku, żeby przypadkiem nie zarazić dzieci i całej rodziny.

Tak, to byli twardzi i hardzi ludzie ci Sobierajowie. Świadczą o tym również losy wujka Zbigniewa Sobieraja, ojca Marysi Sutkowskiej. W czasie I wojny światowej był on w Ameryce, zgłosił się na ochotnika do wojska we Francji. By dostać się do armii polskiej, przepłynął Atlantyk wśród niemieckich łodzi podwodnych. Walczył potem bardzo odważnie na frontach I wojny światowej i zatruty został gazami, rzuconymi wówczas przez Niemców na bitewne pola. Wyszedł z tego jakoś i była w nim dalej dziwna, typowo polska zuchwałość i brawura.

Ale był też, jako typowy Polak, prawdziwie pobożny. Kiedyś z wujkiem Zbichem odbywał Jędręk rodzinną pielgrzymkę do Skępego pod Lipnem, rozłożoną zawsze na 2-3 dni. Wówczas to na wozie, który się brało, idąc do sanktuarium Matki Bożej Skępskiej, znajdowało się wszystko, co w brochocińskiej sieni tak pięknie pachniało, peklowane wcześniej i wędzone. Wuj brał też galony znakomitej wody z brochocińskiego źródła. I tak idąc pobożnie za wozem stale się podjadało, aż zachodziło się do Bożewa. Tam kiedyś złapała pielgrzymującą rodzinę jedna z tych infernalnych burz znad Wisły. Zatrzymano się więc na noc na plebanii, czy też w szkole i wówczas wuj Zbich dał upust swej miłości do błyskawic i gromów. A nie było żartów, bo domy nie miały w owym czasie odgromników. Ten dom, w którym przeczekano nawałnicę, kryty był, być może, nawet słomianą strzechą i wszyscy trwali w napięciu pełnym strachu. Jedynie wuj Zbich nie bał się zupełnie. Przeszedł sobie do sąsiedniego pokoju, otworzył szeroko okno i popadł w zachwyty nad pięknem spadających gromów – kochał je niczym

Beethoven, w którego muzyce symfonicznej ta miłość znalazła wymowny wyraz.

– *No i burza przeszła, a potem cel pielgrzymki: Skępe – sprawnie został osiągnięty* – kończy Andrzej Szwalbe i dodaje: – *Ja nie miałem tej brawury w sobie, co wuj Zbich.*

Ale ja, obserwując to, co pan Andrzej robił w Bydgoszczy, jestem innego zdania. Jak bez brawury można było wprowadzić w czyn tyle zamierzeń – wznieść Filharmonię, Biuro Wystaw Artystycznych, zaaranżować Dzielnicę Muzyczną, zainicjować i kontynuować budowę Opery, powołać BTN, Wyższą Szkołę Muzyczną, starać się o powstanie uniwersytetu itd., itp.

Bo różne są rodzaje brawury.

* * *

Zwłaszcza kobiety z rodu Sobierajów były ambitne, dominujące, obdarzone silnym dążeniem. Szły za swoim instynktem dobrego ułożenia losu sobie i dzieciom. Andrzej, odwiedzając liczne rodziny swych ciotek i wujków, przyglądał się temu coraz bardziej wyrafinowanemu mieszczaństwu przez lata całe. Pytam go, jak traktował owo dynamiczne pięcie się w górę swych krewnych ze strony Sobierajów.

– *Dla mnie to było zjawiskiem oczywistym. Rozumiałem, że moi wujowie, ciotki, matka pragnęli nadać swej egzystencji jak najlepszy wymiar – taki, na jaki było ich stać. Nie szli po trupach do celu, nie wyzyskiwali innych, nie czynili ryzykownych posunięć finansowych. Ich domeną była wytężona praca, ogromna skrzętność i zapobiegliwość. Czy można im wyrzucać umiłowanie własnego domu? To, że uwielbiali ze smakiem urządzać swe wnętrza, otaczać się pięknymi meblami, dziełami sztuki?*

Nie wyrwałem się z orkiestry przypadkowo – świadczą o tym rodzinne parantele artystyczne. Dotyczy to nie tylko Marysi Sutkowskiej, pianistki z dyplomem warszawskiego konserwatorium. Liczyć trzeba od dziadka kamieniarza, co to dom z interesującym popiersiem Mickiewicza w Nieszawie wybudował – i od jego bratanka, który był malarzem profesjonalnym w Krakowie. Sobierajowie, to utalentowana artystycznie rodzina. Była cała galeria kuzynek, po-

ciotków wyrabiających piękne wazony ceramiczne (na grobach ich stoją jako ozdoby), wycinanki, pisanki, malowane pocztówki. Ciotka Urszula Rydlowa – to kapitalny rysownik. Retusz jest genezą jej pracy fotograficznej. Byli też wśród Sobierajów ludzie obdarowani siłą wyrazu scenicznego, którzy poszli do kabaretu i farsy. Wśród nich jest szansonistka do dziś z kabaretu żyjąca. Wuj Ryszard Sobieraj, który zawędrował do Ameryki, malował dekoracje filmowe w Hollywood i na tym majątek zrobił. Wuj Kazimierz – gruzlik, który poszedł na osobności umierać, miał samorodny, wybitny umysł matematyczny. Janusz Kuźniarski, brat cioteczny Jadzi Kuźniarskiej (tej, która, jak zobaczymy, grała ze Szpinalskim), był konstruktorem maszyny do liczenia. Nawet ten opisywany wyżej wuj Zbich, hallerczyk, u którego podczas okupacji skrypty z dziedziny prawa do rozpowszechnienia przechowywałem, ukochał ponad wszystko muzykę poważną, a w chwilach wolnych modele stylowych żyrandoli z paciorków robił.

Szeroki rozrzut talentów. To oni wszyscy grunt mi przygotowali. I moje konserwatorium muzyczne, a później Filharmonia i cały ów mecenat kultury w tym ciągu rodzinnym się mieści.

Ojciec

O ile życie matki mieści się w pewnej ściśle określonej formule, egzystencja ojca nie da się w żadnym wypadku ująć jako „życie z tezą”. Ona, wiedząca jakąś własną genialną intuicją, zakresliła cel wychowawczy bardzo wysoko, a nałożyła się na to znakomicie dominująca wówczas pedagogika, mianowicie pedagogika służby społecznej.

Ojciec, Sylwester Jan, był zgoła innym człowiekiem, w jakimś sensie uboższym duchowo, a pod pewnymi względami – bogatszym. On pojmował życie jako żywioł, który należy przyjąć na luzie, w sposób właściwy dla wszystkich jego faz i przemian. Oczywiście faza młodości była najbujniejsza, a w niej osobny rozdział – to wybory polityczne ojca, jego postawy obywatelskie. Dowodzą tego zapiski czynione przezeń skrupulatnie w charakterze notatek do życiorysu, jakie znalazł Andrzej wśród teczek z dokumentami pozostałymi po ojcu.

Zacząć należy od tego, że już podczas pobytu we Włocławku, gdzie przebywał na stacji u części rodziny tam mieszkającej i mającej kujawskie proveniencje – a uczęszczał tam do szkoły realnej z językiem rosyjskim jako wykładowym – natrafiamy na pierwszy ślad: przynależność ojca do Kółka Młodzieży Postępowej. Było to jedno z tych kół, które w czasach zaboru młodzież zawiązywała spontanicznie, a przynależność doń ojca dyktowały nie tylko subiektywne powody i przekonania, lecz również ogromnie przez niego hołubiona sfera koleżeństwa. Rozliczne znajomości, do których Sylwester przywiązywał ogromną wagę, przywiodły go do tego młodzieżowego koła, którego przewodniczącym był niejaki Handelsman, później działacz PPS.

I tak oto pod wpływem swych kolegów ojciec od młodych lat wszedł w krąg oddziaływania PPS. Chyba w Ciechocinku, dokąd przyjeżdżał na

weekendy, też witało Sylwestra określone kółko koleżeńskie. Był to bowiem człowiek niezmiernie towarzyski i lubiany. Znajomości z niektórymi przyjaciółmi z ciechocińskiego kręgu odnowił później w latach dwudziestych, mieszkając już w Warszawie, ale to oddzielny rozdział. Będąc człowiekiem dojrzałym, ojciec, ilekroć jechał do Ciechocinka, zawsze odwiedzał swą grupę koleżeńską, już mocno przerośniętą, ale czuł się z nią bardzo związany uczuciowo. On nigdy nie przestał być człowiekiem koleżeństwa i być może dlatego w młodości odnajdujemy go jako wielbiciela idei PPS, a później – Piłsudskiego. I odtąd już każdy jego krok znajduje uzasadnienie w historii II Rzeczypospolitej.

Zdumienie budzi zupełna modelowość losu ojca, gdy idzie o jego uczestnictwo we wszystkich wydarzeniach, które przeżył w owym czasie ten skrawek ziemi zwany Polską, wymazany ponad wiek z mapy Europy, a potem znowu w nią wpisany. Osobisty życiorys ojca zdawał się skrupulatnie realizować diariusz polityczny lat 1905–1921.

A więc bierze udział w strajku szkolnym roku 1905/06, a potem zaczyna występować w POW, już z momentem utworzenia jej przez Piłsudskiego w 1914 (choć dopiero dwa lata później Piłsudski, poróżniony z władzami niemieckimi, tak naprawdę sięgnął po POW). No i wówczas Sylwester staje się komendantem obwodu POW w powiecie kutnowskim, obejmującym Przedecz i Chodecz.

Tu w zapiskach zaczyna się pojawiać nazwisko hrabiny Dąbskiej, właścicielki jednego z dworów okolicznych. Być może Sylwester bywał u niej, a może tylko miał tam kwaterę. To były lata 1916/17, gdy za taką działalność płacono się wysoką cenę. I ojciec też jej nie uniknął: w 1917 roku wylądował w ciężkim więzieniu na Mokotowie, zasądzony na szereg lat. Ale dopisywało mu szczęście: oto po paru miesiącach wybawia go z opresji pokój brzeski, zawarty w lutym 1918 roku, gdy państwa centralne, znajdując się u szczytu powodzenia pod koniec I wojny światowej, zawarły porozumienie z Ukrainą i Rosją. Ta ostatnia po rewolucji lutowej, Rządzie Tymczasowym i rewolucji październikowej, przystała na proponowane warunki. Władze niemieckie ogłaszają wtedy amnestię. Zdarzyło się więc, że wkroczyła

wielka historia, by ratować ojca. Bo zawsze był on, może przez swój optymizm, ulubieńcem losu.

W jego zapiski wkradają się pewne niedopatrzienia. Spisywał po kronikarsku swe dzieje pod koniec życia i czasami mylił daty. Faktem jest, że 11 listopada 1918 roku zaciąga się on jako ochotnik do wojska i zaczyna z Piłsudskim marsz na wschód. Chodzi – jak pamiętamy – o zajęcie miejsc opuszczonych przez załamany system obronny Niemiec, wstrząsanych w tym czasie przez wielkie niepokoje społeczne, obrady robotnicze, wreszcie rewolucję. Front pęka, powstaje ziemia niczyja, gdzie Polska musi czym prędzej wejść, by obronić swą granicę wschodnią.

* * *

W 1919 roku w maju widzimy już ojca wśród uczestników wyprawy kijowskiej, która trwa do roku 1920. Służył w artylerii ciężkiej i podczas odwrotu z Kijowa znalazł się ze swymi armatami na lewym brzegu Dniepru, skąd to wielkie, bogate w historię miasto jawiło mu się niczym wizja ze starego szeptu. Uczyniło na nim zresztą ogromne wrażenie, zarówno architektura, jak i ludzie, a zwłaszcza słynna Ławra Peczerska. Błądził bez końca w jej podziemiach, gdzie wśród słabo oświetlonych korytarzy spoczywały w zgrzebnych trumnach zabalsamowane czy wysuszone przez wiatr i piach stuleci ciała prawosławnych mnichów, uznanych za świętych. Migotliwe światła świec i gazowych lamp wydobywały z mroku ich ascetyczne twarze, suche, zastygłe w ekstazie, której nie zatarł czas. Myślał wtedy o znikomości ludzkiego życia i o nieomyślnej wadze czasu, która każdemu działaniu oddaje właściwą miarę. Zawierucha dziejów, w której przyszło mu uczestniczyć, wydawała mu się z tej perspektywy tylko czymś na kształt targanego jesienną wichurą drzewa, sypiącego potokiem opadłych liści. Bez wichury liście też by kiedyś opadły, bo takie są prawa natury...

Trzeba było wyjść z tych przesiąkniętych duchowością krąganków, wypełnionych modłami i przyciszonym, prawosławnym śpiewem, pełnym mistycznego żaru – i znowu zanurzać się w rzeczywistość tej dziwnej wojny, której losy zmieniały się tak nieoczekiwanie, by w końcu odwrócić się

całkowicie. Ale jeszcze był gryzący pesymizm porażki, i zapiski ojca oddają coraz trudniejsze momenty tego odwrotu pod naporem uderzającej armii rosyjskiej. Marsze dniami i nocami, monotonne i grząskie, wśród miarowego szczęku broni, głuchego dudnienia dalekich i bliskich detonacji, gdy wiatr przynosił zapach spalenisk. Te nękające marsze, powolne i jednostajne, które w dziwny sposób otępiają i czynią nieczułym na wszystko, nawet na własną śmierć. Nauczył się wtedy spać w marszu, trzymając się taczanki, czasami nawet śnić. Ale były to sny niespokojne, krótkie i urywane, budził się szybko w jakimś nerwowym drgnieniu i poczuciu jeszcze większego zmęczenia. Nie bał się śmierci, która szła za nimi nieopodal, ta najwierniejsza towarzyszka każdego żołnierza.

Czasami, gdy w głąb horyzontu zapadało ogromne, gorejące słońce, z wolna osuwał się na ziemię, nieczuły na wszystko, a żołnierze obok padali jak ziemniaczane worki. Pachniało świeżą ziemią i ten zapach dziwnie otumaniał. Gdy otwierali opuchnięte, przekrwione bezsennością oczy, nad nimi otwierało się wielkie rozgwieżdżone niebo, w które patrzyli niewidzącym wzrokiem, bo zmęczenie i sen zwyciężały wszystko. Tak, oswoili tę swoją jedyną towarzyszkę – śmierć i mogli patrzeć jej prosto w oczy bez strachu, bali się jednak podstępnie czyhających chorób i powolnego umierania w przydrożnych rowach.

Ojca nie ominął i najgorszy postrach tego odwrotu – krwawa dyzenteria. Ironia losu sprawiała, że do wszystkich upiorów tej wojny dołączała się jeszcze nieopanowana i nieposkromiona fizjologia chorego, osłabionego do granic możliwości organizmu, któremu logika spieszego odwrotu nie zaoszczędziła ani metra wyczerpującego do cna marszu.

O bitwie rozstrzygającej nad Wisłą w roku 1920 ojciec, o dziwo, nic nie pisze – może jeszcze poważnie chorował? Najpewniej jednak brał udział, bo przecież Andrzej wie, że zdemobilizowany był dopiero po zakończeniu zwycięskiej batalii Piłsudskiego. Widać tylko pisać nie miał już sił. A przecież jemu i jego kolegom dane było przeżyć cały entuzjazm zwycięstwa, ową frenetyczną radość żołnierza, którego umiłowany dowódca zdobywa się na posunięcie jedyne i genialne, rozstrzygające o losach tej uznanej za osiemną wśród najsłynniejszych bitew świata.

Później – trzymając się wciąż PPS, znajdujemy ojca w związkach zawodowych – i znowu, w dwudziestoleciu międzywojennym, w jego życiorysie wszystko modelowo się rozgrywa, zgodnie z opisami poświęconej tym polskim czasom encyklopedii Guttenberga (wydanie III, z 31-34-37 r., II suplement).

Pamięć nasza działa tak wybiórczo, zapada w nią przede wszystkim nie to, co usłyszeliśmy, lecz co sami przeżyliśmy. I tak oto we mgle niepamięci rozplynęła się Andrzejowi sylwetka ojca-żołnierza, bardziej realne stało się dla syna, urodzonego w wolnej Polsce, w 1923 roku, drugie wcielenie ojca: urzędnika skarbowego. A był ojciec urzędnikiem w całym tego słowa znaczeniu. Wyrósł w okresie schyłku pewnej stanowości, gdy istniał etos stanowy, wszystko było unormowane – i on był do końca wierny temu etosowi. Jako nieodrodny syn polskiej zbiorowości, gorliwy uczestnik wydarzeń związanych z odzyskaniem niepodległości, ojciec pozostał niejako patriotą wieczystym, bez względu na okoliczności. Nigdy nie był rozczarowany tym, że ci co walczyli o Niepodległą, są niedoceniani, nie spodziewał się przecież laurów i odznaczeń, swój „sen o Bezgrzesznej”, realizowany w walce czynnej uważał za coś zupełnie naturalnego, związanego z elementarnym poczuciem obowiązku.

Wcielenie ojca-żołnierza, niepodsyćcane długimi opowieściami o przeżytych trudach, bo ojciec nie lubił się tym popisywać – stawało się z czasem obrazem dalekim i zatartym, natomiast z codziennego kontaktu upamiętnił się synowi ojciec w swej drugiej postaci: urzędnika skarbowego. Jako się rzekło, ta praca nie przynosiła wielkich apanaży. Ojciec nie miał szczęścia do zarobków. Andrzej zapamiętał, że każda plajta w budżecie młodego państwa wiązała się ze zmniejszeniem liczby etatów, uszczupleniem pensji, a na dodatek z dorzucaniem pracownikom urzędów bezpłatnych godzin nadliczbowych. To było absurdalne, ale na przykład rząd premiera, Leona Kozłowskiego, uzasadniał kolejną obniżkę pensji cenami żywności, rzeczywiście bardzo wówczas niskimi, co z kolei wiązało się z tragedią ówczesnych chłopów, którzy zmuszeni byli sprzedawać płody rolne za 40% właściwej ceny. Każdorazowo ojciec przychodził do domu z wieścią o niż-

Rodzina Szwalbe



Józefa Kleczkowska z domu Biesiekierska, prababka Andrzeja Szwalbe



Jan Szwalbe, dziadek Andrzeja Szwalbe (rok 1932)



Edward Szwalbe, wuj Andrzeja Szwalbe, odbył z Andersem cały bojowy szlak



Niućka ze Szwalbów Pankracowa, siostra ojca Andrzeja Szwalbe



Eufemia Szwalbe z domu Sobieraj,
matka Andrzeja Szwalbe



Sylwester Jan Szwalbe,
ojciec Andrzeja



Ojciec i matka Andrzeja (siedzą w środku, w otoczeniu rodziny ze strony matki) w atelier przy ul. Królewskiej 39 w Warszawie

szych niż dotąd dochodach. Bez szemrania przyjmował kolejne uderzenie po kieszeni, tylko Andrzej, wrażliwy na atmosferę rodzinną, odczuwał wówczas jakieś brzemie smutku przy stole i rodzice wieczorami w ciepłym kręgu wielkiego abażuru dłużej siedzieli pochyleni nad rachunkami, coś tłumacząc sobie i kalkulując, jak zmniejszyć rodzinny budżet, jakie wydatki ograniczyć, by starczyło na potrzeby związane ze szkołą, zwłaszcza na książki. Zasypiając, słyszał jeszcze ich niewyraźne szepty.

Niemniej Sylwester pozostał wierny skarbowości przez całe dwudziestolecie, chociaż odpracowywać musiał bezpłatnie wieczorówki. I stał się działaczem związkowym wśród pracowników skarbowych. Idee Piłsudskiego żyły w nim jeszcze, aktualizowane rzeczywistością, więc działał w tym kierunku, obmyślając, jak uratować ludzi przed bezrobociem. W czasie wojny zapewnił też pracę Andrzejowi w urzędzie skarbowym. Kiedy w 1945 roku ojciec wrócił z Krakowa via Płock do Ciechocinka, znowu zaczął pracować w skarbowości.

* * *

Ciechocinek, przed wojną latem niezwykle rozrywkowy, snobizujący się prawie na polskie Monte Carlo, zimą zmieniał się w skromną, małą, pozbawioną blasku, nudną miasteczko. Ta huśtawka nie była bynajmniej czymś budującym i młodego człowieka uczyła omijać szczyble drabiny społecznej. Na szczęście w ojcu nie wyrobiła tej cechy i Ciechocinek wpłynął tylko na jego ożywione życie towarzyskie i silne więzy koleżeńskie. Trudy wojenne pogłębiły te cechy, a późniejsza praca urzędnicza bynajmniej ich nie zniwelowała. Z pewnością kontrasty przyciągają się bardziej niż podobieństwa, dlatego na drodze towarzysko nastrojonego ojca musiała stanąć matka, kobieta z życiowym planem.

Ojciec lubił życie, matka – systematyczność w dążeniu do celu. Gdy więc Andrzej, mieszkając przy ulicy Oboźnej w Warszawie, podjął swe pierwsze szkolne kroki, do obowiązków matki należało prowadzenie go do gimnazjum Reja, a potem do konserwatorium. To ona urządzała spacery z synem po zabytkach Warszawy, oprowadzała po muzeach, szła z nim do

Zachęty i Ogrodu Saskiego czy Łazienek, by chłonał piękno narodowej tradycji. Ponieważ jednak Jędrus jako dziecko zaczął chronicznie chorować na zapalenie spojówek, pieczę nad nim przejął ojciec.

To on prowadził go do ubezpieczalni, zamawiał częste wizyty u okulisty, prof. Melanowskiego. Ubolewał, że syn jest zbyt słabo rozwinięty fizycznie. Kupił mu trapez. Okazało się jednak, że nie można ręki przesadnie forsować, bo to szkodzi grze na fortepianie – i tu wkraczała matka.

Jędrus zapamiętał ojca jako człowieka opiekuńczego i przyjaznego. Utrwaliły mu się takie oto sceny z dzieciństwa. Leży w łóżku, gdy za oknami zapada liliowy zmrok, a nocna lampka rzuca wąski krąg ciepłego blasku, spowijając resztę pokoju w tajemniczym mroku. Wtedy bezszelstnie otwierały się drzwi i wkraczał ojciec, by przed zaśnięciem nie tylko odwiedzić syna, ale i wykonać niezbędne zabiegi. W rękę trzymał kamień oftalmiczny, którym bardzo delikatnie przetrze oczy Jędrusia. Rękę, trzeba przyznać, miał idealną do złagodzenia tak nieprzyjemnego zabiegu. Nie wystarczyło bowiem szorstkie dotknięcie oczu białym kamieniem, co jeszcze można było znieść, dopiero przetarcie kolorową lapis lazulą było prawdziwą torturą, po której oczy piekły jeszcze przez pół godziny. Ale ojciec umiał przy tym tak zabawić rozmową, rozweselić, pogładzić, że synek, leżąc w łóżeczku, podświadomie czekał na te wizyty.

Ojciec dbał nie tylko o oczy Jędrka, ale i jego ogólne wzmocnienie: pilnował, by pił on codziennie tran, wówczas bardzo popularną odżywkę, w smaku niestety fatalną. Nieodmiennie przed obiadem zaczynał się rytuał przełykania pełnej łyżki tego paskudztwa.

Opiekuńczość ojca zmanifestowała się pięknym gestem podczas Powstania Warszawskiego, gdy rodzina wyrzucona z mieszkania przy ulicy Chłodnej ruszyła przez ulice płonącej Woli. Wraz z gromadą oniemiałych z trwogi mieszkańców Woli esesmani pchali ojca z Andrzejem na wielki zwal świeżych trupów. Wymierzone karabiny maszynowe czekały na następnych. Już stanęli w szeregu i Andrzej poczuł dotknięcie śmierci. To było мгновение.

Wtedy nieoczekiwanie ojciec odruchowo wysunął się naprzód i zasłonił sobą syna. Ale los jeszcze tutaj nie naznaczył im granicy między życiem a śmiercią.

Podobnie było w kościele na Woli, dokąd ich potem zapędzono i skąd wyprowadzano na rozstrzelanie. Esesman stał wśród zamarłego tłumu, wzrokiem wskazując zakładników. Za każdym razem, gdy wzrok esesmana zwracał się w ich stronę, ojciec w jakiś dziwny sposób zasłaniał sobą, zakrywał Andrzeja, by – jeśli ma przyjść wyrok – padł na niego...

* * *

Trzeci wątek w życiu ojca to wierność swej najmniejszej ojczyźnie. Przywiązanie do Ciechocinka z biegiem lat przybierało na sile, choć tam po wojnie wszystko było już utracone. Scheda po dziadkach znalazła się w rękach państwa i chociaż była to jawna niesprawiedliwość, ojciec na tyle był państwowcem i cenił sobie decyzje państwowe, że szybko pogodził się z tym faktem. Nigdy nie kwestionował wyroku ludowej sprawiedliwości, ale nie mógł sobie pozwolić na odcięcie się od miejsc, do których przylgnęła jego dusza. Miał w dawnym dziadkowym pensjonacie, przerobionym teraz na sanatorium, wielu przyjaciół. Spod upaństwowienia udało mu się wyciągnąć skromną oficynę – i tę dla rodziny odzyskał na wakacyjne przyjazdy. Chciał, żeby kiedyś, gdy – wierzył w to – odzyska pensjonat, można było w nim prowadzić działalność hotelowo-turystyczną.

I myślał o niej wciąż, miał ją przed oczyma – tę swoją siedzibę rodzinną, która była niemal jego kołyską. Widział ją pięknie zagospodarowaną, ze wspaniałym ogrodem i mnóstwem ludzi tam przebywających. Ten wymarzony obraz tak mu się utrwalił, że z każdym rokiem nabierał nowych, soczystszych barw. Jak wszyscy ludzie starzy, bardziej cenił przeszłość niż miałką teraźniejszość i w jego kochającej, żywej wyobraźni trwał Ciechocinek dawnych lat. Tymczasem willa dziadków, jak wiele podobnych w tym uzdrowisku, wegetujących już tylko resztkami dawnej chwały – podupadała, niszczała, a sam Ciechocinek w owym czasie z każdym rokiem bardziej przeciętniał. Ojciec bynajmniej nie zrażał się tym – może miał rację? Bo przecież nowe zbliżało się z każdym rokiem i choć on go nie doczekał – ziściły się jego marzenia: już po jego śmierci, parę lat temu rodzina Szwalbów odzyskała pensjonat i wynajęła go pewnemu przedsiębiorstwu turystycznemu.

A jak wierzy jego nieodrodny syn, Andrzej Szwalbe, sam Ciechocinek już odbija się od dna, są pierwociny renesansu. Akademia Medyczna założyła tam klinikę leczącą otyłość i zaczyna się w ogóle dziać wiele dobrego; wojewódzki architekt ma dobrą rękę do Ciechocinka, który powoli przypominać będzie Nałęczów. Kwietniki przed Łazienkami nr 2 i 3, chodniki w okolicach rynku, hali, kościoła, Domu Zdrojowego nabierają znów wyglądu traktów spacerowych uzdrowiska z czasów, gdy ojciec przeżywał tu swe lata młodości.

– Chwileczkę, Panie Dyrektorze – mówię – przecież sama odwiedziłam ostatnio Ciechocinek i szłam tam Pana śladami sprzed lat.

* * *

Ale te wycieczki w teraźniejszość są przedwczesne, bo przecież pamięci domaga się jeszcze przeszłość ciechocińska, która ojca ciągnęła jak magnes. Była to siostra Janina, zwana Niutką, tam zamieszkała, a przede wszystkim wspomniany już ukochany brat, Edward, żołnierz spod Tobruku i Monte Cassino, którego „romans z ojczyzną” zakończył się powrotem z Zachodu, a tu w Polsce – bynajmniej nie sławą i chwałą, lecz swoistym odrzuceniem, szarą wegetacją w Ciechocinku, a w efekcie długą chorobą.

Ojciec Andrzeja coraz częściej odwiedzał go w tym uzdrowisku i ze smutkiem konstatawał, że kolejne zabiegi operacyjne, jakim wuj Edward się poddawał, nie dawały nic prócz złudnej nadziei. Cierpiał okrutnie, do końca najbardziej bratersko dźwigany na duchu właśnie przez ojca Andrzeja, który jednak nie był w stanie odwrócić jego losu. Kres zbliżał się nieodwołalnie i być może wuj Edward sam przyspieszył ów moment, przedawkowując środki uśmierzające ból. Ale czyż można mieć żal o tę mimowolną eutanazję, jeśli ból był ponad ludzką miarę i bez nadziei?

Spoczął wuj Edward na cmentarzu ciechocińskim obok innych grobów rodzinnych, które Sylwester Jan często odwiedzał. Ale nie było w nim pesymizmu czy zgorzknienia, rozumiał bowiem, iż „nasze życie umiera w przemianie”, jak powiedział wielki poeta, Rainer Maria Rilke. Ojciec nie musiał czytać na ten temat poezji – on to wiedział i przyjmował przemijanie

postaci świata jako coś naturalnego, wmontowanego w ludzki los. Potrafił z tą świadomością żyć na luzie. Bo życie było dlań wartością samą w sobie, a optymizm – sposobem widzenia świata dobrze urządzonego przez Boga.

Nota bene, gdy dyskutując z Andrzejem Szwalbem o mojej wizji portretu ojca, użyłam owego słowa „na luzie”, zareagował on mniej więcej tak:

– W portrecie ojca ograniczyłbym, bądź pozbył się w ogóle słowa „luz” na rzecz opisanie egzystencji specyficzniej pasywnej przez sugestię, że przywiera ona ściśle do fali życia, daje się mu unosić, nie staje buntowniczo naprzeciw. W dziele językowo tak barwnym i żywym, jak rozpatrywane, warto pozbyć się pewnego anachronizmu, bo „luz” jest własnością lat ostatnich.

Niewątpliwa racja. Mnie jednak, niezależnie od użytych określeń, najbardziej fascynuje optymizm ojca. Być może taki optymizm to jest jedyny właściwy sposób odbierania rzeczywistości i przejął go po ojcu Andrzej Szwalbe, twierdząc, że usiłując świat widzieć lepszym mimo wszystko, popychamy go w dobrym kierunku. Tym bardziej, że u niego myślenie zawsze szło w parze z dobrymi czynami, albo choćby z inspirowaniem innych do czynu.

Ojciec, gdy po wojnie zamieszkali z Andrzejem i jego żoną w Bydgoszczy – był tym, który najbardziej cieszył się z sukcesów syna. Zdawał się nie dostrzegać jego wielkiego zmęczenia – ceny, jaką płacił za swoją społeczną działalność. Nawet wówczas, gdy szereg razy Andrzeja hospitalizowano, ojciec nie tracił optymizmu i wiary, że wszystko będzie dobrze, zarówno ze zdrowiem, jak i zamierzeniami syna. Jakby niepomny jego ograniczonych zdrowotnych możliwości, cieszył się jak dziecko, że kolejna, wszczęta przezeń akcja się powiedzie – że stanie Filharmonia, BWA, BTN, Wyższa Szkoła Muzyczna, Instytut Sztuki. Zachowywał się tak, jakby sam partycypował w tych akcjach. Powtarzał z entuzjazmem: „Stoimy w obliczu kolejnych inwestycji, mających znaczenie dla miasta!”. I rzeczywiście tą swoją postawą w sposób znaczący popychał je do przodu.

Myślenie nastawione na sukces niezawodnie może dawać znaczące efekty, tylko my nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę.

Tak, ojciec pokazywał Andrzejowi, jak można mądrze poddać się przemijaniu. A matka, ta kobieta twarda i uparta, choć tak kobieca, dla której

życie było tylko wartością instrumentalną, daną nam po to, by realizować zamierzenia – ona intensyfikowała stały bieg syna: w kierunku szkoły, konserwatorium, studiów prawniczych, ogromnych i wydawało się nierealnych działań społecznych... I wpływ matki był silniejszy. Stała gotowość do biegu, którą po niej odziedziczył, okazała się siłą motoryczną, za pomocą której można było zrealizować niemal każde zamierzenie.

– *Matka, tak nieugięta patriotycznie, w ocenach moralnych była bezpardonowa. To po ojcu odziedziczyłem umiejętność kompromisu: dokąd można – szukać wyjścia z sytuacji, które nie są ostateczne. Jak w filmie „Jakubowski i pułkownik”. Żyd Jakubowski nie wyobrażał sobie sytuacji, z której nie ma dwóch wyjść. Gdy już trzeba było tylko zginąć – Jakubowski wykrzyknął: „Ale jest jeszcze drugie wyjście!”. Tak uważaliśmy ojciec i ja. Na pewno postawa mniej efektywna, lecz bardziej skuteczna.*

* * *

– A tak przez ojca ulubione smakowanie życia – czym jest dla pana? – Zadaję to pytanie w niewielkim gabinecie Szwalbego, w jego mieszkaniu przy ulicy Dworcowej, pełnym obrazów i fotografii, z ogromnym fortepianem pośrodku, obłożonym książkami i albumami malarstwa.

– *Mnie to po prostu mężczy – wyznaje głosem lekko ściszone, jak zawsze, gdy oddaje się wspomnieniom, czy mówi o swych upodobaniach:*

– *Dla mnie smak życia jest w tym ciągłym wysiłku, w pośpiechu ku wyznaczonym celom. Ale z biegiem lat lepiej, bardziej rozumiem ojca. Nie, nie żałuję, że nie smakowałem życia. Myślę, że nic nie straciłem. Wiem bowiem, że ci, co tak umiłowali smakowanie życia, są szczęśliwi tylko do czasu – póki biologia ich niesie, a później nieuchronnie stają w miejscu, jakby kurczą się w sobie, a w końcu przychodzi do nich z biegiem lat świadomość zmarnowanej szansy. Nawet patrząc tylko na rodzinę Sobierajów, widzę tu i ówdzie ową znakomitą młodzież, która „przejechała się” na postawie smakowania życia. Ci natomiast, którzy nie poprzestawali na tym, żeby „żyć, aby żyć”, zawsze potrafili do czegoś dojść. Lecz wówczas w tle stał ktoś, kto ich – tak jak matka mnie – do czegoś dopingował.*

– *Ale na „smakowanie życia” – kończy Andrzej Szwalbe już po lekturze maszynopisu Życia na przelomie – można patrzeć i z innego punktu widze-*

nia. Przecież w rozdziale końcowym Pani książki o mnie jakże nieefektownie, ale jakże prawdziwie brzmi skarga starości (bo tak chyba należy „Sens życia” odczytywać) na ową mądrość, która w dążeniu do ustalenia najgłębszego sedna rzeczywistości, na koniec dociera „do bezdźwięcznej muzyki, bezbarwnego malarstwa”, szarych istot filozoficznych, którym zabrakło już barwy i wigoru akcydensów. I to też jest tzw. smak życia. O późnej porze...

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Matka

Poprzez matkę moje kontakty ze sztukami pięknymi różną miały postać, zawsze jednak znaczącą. Zacząć wypada od dwóch lat przed moim urodzeniem – dużą rolę odegrała bowiem w moim życiu rzeźba przedstawiająca moją matkę, wykonana w 1921 roku przez Stanisława Pawlaka, ucznia Konstantego Laszczki, znajomego mamy z jej kręgu. W Muzeum Okręgowym w Bydgoszczy można dziś obejrzyć ten brąz, przedstawiający młodą niewiastę, siedzącą na stołeczku w pracowni. Noga założona na nogę, ręce na kolanach. Cała postać pełna łagodnych linii, a także twarz matki, jej uśmiech, pogoda – ma w sobie jakiś rys impresjonistyczny i dużo, dużo poezji. W 1921 roku Pawlak rzeźbił również głowę ojca, ale pochłonęła ją pożoga wojenna, podczas gdy rzeźba matki ocalała, jakimś cudem.

Wielokrotnie odchuchana przez konserwatora bydgoskiego muzeum, rzeźba znajduje się obecnie w Ostromecku jako depozyt. Mama Andrzejka w swych późnych latach żyła i umarła w Bydgoszczy. Sama ten dar przekazała tutejszemu muzeum, by dać artyście, Stanisławowi Pawlakowi, szansę obcowania z publicznością, choć bardzo smutno było rozstawać się z tą rodzinną pamiątką.

Interesujące, że ówczesny konserwator wojewódzki, Maciej Obremski, oglądając rzeźbę matki na zdjęciu (fotografia zrobiona była w momencie, gdy Pawlak czynił pewne poprawki, a w tyle, za wizerunkiem mamy, stały inne jego dzieła), zauważył charakterystyczną dla twórców tamtego czasu romantyczną apoteozę wojenną: wśród rzeźb Pawlaka stały takie dzieła, jak „Jan III Sobieski pod Wiedniem”. Trzeba pamiętać, że był to rok 1922, a wówczas Polska żyła swą świeżo odzyskaną niepodległością. Minęły zaledwie dwa lata od „cudu nad Wisłą”, nastroje patriotyczne rosły, ale

społeczne niepokoje też. W 1922 roku, gdy rodzice Andrzeja pobrali się, wybuchają w Krakowie walki uliczne między robotnikami a policją. Ten świat młodej polskiej wolności dąży dopiero do normalizacji. Trudno mu będzie złapać równowagę na całe dwudziestolecie, ale to nie wpływa na nastrój romantycznego uniesienia, właściwego tamtym czasom i ludziom.

* * *

Jego matka, zwolenniczka Dmowskiego, żyje entuzjazmem tamtego czasu. Dużo czyta, chłonie sztukę i miłość do niej zaszczerpia mu bardzo wcześnie. Biega z nim do Ogrodu Saskiego, by rozszyfrować tajemnicze posągi, pokazuje Zachętę, zaprasza do domu artystów, prowadzi Jędrka do teatru, każe grać na fortepianie. Przede wszystkim wyniósł z jej sugestii, że życie jest nam nie tylko dane, ale i zadane.

Chowała go – jakby ktoś dziś powiedział – w sposób być może tradycyjny, bo w poczuciu obowiązku i to rozumianego w stosunku do ojczyzny i rodziny. Uważała, że powinien w przyszłości dać własny wkład w życie społeczne – i nie było od tego odwołania. Matka była po prostu maksymalistką, w przeciwieństwie do ojca, który jak większość Szwalbów, kochał życie samo w sobie. On odbierał je jako żywioł niepowtarzalny, którym warto się rozsmakować, nie oddając się zbytnim złudzeniom. Dobrali się z matką chyba na zasadzie kontrastu, bo ona stale chodziła spięta i ciągle czegoś od siebie oraz innych wymagała. Nie było z nią łatwego współzycia: ambitna, zasadnicza, bez przerwy do czegoś dążąca – i tak przez całe życie. Ale z jakim skutkiem! O tym Andrzej miał się przekonać sam, pchnięty przez nią na drogę twórczych dokonań.

Nie czyniła nic demagogicznie, nigdy nie mówiła: musisz być taki a taki. Po prostu od dzieciństwa wpajała mu poprzez spacerunki po Łazienkach, Ogrodzie Saskim, wizyty w „Zachęcie” rozmowy, dobór lektur – topografię najmniejszej ojczyzny – Warszawy. Nauczyła go kochać jej tradycje i teraźniejszość. Zachęcała do penetrowania przeszłości, do zagłębiania się w jej sztukę i piękno. Na te ścieżki pchnięty chętnie wędrował dalej: systematycznie odwiedzał antykwariaty, zdobywał ciekawe książki, pasjonował

się „starociami” – pięknymi przedmiotami z przeszłości, jakimiś detalami starej architektury, dawnym rękodziełem. Ale matka nie pozwalała mu zatrzymać się na tym etapie zdobywania wiedzy i pochłaniania piękna. Na co dzień wymagała konsekwentnie jednego – gry na fortepianie perfekcyjnej, coraz lepszej. W jej przekonaniu wszystko było możliwe do osiągnięcia – życie trzeba kształtować samemu, nie pozwalać, by ono urabiało nas na swoją modłę.

Dotyczyło to również pianina. Gdy w rodzinie mówiło się dużo o młodym Witoldzie Małcużyńskim i jego znakomicie zapowiadającej się karierze, czuło się, że matka zrobi wszystko, by Andrzej poszedł w jego ślady, choć wiedziała, że nie będzie to takie proste. Gdy z czasem przekonywała się o małej szansie na podobny sukces w tej mierze – nie zbijało jej to bynajmniej z pantałyku. Uważała, że zdwojony wysiłek pokona wszelkie przeszkody. I za każdym razem, gdy w konserwatorium zbliżał się moment oficjalnego sprawdzania umiejętności Andrzeja, stawiała na niego, tak jak się stawia na sportowca: długodystansowca biegnącego po nagrodę. Wtedy przestawała być czuła i rozumiejąca, bezwzględnie żądała najwyższych notowań. Była jak kibic, który tuż przed metą krzyczy do biegnącego: „Zdobądź to! Musisz to zdobyć!”. O nie, nie była wówczas współczująca, nie mówiła: „po co się synku męczysz, daj spokój”. Przeciwnie, zachowywała się jak trener wobec sportowca, twarda, bez pardonu. I tak zmuszała, by dać z siebie wszystko. A przed każdym popisem chodziła drżąca, z wypiekami na twarzy. Tak, ona stawiała na niego jak na wyścigowego konia. Dlaczego tak czyniła? Czy miała przeczucie przyszłych działań Andrzeja? Chyba nie. Tylko pewność, że ma syna, który musi czegoś znaczącego w życiu dokonać. I od tego, w jej przekonaniu, nie była odwołania.

* * *

Kiedys zaprowadziła go do znanej malarki, Marii Koźniewskiej, uczennicy Olgi Boznańskiej. Artystka miała swe wystawy w Paryżu, Londynie w latach 1905–1907, a w latach czterdziestych robiła portret Andrzeja.



Matka Andrzeja Szwalbego, Eufemia z Sobierajów (pierwsza z lewej) z siostrą Urszulą i koleżanką z pensji



Eufemia Sobieraj w latach dwudziestych XX wieku



Posąg Eufemii Szwalbe, dłuta Andrzeja Pawlaka, znajduje się w Muzeum Okręgowym w Bydgoszczy



Marjanna z domu Nowakowska,
żona Władysława Sobieraja, babka
Andrzeja ze strony matki

Władysław Sobieraj, dziadek An-
drzeja ze strony matki



Jerzy Sobieraj, najmłodszy brat matki Andrzeja,
zginął w Katyniu



Zbigniew Sobieraj,
młodszy brat matki
Andrzeja, halerczyk

Usiadł na krześle w jej pracowni, na drugim piętrze, od podwórza z dużym oknem. Rasowa pracownia – pomyślał. Przeglądał album – w tej pozie go malowała. Odziana w malarski fartuch rzucała na Andrzeja spojrzenia bystre, przenikliwe i od razu przenosiła to swoje widzenie na płótno. On patrzył na pracownię i na nią, ich spojrzenia krzyżowały się – i pozostało mu wspomnienie czujnych oczu artystki, jasnych, siwych – tych uparcie młodych oczu starszej pani. Do dziś jest pod wrażeniem tego spojrzenia, ukrytej w nim badawczości i pasji. Czuło się, że Maria Koźniewska włączyła swoje receptory: brwi ściągnięte lekko, ze zmarszczką koncentracji między nimi – w tym wyrażało się intensywne myślenie o modelu malarzkim. A potem znów przenosiła na niego te oczy odkrywcze, elektryzujące.

Niejasno wyczuwał, że przesuwają się po rubieżach czyjejś wielkości, co nieraz mu się zdarzało w życiu, tak dla niego łaskawym i życzliwym.

Wtedy jeszcze nie wiedział, że do jego wielkości prowadzić go będzie matka.

* * *

Wszystko co mogła, zrobiła w zakresie dydaktyki, by go do tak pojętych zadań przysposobić. Popadała stąd w konflikty ze swymi siostrami i szwagierkami, które wyobrażały sobie życie na pewno w sposób humanistyczny, ale w sensie czerpania satysfakcji z dóbr kultury i rozkoszowania się nimi. A więc wszystko jak w barwnej panoramie – wystawy, koncerty, lektury, spotkania z ciekawymi ludźmi. Matka aprobowała taki styl życia tylko do momentu, w którym stawał on w kolizji z jej wymaganiami wobec syna i nieustępliwie nakładała na wszystko wymiar pewnej klauzury, jakby świadomie dążyła do spiętrzenia maksymalnej ilości sił duchowych syna, które już od dzieciństwa odpowiednio wydatkowane, przynieść mają w przyszłości niezawodny efekt.

– O ile taka pedagogika miała sens? – pytam Andrzeja Szwalbego, gdy siedzimy Anno Domini 1996 w jego gabinecie. – Dziś odchodzi się od niej, uważając, że nie można łamać charakteru ucznia zbyt wielkimi wymaganiami, bo to mogłoby zakłócić jego harmonijny rozwój. A przecież w Pana

wypadku taka niegdysiejsza pedagogika przyniosła ogromny efekt w postaci szeregu ogólnie znanych Pana bydgoskich dokonań, do których dążył Pan z żelazną wręcz konsekwencją. Może nie wyszło dokładnie tak, jak chciała matka, bo ona usiłowała zrobić z Pana muzyka.

– *Nie miałem zbyt wielu talentów muzycznych, może miałbym jakieś średnie możliwości w dziedzinie literatury, ale problematyczne, choć zawsze miałem łatwość pisania. Bardzo kochałem teatr, ale nie miałem żadnych zdolności mimetycznych, by pójść na scenę. Może posiadałem jakieś zdolności prawnicze. I to wszystko. Matka po pewnym czasie widziała to jasno i wyraźnie. Zdawała sobie sprawę, że muzyka ze mnie nie zrobi. Ale dalej świadomie kształtowała moją wolę i wyobraźnię (tu jestem mocny), czując, że to musi do czegoś doprowadzić. Dbała, by stale kształcił się mój intelekt na najwyższym poziomie i była pewna, że w powiązaniu z narodowym obowiązkiem, jaki mi wpajała – doprowadzi to do tego, iż w naszym polskim biegu ku przyszłości zdam swój egzamin. Nie jako humanista tak w ogóle, czy człowiek szeroko rozmiatany w ludziach i ich sprawach, lecz jako ktoś, kto ma przede wszystkim na uwadze ten naród, ten kraj i to miejsce, w którym się znalazł. Cała stosowana przez nią pedagogika służyła temu celowi. I, co znamienne, była spięta i nerwowa, dopóki nie zacząłem realizować tego zakodowanego w mej podświadomości postanowienia. Dopiero tu w Bydgoszczy jakby zelżała, bo już widziała we mnie ten imperatyw, ową determinację, by nieustępliwie iść w wytyczonym kierunku.*

– Była osobą niezwykłą.

– *Tak, niewątpliwie i pół mojego sukcesu należy do niej. Była z niezwykle rzadkiego i cennego gatunku kobiet, które mają ścisły plan życiowy. Nic dla niej nie znaczyło używanie życia, musiała realizować swój plan. I urobiła mnie według swoich zamierzeń, dając mi żelazne ramy swobody. Nigdy nie znalazłem lepszej drogi do osiągnięcia celu i później jako dyrektor sam wytyczałem w sposób nieustępliwym ścieżki kolejnych dążeń. Bez tego nie zbudowałbym Filharmonii, Biura Wystaw Artystycznych, nie rozwinąłbym budowy Opery, nie dotarłbym do finału ze szczególnie wieloletnią epopeją Akademii Muzycznej itd.*

A może jest to jedyna droga, by dojść w życiu do czegoś konkretnego?

Szwalbe zamysła się i uśmiecha się jakby do siebie. Może przed oczyma wyobraźni przesuwają mu się postaci pracowników Filharmonii,

których przez dziesiątki lat trzymał żelazną dłoń, dopingując do dokonań, które rozślawiły tę placówkę w kraju, a nawet na arenie międzynarodowej.

– *Można by z tego wysnuć wnioski bardziej ogólne – kończy pan Andrzej – jeśli wychowywać będziemy dziecko w atmosferze rozrośnięcia się własnego „ja”, jakąż możemy mieć gwarancję, że ono w przyszłości coś wielkiego czy dobrego zrobi? A moja matka popchnęła człowieka zwykłego, takiego jak ja, nie geniusza bynajmniej, ku ważnym działaniom. Dziś zastanawiam się, ile tej mojej wyobraźni, która kazała mi realizować rzeczy pozornie nieosiągalne, ja sam na świat przyniosłem, a ile zostało przez nią wypracowane. Właśnie przez odmawianie mi przyjemności. Myślę że stwarzanie coraz lepszej otoczki dzieciom daje efekty zgubne. Ja sam wychowywałem się w skromnych warunkach, z myślą przyswojenia sobie czegoś, wyjścia poza ramy prywatnego życia. Tymczasem gdy od początku wszystko robi się dla dziecka w zakresie jedzenia, zabawek, zdrowia, podróży i spełniania wszystkich jego zachcianek, to nie nagromadzi się jego energia, która może mieć znaczenie dla ukierunkowania jego egzystencji. Niedośyt jest konieczny, rzekłbym zbawienny, a jakże krótkofalowa pedagogika sytości.*

* * *

Bydgoszcz, dnia 16 października 1996 r.

W. Pani Redaktor

Krystyna Starczak-Kozłowska

Szanowna Pani Redaktor,

Bardzo jestem zadowolony z wczorajszej rozmowy, która przyniosła efekt niebagatelny w postaci prymatów duchowych i ideowych pewnego życia, rodziny, najbliższej otoczki dziecka, bez których pisane curriculum vitae dryfuje, jak okręt bez sternika. Otóż słusznie doszliśmy do wniosku, że celem pedagogiki domowej, a Matki mojej w pierwszym rzędzie, było wykształcenie sił, a także pewne ich spiętrzenie, w obliczu przeczuwanych raczej, aniżeli uświadamianych sobie wyraźnie zadań. Na to wszystko zgoda, ale dopowiedzieć sobie wy-

pada, że owe zadania lokowały się bardzo blisko pojęcia służby, i, jeśli dzisiaj wyciągnąłem maszynę do pisania, to po to, by jasno doprecyzować ten, moim zdaniem, w okresie dwudziestolecia jeszcze dominujący nad rodzinną pedagogiką, kierunek wychowania, który predestynował dziecko, a po tym młodego człowieka do wypełnienia w życiu obowiązków stanu. Mógł to być stan rolnika, robotnika, albo i rycerza, duchownego, intelektualisty, właściciela i szefa, urzędnika, zawsze wymagający, zawsze odwołujący się do etyki poświęcenia, w razie potrzeby.

Znajdujemy się tu na antypodach dzisiejszych systemów edukacyjnych, które rozstruwają mgławicę niedookreślonych wierności samemu sobie, autentyczności, wolności i nie skrzepowania. Rozkolebana ludzkość co i raz otrzymuje otrzeźwiająjące, ale i zupełnie opaczne i, dzięki Bogu, nieskuteczne szturchnięcia od plewiących się na takiej, dość podtawej glebie, fundamentalizmów.

Gwoli prawdy i sprawiedliwości powiedzieć, w naszym przypadku, trzeba, że zarysy tej służby stanu, w umyśle mojej Matki dość klarownie się przedstawiały. Brzmiały jej w uszach, zapewne, wezwania do pracy dla dobra Rzeczypospolitej, świeżo odzyskanej, dla swojego Narodu, który podówczas nie zdążył jeszcze znudzić się swą własną jałowością, a pełny był szlachetnych hasel, do których nie zawsze dorastał. Brzmiały też echa nawoływań do dobra ogólnoludzkiego i do takich wezwań należało jednostkę sposobić, aby mogła im sprostać. A do tego, bądźmy realistami także, dołączyła się zdrowa ambicja własna, by i rodzina najbliższa, i ta wielka, która wówczas jeszcze funkcjonowała, też na tym jakiś zysk, moralny przecież, nie żaden inny, miała i dobrą sławę (przecież to pobrzmiwa jeszcze, ba nie tylko pobrzmiwa, ale jak symfonia, jaka unosi się nad „Sławą i chwałą” Iwaszkiewicza, niewiele starszego przecie). A w takiej, jakże prostej sytuacji moralnej, owemu podmiotowi wychowania wedle stanowego wzorca, wypadło (i – proszę mi wierzyć – nadal wypada) na końcówce zapytać się: czym swoje – lepiej lub gorzej – odsłużył? I wtedy za całą zapłatę starcza jedno potwierdzenie – bezwarunkowe, albo i, ostrożniejsze: chyba tak.

Andrzej Szwalbe

* * *

Bydgoszcz, dnia 17 października 1996 r.

W. Pani Redaktor

Krystyna Starczak-Kozłowska

Szanowna Pani Redaktor,

Już wyłącznie dla własnej satysfakcji kontynuowałem myśli o pedagogice poczucia obowiązku, by dojść do wniosku, że jest ona kategorią ściśle formalną, wewnątrznie jakby pustą i domagającą się wypełnienia konkretną treścią. W istocie to bardzo ważne, że jednostka gotuje się do spełnienia swej życiowej misji, że w ten sposób, a nie na przykład bardziej beztrzesko, wyobraża sobie swą przyszłość. Następuje akumulacja sił, otwarcia się na świat, który w jakiś sposób ma zostać przeobrażony itd., itd. I w tym momencie, jakby równolegle dojrzewa uniwersum wartości humanistycznych, zaczyna być wiadome, jakim bogom będą owe siły służyć. I nie ma w tym wszystkim żadnej sprzeczności, o ile bowiem te pierwsze wartości miały charakter formalny, te, z kolei, są merytoryczne. Wyobraźmy sobie na chwilę, dla myślnego doświadczenia, że mamy do czynienia z kimś, kto w okresie młodości na pedagogikę obowiązku (stanu – jak napisałem) nie był wystawiony, a dorósł w atmosferze umiłowania piękna i jest rasowym humanistą. Sądzę, że życie zacznie mu się układać, jak na pięknoducha przystało. Będzie koneserem, przy odpowiednim temperamencie i skłonnościach intelektualnych zacznie pisać, tworzyć, wejdzie w świat bytów idealnych.

W naszym przypadku było inaczej, miłość do Piękna musiała zostać przetłóżona na język czynu.

Andrzej Szwalbe

* * *

Bydgoszcz, dnia 18 października 1996 r.

W. Pani Redaktor

Krystyna Starczak-Kozłowska

Szanowna Pani Redaktor,

Jeszcze we władzy tematu „pedagogika”, wchodząc w niuanse, które go uplastyczniają, trzeba wyważyć niewątpliwie autorytet mojej Matki i znaczenie indywidualnego jej wkładu w to zjawisko p.n. „prymat obowiązku”, tak ładnie wkomponowującego się w panoramę dwudziestolecia. Do niej więc należało przeświadczenie, że jej latorośl przeznaczona jest do większych i niezwykłych zadań i wobec tego, musi otrzymać szczególne wychowanie. W tym pojęciu mieściła się Zachęta, Łazienki i ciągłe spacerowanie do najszacowniejszych zabytków stolicy, zapraszania ludzi sztuki i nauki, Konserwatorium Warszawskie. Taki program, dołączając doń jeszcze elitarną szkołę Reja, na pewno wybiegał ponad przeciętną dobrą normę. Oczywiście – jej osobiste zamiłowania w sztukach pięknych postawienie takiego programu ułatwiały i były gwarantem realizacji. O tym, że przedwojenna szkoła żyła „kwestią społeczną”, już mówiliśmy. Był wszakże jeszcze jeden ulubiony tenor „klasówek” i wypracowań domowych – czyn. Wielkim mężem czynu był Piłsudski. Czyn, zwłaszcza patriotyczny, zagrzewał, uwznioślał, wzywał do ofiar, niekiedy rozgrzeszał (Wallenrod). „Mój” Gutenberg umieszcza Kruczkowskiego, skądinąd, dziejowego materialistę, więc i apostoła determinacji historycznej, jakby w niszy ochronnej, gdyż był on, mimo wszystko, „przedstawicielem kultury działania, czyli czynnego stosunku do zagadnień przyszłości narodowej”. Błąkały się po naszej krainie, całkiem wówczas jeszcze gęste cienie moderny, z jej programowym pasytywizmem w kwestii społecznej. Tak się więc złożyło, że „czyn” był i mnie, pięcioklasiście w krótkich spodenkach latem, zimą w „pumpach”, z tarczą na ramieniu – pisany i, nie ma rady, trzeba było się sposobić, by mu sprostać. Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Andrzej Szwalbe

Okруchy pamięci...

Opowieść Marii Sutkowskiej

W mieszkaniu Marii Sutkowskiej przy ulicy Mickiewicza 42 w Warszawie wiszą na ścianie ogromne i bardzo nastrojowe portrety Władysława i Marcjanny Sobierajów: To dziadkowie zarówno jej, jak i Andrzeja Szwalbego.

– Andrzeja znałam od wczesnego dzieciństwa – mówi pani Maria – jego mama, Eufemia i mój ojciec, Zbigniew, byli rodzeństwem. W domu rodziców Andrzeja w Warszawie bywałam często, grałam bowiem też na pianinie (co stało się moją profesją) i nie mając własnego instrumentu, chodziłam na Oboźną, żeby poćwiczyć. Pamiętam w mieszkaniu Szwalbów panował arystokratyczny porządek. Masywne meble ustawione były tak, że stwarzały nastrój. Ciotka Eufemia miała dobry gust i duży zmysł estetyczny. Była wręcz pedantką i ogromnie dbała o dom – zawsze była u nich pomoc domowa do spraw kuchennych. Ale nie miała łatwego charakteru – często pohukiwała na mnie, gdy nie chciało mi się ćwiczyć, a nawet poszturchiwała. Ćwiczyłam w ich gabineciku, gdzie stało pianino, rozkładana kanapa, duże biurko i piękna palma, ogromna jak uroczysko. Była to wspaniała ozdoba pokoju, o którą ciotka dbała pedantycznie, nawet do jej przesadzania najmowała ogrodnika.

Andrzej interesował się wówczas wieloma rzeczami. To był prawdziwy „naukowiec” – wszystko musiał zgłębić. Robił okupacyjną maturę, a cały czas pod okiem prof. Pawła Lewieckiego uczył się w konserwatorium. Fizycznie był zawsze słabeusz, nigdy nie był turem. Zaskakiwało mnie, że tak ładnie jeździł na łyżwach – spotykaliśmy się na Wareckiej na ślizgawce – wiem, że jego ojciec dbał o to, by syn był wysportowany.

Tak, mieliśmy dużo wspólnych dróg jako rodzina. Brochocinek, tak jak on, bardzo kochałam. Czy Pani wie, że po tym naszym wymarzonym, mazowieckim Brochocinku nie pozostało nawet śladu?

W Nieszawie urodzili się moi rodzice. My z Andrzejem mamy podwójne pokrewieństwo: nie tylko jego matka i mój ojciec są bratem i siostrą, ale i moja matka z jego ojcem byli ciotecznym rodzeństwem. Dużo u nas było mariaży w rodzinie, może dlatego, że Nieszawa to małe miasteczko. Ja urodziłam się w Warszawie.

Mój ojciec, Zbigniew Sobieraj, należał do tych synów dziadka Władysława z Nieszawy, którzy nie chcieli się uczyć. Dziadek wysłał go więc do Stanów, gdzie pracował on jako piekarz u swego brata, który wyjechał wcześniej. Dwa razy jeździł, ale zawsze wracał. W czasie I wojny walczył z armią Hallera i był zatruty gazami. Uwielbiał muzykę, był na jej tle wręcz zwariowany. Dobrze śpiewał, zwłaszcza kolędy, ładnym, męskim głosem. Sam ostry w charakterze, głos miał ciepły. To był człowiek bardzo zdolny. Choć przeszedł tylko cztery klasy szkoły podstawowej, nadrobił to z okładem – był niezwykle żądny wiedzy, dużo czytał. I kolegów miał zawsze na poziomie – to byli ludzie na stanowiskach. Rodzice po ślubie zajęli się kupiectwem, założyli sklep drogerijny na Wareckiej, przeniesiony w czasie okupacji na Kredytową, gdzie zamieszkaliśmy. Przed samą wojną ojciec kupił mi fortepian półkoncertowy na imieniny. Spłonął pod koniec wojny wraz z mieszkaniem na Kredytowej.

Żyliśmy muzyką. Tajne koncerty odbywały się u nas czy w salonie muzycznym przy ulicy Szkolnej. Występowała Irena Dubiska i jej uczennice (moja matka przez nią poznała Witolda Małcużyńskiego), a także Ewa Bandrowska-Turska. Ja też grałam, bywało, że i Andrzej. Zawsze po koncercie był mini-poczęstunek. A jaka wytwarzała się atmosfera!

Mieszkanie za okupacji mieliśmy względnie dobre, pomagaliśmy najróżniejszym ludziom – na obiady do nas przychodzili, zwłaszcza w niedziele przynajmniej 10 osób. Jedna Żydówka była u nas przechowywana jako pomoc domowa – mówiliśmy, że to Ormianka. Jak ona świetnie umiała kryć moje wyczyny okupacyjne!

Byłam kontrastem w stosunku do Andrzeja. On, mimo młodego wieku, bardzo poważny, a ja szalona. Bo zawsze byłam zwariowaną romantyczką,

czego bynajmniej nie żałuję. Żądna czynu, biegałam na zbiórki Szarych Szeregów, wszędzie było mnie pełno, wszędzie musiałam się znaleźć, także tam, gdzie niebezpiecznie. Zdawałam sobie z tego sprawę, ale zawsze byłam przekonana, że mnie się uda.

To, że grałam, było dobrą pokrywką dla konspiracji, Niemcy byli wrażliwi na muzykę. Młodziutka, zwinna, szybko szłam pewna siebie z pełną teczką nut, między którymi były poukładane tajne gazetki, choć plecy były mokre od strachu. Gdzieś niedaleko była łapanka, a ja wiedziałam, że mi nic nie będzie. Krótко obcięte włosy sprawiały, że wyglądałam jak uczennica. W Powstaniu Warszawskim udział wzięłam, ale na początek nie mogłam się przedrzeć ze Śródmieścia, gdzie mieszkaliśmy na punkt zbiórki Szarych Szeregów na Ochotę. Miałam wówczas 14 lat.

Zmieniłam się po zamążpójściu, gdy z dwójką maleńkich dzieci rychło zostałam sama, prawie bez alimentów. Musiałam ciężko pracować, ale Opatrzność pomaga, a ja jestem głęboko wierząca. Udało mi się dzieci dobrze wychować i wnuków się doczekać. Pianistyką do dziś się param, zajęłam się pedagogiką. Muzyka – to jedyny zawód niezależny od wszystkich systemów politycznych – nie zmieniałabym go na żaden inny, a dzieci kocham, więc z radością je uczę.

– Adam Sutkowski, mąż Marysi, brat Stefana Sutkowskiego, dyrektora warszawskiej Opery Kameralnej – był prawdziwą nadzieją muzykologii Uniwersytetu Warszawskiego w latach 1957/58 – dodaje Szwalbe – nie sprawdziły się jednak szczytne przewidywania. Coś, jak cień pewnej obłomowszczyzny, a może sui generis estetyzujący hedonizm, nutka pasywizmu, znamiennego dla ludzi, którym stosunkowo łatwo przychodzi wysiłek poznawczy, sprawiły, że niewątpliwy talent humanistyczny nie rozkwitł. Interesujące artykuły pisał na łamach „Muzyki”, pisma elitarnego. Próbowałem wciągnąć go w 1959 roku w działalność BTN, gdy tworzyłem Pracownię Historyczno-Naukową – chciałem, by dał opracowanie w dziedzinie niektórych zabytków muzycznych. On wiele zrobił dla przyszłej Capelli Bydgosiensis. Dziwny i nietuzinkowy człowiek. W 1960 roku wyjechał doktoryzować się do Francji. Tam umarł w 1967 roku.

Wspomina Maria Ziemecka-Słodzińska:

Moje pierwsze kontakty z Andrzejem zaczęły się w Ciechocinku. Nasze matki dobrze się znały i rokrocznie byliśmy do Ciechocinka zapraszani całą rodziną. Od kiedy? To było niemal od zawsze, jak tylko sięgnę myślami wstecz, pamiętam wspólne ciechocińskie wakacje. Nasze matki szły do kawiarni, a my bez ograniczeń okupowaliśmy nasz ulubiony teren zabaw – piaskownicę pod rozłożystym drzewem. Tak, mieliśmy takie „własne”, ukochane drzewo, z którego spadały na nas, baraszkujących w jego cieniu, małe robaczki. Pamiętam, jak raz wypadł z gniazda maleńki szpaczek. Andrzej miał w sobie wiele współczucia i delikatności wobec wszystkiego, co słabe, małe, nieporadne. Widzę go, jak z czułością pochyła się nad tym ptaszkiem.

Zawsze, już od dzieciństwa, był on trochę zamknięty w sobie, małomówny, niechętny żywym więzom z koleżankami, a potem – z kobietami. Chował się w sobie, dla mnie uczynił jakiś wyjątek, traktował mnie na poły rodzinnie. Jego matka, w przeciwieństwie do niego, uwielbiała towarzyskie kontakty, była gościnna – zawsze z radością parzyła dla nas kawę, gdy się zjawialiśmy. A przy tym była zdecydowana, konkretna, nawet krótka, ale nigdy oschła. W Andrzeju, swym ukochanym jedynaku, pokładała wszystkie nadzieje. Sama grała na fortepianie, więc konsekwentnie chciała widzieć w nim w przyszłości wielkiego muzyka. Zapędzała go do ćwiczeń codziennie z nieustępliwością, którą odziedziczył po niej.

Ojciec Andrzeja ubolewał, że syn zbyt dużo siedzi w książkach, co było z kolei ulubionym zajęciem Andrzeja. Uważał, że za mało w sporcie się udziela. Kupił mu więc hantle i Jędrus po pewnym czasie pokazywał mi, jak ojciec nauczył go posługiwać się nimi, by poprawił sobie sprawność fizyczną. Rzeczywiście Andrzej nie był „mocarny”, raczej drobny. Na lekcjach gimnastyki się nie wyróżniał, raczej gorzej ćwiczył niż inni. Nie imponował kolegom siłą, ale w grupie potrafił dostosować się do innych.

Ojca Andrzeja, Sylwestra, zapamiętałam jako człowieka bardzo przystępnego, sympatycznego, gościnnego. Pochłaniały go tak naprawdę dwie

pasje: sprawy zawodowe i rodzina. Żonie nie dawał zbyt dużo wolności, chciał ją mieć w domu, przy sobie. Gdy przyglądałam się matce Andrzeja, jego ciotkom, a po latach ich dzieciom – stwierdzałam zawsze to samo: w tej rodzinie dużo było kobiet inteligentnych, z talentami, indywidualistek, z których wiele nie wyszło za mąż. To były kobiety z charakterem i jedna z nich – matka Andrzeja – nie tylko ukształtowała jego silny charakter, ale popchnęła go w kierunku wielkich zadań. Dobrze, że miał taką matkę. I dobrze też, że trafił później na żonę, która umiała być jego dobrym duchem.

Twierdził, że jestem wesoła, beztroska, że umiem się przyjaźnić – to go we mnie pociągało. Też byłam jedynaczką, ale miałam wiele kolegów, koleżanek, kuzynek. Jedna z nich, Dwidka Kowalewska, dziewczę jak wymalowane ze staropolskiego dworku, wpadła Andrzejowi w oko, nie potrafił jednak wyrazić tego, co czuł i panna nawet nie bardzo wiedziała, że mu się podoba. Żył z głową w problemach, co nie znaczy, że w chmurach. To były problemy historyczne, filozoficzne – czytał wiele poważnej lektury. A kobiety, cóż, cenią talenty towarzyskie, życiową zaradność, umiejętność adorowania ich wdzięków. Usiłowałam zaprosić Andrzeja na spotkania w moim koleżeńskim gronie – odmawiał. Ale ciekaw był bardzo moich kontaktów w okupowanej Warszawie, stale pytał, zwłaszcza o Krzysztofa Baczyńskiego, bo zachwycał go jego talent. Zawsze mu na bieżąco opowiadałam o spotkaniach z Baczyńskimi i on tym żył. Można powiedzieć, że znał ich pośrednio.

Sam powiedział, że Baczyński należy do jego spotkań niespełnionych. Opowiem o tym gdy mowa będzie o Powstaniu Warszawskim, na razie dodam, że w czasie wojny takich niespełnionych spotkań było więcej. Należy do nich i pośrednie zetknięcie się z Trzebińskim czy Gajcym – poetami Powstania, a w życiu osobistym – to mijanie się i niepoznanie się w Warszawie z Dobrusią, jego przyszłą żoną – ale o tym on sam Pani opowie.

Często myślę, że tyle spędziłam z Andrzejem miłych chwil dzieciństwa i wczesnej młodości, a nigdy nie przeczuwałam jego wszystkich talentów kreatywnych i organizacyjnych, które tak rozwinął w Bydgoszczy. Bo nic

nie zapowiadało późniejszego geniuszu czy niewątpliwej nieprzeciętności. Był taki zwyczajny – widać było jedynie, że to pod każdym względem udany syn. Nieraz widziałam w Ciechocinku i Warszawie, jak potrafił zażegnawać konflikty rodzinne – umiał być swoistym domowym golsztromem.

Potem okazało się, że to „żelazny człowiek” nie w sensie bezpardonowości, lecz nieustępliwego działania w określonym kierunku, w imię czegoś ważnego. Nie mogę zrozumieć, jak on jako budowniczy, społeczny inwestor, potrafił wydzierać, dosłownie wydzierać władzom pieniądze na te wielkie budowy i konsekwentnie doprowadzać je do końca. A przecież rzucano mu kłody pod nogi – to wiem – o których on nigdy nie powie słowa. I musiał nauczyć się mądrego lawirowania, by przez lewicę i prawicę być rozumiany – wszystko uczynił dla tych wielkich celów, które sobie postawił.

Wizja ogrodów i kształt ideału...

Najważniejsza była ulica Królewska w Warszawie, gdzie się urodził, a potem Oboźna. Stąd wszędzie było blisko: Trakt Królewski, Katedra św. Jana, Uniwersytet, pełen blasku Teatr Polski i ukochany Ogród Saski. Warszawskie ogrody otaczały go w dzieciństwie od zawsze i już nigdy nie przestał być w nich rozmiłowany. Z Saskim kojarzą się jego pierwsze spacerunki z matką. Niezależnie od pogody to pasmo zorganizowanej zieleni, ujętej w ramy klasycyzmu, jawiło mu się w całym swoim uporządkowanym pięknie. Emanował nienagannym stylem tamtej epoki nieistniejący już gmach Sztabu Generalnego i kolumnada zwieńczona Grobem Nieznanego Żołnierza (dziś tylko ten ostatni się ostał, poszerzając pustą przestrzeń). Dalej strzelała w górę piękna klasycystyczna fontanna i wokół – plejada rzeźb, których dalekie echo odezwie się pół wieku potem w bydgoskiej Dzielnicy Muzycznej.

Już wtedy konstatował, że rzeźba w zieleni czuje się najlepiej. W Ogródzie Saskim ułożona w cykle, coś wyrażała, stanowiła jakiś kod. Starał się zgłębić całą tę mitologię. Piękne nieznanym – zespół figur Ogródu Saskiego – kryły w sobie jakąś tajemnicę. Jawiły mu się nie tylko jako boginki, a składał im wizyty o różnych porach roku, dociekając, kim są naprawdę. Personifikacją pojęć oderwanych? Przewodniczkami muzyki, tańca, teatru, malarstwa, nauki...? Zastanawiały ich nazwy: Poezja, Prawda, Roztropność, Próżność, Medycyna. Nie w pełni znał jeszcze język, którym przemawiały napisy, przywołujące starożytnych pisarzy czy też Pismo św., Ojców Kościoła. Fascynował go subtelny język symboli, oddający sposób myślenia ludzi tamtej epoki, która z czasem stała się dlań najpiękniejszą epoką Rzeczypospolitej. Uwielbiał to panopticum rzeźbiarskie Saskiego Ogródu, osiowość założenia, główną aleję, ów mały warszawski Wersal.

Gdy tak spacerował z matką, utkwił mu w świadomości nieważny, a ciekawy drobiazg: we wznoszącym się naprzeciw Ogrodu Saskiego klasycystycznym budynku znajdowało się coś zupełnie wyjątkowego: jeżdżące krzeselko. W tym bogatym mieszczańskim wnętrzu, o schodach wykładanych białym marmurem z mosiężnymi poręczami, nie było windy, lecz do ścian klatki schodowej przymocowane były specjalne szyny z krzeselkiem. Tego urządzenia nikt już nie pamięta, wycofano je w końcu XIX wieku, a tam jeszcze było. Gdy zaczął uczyć się niemieckiego, zrozumiał, dlaczego słowo winda brzmi tam „Fahrstuhl”, czyli „krzesło, które jedzie”. Dziecięca pamięć ma upodobanie do drobiazgów, może nieważnych, ale tak pobudzających wyobraźnię, że zapadają w nią na całe życie.

Zawsze zdumiewał go kontrast niewymuszonej elegancji ogrodu i egzotycznej, przeciwległej krainy z nim graniczącej. Była to przecież dzielnica warszawskich hal targowych, naznaczona żydowską tradycją. Na razie nie przypatrywał się jej jeszcze tak wnikliwie, uwiedziony wizją klasycyzmu, roztoczoną przez nauczycieli – przewodników po literaturze, architekturze, historii sztuki. Ucząc się w Gimnazjum im. Reja, chętnie dał się prowadzić wraz z całą klasą do Łazienek, Parku Ujazdowskiego, Ogrodu Botanicznego. Ustawieni parami uczniowie wraz ze swymi przewodnikami schodzili nieco w dół do Ogrodu Łazienkowskiego i tu, pośród rozrosłych liściastych drzew, zakrywających zwiewną, a jakże proporcjonalną wizję pałacu, czuł zawsze owo magiczne oddziaływanie natury i sztuki.

Te drzewa witają go nawet dziś równie radośnie, jak kiedyś, niezmienione od czasów jego dzieciństwa. Po wojnie powrót do Łazienek i spojrzenie na owe drzewa i jasny, olśniewający, bo oświetlony blaskiem reflektorów pałac – cały ten widok ciągle niezmieniony mimo nawałnicy historii, która przewalila się nad światem, sprawił, że serce na chwilę stanęło. Świadomość, że to samo piękno trwa, należało do jego najważniejszych doznań roku 1945.

* * *

Jawiła mu się też w dzieciństwie Polska inna, widziana od strony Ogrodu Saskiego, gdzie obok historii i tradycji teraźniejszość w sposób znamien-

ny odciskała swe piętno. Krzeselka do siedzenia były tam sprzedawane, a młodzi mężczyźni w maciejówkach przemierzali alejki i zieleńce, zbierając papierki na długie kije, zakończone gwoździem. W okolicach stawku był stylowy pawilon, dobrze wkomponowany w krajobraz, a na nim napis: „Szkłanka mleka”. Było to hasło równie popularne, co „cukier krzepi”. Kilkunastoletnia zaledwie wolna Polska nie była krajem bogatym i aby biedzie zaradzić, starano się coś w tej materii robić. Dla najbiedniejszych dzieci była więc „szklanka mleka”. Sam Andrzej nie korzystał z tej akcji jako syn urzędnika skarbowego, ale wiedział o powszechnych staraniach, aby każde ubogie dziecko wypilo szklankę mleka dziennie – w szkole czy poza szkołą. Toteż był pełen uznania wobec pawilonu w Ogrodzie Saskim i ta sympatia pozostała na długie lata w formie upodobania do barów mlecznych, które po wojnie częściowo przejęły tradycję wspierania tanim wyżywieniem ludzi ubogich. Ilekroć jeździł w tym czasie do Warszawy, lepiej czuł się w barze mlecznym, niż w najbardziej ekskluzywnej restauracji.

Inne nośne hasła i pojęcia też docierały do jego dziecięcej wyobraźni. Była na przykład Liga Ochrony Przeciwpowietrznej oraz Liga Morska i Kolonialna. Prezesami tych szlachetnych w swych założeniach stowarzyszeń byli nasi najbardziej zacni generałowie, którzy głosili wysoki status polskiego marynarza i oficera. Zachęcali też do kupowania masek przeciwgazowych, co na szczęście nawet i później się nie przydało. Nie obrzucano ich za to błotem, jak to dziś się czyni ze wszystkimi, którzy starają się przeforsować jakikolwiek program naprawy Rzeczypospolitej.

Wyrastał w bliskości Starówki i zapamiętał ją nie tylko wzrokowo, ale i po zapachach schodowych klatek. Szewc, pan Słuski, naprawiający rodzinie obuwie, mieszkał na Podwalu, gdzie do staromiejskich murów doczepiały się kolejne kamieniczki. Będąc tam z mamą niejednokrotnie, a potem sam, zawsze spotykał zapach gotowanej kapusty na schodach i czuł, że to właśnie jest prawdziwa Starówka. Mama szła z nim potem do katedry, w której w spokoju leżeli książęta mazowieccy, na Rynek Staromiejski i stamtąd na Nowe Miasto, gdzie pokazywała mu najstarszy w Warszawie kościół gotycko-romański, zwracając uwagę na jego styl. Andrzej nie tylko słuchał jej uważnie, ale i coś dodawał od siebie, od dzieciństwa bowiem

zanurzony w lekturze, sam chciał wiedzieć i wylawiał jak najwięcej informacji ze wszystkiego, co go otaczało – z lektury, rozmów, spotkań...

* * *

Jesteśmy jeszcze w przedwojniu, gdy pod czujnym okiem profesorów Andrzej z kolegami przebiega te same Łazienkowskie aleje i trakty. Wojłoki naciągnięte na małe nogi w przedsionku pałacu sprawiają, że ci uczniowie przypominają gromadę krasnoludków w siedmiomilowych butach. Któż tam ich prowadzi? Oczywiście prof. Wacław Kloss, polonista, z którym te wyprawy były mądre, ciekawe, instruktywne. Dziś Andrzej wie, że inspirował się on Tatarkiewiczem i jego znamienitym dziełem o historii sztuki, któremu Łazienki w dużej mierze zawdzięczają swą naukową karierę. Dalej był prof. Jan Koelichen, wychowawca. I on w interesujący sposób pokazywał im tajniki Łazienkowskiej architektury i sztuki. Resztę dopełniało powietrze, przesycone aromatem drzew i krzewów, owa zieleń niepowtarzalna, rozłożysta, prześwietlona słońcem. A zimą ażurowa czerń konarów i mniejszych gałązek rysowała się na bladym, przymglonym niebie niczym najpiękniejsza grafika.

To wszystko stawało się częścią osobowości gromadki uczniów i tak rozbudzało wyobraźnię, że z tych spacerów zaczęło wyrastać ich ukochanie klasycyzmu i końcowych dni Rzeczypospolitej. Tam, u źródeł letniej siedziby Stanisława Augusta, Andrzej uczył się rozumieć, że jeśli nawet nasza ojczyzna konała u zmierzchu XVIII wieku, to był to też okres pięknych rozjaśnień, jak gdyby odchodząca w przeszłość Polska chciała przekazać nachodzącym, kolejnym epokom niezatarte piętno swej wielkości.

Stąd jego szczególny szacunek, a może nawet miłość dla Stanisława Augusta. Chłonał świat ostatniego, tragicznego monarchy, jego inklinację ku wszystkiemu, co piękne, jego chęć utrwalenia i przekazania wszystkich cennych wartości narodowej kultury, obecnych w niej od oświeconego sarmatyzmu. Król przenosił je w oświecenie poprzez kultywowanie poezji, muzyki, filozofii, co tak bardzo utrwaliło się w tradycji obiadów czwartkowych.

– *W dwa wieki później* – mówi Andrzej Szwalbe – *ten mądry monarcha stanął przed nieubłaganim trybunałem historii i zarzuca mu się, że nie zdał egzaminu*

jako władca. Ja tego nie mogę zrozumieć, dla mnie jest to wyjątkowa postać naszej panoramy dziejów. On nas próbował przestawić na inny tor myślenia – żebyśmy się pozbyli czerepu rubasznego. Podjął gigantyczny wysiłek zmiany polskiej mentalności, polskiej, obłudnej orientacji. W domach naszych był zadawiony kult sarmatyzmu, szabli, „prawem i lewem”. A jego osobisty charakter, wrodzona łagodność, wysoka kultura skłaniały go do wpojenia narodowi nowego spojrzenia: żeby nie mieczem wojować, lecz wykształconym umysłem, dobrym smakiem, umiłowaniem tej prawdziwej polskiej, a nie fałszywej tradycji. Jeszcze w moich czasach „Encyklopedia staropolska” z lubością wydobywała jako naszą specyfikę narodową ową waleczność, czyniąc z niej stale najszczytniejszą cechę narodową. To zaowocowało tak krwawym zniszczeniem podczas II wojny i dziś pokutuje w polskiej mentalności.

Kontemplacja Łazienkowskiego parku i pałacu, zaduma nad ostatnim monarchą stała się dla Andrzeja czymś bardzo ważnym w jego duchowym rozwoju. I do dziś Łazienki są dla niego symbolem, wiodącym płomykiem przez koleje życia. Uczą, by rozumowi więcej zawierzyć niż uniesieniom czy załamaniom chwili.

– Tu, na tej niewielkiej, ale na pewno szczególnej przestrzeni rodził się duch pozytywnej oceny kolejnej epoki, która nadeszła po romantyzmie. Dzieje Wokulskiego, Bolesław Prus ze swym dobrotliwym, mądrym spojrzeniem, zamykają ocenę tej epoki w logiczną całość. I trudno zgodzić się z Miłoszem, który z lękiem mówi o polskim oświeceniu i pozytywizmie jako o okresach nurzających się w materialnej aurze. Moje spojrzenie jest inne. Widzę zarówno w oświeceniu jak i pozytywizmie epoki przelomowe, napętniające wielkim optymizmem. Myślę, że gdy zwycięży i zapanuje duch zawierzenia rozumowi, odejścia od ulegania emocjom, więcej będzie dyscypliny, przyzwolenia dla wiedzy i logiki – dopiero wówczas inaczej ułożą się losy naszej zbiorowości.

* * *

Uwielbiał spacer Krakowskim Przedmieściem, Alejami Ujazdowskimi w stronę Belwederu. Zawsze towarzyszyło mu przeświadczenie, że są to najwspanialsze ulice świata. I do dziś uważa, że się nie mylił – jak szczególnie urok, dostojność, szlachetność z przestrzeni dziejów płynąca, zda-

wała się unosić nad tymi traktami. I te bliskie sercu pomniki, zwłaszcza Mickiewicza – ze względu na samą postać wieszczą i wspaniałą, kutą krawę, stanowiącą ogrodzenie. Na tego rodzaju obiektach kształtował się jego smak i stosunek do narodowego dziedzictwa.

Oczyrna wyobraźni widzi ten niezapomniany obraz z lat trzydziestych: przez Aleje Ujazdowskie w odkrytym powozie jedzie, rozdając ukłony, mężczyzna wyniosły, o niezwykle mądrym, szlchetnym obliczu – to prezydent Mościcki. Jędrkowi utrwaliło się w pamięci wrażenie wnikliwego spojrzenia Mościckiego, jego arystokratycznej, szlchetnej twarzy. Ten człowiek na pewno reprezentował najlepiej pojęty wymiar intelektualny ówczesnej władzy, jej klasę niewymuszoną, prawdziwą. W nowym cylindrze na głowie siedział w eleganckiej pozie w wytwornym landzie i rozdawał ukłony od Belwederu po Zamek. Albo marszałek Piłsudski o majestatycznej siwej głowie w asyście ułanów przemierza konno Aleje – wielkość prawdziwa, choć przez endecki prymat zmoderowana. Andrzej zdawał sobie już wówczas sprawę, że to świat odchodzący – ostatni rycerz Rzeczypospolitej, zjawisko z dziedziny estetyki narodowej. I on przegrał swoją kartę, bo przestał wierzyć w zachowanie niepodległości. Ale chciał odsunąć moment ostatecznej tragedii, podobnie jak Mościcki. Andrzej czuł, że wielkość i elegancja Alei Ujazdowskich z przesuwanymi się po nich wytwornymi postaciami – to awers. Ale był też rewers medalu, nędza i skrajny niedostatek wsi, kontrasty społeczne i krzywdy, nie załatwione przez stulecia. Nie dało się ich uleczyć w ciągu dwudziestu lat niepodległości – i to musiało wybuchnąć.

Na razie jednak szkoła, do której uczęszczał, ukazywała mu kształt ideału – ów kraj, który wyrósł tak nagle i objawił się światu. Ale był on dodatkowo uwikłany między niemieckim kowadłem a sowieckim młotem. Cóż mogła mu powiedzieć jego wspaniała warszawska szkoła o owym fatum, które wyłaniało się już nad ojczyzną...?

* * *

Zapytany, skąd czerpał główną inspirację do tylu inicjatyw na rzecz miasta i regionu, 10 lat temu odpowiedział mi w jednym z wywiadów z właściwą sobie prostotą: z miłości do kultury polskiej jako takiej.

Tak, tu trzeba użyć słowa „miłość”, choć mój redaktor naczelny sprzed kilkunastu lat uznał potem wywiad za „nawiedzony”. Dlatego, że tyle było w nim uczucia do przedwojennej warszawskiej szkoły i przedwojennego świata wartości – tak podejrzanego dla reprezentującego „zawsze słuszne” poglądy redaktora z PRL-u. Pomińmy go zresztą, bo historia już o nim zapomniała.

Szwalbe mówił mi wówczas, nie bacząc na panujące trendy i mody, że miłość do kultury polskiej jako takiej wyniósł z przedwojennego warszawskiego Gimnazjum im. Reja, a potem Gimnazjum im. Mickiewicza, gdzie kształtował się jego świat wyobrażeń, dążeń, na podstawie których postawił potem przed sobą cele. Wyszedł stamtąd ze swoją wizją Polski wielkiej, opartej na wartościach, Polski Jagiellonów, bo w wielkiej Polsce upatrywali jego wychowawcy ów ideał, który należy wcielać w życie. Ci ludzie wierzyli w posłannictwo narodu, w dzieje kultury jako ogólnoludzki nakaz doskonalenia się. Głęboka ideowość nauczycieli, z którymi się stykał, artystów, których podziwiał, dodawała skrzydeł głoszonym przez nich słowom, wykonywanym utworom. Nie pod wpływem zaleceń i wytycznych je przekazywali.

* * *

Szkoła im. Mikołaja Reja przy ulicy Królewskiej wyrastała tuż obok Zachęty i pięknego klasycystycznego kościoła-rotundy św. Aleksandra – tak blisko miejsca urodzin Andrzeja i domu, gdzie z rodzicami zamieszkał przy ulicy Oboźnej. Lubił przemykać się rankiem obok Teatru Polskiego, mijając Krakowskie Przedmieście i wspaniałą, wielki kościół Świętego Krzyża, tak bliski jego sercu poprzez prochy wielkich Polaków tam spoczywające – i szybkim krokiem przemierzać ulicę Królewską. Zawsze wzrok jego przykuwał Grób Nieznanego Żołnierza z zielonym zapleczem Ogrodu Saskiego, gdzie jaśniały zagadkowe posągi muz sztuki i nauki. Stąd krok tylko do jego szkoły, której dewiza wyryta była na frontowej ścianie: „Macte animo”, co oznacza: „Odwagi! Bądź mężny!”. Wiedział, że hasło to wyraża przekazywane z pokolenia na pokolenie nieprzemijające

wartości: rzetelną pracę, wytrwałość w zdobywaniu wiedzy, szacunek dla narodowych tradycji.

– Moja szkoła, moja najwspanialsza przedwojenna szkoła! Ilekroć o niej pomyślę, ogarnia mnie wzruszenie – data mi bowiem prawdziwy kurs humanistycznego wychowania – miłość ojczyzny nikomu nie zagrażającą. Żadnego w niej nie było podsycania szowinizmu czy antysemityzmu, w ogóle żadnychizmów. A owszem, uczono nas otwartości, postawy chętnej innym narodom i nacjiom. I tej ważnej skłonności do dialogu, tego prawdziwego ulubienia dyskusji. Nie było u nas żadnych fanatyzmów i ksenofobii. A przecież w Polsce przedwojennej żyła milionowa rzesza Niemców i Żydów.

Uczono nas szacunku dla luminarzy oświecenia, pokory wobec geniuszu Mickiewicza, Słowackiego. Prochy tego ostatniego w 1927 roku sprowadzone zostały do Polski i cały naród oddał im hołd, gdy Wisłą płynęły do Krakowa. Tak, nie było szargania autorytetów, przeciwnie – pochwała wielkiego wodzowskiego talentu Marszałka i wybitnej osobowości prezydenta Mościckiego. Zapraszani byliśmy jako uczniowie do asystowania w różnych uroczystościach, związanych z rocznicami narodowymi i osobistymi świętami Marszałka. W imieninach Marszałka uczestniczyliśmy wraz ze swą szkołą w tym sensie, że zadaniem uczniów było przedefilować, złożyć życzenia dostojnemu jubilatowi. Zachowałem miłe wrażenia z tych imprez, bo nie były one zbyt sztywne, czy wymuszone. A patrzyłem na Marszałka nie tylko oczyma swego ojca – sam czulem respekt dla jego geniuszu.

Dopiero dziś nauczyliśmy się hołdować modzie na opluwanie wszystkiego i wszystkich. Bardzo się trzeba napracować, by upaskudzić i ubabrać w błocie to, co się przedtem czciło.

Nauczyciele i uczniowie

„Rejówka”! Kto z uczniów, uczęszczających w latach trzydziestych do gimnazjum Reja, nie wspomina jej z wielkim i tęsknym sentymentem? „Rejówkę” się po prostu kochało i kronikarze wielu klas pisali w pamiętko-

wej książce: „Wiwat Rejówka!” lub: „Udaliśmy się do naszego ukochanego osiedla «Rejówki», wszyscy chcą tam być dłużej i żałują, że odjeżdżają”. Inicjatywa tworzenia osiedli szkolnych wyszła od prof. Bogdana Nawroczyńskiego i po jego artykule pt. *Wiejskie osiedla wychowawcze szkół wielkomiejskich* w 1927 roku cztery warszawskie szkoły założyły takie osiedla. Gimnazjum Reja znalazło je we wsi Banoszka. Tu, w pięknym, przestronnym budynku był czas na to, by pedagodzy mogli zżyć się z młodzieżą, podyskutować z nią o wszystkim. W „Rejówce” odbywała się nauka, ale każdego dnia przyjeżdżał z Warszawy inny nauczyciel. A czyż można sobie wyobrazić lepszą naukę przyrody czy geografii niż podczas spaceru z nauczycielem po okolicach Banoszki? A palenie ogniska na polach przyległych do osiedla, czy rozpalanie ognia w kominku wewnątrz „Rejówki”. Każdy przyjazd uczniów tutaj był wielką przygodą. Z czasem „Rejówka” stała się wzorowym osiedlem szkolnym i liczne organizacje oświatowe, również z zagranicy, zaczęły ją coraz częściej odwiedzać. Tu były też wspaniałe tereny do ćwiczeń fizycznych i obronnych, szkolni harcerze ćwiczyli w pobliskich lasach.

Później takie wyrobienie zdolności zachowania się w sytuacjach wojennych bardzo przydało się Szarym Szeregom, złożonym w większości z harcerzy, dobrze wyćwiczonych w tej musztrze.

* * *

– *Nasz świat kultury to była poezja Skamandrytów. Z Tuwima zapamiętałem w pierwszej klasie (u Reja) – recytację zbiorową „Jeden wiatr w polu wiał”. Nie miałem zdolności do takiej zbiorowej ekspresji, niemniej Tuwim obecny był stale w naszej szkolnej rzeczywistości. Czytało się chętnie Leśmiana, Słonimskiego. Kilka kroków od gimnazjum Reja była słynna kawiarnia Ziemiańska – przybytek literackich spotkań Skamandrytów.*

Zaczytywałem się w „Wieczorach florenckich” Klaczki o renesansie. Oj, przydałby się dziś ten zastrzyk racjonalizmu.

Jakich mieliśmy profesorów! Przed wojną Konrad Górski – bardzo ceniony profesor Uniwersytetu Stefana Batorego – był przedtem wykładowcą w Gim-

nazjum Królowej Jadwigi. Było wówczas praktykowane, że profesor uniwersytetu nie odrzucał pracy szkolnej. To przenikanie się profesury stwarzało ważne bodźce intelektualne. Już nie w charakterze pedagoga etatowego miał u nas wykłady wybitny znawca polskich miast, Jan Ptaśnik. Pamiętam, mówił o polskim mieście epoki średniowiecza. Z kolei w Gimnazjum im. Mickiewicza, gdzie uczyłem się potem, upamiętnił mi się prof. Tadeusz Sinko, tłumacz i znawca klasycyzmu, ojciec znakomitego anglisty.

Wysoki poziom miały szkolne audycje muzyczne – uderzał format wykładów-ców, ich klasa. Weźmy mego profesora w Konserwatorium, Pawła Lewieckiego. Człowiek o pociągłej twarzy, wyjątkowo przystojny, noszący w sobie jakieś znamię Polaków dłuższy czas spędzających na Kaukazie. Coś nieuchwytnie egzotycznego jawiło się w zarysie wąskiej czaszki, podłużnej twarzy. Jakże często Lewiecki – nierwątpliwy talent i osobowość – grał w naszej auli, śpiewała Wanda Wermińska, występowała skrzypaczka Eugenia Umińska. Jak potrafiło to nasze biedne państwo polskie z lat międzywojennych dbać o kulturę!

Przecież wówczas nie było Ministerstwa Kultury, tylko Departament Kultury w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. A możliwości budżetowe były doprawdy arcyskromne.

Wież zarabiała w owym czasie coraz mniej i głodowała. Poszerzały się obszary nędzy, więc rachmistrz ministerstwa obcinał pensje urzędnicze – bo tak spadały ceny produktów rolnych. Co więcej, my uczniowie w szkołach zbieraliśmy na karabiny maszynowe i maski przeciwgazowe zgodnie z hasłem: społeczeństwo funduje wojsku broń! To był przed wojną stały rytuał (a dziś jako nowość wprowadza się fundowanie broni dla policji). Polska chciała uchodzić za mocarstwową, a po cichu uważano takie fundowanie broni za sposób na zlikwidowanie luk w uzbrojeniu.. Tragiczna rzeczywistość, ale młodzież uczyła się dzięki temu oszczędzać. No cóż, kraj nie może nadrobić wiekowego zapóźnienia ekonomicznego, cywilizacyjnego.

U nas w rodzinie też zmiany: coraz bardziej skromny budżet mego ojca, urzędnika skarbowego, nie wystarczał i tu kryła się tajemnica mego przejścia ze szkoły Reja do Gimnazjum im. Mickiewicza. U Reja chesne wynosiło około 1000 zł rocznie i 1/4 pensji ojca szła na moje kształcenie. W tym drugim gimnazjum płaciło się znacznie mniej – to zadecydowało. Bibliotekę, o której mó-

wilem, gromadziłem z wielkim trudem, a książki były drogie, więc szukałem tańszych w komisach i antykwariatach.

Taka jest druga rzeczywistość obok pokusy życia sztuką i wiedzą. Poznaje i ja ten drugi biegun rzeczywistości. Wiem, że oprócz biedy nękają Polskę strajki, polityczne przewroty. Jako trzyletni chłopiec widzę z okna mieszkania przy ulicy Obożnej, jak przed frontonem Teatru polskiego biegną ludzie, ktoś pada, ktoś kogoś ciągnie. Taką migawkę z zamachu Piłsudskiego zapamiętałem. Jego wysiłki nie były zgodne z wolą narodu, ale rzekłbym, wola patriotyczna Piłsudskiego była na tyle silna, że przeprowadził swoje. Lecz wyeliminowanie parlamentu – to duży ubytek energii politycznej i społecznej narodu. Rok 1931 – społeczność górnicza w proteście chce zatopić kopalnię, ginie kilku górników. Rok 1932 – cały powiat na południowym-wschodzie kraju powstaje przeciw nędzy wsi. Nie było przesady w stwierdzeniu, że zapatkę na poleskiej wsi dzieliło się na czworo. Niedługo przed wojną, w 1936 roku, strajki chłopskie na Nowosądeckczyźnie; w 1937 roku walki z robotnikami we Lwowie i Krakowie – są ranni i zabici. Podnosi głowę społeczność ukraińska – we Lwowie rozpoczyna się pacyfikacja.

* * *

– O dziwo, w szkole antagonizmy narodowościowe czy społeczne nie wprowadzają między nami żadnych podziałów. W klasie było dwóch Ukraińców – nie czuliśmy z ich strony żadnej niechęci, ale oni trzymali się wszędzie razem, jakby wyodrębnieni. Być może narastała w nich nieufność.

Nie istniała też dla mnie w szkole kwestia żydowska – ale byli Żydzi jako zjawisko i niejasno docierał do mojej świadomości fakt, że ta społeczność nie może, czy nie chce się zasymilować. Jak mówiłem, urodziłem się przy ulicy Królewskiej, na pograniczu świata naszego i żydowskiego. Obok były wielkie Hale Mirowskie, gdzie szumiła ożywionym gwarem publiczność bazarowa, trwały targi, słowna batalia o ceny – w tym rozpętaniu handlu był jakiś żywioł, który fascynował swą innością. Dla Żydów była to forma egzystencji, walka o byt. Głęboko tkwiło w nich umiowanie handlu i stąd też szła ich ruchliwość umysłowa.

Niedaleko Obożnej, gdzie potem mieszkali – były z kolei Dynasy. W miejscu, gdzie dziś stoi wielopiętrowy garaż, znajdował się Teatr Żydowski dla całej ogromnej diaspory żydowskiej. Nieraz Andrzej obserwował moment, gdy miał niedługo zacząć się czy też kończyć się tam właśnie spektakl. Wówczas ulica Obożna okupowana była przez czarnooki tłum, bynajmniej nie rozbawiony, lecz zwarty, skupiony. Słyszał i czuł rytm ich kroków. Wracali z powrotem na Nalewki czy Żelazną – to był potok, który się toczył między polskimi domami. Jakiś inny żywioł. Szli zwarci, groźni, trochę odcięci od nas. Odwiedzał też ich podwórka, pełne przyciszonej pracy tych małych zakładów rzemieślniczych bez cienia „bhp”. To wszystko było ukryte przed okiem nieubliwanego sąsiada – Polaków. Widział ich: oświetleni skąpym światłem, pracujący nędzarze. Ci wieczni wędrowcy takimi mu się wydawali. Ich piękny śpiew podkreślał to wrażenie inności zupełnej. Jak kwiaty wyrastały z tej społeczności talenty Tuwimów, Rubinsteinów, wspaniałych humanistów jak Klaczko, polonistów, jak Feldman, Kridl. Trudno to wszystko ująć w jednym słowie.

Zapamiętał ich też z willi dziadków w Ciechocinku, którą prawie w pełni wynajmowali. Przewijał się tam szereg osób dobrze mu znanych, także z okolic przyszłego getta warszawskiego. Znał tamtejszych rzemieślników, krawców itp. W emanacji tej zbiorowości wyczuwało się zawsze ową zupełną inność. To była spekulatywna, logiczna, niekiedy z życiowego przymusu krętacka żydowska społeczność. Cechowała ją niezłomna pracowitość – oni wiedzieli, że jeśli się dzięki pracy nie wybiją, to nic z nich nie będzie. Matka mówiła mu zawsze: pracuj tak, jak Żydzi.

– W mojej rodzinie nie było niechęci do nich. Należeli do najlepszych studentów. A jacy byli muzykalni! Utrwaliła mi się zwłaszcza gra Etkindówny, która zginęła potem w getcie. Myślę, że przez stratę elementu intelektualnego żydowskiego ponieśliśmy ogromny ubytek. O tym się dziś nie mówi, ale to fakt. Jesteśmy na pewno ubożsi o brak Żydów wymordowanych przez Hitlera, wywiezionych i tych, którzy emigrowali później. U nas było centrum światowej diaspory i żydowskiej kultury. Czy oni kochali Polskę? Nie sądzę, ale obecnie na to patrzę inaczej, ponieważ dziś sam przestaję tę Polskę kochać tak, jak chciałbym. Za dużo doznało się zarodków, miłość pozostała, ale wybiórcza, krytycz-

na, gorzka. Nie doczekałem się realizacji snów, oczekiwań. Wszystko stało się płaskie, utyłane. Wielkie narodowe pretensje przy słabym pokryciu. Nie można gloryfikować tandetnych antagonizmów, zarwiści, pretensji, bylejakości. A nasi najlepsi tak łatwo dla Niej szli na śmierć.

Nie mogę się dziś uchylić od polskiej odpowiedzialności za Polskę, także za jej relacje wobec braci Żydów. To, że oni mają wobec nas nieuzasadnione często pretensje, że rzucają niedobre inwektywy – to ich sprawa. My ze swej strony musimy się rozliczyć uczciwie.

Wielu z nich powinienem być wdzięczny, na przykład w Gimnazjum im. Mickiewicza moim pedagogiem była Żydówka, filolog klasyczny. Łaciny uczyła znakomicie, takiego ducha umiłowania klasycznego języka potrafiła nam zaszczerpić, że ja obecnie codziennie jedną strofę Horacego przekładam dla własnej przyjemności. Wdzięczny jestem Pawłowi Kochańskiemu, Arturowi Rubinsteinowi.

Tak wówczas wychowywano uczniów, w duchu mądrej miłości ojczyzny, że nie wiedzieli, co to odrzucenie, pogarda dla obcego. Był nie tylko w Jędrka szkole, ale i w całej epoce międzywojennej wyraźny biegun oświeceniowy, racjonalistyczny w najlepszym tego słowa znaczeniu. Ale już zbliżała się druga epoka – wojenna, a z nią powrót do wartości romantyzmu. I tak między oświeceniowymi pierwiastkami a romantycznymi będzie oscylowało życie młodych tamtego czasu...

Lata dwudzieste, lata trzydzieste...

Nawyk uczęszczania do teatru rodzice zaszczepili mu tak skutecznie, że cała jego młodość związana była z rozmiłowaniem w Melpomenie. W obu gimnazjach, do których uczęszczał, zarówno „u Reja”, jak i „u Mickiewicza” korzystano z abonamentu teatralnego. Jego ciotka Zosia też dostarczała rodzinie bilety do teatrów i dzięki temu miał zawsze systematyczny przegląd warszawskiego repertuaru. Chodził do teatru częściej niż raz w miesiącu.

Były to lata Junoszy-Stępowskiego, Frenkla, Zelwerowicza, Przybyłko-Potockiej, Solskiego, Osterwy, Wysockiej, Broniszówny, Barszczewskiej, młodej Andryczówny. Oni reprezentowali wielką aktorską sztukę i można powiedzieć jedno – wybitnych aktorów po prostu się kochało jak kogoś bliskiego. Andrzej pamięta do dziś z „Kuriera” zdjęcie wychudzonego i wybiedzonego Junoszy-Stępowskiego, wykonane podczas jego rekonwalescencji. W którymś przedstawieniu zadrasnął się scenicznym łańcuchem, przynależnym do roli, wywiązało się ropienie krwi, gangrena. Z ogromnym niepokojem wszyscy śledzili jego chorobę, a oddychali z ulgą, gdy pomyślnie się skończyła. *Kupiec wenecki* Szekspira utrwalił mu się z tym wielkim artystą w Teatrze Polskim, zapamiętał jego gest, gdy w pewnym momencie zrywa kaftan i wystawia nagą pierś.

Widział jeszcze Frenkla, który, będąc już na emeryturze, grywał w *Grubych rybach* Bałuckiego, chyba w Narodowym. Andrzej miał wtedy 10 lat. Dzięki Ninie Andrycz zapamiętał w Teatrze Polskim *Marię Stuart* Słowackiego. Gdy mowa o Słowackim – *Balladynę* na lekcjach języka polskiego w jego szkole tak przemaglowano, że straciła swą świeżość i urok.

I tamte czasy miały swoisty „sorealizm”. Jego przykładem w Ateneum była *Galazka rozmarynu* Zygmunta Nowakowskiego. Rzecz przygotowana

jakby na zamówienie, na cześć Piłsudskiego. Bardzo to było zrecznie zrobione, z piosenkami – i podobało się. Również w Ateneum pamięta Andrzej Fryderyk Wielki Adolfa Nowaczyńskiego, a to dzięki Solskiemu. Świętem było oglądanie tego genialnego aktora. Fryderyk II przedstawił jako trzęsącego się, gderliwego, ale groźnego starca z laską, w kapeluszu. Świetnie oddał jego starcia z polskością. Te czasy w teatrze polskim można nazwać epoką Solskiego. Oglądany jako niemy Wiarus w *Warszawiance* pozostawił wrażenie przeżycia niezwykle silnego, gdy wzruszenie wprost chwyta za gardło. Tak, ten aktor nie musiał się bać wzniosłości, tak bardzo był prawdziwy...

No i Osterwa w *Przepióreczce* czy *Sułkowskim* Zeromskiego – też silne wzruszenie i poczucie piękna ludzkiej natury. Pamięta też Jędręk aurę dyskusji wokół tego przedstawienia i świadomość, że mieliśmy wojskowego równego Napoleonowi, ale ten go wystawił do wiatru. Z kolei w *Fircyku w zalotach* Zabłockiego Osterwa miał w sobie świadomie coś z kukielki, trochę na modłę komedii dell'arte. A Wincenty Drabik jako scenograf – ile dostarczał satysfakcji estetycznych! Wszyscy przeżyli jego przedwczesną śmierć. Ten syn górnika, urodzony w Jaworznie, był artystą znakomitym.

Wielką cześć miał Andrzej dla Szyfmana, że wybudował jego ukochany Teatr Polski i tak go wspaniale prowadził. I tu ciekawostka obyczajowa: zawiadomienie, jakie wysłał on do prasy: „Pani Przybyłko-Potocka i pan Szyfman zawiadamiają, że razem mieszkają”. Tu podany był adres. Oboje byli znakomitościami i chcieli być razem zapraszani.

W zauroczeniu atmosferą sceny miało swój udział i Ateneum – Jędręk wysoko cenił Jaracza, jako że należał do aktorów i reżyserów, którzy wcześniej rozpoznali znaki czasu.

* * *

– *Przyznaję, nigdy nie mogłem tak pokochać muzyki jak narodowego dramatu. Bo mój kontakt z literaturą opierał się głównie na dramacie. Poznawałem lektury przez teatr. Do dziś odczuwam sztukę nie tylko z punktu widzenia warsztatu reżysera – tekst jest dla mnie zawsze pierwszoplanowy.*

Uważam, że poprzez wielki narodowy dramat Polska mówi światu to, co ma najwartościowszego do powiedzenia w dziedzinie literatury. Polska narodowa scena – to nie opera, jak u Niemców i Czechów – lecz właśnie dramat i komedia. W innych dziedzinach kultury nasz naród nie był taką łaską opromieniony, jak w dziedzinie teatru.

Może teatr był moją miłością dlatego, że na scenie dyskutowane były – przez działanie piękna – najważniejsze sprawy narodu, społeczeństwa. Pasja, z jaką poprzez losy bohaterów sugerowano to, co najważniejsze dla naszego bytu – pozostawiła niezatarty ślad w mojej świadomości.

Dlatego wyraźnie oddzielam swe doświadczenie operowe. Opera zachwycała wspaniałą różnorodnością stosowanych środków, ale nigdy tak dogłębnie nie wzruszała. Nawet nie zapamiętałem poszczególnych przedstawień operowych, a teatralne mam w pamięci.

Na pewno wiązało go z teatrem i to, że mógł go poznać niejako od kuchni. Miał przy Oboźnej, od strony oficyny, widok na podwórko Teatru Polskiego, jego garderoby. Stojąc w oknach kuchennych widział, jak aktorzy przygotowują się do występów. Patrzył, jak szminkowali się, trefili włosy, wdziewali odpowiednie szaty. Czynili różne próby głosowe, a w czasie przerw, z nienaturalnymi kolorami na twarzach – gdy zabrakło światła reflektorów – szli na papierosa do przyteatralnego ogródka, gdzie widać ich jeszcze wyraźniej. Ubrani w renesansowe, średniowieczne czy też współczesne stroje z aktualnie granej sztuki, rozmawiali swobodnie, żartowali, a także zwierali się sobie z właśnie przeżywanymi problemami. Z wysokości drugiego piętra słyszał te rozmowy wyraźnie, poznawał ich losy rodzinne i najbardziej prywatne sprawy. W ten sposób teatr przesiąkał życiem i namacalne dla niego stało się powiedzenie, że teatr jest lustrem, odbijającym rzeczywistość.

Pamięta i zabawny szczegół związany z teatralnym podwórkiem. Otóż jedna z najbardziej znanych wtedy aktorek, do dziś żyjąca, lubiła w teatralnym ogródku do późna flirtować z wysokimi wojskowymi szarżami. Kiedyś, gdy całe towarzystwo dość głośno bez skrępowania rozbawione rozmawiało, z wysokiego piętra budynku ktoś wylał na nich wiadro wody. Bo wzniosłość i śmieszność jest domeną nie tylko teatru, ale i życia.

Kontakt z zawsze porywającą polską romantyką zdobywał nie tylko w teatrze i na kartach książek. Równie silnie działała atmosfera płomiennych przemówień – bo tak należy nazwać rekolekcje wygłaszane dla uczącej się młodzieży przez ks. kanonika Marcelego Nowakowskiego, późniejszego senatora RP. Uwiedziony wielkością Polski, patrzył na nią oczami Mickiewicza i Słowackiego. Tyle żaru było w jego patriotycznych kazaniach, że ich nastrój udzielał się nieodparcie. Był to niejako nakaz natchnionego ducha, by ponieść dalej idee, rzucane jak zapalające pociski.

To była ważna inicjacja w prawdziwy, pulsujący polski romantyzm. W kulturę romantyzmu wprowadzała również muzyka. W latach trzydziestych, w konserwatorium, pod kierunkiem prof. Pawła Lewieckiego Andrzej dużo grał Chopina i większość form muzycznych, które genialny kompozytor tworzył. Pod koniec zbliżył się do koncertu fortepianowego tego artysty. Kult Chopina w jego rodzinie wzrastał wraz z inicjatywą wprowadzenia stałych konkursów chopinowskich. Sprawdziły się przewidywania krewnych z kręgu ciotki Urszuli, gdy Witold Małcużyński, który bywał w jej domu, zdobył w konkursie pierwszą nagrodę. Od początku zresztą ciotki uważały go za wielkość pianistyczną, śledziły jego studia u Ignacego Paderewskiego, który wówczas stał również u szczytu swych możliwości jako polityk po pokoju wersalskim, a miał za sobą świetny okres wojenny, akcję na rzecz Polski w Szwajcarii i USA, znajomość z prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Są to lata, kiedy założony zostaje Front Morges, Haller i Witos stają przeciw BBWR (Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem), który w polityce był tworem martwym, a odbierał inicjatywę społeczną różnym partiom. Jednocześnie trwa akcja przeciw powstaniu frontu ludowego, który zaczął się konsolidować. No i znamienna w latach 1936–1939 działalność Kwiatkowskiego przy Centralnym Okręgu Przemysłowym – to była prawdziwa deska ratunku dla Polski. Nowe zakłady o wysokiej technice stanowiły kuźnię potęgi militarnej RP. Całe społeczeństwo kupowało karabiny i tankietki. Wspólnym narodowym ukochaniem była

Gdynia, choć Jędrkowi osobiście ani morza ani gór przed wojną nie udało się zobaczyć.

* * *

Tak na co dzień jego szkolne życie upływało dość monotennie: dzień do dnia podobny, wypełniony nauką. Miał ambicję, żeby noty były jak najlepsze – i to, obok ciekawości wiedzy, było motorem jego poczynań. Wdrożony do codziennych ćwiczeń na pianinie i nauki w konserwatorium, nie mógł jednak strawić corocznego egzaminu muzycznego tej uczelni. Męczyła go trema, a program trzeba było wykonać uroczystie na estradzie, w sali koncertowej konserwatorium. Był tak spięty i stremowany, że odgrywał niemal automatycznie to, co w niego wdrożono. Matki i rodziny uczniów, zgromadzone przed aulą, przez dziurkę od klucza starały się podpatrzeć i usłyszeć grę swoich podopiecznych.

Był szczęśliwy, gdy ta mordęga się kończyła.

* * *

– Kolegów nie miałem wielu – zbyt zajęty byłem swoim światem, po prostu nie miałem czasu. Gra w piłkę, wycieczki, spotkania towarzyskie, zabawy nie nęciły mnie i chyba wytworzyła się opinia – „ten Szwalbe jest do niczego”, a więc nie w pełni udany kompan, odludek.

Ale umiałem być inny. Wytrwale ćwiczyłem silną wolę – sam wpadłem na to, by pozbawiać się zachcianek, które niesie chwila, odpierać pragnienia, które nie są nieodzowne. Zwłaszcza typu materialnego, bo w kasie rodzinnej się nie przelewało. A więc kwestia kupienia sobie ciastka czy loda. Wybierałem kupno książki, która musiała być nabyta, czy biletu do teatru. Albo „kazałem sobie” pójść na spacer, gdy chciało mi się leniuchować, czy brałem się do tematu nielubianego, na przykład matematyki.

Do osiągnięć moich nie mogę zaliczyć sposobu ubierania się. Zawsze byłem ubrany przeciętnie ze skłonnością do skromności ubioru. Bardziej lubilem strój noszony, używany. Nieśmiały nie byłem, ale do wyróżnienia się też nie dąży-

tem – oprócz języka polskiego: zarówno w Gimnazjum Reja, jak i Mickiewicza należałem w klasie do uczniów liczących się, jeśli idzie o ten przedmiot. Już później miałem się pewnych prób literackich (odkładanych do szuflady) napisać nawet coś w rodzaju dramatu. „Ład Boży” we Włocławku drukował już po wojnie te moje drobne próby pisarskie. Może gdybym został polonistą, byłbym niezłym literatem. Ale ta moja skłonność czy namiętność przydała się potem w pisaniu artykułów prasowych, memoriałów, pism do władz. Na przykład w 1988 roku „popętniłem” memoriał w sprawie edukacji artystycznej społeczeństwa pomorskiego – i było to chyba niezłe sformułowane.

Wróćmy jednak do lat szkolnych. Pewnego rodzaju próżność. Chyba tak, bo od dzieciństwa nastawiony byłem, że zostanę profesjonalnym pianistą. Gdy się cały rok ćwiczysz po cztery godziny dziennie – przyjemnie jest gdzieś zabrylować. Nutka solisty chyba we mnie istniała i satysfakcja z pokazania się nie była mi obca. Nietrudno zresztą zaprezentować swój repertuar, gdy jest pianino w jakimś zaprzyjaźnionym domu, gdzie zebrało się towarzystwo. „A teraz Jędrus nam zagra”. Owszem, dobrze grałem, gdy wiernie szedłem za wskazówkami profesorów. Nie miałem twórczego podejścia do muzyki.

* * *

Prosto z konserwatorium udawał się co pewien czas, głównie w sobotę, do kina. Bilety były tańsze i droższe, od 99 groszy do paru złotych, oczywiście wybierał tańsze. Chodziło się do „Majestic”, „Colosseum”, „Rialto”, „Romy”. Ta ostatnia była wówczas kinem, w którym każdy seans był poprzedzany grą na organach wurlitzerowskich. Dźwięk elektroniczny pięknie oddawał odgłosy trąbki, werbla, dzwonek. Kino wówczas przeżywało swój rozkwit. Owszem, bywały komedie słabe, modna „Schirleyka” pojawiała się w filmach bez głębi, ale na przykład *Znachora z Junoszą-Stępowskim* zapamiętał jako film kapitalny. Utrwalił mu się we wspomnieniach *Król królów*, *Ben Hur*. Dobrze były monumentalne filmy zachodnie. W porównaniu z nimi to, co teraz dają nam w telewizji w takim nadmiarze z Ameryki – to mydło. W „Romie” szły też dobre filmy o wymowie chrześcijańskiej i patriotycznej, ze szlachetnym przesłaniem, na przykład

Szarża lekkiej kawalerii. No i nie zapominajmy, że to był okres Pata i Pataszona, Flipa i Flapa, Chaplina. Ci wspaniali komicy uosabiali wysoką sztukę, subtelny typ humoru, a nawet najlepsze odniesienia do komedii dell'arte, zarówno jeśli idzie o stworzenie pewnego typu, gest, mimikę, jak i tendencję do improwizacji. W ich filmach uderza mechanika działania postaci na zasadzie marionetki. Z pewnością ich rodowód sceniczny jest znakomity.

* * *

I tak mijały te niezapomniane lata dwudzieste, trzydzieste. Kto mógł przewidzieć, że u ich końca Polska zagrożona będzie śmiertelnie, że niebo i ziemię rozerwą bombowce, tanki...

Chmury gęstnieją nad finałem dwudziestolecia i jak wówczas, u końca XVIII wieku, Rzeczpospolita ostatnimi blaskami przekazuje swoje piękne przesłanie, co możemy docenić poprzez kontrast z latami, które mają nastąpić. Gdybyśmy żyli jak w uładowanych krajach o normalnej egzystencji – nie byłoby tła, które by ujawniło, że kultura wspaniale się rozwija, że mamy znakomitą literaturę współczesną (choćby Gombrowicz, Witkacy), plastykę, muzykę, architekturę. Monumentalne realizacje Pniewskiego z lat trzydziestych wnoszą do architektury polską nutę. Również sztuka użytkowa jest śmiała, mocna w wyrazie, szlachetna w uproszczeniu. Nauka też – żeby przypomnieć znakomite osiągnięcia Malinowskiego, Znanieckiego. To są nazwiska światowe. Cały ten obszar nauki, sztuki ma owo tło, na którym tak się odcina od smętnej reszty, szarej momentami, niekiedy wręcz biednej. Porównanie z wiekiem XVIII, choć kuleje, jak każda analogia, zawiera jednak i jakąś część prawdy.

Lektury poważne

Był jeszcze chłopcem, gdy ogarnął go wir życia umysłowego, intelektualnego międzywojennej Warszawy. Od domowej biblioteki warto zacząć, bo po niej można poznać, jakie zainteresowania obudziły się w kilkunastoletnim Andrzeju. Już wówczas potrafił docenić, jak znakomitymi domami wydawniczymi są Gebethner i Wolff, a także Trzaska Ewert i Michalski, Mortkowicz. Z każdym z tych wydawnictw dość szybko zaczęło go łączyć coś bliskiego już w okresie dziecięcym i wczesnomłodzieńczym. Ale przejdźmy do lat nieco późniejszych i biblioteki bardziej rozwiniętej.

Na pierwsze miejsce wysuwa się tu Platon i jego *Dialogi* z ilustracjami i w tłumaczeniu Witwickiego. Wysokiej jakości wydanie Mortkowicza czyniło tę książkę lekturą w dwójnasób pociągającą. Zafascynowany wymiarem myślowym dialogu Platońskiego, zaczął kompletować wszystkie dialogi wielkiego filozofa kolejno, tak jak wychodziły, lub jak wylapywał je na rynku. Czynił to zarówno ze swych zaoszczędzonych pieniędzy, jak i przy pomocy rodziców. Urzekła go z jednej strony głębia myśli, z drugiej – bardzo atrakcyjna szata graficzna.

Tu trzeba zwrócić uwagę na osobę, która wówczas towarzyszyła każdemu zbieraczowi książek – był nią introligator. Obecnie kupujemy książki w laminowanych okładkach, które nie zawsze nam odpowiadają, często źle zszyte – i stawiamy je na półkach. Wtedy każdy kupiony egzemplarz wędrował do introligatora i on dodawał odpowiednią okładkę, złote czy też inne liternictwo, które można było sobie wybrać, by potem długo cieszyć się książką, bo jej szata graficzna była spełnieniem naszych marzeń.

Poza wydawnictwami, wymienionymi wyżej, na warszawskich ulicach działała instytucja swoistych bukinistów. Na chodnikach Świętokrzyskiej

aż po Nowy Świat leżały na prymitywnych wózkach przeważnie zielonego koloru, o kołach okutych blaszaną obręczą – ogromne zasoby książek wspinały! Wystawiano okazy zgoła zapierające dech w piersiach, również autentyczne starodruki, dawne mapy, kodeksy. Była to literatura wielojęzyczna, nad którą pochylali się w skupieniu zamyśleni nabywcy wielu narodowości, a przede wszystkim Polacy i Żydzi. Ci ostatni, parający się pracą intelektualną, rozpoznawani byli łatwo dzięki charakterystycznemu strojowi.

Obraz takiej ulicy Świętokrzyskiej zapadł Andrzejowi głęboko w pamięć jako optymistyczna pochwała ukrytej mądrości życia w ściszym, osobistym kontakcie z książką.

Później zanikł ten zwyczaj i rynek wydawniczy inaczej zaczął funkcjonować, powstały dziesiątki księgarni, ale i wtedy, gdy zobaczył wózek z książkami, na przykład przy Uniwersytecie Warszawskim lub u nas w Bydgoszczy, robiło mu się tak jakoś miło i ciepło wokół serca.

Jego domowa biblioteka międzywojenna stopniowo rosła pod kątem zainteresowań raczej naukowych niż literackich. Beletrystyki i poezji było w niej stosunkowo niewiele, przeważały natomiast książki popularnonaukowe. Później, gdy założył już rodzinę, tak się szczęśliwie ułożyło, że znakomity słuch literacki miała jego żona, Dobrusia i ona w sposób nieklamany ciążyła ku lekturze poetyckiej czy prozie. Zawsze interesowały ją najnowsze tytuły z tej dziedziny, natomiast Andrzej uwielbiał książki o książkach. Nigdy jakoś nie mógł z pierwszej ręki na serio sięgnąć po wzbierający potok dzieł literackich – zapoznawał się z nimi poprzez krytykę literacką. To dziwne podejście pozostało mu do końca: wielu dzieł, o których krytyka rozprawia, właściwie, jak mówił, nie zna, ale wie o nich wiele, bo wychwytuje wszelkie oceny. Uważał bowiem, że prawdziwa krytyka jest sztuką i kontakt z nią wydawał mu się niezbędny wobec nawyku ciągłego teoretyzowania.

* * *

Pasjonował się zawsze analizą polskiej rzeczywistości i właściwie wyrósł w cieniu wielkiej, eseistycznej publicystyki Bolesława Limanowskiego. Była u nich w domu jego *Historia demokracji polskiej* – coś na kształt grubej epo-

pei. Wertował ją stale, z lubością sięgał też po apostoła publicystyki pozytywistycznej, Aleksandra Świętochowskiego, jego *Historię chłopów polskich*. Śledził też odbicie myślenia tego pisarza i filozofa w bieżącej eseistyce, na przykład w *Źródłach współczesności*, jeśli nie w bezpośredniej lekturze.

Na jego widzenie świata kładło swą pieczęć socjologiczne pojmowanie rzeczywistości. Były to przecież czasy Józefa Hałasińskiego i jego prac nad rodowodem inteligencji polskiej. Czytał też Floriana Znanieckiego i jego dzieła socjologiczne.

Jeśli idzie o historię literatury polskiej, główne zainteresowanie wzbudzał w nim Aleksander Brückner dzięki artystycznie wydanemu przez Trzaskę, Ewerta i Michalskiego trzynomowemu dziełu *Polska, jej dzieje i kultura*, oczywiście również obecnemu w domowej bibliotece. Rodzice, widząc to zainteresowanie Andrzeja myślą humanistyczną, zaabonowali u Trzaski wiekopomną *Wielką historię powszechną*, która nie zdążyła przed wojną w całości się ukazać. A tam królował reprezentatywny umysł doby międzywojennej, twórca oficjalnych wykładni historycznych, można wręcz powiedzieć państwotwórczy – Oskar Halecki. Jego praca *O tradycjach europejskich*, wydana po wojnie, wpadła Andrzejowi w ręce w Toruniu – i przypomniał sobie, jak bardzo wówczas, w okresie międzywojennym pobudzało to jego wyobraźnię.

Wspomina też chętnie znakomitą książkę nie z literatury popularnonaukowej, lecz o głębszych implikacjach, przenikniętą mądrą humanistyką – mianowicie *Historię naturalną jednego pierwotniaka*, napisaną przez profesora Wolnej Wszechnicy Warszawskiej, Jana Dembowskiego – rzecz z dziedziny biologii zhumanizowanej, szerzej pojętej o powstawaniu, żywocie i przemijaniu pierwotniaka pantofelka. Naprawdę dobra lektura, świetnie napisana i chyba warto ją zaliczyć do obowiązkowych dla młodych ludzi. Należały do nich także książki Marii i Stanisława Ossowskich. On, socjolog, rozwijał problem wartości estetycznych, ich roli w życiu duchowym człowieka, ona, teoretyk moralności, pisała o powszechnie uznanych normach moralnych.

Język, zwłaszcza polski, stanowił tę dziedzinę, w którą Andrzej wkraczał może trochę pod wpływem rodziców. Ich pokolenie, zachłystując się świe-

zo odzyskaną wolnością, czuło wzmożoną tęsknotę za tradycją, przeszłością, staropolszczyzną. Cieszyły się więc popularnością *Pamiętniki Paska*, a także stale czytana *Encyklopedia staropolska*, wydana przez Zygmunta Glogera. Z innej beczki – nieodzowne *Prawem i lewem* Władysława Łozińskiego, wertowane zwłaszcza w czasie świąt Bożego Narodzenia, bowiem w atmosferze ogólnej bajkowości, która im zawsze w polskiej obyczajowości towarzyszyła – ta lektura, traktująca o strasznych zbrodniach, nabierała szczególnego wyrazu i smaku.

Ojciec był w poglądach zdecydowanym piłsudczykiem, ale matka, jak wiadomo, sympatyzowała z Dmowskim – i codziennie był w domu „Kurier Warszawski”, gdzie pisywał Stroński, Kleszczyński (pseudo „Kleszcz”) i Grzymała-Siedlecki, który systematycznie przyjeżdżał z Bydgoszczy do Warszawy na premiery teatralne, by je w „Kurierze” recenzować. Była to poważna, spokojna gazeta, w której polemiki społeczno-ekonomiczne nigdy nie schodziły do poziomu wyzwisk czy inwektyw, jak to obecnie stało się modą w polskiej prasie codziennej i nie tylko. Dziś tylko tęsknić można za takimi gazetami, które nie wprawiały społeczeństwa w zamierzone frustracje.

Co tydzień był w „Kurierze” ilustrowany dodatek, w którym zamieszczano serwisy fotograficzne. Znamienny był taki motyw z Alei Ujazdowskich: prezydent Mościcki lub Marszałek w eskorcie ułanów jedzie w otwartym samochodzie. Jak już wspomniałam, Andrzej często widział ten obrazek na żywo.

Polityczne inklinacje rodziców znajdowały wyraz w domowej bibliotece. Jednym z jej dzieł oryginalnych, czytanych do imentu, była książka Dmowskiego pt. *Niemcy, Rosja i sprawa polska*. Zawarta w niej była prosta w genialności swej myśli o geofizycznym uwarunkowaniu Polski, jej niejako podwójnym obliczu. Musimy patrzeć na Wschód i Zachód – mówił Dmowski, ale właściwą podstawę dają nam dobre stosunki ze Wschodem, zarówno polityczne, jak i handlowe. Dmowski udowadniał tę prawdę w sposób tak przekonujący, że Andrzejowi do dziś pozostała świadomość, że ten z mężów stanu potrafi udźwignąć ciężar władzy, który umie trzymać równowagę między Wschodem a Zachodem. My, Polacy, jesteśmy zapatrzeni w Zachód, mamy wobec niego kompleksy, poczucie niższości

– ale ta nasza miłość do Zachodu jest wybitnie jednostronna i nieodwzajemniona.

Oczywiście nie tylko nauka, ale i wiedza o literaturze też była honorowana w domu Szwalbów na co dzień: jako zwyczajowy zakup nabywało się „Wiadomości Literackie” – bardzo frapujący, bogaty wewnętrznie periodyk. Jego naczelny, Mieczysław Grydzewski (do 1939 roku również naczelny „Skamandra”), stanowił przykład redaktora o wielostronnych zasługach dla polskiej literatury. No i tu Andrzej mógł zaspokoić swą nigdy nie wygasłą ciekawość odnośnie krytycznych opinii o książkach, którymi pasjonowali się wszyscy.

Sam zaczytywał się w popularnych *Herojach* Charlesa Kingsleya, zawierających opracowane dla młodzieży opowieści o bohaterach mitów greckich. „Nadgryzał” tę książkę z wszystkich stron, by znaleźć do niej stosunek. Trudna to była lektura ze względu na zaznaczającą się obcość wobec mitologii greckiej. Nawet dziś, gdy u Horacego napotyka na te, wtedy niezrozumiałe, mitologiczne imiona – to są one jemu znane dzięki *Mitologii* Parandowskiego, która stanowi dla niego coś w rodzaju słownika, a wówczas była umiłowaną lekturą.

Patrząc na swoje braki z dziedziny klasyki greckiej, jest dziś zwolennikiem liceów klasycznych, aby – jak mówi – ten cały ocean wierzeń, postaci, epok, zaznaczających się w literaturze, plastyce, muzyce, myśli społecznej i filozoficznej – przybliżyć młodym. To właśnie jest niedomoga obecnego systemu edukacyjnego – że nie ma szkół tego typu. Przed wojną było w Bydgoszczy Liceum Klasyczne i spędził w nim swe szkolne lata wybitny polski literat Bolesław Miciński.

Szwalbe po dziś dzień swój brak obycia z klasyką odczuwa jako wielki niedosyt. Owszem, z greckiej myśli filozoficznej zostało mu Platońskie widzenie świata. Idee Dobra, Prawdy, Piękna stają się przez proces dyspersji jakby bliższe, ale zawsze, przy chęci zbliżenia się do nich, czujemy, jak ulegają zniekształceniu i oddala się ich wizja platońska. I tak stale zbliżamy się do nich i oddalamy. Najlepszy jest ów kontakt z Dobrem, Prawdą i Pięknością intuicyjny, mistyczny, gdy na całą chwilę wielkość tych idei zdołamy dostrzec i niejako zatrzymać...

– Uderza mnie Pana głęboki spokój w kontraście do nerwowości epoki, w której przyszło nam żyć.

– *Tu niestety zagraża mi swoisty solipsyzm. Spokój, o którym Pani mówi, to z jednej strony umiejętność, z drugiej wada: zamykanie się w sobie. A to utrudnia zdecydowanie kontakt ze światem i ludźmi. Owa cecha, a raczej wada, bywa czasami gwarantem takiego stopnia izolacji od świata, że można sobie w sposób dość niezależny od pomruków rzeczywistości prowadzić tryb życia niezawisłego w miejscu, do którego te hałasy i bodźce nie docierają.*

– Czy ów spokój lub, jak to Pan nazywa, poczucie izolacji – to cecha wrodzona czy nabyta?

– *Coś w tym było już od dzieciństwa – te wakacje w Płocku, gdzie nigdzie nie mógłbym wskazać kolegów – towarzyszy zabaw. Nie, nie było w moich dzieciństwie gromadnych zabaw, dzięki którym człowiek w owym wieku czułby się podmiotem i wyróżniał od innych osiągnięciami, dzielnością, talentem wodzowskim itp. Natomiast była książka, lektura, świat własnych wyobrażeń – to co nazwać można krajobrazem wewnętrznym. W trakcie lektur budowało się byty fikcyjne, zgodnie z potem poznaną teorią Ingardena, iż przez wyobrażnię dopełniamy miejsca niedookreślone i tworzymy własną rzeczywistość.*

To mi odpowiadało, ów trening fikcji literackiej, a potem przyszła treść naukowa w lekturach z historii nauki. Za każdym razem miało miejsce budowanie wewnętrznego bytu na tle dzieła czytanego, bo jak mówi Ingarden, dzieło jest tylko pewnym schematem, wyzwaniem dla naszej wyobraźni. Wypełniamy ją postaciami, własną wizją ludzi, wydarzeń, miejsc, czasów. Na tym tle właśnie rodzi się solipsyzm: tak mi pięknie z moim światem wewnętrznym, że gdy jest mi źle w świecie zewnętrznym – do niego uciekam.

Inni szukają wtedy pomocy u ludzi. Ja znajdowałem ją u rodziny, ale i w jej kręgu nigdy nie byłem miłym, rozmownym, pełnym anegdot uczestnikiem domowego współżycia. Zawsze najbliżsi mogli zarzucić mi, że jestem zamknięty w sobie, że trudno wezwać mnie do wspólnej dyskusji, przeżywania czegoś w sposób mowny. Takim człowiek się rodzi.

„Moje uniwersytety”

Najważniejszym moim życiowym „uniwersytetem” było to, że dzieciństwo i młodość nie były bynajmniej promienne, łatwe, sielankowe, lecz pracowite, nie wolne od wyrzeczeń. Dzięki temu byłem właśnie bliski mięszu życia. Nie skarżę się bynajmniej na ciężkie dzieciństwo, podkreślam: było ono pracowite, na antypodach tego, co dziś obserwujemy, gdy dziecko musi mieć idealne życie, pozbawione trosk, kłopotów, stresów. Jest to, jak mówiłem, podejście, hołdujące fikcji, stąd współczesna pedagogika nie święci triumfów.

Gdy byłem mały, nikt nie troszczył się o moje niefrasobliwe i pełne uśmiechów dzieciństwo, lecz o to, bym był na miarę swych lat partnerem ludzi dorosłych i na ile to możliwe, stykał się z normalnymi problemami życiowymi. Jeśli na przykład mój ojciec w latach trzydziestych musiał dorabiać, nie ukrywano przede mną, że ojciec idzie na dodatkową pracę do administracji domów mieszkalnych przy ulicy Stawki, gdzie żyło wiele ludzi ze społecznego marginesu – i on brał ze sobą pistolet. Widzę go, jak przy mnie podchodzi do biurka i wyciąga z szuflady ten tajemniczy, ciężkawy przedmiot. Był w tym element wychowawczy – żebyśmy nie bujał w obłokach.

* * *

Mama utrzymywała kontakty z artystami, ale ja znałem ich nie z premier i wernisaży. Nasz „rodzinny” rzeźbiarz, Pawlak, autor pięknej rzeźby mojej młodej mamy – przyjeżdżał do nas na Oboźną ze swej Radości, gdzie mieszkał. I ten nasz „Pawlaczek”, jak go nazywaliśmy, nie udawał wówczas wielkiego artysty, formułującego górnolotne sądy o sztuce – zasiadał z nami w kuchni przy kromce chleba ze smalcem i mówiliśmy o rzeźbiar-

stwie od tej strony, jak z niego wyżyć. Bo fach artysty zawsze prozę życia ciągnął za sobą.

Zaglądał też do nas prof. Lewiecki, ten wspaniały pianista i pedagog z konserwatorium. I on też nie o fraku i występach dywagował, lecz o problemach życiowych. Toteż widzę artystów nie tylko poprzez ramy obrazów czy koncertowe sale, lecz przez ich nieubłaganą walkę o byt. Takie patrzenie przeniosłem też na wybitnych ludzi oświecenia – nie tylko efekt ostateczny ich działań podziwiałem, lecz widziałem ich niejako trójwymiarowo: jaką cenę płacili za swoje sukcesy, jaką drogą do nich dochodzili.

Tak jest zawsze – spacerujemy po Łazienkach czy Ogródzie Saskim, a ja za dziełami artystów widzę ludzi obarczonych ciężarami codziennego żywota.

* * *

– Nie miałem w sobie takiej motoryki, by pędzić na złamanie karku na rowerze, czy wyżywać się w jakimś sporcie wyczynowym – serce na to nie pozwalało. Zresztą przed wojną nie miałem nawet roweru. Nurtowała mnie natomiast pasja prawdziwa, niezrealizowana – i to niezrealizowanie stanowiło pewne ważne ćwiczenie duchowe, jak dziś rozumiem, znaczące w moim podejściu do życia. Otóż pasjonowałem się fotografowaniem, a rodzice byli bardzo konsekwentni w tym, że nigdy nie sprawili mi aparatu. Być może był to wąż w kieszeni, jak mówili wujowie.

Marzyłem o tym, by samemu robić zdjęcia, wywoływać, powiększać. Tęskniłem do aparatu tak długo, że znałem dokładnie jego markę – miał to być „Yoigtländer”, lustrzanka, format 6 na 6. Wiedziałem, z jakich szkieł składa się soczewka, jakie powinno być przy robieniu zdjęcia naświetlenie w zależności od pory dnia czy roku. I takie wspaniałe zdjęcia w myślach robiłem, nastawiając w wyobraźni aparat, a potem wywołując. Trwało to może 10 lat. Dopiero w czasie okupacji skromną „Retinę” sobie kupilem.

Dziś w tym nieposiadaniu upragnionego aparatu widzę ważne ćwiczenie charakteru. Jak dobrą jest rzeczą nie mieć czegoś, do czegoś usilnie dążyć. Brak jest ważniejszy niż spełnienie – dążenie, by go zlikwidować, wyrabia powściągliwość, dodaje siły naszym marzeniom, które ogniskują się wokół tego, czego

nie ma, aktywizując naszą energię i wolę. Może późniejsza moja, uznana za żelazną, konsekwencja w dążeniu do zrealizowania raz powziętych zamierzeń, wyćwiczyła się na tym braku? A przecież byłem otoczony kolegami o wiele lepiej sytuowanymi, których zachcianki – posiadać rower czy strzelbę – spełniane były na co dzień.

Uważam, że dzieciom trzeba sprawiać sztuczne poligony niespełnionych pragnień, by nauczyły się dążyć nieodparcie do upragnionego celu.

Nie chodzi o to, że rodzice zupełnie nie spełniali moich pragnień. Niektóre tak – ale te mniej ważne. Na przykład wiatrówkę owszem, dostałem, z magazynkiem, ze sprężonym powietrzem – dziś w ogóle o niej nie pamiętam.

* * *

„Moje uniwersytety” – to też nie tylko matura w uroczystym stroju i egzamin składany na prawo czy medycynę. Znam uniwersytet i od strony tarć wewnętrznych, bo kuzyni czy kuzynki tam studiują i mówią mi na przykład o tzw. numerus clausus – ograniczeniu studiujących Żydów do pewnej zamkniętej liczby. Znane mi były Falanga czy ONR – w latach trzydziestych (Obóz Narodowo-Radykalny), które rzuciły hasła: „Kupuj tylko u chrześcijanina!”. To nie miało wiele wspólnego z dobrym handlem, lecz z tym, czy w sklepie zawieszony był krzyż, obrazek święty, czy też nie. Gdy wchodziło się do takiego sklepu, biada, jeśli nie zdjęto się czapki. Zaraz sklepikarz witał cię kąśliwą uwagą, prawie warknięciem: „w żydowskim sklepie pan nie musi czapki zdejmować, ale tu – tak!”.

Widziałem jako dziecko starcia studentów z policją, która pojawiała się często na koniach i uważała się za uprawnioną do używania przemocy. To była wówczas rola policjanta, a nie jak dziś – deliberować nad losem sprawcy.

Często kuzyni i kuzynki wracali ze studiów przejęci, żywo komentując aktualne wydarzenia na uczelni. Towarzysko nie należeli do kręgów uczestniczących w burdach antysemitycznych (tym zajmowała się tylko pewna grupa społeczna), ale trudno było to ścierpieć. Nasi znajomi byli katolikami, nawet gorliwymi – do Akcji Katolickiej należało wielu z nich. Moja rodzina trzymała się środka i wielu osobom z kręgu rodzinnego lewicowe poglądy Saturnina Spornego, bardzo skądinąd interesującego nauczyciela,

kuzyna mojej siostry ciotecznej, Marysi Sobierajówny – wydawały się niewłaściwe.

Były też okoliczności, że młodzież katolicka brała udział w manifestacjach i moi znajomi czy krewni wracali, opowiadając gorączkowo o przebiegu zdarzeń. Często słyszałem wówczas krytyczne uwagi o władzach. To wszystko były „moje uniwersytety” – nie tylko latarnia wiedzy, lecz miejsce, gdzie ścierały się różne poglądy i siły społeczne.

Zwornik Świata...

Początków wiary nie jest w stanie zanotować – ona istniała od zawsze. Cała rodzina Andrzeja była głęboko katolicka, niezależnie od tego, czy w orientacjach politycznych zbliżała się do Piłsudskiego, czy do Dmowskiego. Jak mówi on sam, dokument chrztu, jeden z najważniejszych, jakie przechowuje, podpisany w kościele Wszystkich Świętych na Placu Grzybowskim 3/5 w Warszawie, raz na zawsze przypieczętował jego przynależność do Boga. Odtąd życie jego upływało między domem, szkołą, lekturą, teatrem, Zachętą a kościołem, który był jednym z istotnych współczynników jego życia. Nie wspólnota wiernych liturgii w nabożeństwach decydowała o przynależności do wielkiego kręgu wierzących, lecz osobisty kontakt z Bogiem, jakiego nauczyli go wybitni znajomi księży i cała rodzina bliższa i dalsza, od lat zaangażowana w kościelną działalność społeczną i charytatywną. Nigdy nie było dla niego kryzysu wiary, zresztą w dwudziestolecie nic nie ewokowało jeszcze tej mody intelektualnej na ateizm, jaką obserwujemy dziś. Mówi: mody – bo nie dotyczy ona jego zdaniem, egzystencjalnych pokładów człowieczeństwa.

Ciotki – członkinie, a przynajmniej sympatyczki dobrze prosperującej wówczas Akcji Katolickiej, może dlatego właśnie zawsze były prężne, radosne, pełne wewnętrznej siły – takie je sobie zapamiętał – bo cechowała je prosta wiara, jaka powinna być, nie przemądrkowana, nie z lektur płynąca. Rodzina ciotek głęboko zżyta była z liturgią, obyczajem kościelnym, a ich pobożność bynajmniej nie udawana objawiała mu się, gdy widział, jak spacerują, modląc się po ogrodzie, czy ścieżkami polnymi. Była to rozmowa z Kimś, z Bogiem Osobowym. W takiej atmosferze wyrastał i wiara stała się częścią jego jestestwa.

Szwalbe milczy dłuższą chwilę, a potem mówi:

– *Nigdy nie miałem nawrotów niewiary, ateizmu, bo nie można wyszarpnąć czegoś, co część istnienia stanowi. Mam głęboką świadomość, że tylko z Bogiem jest się jako pewna całość. Co innego nasze małe zdrady, słabości. Takie uchybienia zagrażają nam stale, są w jakiejś mierze nieuniknione – bo jesteśmy tylko ludźmi. Ale nasza pewność i siła wyrasta z tego, że Bóg jest. On, Zwornik Świata, Ten, który Jest. I ta z Nim wieczność, nieskończoność, niewypowiedzialność. Od zawsze mam świadomość Osobowości Boga, który jest dla mnie Prawdą, Dobrem i Pięknem.*

Czuję, że budzi się w nim pasja polemisty, gdy kontynuuje:

– *Można posłużyć się definicją Mikołaja Kuzańczyka: „Bóg nie ma imion”, czyli jest „niekreślarny”. Judaści też uważają, że Bóg jest nienazwany, mają Boga za zupełne przeciwieństwo wszystkiego, co mieści się w naszym aparacie pojęciowym. Jeśli przyjmiemy więc, że nasza rzeczywistość jest rzeczywista – to należy rozumieć, że Bóg jest nierzeczywisty? Czyli Bóg jest nicością, jeśli my jesteśmy rzeczywistością? Nieprawda! Bóg ma wiele imion, dał się naszym władzom poznawczym poznać na różne sposoby, jest komplementarny we wszystkich imionach. Każdy filozof ma swój sposób widzenia Boga, mnie osobście bliskie jest platońskie pojmowanie Boga jako Prawdy, Dobra i Piękną, czy plotyńska albo neoplatońska teza o jedności Boga. Nie powinniśmy uniformizować pojęcia Boga, bo jest wszechogarniający i trudno powiedzieć, ile ma imion. W jednej jasnej definicji nie da się tego uchwycić. Jest w tym tajemnica, której nie rozwikłamy.*

Ktoś mógłby nazwać mój światopogląd niekonsekwentnym – bo w różnych filozofiach, kształtach i otoczkach Bóg mi się ukazuje, ale nie martwię się tym, bo tu konsekwencja byłaby dla człowiekaubożeniem Boga, widzeniem Go w tylko jednej postaci. Modłę się do Boga jako Prawdy, Dobra i Piękną, częściej widzę w Nim Stwórcę – i wówczas wylania się przed oczyma mojej duszy Jego sylwetka, zbliżona do Stwórcy – starca z baroku w złocistych promieniach słońca. Kiedy indziej przekonuje mnie wizja Rublowa: Bóg w trzech Postaciach, trzech Osobach różnych, jakże pięknych w swej jednej naturze. Wcale mi

nie przeszkadza, że przed chwilą odbierałem Go jako Absolut. Jest w takim widzeniu błogostawieństwo, bo rodzi ono tolerancję: dlaczego mój Bóg ma być lepszy od Boga, którego rzeźbiarz prymitywista przedstawił jako Frasośliwego Chrystusa? Może dlatego moja wiara nigdy szwanku nie poniosła.

Teraz lubię prywatnie podywagować o Bogu, czytając lekturę filozoficzną. Pochłania mnie lektura jako drążenie racjonalnych dróg do Boga, ale kiedyś nie znosiłem katechezy, uczyłem się tylko, aby zdać. Niezapomniane są wspomnienia z lat szkolnych, niedługo przed wojną, gdy groźny Bóg objawiał mi się na szkolnych mszach w kazaniach ks. Marcelego Nowakowskiego, w których Polska kreślona była na kształt Troi, mającej zginąć niebawem. Ten wspaniały ksiądz-prorok wzbudzał we mnie lęk. Głosił swe kazania dla młodzieży w kościele w jakimś zapamiętaniu czy natchnieniu. Podobno w senacie też wygłaszał płomienne mowy. Zginął z rąk hitlerowców podczas masowych egzekucji w 1940 r. w Palmirach.

Mój osobisty dialog z Bogiem trwa do dziś, a jest to najczęściej samotny spacer z modlitwą. Samotność kocham nade wszystko, choć kontakt z drugim człowiekiem też sobie cenię. Gdy jestem sam, chętnie rozmawiam z Bogiem. Świadomość drugiej Osoby tuż obok mnie – nieskończenie cierplivej, miłosiernej – uszczęśliwia mnie. To jest Najlepszy Towarzysz mych rozmyślań – może dlatego, że milczy. Z podjęciem rozmowy z Bogiem zawsze odczekuję na właściwą chwilę, tak jak z uroczystą wizytą: najpierw trzeba pomyśleć, co się powie.

* * *

Znalazłam w słowach Andrzeja Szwalbego wielką, prawdziwą prostotę, wynikającą nie tylko z uczuć, ale też z gruntownej wiedzy. Bo mała wiedza oddala od Boga – duża do Niego prowadzi. I przyznam szczerze: pozazdrościłam mu tego stosunku do Boga – żarliwego i stabilnego zarazem. Powiem więcej – uważam, że to jeden z jego największych sukcesów życiowych.

Niebo rozpada się nad nami...

– *Stale odbywały się ćwiczenia wojskowe i wojna coraz bardziej zaczęła wkraczać do naszego myślenia, lęków, obaw o przyszłość. Póki żyje Józef Piłsudski, czujemy się bezpieczni, wszystko wydaje się na swoim miejscu. A gdy on odszedł, nie widać ludzi, którzy w jego miejsce i rolę wejść by mogli. Wprowadzie utalentowany malarz, jakim był Rydz-Śmigły, bardzo dobrze się zapowiada, także pod względem wojskowym, liczymy na rozum polityczny Becka i staramy się wierzyć, że uda nam się uniknąć najgorszego. Ale przeczucia mówią co innego. Do dziś jest we mnie żywe wspomnienie chwili, która była jakby momentem iluminacji, ostrego i wyrazistego przeczucia tego, co ma nastąpić.*

Wieczór, a może wczesna noc. Z Płocka do Brochocinka wracam półleżąc na bryczce. Oglądam rozpostarty nade mną gwiazdny firmament. I myśl przesywa mnie nagła, że oto niebo rozpada się nade mną, pęka, gwiazdy pierzchają, wszystko zmienia się w nicość. Nie mogłem tej chwili wyostrojonej świadomości przypisać żadnemu impulsowi z Brochocinka czy Płocka. Zabrzmiała tu napięta struna ostrzeżenia, która coraz częściej odzywała się, potrącana przez wypadki. Później tak to sobie streściłem: zaczyna być naprawdę źle, gdy tracimy ostrość spojrzenia i żegnamy się z tą naszą tragiczną wizją – która jest w istocie swej jasnowidzeniem – na korzyść uludy, że jakoś to będzie. I gdy unoszeni z wolna fatalizmem (nie wolno tak postępować) z aktorów procesu dziejowego staliśmy się przedmiotem, tracącym statyczność i zeslizgującym się po równi pochyłej – ów ruch zapoczątkowany nieubłaganiem, powoli przybiera na prędkości.

Staramy się nie widzieć, że zaciska obrozę agresor, który wie, co czyni i rozpoczyna rachunek spodziewanych zysków, pochodzących z jego niecnego zamierzenia. Przeciwno temu agresorowi z gardła ofiary wydobywają się

pogróżki, a dzięki niewyzbytej chęci do wojowania – również nawoływania do podjęcia bitki. Od takiego momentu zaczawszy, już nie panując nad sytuacją, pragniemy tylko jednego – żeby się to wreszcie zaczęło. Tak opadając coraz szybciej, w końcu wpadamy w wir historii i możemy oczekiwać już tylko najgorszego. Odtąd, od takiej chwili wszystko zaczyna już działać według innej logiki, na którą nie mamy wpływu – gdy tylko i wyłącznie o przyszłości decyduje logika wojny.

* * *

I ta późna mądrość, którą składam w hołdzie Piłsudskiemu: on wiedział, że my jako naród wojnie rady nie damy, że łatwo zginąć możemy. Chory, resztką sił próbował ratować bieżącą sytuację, pokazać narodowi jedyną drogę: ciągłej obecności w polityce europejskiej, inicjatyw, ponoszenia nawet wielkich strat, żeby nie spadły na ojczyznę ciosy najgorsze, ostateczne. Gdy przyszło co do czego, zabrakło uczniów Piłsudskiego, jego bystrości spojrzenia. W końcu już w sytuacji bez wyjścia stoczyliśmy się do wojny, powołując się na najszczytniejsze ideały. Przekroczyliśmy ten Rubikon, przed którym on nas próbował ocalić. Ten człowiek o ogromnej przenikliwości politycznej i wielkim, wodzowskim talencie. Byliśmy gotowi największe wartości polskiej kultury, największe skarby narodowe sprzedać historii za tę cenę, że nawet „guzika nie damy”. Warto było więcej niż ów guzik przysłowiowy poświęcić, by 1 września 1939 roku nie obudzić się z rykiem bombowców nad głową.

* * *

1 września 1939 roku Andrzej miał być na Nowym Świecie z wizytą u „rodzinnej” dentystki, Sabiny Zdrojewskiej (z domu Ziółkowskiej). Jest piękny, ciepły wrześniowy ranek, na niebie ani jednej chmurki. Już wychodzi z domu, gdy zatrzymuje go wycie syren. Potem dowiedział się, że to pierwszy nalot na Warszawę – bomby spadają na peryferia. Na razie sytuacja nie wydała mu się groźna. A jednak jakiś wewnętrzny niepokój sprawił, że nie opuścił domu.

Rodzina Andrzeja ma powiązania z wojskiem. Kuzyn Praśniewski, podchorąży ze Szkoły Lotniczej, trzyma się prosto jak trzcina – elegancki, wysportowany, aż przyjemnie popatrzeć. Święcie wierzy w powodzenie armady powietrznej – tymczasem ŁOŚ, tak reklamowany na plakatach, nieobecny jest na niebie czasu wojny.

Andrzej nie jest człowiekiem wojny, nie odnajduje w niej podniet, żadnego smaku, który czują ludzie nastawieni militarnie. Być może wojna uczyni z nich bohaterów, wielu wprowadzi do narodowego panteonu. On z góry jest wyłączony z wojennych zmaganiań, wymagających dużego fizycznego wysiłku ze względu na owe szmery w sercu, które dr Glińska już w dzieciństwie rozpoznała, stwierdzając nieszczelność zastawki dwucztery trójdzielnej. I już wówczas, na zajęciach fizycznych, zwolniony był od intensywnych marszów, biegów czy wyczynów na bumie, jak nazywano w szkole drąg do wykonywania kozłów. Zawsze po przebiegnięciu paru metrów musi przystawać, odczuwa też specjalny rodzaj załęknięcia wobec większych prób i testów, wymagających siły fizycznej. W ogóle nie wyobraża sobie siebie jako sprawnego żołnierza. Tak więc z miejsca w czasie wojny ustawia się niejako na jej marginesie.

Gwoli ścisłości należy tu dodać, że owszem, w szkole, na lekcjach przysposobienia wojskowego wyrabia sobie stopień dobry ze strzelania, gdzie zdobywa z reguły wysoką przeciętną – i na tym przymierze z PW się kończyło. Nauczył się też czytać mapy, odbywać niedalekie ćwiczebne marsze w laskach podwarszawskich, czy w okolicach „Rejówki”, gdzie szkoła miała dom wypoczynkowy własny dla prowadzenia nauki w warunkach rekreacji. Tam też młodzież odbywała paramilitarne zajęcia, nocne marsze z latarkami wśród zasadzek, tropów, poszukiwań grupy przez grupę. Na tydzień takiej rekreacyjnej nauki udawał się co pewien czas z klasą do „Rejówki” – tam ćwiczyło się obronność ogólną. I to wszystko.

* * *

Pamiętne pierwsze dni września miały atmosferę niepowtarzalną, której trudno się było oprzeć. Andrzej kilka dni wytrzymał w domu i na fali

uniesienia, potęgowanego przez komunikaty radiowe typu: „Uwaga, przekroczył!”, „Nadlatuje!” – wdział mundur przysposobienia wojskowego i nie bacząc na markotne spojrzenia rodziców, udał się na ulicę Chłodną, do koszar Związku Peowiaków. Było tam trochę takich jak on – wszyscy zostali przyjęci, dostali stare karabiny bez amunicji. No, ale nie pozbyto się ich, nie gaszono ich chęci brania udziału w wojnie w sposób bezpośredni. Jędrak czuł jednak wyraźnie, że są bardziej zawadą niż pomocą.

Naloty na Warszawę były coraz częstsze. Wówczas wszyscy udawali się do żołnierskich schronów na Chłodnej. Był przekonany, że to solidne betonowe schrony, z jakich korzystają żołnierze na linii frontu. Raz podczas nalotu zastukał w strop, by sprawdzić siłę betonu – i owo stukanie odezwało się echem dykty. Była to więc atrapa, Potiomkinowski wyczyn – a może pomieszczenie przeznaczone do innych celów? Niemniej beton był mirażem, a dykta rzeczywistością i w tym uosabiał się symbol wszystkiego, co teraz działo się wokół.

A działy się rzeczy straszne. Pamięta, jak do koszar na Chłodnej zajechał motocykl. Ten, który nim kierował, zamienił parę słów z wartownikiem, po czym wjechał na podwórko. Wysiadło dwóch mężczyzn zakurzonych, zmęczonych, zdjęło maski i okulary. Okazało się, że to był ojciec z synem. Spytaliśmy, skąd są. – Z Bydgoszczy – odpowiedzieli. – Co tam się dzieje? – tłoczymy się wokół nich – Powiedźcie, jak znakomicie odpieracie ataki Niemców?

Spuszczają głowy, nie chcą mówić. Po jakimś czasie wyciskamy z nich przerażające wiadomości: tam w Bydgoszczy krew się leje po ulicach. To ze strony Niemców, ukrytych na dachach domów, padają strzały w kierunku cofającego się polskiego wojska.

Czy ci dwaj byli to Polacy, którzy uszli przed „krwawą niedzielą”, czy też może zamieszkali w Bydgoszczy Niemcy, którzy uchodzili przed spodziewanym odwetem?

* * *

To wegetowanie w koszarach na Chłodnej niczemu właściwie nie służyło. W końcu przyszedł ojciec i pod jakimś pretekstem zabrał Andrzeja do

domu. Niedługo radio podało wiadomość, że pułkownik R. Umiastowski żąda od wszystkich mieszkających w stolicy mężczyzn natychmiastowej ewakuacji. Był to rozkaz całkowicie przedwczesny – przecież Warszawa miała się bronić.

I tak ojciec z Andrzejem rozpoczęli swój smutny exodus. Pożegnali się z matką, która na drogę wepchnęła im jakieś wiktuały, ciepłe swetry, skarpetki. I z tymi skromnymi węzełkami w trójkę, wspólnie ze Zbigniewem Sobierajem, idą na wschód, w tułaczę i nieznaną wędrówkę. Przekraczają Wisłę mostem Poniatowskiego. Na dwóch wieżach u jego wrót stoją wymierzone w niebo działka artylerii przeciwlotniczej. Chwilowo nie ma jednak, na szczęście, nalotów, most przejść można by bez przeszkód, gdyby nie straszliwy tłok – uchodzący z Warszawy jej mieszkańcy tworzą ludzką masę, która rusza oto w niewiadomą.

Nikt z wojskowych, których spotykają w stanie rozsypki, nie wie, co doradzić. Decydują się iść w stronę Lublina, jak większość stłoczonych, przerażonych i zdezorientowanych ludzi, którzy nie wiadomo po co wyruszyli w tę nieszczęsną drogę donikąd. Dla wielu okazała się ona ostatnia. Zwłaszcza ci, którzy szli szosami, drogami, śmierć znaleźli pod kulami myśliwców niemieckich, wycinających cywilną ludność w pień z lotu koszącego.

Oto widzimy Andrzeja z ojcem i wujem, jak przeciskają się zapobiegliwie przesiekami, wąskimi drogami polnymi, unikają głównych, potwornie zapchanych zarówno przez tłum, jak i wojsko, które się ewakuuje, idąc z pomocą ku Warszawie. Lasy są też zdradliwe – lepiej iść wieczorem czy wczesnym rankiem. Nocą wybierają miejsca oddalone od drogi, szukają schronienia w gęstwinie. Razu pewnego, gdy ułożyli się do snu w cieniu jakiegoś rozłożystego dębu i zasnęli snem krótkim, twardym, a czujnym – budzi ich nagle jakiś potworny trzask. To z wielkim łoskotem upadło tuż obok nich pozornie zdrowe drzewo, zamiatając po drodze mniejsze. Niemcy ostrzeliwali te lasy i wiele drzew, podciętych ogniem karabinu maszynowego, stało dalej do momentu, gdy kładł je silniejszy podmuch wiatru.

Odtąd wybierali na odpoczynek stogi na międzyleśnych polanach. Zasztywali się w słomę i śmiertelnie znużeni, momentalnie zasypiali, ze zdziwieniem rejestrując głosy przebudzonych leśnych czy błotnych ptaków –

tak oderwane i niezwykle w wojennym pejzażu, gdy dookoła słycać było tylko tępe odgłosy detonacji.

Rzadko udało się uzyskać nocleg w przepelnionych dworach, czasami w wiejskiej chałupie, ale szybko trzeba było uchodzić, by nie stwarzać zagrożenia dla wieśniaków. I tak odbywając tę przymusową wędrówkę Andrzej znowu poznawał z autopsji polską wieś – tym razem na Lubelszczyźnie, gdzie chałupy zachowały charakter nieskażonej ludowej architektury, a ludzie mówili czystym, polskim językiem. Trudno zaiste było podczas tej wielkiej ucieczki objąć spojrzeniem poznawczym wieś lubelską, ale jej obraz zaczął się formować w jego wyobraźni.

Stale szli na południowy wschód, słysząc coraz wyraźniej, jak zagony niemieckie nieubłagane zbliżają się, ogarniają horyzont, przecinają drogę. Nad nimi nieprzerwanie trwał złowieszczy parasol Luftwaffe. Czuli się jak osaczona zwierzyna, tracąca już nadzieję, że ujdzie z życiem. Towarzyszył im wciąż zapach spalenizny, nawet las nie pachniał swym wspaniałym aromatem, wszędzie snuły się dymy podpalonych chałup chłopskich, krytych słomą. Miasteczka, przez które przechodzili, albo już były wypalone, albo właśnie płonęły. A nad całym tym upiornym pejzażem wojny rozkładał się niemiłosierny upał polskiego września.

Gdzie są nasi? – dręczyła ich uporczywa myśl, ale mało kiedy znajdowali odpowiedź na to pytanie. Rzadki był moment, gdy idąc wzdłuż pierzei leśnej dostrzegali nagle błysk samolotów. Błyskawicznie kryli się między drzewami, by za chwilę wykrzyknąć chórem:

– Boże! Przecież to polskie Karasie!

Cała ich eskadra poderwała się gdzieś, chwilę radowała oczy i rychło zniknęła na bezchmurnym niebie, czyniąc jeszcze bardziej samotnym i niepewnym los polskich uchodźców, bezradnie szukających jakiejś wysepki ocalenia na szerokich równinach Lubelszczyzny.

* * *

Jeszcze kilkanaście kilometrów i zaprzestali marszu. Tu jakoś mniej było uciekinierów – znaleźli schronienie u pewnego ogorzałego Żyda-rolnika,

żyjącego z gospodarki mlecznej. Jego rodzina zachowywała całą żydowską tradycję. Przyjął ich bardzo gościnnie, częstował świetnymi serami własnej roboty, ale nie taił, że sytuacja zmienia się z minuty na minutę i że stanowią dla jego rodziny zagrożenie – ich obecność rozdrażni Niemców, którzy za chwilę mogą nadejść. Trudno było zaprzeczyć sile jego argumentów. Ruszyli więc w dalszą nieprzerwaną drogę, a kończyli wędrówkę w zupełnie innej scenerii, gdy dookoła znajdowały się tylko oddziały niemieckie, a naszych nie można było uświadczyc nawet na lekarstwo. W tych warunkach przedzierał się z powrotem na piechotę do Warszawy. Co rusz natrafiali na krzyże i naprędce usypane kopczyki – znak, że kogoś w pośpiechu chowano. Mijali mogiły żołnierskie, cywilne i dalej przemierzali tę utkaną grobami pustynię, jaką wojna uczyniła z ziemi żyznej i pięknej.

Ile razy podczas tego koszmarnego marszu rajem odległym i utraconym zdawał się Brochocinek, Ciechocinek, Płock. Andrzej wiedział, że tamten, wydawałoby się, bezpieczny i niepodważalny ład usuwa mu się spod nóg i staje oto z bliskimi wobec czegoś absolutnie niewiadomego i nieprzewidywalnego. Czyżby jego świat rozpadł się definitywnie, a rozpoczął się absurdalny, wyniszczający wszystkie siły narodu kataklizm, w którym utonie ułuda harmonijnej egzystencji, opromienionej światłem kultury, nauki, sztuki?

* * *

Na razie trzeba było ratować życie. Okazało się, że matka szczęśliwie przeżyła oblężenie Warszawy i tylko mieszkanie należy sprzątnąć z gruzu i szkła, którego sterty wypełniały podłogi. Dom przy Oboźnej 9 jednak ocalał!

I znowu można było zobaczyć z jego okien, jak powoli nasi dobrzy znajomi z widzenia – aktorzy i pracownicy techniczni sceny – zaczynają Teatr Polski sprzątać, przywracać do użytku. Życie pozornie wracało do normy. I tak ojciec powrócił do Urzędu Skarbowego, jak wszyscy urzędnicy. Zaczęła bowiem od nowa pracę Izba Skarbowa. Warszawa, raniona i poddana, po nierównej walce przyczaiła się, pozorując zwyczajność i codzienny rytm życia. Ale kto znał nieugięte jej serce, wiedział, że to tylko pozory.

Andrzej, przestrzeżony wcześniej przez znajomych przed brakiem jakiegokolwiek pracy – co z reguły źle się kończyło, bo wywózką do Niemiec – w trosce o ausweis zaczyna się jako goniec w zaprzyjaźnionej firmie obywatelskiej pana Grędzińskiego, rychło jednak przenosi się do Izby Skarbowej, gdzie również startuje jako goniec, pomocnik referenta, referent. I tak nieprzerwanie trwa w skarbowości do 1944 roku również dlatego, żeby móc się uczyć – zdążył przecież zaledwie zdobyć małą maturę.

W końcu 1939 roku wraca do swych funkcji – na kilka dni zaledwie – jego Gimnazjum im. Mickiewicza rychło zostaje zamknięte – i wówczas w całej Warszawie nauczanie schodzi do podziemia, stając się jedną z ciekawszych jego dziedzin. Nauczycielstwo zdaje patriotyczny egzamin, organizując komplety – normalną edukację w nienormalnych warunkach. Działają w Warszawie różne szkoły pod płaszczykiem zawodowych, na przykład Prywatna Szkoła Zawodowa dla Kształcenia Personelu Leczniczego – na Krakowskim Przedmieściu, zwana szkołą Zaorskiego. To był ukryty Wydział Lekarski Uniwersytetu Warszawskiego. W ogóle szkolnictwo wyższe było bardzo skomplikowane w swej strukturze. Działał też Uniwersytet Poznański niezależnie od Warszawskiego i miał świetnie zorganizowaną sieć.

* * *

Tak zwane komplety – to klasy podzielone na ośmio-, dziesięcioosobowe grupy, uczące się w mieszkaniach prywatnych pod okiem pedagoga. Odbywają się normalne wykłady, klasówki, zadawane są prace domowe. Stale zmienia się miejsca spotkań, jest pełna konspiracja. Jesiennym zmrokiem czy zimowym popołudniem przemykało się pojedynczo do umówionego mieszkania, siadało wokół stołu, często przy śmierzdzącej karbidówce. Wychodziło się też pojedynczo lub dwójkami, by nie zwracać uwagi sąsiadów czy przechodniów.

Na Oboźnej 9, w mieszkaniu Szwalbów, też odbywały się komplety. Podręczniki krążyły między znajomymi lub kupowało się je na wózkach na wyprzedazy, przy Świętokrzyskiej. Ich cena stale rosła, bo nowych nikt

nie drukował. Zużyte przekazywało się następnym, profesorowie pomagali w ich zdobywaniu, reszty dopełniały wykłady. Jakich wspaniałych mieliśmy profesorów! Andrzej do dziś pamięta historyka, prof. Drewnowskiego, jego wielki zasób wiedzy z dziedziny ustroju, konstytucji, demokracji zachodnich.

– Nie byłem w stanie tej ogromnej wiedzy zakumulować i nawet dziś uświadamiam sobie – przymuszony pracami nad aktualnym ustrojem, regionami, repywatyzacją, samorządem – że pewne szlaki myślowe o państwie demokratycznym przecierał dla mnie prof. Drewnowski z Gimnazjum im. Mickiewicza. Ten wybitny naukowiec rozstrzelany został przez Niemców jeszcze przed powstaniem – może właśnie komplety czy inna działalność konspiracyjna była przyczyną jego śmierci?

Profesor Kubicki – polonista (też z Gimnazjum im. Mickiewicza), mieszkający przy ulicy Koszykowej naprzeciw Biblioteki Narodowej – też wiedzę miał przednią. To był typ nieuczuciowca, człowieka dalekiego od emocji, nie unoszącego się łatwo nad pięknnością polskiej literatury. U niego liczyło się nie zręczne żonglowanie metaforami, zgrabne alegorie, frazesy – lecz konkretna wiedza z historii literatury. Wszystko trzeba było uwarunkować historycznie, wykazać się znajomością dzieła – nie można było zasłaniać się biografią twórcy – chodziło o dzieło osadzone w społecznym kontekście. Takie z gruntu nowoczesne podejście do tekstu literackiego nam przekazał.

To tajne nauczanie nie było bezpieczne. Często dochodziły wieści, że przestawały działać różne komplety, a ich uczestnicy – rówieśnicy z różnych szkół – wpadali całymi grupami. Czy mieli szczęście wyjść z tych opresji, czy też opłacali je życiem. Słyszało się o tym nieraz, ale nikt nie rezygnował. Jakoś przywykło się do życia w zagrożeniu i swoistego podwójnego myślenia. Rano biegło się po chleb kartkowy, bułki, mleko, wracało do domu, by zjeść śniadanie, potem praca gońca czy urzędnika. No, a po południu komplety, by wrócić do domu przed godziną policyjną. Trzeba się było oswoić ze świadomością, że w każdej chwili można być ujętym – w drodze do domu, kupując chleb. Nawet z urzędu, gdzie wydawało się w miarę bezpiecznie, Gestapo pewnego dnia wyłowiło przygarbionego

kasjera w okularach i już więcej nie wrócił, a po paru tygodniach przyszła wiadomość, że nie żyje.

Jakoś trzeba było żyć, choć łapanki odbywały się na ulicach, zajeżdżały budy, wpychano przypadkowych ludzi i wieziono na Pawiak jako zakładników. Za parę dni pojawiały się plakaty z nazwiskami rozstrzelanych w trakcie egzekucji ulicznych. Te monstrualne i nieprawdopodobne w swej zwykłości zjawiska należało wmontować do rachunku dnia codziennego. Człowiek godził się z myślą, że każdy dzień jest darowany. Wszystko stało się takie codzienne, nawet banalne: nauka, praca, aresztowanie, rozstrzelanie. To były składniki normalnego życia. I zwykłością był fakt, że niebezpieczeństwo czaiło się wszędzie. Szło się ulicą, a tu raptem tupot, ktoś ucieka, ktoś goni, strzela – a my znajdujemy się między nimi. I co robić, gdzie uciekać, schronić się? Właściwie nikt z tego uczestnictwa w wojnie nie był wyłączony.

* * *

Jako humanista nieobdarzony zdolnością do wojennego bohaterstwa Andrzej zdawał sobie sprawę, że wojnę przeżyje na jej marginesie. Ten brak wyrównywał odwagą cywilną. No, cóż, natura dzieli uzdolnienia, predestynuje do pewnych ról. Jednym pozwala spełnić patriotyczne marzenia, dając im świadomość, że ojczyźnie potrzebni są przez walkę. On, ze względu na liche serce, stworzony był do życia cywilnego, w upartym dążeniu do celów, które, czuł to, kiedyś, w pokojowych już czasach, postawi przed sobą i zrealizuje. I całe powojenne pięćdziesięciolecie to poświadcza.

Swoją drogą ciekawa była ta jego spokojna świadomość, że teraz nie jest jego czas, że powinien tę pożogę przetrwać i wówczas coś innego, bardziej pozytywnego zdoła zrobić. Cechowała go niemal wewnętrzna pewność, że to nastąpi. W najgorszych chwilach Powstania na Woli, gdy od śmierci nie oddzielało go właściwie nic, gdy znajdował się w ściślejszej jej strefie – przekonanie, że przetrwa, bo musi dokonać w przyszłości czegoś ważnego, nie opuszczało go tak naprawdę nigdy. I to dawało poczucie jak gdyby niewidocznego pancerza obronnego, o który rozbijały się wszelkie zagrożenia.

Czy to był naturalny dystans, jaki musi odczuwać intelektualista, gdy staje wobec krwi i przemocy? Wówczas nie zastanawiał się nad tym, a dziś odpowiada sobie – chyba nie. Przecież Kamil Baczyński, wspaniały, żarliwy poeta – tak wysoko stojący intelektualnie – miał w sobie przecucie naznaczenia czy napiętnowania, a może nawet przeznaczenia ku śmierci, ale nie chronił się, przeciwnie, jako żołnierz AK zginął w pałacu Blanka w czasie jednego z pierwszych powstańczych dni.

Zanim otrzyma tę bolesną wiadomość o śmierci wielkiego poety, Andrzej spędzi cztery długie wojenne lata oddany tylko kompletom, przekonany, że ojczyźnie odda we właściwy sobie sposób to, co powinien. Docierające co pewien czas wiadomości, że koledzy w konspiracji odznaczeni ginęli, nie pobudzały go do naśladowania. – Nic tu po mnie – myślał. I dziś zadaje sobie pytanie zasadnicze: gdyby więcej było takich oportunistów jak on – czy w istocie nie byłoby lepiej, bo Polska mniej by się wykrwawiła... Rozumiał, że wkoło ludzie nie kierują się żądzą wojennej przygody, lecz działają z pobudek patriotycznych. Tak wychowała ich szkoła.

Młodzieżowa konspiracja spod znaku Szarych Szeregów mogła zaistnieć tylko dzięki szkole ówczesnej, która przygotowywała do czynu zbrojnego przez stawianie wzorców. Wszystkie te uroczyste spotkania uczniów z Marszałkiem, ich przemarsze z zapalonymi pochodniami w rocznice powstań. Późniejsza konspiracja była im niemal przeznaczona i wykazali w niej wiele bohaterstwa. Podczas gdy Andrzej żył tylko kompletami, oni odbywali szkolenia z bronią w ręku w podwarszawskich lasach.

Czy to była ta właściwa, szlachetna metoda kształcenia całego pokolenia ku walce i pięknej, bohaterskiej śmierci? Dziś Andrzej nie cofa uwielbienia dla szkoły, czuje się dłużny wobec jej nauczycieli, ale sam nie odczuł tego objawienia, by iść drogą przez nich wskazaną. I to pytanie nie daje mu spokoju: czy nie był to błąd generalny, że całe pokolenie, uwiedzione mi-tem bohaterskiej walki, szło ku katastrofie bez żadnych oporów? To była postawa przejęta po XIX-wiecznych poprzednikach – czyż nie powinna ulec rewizji?

Olgiard Wilczewski, jego kolega, który zginął w czasie wojny, miał w sobie to naznaczenie ku śmierci tak charakterystyczne dla Baczyńskie-

go. Już przed wybuchem wojny zbierał kolegów poza programem szkolnym, by dowodzić zastępem rówieśniczym, złożonym z pięciu czy sześciu osób. Nie wiedząc jeszcze o jego śmierci, Andrzej spytał kiedyś jego rodziców: – Co z Dzikim? Nic nie odpowiedzieli, płakali. Jego ojciec był urzędnikiem Ministerstwa Skarbu i miłośnikiem Mozarta. Znali się jeszcze z czasów Gimnazjum im. Reja. On kochał muzykę, a Andrzej uwielbiał Mozarta i gdy bywał w ich domu, zawsze grywał jego utwory na prośbę ojca Dzikka.

* * *

Teraz nie tracił głowy w czasie alarmów, do piwnic schodził spokojnie, bez paniki, wytrzymywał ze stoickim spokojem ryki bombowców, ich pikowanie, złowieszczy świst spadających bomb i tę chwilę niepewności: wybuchnie obok czy dalej?

Nie był człowiekiem wojny, ale zdawał egzamin z cywilnej odwagi poprzez udział nie tylko w konspiracyjnej nauce, ale i jej organizacji. Kiedyś, gdy już studiował prawo na kompletach Uniwersytetu Warszawskiego, otrzymał polecenie opracowania skryptu na temat prawa na Zachodzie Europy, na podstawie wykładów prof. Jakuba Sawickiego i notatek kolegów. Nawiasem mówiąc, odezwała się wtedy w Andrzejku żyłka literacka – przedstawił nie tylko samą suchą dysertację na tematy prawnicze, lecz podbarwił ją swą wyobraźnią, ukazując zamczyska zachodnich feudałów, ich wygląd, otoczenie, krajobrazy średniowiecznej Europy. Był przekonany, że prof. Sawicki przyjmie tę literacką wersję swych wykładów dobrotliwie, tymczasem on skrypt radykalnie skrytykował, lecz ponieważ nie było lepszego, należało go wydrukować na powielaczu, wystarać się o papier – i tu wkraczało się w obszar zagrożony dużym ryzykiem, nawet karą śmierci. Ale razem z kolegą Andrzej zrobił to. Potem ów kolega o nazwisku Uhma trzymał te wydrukowane skrypty u siebie w wielkim bloku w pobliżu mostu Kierbedzia. Razem przenieśli stamtąd parę paczek po kilkadziesiąt kilo każda – przez plac Saski do drogerii wuja Zbigniewa przy placu Dąbrowskiego. Bo u wuja właśnie,

w jego przepastnych pakamerach, postanowili paczki zmagazynować i stamtąd rozdawać je studentom.

Co wówczas czuł, gdy szli tak przez wymarłe tylko pozornie ulice okupowanej Warszawy, dźwigając tę „bombę”, co prawda z ładunkiem papierowym, ale „zagrożającą” egzystencji Trzeciej Rzeszy?

* * *

Warto jednak przypomnieć, jak dostał się na prawo – bo będzie to przyczynek do jego determinacji.

Otóż muzyce nigdy nie zamierzał się poświęcić. W 1941 roku, po zdaniu matury na kompletach w Gimnazjum im. Mickiewicza – przez rok przygotowywał się do tajnych studiów medycznych, prowadzonych w Warszawie przez prof. Zaorskiego. Ale tu obowiązywał konkurs świadectw i egzaminy bardzo ostre. Usilnie przypominał sobie wiadomości z chemii organicznej, przechodził rozszerzony kurs anatomii. Ten rok stracił, jak mówi, na szczęście dla medycyny.

Presja środowiska była taka, że coś studiować musiał bezwarunkowo. Wybrał więc prawo i zagłębił się w propedeutyce tego przedmiotu (na przykład podręcznik Henryka Struvego *Logika elementarna. Podręcznik dla szkół i samouków*), wertował przedwojenne dzienniki ustaw, czytał prace z zakresu historii prawa i ustroju państwa. Jeden z dalekich powinowatych, inteligentny i błyskotliwy mąż kuzynki Majewskiej, wprowadzał go w pojęcia prawnicze. Jednak żeby się dostać, trzeba było mieć jakieś dojskie, bo uniwersytet konspirował się i bez poparcia nie przyjmowano. Ojciec jego nauczycielki muzyki, sędzia Prokuraturii Generalnej, Sukiennicki, może by mógł protekcji udzielić, ale nie było to nic pewnego, a czas uciekał.

Wtedy Andrzej pewnego pięknego dnia zdecydował się na krok desperacki. Dowiedziawszy się adresu dziekana Wydziału Prawa UW, prof. Józefa Rafacza, wykazał dużo cywilnej odwagi, a nawet bezczelności. Mieszkanie profesora mieściło się na Nowym Zjeździe. Wdrapał się na drugie piętro i zadzwonił. Drzwi lekko uchylił godny pan z włosami uczesanymi ku górze. Patrząc na intruza wnikliwie i nie zdejmując łańcucha, spytał ostro, bo czasy były niebezpieczne:

– Czego sobie życzysz?

Andrzej wyglądał tak chłopięco, że profesor odezwał się do niego przez „ty”.

– Ja chcę na prawo.

– To nie tu.

Już miał zamknąć drzwi, gdy Andrzej niespodziewanie dla siebie samego wstawił nogę między drzwi, nie pozwalając ich zatrzasnąć i wyszeptał niemal błagalnie, ale z siłą:

– Niech pan mnie ratuje!

Profesor był niezłym psychologiem i musiał wyczuć coś ogromnie prawdziwego w jego głosie. Zrozumiał, że to nie prowokator. Otworzył drzwi, zaprosił do wewnątrz i rozmawiał bardzo życzliwie z tym nieznanym sobie chłopcem, który wykazał tyle charakteru w walce o swoją przyszłość.

Ta szarża na mieszkanie prof. Rafacza okazała się decydująca. Oczywiście trzeba było mieć jeszcze poręczenie Jana Pipreka, germanisty, którego Andrzej znał z Gimnazjum im. Mickiewicza – na tajnych kompletach u prof. Piętki. To z łatwością otrzymał. I tak finał życia okupacyjnego, rok akademicki 1943/44, minął na owych kompletach prawa. Odbywały się one m.in. przy ulicy Siennej. Również w mieszkaniu Andrzeja miał swój wykład nieoceniony prof. Rafacz. Inni wykładowcy też byli wybitnymi naukowcami, choćby wspomniany doc. dr Piętka – prawdziwa znakomitość w zakresie prawa rzymskiego.

Jędrzek zdaje egzaminy I roku, co zostaje poświadczone przez profesora Wydziału Prawa, Włodzimierza Kozubskiego – a jest to zaświadczenie honorowane po Powstaniu przez Uniwersytet Jagielloński w Krakowie. Zostanie immatrykulowany na II rok Wydziału Prawa UJ. Nadchodzące wakacje 1944 roku są dla stolicy najbardziej dramatyczne. Tragiczny powstańczy zryw przekreśli warszawską egzystencję Jędrka. A potem krążyć będzie wraz z rodzicami między Warszawą, Płockiem i Ciechocinkiem. Jak większość warszawiaków, będą to bezdomni, prawdziwi nędzarze Europy – cały dorobek życia, dach nad głową stracą w sierpniu 44.

Uczestnik nieludzkich zdarzeń

Jak przedstawić to wielkie i tragiczne theatrum Powstania Warszawskiego, choćby w jego tak strasznym fragmencie, jakim była rzeź Woli? Przecież nie wystarczą tu cytaty z podręczników historii. W nich zawarte są tylko suche fakty w rodzaju: w dniach 5 i 6 sierpnia zginęło ponad 50 tysięcy mieszkańców Woli – 1/4 wszystkich ofiar Powstania. I określenie, które pada przy okazji podawanych cyfr – że była to prawdziwa hekatomba.

Być naocznym świadkiem i uczestnikiem takich nieludzkich zdarzeń, doznawać ich na własnej skórze – jakże okrutne to zrzędzenie przeznaczenia. A taki los przypadł w udziale Andrzejowi Szwalbe. Zanim pokażemy go wśród płonącej Woli, przywołajmy jednak tę książkową wiedzę o tamtych sierpniowych dniach.

Masowe mordy na Woli były wynikiem postawy jej mieszkańców. Tutaj bowiem działania bojowe 1 sierpnia 1944 roku wyprzedziły oficjalną godzinę rozpoczęcia powstania – około 16.00 padły już pierwsze strzały na placu Kercelego, mobilizując siły niemieckie tej dzielnicy Warszawy. Krwawe walki toczyły się do zmroku między źle uzbrojonymi powstańcami (III Obwód) a pancernymi jednostkami wroga. Oddziały Kedywu Komendy Głównej AK pod dowództwem podpułkownika Radosława odniosły na początek jakiś sukces: Wola stanowiła osłonę dla Śródmieścia. Stąd zajadłość sił niemieckich w jej niszczeniu. Pod hasłem „każdego mieszkańca zabić, nie wolno brać żadnych jeńców” rozpoczął się 5 sierpnia szturm na Wolę.

Mówi Andrzej Szwalbe:

– Gdy tylko oddziały Reinefartha i Dirlewangera przesunęły się wzdłuż ul. Wolskiej – specjalne oddziały, wśród których znajdowali się kryminaliści, a tak-

że Łotysze i Ukraińcy, zaczęły wywlekać na tyłach natarcia dzieci, kobiety, starców i nie bacząc na nic, masowo rozstrzeliwać. To był terror o niespotykanych rozmiarach – dla zastraszenia powstańców i zmuszenia ich do poddania się. Zdobyte i zajęte domy były przez Niemców systematycznie palone.

Wypowiedź Andrzeja wspieram cytatem z *Powstania warszawskiego* Jerzego Kirchmayera (Książka i Wiedza, str. 260): „W tym morzu krwi i ognia, rozlewającym się na Woli, w ślad za postęпами niemieckiego natarcia, chciał Himmler rękoma uzbrojonych po zęby policjantów Reinefartha i kryminalistów Dirlewangera utopić Powstanie”.

Andrzej wraz z rodzicami był w samym oku cyklonu. Mieszkali wówczas na Woli przy ulicy Chłodnej 8, tuż obok kościoła św. Karola Boromeusza, gdzie odbywały się wstępne segregacje ludności, pędzonej z Woli w kierunku kościoła św. Wojciecha. Część osób rozstrzeliwano na miejscu, a na skwerku przed kościołem chowano trupy. Tuż obok stał dom, w którym mieszkał Andrzej z rodziną.

Niemcy atakowali cofające się oddziały AK właśnie wzdłuż Chłodnej na wysokości jego domu. Najbardziej dramatyczny był piąty dzień powstania – pierwszy dzień ich exodusu.

* * *

– Siedzieliśmy jeszcze w piwnicy po niespokojnej nocy. Nagle jeden z AK-owców wpada do naszej piwnicy i prosi o klucze do mieszkania, żeby cofający się oddział miał lepsze pole do ostrzału. Za moment rozlega się seria strzałów w kierunku stropu. Żołnierze niemieccy stają u progu piwnicy, wrzeszcząc: „Alle raus!”. Musimy błyskawicznie wyjść, nie będzie żadnej ewakuacji.

Dookoła płoną wszystkie domy i my pod lufami niemieckich karabinów, w ogniu broniącej się AK, pędzeni jesteśmy wzdłuż Chłodnej w stronę Elektoralnej – tam, gdzie niedaleko wznosi się barykada. Widzę stojącego na niej, wychylonego do pasa dowódcę AK z lornetką. Zrozumiałem, że my jako żywe tarcze – osłona atakujących Niemców, mamy dopaść do barykady i ją rozbierać. Na szczęście AK-owcy dostrzegli to i wycofują się. Mężczyźni z naszej grupy zaczynają rozbierać barykadę...

AK zajmuje następny posterunek obronny, a nas niemiecki oficer zaczyna pędzić na zachód, do ulicy Wolskiej. My z ojcem trzymamy w rękach węzółki – przygotowując się na najgorsze, mamy w nich również dokumenty.

Gnani wśród tego straszliwego upału – a żar leje się z nieba i nie tylko, bo wszystkie domy płoną z obu stron i powietrze tężeje od dymu – biegniemy ulicą Wolską, nie wiedząc, że matka wraz z jakimiś kobietami idąc ul. Żelazną doszła do przecznicy i tam między oddziałami frontu prześlizgnęła się do śródmieścia pod skrzydła naszych. To się wyjaśni dopiero po powstaniu, w cudownym spotkaniu w Krakowie.

Biegli ulicą Wolską wśród ogromnej ilości trupów po obu jej stronach. Niemcy układali je potem w stosy i podpalali. Mordowano bezwzględnie tych, których wcześniej wypędzono z domów i piwnic – a oni mieli to szczęście, że zgodnie z zasadami prawa międzynarodowego na miejscu nie wykonano na nich egzekucji. Tylko pędzono ich – dokąd? Przez to płonące, upiorne miasto, miasto konające... Oto opanowała ich jednostka ukraińska z młodym, przystojnym studentem na czele, który, jak na standard tych koszmarnych dni, zachowywał się dość przyzwoicie. Wyczuwało się nawet jakby cień jego życzliwości w stosunku do nich, ale niepewność dalszego losu była torturą.

– Dochodzimy do skrzyżowania z ulicami Żelazną i Towarową, gdzie rozpościera się ogromny plac. Na lewym chodniku – widzę – stoi ciężki karabin maszynowy z naładowaną taśmą, a z drugiej strony sterta ludzkich ciał. Dech zamął nam w piersiach, bo właśnie każą wspinać się nam po tej stercie, tam gdzie przed chwilą szli przed nami ci rozstrzelani. Ustawiają nas nawet na zwalach zabitych w jednym czy dwóch rzędach, bo Niemcy są bardzo systematyczni. Czuję, że noga grzęźnie mi w czyjejsz czaszce. A więc to już. Ogarniam wzrokiem żywych i martwych, i to otaczające nas morze płomieni.

Błyskawiczna refleksja: to mój ostatni ogląd świata? Poczucie osaczeniu i zamknięcia, zagrożenia nieprzeniknioną ciemnością, w którą oto wejść. I jakiś wielki, bezbrzeżny smutek, że to wszystko tak nieludzko się dopełnia... Nagle widzę, czy czuję, że ojciec wychyla się przede mną, zastłania swoim ciałem, obaj czekamy na to, co ma nieuchronnie nadejść, ale on nie bacząc na nic, stwarza mi jeszcze tę małą szansę.

Po długim, trwającym kilka minut (a może sekund) napiętym oczekiwaniu nagle zdarza się po prostu cud: każą im zejść ze sterty rozstrzelanych i pędzą dalej – w stronę kościoła św. Wojciecha na Woli, który otoczony solidnym murem służy Niemcom za doskonale zorganizowany obóz przejściowy, jak się za chwilę okaże. Już na podwórku kościoła natrafiają na mnóstwo stłoczonych ludzi, to samo w całym obejściu i krążgankach. Wewnątrz też wszystkie nawy przepelnione, dużo rannych cywili i nie tylko, młode twarze na noszach – to żołnierze Powstania, których udało się cudem uratować. Jemu z ojcem przypada miejsce przy drugim filarze od strony chóru i tam wciśnięci w tłum siedzących i leżących, czekają co dalej – na wypełnienie losu.

* * *

Kościół i plebania parafii św. Wojciecha ze względu na położenie u zbiegu ulic Wolskiej i Sokołowskiej od pierwszych chwil powstania były w jego centrum. Na plebanii gotowano duże ilości zupy, aby nakarmić ludność wypędzaną z Woli, dla obozu przejściowego. Trwa wsparcie nie tylko materialne – księża spowiadają uwięzionych i udzielają im komunii. Dwóch z nich przypląci to życiem.

– My z ojcem trwaliśmy pod filarem świątyni św. Wojciecha w bezruchu pełnym napięcia. Nic tu nie było w stanie wyciszenia: wciąż rozlegały się serie karabinów maszynowych, echa odbywających się wokół egzekucji. Co pewien czas przychodził oficer niemiecki w towarzystwie żołnierza – i bacznie lustrowali tłum wylęknionych, zamartych w bezruchu więźniów. Cisza dzwoniła w uszach, gdy oficer o zimnym, czujnym spojrzeniu wybierał grupę nieszczęśników i wyprowadzał, a po chwili słyhać znów było serie karabinów maszynowych – i tamci już nie wracali.

Andrzej z ojcem zdawali sobie sprawę, że tłum jest dziesiątkowany. Rozglądali się po sobie i innych: na kogo padnie następny wyrok? Czy będą to młodzi? A może niedołęzni? A może ci, którzy mogliby być żołnierzami? Ilekroć powracał ten niemiecki oficer, wszyscy unikali jego wzroku. Pragnęli, aby prześlizgnął się po ich skurczonych, skulonych ramionach, w które wtulali głowy.

Myślał sobie w takich chwilach: może za kilka minut nie będzie już żyć. Nie będzie czuł, świat zamknie się nad nim i w nim, rozpocznie się to niewiadome i nieznane. Ci, którzy zostaną, będą musieli napić się wody, zjeść jakąś najskromniejszą wieszczkę i jutro może świat obejrzą. Jego to już nie będzie dotyczyło. Ogarnęła go zadziwiająca, ostra świadomość dziwności bytu, jego niepoznawalnej zagadki. Czym jest nasze istnienie, na czym właściwie ono polega...?

Gdy wracał niemiecki oficer, znowu każdy słyszał tylko zbyt głośne bicie własnego serca i wszyscy czuli to samo tchnienie nicości, której jesteśmy częścią. Tak bywa zawsze, gdy życie i śmierć stają naprzeciw siebie. Bo gdy zjawia się ta śmierć niewypowiedzialna – druga postać bytu, o której nie wiemy nic – nie pomaga świadomość, że jest ona ostateczną wolnością i uwolnieniem.

Andrzej pomyślał, że znaleźć odpowiedź na wszystkie zagadki bytu może tylko miłość. Bo w tych godzinach niemej udręki znowu poczuł jej dotknięcie. Za każdym razem, gdy oficer niemiecki patrzył w ich stronę, ojciec zdawał się naruszać własną sferę bezpieczeństwa, lekko się wychylał, by zasłonić sobą syna. Jak wcześniej, gdy stali na owej stercie zabitych i miała paść kolejna salwa.

„Śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci” – to zdanie Lechonia przypominał sobie znacznie później.

* * *

Obaj z ojcem wywiezieni zostali do obozu w Pruszkowie, skąd uciekali do Krakowa.

Świadkowie czasu

Tak się dziwnie składa, że dokładnie 54 lata po tragicznych powstańczych wydarzeniach na Woli, 2 sierpnia 1997 roku przed południem, stoję na ulicy Chłodnej, by pójść śladami Andrzeja Szwalbego sprzed pół wieku. Szukam miejsca, gdzie wznosił się jego dom jeszcze 4 sierpnia 1944 roku. To była Chłodna 8 – dziś nie ma w ogóle domu czy klatki schodowej o takim numerze. Przy Chłodnej 2 wznosi się szeroki, typowy PRL-owski budynek z lat pięćdziesiątych, ciężkim stylem architektury przypominający masywne bloki z placu Konstytucji. Powoli mijam kolejne klatki schodowe, by czegoś nie przeoczyć. Ze zdziwieniem stwierdzam, że następny też ciężkawy blok – to już Chłodna 18. Przedziwna wyrwa w numeracji! A więc tamte spalone domy po prostu wypadły z historii dzielnicy. Czas się rozstał i pochłonął zarówno mury, jak i dzieje ludzi, którzy w nich żyli, dał swoje nowe piętno. Ziemia wchłonęła krew i pamięć mieszkańców lub odrzuciła ich losy daleko od tych stron.

Dziś tu króluje dzielnica handlowa, paradują kobiety z siatkami, mnożą się sklepiki, jakieś galanterie i drogerie. Dzień jak co dzień. Po drugiej stronie Chłodnej, która akurat w tym miejscu polskim zwyczajem jest rozkopana – wznoszą się ogromne, nowoczesne, „socjalistyczne” wieżowce, mały wycinek tej „kamiennej pustyni”, którą dziś mamy w każdym mieście. Jedyne niezmiennym punkcie orientacyjnym w tym pospolitym i brzydkim pejzażu – to piękny kościół św. Andrzeja Boromeusza, klasycystyczny, z okazałym frontonem, zwieńczonym dwiema wieżyczkami, postaciami apostołów i świętych w wykuszach. W czasie wojny podzielił los dzielnicy – zburzone zostało prezbiterium i pokaźna część murów – tylko połowa kościoła ocalała. Dziś nie widać śladów zniszczeń. Właśnie biją kościelne

dzwony, jest południe, kończy się nabożeństwo. Podchodzę do opuszczającego świątynię księdza proboszcza, Tadeusza Uszyńskiego i pytam o Wolę w czasie Powstania. Nie jest nawet zdziwiony, jakby czekał na to pytanie.

– Jestem świadkiem tamtego czasu, który stoi mi przed oczyma jakby to było wczoraj. Pani wie, że Wola stanowiła osłonę dla śródmieścia, że wykazała się w pierwszych dniach powstania zbyt wielką bojowością – chodziło o jej złamanie, zastraszenie terrorem. To był prawdziwy dantejski koszmar. Tu, przed kościołem Boromeusza siedział Niemiec na fotelu i palcem wskazywał na rozstrzelanie mieszkańców, spędzonych z okolicznych domów. Trupy zakopywano tu obok, na skwerku. Dzielnie bronił się „Parasol”, ale oni byli za słabi. Dla likwidowania zwłok zwłok Verbrennungskommando wyciągało z opłotków ludzi, organizowało ich w grupy. One układały ciała jak stosy drewna, polewały benzyną i podpalały. Zapach spalenizny unosił się nad wszystkim. Więcej dowie się Pani, zwiedzając kościół św. Wojciecha – tam jest Kaplica Pamięci.

Pytam proboszcza o to, jak postrzega wpływ tamtych czasów dzisiaj.

– Przy kościele dużo jest organizacji kombatanckich. Ale religijnie ludność dzielnicy trochę jest zaniedbana. Wie pani, po wojnie ściągano na Wolę funkcjonariuszy partyjnych, pracowników SB i im dawano tu mieszkania. Oni nigdy nie lubili Kościoła.

Opuszczam plebanię i w pełnym blasku sierpniowego słońca stoję niedaleko kościoła, dokładnie w miejscu, gdzie była kiedyś Chłodna 8 – kamienica, w której mieszkał Andrzej Szwalbe. Staram się zrozumieć, co może czuć człowiek, stojący na pustym miejscu, na którym wznosił się kiedyś jego dom. Ale jestem bezsilna – nie mogę wywołać w sobie tego porażającego przeżycia. Więc ulicami Chłodną i Żelazną odbywam dwukilometrowy przemarsz w kierunku kościoła św. Wojciecha, chwilami przymykam oczy i wówczas wydaje mi się, że widzę Andrzeja z ojcem, pędzonego tu z tłumem mieszkańców Woli. Czasami przystaję i wertuję książkę, poświęconą powstańczej Woli i Kaplicy Pamięci, wydaną przez ks. infułata Edwarda Majchra w 1994 roku. Natrafiam na cytowane wspomnienia jednego z tych, którzy brali udział w likwidowaniu tysięcy zwłok podczas rzezi Woli. Oto, co mówi Franciszek Zasada:

– *Przybyliśmy do fabryki Franaszka. Na głównym podwórku z boku od schronu aż do bramy leżały zwłoki mężczyzn w liczbie około 6 tysięcy. Pracowaliśmy przy paleniu tych zwłok cały dzień. Następnie przeszliśmy na ulicę Wolską 29, do palacu hr. Biernackiego. Tu w ogrodzie zastaliśmy około 600 zwłok kobiet, dzieci i starców, w tym trzech księży. (...) Na posesji przy ulicy Wolskiej 34, gdzie dawniej była karuzela i sala tańca, zastaliśmy zwłoki 1000 mężczyzn, kobiet, dzieci. Następnie udaliśmy się do szpitala św. Łazarza i tam (...) zebraliśmy około 500 zwłok. Zakładaliśmy paleniska 3 razy. Oprócz zwłok spalonych wiele zostało zakopanych. Na ulicy Wolskiej 60, na terenie fabryki pasów, znaleźliśmy na podwórzu i w ogrodzie 500 zwłok. W parku Sowińskiego zastaliśmy około 6000 zwłok. Leżały jakby zwałone koło siatki parku od strony ulicy Wolskiej. Stosy po spaleniu układaliśmy na skwerku parku.*

Lesław Marian Bartelski w książce pt. *Pamięć żywa*, wydanej w 1977 roku, podaje takie oto dane: „(...) po wyzwoleniu Warszawy specjalne ekipy ekshumacyjne władz miejskich i PCK szukając ofiar zbrodni niemieckich odnalazły w parku Sowińskiego 1120 kg prochów, przy ulicy Wolskiej – 1029 kg, na terenie szpitala św. Stanisława i fabryki Franaszka – 600 kg, przy ulicy Górczewskiej, Młynarskiej, Wolskiej 124 i Gęsiej – 2180 kg, przy Dzielnej 47 – 600 kg”.

Te suche dane rozbudzają moją wyobraźnię jakby wtórnie – przez skojarzenie z oglądanym przeze mnie przed paru laty spektaklem Leszka Mądzika (Scena Plastyczna KUL) pt. „Wrota” – o przekraczaniu granicy życia w chwili śmierci. Po zakończeniu przedstawienia widzowie wychodząc z teatru przejść musieli po chodniku wyłożonym szklaną szybą, pod którą widniały ciała umarłych. „Gdziekolwiek idziesz po ulicach miast, jedziesz po drogach, cokolwiek robisz – chodzisz po kościach swoich przodków” – przypominałam sobie Jana Szczepańskiego, humanistę, uczonego, autora m.in. książki pt. „Sprawy ludzkie”. Tak, Mądzik i Szczepański uświadomili mi tę prawdę, ale zrozumiałam ją niemal namacalnie dopiero dziś, krocząc po byłych terenach powstańczej Woli. Fatum historii chciało, aby tu piasek był gęsty od ludzkich prochów na niewielkim skrawku ziemi.

I tak powoli prawie zupełnie tracę z pola widzenia pracowite, codzienne zabieganie mieszkańców dzisiejszej Woli. Cienie pomordowanych, zakłu-

tych, rozstrzelanych stają się bardziej wyraziste, domagają się pamięci, gło-
szą przestrozę. Wydaje mi się, że słyszę ich szept, a może niemy krzyk...

* * *

Duszna, przedburzowa atmosfera sierpniowego popołudnia sprawia, że z ulgą przekraczam próg neogotyckiego, strzelistego, dużego kościoła św. Wojciecha, otoczonego solidnym ogrodem – i pogrążam się w chłodnym wnętrzu. Tam, na dworze zaczynają już padać pierwsze krople. W ołtarzu głównym rozsnuwa ciszę Matka Boża Częstochowska, dwa rzędy kolumn zwieńcza sklepienie kryształowe. Emanuje spokój, a za neogotyckimi oknami świątyni już za chwilę dudniąca ulewa – zwiastun burzy.

Więc tu był obóz przejściowy – pod którym to filarem leżał Andrzej z ojcem? Rozglądając się natrafiam w prawej nawie na ogromną Kaplicę Pamięci Narodowej, a przy niej, jak na zamówienie wyrasta siwy, starszy mężczyzna – mistrz i wykonawca kaplicy, Zbigniew Łoskot, również autor kaplicy Jana Chrzciciela w Katedrze warszawskiej, mozaiki w kościele św. Barbary, polichromii i witraży w kościele Pallotynów w Poznaniu – jak dowiaduję się potem.

Pokazuje mi na frontowej ścianie kaplicy ogromne sgraffito, przedstawiające gnany przez Niemców kolbami tłum z dziećmi na rękach, z wózkami, tobołkami, starcami padającymi na bruk – straszliwy exodus ludności Woli był mu inspiracją. Jest wśród nieszczęsnych i ta kobieta, której losy sprawiają, że blednie piekło Dantego. I tu mistrz Łoskot zaczyna opowiadać mi historię ciężarnej matki z trojgiem dzieci, prowadzonej wraz z nimi rozstrzelanie, ranionej, a potem leżącej pod zwałami trupów, wśród których były jej własne dzieci...

– Znam tę tragiczną historię, to Wanda Lurie – przerywam, ale Łoskot dalej mówi o tej kobiecie tak, jakby jej przeżycia miały miejsce wczoraj:

– *Piątego sierpnia wywleczono ją wraz ze wszystkimi mieszkańcami z piwnicy i wraz z dziećmi gnano pod fabrykę „Ursus” przy ulicy Wolskiej, gdzie w podwórzu były zwały trupów do wysokości 1 metra – wśród nich poznała sąsiadów i znajomych. Błagała otaczających Ukraińców, by ją i dzieci ocalili.*

Pchnięta przez Niemca przewróciła się, uderzył też i pchnął starszego synka, wołając: – Prędzaj, prędzaj, ty polski bandyto! Razem z trojgiem dzieci podeszła do miejsca egzekucji, trzymając prawą ręką dwie rączki młodszych dzieci, a lewą – rączkę starszego synka. Pierwszy strzał położył starszego synka, drugi ugodził ją, następny zabił młodsze dzieci. Strzał oddany do niej nie był śmiertelny. Leżała pod stosami trupów, widziała, jak dobijano rannych, sama wówczas została dodatkowo ranna w nogę, nie chciała już żyć, ale żyła... Na drugi dzień poczuła ruchy dziecka w sobie i wtedy znalazła siły, by wyczołgać się spod zabitych i dotrzeć przy pomocy drugiej, też ocalonej kobiety, do grupy pędzonej w kierunku kościoła św. Wojciecha. Tam prawie bez życia leżała później wraz z innym pod głównym ołtarzem. Zabrana stąd do Podkowy Leśnej – 20 sierpnia urodziła synka.

Jeszcze kilka lat po zakończeniu wojny można było na ścianach kościoła odczytać wydrapane przez uwięzionych napisy, nazwiska, daty...

* * *

– Tu są przedstawione cierpienia takich jak ona – kontynuuje mistrz Łoskot swą opowieść, a potem na bocznych ścianach kaplicy pokazuje mi sylwetki dwóch księży – to są postaci prawdziwe wikariuszy tej plebanii. Stanisława Kuleszy i Stanisława Mączki, którzy spowiadali i komunikowali uwięzionych w tym kościele. Ósmego sierpnia rozstrzelano ich wraz z grupą powstańców. Niestety nie zachowały się żadne ich zdjęcia, więc twarze stworzyłem z wyobraźni. Jeśli idzie o proboszcza, ks. Wacława Murawskiego – Niemcy uczynili zeń zakładnika i też mieli prowadzić na rozstrzelanie, ale w końcu wywieziono go do Pruszkowa.

Widząc, że patrzę na duży tekst, zamieszczony pod sgraffitem, artysta wyjaśnia:

– To fragment homilii ks. kardynała Wyszyńskiego, wygłoszonej tu przez niego w 1977 roku. Te słowa najlepiej oddają cierpienia mieszkańców Woli.

Czytam: „Ci, którzy przeszli te straszliwe dni Woli, dzieje tej świątyni, która stała się prawdziwym panteonem, miejscem Ezechielowego pola śmierci, a dziś żyje i wypełnia się ludem Bożym jakby zmartwychwsta-

łym – ci, którzy tutaj ginęli, chociaż wołali, błagając: «Ojcze nasz, któryś jest w niebie» – może również wątpili, jak uczniowie Chrystusa, w to, czy przyjdzie kiedyś chwila, jak zmartwychwstaną te pobite kości, te zniszczone młode życia, ta śmierć niemal nienarodzonych, tych matek rodzących pod zwałami, padłych od strzałów w tej męce”.

Spoglądam na wielki krucyfiks na tle prześwieconej słonecznym blaskiem czerwieni witrażu.

– To główny motyw tej kaplicy też mojego projektu – tłumaczy mistrz – widać Pani, ten krzyż przeświecony jest słońcem, które szczególnej intensywności dodaje dookołej czerwieni – to koto męczarni tych ludzi. Ale proszę spojrzeć, następny witraż przedstawia Zmartwychwstanie, a więc nadzieję, która przecież była ich udziałem – inaczej część z nich nie wyszłoby z tego piekła.

Tak, religia i sztuka potrafią wytłumaczyć ludzkie cierpienie, nadać mu znaczenie, wskazać człowiekowi wymiar życia zakorzenionego w transcendencji. Nie zostawiają go pośrodku jakiegoś wielkiego absurdu. Gdy tak myślę, uświadamiam sobie, że wszystkie refleksje na temat kondycji człowieka nieuchronnie odnoszą się do tej sfery sacrum, która pozwala mimo wszystko wierzyć w sensowność istnienia.

Potem wzrok mój przykuwa ogromnych rozmiarów serce z kwiatów, z żywych czerwonych goździków, złożone w Kaplicy Pamięci, obok Urny z ziemią z pobojuisk Warszawy, Monte Cassino, u stóp przejmującej rzeźby Zmęczonej Madonny, wykonanej dla Kaplicy przez artystkę Wioletę Wojdę.

Prawda – przypominam sobie – wczoraj minęła kolejna rocznica Powstania...

Spotkania niespełnione...

Nazwisko Marii Ziemeckiej-Słodzińskiej padło w naszych rozmowach z Andrzejem Szwalbem o wiele wcześniej – była przecież jego koleżanką z lat dziecińczych, dosłownie z piaskownicy. Pisząc o nim, miałam w planie spotkanie z nią dużo wcześniej. Ale gdy rozmowy nasze zaczęły dotyczyć czasu wojny i poznałam piekło, jakie przeżył Szwalbe w czasie Powstania Warszawskiego – a w słowie „piekło” nie ma żadnej przesady, wówczas uświadomiłam sobie, że wojenne lata pani Marii, spędzone w Warszawie, w bliskim kręgu Krzysztofa Baczyńskiego, rzucają też jakieś światło na lata ostatnie wielkiego poety. Postanowiłam jak najszybciej spotkać się z panią Marią. Pojechałam do Sopotu, gdzie od dłuższego czasu mieszkała – adres dał mi Szwalbe.

Ulicy Hafnera w Sopocie nie musiałam długo szukać – to dawna ulica Bieruta. Właśnie tu, w jednej ze spokojnych starych kamieniczek, położonych tak blisko morza, już w 1945 roku zamieszkała Maria Ziemecka-Słodzińska, z lat młodości koleżanka wielkiego poety z pokolenia Kolumbów i jego żony, Basi. Nawiasem mówiąc, pani Maria była w latach 1956–1957 sekretarzem Gdańskiego Oddziału redakcji bydgoskiego „Ilustrowanego Kuriera Polskiego”, ale mnie interesowały jej lata wojenne, warszawskie, gdy ukończyła prywatne gimnazjum żeńskie Cecylii Plater-Zyberkówny (tu spotkała Basię Drapczyńską – później Baczyńską), a potem studiowała polonistykę na tajnych kompletach Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie uczęszczali również Baczyńscy świeżo po ślubie.

Pani Maria pokazuje mi świadectwo maturalne z 1943 roku (odwagą ze strony dyrekcji było wystawić takie świadectwo), a także zaświadczenia różnych wybitnych profesorów podziemnego Uniwersytetu, że słuchała

ich wykładów. A wykładali naprawdę wielcy, na przykład Bogdan Suchodolski, filozof, historyk kultury, pedagog, Stanisław Adamczewski, autor *Serca nienasyconego*. O bibliografii mówił Stefan Wierczyński (w jego mieszkaniu na Żoliborzu też odbywały się komplety), w arkana fonetyki oprowadzał prof. Doroszewski. A Zofia Szmidtowa przejęła historię literatury po Adamczewskim. W kularach pojawiali się Tatarkiewicz i Kotarbiński.

Komplety odbywały się u każdego z uczestników, gdy to było możliwe. U młodziutkiej wówczas Marii (rocznik 1924), w mieszkaniu jej rodziców przy Kruczej 10 również – ale do czasu, gdy zamieszkała pod tym samym numerem volksdeutschka weszła pod pozorem naprawy okien w momencie, gdy kilkanaścioro młodzieży czekało na wykład. Maria błyskawicznie porozumiała się z profesorami i wymyślili oni wówczas przy ulicy Świętokrzyskiej „prywatne komplety buchalteryjne” i pod szyldem kursów handlowych nadal odbywały się tajne komplety.

Atmosfera na tych podziemnych studiach była niepowtarzalna. Uczestników łączyło jakieś wielkie zbratanie – również wspólne wycieczki, zwiedzanie wystaw, koncerty. Maria polubiła to jeszcze w gimnazjum, które kultywowało koleżeńskie kontakty młodych ludzi otwartych na sztukę. Uwielbiała grono swych znajomych, z których wyrosło potem środowisko akowskie. Na razie na wieczorkach literackich nastrój był gorący – zażarcie kłócono się o imponderabilia i kierunki w sztuce, poeci recytowali swoje wiersze. I bimber – ten niewymyślny alkohol – na takich spotkaniach niekiedy też się pojawiał, czasy były zbyt trudne, trzeba było trzymać szpan. Często czytał swe wiersze Baczyński, gdy kończył, zalegała długa, pełna zasłuchania cisza.

Dyskusje na kompletach do najwyższej temperatury podnosił właśnie Baczyński, gdy zapalony wychodził ze swej skorupy. Bo zapamiętała go sobie Maria raczej milczącego, o pochmurnym spojrzeniu. Najczęściej chował się w sobie, oddzielał od ludzi nieprzekraczalną granicą swej inności, ale jak już wszedł w ton merytorycznych racji, był niezrównany. Silnie odczuwał swą poetycką i życiową osobność, choć brał udział w zakonspirowanym życiu studenckim i kulturalnym – to zawsze jakiś

oddalony, jakby nieobecny. Obok niego notująca wszystko skrupulatnie Basia. Krzysztof był geniuszem, to się czuło, ale Basia, zdaniem pani Marii, była bardziej poetycka i filozoficzna od niego. Delikatna i krucha, musiała stać na gruncie realnej rzeczywistości, być zaopatrzeniowcem w ich niezwykłym małżeństwie. Maria oczyma pamięci widzi ich jakby dziś, jak tak siedzą na kompletach obok siebie – oboje niewysocy, nierzucający się w oczy, gdyby nie jakaś duchowa łączność między nimi. Krzysztof trwa w zamyśleniu, a w jego oczach jest mrok. To spojrzenie, a także zakola ciemnoblond włosów, podwyższające mu nieco czoło, nadają jego młodej twarzy znamiona przedwczesnej dojrzałości. W niektórych momentach coś zapisuje, ale bynajmniej nie wykłady, lecz to, co mu przychodzi do głowy jako nagłe olśnienie. To Basia musi być za nich oboje systematyczna i skrupulatna. Szczupluteńka, o delikatnych rysach twarzy, ma podkrążone oczy – za dużo obowiązków, po wyjściu za mąż, spoczywa na jej drobnych barkach. Wygląda na zmęczoną, a na dodatek dręczy ją katar sienny, bo nieskalaną, białą, perfumowaną chusteczką co pewien czas wyciera nos, rozsnuwając wkoło jakieś czyste zapachy.

Byli bardzo dobranym małżeństwem, zawartym w tak nietypowych, wojennych warunkach 3 czerwca 1942 roku w kościele na Powiślu. Iwaszkiewicz, który przyniósł im w prezencie prawdziwy snop świeżo rozkwitłych bżów, po ceremonii powiedział do kogoś: „Właściwie wyglądało to nie na ślub, lecz na Pierwszą Komunię”. Rzeczywiście oboje szczupli, niewysocy wyglądali tak młodzieńczo – on miał lat 21, ona 20. A potem przyszła okupacyjna codzienność, gdy – jak wspominał przyjaciel Basi – zastawał ją, kiedy odwiedzał Baczyńskich w ich mieszkaniu, popłakującą po kątach, bo było jej za ciężko, gdy mąż w prezencie dał jej tylko wiersze, a brakowało chleba czy węgla, było głodno i chłodno. Widząc jej łzy, Krzysztof – sam bezradny – wpadał w chwilowe rozdrażnienie, ale zawsze znajdowali drogę do siebie. Jak wielka musiała być ich miłość, że niwelowała uciążliwość okupacyjne i Krzysztof nie dostrzegał „zmizerniałej żony”, lecz „widział tylko piękno i harmonię, bujność i doskonałość kobiecości”. Adresował do niej najpiękniejsze erotyki, jakie wydała polska poezja. Te poetyckie okruchy pisał przy każdej okazji, któ-

rą uznał za pamiątkową datę ich związku, a Basia, ukrywając wzruszenie, czytała je na kompletach w gronie przyjaciół.

Baczyński zaczął pisać wcześniej, drukował już w 1939 roku, ale lata 1941–1942 to prawdziwy wybuch jego talentu, dojrzałego tak szybko wśród łapanek, ulicznych egzekucji, stałej obecności śmierci. Wojna błyskawicznie zniosła próg między latami młodzieńczymi a męskimi. „Tak się dorasta do trumny, jakieśmy w czasie dorosli” – powie w jednym z wierszy. A w nim już narastała decyzja, tym bardziej niecodzienna, że będąc synem literackiego krytyka i subtelnej humanistki o żywych zainteresowaniach literackich, wychowany był w cieplarnianej atmosferze wysoce kulturalnego domu, rozczytany w poezji. Wyrósł wśród książek pod czułym okiem matki, która, podobnie jak matka Słowackiego, wcześniej dostrzegła w nim talent i odegrała w jego młodym życiu podobną rolę, co Salomea w życiu Juliusza.

Pani Maria, odwiedzając Baczyńskich w mieszkaniu Stanisława Baczyńskiego, ojca Krzysztofa, podziwiała wspaniały księgozbiór przez ojca zgromadzony. Ale mało kto wie, że bujna była biografia polityczna i wojenna ojca poety, który m.in. był „działaczem plebiscytowym na Śląsku Cieszyńskim, Spiszu i Orawie, a w Powstaniu Śląskim – dowódcą dywersyjnym na tyłach wroga”. I syn postanowił zostać żołnierzem. Trudno się dziwić, że w domu swych rodziców wyrósł na romantycznego wizjonera, który chciał zaświadczyć o swej epoce nie tylko poezją, ale i czynem.

Na tajnych kompletach UW spędził zaledwie parę miesięcy zimowych z 1942 na 1943 rok. Potem nie miał już czasu, wciągała go walka – mówi pani Maria. Jak wszyscy którzy go znali, perswadowała mu, aby nie brał karabinu do ręki – bo czuła, jak i inni, że przypadkowa kula może odnaleźć wielkiego poetę. Nie słuchał, choć sam też miał przeczucia. W wierszu *Rodzicom* napisał w lipcu 1943 roku:

*Otóż i macie wszystko
Byłem jak lipy szelest
na imię mi było Krzysztof
jeszcze ciało – to tak niewiele.*

Dokładnie, bez złudzeń widział los swego straconego pokolenia, nieuchronnie zbliżającego się ku katastrofie. A jednak w czerwcu 1943 roku wstąpił do AK, a właściwie do Harcerskich Grup Szturmowych, przeszedł przeszkolenie wojskowe, został podchorążym. Otrzymał przydział do Batalionu „Zośka”, tuż przed Powstaniem przeniósł się do „Parasola”. No i w czwartym dniu Powstania wtargnęła ta zabłąkana kula przez okno pałacu Blanka.

Pięć miesięcy przed swą śmiercią żołnierza napisał jakże znamiennej strofę, w której mimo ogromu zła i nienawiści tak oto projektuje przyszłość:

*Bo przecież trzeba znów pokochać
Palce mam – każdy czarną lufą,
co zabić umie – teraz nimi
grać trzeba i to grać do słuchu
Bo przecież trzeba znów miłować.*

Nie był w niczym nacjonalistą, bo czuł się skażony tym, że musi jako żołnierz strzelać do ludzi. Jako poeta był głęboko przekonany, że nienawiść nigdy nie zagłuszy miłości i najpiękniejsze strofy poświęcił temu przekonaniu:

*Tych miłości, które niosą
sok z korzeni w słońce liściem
co jak puch dziewczęcych włosów
lekkie rosną ku niebiosom
nie wydepcą nienawiści*

Pani Maria zamyśla się nad fenomenem miłości, który przenika – mimo obrazu apokalipsy – poezję Baczyńskiego. Dlaczego nie mógł rozwinąć swego talentu tak, by karmić nim nas przez wszystkie dojrzałe lata? Krytycy mówią, że w poezji zdołał się w pełni wypowiedzieć, choć dane mu było tak krótko być głosem pokolenia, ale to chyba nie jest tak...

Potem pani Maria podaje krótko, jakie były jej wojenne losy. Sama nie miała predyspozycji do walki na barykadzie. Trzy lata młodsza od Krzysztofa, była raczej stworzeniem domowym, czytała *Krystynę córkę Lawren-*

ce'a, starała się wyłączyć z wojennej rzeczywistości. Owszem, uczestniczyła w RGO, niosąc socjalną pomoc rodzinom zabitych i przygotowując obiady żołnierzom. Ale była jedynaczką i mama skutecznie chroniła ją przed walką na powstańczych szanłcach. Ten wielki zryw patriotyczny zresztą nie do końca ją przekonywał, nie miała zrozumienia dla gigantycznej ofiary i śmierci tysięcy młodych, w tym wielkich talentów. Ale Powstanie i wojna rozstrzygnęły również o jej losach osobistych. Jej narzeczony – wielka pierwsza miłość – znalazł się w obozie jenieckim i po wojnie nie wrócił już do kraju, bo nie mógł. Tam za granicą założył rodzinę, ona też wyszła potem za mąż (bardzo szczęśliwie), ale przez te wszystkie lata pisali do siebie listy na sto stron i ta piękna więź duchowa między nimi trwała, bo mąż pani Marii nie zażądał, aby się wyrzekła pierwszej miłości.

Zona Krzysztofa Baczyńskiego, Basia, też szybko musiała złożyć swe życie w ofierze, choć nosząc już w sobie owoc ich miłości, w akcji bojowej nie brała udziału. Ciężko ranna w głowę 24 sierpnia, mimo operacji zmarła 1 września 1944 roku. Pani Maria twierdzi, że było to wcześniej i Krzysztof zdołał dowiedzieć się o jej śmierci, choć przed nim ukrywano i dlatego nie zależało mu na życiu. Po wyzwoleniu krążyły pogłoski, że Krzysztof żyje gdzieś w obozach jenieckich i matka poety rozpisywała listy w tej sprawie. O dziwo, nawet UB przyszło któregoś dnia po „reakcyjnego” poetę do jego mieszkania, co było powtórzeniem pośmiertnego losu jego ojca, po którego, już nieżyjącego, przyszło w czasie wojny gestapo. No cóż, poprzestańmy na zadumie nad ironią losu. Przecież Krzysztof Kamil Baczyński, gdyby żył, mógłby, jak wielu młodych AK-owców, po wojnie trafić do komunistycznych katowni UB.

Krótko po wojnie, w 1947 roku, matka Baczyńskiego rozpoznała szczątki poety, gdy odkopano je przy porządkowaniu ruin Ratusza. Krzysztofa i Basię pochowano we wspólnym grobowcu na Cmentarzu Powązkowskim w kwaterze batalionu „Zośka”. Zawsze w rocznicę Powstania i Święto Zmarłych harcerze pełnią wartę u grobu naszego polskiego Tristana i Izoldy – kończy pani Maria swoją opowieść.

* * *

„Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą” – słowa ks. Jana Twardowskiego stanęły mi w pamięci szczególnie wyraziście, gdy w miesiąc po mojej wizycie w Sopocie pani Maria Ziemiecka-Słodzińska, którą zastałam wówczas w dobrej kondycji, odeszła nagle, w wyniku późno ujawnionej ciężkiej choroby. Głęboki smutek, jaki odczułam z tego powodu, łagodziła świadomość: „zdążyłam przed Panem Bogiem”, ochroniłam od niepamięci tę niezwykłą kartę życia pani Marii, jaką była przyjaźń z Krzysztofem Baczyńskim. Ocaliłam w ten sposób jego postać widzianą jej oczyma.

Gdy przeczytałam Szwalbemu wspomnienia pani Marii o Baczyńskim – a jej już nie było wśród żyjących – zapalił się do tematu, zaczął napomyskać, że w kręgu innego wybitnego, a tragicznego poety lat wojny, Andrzeja Trzebińskiego znajdowała się koleżanka jego żony, Dobrusi i – jak to było w jego zwyczaju – przesłał do mnie list:

Szanowna Pani Redaktor!

Kontynuując jeszcze kwestię, rozpoczętą dzisiejszą rozmową na temat Trzebińskiego, wypada powiedzieć, że trudności z wprowadzeniem do akcji takiej postaci, która nie zaistniała w toku wydarzeń opisywanych, choć mogła, a nawet w pewnym sensie powinna była, biorąc się stąd, iż teoria literatury chyba nie znalazła odpowiedniej nazwy dla takiej sytuacji. Tymczasem, proszę zważyć, fakty się mnożą: ja i Dobrusia krążymy wokół siebie w czasie wojny, każde z nas po własnej trajektorii, to się zbliżamy, to znów oddalamy, niczego o sobie nie wiedząc, choć odwiedzając te same mieszkania, ale ani nawet na chwilę nie przeczuwając, że w końcu spotkamy się: nasze trajektorie w tym momencie przecięły się. Jana Kotta nigdy nie dane mi było spotkać pomimo tego, że na Wisłę patrzyliśmy przez szereg lat pod tym samym kątem z dwóch sąsiadujących ze sobą kamienic przy ulicy Oboźnej w Warszawie, o czym dowiedziałem się po latach z jego artykułu. Nasze drogi z Baczyńskimi też nigdy nie przecięły się, pomimo tego, że dzięki Marysi Ziemieckiej tyle ciekawych osób u niej poznałem. Dlaczego żona moja Dobrusia, u swych koleżanek z tamtych lat – Hali Andrzejewskiej bądź Hali Lenkiewiczówny nigdy nie spotkały się z Trzebińskim, a moja córka Krysia po wojnie, bez trudu, z marszu, z przypadku jakiegoś razu trafiła do matki poety, pani Trzebińskiej, mieszkała u niej podczas studiów,

wzajemnie przypadły sobie do gustu, że było im tam dobrze i tylu miłych słów nastuchała się od pani Trzebińskiej o Bydgoszczy na przykład (...).

Zupełnie jakby owe tory gwiazdne, ze znaną wyłącznie sobie samym mądrością dopiero wtedy dojrzały do spotkania się. Jest to niewątpliwie zagadnienie przypadkowości socjologicznych interakcji, ale też i zagadnienie literackie nie byle jakie. Nazwać je, znaleźć formułę, w której dałoby się wyrazić, jak u Prousta, genialny w swej prostocie poszukiwany czas utracony – spotkania niespełnione.

* * *

I tak zaczęło mnie coraz bardziej wciągać to chodzenie tropem „spotkań niespełnionych”. Poprosiłam panią Dobrusię Szwalbową, by odkurzyła swe wspomnienia z tamtych lat, spędzonych w Warszawie i przywołała pamięć koleżanki, Hali Andrzejewskiej, której dziś nie ma w kręgu żyjących. Hala spotykała się na co dzień z innym wybitnym poetą tego czasu, który swe życie oddał w Powstaniu Warszawskim – był to Andrzej Trzebiński. Pani Dobrusia zaczęła swą opowieść od nakreślenia atmosfery owych lat:

– *Wojna. Okupacja. Czas wrażeń przemocy, chęci unicestwienia naszego narodu. Czy popaść w rozpacz, zalać się? Łapanie, egzekucje, z megafonów w październiku 1943 podawane są godzinami listy imienne osób, skazanych na rozstrzelanie lub już rozstrzelanych. To są masowe, publiczne egzekucje. Pewnego razu pada też i to nazwisko. Trzebiński aresztowany był na początku listopada pod nazwiskiem Andrzeja Jarocińskiego. W obwieszczeniu z 10 listopada 1943, podającym nazwiska rozstrzelanych, figuruje wśród osób skazanych poprzedniego dnia i „przewidzianych do utaskawienia”.*

Mimo otaczającej grozy wiedziałam jedno: nie wolno poddać się, trzeba się starać żyć i przeżyć. A jestem z natury człowiekiem twardym i to mnie ratuje, a także wrodzony optymizm. Prowadziłam razem z ojcem małą firmę – sprzedaż szkła – to pochłania dużo czasu. Mieszkamy na Nowym Świecie, w samym centrum Warszawy, co jest bardzo pomocne w prowadzeniu firmy. Inna strona wojennego życia – to ogródek działkowy na Żoliborzu, poletko wielkości 400 m, otrzymane dzięki staraniom kuzynki matki, cioci Ireny Wy-

szyńskiej. Ciężka to praca przekopać „nowinę” łopata, ale w zamian własne kartofle, warzywa.

Dużo czasu poświęcam nauce języka niemieckiego, szybko i dobrze opanowuję język Goethego. Zabieram się również za angielski, dużo czytam, zwłaszcza uciekam w świat poezji polskiej i obcojęzycznej. Nie lubię przekładów, a zatem Ronsarda, Verlaine’a, Baudelaire’a, Goethego, Schillera, Heinego poznaję w oryginale. Sama też piszę na użytek własny i bliskich wiersze.

A więc praca, nauka, poezja. A ludzie? Zawsze lubiłam towarzystwo, dobrze się czułam wśród osób każdego wieku. Oprócz rodziny, kuzynów, ciotek – duże grono koleżanek i kolegów. Widujemy się często, dyskutujemy, czasem potańczymy. Na przekór czasom lubimy się pośmiać. Wtedy chwytam za pióro, piszę kuplety, ballady. Bohaterką jednej z nich jest Hala Andrzejewska, bardzo zaangażowana w AK, bliska znajoma Trzebińskiego. Często mówiła o nim, stąd czasami odnoszę wrażenie, jakbym go znała.

* * *

Tu dotykamy tematu: pamięci o wielkim poecie, przekazanej przez Halę Andrzejewską za pośrednictwem pani Dobrusi. Jestem więc skazana tym razem na pamięć pośrednią, ale dobre i to.

– Polska brawura, romantycznie pojęta wierność sobie pochłonęła w okupacyjną noc tę niezwykłą osobowość, rozwijający się wielki talent. Zostawił po sobie dramaty, eseje i wiersze, wiersze, wiersze. Andrzej Trzebiński, redaktor podziemnego miesięcznika kulturalnego „Sztuka i Naród”, do którego zbliżył się na tajnych kompletach polonistyki, zginął tak, jak ginęli wszyscy kolejni redaktorzy tego czasopisma.

Dla Hali Andrzejewskiej pozostał zawsze żywym, niezwykle dynamicznym artystą, który mało zabiegał o swą pozycję, nie dbał o druk utworów, ale odbywał w warunkach konspiracyjnych wspaniałe wieczory autorskie, odczyty, które miały wielu entuzjastów, publikował krytyki i artykuły publicystyczne, działał na wielu frontach życia intelektualnego okupowanej Warszawy, zakładał Studio Teatralne. Jednocześnie dorywczo pracował zarobkowo jako korepetytor, a nawet tracz na kolei. Zwierzał się Hali, że pasja intelektualnych poszukiwań, te pisanie i czytanie nocą, we własnym

pokoju, wyzwalam go niejako z nienormalnych warunków okupacyjnego życia. W ciągu nocy potrafił napisać i dwa artykuły.

– To uspokaja – mówił – taka praca poza wszystkim i ponad wszystkim.

Hala uwielbiała ostrość jego sądów, kpiarstwo, które jednak nigdy nie przeradzało się w gorzkie szyderstwo. Być może strzegła go od tego żarliwa, wewnętrzna ideowość i ogromna zdolność do przyjaźni. W chwilach szczególnie pogodnych opowiadał jej o swym dzieciństwie, spędzonym w Komierowie koło Sępólna, gdzie jego ojciec jako agronom administrował majątkami hrabiego Komierowskiego. Stąd nie tak daleko było do Bydgoszczy, dokąd jego rodzice często przed wojną jeździli, biorąc udział w różnych towarzyskich spotkaniach, balach i zabawach. Bydgoszcz wydawała się wówczas matce Andrzeja Trzebińskiego miastem czystym i ładnym, pełnym zieleni i kwiatów. Ale to oddzielny temat, bo jak już wiemy, matka poety i Krystyna, córka Andrzeja Szwalbego, zetkną się w tej opowieści, gdy po wojnie, właśnie dzięki Hali Andrzejewskiej, Krystyna, wówczas studentka anglistyki, zamieszka na stacji u pani Trzebińskiej. W tak dziwny sposób dokonało się to „spotkanie niespełnione”.

Stanąć ponad młodością...

Andrzejowi Trzebińskiemu z czasów wczesnych, chłopięcych, spędzonych w Komierowie pozostało zamiłowanie do dalekich spacerów, który to zwyczaj owocował w Warszawie (dokąd rodzina przeniosła się, gdy miał 10 lat), gdzie Halę na takie wędrówki zabierał. Wiele wówczas rozmawiali. Mówił, że zwielokrotniona intensywność jego życia wynika z tego, że jest artystą w czasach, gdy wkoło szaleje groza i śmierć. – Życie każdego artysty jest iskrą tylko – powtarzał. Wierzył w swe posłannictwo i w to, że przesłanie, które ma do przekazania ludziom, zamieni się w płomień po jego śmierci. O śmierci zresztą mówił często, ciągnęło go do partyzantki, pisał przecież również piosenki żołnierskie, a wśród nich tę słynną: *Wymarsz Uderzenia*.

A jeśli bzy już będą, to bżów mi przynieś kiść

I tylko mnie nie całuj i nie broń, nie broń iść.

Bo choć mi wrostaś w serce, karabin w ramię wróś

I ciebie z karabinem do końca będę niósł.

Andrzej napomykał o swej przyszłej śmierci z bronią w rękę. Być może czuł już wołanie śmierci, był nią zaczadzony, jak tylu młodych wówczas Polaków, tak spontanicznie kładących swe życie na ołtarzu narodowych mitów i ideałów. Powtarzał Hali kilkakrotnie, że jego bliska śmierć stanie się symbolem śmierci artysty z „pokolenia dramatycznego”, wojennego – bo tak bez złudzeń określał swoje pokolenie. Strach ją przejmował, gdy tak mówił, ale starała się nie brać tego poważnie, urzeczona uczestnictwem w jego wieczorach autorskich, tak pełnych życia, połączonych zawsze z żarliwymi dyskusjami. Rozpłomieniał się wtedy, ale i zaciętrze-

wiał, potrafił być złośliwy i kpiarski, czym niektórych drażnił. Dużo mówił o eksperymentalnym Studiu Teatralnym, które właśnie był założył. Wierzył w odnowę życia przez sztukę, żył literaturą, bo wyzwalala go z nie-normalnych warunków wojennej egzystencji, ale nie zdobył się na druk swego tomiku wierszy, nie wydał go za życia, podczas gdy Gajcy drukował *Widma*, a Stroiński *Okna* – w Bibliotece „Sztuki i Narodu”.

Spotykała go też na prywatkach, które wówczas kwitły bujnie – ten rodzaj życia towarzyskiego był bowiem wyzwaniem rzuconym okupacji. Wszystkich cechowała jakaś młodzieńcza brawura, a Andrzeja szczególnie. Wydawało się, że programowo lekceważy okupanta i panującą wokół grozę – zwłaszcza po śmierci swego przyjaciela, też młodego, dwudziestodwuletniego poety, Wacława Bojarskiego, redaktora naczelnego „Sztuki i Narodu”, poznanego w 1941, a zastrzelonego przez Niemców w 1943 roku. Objął po nim redakcję tego świetnego podziemnego pisma, nadając mu charakter drukowanej gazetki o zeszytowym formacie.

Takie to były przyjaźnie, krótkie i gorące, zawsze w cieniu śmierci. Po nocach pisał do nieżyjącego już poety przyjaciela – listy pełne bólu i rozpacz. Trawiła go też metafizyczna ciekawość: oto jego przyjaciel przekroczył już tę nieuchwytną granicę między życiem a drugą stroną bytu, a dla niego jeszcze zakryta jest Tajemnica.

Na przekór wszystkiemu czuł się wolny, naprawdę wolny. Często wracał do domu po godzinie policyjnej z kieszeniami wypchanymi podziemną prasą. A pomysły miał śmiałe i dalekowzroczne, trochę szalone i lubił z nich się zwierzać. Oto w lipcu 1943 roku tworzył Ruch Kulturowy – organizację, której cele były dalekosiężne, bo dotyczyły przebudowy całej kultury polskiej. Trzebiński działał czynnie na rzecz odrodzenia narodowej kultury – usiłował stworzyć bezpartyjny blok, skupiający artystów. Pisał artykuły w rodzaju: *Kompromitacja siły czy kultury?*

Ten dwudziestolatek z pokolenia Kolumbów, urodzony w 1922 roku, musiał czuć, że kres jego jest bliski, a ma jeszcze tak wiele do zrobienia. Jego przedwczesna dojrzałość ujawnia się też w pisanych po nocach groteskach – w scenerii wojny poeta mógł rzeczywistość widzieć tylko przez groteskę, ale nie przeszkodziło mu to mówić o węzłowych problemach współczesności.

W *Aby podnieść różę* pokazuje czarną grę dyktatorów, „potworniejącą do infinitum”. O „wielkich prądach zbiorowości”: totalizmie, demoliberalizmie rozprawia przedstawiając *Laboratorium dramatu*. Groteska *Aby podnieść różę* okazała się dziełem bardzo teatralnym, ale w PRL-u przeleżała 30 lat, zanim jej prapremiera w warszawskim Ateneum w 1970 roku uznana została za wydarzenie.

Sięgam jeszcze raz po ten dramat – teraz już po pół wieku. Jakże aktualnie i proroczo brzmią słowa Obliwii przed jej samobójczą groteskową śmiercią: „Po co w ogóle żyć w świecie, w którym dyktatorami są tacy ludzie? (...) ludzie z operetki. Tacy!”. Jest w tym trzeźwa i gorzka ocena zastanej i zbliżającej się rzeczywistości.

Hali Andrzejewskiej poeta jawił się w tych latach jako pomieszanie chłopckości z męską już dojrzałością. I dziewczęta – mówiła – nie były obojętne na to wezwanie. Ale tu był skryty i nie zwierzał się nikomu ze swych uczuć. Wertując po latach jego *Pamiętnik*, wielokrotnie natykam się na imię Anny. Należała pewnie do tych młodych kobiet, które jednocześnie przyciągał i odpychał, by potem żałować. Nie znosił bowiem przeciętności, zwykłości, codzienności. Miłość nie mogła stać się zwyczajna, codzienna, miałka. Musiała być uniesiona wysoko w górę jak sztandar – i jak u wszystkich romantyków, najbardziej wkradała się w serce miłość-niespełnienie, miłość-marzenie. Wiadać Anna umiała temu sprostać. Była pewnie subtelna, nieuchwytna. I bardzo inteligentna. Nie oddała mu się bez reszty, nie zatraciła w nim. Dlatego w *Pamiętniku* uparcie wraca do niej – tej nieodgadnionej, nieuchwytniej...

Ale i od swej burzliwej młodości też już musiał odejść, bo dopadła go w końcu upiorna, wojenna rzeczywistość, którą tak ignorował i odpychał od siebie. Ponad 30 razy zmieniał mieszkanie, a jednak nie uciekł od swojego przeznaczenia – losu kolejnych redaktorów „Sztuki i Narodu”. Konfidentem okazał się drukarz, składający bieżący numer pisma. Gestapo szło za Trzebińskim trop w trop i zastawiło na niego pułapkę w miejscu nieoczekiwanym: w fabrycznej stołówce, gdzie jadał obiady. Aresztowany, niedługo potem, w pewien ponury dzień listopadowy, został rozstrzelany w egzekucji ulicznej. Ideał dotknął bruku... Śmierć poety dokonała się 12 listopada 1943 roku na Nowym Świecie, koło ulicy Wareckiej. Znamien-

ne, że on jakby przeczuwał wcześniej, że odejdzie jesienią, bo natrafiłam w *Pamiętniku* na takie zdania:

„I trzeba stanąć ponad wszystkim. Ponad młodością przede wszystkim – tamtą, burzliwą, wykolejoną, bolesną, ale bogatą i żywą młodością. I poetą już nie być. Nie można.

Umrzeć.

Trzecia jesień – śmierć. Wolność – to szansa żywym”.

Tę wyostrzoną intuicję powodować mogła i sytuacja osobista poety: opuszczony, bez stałego mieszkania i pieniędzy, czuł się szczególnie samotny, ponieważ rodzice się rozeszli, ojciec nie mieszkał już w Warszawie, rozbity został dom – i ogarnął poetę wielki smutek istnienia. Po jego śmierci polskie podziemie wykonało wyrok na konfidencie – żona owego konfidenta ostrzegła siostrę poety, dzięki temu część jego spuścizny została zabezpieczona w Alejach Niepodległości i tu niestety podczas Powstania Warszawskiego uległa spopieleniu. Ale i tak większość jego dorobku dotarła „do potomnego”.

* * *

Mam w ręku tomik trzeciego tragicznego artysty tamtego czasu, Tadeusza Gajcego, wydany pod tym właśnie tytułem: *Do potomnego* w 1992 roku w serii Antologii Nowej Poezji Polskiej. Tak, nie myliłam się: redakcję „Sztuki i Narodu” objął po Trzebińskim Tadeusz Gajcy, dziewiętnastolatek, rocznik 1924, wielki poeta, żołnierz AK. On też, niczym Norwid czy Słowacki, umiał wyrazić człowieczą wrażliwość wobec spraw niehumanitarnych. I on wierzył w tożsamość sztuki i życia, dlatego w przyszłym zwycięstwie narodu wielką rolę przypisywał kulturze i sztuce. Drogę do wolności widział poprzez przebudowę świadomości społecznej (stąd Ruch Kulturowy). Ale wiedział, że czas w którym przyszło mu żyć, domaga się czynu, „ustalenia swego stosunku do makabry dzisiejszego dnia”.

Porywał się na czyny szaleńcze – 25 maja 1943 roku Gajcy wraz z Leonem Zdzisławem Stroińskim i Wacławem Bojarskim składają pod pomnikiem

Kopernika na Krakowskim Przedmieściu (obok mieściła się granatowa policja hitlerowska) kwiaty z napisem: „Geniuszowi Słowiańszczyzny – rodacy”. To wówczas Bojarski został śmiertelnie ranny. Wtedy Trzebiński poprowadził „Sztukę i Naród”. Gdy i on został rozstrzelany, Gajcy doskonale wiedział, że przejmując po nich redakcję, wyzywa śmierć... Przyszła za rok – 16 sierpnia 1944 roku, w Powstaniu Warszawskim.

„Znaleziono go – po kilku miesiącach – leżącego wśród gruzów, z głową wspartą o kamień. Znaleziono go w ruinach, jakie pozostały z reducy Arsenau. Trzy kobiety szły nazajutrz po odkryciu ciała poety za dwukołowym wózkiem, dźwigającym prostą skrzynkę z nieheblowanych desek. Szły długo, z Muranowa na Powązki. Szły martwymi ulicami miasta-cmentarza, aby na Cmentarzu Wojskowym pogrzebać ciało młodego chłopca, syna i krewnego”.

To ze wstępu Grażyny Gronczewskiej do tomiku Gajcego: *Do potomnego*.

Jakże podobnie potoczyła się historia wszystkich trzech poetów, którzy wyrosli ponad miarę czasu i miarę zwykłej ludzkiej młodości, a przyszło żyć w latach „olbrzymiej śmierci i przerażenia”. Wszyscy trzej obdarzeni byli niezwykłą wyobraźnią – jedną z najśmielszych w poezji polskiej, jak piszą dziś krytycy. Trzebiński tę ich i swoją klasę poetycką ujął w *Pamiętniku*, pięknie i bardziej gorzko:

„Pochłonie nas historia. Młodych, dwudziestoletnich chłopców. Nie będziemy Mochnackimi, Mickiewiczami, Norwidami swojej epoki. Mogliśmy być Rimbaudami. Ale odrzuciliśmy to, bo szliśmy gdzie indziej”.

O Gajcym nie będzie już opowieści, bo nie spotkałam nikogo, kto by go znał choćby pośrednio. Ale stał mi się bliski przez swą żarliwość i wyobrażam go sobie, czytając wstęp Grażyny Gronczewskiej do wspomnianego tomiku, jako „młodego człowieka, pełnego energii, humoru, przekory. Sylwetka marzyciela i zręcznego konspiratora, studenta tajnej polonistyki warszawskiej, poety, którego legenda rosła stopniowo, z każdym wieczorem autorskim (...). Nie tolerował dufnej powagi. Cenił wdzięk sytuacji groteskowych. Lubił grać w piłkę”.

Narodowy Don Kichot...?

Rozmawiam z dyrektorem Szwalbe po przeczytaniu mu powyższego rozdziału. Mówię:

– Tak, oni wszyscy mogli być Rimbaudami, ale poszli gdzie indziej. Myślę, że przypominali też Lorda Jima ze swą dumą i wrażliwością uczuciową. Drapieżność intelektualna Trzebińskiego jest z kolei rodem z Witkacego: postawa nienasyceńca, niezależności, doprowadzona do ekstremu. Każdy z nich to cały polski romantyk, obdarzony wielkim talentem.

– *Ktoś to powiedział: narodowy Don Kichot z kieszeniami wypchanymi podziemną bibułą* – dodaje z nutką smutnej dezaprobaty Szwalbe – *idący jakby na spotkanie śmierci.*

– W najbardziej ponurym „czasie pogardy” ci młodzi geniusze stawiają pytania o tożsamość narodową, działają na rzecz odrodzenia polskiej kultury. Brutalnej, uzbrojonej po zęby przemocy przeciwstawiają ponadczasową sztukę. Okrucieństwo wojny spowodowało poczucie ulotności życia, a oni pokazują mu trwałość pewnych wartości. Życiem poświadczyli, że są wartości, dla których warto zginąć.

– *Chwileczkę – a dlaczego zginąć – a nie: żyć? Dlaczego ginąć miały tak wielkie, dopiero rozwijające się talenty? Proszę pani, gdy patrzę na Powstanie Warszawskie, widzę jedno: na stos rzuciliśmy nasz los, wszystko, co w narodzie najlepsze. Danina krwi nie ominęła największych poetów. Gdy dziś patrzę, jak Czesław Miłosz dożywa swej poetyckiej pełni przez całe powojenne pięćdziesięciolecie – serce mi się ściska, dlaczego takiego losu nie mogli doświadczyć poeci tej miary, co Baczyński, Trzebiński, Gajcy. Poszli za piosenką powstańczą, zaczadzeni narodowym romantyzmem. Tak, zaczadzeni, jak i cały naród. Tak łatwo na stos rzuciliśmy talenty genialne. Ktoś wydał wyrok na nich – poszli,*

by ginąć. O ile poezja ich byłaby bogatsza, gdyby żyli i mogli wchłonąć tyle bytów poetyckich, co Miłosz. Ile nam, „zjadaczom chleba”, przez ich śmierć odebrano pięknych światów! Pozwoliliśmy tym geniuszom ginąć u zarania swego – zostało po nich kilka tomików, po kilkadziesiąt wierszy.

– Miłosz zarzuca im, że oni nie mogli uwolnić się od „pewnego rodzaju romantycznego, mesjanistycznego czucia i myślenia” – podczas gdy on musiał zdobyć się na „pewną dozę cynizmu, a nawet brutalności”, żeby „wyzwolić się z martwej ręki przeszłości”. Pan zdaje się jest podobnego zdania?

– *Gdyby było więcej takich odmieńców, jak Miłosz czy ja, nieodpowiadających na wezwanie, by stawiać się pod ścianami śmierci – doczekalibyśmy się bogatej ekonomicznie i pięknej Polski. Gdyby nasza narodowa mentalność na życie, a nie na śmierć była nastawiona. Być może dziś się to zmienia, przestajemy być narodem samobójców, za nic mających dary przyrodzone, roztrwaniających bogactwo swe po drogach historii, które często nie nasze były, a zawily polski los na nie nas poprowadził – i myśmy ginęli wszędzie.*

Ktoś idących na śmierć błogosławił – to wielki grzech strategów, mężów stanu – dotąd wyrok historii im uchodził na sucho. A do czego doprowadzili – do zachwiania fizycznej i moralnej kondycji narodu. Trzeba było już w 1939 roku prowadzić politykę aktywną wobec Niemiec, a nie wydobywać komunały z arsenatu romantycznego. W 1944 roku pokolenie w Warszawie zginęło całe, w zostało kanałach powstańczych. Przegraliśmy inteligencję, najbardziej twórczą warstwę narodu.

Zabrakło wówczas chłodnego, trzeźwego rachunku – do bilansu spodziewanych korzyści politycznych go nie włączyliśmy – rachunku ekonomicznego. Ale zawsze gotowi byliśmy dać daninę krwi – czy to nie był grzech lekkomyślności i rozrzutności?! Powołujemy się łatwo na metaforę biblijną, którą posłużył się Wyspiański, a która jest jakby odpowiedzią: że nasiono musi obumrzeć, aby wzrosło. Nie każde obumarłe nasienie wschodzi takim plonem, jakiego oczekivalibyśmy od Baczyńskiego.

A może ziarno nie musi obumierać, tylko normalnie dojrzeć... Tymczasem w 1939 i 1944 roku stawaliśmy się nędzaczami Europy, z wydarzenia na wydarzenie coraz nędzniejsi i do dziś nie możemy Pani Nędzy się pozbyć. Bo

została świadomość, żeśmy rozfrymarczyli nasz geniusz narodowy. Z tego łatwego rozgrzeszenia nie będzie.

A hekatomba brygady Andersa? Czy ta powtórka z romantyzmu była jedynym sposobem żeby przetrwać? Może były inne, bardziej skuteczne, bez takiego upustu krwi? To zaczadzenie romantyzmem sprawiło, że aby mieć opinię niezłomnego sojusznika państw alianckich, daliśmy daninę krwi największą – a te państwa nas zlekceważyły.

Może ktoś uznać mnie za oportunistę – przeszedłem przez piekło powstańczej Warszawy, nie chcę wobec siebie żadnej taryfy ulgowej. Nie osądzam, nie tropię w naszej przeszłości złych zamiarów, braku dobrej woli – bo tego nie było. Tylko rachunek generalny, niekorzystny dla naszego polskiego romantyzmu. Może Pani na moim przykładzie ukazać, jak i romantyk stał się pozytywną przez swą drogę życiową, która była uniwersytetem nieubłaganym.

Być może jako naród będący z natury romantykami, w obliczu ostatecznych zagrożeń dla bytu narodowego i państwowego, weszliśmy w ten okres rozwoju kultury, kiedy romantyzm po dniach swojej chwały, poprzez różne formacje schyłkowe – modernizm, Młoda Polska – odchodził już ze sceny dziejowej. I my podjęliśmy walkę z tymi wyzwaniem narodowymi? Kompleks Don Kichota w nas tkwi zbyt głęboko. Myśmy, jak on, żyli w innej rzeczywistości.

Zdaję sobie sprawę, że co innego śmierć Kolbego – dać życie za drugiego, to coś najpiękniejszego i najtrudniejszego zarazem. Ale nie rozgrzeszać się tym, że życie całego pokolenia, tak uzdolnionego, zostało zaprzepaszczone. Za całą ekspiację tylko stwierdzenie, że na ołtarzu ideałów zginęli, że z nich wszędzie nowe życie. I tu widać ironiczny uśmiech historii: czy nasze życie jest zapłatą za ich śmierć? Czy wspaniałość ideałów ich na nas się przeniosła?. Rachunek tym dotkliwszy, że ich śmierć nie zaowocowała. To widać po tym, co mamy dziś – degrengolady jesteśmy świadkami.

Kosmos leży po stronie stworzonej...

– Jak Pan patrzy na dobro i zło?

– *Jeśli sięgniemy w historię dawniejszą czy współczesną, stajemy się świadkami tego, że Bóg pisze po krzywych ludzkich liniach. Tylko czy my potrafimy odczytywać znaki czasu? Niech Pani weźmie pod uwagę, że to zdanie wypowiada człowiek siedemdziesięciopięcioletni, który coraz bardziej odczuwa duszność przy oddychaniu i chodzi coraz wolniej. Jest chyba niepisanym prawem takiego człowieka dostrzegać w tym wszystkim znaki transcendencji. I taki człowiek już wie, że wszystko chwieje się i toczy w poprzek, wbrew ludzkim rachunkom. Jakby nie tylko nieskończenie dobra i mądra była Istota Najwyższa, ale też i nieskończenie miłosierna – że cały ten rozgadany, zabiegany, przechorny i niewierny tłumek ludzkości, będący tylko fragmentem wielkich dziejów świata – jest dobrotliwie nakierowywany ręką Opatrzności. I to nie tylko wbrew swej woli, ale i bez swej wiedzy. Ludzkość często nie zdaje sobie sprawy, dokąd jest prowadzona, nieraz dopiero po setkach lat doszuka się w wydarzeniach, ocenianych przedtem jednoznacznie – zupełnie niezależnej myśli Bożej.*

– Uważa Pan, że zło jest takim samym motorem świata jak dobro?

– *Istnieje tylko dobro. Zło jest dobrem, którego do końca odczytać nie potrafimy ze względu na niedoskonałość naszego ludzkiego poznania. To, co dla nas wydaje się być złem, tłumaczyłoby się może inaczej, gdybyśmy mogli zdobyć perspektywę spojrzenia Boga.*

– Czyżby za takim stawianiem sprawy nie kryło się tłumaczenie zła w ludzkim postępowaniu i przyzwolenie na relatywizm moralny?

– *O, nie. Dobro i zło w naszym ludzkim rozumieniu cały czas jest na swoich miejscach i byłoby nierozsądnie, gdybyśmy zaczęli wprowadzać pojęcie relatywizmu jako normy. Na pewno prawda jest najważniejsza – inaczej żyć nie*

możemy. Żyjemy tlenem na tej ziemi, a dla ducha jest nim obowiązujący przez wieki Dekalog – i to jest zgodne z tym, co powiedziałem o ogromnych ludzkich rachunkach, które są tylko fragmentem Jego wielkich decyzji. One też należą do porządku dobra absolutnego. Nawet kataklizmy. Niech Pani spojrzy: jakaż wielka klęska biednych dinozaurów miała w przeszłości prehistorycznej miejsce, spowodowana przez ogromne ruchy wód i wulkanów, deszcz meteorytów, co zniszczyło życie na ziemi przed tysiącami lat. Ale przecież nie byłoby miejsca dla ludzi, gdyby nie było katastrofy dinozaurów. To nie jest relatywizm – to historia naszej stworzonosci. I to nas uczy wielkiej pokory.

– W rozmowie ze mną wymienił Pan przykład Normanów, którzy byli bardzo okrutni, ale okazali się znakomitymi legislatorami. Czyżby to miało oznaczać, że warto być okrutnym, gdy się jest tak zdolnym?

– *Nie wiem, czy miałem rację, mówiąc o Normanach. Nie wiem też, czym ani kim posłuży się Bóg, aby zwyciężyła Jego ekonomia, Jego wielki zamysł. Może szerzej odpowiem Pani, gdy przeczytam fragment rozważań Barańczaka o Brodskim, zamieszczonych w Zeszytach Literackich (pt. „Poprzez”, nr 57, zima 1997), które akurat mam pod ręką. Zdaniem Barańczaka ten wielki noblista uważany był za optymistę, tymczasem był jednym z najbardziej konsekwentnych pesymistów naszych czasów: „Jego pesymizm dotyczył przede wszystkim perspektyw natury ludzkiej. Brodski nie wierzył ani w przyrodzoną dobroć natury ludzkiej, ani w możliwość osiągnięcia przez nią doskonałości. Te pobożne życzenia (...) pogrzebane zostały, jego zdaniem na zawsze pod zwalami popiołów, pozostających po ciałach ofiar ludzkiego zła, którego tyle przejawów postawiło przed nami nasze stulecie. Zło manifestowało się w ludzkiej historii już wcześniej, pozostawiając po sobie niewiele mniejsze usypiska trupów. Dopiero jednak masowe oblędy naszych czasów otwały nam ostatecznie oczy na to, że zło ma swą siedzibę w gruncie rzeczy w każdej duszy ludzkiej. «Ludzki potencjał negatywny» – ten zwrot pobrzmiewa w esejach Brodskiego ze złowieszczą częstotliwością”.*

– Brodski uważał, że jeśli się nie da tego „ludzkiego negatywnego potencjału” usunąć na zawsze – to przynajmniej trzeba go osłabić. I tu jest ogromne pole dla sztuki, a dla poezji w szczególności?

– *Tak, niewątpliwie. I cała moja działalność zmierzała w tym kierunku. Ja jednak będę upierał się przy swoich przemyśleniach: nie wiadomo czym, ani*

kim posłuży się Bóg, by zwyciężyła Jego ekonomia, ten Jego wielki zamysł. Mógł przecież urządzić świat bez grzechu pierworodnego, z rasą ludzi-aniotów, dziwnie nudnych, bo pozbawionych biegunów dobra i zła, będących częstką nieba z przyrodzoną im doskonałością. Jestem głęboko przekonany, że cały kosmos leży po stronie stworzonej, tylko co płytszym umyśлом marzy się, że jest on już częścią Królestwa Bożego. Bóg jest jeszcze wyżej, jeszcze dalej, w zupełnie innym wymiarze – wieczności, trwania.

– Dlaczego więc tak boli to, co dzieje się na tym świecie – jakby na przekór ludzkości? Ta bezkarność zła?

– *Trudno obwiniać Pana Boga, że nie prowadzi rejestru. Jestem dziwnie spokojny, że to w niczym nie narusza wszechmocy Bożego Absolutu. Mnie osobiście wiele spraw nie przeszkadza, nie wywołuje zaciętrzewienia. Jestem przekonany, że i tak wszystko stoi na mocnych fundamentach i Boża geometria realizowana jest z całą konsekwencją, ale dostrzec to możemy dopiero wtedy, gdy zyskamy inną optykę spojrzenia. Kiedy uwolnimy się od naszego ziemskiego pojmowania czasu, wówczas zobaczymy świat prawdziwie w jego wspaniałej pełnej niezmienności. Przyjąwszy taki punkt widzenia, można na powrót pokochać świat.*

– Z przyzwoleniem na jego zło?

– *Ja Pani zdania na temat roli moralności nie neguję. Obok umiejętności też chciałbym widzieć postawę moralną rządzących. Wiem, że u nas dziś tak nie jest – i tak nie powinno być. Powinna być przyzwoitość jako minimum – bo inaczej nie można i wszystkich nas to obowiązuje. Być może moje tak pobłażliwe stanowisko – to próba znalezienia dla tych płuc, które sobie coraz mniej radzą z ludzką atmosferą – oddechu gdzieś ponad.*

– Pan go znalazł w nieskończoności...

– *... która nie jest – dodajmy – największą przestrzenią z możliwych, tak jak wieczność nie jest jakąś nieskończoną taśmą dziania się. I wieczność, i nieskończoność mieszczą się w czymś znacznie mniejszym niż łepok szpilki. Dopiero gdy powiem, że świat jest niczym – możemy powiedzieć, że Bóg jest wszystkim.*

– To powiedziano już przed Panem.

– *Tak. To nie są bynajmniej zdania mego autorstwa, ale w nich zawarte jest wszystko. To, co było moim osobistym sądem, dotyczyło moralnej i histo-*

riozoficznej konsekwencji uznania tych prawd. I poprzestać możemy tylko na konstatacji, że wszechmoc, dobroć, mądrość Boga i to co nazywamy Jego dobrocią – wypowiada się w niepojęty dla nas sposób.

– Dlatego mówi się: nieodgadnione są wyroki Boże i że Bóg dopuszcza zło...

– *Żydzi tego nie zrozumieli i uważają, że Bóg opuścił tę część świata, gdzie miał miejsce Holocaust. Ja tak nie uważam – nie ma miejsc opuszczonych przez Boga, który przenika wszystko, jest we wszystkich wymiarach i porządkach. I gdy to sobie uświadomię, wszystko układa mi się w jasny wzór. A to, co nas boli i zdumiewa – kiedyś się wyjaśni lub nie za ludzkiej egzystencji. Ale Bogu trzeba przecież zawierzyć – nie ma innej rady.*

– Inaczej świat – to byłby wybryk natury.

– *Właśnie. Bóg jest koniecznością. Dał nam prawo wyboru. Ale że sam Jest – wynika z pewnej analityki, nie może być przedmiotem dowodu. Bóg jest – bo jest Jest.*

A jeśli komu droga otwarta...

Wracam do Kanady, ale biorę ze sobą ciągle niedopracowany skrypt mojej książki o Andrzeju Szwalbem. Może tam w ciszy nieskażonych kanadyjskich lasów dokończę? No i mam spotkać kogoś, kto mi o Szwalbem powinien dużo powiedzieć – cioteczną siostrę jego żony Dobrusi – Krystynę Przyborowską.

Sierpień spędzam w Toronto, gdzie Polski Związek Byłych Więźniów Politycznych (o którym pisałam książkę) nie poddaje się działaniu czasu. Członkowie Związku to głównie uczestnicy II wojny światowej, ciągle młodzi duchem, bo żarliwy patriotyzm nakazuje im nie ustawać w działaniach na rzecz upamiętnienia na kontynencie amerykańskim naszej narodowej martyrologii. To oni wmurowali w polskich kościołach Ontario prochy ofiar Oświęcimia, w Toronto w kościele św. Kazimierza zbudowali kaplicę poświęconą św. Maksymilianowi Kolbemu, zresztą PZBWP nosi jego imię. Pod wezwaniem św. Maksymiliana Kolbego jest też polska parafia w Mississaudze, a zbudowane też przez Polaków tuż obok kościoła św. Maksymiliana Kolbego – Centrum Jana Pawła II nosi imię naszego niezwykłego Papieża.

A teraz odbywam właśnie wraz z członkami Związku pielgrzymkę do ontaryjskiego Wilna w rocznicę śmierci Kolbego. Nie ma wśród pielgrzymujących kacetowców ciotecznej siostry żony Szwalbego, Krystyny Przyborowskiej-Orłowskiej – uczestniczki Powstania Warszawskiego, o której Dobrusia tyle mi opowiadała.

Wiedząc o niej wiele jako o działaczce polonijnej „Towarzystwa AK-owców”, postanawiam odwiedzić ją w Toronto, gdzie mieszka od 1950 roku z mężem, Stanisławem Orłowskim, długoletnim (byłym) prezesem Kongresu Polonii Kanadyjskiej, a także Polonii Świata.

Jedzie się najpierw subwayem na północ do Lorentz, a potem autobusem do Wanless. Przed opuszczeniem autobusu uprzejmy kierowca tak dokładnie na mapce kreśli mi drogę do domu przy ulicy Braeside 42, że trafiam od razu. To dobra dzielnica Toronto, wkoło zadbane i pełne zieleni, ale podobne do siebie domki ludzi niezłe sytuowanych, wykształconych, najczęściej architektów, doktorów i prawników. Właśnie architektem z zawodu jest Stanisław Orłowski.

Pani Krystyna wita mnie na progu, bo właśnie skończyło się u niej długie zebranie AK-owców, którym od lat sekretarzuje. Doprawdy, można zapomnieć, że to Kanada, bo jak nie Polski Związek Byłych Więźniów Politycznych, to AK. Na początek pani Orłowska nie jest zachęcająco uprzejma, mówi, że przeciążona jest pracą społeczną i że jej zdaniem dziś Polacy, jeśli przyjeżdżają do Kanady, to nastawieni na zysk materialny. Teraz ja z kolei podaję sucho, że będąc trzy lata w Kanadzie, pisałam niemal społecznie wiele artykułów, przygotowywałam imprezy patriotyczne literacko-muzyczne dla Kongresu Polonii Kanadyjskiej – i nigdy nie przyszło mi na myśl oczekiwać za to zapłaty.

– *Pani miała tutaj pobyt stały?* – spytała.

– Tak.

– *Więc dlaczego opuściła Pani Kanadę?*

– Bo nastąpiła wolna Polska.

Od tego momentu radykalnie zmienia się stosunek pani Krystyny do mnie – staje się serdeczniejsza, choć wyczuwam, że pewną barierę w stosunkach z ludźmi tej dzielnej kobiety wytycza jej stale zamknięte, niewidzące oko. Tragedia, o której opowie mi później jej mąż, miała swe źródło w jej udziale i odniesionych ranach gowy w Powstaniu Warszawskim, a rozegrała się przed laty, już w Kanadzie, gdy ich dzieci dopiero podrosły. Operacja trwała osiem godzin i choć przeprowadzili ją najlepsi lekarze w Toronto, oka nie udało się uratować.

Najpierw oczywiście rozmawiamy z panią Krystyną o celu mojej wizyty – Andrzej Szwalbem i książce, którą o nim piszę. Jako cioteczna siostra żony Andrzeja poznała go dopiero w 1961 roku, podczas pobytu w Polsce. Wiele mówił wówczas o muzyce, którą bardzo kocha (*Czy Pani wie, że*

on w domu gra na własnym fortepianie?) i o jedności sztuk – idei wcielanej w życie w bydgoskiej Filharmonii Pomorskiej im. Paderewskiego, której jest założycielem, budowniczym i dyrektorem. Gdy znaleźli się w jej wnętrzu, Szwalbe kazał Krystynie i jej mężowi stanąć w jednym końcu wielkiej sali koncertowej, a sam przeszedł na drugi koniec i coś do nich mówił szeptem. Byli zdumieni: wyraźnie słyszeli ten szept. Tak unaoczniał im, że Filharmonia Pomorska ma najlepszą akustykę w Europie.

W ogóle zawsze mówił Krystynie o swych kolejnych planach: Biuro Wystaw Artystycznych, BTN, Opera, Wyższa Szkoła Muzyczna, Dzielnica Muzyczna – wszystko to albo wznosił jako społeczny inwestor lub zakładał w Bydgoszczy, którą ukochał. Ile nasłuchiwała się o tym, że Opera musi być zbudowana. A do partii musiał wstąpić, bo szantażowano jego rodzinę i teściów Ruszkowskich. Ale nigdy nie był partyjnym działaczem.

Rozprawiamy o różnicy w spojrzeniu na Powstanie Warszawskie Szwalbego i jej. Sama była uczestniczką Powstania i do dziś jest jego zapaloną entuzjastką. Gdy o nim mówi, ożywia się i jak lwica broni swych imponderabiliów:

– Szerzą się, proszę Pani, opinie, że w czasie okupacji ruch oporu był niepotrzebny, bowiem przyniósł zniszczenie żywej tkanki narodu. To jest fałszowanie historii – Krystyna Przyborowska jest znakomitym oponentem, ale wobec kogo? Przecież jestem podobnego zdania. Rozumiem, że za moim pośrednictwem polemizuje ze swym wybitnym powinowatym, Andrzejem Szwalbem i jego stosunkiem do Powstania Warszawskiego.

– Proszę Pani – powtarza – przecież gdyby nie ruch oporu, nie mielibyśmy tajnego szkolnictwa podczas okupacji. A hitlerowcy i tak by niszczyli siły kierownicze narodu – wojsko i szkolnictwo. A poza tym my, Polacy, nie możemy być niewolnikami! I to trzeba sobie uświadomić. Dzięki ruchowi oporu mieliśmy poczucie, że nie jesteśmy pobici, lecz wolni. Tak, czuliśmy się wolni – to chyba dużo. Pani wie, że Niemcy musieli trzymać w pogotowiu całych swoich 15 dywizji, żeby móc w Polsce utrzymać porządek? To były siły odciągane przez nas od frontu!

Pani Krystyna przemawia z żarem, jakby to zdarzyło się dziś:

– Że Powstanie było niepotrzebne?! Jak można mówić coś takiego! Przecież to w nas, Polakach rosło i potężniało z każdym dniem okupacji. Zakładałam się

co roku, poczynając od 1940 – że Powstanie wybuchnie i byłam szczęśliwa, że tego doczekałam. Nasi oficerowie ukrywali się – Niemcy kazali im wszystkim się ujawnić. Więc wojsko miało wyjść z bronią w rękę i zostawić ludność cywilną?! Jak oni mogli to uczynić?! Zresztą i cała ludność cywilna przygotowywała się do Powstania i nie można było powiedzieć: „Teraz się rozejdźcie!”. Bez wojska Warszawa też by powstała.

Chwilę milczy zapatrzona w tamten pamiętny, bohaterski czas.

– Proszę Pani, bez ruchu oporu wszyscy musielibyśmy czapkować okupantowi! Żydom też nie moglibyśmy pomóc, jakeśmy to czynili. Nam, zaangażowanym w ruch oporu, chodziło o stworzenie warunków normalnego życia Polaków w czasie okupacji i to nam się udało. Przykładem choćby właśnie Andrzej Szwalbe, który w miarę normalne życie wówczas miał, konspiracyjnie zdał maturę i rozpoczął studia.

Chwilę grzebie w stercie papierów i wyjmuję jakieś pismo.

– Właśnie przed samym Pani przyjściem mieliśmy nasze zebranie akowskie (które u mnie odbywają się systematycznie) i właśnie na to zebranie sformułowałam, w związku ze zbliżającym się 1 sierpnia 1997 roku i obchodzoną przez nas uroczystą 53. rocznicą Powstania – pismo następującej treści:

„Dalej toczą się spory o celowość wielkiego powstańczego warszawskiego zrywu i w ogóle ruchu oporu. Przypomnijmy rodakom i oceniającym nas postronnym narodom, że ruch oporu obejmował wiele działań oprócz wojska. Było nim objęte również szkolnictwo, informacja, pomoc więźniom i jeńcom wojennym, delegatura rządu i sądownictwo, a także wiele innych działań, które miały na celu stworzenie warunków normalnego życia ludzi wolnych, choć pod zaborem. Wszystko było pracą dla Polski, narodu, walką o niepodległość, troską o młodzież i godność Polaka. Znaczenie tej pracy podkreślał już Jan z Czarnolasu w swym słynnym dwuwierszu: «A jeśli komu droga otwarta do nieba, Tym co służą ojczyźnie»”.

Jest wyraźnie wzruszona. Milknie, a potem podejmuje znów ten sam wątek:

– Niejaki pan Korbowski napisał epistolę, że Powstanie było niepotrzebne. W trochę innym, bardziej ironicznym stylu mu odpisałam i wie Pani, gdzie wysłałam ten mój artykuł polemizujący z nim? – Do paryskiej „Kultury” i Gie-

droyć to zamieścić! Zaczęłam swą odpowiedź Karbowskiemu od zacytowania bajki Ignacego Krasickiego: „Pies szczekał na złodzieja i pana obudził”. Tak, z nami było tak, jak w tej bajce.

– Pani wzięła czynny udział w Powstaniu wraz ze swymi siostrami?

– *Pracowałam w powstańczym Biurze Informacji i Propagandy. Dwa i pół tysiąca egzemplarzy biuletynu informacyjnego drukowaliśmy i roznosiliśmy co tydzień, a także książki, na przykład „Kamienie na szaniec” Aleksandra Kamińskiego. Każda z nas miała 5 punktów, dokąd biuletyn musiał być roznieśiony. Moja młodsza siostra pracowała w Hufcach Polskich, starsza była łączniczką na Ochocie w WSOP-ie – Wojskowej Służbie Ochrony Powstania. Była to ważna instytucja użyteczności publicznej. Ja miałam przeszkolenie wartownicze i wykorzystywałam je w pełni. Byłam nawet odznaczona za utrzymanie podczas Powstania łączności z elektrownią. Zapewniam Panią, że nie była to tylko młodzieńcza brawura. Mielśmy za zadanie spełnić rozkaz, ale głowy niepotrzebnie nie nastawiać, żeby jej nie ustrzelili.*

– Nie odczuwała Pani strachu?

– *Nie, nie bałam się zbytnio, ale podczas akcji bez przerwy szeptałam „Pod Twoją obronę”. Gdy Powstanie upadło, spytali mnie koledzy, czy pójdę do niewoli z całym powstańczym wojskiem? Powiedziałam, że na dwa tygodnie mogę pójść, tak byłam pewna, że wojna dłużej nie potrwa. I poszłam na siedem i pół miesiąca. Uwolniła nas akurat tego dnia, gdy prezydent Roosevelt umarł, I Dywizja gen. Maczka. Potem zabrano nas do Holandii na kurs rekruczek w lotnictwie. Odслужиłam rok, dostałam stypendium i służba w lotnictwie się skończyła. Zaczęłam studiować w Anglii i tam spotkałam mego przyszłego męża, Stanisława.*

* * *

Jak na komendę zjawia się Stanisław Orłowski, człowiek niezwykle promienny, uśmiechnięty, charyzmatyczny, rzekłabym predestynowany do pełnienia ważnych funkcji. I mimo niemłodego już wieku wciąż pełen rozmachu.

Zaczyna się jego opowieść o tym, jakie miał szczęście do ludzi i ile dało mu polskie przedwojenne harcerstwo. Wyszedł bowiem z harcerstwa,

w którym działał na Wołyniu. „Harcerstwo jest moją Polską – mówi – drugą po rodzinie organizacją”. Mając 13, lat z wiejskich chłopaków w Mikuliczach na Wołyniu szczerp stworzył, do dziś utrzymuje z niektórymi kontakty. Dostał podharcymistrza jako jeden z najmłodszych. To więcej niż matura znaczyło i dało mu możliwość „odwagi mówienia”, tak przydatnej potem w dyplomacji.

Gdy był w wojsku, zaproponowano mu, by tworzył harcerstwo w Indiach, Afryce, Palestynie. I on zakładał harcerstwo na Środkowym Wschodzie. Do pomocy miał dwóch Żydów i to była przyjaźń na całe życie. Niestety, Rosjanie wkroczyli do Polski i w 1940 roku został aresztowany, był w wielu więzieniach m.in. we Lwowie, w Dniepropawłowsku, aż znalazł się w łagrze w Workucie (na ścianie sąsiedniego pokoju wisi dzieło Antoniego Dobrowolskiego, malarza, kolegi z gimnazjum i harcerstwa, a także z Workuty i włoskiej kampanii. Jest to obraz złożony z portretów, tworzonych w łagrze. Poznając młodego Orłowskiego).

Zwolniony we wrześniu 1941 roku. Stanisław nie został przyjęty do Wojska Polskiego, formułującego się na południu Rosji, bo z głodu miał rany na szyi. Zrozpaczony szedł drogą. I wtedy uratował go generał Okulicki, który dziwnym trafem podążał za nim. Po wysłuchaniu go położył mu rękę na głowie i rzekł te ważne słowa: „Jeszcze będziesz służył w wojsku polskim”. Tak, generał Okulicki uratował mu życie, podobnie jak wcześniej w łagrze doktor Smurnowa, która szczególnie długo trzymała go w lazarecie, aby przetrwał.

Poszedł na front: Irak, Palestyna, cała kampania włoska, Monte Cassino...

Po wyzwoleniu z obozów – a przeszedł przez m.in. Bergen Belsen – znalazł się w Anglii, gdzie studiował ekonomię i architekturę, powołał też na tamtejszym uniwersytecie Klub Polskich Studentów. Potem, jako naukowiec osiadł wraz z żoną w Kanadzie, miał wykłady w całej Europie, także w Polsce, a w Toronto wykłada przez lata całe architekturę na studiach podyplomowych dla nauczycieli. Posiada tytuł Masters – Fellow of the Royal Canadian of Architect, nadany przez Królewski Instytut Architektów Kanady. Ma prestiżową „Nagrode Dębu”, przyznaną przez Uniwersytet Torontoński. W edycji licznych prac naukowych najwięcej pomogła mu

żona, zarówno w języku angielskim, jak i polskim. Ona wszystko pamięta – jak się pisze każde słowo. I ślicznie piórkiem szkicuje. Ich wypadły poza miasto – to było zawsze szkicowanie.

Oglądam piękne obrazy, wiszące we wszystkich pokojach, zwłaszcza Czapskiego, Kuryłowicza i skrycie podziwiam to urocze polskie małżeństwo – przedstawiciele starej emigracji. Stanisław Orłowski mówi, że miał zawsze szczęście w życiu.

– Mogę się nazwać dzieckiem szczęścia. Nie musiałem nigdy o nic prosić, wszędzie promocję dostawałem, zawsze mogłem robić to, co uważałem za dobre – a przecież jestem cudzoziemcem.

Tak, siłę przebicia miał nieprzeciętną. I posypały się stanowiska. Najpierw Naczelny Architekt Prowincji Ontario – miliony dolarów budżetu pod sobą miał, tak mu powierzono. Gdy nasz Papież odwiedził Kanadę – on znalazł się w głównym Komitecie organizacyjnym. Przez sześć lat był pierwszym wiceprezesem Kongresu Polonii Kanadyjskiej, potem przez cztery lata – prezesem KPK, a następnie przez całe dziewięć lat – prezesem Polonii Świata. Aktywnie działa w Fundacji Polsko-Żydowskiej, a ona rozszerza się na inne kraje. Gdy w latach osiemdziesiątych było zebranie Rady Polonii Świata w Londynie, napisano do niego, że sprawa Oświęcimia i Karmelitanek nie może jakoś znaleźć rozwiązania. Do Londynu przyjechały wszystkie żydowskie narodowe organizacje. No i nastąpiło spotkanie w Polskim Centrum sześciu przedstawicieli żydowskich i sześciu Polonii Świata. Gdy przybył do tego gremium jako prezes Polonii Świata, wszyscy wstali. Osobiście uważał, że biskup lokalny powinien rozwiązać sprawę Karmelitanek – i w tym celu do ówczesnego biskupa Krakowa, kardynała Macharskiego zaproponował napisać list. Nazajutrz kardynałowi go wręczono, bo był obecny, podobnie jak kardynał Lionu i Brukseli. List podpisany przez sześciu Polaków i sześciu Żydów. I rozstanie między obiema stronami było bardzo miłe. „Myśmy wyrosli z tej samej ziemi” – mówili Żydzi. Przyznawano, że głupota była obopólna.

– Bo widzi Pani, Żydzi na nas szczekają, my na nich też. Żeby konflikt załagodzić, konieczna jest polemika na poziomie wyższym, w formie książek

naukowych, a nie pogaduszek, w złości rzuconych inwektyw. Powinno nastąpić zbliżenie towarzystw naukowych polskich i żydowskich.

– Po tych oksfordzkich konferencjach było – wspomina dalej – spotkanie międzynarodowe polsko-żydowskie w Krakowie. I wybrano mnie do misji Kanady w Izraelu. Chodziło o spojrzenie na ówczesne operacje Izraela. Palestynę znam z czasu wojny – teraz pokazali nam każdą granicę. To była niesamowita wizyta. Przed gabinetem rządowym Izraela wystąpiliśmy. Cały budżet nam pokazali. Spotkałem Pereza, byłego premiera Izraela. „Dlatego nie dajecie autonomii Palestynie?” – spytałem. Przyznał mi rację.

W Tel Awiwie na uniwersytet nas zawieźli, pokazali muzeum diaspor żydowskiej. Myślałem wówczas: narodzie polski, dlaczego ty nie stworzysz diaspor (czyli muzeum) Polonii Świata?! Diaspora – to wielkość kultury. Tam, w żydowskiej diasporze, są sale nagród Nobla, jakie Żydzi, rozproszeni po całym świecie, otrzymali. Moglibyśmy też stworzyć takie sale polskich międzynarodowych nagród. Autorami ilu odkryć, wynalazków, Nagród Nobla są Polacy?! Trzy główne bomby wynaleźli. A kto jest największym matematykiem w USA – prof. Stanisław Ulam – szczupły, skromny Polak, ze słynnej szkoły matematyków lwowskich, profesor Harvardu, Columbia University, autor prac z teorii mnogości, teorii funkcji rzeczywistych i teorii prawdopodobieństwa, współtwórca bomby wodorowej... A Stefan Banach, też matematyk, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, współtwórca analizy funkcjonalnej? A profesorowie Sierpiński, czy Orzeł? Ten ostatni otrzymał w Kanadzie doktorat honoris causa University of Toronto – za rewelacyjne prace nad rozbięciem atomu, udział w pierwszej wyprawie na Księżyc. A Władysław Wrażej, wyznaczony przez rząd angielski do budowy pierwszego sputnika amerykańskiego?

Inżynier Orłowski wymienia jeszcze długo zasługi współczesnych Polaków, rozsianych po świecie, dla światowej nauki i kultury. Rozprawia o wielkim znaczeniu Jana Pawła II. Mówi o swym spotkaniu w Radzie Prymasowskiej Cywilnej, gdy Papież tam był. Dwa razy przed nim przemawiał – to wielkie przeżycie.

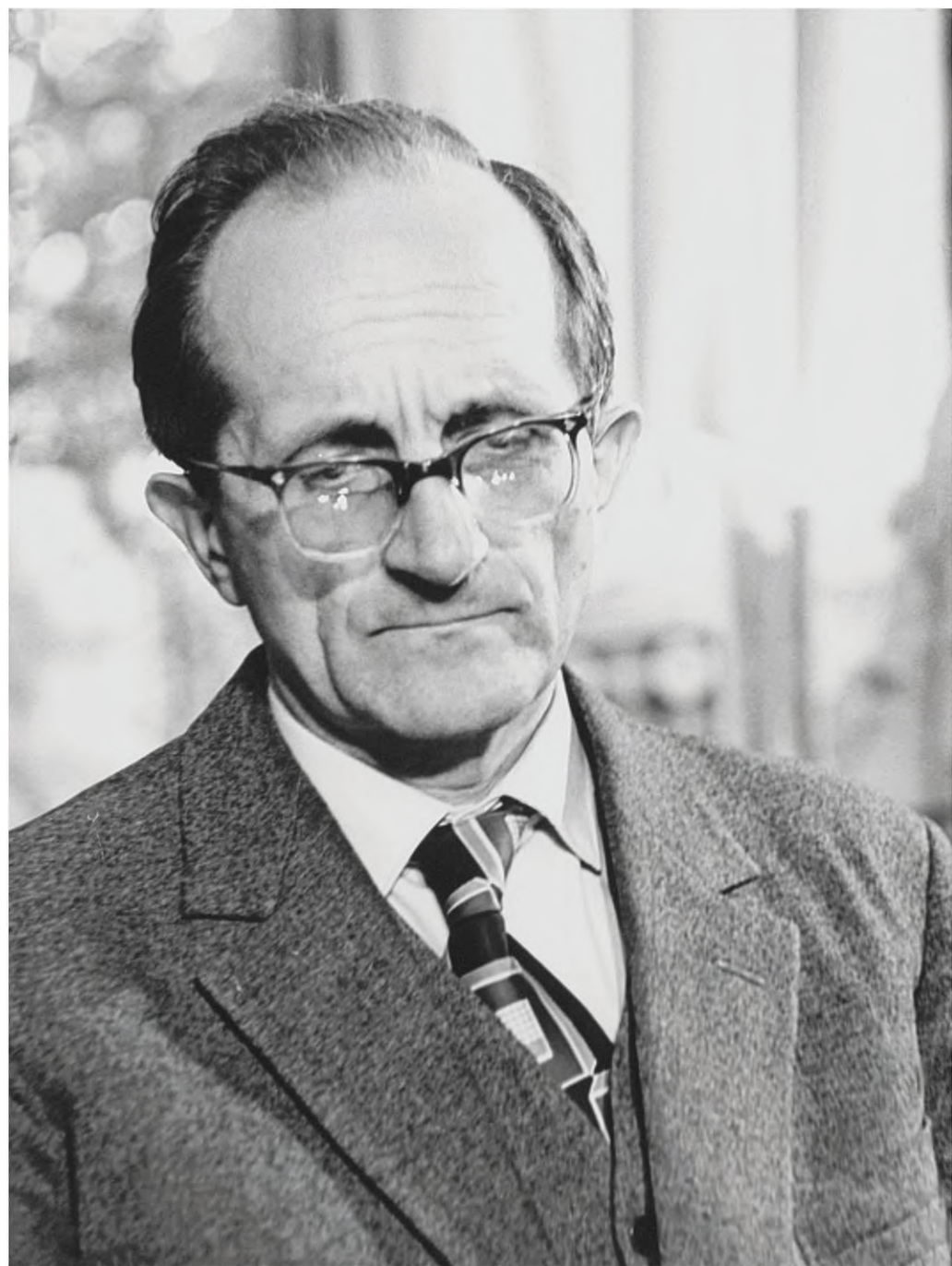
W Niemczech z misją Kanady też był. Powiedział im, że walczył z nimi w czasie wojny. Traktowali go z wielkim szacunkiem. Obecnie z grupami etnicznymi w Kanadzie współpracuje, organizując na przykład „Konfe-

rencje Grupy Siedmiu” – konsolidujące Polaków, Ukraińców, Litwinów, Łotyszów, Estończyków, Czechów. Życzliwość w stosunkach między narodami i ludźmi – to jego dewiza. A Kanada – to dobry kraj i tu ta idea wcielana jest w życie.

Stanisław Orłowski nosi jeszcze buty, kupione tu, w Kanadzie w 1958 roku, ale błyszczą pięknie. Jemy pyszną lazanię, przyrządzoną przez panią Krystynę, a także słynny jabłecznik pay, pijemy szkocką whisky, likier, wino. Trwa niepowtarzalna „nocna Polaków rozmowa” o wszystkim, o Polsce, Kanadzie, a także na przykład o predestynacji. Bo chyba takowa istnieje i pan Stanisław predestynowany był do znaczących ról.

Późną nocą odwożę mnie swym samochodem do Scarborough, gdzie się zatrzymałam na parę dni.

Dlaczego poświęciłam tym zamieszkałym w Kanadzie powinowatym Szwalbego tyle miejsca? Może dlatego, że warto posłuchać ich przemyśleń. Ale chyba przede wszystkim dlatego, że ich dzieje mówią wiele o losach ludzi tego małego skrawka ziemi, jakim jest nasz kraj – którym przyszło żyć na przełomie epok i formacji ustrojowych. I o Polakach stale noszących w sobie Polskę, choć droga była przed nimi otwarta i zawędrowali na inne kontynenty...



część II

Poczucie dali...

Kraj trudnego patriotyzmu

Było ciepłe czerwcowe popołudnie 1945 roku, gdy Andrzej Szwalbe wszedł na złomowisko gruzów, które kiedyś było jego domem przy ulicy Chłodnej 8. Ostała się tylko wyszczerbiona ściana frontowa, wewnątrz było doszczętnie wypalone i zapełnione gruzem do połowy pierwszego piętra. Pył i kurz ze starych ruin sprawił, że stopniowo porastały one zieloną trawą. Jak zamurowany patrzył na ten umilkły i posępny krajobraz wojenny, jakby pogodzony ze swym historycznym losem. Nagle poczuł gwałtowne bicie serca, wzrok jego spoczął bowiem na prostokątnym przedmiocie, wystającym z ziemi w miejscu ich dawnego salonu. Zaczął poruszać tym kawałkiem zmarłej przeszłości, przeczuwając bardziej niż rozumiejąc jego niezwykłą wagę. Z uporem dokopywał się do coraz głębszych pokładów gruzu i oto serce podskoczyło mu do gardła. Zrozumiał, że wykopuje podstawę owego popiersia matki autorstwa Stanisława Pawlaka, które w piwnicy przeczekało wojenną zawieruchę, a gdy i piwnica przestała istnieć, wydobyte siłą detonacji niemal na powierzchnię – przetrwało wśród rumowisk zrujnowanej Warszawy, zniszczonej w osiemdziesięciu procentach.

Jako dowód, że z pozoru mała i krucha sztuka silniejsza bywa od kataklizmów historii, pożogi i tanków, gniotących swym ciężarem wszystko.

* * *

– W miarę, jak wygasła w nas Powstanie, kiedy oczekiwaliśmy momentu, gdy przewali się nad nami coraz bliższy, coraz silniej dudniący i hyskający ogniem kanonady front rosyjsko-ukraiński, potem oszołomieni nową, diametralnie różną sytuacją – zaczęliśmy się zbierać do powrotnej wędrówki, przeglądać bagaż, który ocalał, a pośród niego niezatracone do reszty ideały Harmonii, Dobra i Piękna.

Potem, gdy już wzrok zaczął się przyzwyczajać do innej perspektywy, jęła niepokoić sobą, to zanikać, to znów powracać refleksja, że oto na naszych oczach odmieniła się epoka. Przecież wyginęły całe klasy gimnazjalne i roczniki uniwersyteckie. Starte w gruzy leży miasta. Odeszły warstwy społeczne, a także całe narody. Zakurzonymi drogami, zwisając z wagonów kolejowych całymi kiściami, przybywali, ze wsi przeludnionej i spoza świeżej granicy ludzie nowi, nie tacy sami, do jakich byliśmy przyzwyczajeni. Inni, w każdym razie, od dotychczasowych mecenasów kultury i sztuki. Więc już nie tradycyjna inteligencja miejska o szlacheckim rodowodzie, ani ziemiaństwo pokrewne arystokracji, które zogniskowały na sobie groźną mściwość okupanta, a następnie doktrynerów klasowości. Również i dzieje całego dwudziestolecia można w końcu odczytywać jako nieudaną sekwencję prób zwrócenia długu społecznego, zaciągniętego u najszybszych warstw w roku 1920 i jeszcze przedtem. Różnica wszakże z czasami przedwojennymi polegała na tym, że do normalnego, mniej czy bardziej mądrze sterowanego procesu społecznego, wdarł się z zewnątrz czynnik heterogenny, który zakłócił jego naturalny bieg nic sobie nie robiąc z faktu, że w ten sposób narusza jego legitymację społeczną aktami oktrojowanymi i eksterminacyjnymi.

Równocześnie rozpoczęła swój bieg gwałtowna urbanizacja i industrializacja. Zaczęły pojawiać się pierwsze symptomy kultury masowej. Powstało pytanie: kto więc, w jaki sposób i z jakim skutkiem miałby przekazać przestanie odchodzącej epoki nowemu, innemu człowiekowi tak, by uznał wartość myśli i sztuki wysokiej za swą własną, poniósł ją dalej w sztafecie pokoleń, obronił w razie potrzeby przed zgubą.

* * *

Świadomość wielkości Polski nie opuściła go wówczas. Sponiewierana w czasie wojny, zasługiwała na tym większą miłość. Powojenne społeczne translokacje traktował jako mankamenty, niemające wpływu na poczucie istotnej wielkości Polski w sferze sztuki. Zrozumiał wówczas, że Polska jest krajem trudnego patriotyzmu. Pozbawiona swobody działania w prawie międzynarodowym, niemająca odpowiednich gospodarczych

przesłanek – zachować przecież powinna swą godność, poczucie dziejowej doniosłości, bo każdy kraj ma swą misję wobec świata, tak jak każdy człowiek wobec swej ojczyzny. Ów trudny patriotyzm wymaga poświęceń i wyrzeczeń, a nie obiecuje łatwych sukcesów, doraźnego postępu. Wiele pokoleń – myślał – musi miłować tę Polskę, by doszła ona do miary, którą potencjalnie nosi.

* * *

– W 1946 roku dokonuje się przetomowa zamiana w moim życiu: Warszawy, do której nie ma po co wracać, na Bydgoszcz. W miejsce syndromu stołeczno-centralnego: wojewódzko-regionalny. To jest zasadniczy przetom życiowy, łagodzony przez okoliczność, że nie jestem sam, tylko razem, w trójkę z rodzicami. Pewnym amortyzatorem zderzenia z nową rzeczywistością jest fakt, że u mojej przyszłej żony i jej rodziny, Ruszkowskich i Przyborowskich, trwają wspomnienia warszawskiego okresu okupacyjnego i powstańczego, i tego pierwszego, po rewolucji rosyjskiej, kiedy na kilka lat osiedlili się w Warszawie, by w połowie lat dwudziestych przenieść się do Bydgoszczy, na ulicę Dworcową. A w tym mieszkaniu, z przerwą na okupacyjny exodus, trwają nieprzerwanie od 1931 roku.

Coraz wszelako natarczywiej domaga się odpowiedzi pytanie, które niebawem, już za parę lat określi całą przyszłość: co uczynić, aby tutaj nie zubożeć kulturalnie? Na razie nie rzucam fortepianu, dość dużo ćwiczę. Równocześnie dojeżdżam do Torunia na wykłady i seminaria. Ojciec rozpoczyna pracę w swojej skarbowości. Nieplanowany zarysowuje się przylądek nowej wiedzy o codziennej Bydgoszczy dzisiejszej i tej z międzywojnia – zawdzięczam go swojej Dobrusi.

Przybyło się na Pomorze naładowanym po brzegi apoteozą (mimo odrzucenia) Powstania Warszawskiego i tu następuje kolejne, ostre zderzenie z rzeczywistością miasta – którego historyczne, blisko półtorawieczne doświadczenie z niemieckością uczy innych metod sprostania racji stanu, aniżeli jednorazowe zrywy-ekstazy. A to zapowiada stopniowe porzucenie kostiumu romantycznego, w którym się przybyło i rewizję stosunkowo prostego, ogólnie brzmiącego patriotyzmu, podbitego, przyznajmy, blamem szlachetnych tradycji – jaki lata-

mi całymi ewoluować będzie ku podjęciu odpowiedzialności i za to, co złem było wobec zadań niecierplivej przyszłości. W zamian zawaruję sobie suwerenne prawo uznania się spadkobiercą wartości innych kultur, kto wie, czy nie niemieckiej właśnie w pierwszym rzędzie. Więc i tu przelomy i przewartościowania wszechobecne.

Uczyć się wypadato nowego krajobrazu państwa, zdecydowanie przesuniętego wolą mocarstw ku Zachodowi i dawno ze zbiorowej pamięci zanikłych rzek z kart średniowiecznej historii. Tak, że problemem stało się raczej to, jak zacieśnić związki ze źródłami narodowego romantyzmu, który mógł wprowadzić jako formacja kulturowa przekazać rząd dusz nowszym prądom, ale nigdy z żywego odczuwania rzeczywistości zniknąć – i to pod groźbą utraty tożsamości narodowej.

Pozostało przeto w mocy to wszystko, co dotychczas ustaliliśmy na temat przekazania depozytu wartości humanistycznych Człowiekowi Nowemu.

* * *

– Nowa Geografia pociąga za sobą Nową Etnografię. Toruń na przykład zaczyna z wileńska zaciągać. Na wesolej lwowskiej fali daje się słyszeć z Wrocławia, a dumki ukraińskie nad brzegami Nysy Łużyckiej i w Puszczy Mazurskiej. Egzystencja ludzka, z takim trudem wyniesiona z żaren II wojny światowej, przyjmuje na siebie przeciążenia, właściwe życiu na przelomie wszystkiego niemal: epok, ustrojów, klimatu wielorakich przestrzeni, na jakich to życie się toczy. Stałym, niezmiennym punktem odniesienia pozostaje właściwie tylko (i aż) Kościół.

Gdzieś o grań przelomu rozbiła się także wielka rodzina przedwojenna. Nie ma już płockiej Mekki, ani Brochocinka. Wuj Ludwik Sikorowski umarł na atak serca przed zakończeniem wojny na swoim polu, podczas pracy. Niebawem, po wojnie, pozostali mieszkańcy gościnnego dworku rozjadą się po Polsce. Zanim to nastąpi, będę próbował pisać odwołania w sprawie pozostawienia w ich rękach tylko „resztówki” z wzorowo zadbanym ogrodem. Naiwny, jak wykazało najbliższe półwiecze – od radykalizmu tej reformy nie było żadnego odwołania. Wujostwo Kuźniarscy porzucają Płock, by z córką Jadwigą i jej mężem

żem, Czesławem Słodkowskim, przenieść się do Wrocławia. Starsze pokolenie powoli schodzi ze sceny, młodsze natomiast nie wykazuje więzi rodzinnej. My z Dobrusią budujemy w Bydgoszczy naszą „matą rodzinę”.

Pracuje jako wykładowca na UMK na roku wstępnym i na Uniwersyteckim Kursie Przygotowawczym (wiedza o Polsce) w roku akademickim 1948/49. Pani dr Helena Hołubowiczowa zwróciła się do niego, aby mówił o ustroju Polski współczesnej na kursie wstępnym. Miał słuchaczy o rodowodzie robotniczo-chłopskim – to byli kandydaci na nową inteligencję. Poznał tego typu ludzi i gdzie indziej – sam aplikował u sędziów, co to przeszli przez trzytygodniowe kursy i zostali sędziami, podczas gdy on uczył się prawa cztery lata.

Ci młodzi, którym miał wyklądać, to byli ludzie z wielką niesprawiedliwością przez los potraktowani, nie mieli matury, szkoły średniej (ani tajnych kompletów jak on, bo i gdzie?). Mówił im dużo o współczesnych dziejach Polski, o Konstytucji z 1921 roku. Mnóstwo wiedzy im przekazywał nie tylko z dziedziny historii, ale i sztuki, traktował bardzo głęboko każdy temat. I oni naskarżyli na niego do władz uczelni, że im głowę nie wiadomo czym zawraca.

Pani Hołubowiczowa zapowiedziała wizytację. Gdy przyszła, cisza była jak makiem siał, a mówił, jak zawsze, szeroko traktując temat. Kiedy skończył, ona zwróciła się do słuchaczy z tymi słowy:

– Pan Andrzej Szwalbe mówi czystą, piękną polszczyzną bardzo ciekawe rzeczy na temat polskiej kultury. I panowie musicie się wziąć w garść, żeby do tych wykładów dorosnąć.

Jakie miał szczęście do ludzi, że wówczas na nią trafił!

* * *

– Źródłem utrzymania naszej rodziny było dość znaczne przedsiębiorstwo, hurtownia o rozległych kontaktach handlowych, którą reaktywował po powrocie z wygnania okupacyjnego mój teść, śp. Stanisław Pobóg-Ruszkowski. Na całe przedwojenne Pomorze dostarczał do aptek i wytwórni farmaceutycznych szkło i aparaturę laboratoryjną, w śródmieściu Bydgoszczy dysponował obszer-

ną składnicą, stanowiącą jego własność, a po przedwczesnej jego śmierci – mojej małżonki, Dobrostawy, jako jedynej spadkobierczyni. Do naszych klientów należał również prof. dr Antoni Basiński ze swoim Zakładem Chemii Fizycznej UMK, odwiedzał nas często prof. Zacharewicz.

W roku 1947 dostrześliśmy bacznie w nas wpatrzone oko ludowej władzy, która nieuchronnie nadciąga nad naszą przystań, postulsza imperatywowi klasowej rozprawy z burżuazją, zbrojna w wypróbowany oręż fiskalnego unicestwienia. W toku beznadziejnych walk, z góry skazanych na niepowodzenie, a także procesu sądowego, wygranego w końcu dzięki geniuszowi prawniczemu mecenasa Malewskiego, przenosiliśmy się z wolna na państwowe posady, ja – do przemysłu mięsnego, żona – terenowego.

Znając z autopsji podobne klęski, które stawały się udziałem resztek całej warstwy społecznej, mogliśmy spodziewać się w zasadzie o wiele gorszego finału, jaki być może wciąż jeszcze był przed nami, zwłaszcza, że poprzez brak rozsądku obróciliśmy przeciw sobie podejrzenie i swoistą pamięć władz, która nas teraz prześladowała. Oto czekając z żoną bezskutecznie w kilometrowej kolejce przed lokalem wyborczym na ul. Zygmunta Augusta, by „odfajkować” się na liście słynnego referendum „3 razy TAK” w 1946 roku – zaczęliśmy zbierać podpisy zawiedzionych oczekujących, gdy ktoś z Komisji ogłosił, że lokal zamyka się i nie ma na co czekać. Nasza lista tymczasem wydłużyła się całkiem imponująco, gdy w pewnej chwili podeszło dwóch panów i poprosiło, byśmy się z nimi pofatygowali. Zawieźli nas na ulicę Poniatowskiego (do ubecji), gdzie po paru godzinach zostaliśmy przesłuchani. Broniliśmy się chęcią posiadania dowodu o gotowości spełnienia obowiązku obywatelskiego – listy dołączyli do protokołu i puścili wolno. A teraz w roku 1947 trzeba było, ratując rodzinę, coś wybierać. I tak dzięki różnym przypadkom znalazłem się w partii, wybrałem ucieczkę w partię, decyzję dla mnie samego najdziwniejszą, bo ideologicznie po matce – zwolennik teorii geopolitycznej Dmowskiego, a po ojcu – admirator Piłsudskiego – immunowany byłem przed „ukąszeniem heglowskim” nieodwołalnie.

Może kierowała mną wyższa konieczność? Wkraczałem do partii z pozycji obcego. I uciekałem od życia partyjnego, zaszczytów jak mogłem. Tolerowali mnie, bo moje pomysły, rzutkość chcieli zaliczyć na swoje dobro. Dali mnie zresztą na „boczny tor” (dyrektor przedsiębiorstwa).

Ten związek od początku ściśle pragmatyczny dawał mi jednak dostęp do zarządzania, ale zawsze tylko średniego szczebla i nigdy obecności w strukturach partyjnych, co sobie wysoko ceniłem. Faktem jest zaś, że otrzymałem większe możliwości realizacji mojego życiowego projektu jedności nauk, sztuk, umiejętności i myśli o międzyformacyjnym przekazie wartości humanistycznych. O dziwo, spotkałem tam ludzi, którzy mi pomogli te cele osiągnąć.

I choć ktoś mógłby nazwać mą niewątpliwą winę – „błogosławioną winą”, wiele robiłem, aby ją odkupić. Być może udało mi się mój grzech zmniejszyć. Ale i tak nie daje spokoju dylemat: czy jestem usprawiedliwiony? Ugiąłem się przecież przed przemocą totalitaryzmu. No cóż, własne sumienie jest tym trybunałem, przed którym staje każdy z nas i trzeba się rozliczyć z życiowych błędów...

* * *

Jak się ten zaciągnięty dług spłacało? W walce o kulturę polską w jej najpełniejszym, związanym z tradycją narodową kształcie starał się Szwalbe być bardzo konsekwentny – aż do umieszczenia Orła Stanisławowskiego na gmachu Akademii Muzycznej w okresie PRL-u. To już była otwarta manifestacja określonej postawy. A jednocześnie – jak koronkowo przeprowadzona kampania.

Ale wpiery miały miejsce blisko trzydziestoletnie starania o utworzenie Akademii Muzycznej w Bydgoszczy.

– *To była droga przez mękę, wszystko się rwało* – powie o wiele później, bo dopiero w 1996 roku w rozmowie z dr Anną Nowak, która na trzydziestu stronach maszynopisu spisała wszystkie jego poczynania w tej sprawie, zaczęte już w roku 1951, gdy będąc na UMK w Toruniu starszym asystentem w Katedrze Prawa Narodów, został radcą ds. osobowych.

Tu musimy się na moment zatrzymać, jest bowiem rzeczą oczywistą, że próbowano wziąć pod lupę po roku 1989 tę jego pracę asystencką, która trwała od 1 września 1948 roku do 31 października 1951 roku. Okazało się jednak, że w okresie, gdy Szwalbe pracował w kadrach uniwersyteckich (rok akademicki 1950/51), zaprzestano zwalniania ludzi nauki tej uczelni z powodów ściśle politycznych i organizacje młodzieżowe nieco „zluzowa-

ły mechaniczne stosowanie strychulca klasowego przy ustalaniu ocen”. Ale i tak Szwalbe przypłacił to zdrowiem – poważnie zachorował, nabawił się pierwszego zawału.

* * *

Nie będziemy cytować wszystkich perypetii ze wspomnianym Orłem, ostańmy się przy roku 1977, gdy Orła Stanisławowskiego w całym blasku jego korony zaprojektowali na prośbę Szwalbego: Zdzisław Kulikowski z Torunia i Witold Marciniak z UMK. Po wydaniu zezwolenia przez architekta wojewódzkiego, zamontowano Orła na szczycie frontonu Akademii Muzycznej. Miesiąc później na żądanie władz trzeba było go zdjąć. Dopiero 11 września 1981 roku powrócił dzięki staraniom Andrzeja Szwalbego na swoje miejsce.

W maszynopisie dr Anny Nowak pt. *Źródła do historii Akademii Muzycznej im. Feliksa Nowowiejskiego w Bydgoszczy* (1966 roku), utrwalone zostały dalsze dzieje Orła, opowiedziane przez Szwalbego:

Ja bym chciał zwrócić uwagę na to charakterystyczne pismo, skosem biegnące na moim wniosku o ratowanie Orła, żeby on się nie musiał ewakuować. Przecież on już przez pewien okres czasu stał, wszyscy go już znali. Później przyszła decyzja, że trzeba tego Orła zdjąć. Moja obrona idzie mniej więcej w tym kierunku, że nie jest to orzeł jako godło państwowe, które w czasie PRL-u musiało się obyć bez korony na głowie. Tłumaczę, że jest to element zdobniczy, właśnie stanisławowski, element architektoniczny. Mój argument drugi idzie także w tym kierunku, że nie jest to korona – wyciągam taki wniosek z lektury na temat naszego godła państwowego – że nie jest to korona, lecz tiara. Więc oddalam tego Orła od symbolu państwowego, jakiejś zdecydowanej proveniencji. I tak mocujemy się z tymi naszymi władzami.

Skosem jest napisana uwaga Wiktora Soporowskiego, że on jest jednak w tej całej sprawie bezsilny, istnieje bowiem zarządzenie, które reguluje bezwzględnie, w sposób ścisły eksponowanie tego wszystkiego, co może uchodzić za godło państwowe. Ten człowiek, który był zawsze przyjacielem i we wszystkich poczynaniach związanych z kulturą nam sprzyjał, nie jest w stanie nam pomóc.

Pismo to daje jako pewnego rodzaju dowód tych zmagañ w ówczesnej sytuacji, w wyniku której my musieliśmy w końcu Orła zdjąć, jako dowód istnienia przeszkód przy tak świątecznych umysłach, jak Wiktor Soporowski w Komitecie Wojewódzkim. Majchrzak, w pewnym okresie bardzo życzliwy w sprawie Akademii Muzycznej – też podejmował pewne decyzje odnośnie rektora, żeby tu był ten rektor właśnie niepartyjny, tylko rektor muzyczny, poważny.

Jednocześnie tam z tyłu wyczuwało się istnienie takiego jakiegoś betonu, tego słynnego betonu partyjnego, na skutek którego ludzie, którzy chociażby chcieli w pewnych sytuacjach w jakiś sposób dopomóc, czuli się po prostu bezradni.

* * *

Uważałem, że w PRL-u „nożyce” nie należy rozwierać, lecz je domykać. Odziedziczyłem to przekonanie po ojcu, mistrzu kompromisu. W partii czułem się nieswojo, że komuś zajmuję miejsce, a więc wykorzystuję legitymację partyjną, by wprowadzać w czyn to, co zamierzyłem. Korciło mnie, by towarzysze partyjni byli jak najbliższe ludzi. Jak powołaliśmy Capellę Bydgosiensis, prosiłem, by pozwolili jej w bydgoskiej Farze wystąpić, bo za obowiązek niemal patriotyczny pochytywałem sobie zdobycie możliwości koncertowania w tym najbardziej związanym z tradycją bydgoskim kościele, pod cudownym obrazem Matki Boskiej Pięknej Miłości. Zgodzono się na jeden występ (19 listopada 1980 roku), a ja się uparłem, by w Farze stale mogły odbywać się nasze koncerty. I o dziwo, towarzysze zaczęli na nie przychodzić, cicho pod chórem siadali i słuchali.

* * *

Festiwalowi MAEO (Musica Antiqua Europae Orientalis) towarzyszyła zawsze interesująca oprawa plastyczna. Wspomnieć wypada zwłaszcza znamieny plakat, wykonany przez Jerzego Strebejkę w związku z Festiwałem i kongresem naukowym MAEO. Był akurat stan wojenny: plakat ukazywał ikonę Matki Bożej z krwawą łzą. A zlecenie namalowania ikony wydał Andrzej Szwalbe.

Na pewno swoistą manifestacją określonej postawy był też pomysł „kamienia memorialnego”, wysunięty w okresie, gdy polscy robotnicy pod sztandarem Solidarności domagali się państwa praworządnego, co doprowadzi później do bezprecedensowego, bo bezkrwawego obalenia systemu totalitarnego. Jak Szwalbe przyjął te epokowe wydarzenia już w roku 1981? Oto jego słowa:

– (...) gdy powiał nam w żagle wiatr historii w tym osiemdziesiątym pierwszym, chwyciliśmy go oburącz i już wyrwać sobie nie pozwoliliśmy, bo była to siła potężna, dzięki której staliśmy się aktorami wielkich wydarzeń na scenie europejskiej i wręcz światowej.

Za słowami poszedł, jak zwykle u niego, czyn w postaci pomysłu pomnika, utrwalającego pamięć dramatycznych bydgoskich wydarzeń marcowych w 1981 roku – zaakcentowany listem, datowanym 22 września 1981 roku do ówczesnego sekretarza KW PZPR, Henryka Bednarskiego. Szwalbe pisze w owym liście, noszącym nagłówek: „Przyczynek do kamienia memorialnego”:

„Dla uważnego obserwatora zjawisk społecznych staje się widoczne, że wydarzenia z marca 1981 zaciążyły swą wagą, dynamiką i znaczeniem nad perspektywami miasta i zaczynają z wolna, lecz systematycznie przeradzać się w tradycję, w czasach aktualnie przeżywanych – bodajże najistotniejszą (...)”. Jego zdaniem, napis na pomniku powinien brzmieć następująco:

*W tym gmachu w dniu 19 marca 1981 wyrażona została wola ogółu,
by państwo stało prawem,
a społeczeństwo sprawiedliwością,
lud zaś ujął w swe ręce całość dziedzictwa narodowego.*

„Myślę – pisał Szwalbe – że w tych słowach zawiera się sformułowanie całościowe tego, co było i jednocześnie spoglądające z nadzieją w przyszłość. Należałoby je przeto wyrycić w czerwonym granicie i jego blok zatoczyć na ulicę Jagiellońską, tam zagłębić w ziemi, by już na zawsze pozostał i stanowił milowy kamień na drodze Bydgoszczy ku jej dalszym przeznaczeniom, ale wspartym zawsze o polski rodowód”.

List ten nie pozostał bez echa. Po paru tygodniach adresat, dr hab. Henryk Bednarski, prezes BTN w latach 1978/79, a w 1981 roku sekretarz KW PZPR poprosił Szwalbego do siebie i nie kwestionując racji w liście zawartych, zwrócił się o cierpliwość w urzeczywistnieniu zamiaru.

– *To też było swoiste zwieranie „nożyc”. Myślę z wdzięcznością o Bednarskim, bo on się martwił, że na razie nie może mi pomóc, prosił by poczekać.*

Ważne, że Szwalbe doczekał się realizacji swego pomysłu w kilkanaście lat potem. W siedemnastą rocznicę Marca 1981 zaproponowany przez niego napis znalazł się na obelisku – grupa działaczy i uczestników tamtego czasu, pod przewodnictwem znanego artysty plastyka, Jerzego Puciaty (w latach 1980–1983 prezes Zarządu Głównego ZPAP, zdelegalizowanego przez komunistów w 1989 roku, tak właśnie upamiętniła marcowe wydarzenia. Obelisk stanął przed gmachem Urzędu Wojewódzkiego, gdzie miały one miejsce, a Puciata, który wraz z Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków Maciejem Obremskim znalazł w polu odpowiedni gład, powiedział: „Surowy, granitowy gład polny – poprzez swą siermiężność i chropowatość symbolizuje zwykłych, szarych ludzi, ich dumę, uczciwość, trud i wiarę w ideały. A także siłę i wolę w dążeniu do zwycięstwa”.

I tak walnie przyczyniając się do powstania obelisku, będącego dla przyszłych pokoleń czytelnym memento – powitał Szwalbe kolejny przełom w życiu nie tylko jego prowincji, ale i całych narodów, społeczeństw.

* * *

– Wykazał Pan na pewno talent dyplomatyczny w tamtych latach. Ale była to chyba też i odwaga?

– *To był, Pani Redaktor, kształt miłości na tę chwilę. Ja o tych ludziach, którzy mi pomagali, niezależnie po jakiej stronie stali, o tych przypadkowych towarzyszach mej przygody, myślę jak o Polakach i przyjacielach. I mogę powtórzyć: Polska jest jedna! Obecnie jest już pełna Polska, ma lewą i prawą stronę. Stosunkowo normalny kraj, ale źle się tu żyje. Do żony powiedziałem: – Chcę tak długo żyć jak ty, choć nie taki cymes w tym kraju żyć, bo nie widzę tu mocnego gruntu moralnego.*

Ale naród ocalał i w całości jako lud polski istnieje. Może on doczeka się przyszłości...

Dobrosława

Wejdźmy jeszcze głębiej w czasie w naszą przeszłość, w to polskie życie stale będące „na przełomie” – jeśli nie epok i formacji ustrojowych, to specyficznie polskich walk i powstań, które zawsze były dla narodu kamieniami milowymi. Bo tak układała się historia tego kraju.

Nie jest to wstęp do wykładu czy dysertacji, a tylko uwaga do pobieżnego omówienia losów Dobrusi i jej rodu, też napiętnowanych polską historią. Ukochaną żonę Andrzej Szwalbe nazywa dobrym duchem swego życia. Nie zapominajmy, że dzięki niej znalazł się w Bydgoszczy.

* * *

Dobrusia, żona Andrzeja, kobieta w obejściu niezwykle naturalna, serdeczna i pełna ujmującej prostoty – nigdy nie zdradza, że wywodzi się z wielkopolsko-kujawskiego, senatorskiego rodu Pobóg-Ruszkowskich. Członkowie tego znakomitego rodu mieli w sobie ducha twórczego, bo w przeszłości zakładali kościoły, klasztory, a nawet miasto o nazwie Złoczew, które leży 22 km od Sieradza. Tu się kłania parę wieków dziejów Rzeczypospolitej na tych terenach.

Warto zajrzeć do dawnych kronik w Kaliskiem i Sieradzkiem, by się przekonać, że Andrzej de Roxice Ruszkowski, miecznik kaliski, stał się fundatorem klasztoru Bernardynów (którzy do Złoczewa zostali sprowadzeni w 1608 roku) oraz kościoła w należącem do majątku rodzinnego Złoczewie. Dzięki jego staraniom Zygmunt III Waza wydaje 1605 roku w Krakowie przywilej lokacyjny założenia miasta Złoczew. Ile majestatu miały w sobie te królewskie słowa owego przywileju, cytowane w książce

Sieradzkie. Miasto i gmina Złoczew (materiały z sesji naukowej, Sieradz 1993): „W imię Pańskie My Zygmunt August III z Bożej łaski król polski, wielki książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki, liwoński i król dziedziczny Szwedów, Wandalów i Gotów wszystkim, których to dotyczy, oznajmiamy: przychylając się do prośby urodzonego Andrzeja Ruszkowskiego z Rokszyc nam przedłożonej i pragnąc, by w jego dobrach dziedzicznych Złoczew w województwie i powiecie sieradzkim mógł założyć miasto. Temu to miastu założyć się mającemu, nadajemy władzą naszą królewską prawo magdeburskie”.

Zdaniem Władysława Tatarkiewicza (*O sztuce polskiej XVII i XVIII wieku*, PWN, Warszawa 1966) kościół złoczewski, należący do zespołu klasztorного jest budowlą szczególną i „jak kolegiata zamojska i kościół jezuicki w Lublinie, które choć zapoczątkowały nowy styl w Lubelskiem, nie stały się dlań w całości wzorami – tak samo złoczewski w Kaliskiem i Sieradzkim”.

Barwną postacią był niewątpliwie Stanisław Ruszkowski, chorąży i miecznik kaliski, rotmistrz. Zdobywszy w Inflantach zamek Nowogródek, zostaje jego komendantem (1579), a także dowódcą obwodu nowogródzkiego. Czyż nie jest to postać, którą powinien był wprowadzić Mickiewicz do *Pana Tadeusza*? Jak zresztą zobaczymy, Mickiewicz wyraźnie, bo imiennie, otarł się o ród pani Dobrosławy.

Wracając do Andrzeja Ruszkowskiego, miecznika kaliskiego, miał ci on fantazję niebylejaką, nie tylko bowiem kościoły, ale i dwie huty szkła zbudował, skąd duże transporty szkła posyłane były do różnych miast, także na Śląsk. W dawnej puszczy złoczewskiej rozwinięto, dzięki Andrzejowi, przemysł leśny. I słusznie byli Ruszkowscy doceniani, zajmowali w hierarchii państwowej wysokie stanowiska senatorskie, kasztaleńskie. Kasztelanem był Stanisław, syn owego Stanisława miecznika kaliskiego, kasztelanką inowrocławską była też Agata Ruszkowska, z której funduszków zaczęto stawiać w 1642 roku murowany kościół i klasztor bernardynek w Kaliszu. Andrzej Ruszkowski, kasztelan inowrocławski, w 1648 roku zostaje marszałkiem Trybunału Koronnego i fundatorem kościoła w Kobielicach, łoży znaczne sumy na farę w Kole i przyczynia się do uświetnienia jednej z jej kaplic.

Ilu trzeba by jeszcze tych karmazynów wymieniać, by dojść do skromnej, ale bardzo dzielnej i energicznej Dobrosławy? Poprzestańmy na Wojciechu, podstolim brzesko-kujawskim, elektorze w 1697 roku z województwa inowrocławskiego; Tadeuszu – również podstolim, sędzi poznańskim, deputowanym do Trybunału Koronnego w 1738 roku. Rwali się Ruszkowscy do służenia Polsce i gdy w XIX wieku przestało bić serce wolnej Rzeczypospolitej, stawali w obronie jej honoru, walcząc w powstaniach, m.in. w Powstaniu Styczniowym wziął udział szesnastoletni Piotr Ruszkowski, ojciec Stanisława, dziadek Dobrosławy. Inni poszli drogą naukową, m.in. Jan Tadeusz Ruszkowski (1889–1961) zoolog, autor ponad 230 publikacji, był współorganizatorem służby ochrony roślin w Polsce, członkiem Rady Naukowej przy Ministrze Rolnictwa. Z kolei wnuk Anny z Ruszkowskich Markowiczowej, siostry pradziadka Dobrosławy, Wincenty Markowicz, inżynier elektryk, był twórcą elektrowni w Bydgoszczy (1923–1930), a wcześniej założycielem i dyrektorem elektrowni w Zgierzu.

* * *

Ojca Dobrosławy, Stanisława Tyberiusza Pobóg-Ruszkowskiego, poznamy w momencie, gdy ród ten skoligacił się z Sulima-Przyborowskimi, z których wywodziła się matka, Wiktoria Pulcheria. Akta tego wielkopolskiego rodu, mającego wśród swych przodków również kasztelanów, senatorów i zagorzałych żołnierzy Rzeczypospolitej – też sięgają XV wieku. Dotyczą mianowicie Przyborowa, miasteczka ongiś, dziś wsi, leżącej w sąsiedztwie Poznania. Później, gdy ród dzielił się na rodowe odgałęzienia, część Przyborowskich wylądowała w Kozich Głowach – i dziś tą nazwą ochrzczona jest dzielnica Poznania.

W kościele parafialnym w Kozich Głowach mamy wzmianki, że Przyborowscy są właścicielami majątku. W końcu XIX wieku, w ramach szlacheckiej dekapitalizacji znikają z Kozich Głów, ale miejscowi starzy ludzie jeszcze o nich pamiętają, a w kościele wiele jest przykładów sztuki sepulkralnej z nimi związanej – w postaci grobowców i epitafiów. Historia tego rodu jest o tyle ciekawa, że część jego potomków przeszła przez epopeję

napoleońsko-ulańską oraz listopadowo-styczniową. Bracia Przyborowscy: Ignacy był majorem wojsk napoleońskich, Piotr – oficerem tychże wojsk, Tadeusz – współfundatorem szwadronu Jazdy Wołyńskiej. Ten ostatni opuścił wcześniej Kozie Głowy i zamieszkał w majątku koło Sławut na Wołyniu, gdzie się ożenił. W 1831 roku walecznymi podporucznikami, wspomnianymi wielokrotnie w książce Wacława Tokarza *Sprzysiężenie Wysockiego* (Kraków 1925), są Jan i Józef Przyborowscy. Jan zginie zresztą w tym listopadowym zrywie. Wcześniej wraz z bratem Józefem będą formułować manifesty i przygotowywać oddziały do walki.

Niełatwo im to idzie, bo jak wynika z książki Wacława Tokarza (i z moich wiadomości z polskiej historii) – nie było jednolitego frontu: powstańcza, dowódcza góra nie popiera szeregów spiskowych. Stąd sytuacje podbramkowe – jeden z braci Przyborowskich przemawia do żołnierzy, a dowódca, generał Stanisław Potocki, każe go zwinąć i aresztuje. Ta scena w książce Tokarza wygląda tak:

„Przed zbierającymi się kompaniami pułku szóstego stał ppor. pułku pierwszego, Józef Przyborowski, który przywiózł na furze parokonnej amunicję ostrą, i przemawiał do żołnierzy: «Bracia – mówił – rozbierajcie ładunki, idźcie do arsenału i brońcie, bo Moskale naszych rzną». Potocki kazał go aresztować i pod eskortą czterech szeregowych odstawić do komendy placu. Potem zabrał kompanię kpt. Kępskiego oraz wóz z amunicją i odprowadził do Konstantego”.

Istnieje *Pamiętnik pułku jazdy wołyńskiej*, spisany przez Karola Różyckiego i wydany po upadku powstania w Paryżu, a potem w Lipsku w 1871 roku pt. *Historia powstania w 1831 r. na Wołyniu, Podolu, Ukrainie, Żmudzi i Litwie*. No i zgadnijcie, kto do tej wzruszającej, zgrzebnej książeczki wstęp napisał? Sam Adam Mickiewicz. Jest tu mowa o wspomnianym fundatorze Jazdy Wołyńskiej, Tadeuszu Przyborowskim, który w taki oto sposób, przez ów pamiętnik, niejako pośrednio zetknął się z wieszczem. I tak oto dzieje rodu Dobrosławy ocierają się o postać autora *Pana Tadeusza*. „Świat jest mały” – powiecie? A jakże mała jest Polska, gdy nie istnieje na mapie – musiała się wówczas zmieścić w sercu walczącego o nią powstańca. Nawiasem mówiąc, wybujały patriotyzm źle się odbił na kon-

dycji majątkowo-finansowej rodu Przyborowskich – ułani na wojaczkach stracili prawie wszystko, co mieli z dóbr ziemskich, ale to normalny los polskich Don Kichotów i Kolumbów.

Druga część rodu Przyborowskich była życiowo mądrzejsza: za Kazimierzem poszli do Gałęzowa koło Wrześni i rozwinęli swe zainteresowania nauką i sztuką. Byli to ludzie pełni oglądy, patrioci, lecz nie ku wojaczce nakierowani, a ku studiom i pogłębianiu wiedzy.

Co tu jeszcze można dodać? Może to, że Józef Przyborowski, brat Ignacego, Piotra, Tadeusza i Jana jest pradziadkiem Dobrosławy.

Do rodziny należy również Józef Przyborowski, o ponad wiek późniejszy (1823–1896) – językoznawca, badacz literatury staropolskiej i autor szeregu prac na jej temat, profesor Szkoły Głównej w Warszawie, współredaktor pomnikowego wydania *Dzieł wszystkich Jana Kochanowskiego*. Jego wnuk też Józef, był profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego.

* * *

Trzeba tu dodać, że pani Dobrusia traktuje dzieje swego rodu *en passant*, nie żyje tym bynajmniej, nawet nie wspomina, ale warto nadmienić, że ród ma swą kontynuację nie tylko w pani Szwalbowej. Jej cioteczne siostry, Barbara i Anna Przyborowskie, mieszkają w Warszawie, a trzecia z nich, Krystyna Przyborowska, zawędrowała po wojnie do Kanady.

Pani Dobrusia, a właściwie Dobrosława Emilia Krystyna z Ruszkowskich herbu Pobóg, urodziła się w Moskwie w 1918 roku. Jej ojciec – przypomnijmy: Stanisław Tyberiusz Pobóg-Ruszkowski, urodzony w Warszawie, został w owym czasie oddelegowany przez warszawską firmę „Drzewiecki i Jeziorański” do objęcia filii firmy w Petersburgu. Po kilku latach rodzice przenieśli się do Moskwy i tam Dobrosława ujrzała światło dzienne. W 1921 roku wrócili do Polski i najpierw zamieszkali w Warszawie, a potem w Bydgoszczy, gdzie w okresie międzywojennym ojciec był właścicielem największej na Pomorzu hurtowni szkła laboratoryjnego i aptecznego.

Ile prostoty ma w sobie opowieść Dobrusi o latach jej dzieciństwa – posłuchajmy.

– Byłam jedynaczką, nie rozpieszczoną nadmiernie, choć serdecznie kochaną. Odpowiednio do wieku dobierane lektury sprawiły, że książki były na pierwszym miejscu – najmiłsze chwile spędzałam czytając. Dużo radości sprawiały lekcje gry na fortepianie, nie miałam wprowadzić w tym kierunku specjalnych zdolności, ale kochałam muzykę. Również śpiew, tzn. słuchanie śpiewu; bardzo miłym sopranem śpiewała moja mama i niania – najmiłsza moja i moich późniejszej córek nianusia, Zofia Dudzińska, o wrodzonej dobroci, dużej inteligencji i odcytaniu.

Byłam stale czymś zajęta: zbierałam znaczki pocztowe, suszyłam zioła do zielnika, dużo rysowałam. No i oczywiście były dwie (dosłownie dwie) lalki: ulubiona zwłaszcza łowiczanka, w autentycznym łowickim stroju, z piękną porcelanową główką. Były i robótki ręczne.

Z domu rodzinnego wyniosłam żywe zainteresowanie sztukami pięknymi, a zwłaszcza malarstwem. Moim ulubionym obrazem był duży portret prababki, Jadwigi z Gutowskich Przyborowskiej, pędzla Franciszka Ksawerego Lampiego. Nad łóżkiem rodziców wisiał ryngraf – rycerska pamiątka Przyborowskich.

Biblioteczne półki w domu rodziców wypełnione były ciasno dziełami wszystkimi Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza, Prusa, Żeromskiego, Reymonta. Wszystkie znaczące w literaturze światowej nazwiska były reprezentowane w zbiorach mego ojca i mojej mamy, m.in. dużo książek z „Biblioteki Laureatów Nagrody Nobla” – jednego z poznańskich wydawnictw.

No i szkoła. Mając 10 lat, zaczęłam naukę w trzeciej klasie wstępnej w Miejskim Żeńskim Katolickim Gimnazjum Humanistycznym w Bydgoszczy – czyli „u Rolbiewskiej”. Tak zwano w mieście naszą szkołę od nazwiska pani dyrektor Wandy Rolbiewskiej. Po ukończeniu trzeciej klasy zdawało się do pierwszej gimnazjalnej, a ukończenie ósmej klasy wieńczyła matura. Z lat szkolnych mam tylko miłe wspomnienia. Pedagogów miałyśmy bardzo dobrych, a nawet wybitnych. Trudno wszystkich, którzy mnie uczyli, wspomnieć, ale w szczególności wdzięcznej pamięci zachowałam polonistki: Czarlińską i Głębocką, matematyczkę Lipską, bardzo lubianego profesora, Józefa Paderewskiego – fizyka i matematyka (przyrodniego brata Ignacego), romanistkę Buzalską, wychowawczynię Napieralską (historia) i bardzo sympatycznego, szarmanc-

kiego Mariana Turwida, który dawał ciekawe lekcje rysunku, połączone z historią sztuki.

W gimnazjum uczyło dwóch prefektów: ks. Hanett (powojenny proboszcz Fary) oraz ks. Reiter. W każdą niedzielę o 9.00 była odprawiona w kaplicy szkolnej Msza św. Aulę szkolną zamieniano na ten czas w kaplicę. Wychowywane byliśmy jednak w duchu wielkiej religijnej tolerancji – ja osobiście trafiłam do klasy, gdzie zgodnie uczyły się i przyjaźniły: Dziunia (Wanda) Skoczyńska – ewangeliczka, Zosia Mossakowska – kalwinka, Atła Furmańska – prawosławna.

Narodowościowo też było trochę urozmaicenia, bowiem Gosia (Małgorzata) Heinrich była Niemką, wspomniana Atła – Rosjanką, Wandy Nowkuńskiej matka była Gruzinką (piękna kobieta), Oleńki Proficówny – Ormianką, Hali Lenkiewiczówny – Rosjanką, a matka Dziuni Skoczyńskiej pochodziła z Niemców nadwołżańskich.

Do mojej klasy uczęszczały: znana aktorka scen bydgoskich, Wanda Rucińska (Lala Kierońska), bardzo dobra internistka, Sławomira Hellerowa (Miłka Bi-gońska), Dziunia (Wanda) Nowakowska – bliźniacza siostra wybitnego pisarza, Tadeusza Nowakowskiego, Halina Kalitówna (po mężu Serbie – Cirić) tłumaczka literatury serbskiej i chorwackiej.

Jak mówiłam, ojciec mój prowadził w Bydgoszczy dużą hurtownię szkła laboratoryjnego i aptecznego we własnej nieruchomości przy ulicy Sienkiewicza 3. Były tam obszerne magazyny i biuro. Zaraz po wkroczeniu do Bydgoszczy Niemcy zajęli nieruchomość wraz z towarami, zarekwirowali ojca samochód. Firma znalazła się w rękach Niemca bałtyckiego, Waldemara Moritza. 11 listopada 1939 roku zmuszono nas do opuszczenia mieszkania. W ten sposób w czasie wojny cała nasza rodzina znalazła się w Warszawie u wuja Jana Przyborowskiego, przy ulicy Filtrowej 67a – a od roku 1941 przy Nowym Świecie 17.

Czas wojny i Powstania Warszawskiego ciężko dotknął rodziny Ruszkowskich i Przyborowskich. W czasie Powstania zginął na Żoliborzu brat ojca Dobrusi, Adam, a brat matki, Adam Stanisław Przyborowski – w obozie w Flossenburgu. W pierwszym dniu Powstania padł osiemnastoletni żołnierz AK, Włodek Nagórski, syn ciotecznego brata matki. Ba-

sia i Krysia Przyborowskie, moje cioteczne siostry, brały udział w Powstaniu. Krysia Przyborowska trafiła do stalagu, a stamtąd po wojnie do Anglii. Następnie do Kanady, a jej losy kanadyjskie są w tej książce przedstawione, w rozdziale „Komu droga otwarta”.

Wraca nuta liryczna – romans życia...

Właściwie dzieje Dobrusi i Andrzeja można by ująć krótko – po wojnie, według słów Dobrosławy, sytuacja wyglądała tak.

W marcu 1945 roku ona wraz z ojcem i matką wróciła do Bydgoszczy. Ojciec usiłował reaktywować działalność swojej hurtowni, lecz rozchorował się i 24 marca 1945 roku zmarł, a ona kontynuowała prowadzenie przedsiębiorstwa, ale zaczęły się szykany nowej władzy, rozmaite naciski. Hurtownię trzeba było zamknąć w 1947 roku.

Rok wcześniej, we wrześniu 1946 roku, wyszła za mąż za Andrzeja Jana Szwalbego. Urodziły się trzy córki: Krystyna Maria, Wanda Maria i Hanna Maria.

– Córki nasze pokończyły studia: Krystyna – anglistykę na Uniwersytecie Warszawskim, Wanda – prawo na UMK w Toruniu (uzyskała również potem uprawnienia radcy prawnego) oraz najmłodsza Hanna – anglistykę na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu Hanna jest również absolwentką UMK, gdzie ukończyła pedagogikę. Zięć Tadeusz Leszczyński, jest fizykiem-elektronikiem, wnuk Tomasz Michał ukończył AWF w Gdańsku, wnuczka Barbara jest studentką.

* * *

Ale w tym lakonicznym skrócie pewnej historii rodzinnej pominięte zostało to, co najważniejsze: dzieje uczucia dwojga ludzi, które wypełniło całe ich życie...

I tu nuty lirycznej nie da się wyeliminować. No i trzeba zacząć od postawienia pytania: w jaki sposób w Bydgoszczy przecięły się trajektorie losów

Andrzeja i Dobrusi? Zacząć by należało od przypomnienia owej przedwojennej dentystki Szwalbów w Warszawie, Sabiny Ziółkowskiej, do której Andrzej wybrał się w ów pamiętny dzień 1 września 1939 roku, ale zatrzymało go bombardowanie stolicy. Otóż u pani Ziółkowskiej (z męża Zdrojewskiej) wynajęła w czasie wojny mieszkanie rodzina Dobrusi. Znowu pytanie: dlaczego? Ziółkowscy mieli przed wojną w Grudziądzu fabrykę musztardy i być może ojciec Dobrusi dostarczał im szkło ze swej bydgoskiej hurtowni. Sabina Ziółkowska, która na Nowym Świecie w Warszawie rozpoczęła praktykę dentystyczną, chętnie to pomieszczenie Ruszkowskim wynajęła, a sama przeniosła się na ulicę Marszałkowską. Dlaczego wtedy, przez wspólną znajomą, nie spotkali się młodzi? Na to pytanie mógłby odpowiedzieć tylko Wielki Reżyser ludzkich spraw.

Po wojnie dr Sabina – już teraz Zdrojewska – trafiła do Ciechocinka i z kolei ona okresowo mieszkała u Szwalbów, którzy wszyscy byli jej pacjentami. Lecz widocznie dana jej była rola łącznika na szlakach ludzkich przeznaczeń, bo to właśnie ona zachęciła Andrzeja Szwalbego wraz z rodzicami, by zamieszkali w Bydgoszczy, a mieszkanie wynajęli u Ruszkowskich. I tu koło się zamyka.

Oderwijmy się na moment od spraw narodowych czy społecznych, nieodłącznych od jednostkowych człowieczych życiorysów, zarzućmy wątki intelektualne, refleksyjne, a na chwilę wprowadźmy na scenę romans – piękny romans, który nie zabrzmi nigdy dramatycznym dysonansem. Posłuchajmy Andrzeja Szwalbego:

– Przynajmniej muszę, że nie celowałem w zalotach do płci pięknej. Dziewczyny, owszem, podobały mi się bardzo, ale za każdym razem okazywało się, że mój nader ograniczony repertuar zdobywczy zaczynał je w końcu nudzić. Bo też nie był ze mnie atrakcyjny adorator: ciężylem ku lekturze, ku poważnej dyskusji – a to się dziewczynom, które genialny poeta Rilke zachęcał: „smak pomarańczy zatańczcie!”, nie mogło podobać, a jak wiadomo, tylko takie robią wrażenie na mężczyznach. No i zaloty były zawsze jednostronne: z mojej strony wiele zapędu, z drugiej – brak odzewu.

Na Dobrusię zwróciłem uwagę od razu: była reprezentacyjna, zgrabna, o ogromnie pociągającej figurze, pięknym sposobie poruszania się, dużym

Andrzej i Dobrosława



Andrzej i Dobrosława z domu
Ruszkowska (tuż po ślubie)



Andrzej i Dobrosława w okresie
studenckim



Dobrosława Szwalbe

Córki Dobrosławy i Andrzeja Szwalbe



Krystyna, Wanda i Hanna – córki Dobrosławy i Andrzeja Szwalbe
w wieku dziecięcym



Krystyna kilka lat po studiach



Hanna po studiach



Wanda na studiach

temperamencie. Lubię te walory u kobiet, cenię klasyczną proporcję kształtów – może za dużo patrzyłem na wzory rzeźby klasycznej i renesansowej. Toteż w sylwetce kobiecej zawsze starałem się uchwycić jakiś nieopisany wdzięk – i to właśnie znalazłem w Dobrusi. Pociągało mnie w niej i to, że była uformowaną kobietą. Wiedziałem, że w Warszawie, gdzie mieszkała podczas wojny, miała duże powodzenie, wielu panów uderzało w konkury. Jak wielka radość ogarnęła mnie całego, gdy niebarwem spostrzegłem, że znajomość z tą piękną panną stanowi wyjątek w mej praktyce zdobywczej: nie zostałem odrzucony. Wreszcie znalazł się ktoś, kto odpowiedział uczuciem na moje uczucie! A przecież dawałem tylko delikatnie do zrozumienia, że panna Dobrostarwa wywarła na mnie duże wrażenie. Byłem bardzo powściągliwy nie dlatego, iżbym był nieczuły na wdzięki niewieście – po prostu byłem na tyle ostrożny, że nie szarżowałem już po tych wszystkich niepowodzeniach, jakie przeżyłem wcześniej.

Gdy oboje nabraliśmy pewności co do wzajemnych uczuć – nieoczekiwanie dla rodziców wykazałem dużą życiową stanowczość – postawiłem władzę rodzicielską przed faktem dokonanym: oświadczyłem, że się żenię. Takie stawianie sprawy nie było moim obyczajem: mieszkałem jeszcze z ojcem i matką i traktowałem ich bardzo delikatnie – ich władza rodzicielska dotąd była realna, decydująca i rozstrzygająca, choć pełnoletniość osiągnąłem trzy lata wcześniej. Rodzice, zdumieni moją postawą, nie starali się nawet oponować, przyjęli do wiadomości, że Jędrusiowi odmieniło się na dobre. No i pobraliśmy się w roku 1946.

Byłem, co się zowie, dowartościowany w tym ożenku, że niewiasta młoda i atrakcyjna, adorowana przez rówieśnych – wybrała właśnie mnie. No więc ślub. To były czasy po wojnie, w których zostało jeszcze coś z atmosfery przedwojennej: ślub stanowił akt wyjątkowej wagi, nie jak dziś często mało znaczący, zwykły fakt. Okres po ślubie też był prawdziwie wyjątkowy, jak to określano: miodowy. Człowiek się obnosił ze swym szczęściem, był z niego dumny. Moja Dobrusia i ja byliśmy po prostu szczęśliwi. Czasami się coś takiego ludziom zdarza, a wtedy cały świat nie tylko nabiera blasku, ale przedziwnie się uspokaja, zdaje się być łagodny i dobrotliwy. Tego stanu nie da się długo utrzymać, bo wkracza nieubłagana rzeczywistość, ale między nami nigdy nie siała ona destrukcji.

– Czyżby było to małżeństwo bez wad? – przerywam panu Andrzejowi tę apoteozę.

– *Bez drobnych choćby wad nie ma nic prawdziwie ludzkiego. Żona w młodości skłonna była do łatwej porywczowości, ale ta jej cecha, wynikła z żywego temperamentu, stale maleje z upływem lat. Szybka autorefleksja wydobywa ją z porywczowości, rychło korygując jej sądy i opinie. I tak Dobrusia stawiała się z każdym dniem bardziej rodzinna i domowa. Jej rzeczywista, dotykalna, matczyna, a w najnowszym okresie babcina, miłość ma w sobie coś organicznego, jest immunowana, hermetyczna wobec jakiegokolwiek mocy przekonującej. A objawia się w trosce nie tylko o własne dzieci i wnuki, lecz także o dzieci sąsiadów z podwórka, kamienicy. Zawsze lubiła dzieci, gdziekolwiek się znaleźliśmy. Jeździliśmy przez 30 lat na wakacje do Jelitkowa – i ona tam znała wszystkich po imieniu.*

Człowiek ją interesuje nie od strony herbu – zawsze widzi ludzi, którym się wiodło albo nie. Dla niej ważne są fakty bytowe, egzystencjalne – jak dany człowiek daje sobie radę w życiu. Czy inni dochowują mu wierności? Czy krewni nie skrzywdzili jakichś dzieci, które znalazły się na ich łaskawym chlebie? Zastanawia się, czy los tych dzieci nie był tragiczny, choć dana historia zdarzyła się (w jej rodzie) w XIX wieku.

Najbardziej fascynują ją dzieci, ich dorastanie i los, na przykład w kamienicy, w której żyjemy, gdzie niebogaci również mieszkają, zna z imienia kilkadziesiąt dzieciaków, podczas gdy ja ich prawie nie odróżniam. Wie, do której klasy każde z nich chodzi, pomaga, gdy może, martwi się, dokąd pójdą po ukończeniu szkoły podstawowej.

Dobrusia to osoba angażująca się w autentyczną materię życia. Jest urodzoną demokratką – uważa, że dla każdego przydział losu powinien być równy, nie może znieść cudzej krzywdy. Opowiada mi, że dużo biedoty niemieckiej mieszkało przy ulicy Wesolej w Bydgoszczy – co z dziećmi tych rodzin stawalo się w czasie wojny i po jej zakończeniu? Nie, nie wysokie sfery ją interesują, lecz co działo się i nadal toczy się na podwórkach. A wiele ma koleżanek jeszcze ze szkolnych lat i do dziś jest człowiekiem koleżeństwa. Ona tworzy swoistą sagę o Bydgoszczy. Jej opowieści zbliżyły mnie do tego miasta.

A przy tym ma zamiłowania literackie – chodzi spać późno, po północy. Często o pierwszej w nocy jeszcze czyta. Nie pozwala sobie na odejście od lektury

mimo narwału obowiązków. Lubi literaturę memuarową i nie tylko. Pierwsza czyta pojawiające się na rynku księgarskim nowości. Wyczulona jest na melodię wiersza, atmosferę, jego myślowy sens. Po lekturze chętnie wyraża opinię, bo uważa, że to jest jej obowiązkiem. A więc odbiór literatury bardzo żywy – i to chyba było jedną z istotnych przyczyn, dla których upodobałem ją sobie na żonę: jej poziom intelektualny. Ma ona zresztą za sobą rok studiów w Szkole Głównej Handlowej – uczelni wówczas bardzo elitarnej. Musiała to wszystko zostawić, bo nie dało się pogodzić z domem, dziećmi, obowiązkami. Umysł żywy, wielostronny, czynny – można z nią dyskutować o malarstwie, rzeźbie, literaturze – i o moich zamierzeniach. Znała wszystkie moje kolejne plany, więcej: uczestniczyła w ich powstawaniu. Zawsze mogłem liczyć na jej sąd krytyczny, analityczny, rzeczowy. Po rozpatrzeniu wszystkich za i przeciw przyjmowała kolejne moje dążenia jako wspólną sprawę – stawała się jej kibicem, jak ojciec.

I to przez lata była i jest cała moja otoczka, moja ziemia – najpewniejszy punkt oparcia przez te wszystkie bydgoskie lata... Nie mam innych oprócz tej wspańskiej rodziny. Tu zawsze mam pewność, poczucie, że nigdy nie spotka mnie zawód – a zawsze dobra, krzepiąca siła. W postawie Dobrusi na pewno nie bez znaczenia była i jest jej jednoznacznie silna wiara, niepodważalne pojęcie o istnieniu Boga. Dla niej bez żadnych wahań i dyskusji – On jest Zwornikiem całej metafizycznej struktury wszechświata. Często obserwuję ją, gdy przy świetle przygaszonej lampy odmarwia modlitwy codzienne. Obejmuje modlitwą nie tylko najbliższych, ale i najdalszych, najdawniejszych krewnych, przyjaciół, znajomych – cały świat.

A przy tym Dobrusia jest ogromną miłośniczką, wręcz niewolnicą, obyczaju – może po przodkach? Żadne poświęcenie nie jest dla niej zbyt duże, by przygotować należycie kolejne święta. Wkłada w to nieopisaną ilość energii i czasu, a gdy widząc, na jaką miarę przygotowuje świąteczne uczyty, perswaduję, że to nie ma sensu i proponuję: następnym razem przygotujemy święta tylko dla siebie – ona pozornie się zgadza, ale wiadomo, że za rok znowu rozpęta tę samą machinę starań nad Wigilią, Wielkanocą, rocznicą ślubu. W istocie nic nie jest w stanie jej przekonać. Albo tradycja Zaduszek: już od paru dni poprzedzających wstaje najwcześniejszym rankiem, gdy jest jeszcze ciemno, by odwiedzić wszystkie znajome groby. I wraca stamtąd, gdy już jest ciemno. Ona musi tak

czynić, inaczej świat by się zawalił. Być może jest w tym jakaś magia i polskie strażniczeki obyczaju na ołtarzu jakichś bóstw domowych składają te ofiary? – zastanawia się Andrzej Szwalbe, patrząc na mnie z przymrużeniem oka. – Chyba one wierzą, że istnieje jakaś zależność naszego toku życia od spełnienia tych obowiązków. Może gdzieś w podświadomości płącze się lęk przed mocami, które trzeba oblaskawić? Ile by na ten temat nie dywagować, jedno jest pewne: w kobietach jest ogromna potęga, jeśli z siłą czołgu potrafią w okresie przedświątecznym przeć, by zrealizować pradawny obyczaj. Nie sposób im się przeciwstawić, można tylko na bok uskoczyć – śmieje się pan Andrzej i kończy:

– Patrząc na to, można mieć pewność, że gdy Kościół będzie trzymał z niewiastami, łatwo pokona piekielne bramy.

Pani Dobrusia, niezrażona ironią męża (bardzo łagodną i niezjadliwą) komentuje:

– Rzecz w tym, że mąż jest bardziej w sobie, do wewnątrz, a ja jestem sanguiniczka, optymistka, cała na zewnątrz. Kocham ludzi, towarzystwo, pośmiać się, pożartować. Uwielbiam prowadzić dom, na przykład obiady gotować, a z drugiej strony zawsze pociągala mnie literatura, muzyka, malarstwo, teatr, film. Chodząc do gimnazjum, trzy razy w tygodniu biegałam do kina, ale to dawne czasy. Do Bydgoszczy jestem bardzo przywiązana – ludzie nie są tu przebojowi i głęboko skrywają kompleks niższości w stosunku do stolicy. Są gościnni, sympatyczni. Najważniejsze, że Bydgoszcz zawsze dawala mężowi zielone światło, pomagała zrealizować jego zamierzenia. Tu trafił na odpowiednich ludzi, którzy nie ograniczali jego rozmachu. Co do mnie, to kocham też Warszawę, Trójmiasto, wszędzie znajduję wspólny język. Gdy mi na czymś zależy, potrafię być przebojowa. Najbardziej zależy mi jednak na rodzinie, w której nigdy nie przyznawałam komuś jednemu wyjątkowych priorytetów – wszystkich kocham jednakowo. Chyba, że ktoś zachoruje – wtedy jest pierwszy!

* * *

O pani Szwalbowej mówi Maria Ziemecka-Słodzińska:

– O Dobrusi zmieniłam zdanie, kiedy już po wojnie, mieszkając w Bydgoszczy, Andrzej odwiedzał nas z żoną w Sopocie. Zawsze razem zwiedzaliśmy

wtedy Stare Miasto gdańskie i oni nieodmiennie od nowa byli nim oczarowani. Miałam wtedy nie raz okazję zaobserwować, jak Dobrusia bardzo jest opiekuńcza i prawdziwie przyjacielska w stosunku do niego. A gdy mi ją przedstawił pierwszy raz, doprawdy nie byłam pewna, czy ci ludzie się dobrali, tak z pozoru byli różni.

Dobrusia – wydawało mi się wcześniej – była kobietą jak gdyby „osobną”, nie każdemu mężczyźnie mogła się podobać i u boku Andrzeja nie bardzo ją widziałam. Potem zrozumiałam, że ujęła go swą ogromną naturalnością i dużą inteligencją. I co mnie najbardziej wzruszyło, oboje umieli dać sobie bardzo dużo szczęścia, a to takie rzadkie.

Oczywiście nie mogło być bez „ale” – starania i miłość Dobrusi natknęły się na opór ze strony zbyt kochającej syna matki. Tu wytworzył się wyraźny antagonizm, zasadnicze różnice zdań – i Dobrusia bardzo nad tym cierpiała. A przecież rodzice Andrzeja aż do śmierci żyli razem z nimi w Bydgoszczy w jednym mieszkaniu, przy Dworcowej. Co więcej, obie matki młodych zamieszkały z nimi po ich ślubie – również matka Dobrusi z wiekiem coraz bardziej schorowana, słabiuteńka. Chyba wielkiej kulturze ich obojga zawdzięczać należy rodzinną harmonię w takich warunkach, w tej wielkiej, wielopokoleniowej rodzinie.

Wpływ żony mądrze ostudzał jego zapal i ogromną więź z matką, co u jedynaka jest cechą normalną. Trzeba tu podkreślić, że matka nie chciała go nadmiernie przywiązywać do siebie, przeciwnie, pchała go na jakąś drogę szerszą – w ten sposób przerosł życia rodzinnego nigdy nie zahamował jego dążeń. Dziś wiem, że obie te kobiety były dla niego opatrnościowe.

* * *

Gdy odwiedzam mieszkanie Szwalbów, pani Dobrusia prowadzi mnie do stylowego pokoiku z kredensem i serwantką, dużym owalnym stołem z epoki, otoczonym takimiż krzesłami. Na ścianach obrazy. Wskazuje dwa z nich, bardzo piękne, i mówi: – Zdołali je uratować nasi znajomi podczas II wojny światowej. To są jedyne moje pamiątki rodzinne, jeszcze z Moskwy.

I zaraz zmienia temat, opowiada, jak to krótko po wojnie w tym obecnie zajmowanym locum mieszkało u nich nawet i 10 osób bliższej i dalszej rodziny – po prostu tłum. Tak było do 1955 roku i wszystkiemu trzeba było sprostać.

Ale do tego mieszkania, zajmowanego już pół wieku, ma pani Dobrusia stosunek bardzo uczuciowy. To ono właśnie połączyło państwa Szwalbów. No cóż, czasem łączą ludzi przypadki, powikłanego losu, a czasem mieszkania.

Spotykam później panią Dobrosławę na ulicy z siatkami pełnymi wiktuałów. Nie pozwala sobie pomóc, gdy chcę ponieść część zakupów. Komentuje pół żartem, pół serio:

– *Musimy być tą silną płcią, droga Pani. Trzeba i mężów podtrzymywać. I tylko jedno jest ważne – nie starać się zmienić mężczyzny.*

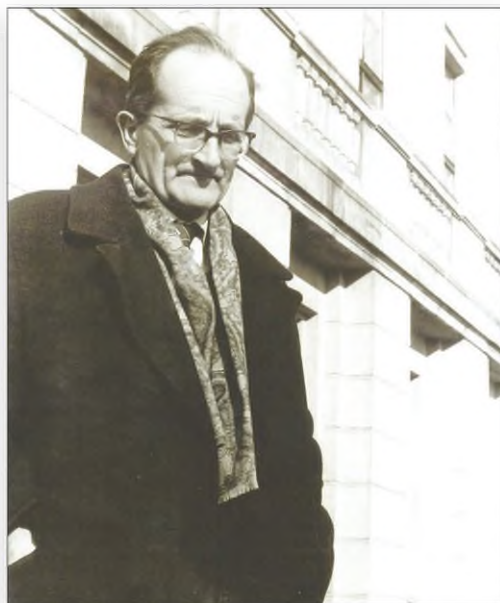
* * *

Gdy patrzę przez lata na ich związek, myślę sobie zawsze, ile w nich obojgu jest pogody ducha, pewnie dlatego, że potrafili od początku wykrzesać z siebie miłość dojrzałą. Bo miłość może być niedojrzała i dojrzała. Ta pierwsza jest pełna lęków i stresów, chce brać i boi się stałe utraty przedmiotu ukochania. To raczej miłość samego siebie, stąd piekająca zazdrość i stała obawa, że można coś stracić, stąd egoistyczna chęć zawłaszczenia drugiej osoby.

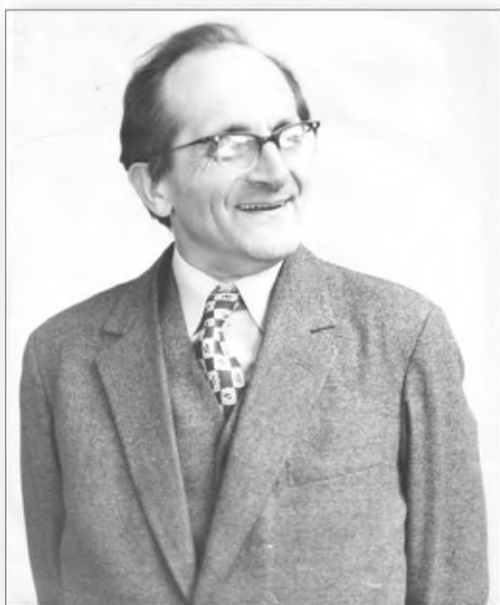
Dojrzała miłość usuwa lęk, ma w sobie radość i pogodę ducha. Podobno kto w dzieciństwie nie otrzymał od rodziców dostatecznej ilości uczucia, potem całe życie stara się to sobie kompensować, szukając neurotycznie miłości, ale jej nie dając. Andrzej i Dobrusia musieli witaminy „M” dostać bardzo dużo. Ich dojrzała miłość wie, że tylko wzajemne dawanie i branie przydaje piękna uczuciu, stwarza równowagę i harmonię. Wtedy nie liczą się lata i zmiany w wyglądzie, bo stale młody jest wizerunek drugiej osoby w kochającym sercu...

Czy nie za dużo sentymentalizmu w tym stwierdzeniu? Książka o Honorowym Obywatelu Miasta – i eksponowanie jego życiowego roman-su? Być może to nie uchodzi. A jednak nuta liryczna wkradła się i nie

Lata aktywności zawodowej



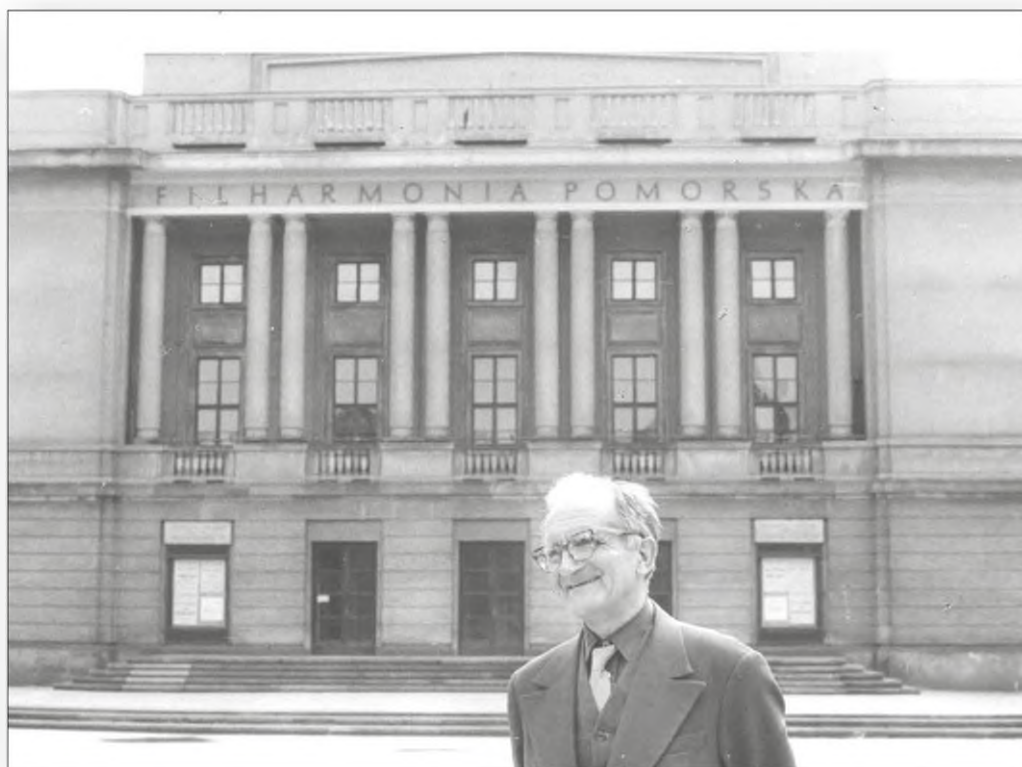
Andrzej Szwalbe na terenie Filharmonii, lata 80.-te



Andrzej Szwalbe 1971 rok



Andrzej Szwalbe w domu, koniec lat 90.



Andrzej i Dobrosława Szwalbe z dyrygentem Berliner Capella, Peterem Schwarzem

chce ustąpić. No cóż, chyba możemy na chwilkę odetchnąć wobec czegoś tak bardzo normalnego (a nieczęstego), jak... udane małżeństwo. Przecież Andrzej i Dobrusia – to nie są „spóźnieni kochankowie” Williama Whartona, którzy nagle odnaleźli się, gdy szron już tego pokrywa skronie. Tak, oni całe półwiecze obdarowują się miłością i przyjaźnią, idąc obok siebie jak dwa konie w jednym zaprzęgu. Nie stracili z tego półwiecza ani chwili.

* * *

DR. PETER SCHWARZ – BOUMANNSTR. 17-1346 BERLIN
– TELEFON (030) 401 11 04 – FAX (030) 404 13467

Herm

Mag. Andrzej Szwalbe, Dworcowa 75/5

PL 85-009 Bydgoszcz

POLEN

Lieber, hochverehrter Herr Szwalbe,

heute ist Ihr 75. Geburtstag – ein Tag, an dem ich an „unsere” gemeinsame Geschichte der vergangenen 23 Jahre denke. Diese Zeit hat in meinem Leben und in der Geschichte der Berliner Cappells tiefe Spuren der Erinnerung geprägt, die ich mit größter Dankbarkeit und Bewunderung für Ihre Leistung in mir trage.

Sie waren für meinen Chor und mich in jeder Sekunde ein so zuverlässiger Begleiter, wie ich es selten außerhalb meiner Familie erlebt habe. Daraus entstand auch eine Brücke, die uns zu Themen führte, die mit unseren eigentlichen Plänen wenig zu tun hatten – so z. B. die Literatur, die Kunst, die gemeinsame Geschichte von Polen und Deutschland, die politische Situation beider Völker.

Es wäre wirklich an der Zeit, daß ich mich mit Ihrer Hilfe an die Arbeit einer Dokumentation unseres gegenseitigen Vertrauens und der daraus entstandenen Zusammenarbeit mache. Im Augenblick fehlt mir dazu die Zeit, doch ich hoffe auf die Zukunft, für die ich mir Raum und Muse für diese Aufgabe wünsche.

So – nehmen Sie bitte unsere bestea Wünsche zu Ihrem Geburtstag entgegen, die mit besonderer Dankbarkeit Ihrer liebevollen Zuneigung gegenüber angefüllt sind. Möge Ihnen rüd Ihrer Frau ein gutes Leben geschenkt sein, in dem Ihnen Ruhe, innere Freude und viel Phantasie gegeben wird.

Alles Liebe und Gute Ihnen – auch im Namen von Uta, meiner Kinder und der Berliner Cappella.

Ich umarme Sie und grüße Sie von ganzem Herzen.

(List Petera Schwarza do Andrzeja Szwalbego z 30 czerwca 1998 r.)

Wartości i prace

Tak więc „stan szczęśliwości”, głoszony po wojnie, był dla Andrzeja Szwalbego zaledwie punktem zerowym, z którego – wiedział – trzeba koniecznie wyjść, by osiągnąć cokolwiek lepszego w sferze duchowej, w owej walce o duszę Nowego Człowieka, który wszedł do narodowej kultury. Starał się być konsekwentny w działaniu, a stale wyłaniały się nowe potrzeby i nieodmiennie uczucie braku zaostrzało się. Więc rozszerzał swoje działania.

* * *

Zacząło się od Filharmonii. Gdy pytam, jak doszło do jej budowy, nie wspomina bynajmniej o dziesiątkach pism i wniosków, które musiał sformułować, o trudnościach w zdobywaniu materiałów, przestojach, nękających go przy wszystkich budowach, jakie inicjował. Nie pamięta o codziennym mozole, związanym z funkcją inwestora bezpośredniego, o stałej, wielopłaszczyznowej, wyczerpującej pracy, prowadzonej obok normalnej, statutowej działalności Filharmonii Pomorskiej.

Jak wyglądało to na co dzień, niech zilustruje anegdota. Pewnego dnia dziennikarze, wracający nad ranem z jakiejś imprezy, zobaczyli na placu budowy zziębniętego całonocnym czuwaniem dyrektora Szwalbego. Widząc ich zdziwione spojrzenia, wyjaśnił:

– *Dozorca zachorował, a tu maszyny, materiały, trzeba dopilnować.*

Chętnie mówi natomiast o szczęściu do mądrych współpracowników. Na przykład samą myśl budowy Filharmonii zawdzięcza Czesławowi Dokowskiemu, człowiekowi o wyjątkowym formacie intelektualnym, który był jego zastępcą w kierowaniu upaństwowioną w 1953 roku byd-

goską Orkiestrą Symfoniczną. Kiedyś w rozmowie rzucił on: „orkiestra upaństwowiona powinna mieć gmach”. Szwalbego uderzyła ta myśl i od razu zaczął starania wokół jej realizacji. Najpierw trzeba było przekonać wszystkich, że warto powołać Społeczny Komitet Budowy Filharmonii, a potem walczyć o dokumentację – i cały proces inwestycyjny ruszył w 1953 roku.

* * *

Obchodziliśmy właśnie czterdziestą rocznicę powstania gmachu Filharmonii Pomorskiej, prosiłam więc Szwalbego, by sięgnął pamięcią do czasu, gdy był on wznoszony i ludzi, którzy się w tym zasłużyli. Powiedział krótko:

– *Ci ludzie nazywali się legion – tylu ich było.*

Hasło budowy było bardzo nośne, bo Bydgoszcz czuła podświadomie potrzebę wypowiedzenia swej wielkowiejskości. Symbolem jej stała się wówczas muzyka i filharmonia nie tylko jako organizacja muzyczna, także jako gmach, coś bardzo naocznego i posiadającego rangę symbolu.

– *Filharmonia zmaterializowana w formie pięknego gmachu miała nas jako społeczeństwo reprezentować, bo muzyka obok literatury i malarstwa była tą dziedziną, która Polskę reprezentowała najgodniej. A w Bydgoszczy muzyka była wciąż kopciuszkiem – brakło sali koncertowej, nie było gdzie odbywać prób, trzeba było szukać przypadkowych pomieszczeń – „gościnnych” to zbyt duże słowo, bo były to przecież arcynędzne salki prób.*

W archiwum Filharmonii zachowało się zdjęcie jednego z takich „gościnnych” pomieszczeń przy ówczesnej ulicy Janka Krasickiego. Orkiestra występowała w sali, gdzie był ring bokerski. Najpierw ten ring dla potrzeb orkiestry usuwano, a potem organizatorzy doszli do wniosku, że orkiestra może siedzieć przy ringu.

Społeczeństwo było więc gotowe budować Filharmonię.

Tym bardziej, że teatr bydgoski miał swe locum przy ulicy Mickiewicza, plastyka – w Pomorskim Domu Sztuki – jedynie muzyka była bezdomna. Atmosfera czasów była taka, że ludzie na rzucone hasło budowy ruszyli

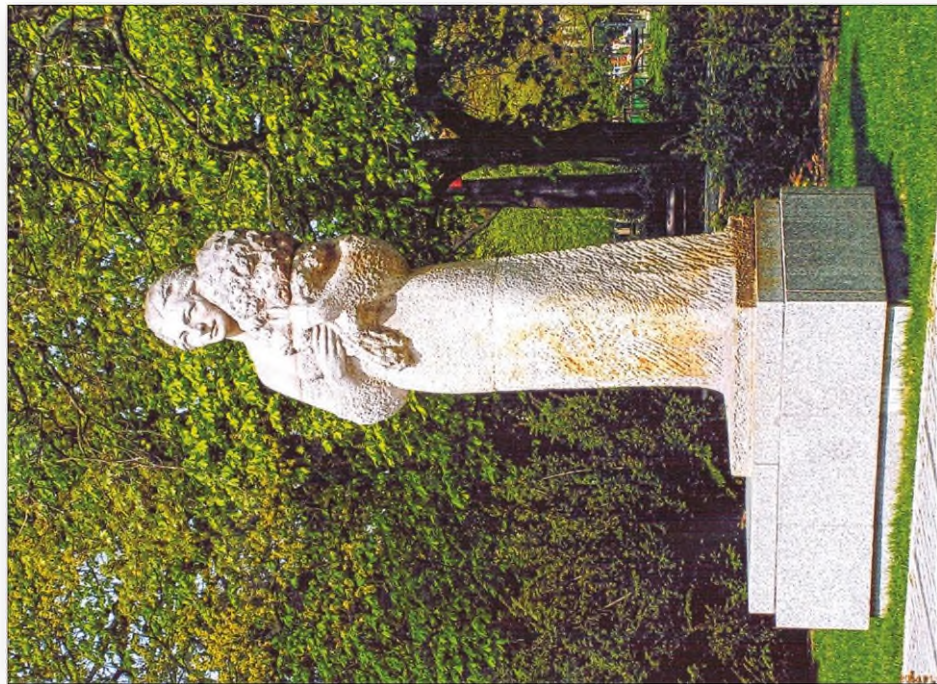


Fot. Wiesława Wolna

Wybudowana w 1958 roku przez Andrzeja Szwalbego Filharmonia Pomorska im. Ignacego Jana Paderewskiego



Fot. Wiesława Wolna



Fot. Wiesława Wolna

Galeria Pomników Kompozytorów i Wirtuozów w Parku Jana Kochanowskiego, w Dzielnicy Muzycznej, od lewej: Karol Kurpiński (1785–1857), Grażyna Bacewicz (1909–1969)

z wielką pomocą osobistą i finansową, wykonując różne czyny społeczne przy porządkowaniu gruntu, usuwaniu resztek fundamentów innych budow. Dzięki temu wejście na plac budowy miało miejsce z początkiem 1954 roku. Budynek został dość szybko wzniesiony i w listopadzie 1958 roku odbył się koncert inauguracyjny. Bydgoszcz została też dobrze przygotowana do tego inwestycyjnie – był świetny główny projektant, Stefan Klajbor, wspaniały architekt, monumentalista o bogatej architektonicznej wyobraźni i jednocześnie lekkiej ręce, w której ołówek czuł się bardzo dobrze. Wizyjność jego pomysłów ogromnie się tutaj przydała. Nie można pominąć również wysiłków jego zespołu, w którym byli urbaniści znakomici, nieprzejednani, kategoryczni w żądaniach, dotyczących lokalizacji budynku.

Dzięki tym ludziom i tym, którzy pracowali społecznie, a także dzięki Przedsiębiorstwu Budownictwa Miejskiego (którego dyrektorem był pan Jaszewski) oraz pięciu brygadam murarskim, betoniarskim i kopaczom – teren przygotowany był bardzo skrupulatnie, zanim pojawiła się maszyna. Zresztą nie na długo mogła się tam pojawiać, bo gdy się zeszło na głębokość jakichś czterech metrów, kiedy można było kłaść fundamenty – znowu łopata musiała być użyta jako najsubtelniejszy środek do wydobycia ziemi, żeby nie uszkodzić gdzieś jej struktury i żeby ława fundamentowa poszła na grunt dziewiczy, nienaruszony – wtedy jest on najbardziej nośny. A grunt tu był ciężki – bielawska kurzawka, z którą ogromne boje toczył jeszcze w międzywojniu ks. Hieronim Feicht, członek Zakonu Misjonarzy, wybitny muzykolog i kompozytor, badacz muzyki dawnej. Mówił Szwalbemu, że pod budowę bydgoskiej Bazyliki poszły całe tony, całe pociągi cementu, by tę bielawską kurzawkę scalić, zespolić, zeskalić. W budowie Filharmonii zastosowano już trochę nowocześniejsze sposoby. Można rzec, budynek został specjalnie mądrze postanowiony, nad czym pracował również (obecnie jedyny żyjący z całego zespołu) inżynier Bogdan Piestrzyński, główny projektant Filharmonii w zakresie konstrukcji. Przy pomocy całego systemu dylatacji, odpowiednio zaprojektowanych ław fundamentowych, budynek stanął silnie na niegościnnym bielawskim gruncie.

Oj, ta bielawska kurzawka... Związana z nią woda też spędzała sen z oczu. Kiedyś, już po ukończeniu budynku stała się nagle aktywna – któregoś dnia

Szwalbe zszedł na dół, Filharmonia była czynna, na górze odbywał się koncert, a tu w piwnicach do kolan wody – kurzawka się obudziła. Trzeba było stosować różne subtelne zabiegi, by wodę usunąć nie naruszając struktury geologicznej gruntu. Bo gdyby się tej wody za dużo pobrało, budynek zacząłby za bardzo osiadać. Piętrzyły się problemy nie tylko geologiczne, choć powszechny pęd ku Filharmonii był taki, że o poważnych trudnościach nie było mowy. Ale pojawiały się jakieś dziwne, spóźnione żądania władz. Już zaczęto budować, co wymagało zresztą dokonania prac przy ulicy Słowackiego i puszczenia pewnych linii parkiem. Nagle jakieś objawienie: przesunąć budowę gmachu na oś ul. Słowackiego, bo to usunie rywalizację z Bazyliką. Nie wiadomo o co chodziło: czy jest rzeczą złą, że w jedno zaczenie wchodzi budynek Filharmonii, a jednocześnie w głębi gmach Bazyliki, z boku zaś mamy piękną sylwetkę neorenesansową gmachu starostwa powiatowego, a z drugiej strony, trochę głębiej, neobarok się kłania – gimnazjum Rolbiewskiej. Jaka była intencja tych, którzy tak zaordynowali? Pewnie chodziło o to, by przesłonić po prostu bydgoską Bazylikę.

Szwalbe wykorzystał wtedy argument, że przy obecnym układzie jednak rywalizacji nie będzie, bo Bazylika jest mimo wszystko znacznie cofnięta, na którymś tam z rzędu planie. I że bardzo urozmaicić może spojrzenie na Filharmonię fakt, iż z jednej strony mamy resztę zabudowy secesyjnej, tej wzdłuż ulicy Libelta, później – tę klasycyzującą piękną Filharmonię w kształcie pawilonu architektonicznego, bardzo lekkiego, daleko w głębi z kolei mamy Bazylikę i uroki neorenesansu.

Wszystko to rzeczywiście się sprawdziło i ta sylwetka Filharmonii, chociaż nacechowana wielkim spokojem, rysuje się na bogatym tle, ma dla siebie wiele planów, odległości, perspektyw. Jest w tym miara jakby wolności, którą się czuje. Sam gmach promienny ku przybyszowi zdaje się otwierać i zawsze jest od wewnątrz nasłoneczniony, a słynna w Europie jest jego akustyka, opracowana przez Witolda Straszewicza. Jest na pewno w samym gmachu Filharmonii jakaś magia i to dobrze świadczy o wszystkich dyskutantach, którzy uczestniczyli w nadaniu gmachowi kształtu, w umiejscowieniu go. Wybrany został wariant najdogodniejszy i stanęła całość bardzo dyskretna, elegancka, na szczęście pozbawiona osiowości, która tu byłaby czymś natrętnym.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć i o innej trudności, gdy budynek zbliżał się do ukończenia, a był to rok 1958. Ktoś nagle powziął „znakomitą” myśl, że gmach może służyć również operze. Dużo kłopotu sprawiła część wpływowej, często znakomitej, zwłaszcza recenzenckiej prasy. Zaczęła ona wyklądać rachunek kosztów, które poszły na dobro muzyki, pytając: a co dla teatru? Jeśli więc dla opery czy teatru miałyby być ta resztką w postaci zawieszanej na estradzie Filharmonii kurtyny – bo jakże w tych warunkach inaczej – to wszystko przedstawiałoby się opłakanie. W sukurs przyszła kolejna metoda, której Szwalbe nieraz jeszcze będzie próbował. Zaproponował:

– Moi kochani, nie niszczymy tej Filharmonii, która niech nadal pozostanie filharmonią, zanim zamieni się w wielkie nic po dokończeniu do niej opery czy teatru. Pozwólcie, że ja się zajmę budową gmachu Opery w Bydgoszczy.

I tak oto dowiaduję się, że tajemnica tego, iż pierwszy wniosek o budowie Opery był złożony w parę tygodni po oddaniu do użytku budynku Filharmonii, tkwi m.in. w artykule świetnego recenzenta, nieżyjącego już Jarosława Szymkiewicza, który zmobilizował opinię publiczną, że krzywda dzieje się teatrowi, bo wszystko zabrała muzyka. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: Szwalbemu rola społecznego inwestora tak weszła w krew, że przystąpił potem i do budowy Biura Wystaw Artystycznych. Zgodnie ze swym mądrym założeniem, iż każda z dziedzin sztuki otrzymać musi to miejsce, gdzie ma najlepsze warunki rozwoju. O bogactwie kulturowym miasta decyduje bowiem wielość środowisk, ich ranga, ale każde z nich musi mieć własne poletko, być sobie suwerenem.

* * *

I tak, gdy budowa Filharmonii została zakończona, niemal od razu pojawiła się konieczność wszczęcia nowej inwestycji – budowy gmachu Opery. Początek starań już w roku 1958. Szwalbe natychmiast wystosował do władz memoriał w sprawie budowy Opery – i o dziwo, pomysł zaowocował. Ówczesny przewodniczący prezydium WRN, Aleksander Schmidt, który rzeczywiście

poważnie traktował kulturę, od razu podchwycił myśl, Szwalbemu powierzając kompetencje bezpośredniego inwestora. Trzeba było w tej sprawie bez przerwy kręcić przysłowiową dziurę w brzuchu w Radzie Ministrów, bo w tym czasie nastały dla kultury lata chude. Zgodzono się w końcu na budowę pod warunkiem przemianowania obiektu na Ośrodek Krzewienia Kultury i Sztuki. Szwalbe dopilnował wbicia pali, po czym kontynuowanie prac przekazał samej Operze bydgoskiej. Trwało to jeszcze latami, bo czasy dla kultury nastawały coraz gorsze. Dziś ten imponujący, wielki, z rozmachem zaprojektowany obiekt, pod okiem dyrektora Macieja Figasa nabrał rangi i znaczenia, zwłaszcza podczas zainicjowanych przez niego ogólnopolskich festiwali operowych, kiedy to wielu artystów o krajowej sławie przeżywa dreszczyk emocji, występując w niedokończonym jeszcze wciąż gmachu Opery, którego monumentalne rozmiary wynikają pewnie z faktu, że Szwalbe widział go wkomponowanym w pejzaż „miasta skazanego na wielkość” – jak mówił o Bydgoszczy. Przewaliły się epoki, przyszły czasy transformacji i domniemana, potencjalna wielkość miasta nierzadko ustępuje miejsca jego małości, zwłaszcza gdy idzie o stosunki międzyludzkie. Bo, jak powiedział poeta: „czasy są wielkie, tylko ludzie trochę mali”. Dlatego Andrzej Szwalbe tak duży nacisk kładzie na zaszczerpienie miastu wartości humanistycznych.

„Promocja Nowego Człowieka w sztuce”. Nie co innego miało na przykład na celu zwiększenie przez Andrzeja Szwalbego rocznej liczby koncertów Pomorskiej Orkiestry Symfonicznej ze 116 w 1951 roku do 125 w roku następnym i – już w Filharmonii Pomorskiej – w 1953 roku do 134 – cyfry maksymalnie napiętej, jeśli chce się dotrzymać kroku poziomem artystycznym imprez. Przestały wystarczać abonamenty A i B, dodano przeto kolejny abonament C. Wprowadzono chwytliwe operomontaże, a dla publiczności z mniejszych ośrodków zaproponował Szwalbe quasi-wędrowne festiwale „Szlakiem Chopina”. W 1952 roku była Szafarnia i Rypin, w 1953 – również Turzno, Kikół, Golub-Dobrzyń, Lipno, Płock. W 1955 roku odbywała się ta impreza w ramach Roku Mickiewiczowskiego i V Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego, następnie od 1957 roku – corocznie aż do 1963. Wtedy, w 1966 roku, wkroczyły międzynarodowe festiwale „Musica Antiqua Europae Orientalis”.

* * *

Jak doszło do budowy salonu BWA? Chciał, aby Filharmonia wkomponowana była w cały świat sztuki. Romantyzm, który wyniósł ze szkół, uczył go przecież zasady korespondencji różnych sztuk dla ich głębszego przeżywania. Nie wyobrażał sobie właściwego odbioru muzyki bez dobrze wyposażonej, również od strony siedziby, plastyki. Postanowił postarać się o salon wystawowy, który byłby na miarę przyszłej Bydgoszczy, miasta wielkiego o prężnym życiu kulturalnym – bo tak je widział w przyszłości. No i jak zwykle pomysł swój po prostu zrealizował – cały ciężar prac inwestycyjnych spoczął na Filharmonii. Ukończony w 1970 roku nowy gmach BWA, projektu mgr. inżyniera architekta, Tadeusza Czerniawskiego, pięknie wkomponowany w park, uznany został w swoim czasie za „mistera” Bydgoszczy. Andrzej Szwalbe nie przeliczył się w swoich nadziejach: BWA pod wieloletnią dyrekcją Kazimierza Jułgi spełniała przez lata funkcję nie tylko wystawienniczą, lecz i kulturotwórczą w szerokim tego słowa znaczeniu.

* * *

– Nie jestem zbyt komunikatywny, niezbyt łatwo nawiązuję kontakty z ludźmi. Najlepiej czuję się w samotności, gdy spędzam czas na lekturze, rozmyśleniach, spacerach. To cecha charakterologiczna, na którą nie ma rady. Często wyrzucam to sobie, posądzając się o niechęć do ludzi, z grecka mówiąc – o mizantropię. Postanowiłem ten brak wyrównać poprzez działanie na rzecz większej grupy ludzi – miasta, społeczeństwa. Pocięszam się, że w ten sposób robię coś dla człowieka jako takiego, spłacam swój dług wdzięczności. I tak wybrnęłam z dylematu, starając się czynić coś pożytecznego dla ogółu, co się narzuca siłą własnej racji.

* * *

Gdy z prof. Marianem Turwidem na Sejmiku Kultury przed laty postanowił założyć Bydgoskie Towarzystwo Naukowe, również tę myśl zrealizował z właściwą sobie żelazną konsekwencją – także jeśli idzie o locum.

Bowiem dla funkcjonowania symfoniki – uważał – konieczne jest odpowiednie napięcie życia umysłowego, a więc obecność instytucji, skupiającej ludzi nauki. Ufał, że placówki, w których powołaniu uczestniczył, promieniować będą przez lata czystym światłem nauki i w końcu dochowają się młodzieży, spragnionej kontaktu ze sztuką.

Ta nadzieja go nie omyliła – dziś w salach koncertowych Filharmonii widzimy stale dużo młodzieży. Wypełnione są one zresztą z reguły po brzegi – Szwalbe dochował się prawdziwego, entuzjastycznego, wiernego Filharmonii słuchacza w każdym przekroju wiekowym. Natomiast co do promieniowania owego „czystego światła nauki” z BTN – były z tym, zwłaszcza w okresie trudnej polskiej transformacji, duże problemy. Bowiem prowincjonalizm bydgoski – nazwijmy go zaściankowością – trudny jest do zwalczenia.

Szwalbe nie byłby sobą, gdyby nie przedsięwziął w tej mierze zakrojonych na szeroką skalę działań. Myślał o wyższym szkolnictwie artystycznym w Bydgoszczy, mieście przemysłowym, które nie odznaczało się wówczas bujnością życia intelektualnego. Kultura tego regionu w ogóle mało znana była krajowi, a jego dawniejsze dzieje często nieznane samym mieszkańcom, których gros stanowiła ludność napływowa. Tymczasem dla zakorzenienia się wiedza o przeszłości jest niezbędna – inaczej miasto nie nabierze mądrego patriotyzmu lokalnego. Szwalbe zapytany kiedyś, co mogłoby być tego namacalnym symptomem, odparł:

– *Gdyby mieszkańcy z własnej inicjatywy wznieśli jednemu z bohaterów Insurekcji Kościuszkowskiej pomnik na wzgórzu, upamiętniający tamte wydarzenia nazwą: Wzgórze Dąbrowskiego.*

– Pana stosunek do miasta – obcego przecież dla człowieka przybyłego z Warszawy...

– *Nie pozwoliłem sobie nie lubić miasta, choć początkowo wiele rzeczy mnie drażniło – inny sposób odczuwania, inne idiomy, pewna rubaszność w podejściu. Znalazłem się w obcym świecie i po cichu niektóre rzeczy postanowiłem zmienić. Gdy poznałem niewątpliwe wartości ludzi Pomorza, pewne ich przyzwyczajenia zacząłem lubić jako barwę lokalną, przydającą kolorytu. No i dzięki żonie, Dobrusi, zakochanej w Bydgoszczy, w wielkim stopniu zyskałem zdolność pozytywnej oceny. To z kolei bardzo mnie wzbogaciło. Mieszkańcy są rzetelni*

w tym fundamentalnym znaczeniu, że realizują podjęte zobowiązania. A to dużo.

– W czym Pan zobaczył potencjalną wielkość Bydgoszczy?

– W jej możliwościach. Trzeba tylko, żeby mieszkańcy w nie uwierzyli.

– Czym jest więc tradycja?

– Odpowiem Pani w ten sposób: człowiek w niej nie zakorzeniony nie może związać się z ziemią, czuje się uboższy – i jest to kompleks ubóstwa bardzo dotkliwego, które wpływa na całą sylwetkę duchową człowieka, odbiera mu pewność, śmiałość, poczucie siły, które zyskuje się poprzez zakorzenienie.

– Co tkwi u podłoża chłodu tego miasta?

– Niewątpliwie kompleks niższości, głęboko gdzieś tkwiąca niewiara, że tu może zaowocować coś naprawdę dobrego. Stąd równanie w dół, by nic nie wyrsało ponad przeciętność, stąd też niewdzięczność wobec tych, którzy poza przeciętność wykraczają. Musi więc miasto uwierzyć w siebie. Podobnie jak człowiek z kompleksem niższości jest raczej nie lubiany i pomijany, bo skrycie wszystkich podejrzewa o lekceważenie, miasto, zarażone niewiarą w siebie, nie może przywiązać ludzi rzutkich, utalentowanych, bo ma do nich stosunek trochę podejrzliwy – odpycha jakby w obawie, że oni obnażą wszystkie jego małości i kompleksy.

A szkoda, bo w ten sposób wiele dobrych chęci zostało zmarnowanych, wiele nadziei na wzajemną bliskość – zawiedzionych. Niejednokrotnie ci, co chcieli zobaczyć w Bydgoszczy swą „najmniejszą ojczyznę” – udali się szukać szczęścia gdzie indziej. To wielka strata potencjału możliwości tkwiących w ludziach, którzy chcą się tu zakorzenić. A każdy z nas jakąś prowincję musi uznać za swoją. Słowo: „prowincja” nie ma tu negatywnego znaczenia. Istnieje piękne powiedzenie: „kto nie jest z prowincji, jest znikąd”. Jeśli nie chcemy być znikąd, musimy to powiedzenie uznać za drogowskaz.

(K. Starczak-Kozłowska, wywiad z A. Szwalbem z 1974 r. pt. „Kto nie jest z prowincji, jest znikąd”)

* * *

Rozumiejąc, że sztuka najgłębiej wnika w życie miasta i regionu, że potrafi je przepromienić, czynił skuteczne starania wokół utworzenia Instytutu

Muzykologii UW i Oddziału Instytutu Sztuki PAN (który przetrwał niestety, tylko parę miesięcy), inicjował sesje naukowe, m.in. na temat szkolnictwa muzycznego regionu pomorskiego. Wspólnie z BTN, przy moralnej pomocy ks. prof. dr. Hieronima Feichta, wybitnego historyka muzyki polskiej, otworzył serię wydawniczą: „Dawna muzyka polska na Pomorzu”. W ponad 20 zeszytach tej serii znalazły się prace, częstokroć odkrywczce, po raz pierwszy ukazujące muzykę polską na ziemiach zaboru pruskiego.

Myśl o wyższej szkole muzycznej nosił od lat. Wiedział, że jeszcze przed wojną w Bydgoszczy działały trzy konserwatoria, zespół muzyki dawnej, chóry. Niestety, znakomitych wykładowców powojennego Liceum Muzycznego (które wówczas miało taki poziom, że łatwo można było je zamienić na wyższą uczelnię) miasto nie potrafiło zatrzymać – zasilili Poznań, Gdańsk. Gdy dotkliwy stawał się głód kadry muzycznej, gdy pojawił się niepokój, kto w przyszłości będzie grał na estradzie – Szwalbe rozpoczął zawile i żmudne, ale jak zawsze skuteczne starania o uczelnię. Ich początek sięga roku 1951.

Dopiero w 1974 roku udało się placówkę zaszeregować jako filię łódzkiej PWSM. Pierwsze sale wykładowe znalazły miejsce w gmachu Filharmonii na drugim piętrze. Wreszcie w 1979 roku, lata wysiłków (o których można by napisać oddzielny rozdział) uwieńczone zostały powstaniem samodzielnej Wyższej Szkoły Muzycznej w naszym mieście: 4 marca miała miejsce pierwsza uroczysta inauguracja. Druga odbyła się w 1980 roku. Pierwszym rektorem został Roman Suchecki.

* * *

– Co najbardziej ceni Pan w ludziach?

– *To się zmieniło z biegiem lat. Kiedyś niewątpliwie giętkość myślową, erudycję, zasób wiedzy. Dziś coraz bardziej doceniam coś, co jest poza tymi nabytymi atrybutami: dobroć, łagodność, przyzwoitość. Dziwię się sobie, że te podstawowe wartości odrzucałem kiedyś dla nabytych, że nic doceniałem ludzkiego podłoża na rzecz talentu, osiągnięć naukowych czy artystycznych. Dopiero w toku praktyki zrozumiałem, jak złudny jest blask erudycji. I wyplenilem z siebie*

zbytnią łatwość i surowość w ocenie ludzi. Trzeba zasmakować w człowieku, jego osobowości, świecie odczuć, jednym słowem zobaczyć go w pełni, aby ocenić. A kiedyś oceniałem ludzi tak szablonowo – o ile pomagają mi moje cele osiągnąć.

* * *

Poczynając od 1966 roku, co trzy lata miłośnicy muzyki dawnej kontaktują się w Filharmonii z dorobkiem minionych wieków. Festiwale „Musica Antiqua Europae Orientalis” i towarzyszące im kongresy naukowe zostały zainspirowane przez prof. dr Zofię Lissę, która przejęła kierownictwo naukowe I Kongresu. W historii muzyki powszechnej brakowało bowiem głosu Europy Wschodniej, niewystarczająco też była uwzględniona Europa Środkowa. Ta myśl przyświecała Szwalbemu, gdy zajął się organizacją międzynarodowych festiwali przy współudziale doskonałego pracownika, Eleonory Harendarskiej, która potem „przejęła pałeczkę” po nim i od momentu kiedy odszedł – prowadziła Filharmonię.

Niestety, światłe kierowanie przez prof. Lissę sprawami kongresu nie wyszło poza pierwszy zjazd. Za drugi, który odbył się w 1969 roku i następne, odpowiedzialność musiał przejąć Andrzej Szwalbe. Będąc z wykształcenia prawnikiem miał ogromne poczucie ryzyka, chodziło przecież o imprezę o światowej randze. Wsparty własnymi prywatnymi studiami w dziedzinie bizantynologii, dyletanckimi – jak mówi – lecz dokładnymi, formułował tematy kolejnych kongresów na podstawie tego, co go najbardziej pasjonowało. A była to idea jedności duchowej Wschodu i Zachodu wprowadzona z idiomu kultury śródziemnomorskiej. Z biegiem czasu przekonywał się jednak coraz bardziej, że ważniejszy od jedności jest fakt różnorodności, swoistości tych dwu kultur.

Publikowane za każdym razem tomy materiałów „Musica Antiqua Europae Orientalis” zmierzały do edycji o charakterze międzynarodowym: wydawania zbioru materiałów nutowych tych krajów Europy, pn. „Monumenta”.

Powołanie z niebytu

Wielce Szanowny Panie Dyrektorze,

Teraz, „al mezzo nel nostra conferenza”, na półmetku więc tak pięknie rozwijającej się imprezy, uczestnicy powołanej przez Pana z niebytu, wymarzonej przed sześciu laty, coraz bardziej stającej na samodzielne nogi inicjatywy, imprezy bizantyno-słowianoznawczej, pragniemy przestać Panu wyrazić naszego szczerego podziwu, uznania oraz głębokiego równocześnie uszanowania, a także słowa wdzięczności za wszystko, co tak pięknie teraz w sferze artystycznej, naukowej, organizacyjnej, społeczno-kulturowej bydgoskiego kongresu owocuje.

Wielokrotnie w ciągu tych dni narwijaliśmy myślą i sercem do Ciebie, do Twojej niezastąpionej w gmachu Filharmonii osoby, podziwiając jak w praktyce, dzięki także postawie i działaniu Twoich współpracowników na czele z kierownikiem artystycznym p. Eleonorą Harendarską, wszystko „jednak się kręci” i chyba całkiem dobrze.

Wierzymy, że wkrótce przełamiesz chwilowe niedomaganie i ze zdwojoną energią będziesz mógł się zabrać do przygotowania kolejnego, IX Kongresu MAEO, na którym – ufamy – znajdzie się także miejsce dla problematyki historyczno-filozoficznej.

Z powyższymi słowami, obradujący w sekcji bizantyno-słowianoznawczej uczestnicy VIII Międzynarodowego Kongresu Naukowego Musica Antiqua Europae Orientalis – zwrócili się do dyrektora Andrzeja Szwalbego, przebywającego w czasie Festiwalu i Kongresu na leczeniu, dając wyraz swej wdzięczności za powołanie właśnie „z niebytu” imprezy bizantyno-słowianoznawczej. Dzisiaj, w pierwszych dniach września 1991 roku,

spotykając się po raz trzeci w gościnnych murach Filharmonii Pomorskiej na IX edycji *Musica Antiqua Europae Orientalis* polscy i zagraniczni slawiści, bizantynoznawcy, historycy i historycy kultury pragną ofiarować jemu kolejny tom *Musica Antiqua. Acta Slavica*.

W krótkim artykule, zatytułowanym *Bydgoskie monumenta MAEO przypomnieniem naszych źródeł kulturowych* (1983) Andrzej Szwalbe pisze:

„(...) Jest tak, jakby uwaga naszej humanistyki zdominowana została stosunkami polsko-zachodnioeuropejskimi, podczas gdy tradycyjnie, niemal od zarania dziejów i przez większą część swej dotychczasowej historii, obszar kultury polskiej leżał z obu stron – z nieuchwytną zresztą – granicy pomiędzy Europą rzymsko-zachodnią i wschodnio-bizantyjską. Nie konserwując ani też nie poszerzając naszej wiedzy o wschodzie Europy, nie uwydatniając ani kultywując tego pierwiastka, który zawsze istniał w naszej kulturze, narażamy się po prostu na to, że takie słowa, które dla pokoleń były hasłami, jak: Ruś, Litwa, Ukraina, przestaną odzywać się w duszy zbiorowej czystym i niezmaconym rezonansom, a pokaźna część spuścizny kulturalnej narodu stanie się mało zrozumiała (...).”

(A. Bezwiński: fragmenty pracy *Dyrektor Andrzej Szwalbe, czyli powołanie z niebytu*, cyt. za: *Musica Antiqua IX*, vol. 2, *Acta Slavica*, Filharmonia Pomorska, Bydgoszcz 1991, s. 8 i nast.)

* * *

– Czy w swym działaniu na rzecz miasta stosuje pan starą, sprawdzoną przez znaną bydgoską malarzkę, Joannę Witt, jej babkę i prababkę zasadę: „odważnie, zdecydowanie, z humorem”?

– *Jestem raczej powściągliwy i nieraz działam z lękiem. Zdecydowanie – owszem, ale z humorem – nie. Życie wydaje mi się z natury dość smutne i bolesne, trudno uznać je za oazę radości. Kondycja ludzka jest w istocie swej tragiczna, niesie przemijania, odejścia, zawody, niemoc, klęski, tragedię starości w obliczu nieodwołalnego niespełnienia... Podziwiam ludzi, którzy to widzą inaczej. Ja zawsze tak patrzyłem na życie, nie miałem złudzeń. Młodość nie rozsnuwała*

przede mną powabów uludy, wiedziałem, o co idzie gra. Miałem sześć lat i po dziecięcemu czułem się szczęśliwy, ale już wówczas wiedziałem, że będę musiał umrzeć. Pamiętam jeszcze doznanie tego odczucia, gdy siedziałem pewnego popołudnia w Płocku nad Tumem, wśród urzekającego piękna krajobrazu. O, nie byłem rozkosznym dzieckiem ani młodzieńcem. Takim człowiek się rodzi.

* * *

Gdy w 1961 roku Szwalbe wyłaniał zespół Capelli Bydgostiensis, którego pierwszym kierownikiem był Stanisław Gałoński, potem przez wiele lat Włodzimierz Szymański, następnie Karol Teutsch, a dziś Daniel Stabrawa – Orkiestra Symfoniczna nie mogła mu tego zapomnieć, że stworzył ciało konkurencyjne, co szczególnie wyszło na jaw później, gdy Capella stale jeździła za granicę. Obecnie wyjeżdża dość często na koncerty zagraniczne Filharmonia, uznana za placówkę o znaczeniu narodowym, zapraszająca do swych sal koncertowych najwybitniejszych artystów.

Blisko Filharmonii znajduje się Akademia Muzyczna, Zespół Szkół Muzycznych im. A. Rubinsteina a także Park im. Kochanowskiego. Szwalbe połączył wszystkie te obiekty w kompleks Dzielnicy Muzycznej. Wokół gmachu Filharmonii i w parku ustawił pomniki kompozytorów – zgodnie ze swym zamierzeniem, aby Filharmonia wkomponowana była w cały świat sztuki. Wewnątrz obrasta ona z jego inicjatywy w gobeliny, zbiór starych fortepianów, kameralną rzeźbę portretową, obrazy.

* * *

– Co jest dla Pana źródłem siły?

– *Na pewno życie rodzinne. Zgiełk codzienności dociera do mnie tylko poprzez ściany mojego domu, Tu znajduję oparcie, ochronę, zrozumienie. Bez przesady mogę stwierdzić, że mam dom taki, jaki sobie wymarzyłem, życie rodzinne dostarcza mi gros ludzkich doznań, mało zżyty jestem ze środowiskiem i choć cenię teatr, muzykę, plastykę – nie czuję się uczestnikiem życia środowiskowego.*

Wielkim ukojeniem jest dla mnie przyroda, zwłaszcza morze i las. Zrozumieć las, jego melodię, muzykę ptactwa i innych zwierząt – to pomaga w myśleniu. Ogromnie kocham chmury, nieboskłon, architekturę obłoków – dają mi poczucie oddechu...

(Fragment rozmowy z 1987 r.)

* * *

Kolekcja zabytkowych fortepianów liczy sobie około 60 eksponatów. Zaczął je Szwalbe gromadzić w odpowiedzi na apel Ośrodka Dokumentacji Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki, a kupował za tanie pieniądze wówczas, gdy u nas, w przeciwieństwie do Zachodu, nie było jeszcze mody na stare instrumenty, zawadzały ludziom w ciasnych mieszkaniach, często wyrzucano je, były nawet wypadki porąbania.

Jaki cel przyświecał twórcy kolekcji?

Posłuchajmy Szwalbego: „Przystępując w 1977 i 1978 roku do gromadzenia kolekcji XVIII- i XIX-wiecznych fortepianów, mieliśmy na względzie zarazem cele poznawcze i estetyczne. Słuchaczom koncertów, a przede wszystkim młodzieży akademickiej z Akademii Muzycznej, nasz zbiór ma uzmysłwić ewolucję tego instrumentu w Polsce w szerszym, europejskim tle porównawczym. Przy przeprowadzeniu odpowiedniego remontu konserwatorskiego i przywrócenia im w miarę autentycznego brzmienia, stare fortepiany, pochodzące z kolejnych okresów historycznych, stworzą okazję do porównań nie tylko odmiennej szaty zewnętrznej i ustroju mechanicznego, lecz przede wszystkim różnych właściwości dźwiękowych i artykulacyjnych. Staramy się tak kompletować kolekcję, by, o ile to możliwe, zaprezentowała większość rodzimych firm i zarazem wszelkie odmiany rozwiązań technicznych, które stanowią o walorach artystycznych instrumentu. (...). Pierwsza jest więc korzyść estetyczna, jaką odnosimy zawsze z kontaktu z pięknymi przedmiotami, a następne są położone głębiej: otóż przewidujemy, że na odrestaurowanych fortepianach pianiści będą mogli wypróbować literaturę pochodzącą z tych samych, co instrumenty, czasów. Tu ujawnią się ich wszelkie możliwości technicz-

ne, z drugiej zaś strony zapewne zrodzą się nowe pomysły interpretacyjne, jak zawsze wtedy, gdy odwołujemy się do dawnych instrumentów, by ukazać muzykę minionych czasów w autentycznej aurze. Już przeto z założenia kolekcja nie ma być tworem *sensu stricto* muzealnym, lecz żywym laboratorium muzycznym (...)

(B. Vogel: *Kolekcja zabytkowych fortepianów Filharmonii Pomorskiej*, Bydgoszcz 1980)

* * *

Z kolei zbiór współczesnej rzeźby kameralnej – to kilkadziesiąt prac dłuta naszych największych twórców (Kuna, Zbrożyna, Konieczny, Chromy, Słonina i inni), a kolekcja współczesnych gobelinów, wykonywanych na zamówienie Szwalbego, według jego scenariusza, przydaje Filharmonii ponadczasowego piękna, a jednocześnie wiąże ją z tradycją narodową. Wykonywali je najwybitniejsi polscy twórcy: Brzozowski, Bereźnicki, prof. Wnukowa.

Ta unikalna kolekcja gobelinów ceniona jest w świecie. W 1992 roku była w Sewilli na wystawie Expo'92.

* * *

Właściwie – zauważył kiedyś z uśmiechem – panie były winne, że zajął się Ostromeckiem. Sprawa wynikała z protestu pań, iż w gmachu Filharmonii nie mogą dotrzeć do luster, zastawionych przez stare fortepiany. Postanowił część kolekcji umieścić gdzieś blisko Bydgoszczy. Akurat szkoła i ośrodek niewidomych wyprowadził się z ostromeckiego pałacu, zwanego „Starym”, a konserwator zabytków wyraził zgodę na rewaloryzację według wizji Szwalbego.

Ale głębsza prawda była taka, że wychowany w Warszawie, w bliskim kontakcie z Łazienkami i Wilanowem, postanowił sobie, że Ostromecko, leżące po drugiej stronie Wisły, będzie dla Bydgoszczy tym, czym Wilanów dla Warszawy. Oczywiście, po prawidłowej renowacji i zago-

spodarowaniu. W tym celu powołał Fundację Ostromecką, która – liczył – pozwoli przywrócić zabytkowy ośrodek kulturze narodowej. Kłaniają się tu trzy epoki: barok, rokoko, klasycyzm, a Pałac Stary stoi na gruncie średniowiecznego grodu obronnego. Przez całe swoje dzieje Ostromecko było w rękach polskich (Ostromeccy, Dorpowsy, Mostowscy, Schönbornowie), jedynie ostatnie 50 lat przed wojną władali nim Alvenslebenowie. Jednym słowem, ten piękny kompleks zabytkowy, usytuowany malowniczo nad Wisłą, z XIX-wiecznym parkiem krajobrazowym, stanowić może ciekawą lekcję historii Polski, a Bydgoszcz zawładnąwszy tym ośrodkiem po raz pierwszy przekroczy Wisłę i stanie się naprawdę nadwiślańskim miastem.

Filharmonia została właścicielem Starego Pałacu, by realizować Szwabego wizję przyszłości, odsuwając ją czasowo ze względu na remont. A ta wizja to: koncerty kameralne, spektakle operowe, kolekcje malarstwa współczesnego i rzeźby, zbiór zabytkowych fortepianów, biblioteka z dziełami, traktującymi o sztukach pięknych. Długo trwa kosztowny remont, ale być może stać województwo na zrealizowanie pełnej wizji niepoprawnego Demiurga bydgoskiej kultury – i Ostromecko stanie się ważnym ośrodkiem tej kultury.

(K. Starczak-Kozłowska, 1998)

* * *

– Moja dewiza – nie sądzić. To ma w gruncie rzeczy wiele wspólnego z higieną psychiczną: żyć bym nie mógł w atmosferze zagrożenia czyjąś złością czy niechęcią. Robię wtedy wszystko, by się pojednać, nie przedsiębrać kontrakcji.

Może dlatego, że nie jestem nastawiony na działalność obronną, lecz zdobywczą. Przecież postawa twórcza wymaga swobody, a nie mogą jej mieć uwikłany myślowo w jakieś spory czy zawiści. One muszą być niwelowane – obrócone w nową energię – wtedy można działać. A może taka moja postawa wynika nie tylko z wyższych uczuć, związana jest też z wygodą, a także ze swoistą chytrnością: oczyścić przedpole, wrogości związać ręce.

Zawsze byłem o tyle w mej postawie konsekwentny, że sam wychodziłem z inicjatywą nawiązania przyjacielskich kontaktów.

– A gdy ktoś działał przeciwko Panu w sposób bezwzględny?

– Wrogowie? Miałem ich w początkach działalności. Teraz nie dostrzegam. Są to po prostu ludzie, którzy mają inne zdanie niż ja i którym w pełni przyznaję suwerenność. Jeśli napotykam w działaniu na opór ludzki – to na tej płaszczyźnie, w imię idei, go przezwyciężam. Wiele uwagi poświęciłem zapobieganiu, wykazując w tym – przyznaję – dużą zręczność. Bo przecież chodziło o to, aby cel osiągnąć. Na pewno jest to element siły przebiccia.

* * *

Rzucony 20 lat temu przez znanego pisarza i dziennikarza, Jerzego Sulimę-Kamińskiego, autora znaczącej książki o Bydgoszczy pt. *Most Królowej Jadwigi*, pomysł odbudowy zburzonej w 1940 roku przez niemieckiego okupanta pierzei zachodniej Starego Rynku – w 1990 roku wydobył z zapomnienia wiceprezydent miasta, poeta, Stefan Pastuszewski, powołując Społeczny Komitet Rekonstrukcji Zachodniej Pierzei. Szwalbe był od początku, jeszcze jako dyrektor Filharmonii, entuzjastą tego projektu:

– *Mysł, która w związku z projektem odbudowy pierzei zachodniej Starego Rynku przyświecała mi przez długie lata, była taka: Bydgoszcz ma dwie dusze. Ma duszę królewsko-starościńską i fryderycjańsko-regencyjną. Mieszkańcy miasta powinni wykazać więcej dbałości o to, aby starsze chronologicznie tradycje królewsko-starościńskie nie zniknęły. Zburzony w czasie okupacji kościół pojezuicki symbolizował tradycje I Rzeczypospolitej. Były to jednocześnie tradycje wielkomijskie Bydgoszczy, gdyż kościół ten wraz z kolegium jezuickim promował Bydgoszcz już w XVII wieku do rzędu miast wielkich. Jeśli obecnie stroimy metropolię bydgoską, to musimy odwołać się do okresu wielkości miasta w tamtych odległych czasach, gdyż ma to niemałe znaczenie historyczne i narodowe.*

Kościół mógłby być pięknym przykładem kościoła świeckiego, czyli budowli mającej charakter świątyni, przeznaczonej na cele głębokiej kultury duchowej. Są takie przykłady na świecie, chociażby przepiękna La Sagrada Família

Gaudiego w Barcelonie. Instalując tam dobre organy, można urządzić pierwszorzędne recitale organowe.

(Wypowiedź zamieszczona w artykule K. Sidorkiewicza *Przywrócić miastu duszę*, IKP, 24.01.1997 r.)

* * *

W Bydgoszczy co pewien czas wyłania się z przeszłości obiekt świadczący o tym, że było to miasto bogate, wytworne, rezydencjonalne. Andrzej Szwalbe w 1995 roku zainaugurował spotkania muzyczne w Domu Polskim w sali im. Karola Szymanowskiego, po generalnym remoncie, dokonanym przez ADM.

Warto dodać, że z inicjatywy Szwalbego ta sala została nazwana imieniem wielkiego kompozytora. Będąc jeszcze wówczas dyrektorem Filharmonii Pomorskiej, zachwycał się Szwalbe domem numer 1 przy ulicy Śniadeckich, gdzie po wyzwoleniu Bydgoszczy w 1921 roku ulokował się Klub Polski i gdzie koncertował Karol Szymanowski, który w Bydgoszczy spędzi rok, mieszkając u siostry i nadając w tym czasie ostateczny kształt „Słowopiewniom”, pracując nad „Królem Rogerem”. Tu, w Klubie Polskim, było miejsce spotkań bydgoskiej inteligencji, goszczono m.in. Leona Wyczółkowskiego, Józefa Weyssenhoffa, Adama Grzymałę-Siedleckiego, Boya-Zeleńskiego, Ludwika Solskiego, Stanisława Przybyszewskiego.

– *Pobyt w Bydgoszczy Karola Szymanowskiego – powiedział Andrzej Szwalbe – to jedna z największych tradycji, na jaką może powołać się kultura miasta, obok związków z Leonem Wyczółkowskim. Częstka twórczości kompozytora należy do Bydgoszczy.*

Sugestie i przewidywania Szwalbego, jak zwykle, się sprawdziły: pięknie odrestaurowany Dom Polski (obecnie siedziba ADM) odzyskał swą dawną rangę i dziś znowu przyciąga bydgoszczan zatroskanych o perspektywy rozwoju kultury miasta w niełatwych warunkach raczkującego kapitalizmu. Co miesiąc pod wodzą Marka Pietrzaka, prezesa Fundacji na Rzecz Utworzenia Uniwersytetu w Bydgoszczy oraz Stefana Pastuszewskiego, odbywają się tam spotkania ludzi biznesu z ludźmi kultury, pn. „Pracować

nad Bydgoszczą”. Współorganizatorem jest redakcja miesięcznika literackiego „Akant”, a stałym sponsorem towarzyszących tej imprezie koncertów – Edmund Zajdlewicz.

* * *

– *Mówię o tym w wywiadzie po raz pierwszy, ale właśnie teraz, gdy coraz częściej to moje życie staje mi przed oczami i domaga się rachunku sumienia – ja coraz częściej mam wrażenie, że za rzadko w tym życiu mówiłem o tych wszystkich, którzy byli moimi skrzydłami we wszelkim działaniu. Za rzadko mówiłem o tym, że Aleksander Schmidt był znakomitym i mądrym gospodarzem, (...) a Wincenty Domisz był świetnym, pełnym troski i poczucia odpowiedzialności prezydentem miasta. Za mało wspominałem o pomocy skromnego człowieka, jakim był Tadeusz Szarewski w resorcie kultury. On rozumiał moje plany i swoim podpisem niejako żyrował wszystkie moje szaleńcze na tamte czasy posunięcia. Za rzadko też mówiłem, że Barbara Raŭa zachęcała mnie do tego, żebym rozwijał kolekcję rzeźby. (...).*

Dziś natomiast ktoś powie, że stoję po drugiej stronie barykady (...). Teraz, gdy wiodę już żywot emeryta, który nie chce i nie potrafi żyć obok. Jak mam tych ludzi dzielić? Tu nie ma dla mnie żadnej barykady. Byłbym przecież nieuczciwy, gdybym chciał teraz cokolwiek wymazywać z mojej pamięci. Dla mnie przez całe życie dobry był ten, kto sprzyjał polskiej kulturze. Mam nadzieję, że gdy z tym całym bagażem życia przyjdzie mi stanąć przed obliczem Sędziego Najwyższego i wyjaśniać to wszystko – jakoś na tym egzaminie uda mi się przecisnąć.

(Fragment wywiadu ze Szwalbem pt. *Moje skrzydła*, przeprowadzonego przez M.K. Jankowiaka, „Dziennik Wieczorny” z dn. 29-31.05.1998 r.)

„Naród sobie”

– I jeszcze na koniec jedno: geneza owego wybranego przez Pana napisu na gmachu Filharmonii „Naród sobie”.

– *Zdarzało się dziewiętnastowiecznym fundatorom obiektów użyteczności kulturalnej darować w elewacji teatrów, sal koncertowych, taki właśnie napis. Mieli oni zapewne na uwadze wydzwięk patriotyczny rzuconego w ten sposób hasła, bo działało się to głównie w drugiej połowie, czy pod koniec ubiegłego stulecia, gdy nastroje narodowe w Czechach, czy w Polsce wyrażnie się wzmagaly i zapowiadały rewindykacje utraconej niepodległości. Zbliżała się, coraz bardziej odczuwalna w nastrojach społecznych, zawierucha I wojny światowej.*

Ze taki był początek moich rozmyślań nad rzeczoną inskrypcją w westybulu parterowym, nad portalem przejścia do sali kameralnej Filharmonii, nad monumentalną głową granitową Alfonsa Karnego, nie zaprzeczam. Dzisiaj wszakże, w rosnącej perspektywie czasu od tamtych burzliwych lat, myślę również i o innych, stopniowo ujawniających się w dziewiętnastowiecznej formule treściach, jakie ona z sobą implicite wnosi! Oto wydaje mi się, że tak właśnie powinno brzmieć zaproszenie do przybytku muz. To nie kto inny, jak Suweren, czyli Naród, który jest samoświadomy swej miłości do Piękna, przezierającej przezeń Prawdy, a w tym związku, nierozzerwalnym przecie: Dobra – otwiera przed każdym podwoje domostwa wszelkich prawdziwych wartości – bo nie tylko muzyki – i pragnie ugościć w swych murach najliczniejszych przybyszy – kogo?

Ano naród właśnie, czyli samego w najmniejszych choćby przedstawicielach, aż do najbardziej rafinowanych estetów, tak jak to z narodem bywa. To garnie się do drzwi po prostu naród zgodnie z ludową, a więc najszerszą manierą nazywania rzeczy po imieniu, jak na przykład owo wezwanie: „narodzie chrześcijański”, jakie odwołuje się do wyznawców określonej wiary. Tą wiarą, jedno-

czącą wszystkich, przybywających do progów Filharmonii jest wiara w Piękno (a co za tym idzie: Prawdę i Dobro).

Wyznam na koniec, że właściwie tylko z takim narodem chciało mi się od lat już wielu przebywać, coraz mniej zdolnemu unosić się nad innymi właściwościami swojskości. A przecież pozostawałem zawsze mu wierny – temu samemu, co na początku, tylko o tę odrobinę odmienionemu.

Ja i filozofia po zakończeniu wojny.

O sumieniu

– *Moje zamiatowania filozoficzne, rozniecone lekturą „Dialogów” Platona (w tłumaczeniu Witwickiego, pięknie wydane przez Mortkowicza) zachowałem w sobie w czasie studiów i po wojnie, aż do dziś. Zawsze bardzo ważny był dla mnie Stefan Swieżawski z dawnej ekipy „Tygodnika Powszechnego”, znakomity filozof, wykładowca na KUL-u, który otrzymał Nagrodę Państwową za pięciotomowe dzieło na temat filozofii XIV i XV wieku, przełomu średniowiecza i renesansu pt. „Dzieje europejskiej filozofii klasycznej”. Jest to niewątpliwie dzieło o wadze europejskiej. Będąc po wojnie asystentem na UMK spotkałem się z wydaną wcześniej, mianowicie w 1948 roku, ogromnie interesującą pracą profesora, pt. „Byt – główne zagadnienia metafizyki tomistycznej”. Ta książka również i obudzone zainteresowanie tomizmem, towarzyszy mi do dziś. Wierny jestem św. Tomaszowi, który ze zdroworozsądkowego spojrzenia na rzeczywistość wywodzi tę prawdę, że w stworzonym przez Boga świecie jest miejsce na podmiot – istotę ludzką z jej poznaniem, pełnym ciekawości i dla świata. Odpowiada mi Tomaszowe pytanie o miejsce, jakie w obiektywnej hierarchii bytu zajmuje człowiek. Rezygnacja albo bunt przeciw temu wyznaczonemu przez Boga, ważnemu przecież miejscu, popycha człowieka do przeżywania trwogi i zamieszania. Słusznie twierdzi św. Tomasz, że akceptacja harmoniczności natury i miejsca człowieka w świecie jest wyrazem zaufania do mądrości i dobroci Stwórcy, kluczem do odczucia ładu rzeczywistości.*

Od lat jestem systematycznym czytelnikiem „Studiów Filozoficznych”, „Przeгляdu Filozoficznego”, „Znaku”. Miałem oczywiście czas na gruntowne przeczytanie „Bycia i czasu” Martina Heideggera, ale nic z tych lektur nie zaćmiło dominującej sylwetki św. Tomasza nad moim życiem intelektualnym.

Później przyszło dalsze zainteresowanie filozofią mediewistyczną, czyli mówiącą o wiekach średnich, na podstawie różnych monografii – zwłaszcza czytałem literaturę francuską, dotyczącą filozofii i literatury średniowiecza. Żeby z tych filozoficznych zainteresowań podać jakieś fakty i fankiki, związane z moim ówczesnym życiem, przypomnę rok 1950. Wyszedt wówczas III tom „Historii filozofii” Władysława Tatarkiewicza, a ja byłem aktualnie starszym asystentem na Wydziale Prawa UMK, a w roku akademickim 1950/51 – ówym nieszczęsnym kierownikiem Działu Kadr UMK. Pozostawałem wówczas w pewnej, trochę na interes obliczonej, komitywie ze znakomitym filozofem, prof. Tadeuszem Czeżowskim. Oczywiście słowo „komitywa” użyte jest bardzo na wyrost – jakże ja, skromny asystent, mogłem być w komitywie z tak wielkim profesorem! Niemniej prof. Czeżowski przypuścił mnie do swej komitywy, wyciągając „spod lady” III tom Tatarkiewicza i dostarczając mi go. A wówczas dzieło Tatarkiewicza zastrzeżone było przez komunistyczne władze „tylko do służbowego użytku”. – Spodziewam się dochowania dyskrecji – zaznaczył profesor, a ja pełen uwagi, przyrzekłem mu ją. I tak już w 1951 roku wszedłem w posiadanie wielkiego dzieła Tatarkiewicza: „Historii filozofii”.

Później, przyznaje, na samego prof. Tatarkiewicza zagiął parol w upartym dążeniu, by Bydgoszcz i ukochana Filharmonia mogły cieszyć się sesją naukową na najwyższym poziomie. Zamykając powoli organizację Akademii Muzycznej, w kwietniu 1979 urządził w Bydgoszczy wielką sesję pt. „Humanistyka a edukacja muzyczna” – bo, jak wiadomo, dla Andrzeja Szwalbego najważniejsze są wartości humanistyczne. Gdyby mógł, oparłby na nich byt ludzkości i organizację państwa. Bez nich nie mogłaby się odbyć żadna jego działalność, także ta dotycząca uczelni muzycznej, która rok później otrzymała rektorat i tytuł Akademii Muzycznej.

Pojechał więc do prof. Tatarkiewicza do Warszawy, a tam na ulicę Baga-tela, gdzie w jednej z kamienic na trzecim piętrze mieszkał – on, naukowiec i człowiek wielkiego formatu, wówczas już staruszek. Był dla Szwalbego niezwykle uprzejmy i z miejsca zaakceptował jego propozycję wygłoszenia referatu o Pięknie. Poczul pan Andrzej wówczas radość wypełniającą go całego – to była bardzo szczęśliwa chwila w jego życiu, jedna z tych, których się nigdy nie zapomni...

Profesor nie był już w stanie, ze względu na zdrowie, sam wygłosić referatu, ale napisał go, jak przyrzekł – i był on odczytany na wspomnianej sesji, która spełniła wszystkie nadzieje i oczekiwania. Nie zabrakło podczas obrad takich ludzi, jak prof. Konrad Górski czy prof. Czesław Zgorzelski. Nie trzeba dodawać, że Szwalbe zorganizował co niemiara sesji naukowych wraz z Eleonorą Harendarską – ale z tej jest do dziś dumny, bo taki zestaw świetlanych nazwisk z historii naszej humanistyki szedł w parze z omawianiem tematów zasadniczych, ważnych dla polskiej kultury.

– Profesorowi Tatarkiewiczowi jestem jeszcze osobiście wdzięczny za jedno: to on wydzwignął Łazienki na naczelne miejsce w polskim umiłowaniu sztuki. Dziś każdy, kto kocha polską kulturę – stawia Łazienki bardzo wysoko, a zawdzięcza to właśnie Profesorowi, który zafascynowany urodą i niepowtarzalnością Łazienek, w wielu pracach podkreślał ich znaczenie i wybitne walory estetyczne.

Jest też Profesor autorem wspaniałej książki „O szczęściu”, ale to oddzielne zagadnienie, o którym podyskutujemy przy innej okazji.

* * *

– To może porozmawiajmy dziś o sumieniu.

– Uznając interwencję Opatrzności w nasze życie, zgadzam się z Jaspersem, że to, co podpowiada nam Bóg, jest tak ciche, szare, pozornie nieefektywne. My oczekiwaliśmy raczej niemal wycia syreny – żeby wyrwała nas z tego ciągu losowego, w którym tak nieopatrznie tkwimy – a tu rozlega się w głębi naszej duszy jakiś cichy głosik, nieważne z pozoru zdanko, szyfr niemal, że nie tak, nie tędy droga, że trzeba pomyśleć, zaniechać, nie zatriumfować. Myśl czy zdanko niepozorne, a tak ważne, jak w dziele muzycznym dwudźwięk wyjściowy. A tak się da z tego zdania a priori snuć myśl, tak ją kształtować, że drzewo mądrości może z niego wyrosnąć. I to jest nasze sumienie. Mądrość to sztuka podchwycenia tego najcichszego z głosów.

Przypominają się słowa Pisma św. o tym, że Bóg przychodzi w lekkim powiewie wiatru. Na pewno nie przychodzi, jak na barokowym obrazie, gdzie sądzi kategorię wśród obłoków. Jest On, moim zdaniem, we wszystkim, co

stworzone, jak iskra niezbywalna. I taki potrafi być skromny! To wielki fenomen sumienia, iż tak delikatnie potrafi nam ono podszeptywać właściwą drogę.

Nie ustyszałem wówczas, gdy wstępowałem do partii, owego głosu. Tak, na błędach też się nauczyłem i na pewno winna jest ludzka tendencja do odrzucania przez pamięć tego co bolesne, że Pani dziś o tym szczegółowo nie mówię. Winna jest kruchość pamięci w ogóle i to, że zasypywana jest ona przez różne warstwy bieżącego czasu. I tak zacierają się przeszłość.

Były w moim życiu wahania, nawroty, próby naprawy. Nie nabierały może wymiarów utrwalonych, tak namacalnych, żeby teraz poświęcać im uwagę. Szedłem, jak Pani powiedziała, naprzód, ale zawsze od nowa czyniłem rachunek, korygowałem, co możliwe. I to pozostało mi do dziś. Bezsilny stoję wobec spowiedzi z życia. Potrafię się zdobyć na jakże wybiórcze opowiedzenie kilku zdarzeń zaledwie, a tyle było rozmaitych, zróżnicowanych, trudnych spraw. W takiej rozmowie wydają się zdawkowy, a przecież ileż więcej opowiadam Bogu podczas codziennych spacerów i On to cierpliwie wysłuchuje. Mam świadomość, że jeśli zechciał do mnie przemówić szyfrem, nie zawsze odpowiednio nakłaniałem myśli. Wiem, że logika wiary zbudowana między innymi jest na uznaniu winy, ale zawsze obawiam się sptyczenia, i nie mogę przecież zanudzać nikogo swymi wahaniem, które Bóg tak cierpliwie znosi, gdy z Nim rozmawiam.

Tak, były w moim życiu wahania, odejścia, może sprzeniewierzenia, ale nie mówię, że przestawałem być wierny sobie, bo zawsze starałem się być wierny zasadom obiektywnym, chociaż, jak każdy człowiek, mogłem być chwilami relatywny. Mówi Pani, że egzystencjalizm uznawał wierność sobie za naczelne wskazanie człowieka – ale z tego nie da się uczynić miary. Tak wzbierająca fala chwały dla swego „Ja” mi nie odpowiada.

Już bardziej odpowiada mi średniowieczne pojęcie, że człowiek jest istotą „marną i nikczemną”, co w ówczesnym języku znaczyło po prostu: małą. A tu XX-wieczna pycha każe człowiekowi na każdym kroku konstatować swoją wielkość. Pycha, której na imię liberalizm. Powiem Pani wprost, że średniowiecze po prostu kocham, choć nie mniej kocham oświecenie. Moje ukochane średniowiecze – to tamtejsze wspaniałe uniwersytety, wielka scholastyka, wymiary abstrakcyjne, oderwane od nieszczęsnej materii jako ostatecznej instancji

i miary. W tym okresie zaczął się przecież bieg myśli ludzkiej ku tym bytom wysokim.

Kocham zwłaszcza późne średniowiecze i człowieka przelomu – Erazma z Rotterdamu. Myślę, że Bóg dał nam taskę największą i najpiękniejszą – rozum. Prawdziwa mądrość musi być jednak pokorna, inaczej jest w swojej konstrukcji chybiona i całość może się zachwiać. Wbrew pozorom pokora dobrze idzie w parze z myśleniem abstrakcyjnym, śmiałym, wystawionym na ryzyko. Nie trzeba wówczas bać się błędu i konieczności przebudowywania swych wcześniejszych ustaleń.

Człowiek wzbrania się przed trudem zawalenia myślenia przez błąd. Wtedy od nowa trzeba budować coś, co wydaje się sprzeczne z naszym dotychczasowym wysiłkiem. Należy się po prostu wycofać. A przeciwdziała temu pycha i nie tylko – bo to po prostu trud, ciężka praca, zaczynać wszystko od nowa, żeby się zgadzało. Nie dziwię się, że niektórzy nie mają na to siły i brną dalej w utartym myśleniu. Bo myślenie jest pracą bardzo ciężką, niosącą wielkie zmęczenie. Pani wie, jakie zmęczenie towarzyszy nieraz pisaniu, które jest przecież wielkim wysiłkiem myślenia – trudno się potem odreagować. Ale to dotyczy tylko serii artykułów czy jednej książki. A tu trzeba nieraz całe etapy życia przebudować. Wówczas nawet samo dojście do tego postanowienia bardzo jest wzbogacające, z czego wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy i popadają w rozpacz. A przecież już z każdego kolejnego kroku rozpościerają się nowe perspektywy, nowe spojrzenia...

Co nosimy w sobie...? Inni o Szwalbem

Właściwie nie odszedł nigdy...

Rozmawiam z Eleonorą Harendarską, dyrektorem Filharmonii Pomorskiej – jest rok 1997:

– Wiem, że babcia wychowała Cię życiowo, a Andrzej Szwalbe – zawodowo?

– *W całym tego słowa znaczeniu. To on ściągnął mnie z V roku studiów muzykologicznych w Warszawie – do Bydgoszczy, przez wiele lat edukował, wta jemniczając w arkana sztuki kierowania tą instytucją. Twarda to była szkoła, bo Szwalbe był bardzo wymagający przede wszystkim od siebie, ale od innych też. Stanowił dla nas niedościgniony wzór. Pokazał nam, co znaczy wiedza i prawość, a także skromność. Uczył nas w życiu iść na całość, poświęcić się sprawie bez reszty. Nie uznawał działań cząstkowych. Powtarzał: nic w życiu nie jest za darmo. I rzeczywiście cenę każdy z nas zapłacił dużą. On zapłacił zdrowiem. Ale wszystko, co poczęło się w bydgoskiej kulturze w ciągu pięćdziesięciolecia powojennego, miało zwiqzek z nim: Filharmonia, BWA, BTN, Akademia Muzyczna, Opera...*

– On postawił na Ciebie jako kontynuatorkę działania Filharmonii...

– *Filharmonię stworzył potężną, „obudowaną”, jeśli tak można się wyrazić, tyloma dziedzinami sztuki, że jest to ewenement w skali krajowej – bo i cenna kolekcja starych fortepianów, zbiór gobelinów i kolekcja współczesnego malarstwa, rzeźby. Jeden człowiek, a działał jak cała instytucja. Decyzja o odejściu należała tylko do niego. Właściwie nie odszedł nigdy: Filharmonia ma dwóch dyrektorów – udało mi się załatwić mu, przez wojewodę, tytuł Honorowego Dyrektora Filharmonii. Dalej mam w nim oparcie zawodowe, ciągle jest ze mną, choć fizycznie nieobecny.*

– Jak dziś rozumiesz kontynuowanie dzieła Szwalbego w kierowaniu tą placówką?

– *Sytuacja zmieniła się na tyle, że dziś już nie musi Filharmonia inspirować działań nie związanych z muzyką. Szwalbe stworzył znakomitą bazę – wystarczy to dziedzictwo odpowiednio wykorzystywać. Wspnianym zapleczem dla Filharmonii jest powołana przez niego do życia Akademia Muzyczna, gdzie wykładają wybitni pedagodzy, m.in. Jerzy Godziszewski, Tatiana Szabanowa, Jadwiga Kaliszewska.*

– Jesteście coraz bardziej partnerem europejskim, jeśli idzie o muzykę. Mam tu na myśli nie tylko obrosły tradycją Festiwal Musica Antiqua Europae Orientalis, towarzyszące mu międzynarodowe kongresy muzykologiczne, ale i Bydgoskie Festiwale Muzyczne.

– *Poczynając od 1992 roku, festiwalom przyświeca hasło integracji Europy w muzyce – i myśl przewodnia ubiegłoroczna wrześnieowego Bydgoskiego Festiwalu Muzycznego brzmiała: „Środkowoeuropejskie zbliżenia muzyczne”. Zaproszeni przez nas artyści z Rosji, Ukrainy, Słowacji, Niemiec i Polski wykonali dzieła rodzimych twórców, potwierdzając tezę o jedności spuścizny kulturowej naszego kontynentu.*

– Z okazji przypadającej w 1998 roku 65. rocznicy urodzin Henryka Mikołaja Góreckiego – 36. edycję Festiwalu dedykowaliście szczególnie twórczości tego wielkiego kompozytora, który wraz z córką, utalentowaną pianistką, Anną Górecką, wystąpił podczas wieczoru kompozytorskiego.

– *Warto dodać, że Górecki – jeden z najwybitniejszych współczesnych kompozytorów polskich i największych twórców muzyki religijnej w naszym stuleciu, wspniany człowiek i prawdziwy Europejczyk – związany jest z Bydgoszczą i naszą instytucją w sposób szczególny. Bywał jej częstym gościem, jego muzyka nieraz rozbrzmiewała w naszych salach, zaś utwór „Miserere” autor zadedykował dramatycznym wydarzeniom Bydgoskiego Marca 81.*

Te wieloletnie więzi zaowocowały również utrwalonym w brązie przez Jana Kucza wizerunkiem artysty, wzbogacającym filharmoniczną Galerię Portretu Rzeźbiarskiego Kompozytorów Polskich – kolekcję jedyną w swoim rodzaju, unikatową.

– Festiwalowi towarzyszyła też, w ramach integracji sztuk, wystawa rzeźby „Wędrowców” Michała Kubiaka. Ale wróćmy do idei jedności Europy. W ubiegłym roku XI Międzynarodowy Festiwal Musica Antiqua odbywał się w Filharmonii Pomorskiej pod hasłem: „In omaggio santistimus Polonarum Patronus Albertus” – z racji millenium św. Wojciecha.

– *Ten misjonarz, biskup Pragi, urodzony w Niemczech, benedyktyn klasztoru w Rzymie, pielgrzymujący na Węgry i do Francji, by po męczeńskiej śmierci spocząć w Gnieźnie – wniósł wielki wkład w budowę jedności naszego kontynentu i dziś w oczach współczesnych Europejczyków uchodzi za promotora idei integracji Europy.*

– Z krajów, gdzie przebywał on z misją, wystąpiły czołowe zespoły muzyki dawnej. Każdy koncert zagranicznego zespołu odbywał się pod patronatem ambasadorów danego kraju. Festiwalowi towarzyszyła, jak zwykle, międzynarodowa konferencja muzykologiczna, w której wzięli udział wybitni naukowcy z największych ośrodków naukowych świata. Czy pracujecie już nad programem następnej edycji MAEO?

– *Teraz jesteśmy w przededniu kolejnej ważnej edycji MAEO: w roku 2000 odbędzie się XIII Festiwal pod hasłem: „Dwa tysiące lat Kościoła chrześcijańskiego”, poświęcony muzyce Kościoła zachodniego i wschodniego – od początków muzyki chrześcijańskiej, reprezentowanej przez muzykę koptyjską, po XX wiek. Zakończymy nim działalność MAEO i będzie to swoista klamra, która zepnie całość, bo I Festiwal, jak pamiętamy, związany był z 1000-leciem państwa polskiego.*

– Filharmonia, najpiękniej jak można, realizuje hasło integracji Europy, a właściwie i świata w muzyce.

– *Myszę, że Polska nie musi wchodzić do Europy, bo w niej jest, może nie tyle gospodarczo, ale pod względem kultury na pewno tak.*

– Kieruje Pani Filharmonią, niewiele mniejszą od tej narodowej, uznaną przez Ministerstwo Kultury i Sztuki za instytucję o szczególnym znaczeniu dla kultury narodowej.

– *Miło mieć taką opinię, ale od strony finansowej nic to nie daje.*

– Na czym polega to szczególne znaczenie bydgoskiej Filharmonii?

– *Intelektualny potencjał, wysoki profesjonalizm, zgromadzone środki techniczne oraz geograficzne położenie – to czynniki narzucające odpowiednie*

działania. Jesteśmy instytucją kulturalną, ale i kulturotwórczą, ambitną, liczącą się, stąd też nasz obowiązek emanacji poza region. Każdego tygodnia ekipy Filharmonii wyjeżdżają na tereny dotychczasowych województw: pińskiego, wrocławskiego, na obrzeża gdańskiego i bydgoskiego i właśnie tam realizujemy rocznie około 600 edukacyjnych audycji szkolnych.

– Gdy mowa o pozycji Filharmonii, warto przytoczyć słowa ówczesnego podsekretarza stanu Ministerstwa Kultury i Sztuki, Piotra Łukasiewicza z 1992 roku, który koncert muzyki polskiej, przygotowany z okazji 45-lecia Filharmonii bydgoskiej siłami tutejszej Orkiestry Symfonicznej i chóru zaliczył do największych osiągnięć w kulturze polskiej w owym roku.

– *Na taką opinię pracuje się latami. Staramy się każdy program artystyczny dać na właściwym poziomie. Zapraszamy najwybitniejszych artystów: Jerzego Maksymiuka, Jerzego Katlewicza, Kevina Mc Kutcheona, Jerzego Swobodę, Jana Krenza, Tadeusza Wojciechowskiego. Marek Pijarowski jest naszym stałym dyrygentem, aktualnym szefem orkiestry jest wybitny dyrygent ukraiński, Roman Kofman, a Capelli – Daniel Stabrawa, koncertmistrz Filharmoników Berlińskich. Doszliśmy do sytuacji, że dzwoniли do nas soliści z całej Polski z zapytaniem, czy mogliby wystąpić. Czasami odmawiamy, nie tolerujemy programów ulgowych.*

– Czasy są trudne, ale...

– *Wierzę w poprawę sytuacji. Wszystko powoli idzie ku lepszemu. Jesteśmy świadkami wielkiego procesu dziejowego, dopiero uczymy się demokracji. Niestety, część społeczeństwa kojarzy to sobie z anarchią. Tymczasem demokracja – to przede wszystkim odpowiedzialność za siebie i współpracowników, za swoje słowa i działania, za pracę. Do tej świadomości trzeba dorosnąć.*

– Pełne sale podczas koncertów, zasłuchana młodzież, soliści wyjeżdżający stąd, usatysfakcjonowani poziomem Orkiestry Symfonicznej. Chyba daleko zostawiliśmy za sobą słowo „prowincja”?

– *Prowincja ma miejsce wtedy, gdy myślimy prowincjonalnie, bez szerszych horyzontów. A to nie zależy od miejsca, w którym się mieszka ani w ogóle od warunków zewnętrznych, lecz od tego, co nosimy w sobie. Można być na przykład wspaniałym człowiekiem bez wykształcenia i prowincjuszem ducha z dwoma tytułami naukowymi.*

– Jesteś silnym człowiekiem, Eleonoro.

– *Rzecz w tym, że jestem kobietą, a wszystkie kobiety muszą być silne. Gdybyśmy były bezsilne, kto by opiekował się rodzinami, sprzątał, gotował, robił zakupy, rodził, wychowywał – pracując zawodowo.*

– Jeśli już jesteśmy przy kobiecości – to może koniec rozmowy będzie trochę lżejszy: jaki był Szwalbe na co dzień dla kobiet właśnie, kobiet-pracownic?

– *Nawet gdy sięgnę do początków mojej pracy w Filharmonii, pamiętam jedno: nie lubił kobiet zbyt zadbanych, zwracających szczególną uwagę na elegancję, robiących makijaż, malujących paznokcie. Kobieta-pracownica powinna być szara, nieefektywna. Widocznie uważał, że zadbana, młoda, umalowana sama nie może się skoncentrować i rozprasza innych pracowników. Pamiętam, gdy zaproponował mi pracę, umówił się ze mną w Warszawie, w Instytucie Kultury o godzinie 8.00. Byłam wówczas na V roku, mieszkalam w akademiku na Pradze, chodziło się spać późno i wstawało gdzieś o 11.00. Więc budziki poszły w ruch – nastawiły je moje koleżanki, nawet portierki. No i byłam punktualnie o 8.00. Zjawiłam się elegancka, w szpilkach, z umalowanymi paznokciami. Nie znał mnie wcześniej – i muszę przyznać, że na mój widok skrzywił się, grymas dezaprobaty pojawił się na jego twarzy.*

– A jednak Ciebie wybrał.

– *...jako bydgoszczankę. Zastanawiałam się wówczas, czy zostać w Warszawie, czy pójść do Bydgoszczy.*

– Chyba nie żałujesz?!

– *Absolutnie nie. A odnośnie spraw elegancji muszę Ci powiedzieć, że po latach Szwalbe w „temacie kobiecym” zmienił się nawet tak, że mówił do mnie: „Pani Eluniu, niech się pani umaluje”. Ale reprezentowałam wówczas Filharmonię jako tzw. sekretarz naukowy ds. festiwali i kongresów muzykologicznych. Zresztą wtedy zaczęły dorastać jego córki i one chyba nauczyły go, że zadbana kobieta w pracy to nic strasznego – bo wyraźnie topniał w swych ostrych poglądach na ten temat.*

– Inny zabawny incydent?

– *Moja wizyta u ks. prof. Feichta w związku z MAEO. Ksiądz profesor mieszkał przy kościele Świętego Krzyża w Warszawie. Specjalnie dla mnie za-*

wsze trzymał w biurku malagę. Nalał ją do kieliszków, ja zapaliłam papierosa – i wtedy wszedł Szwalbe. Gdy zobaczył kieliszki i dym papierosowy – nawet na mnie nie spojrzął, zignorował moją obecność, rozmawiał z ks. profesorem tak, jakby mnie nie było w pokoju. W ogóle w owym czasie był krewki – potrafił rzucić krzesłem.

Nie lubił też zmian otoczenia. Kiedyś, gdy wyjechał do Ciechocinka, sprawiliśmy mu nowy dywan i przemalowaliśmy biurko – był wręcz oburzony. Chodził zawsze ze starą, wytartą teczką, choć miał całą kolekcję nowych, wręczanych mu przeważnie z okazji imienin. No i ten notes, żółty ze starości, w którym każdy z nas miał swoją rubrykę. Szef wpisywał tam systematycznie nasze sprawy, a potem wymazywał, gdy traciły aktualność. Baliśmy się tego notesu, choć nie mieliśmy nawyku oszukiwania szefa. Kiedyś mu ten notes zginął – cieszyliśmy się wszyscy, że grzechy zostały nam zapomniane.

– Dyscyplina była duża.

– Tak, nie było łatwo. Ale dziś rozumiem, że była w tym metoda: dzięki temu mieliśmy efekty i wszystko było zawsze załatwione jak należy.

Ten Orzeł wróci!

Wspomina Ewa Grzybowska-Łukaszek, redaktor naczelna miesięcznika „Promocje”:

„W Andrzeju Szwalbem uderzała mnie zawsze jego niezwykła skromność. W gabinecie dyrektora Filharmonii stało od lat zniszczone sosnowe biurko i także niewygodne krzeselka. Za zasłoną widniały półki z dokumentacją i planami kolejnych jego poczynań. Ubożuchno jak w pokoiku referenta w jakimś biednym magistracie. Inne pokoje pracowników Filharmonii Pomorskiej były z biegiem lat ulepszone, modernizowane, jego – nie, bo nie życzył sobie zmiany wyposażenia. Dopiero gdy raz w pracy zasłabł, zgodził się, by wniesiono do gabinetu standardową kanapkę.

Pracowałam wiele lat w redakcji «Dziennika Wieczornego» i moim redaktorem naczelnym był Zbigniew Gapiński, człowiek, który do Szwalbego żywił ogromny szacunek i gorąco popierał jego wizję rozwoju Bydgoszczy. Byłam przez niego niejako «delegowana» do pisania o wszystkich zamierzeniach i dziełach Szwalbego. Tak było przez 18 lat. Dzwoniono do mnie z Filharmonii, że na przykład właśnie zawieszony zostanie jeden z ukończonych gobelinów – od razu biegłam tam z fotoreporterem i na zajutrz ukazywał się w «Dzienniku» artykuł. A w czwartki szła u nas cała kolumna poświęcona kulturze i poczynania Szwalbego często znajdowały tam wyraz.

Raz Dyrektor zaprosił mnie do swego mieszkania, by mi, jak stwierdził, coś ważnego opowiedzieć. Był akurat chory, ale nie zwracał na to uwagi. Przyjął mnie w brązowej bonzurce, na podłodze rozłożona była ogromna mapa Bydgoszczy. Klęczał nad nią i niemal w zapamiętaniu mówił o swej wizji Dzielnicy Muzycznej, a mnie ręka bolała od notowania. Patrzyłam z niedo-

wierzaniem, jak pokazywał i wyjaśniał, że gmach starostwa przy ulicy Słowackiego, gdzie mieścił się Urząd Powiatowy – stanie się siedzibą Akademii Muzycznej, która – podkreślał – musi być, bo inaczej nie zdołamy utrzymać Orkiestry Symfonicznej. W budynku przy ulicy Libelta mieszkali jeszcze lokatorzy, a on już tam planował – blisko przyszłej uczelni – bursę Akademii i ona tam dzisiaj jest. Mówił o stylowych latarniach i stanisławowskich ławeczkach w parku, no i nade wszystko o ustawieniu tam pomników kompozytorów. Nie zapomniał nawet o oczku wodnym, owej fontannie, która powinna znajdować się między Filharmonią i Szkołą Muzyczną.

Wiosną 1975 roku, kiedy jeszcze nie ze wszystkim wyprowadzili się z gmachu dawnego starostwa PRL-owscy urzędnicy – Szwalbe zwołał tam konferencję prasową. Wprowadził dziennikarzy do pokoju przewodniczącego Rady Powiatowej i rzekł: «To będzie gabinet Jego Magnificencji!». Na podłodze walały się jakieś papiery i cały ten gabinet zionął brzydotą PRL-owskiego urzędu, ale on był ponad to – widział już oczyma wyobraźni obecną Akademię, mówił o całej Dzielnicy Muzycznej, o wszechstronnym wypełnianiu przestrzeni kultury.

Kontakt z jego wizjonerską wyobraźnią osobiście wiele mi dał. Nauczyłam się patrzenia perspektywicznego. Wiem od niego, że jeśli się coś robi – to trzeba mieć perspektywę przynajmniej piętnastu lat do przodu.

Gdy już Akademia Muzyczna istniała i odbył się zjazd rektorów szkół artystycznych – Krzysztof Penderecki, który przyjechał jako ówczesny rektor krakowskiej Akademii Muzycznej, nie krył podziwu:

– Wasza Akademia jest najpiękniejsza w Polsce, najlepiej zorganizowana i wyposażona!

Szwalbe, który ją organizował, tak dbał o jej wyposażenie, że nawet zamawiał stylowe meble henrykowskie. Wcześniej, gdy w 1977 roku przeprowadzałam swój pierwszy wywiad z Pendereckim, on zapytał mnie w pewnym momencie:

– Jak Szwalbe to robi, że w bydgoskiej Farze odbywają się koncerty i sekretarze na to pozwalają?

Gdy miało miejsce prawykonanie «Requiem polskiego» Pendereckiego i odsłonięcie jego portretu rzeźbiarskiego dłuta prof. Koniecznego – po-

kazywaliśmy mu również Ostromecko, w którym Szwalbe już zaczynał przeprowadzanie swej wizji ośrodka kultury narodowej. Penderecki zachwycony powiedział do mnie:

– *Żeby ja miał takiego Szwalbego w Krakowie, mógłbym spokojnie jeździć po świecie!*

I dodał żartobliwie:

Gdybym nie kupił Lustawic, zagiąłbym parol na Ostromecko.

Oprócz kompozytora był z nami podczas owej wizyty w Ostromecku także Mieczysław Nowakowski oraz jakiś niemiecki koneser sztuki. I całe to szacowne grono przyjmowaliśmy w jednym z pokojów Starego Pałacu herbatką. Podano ją w zwykłych szklankach, z aluminiowymi łyżeczkami. Uderzył mnie ten kontrast: wysokie rozmowy o sztuce i owe ubogie łyżeczki. Półżartobliwie napisałam o tym w «Dzienniku», że «mimo aluminiowych łyżeczek» było wspaniale. Nazajutrz dyrektor poprosił Eleonorę, by kupiła w Desie porcelanową zastawę.

Nawiasem mówiąc, Szwalbe lubił «używać» Eleonorę Harendarską do reprezentacji. Sam na uroczystych koncertach skromnie siadał «na jaskółce», a Eleonorę prosił, by w dziesiątym rzędzie, przeznaczonym dla notabli, reprezentowała Filharmonię. On był od meritum sprawy.

* * *

Rok 1982 – telefon dyrektora, bym poszła do Filharmonii. Zaprowadził mnie na drugie piętro, a tam rozłożony był warsztat tkacki i sprowadzone z Gdańska tkaczki właśnie kończyły kolejny gobelin – «Dmuchawiec». Po drodze Szwalbe odsłonił kotarę, mówiąc:

– *Tu przechowuję Orła.*

Tego – pomyślałam – którego parę tygodni temu windował na gmach Akademii Muzycznej, a wcześniej tyle listów napisał do miejscowych i warszawskich prominentów, że to tylko Orzeł stylizowany, Stanisławowski i nie stanowi godła, lecz związany jest ze sztuką. W «Dzienniku» oczywiście zamieściliśmy zdjęcie, jak ten Orzeł w koronie wędrował na dach Akademii. A ludzie oglądali ów nieprawdopodobny moment jak sensację:

w komunistycznej Polsce Orzeł w koronie! Niestety, ta korona nie mogła przejść w PRL-u i po trzech tygodniach Szwalbe był zmuszony Orła usunąć. I tego zdjętego teraz mi pokazywał.

Patrzyłam, jak zaczarowana, na statuę Białego Ptaka, który zdawał się jaśnieć w mroku wnęki i ogarnął mnie wielki smutek, spotęgowany przez całą naszą ówczesną polską sytuację: dramat stanu wojennego i dominującą nad wszystkim marazm. Nie mogłam powstrzymać łez, zapłakałam.

– *Pani redaktor, niech pani nie płacze* – rzekł Szwalbe z wielką siłą – *ten Orzeł wróci.*

Tak mocno wypowiedział te słowa, że uwierzyłam. I wrócił.

Podobnie było z marcem 1981. Zaraz po bydgoskich wydarzeniach Szwalbe wystąpił do KW z inicjatywą ich upamiętnienia. I my, w 17 lat potem zrealizowaliśmy to zamierzenie. Sama przyłożyłam do tego rękę: kamień memorialny przed gmachem Urzędu Wojewódzkiego postawiono z inicjatywy Klubu Bydgoskiego, do którego należę. Miał całkowitą rację Szwalbe, przypisując tak wielką wagę do marcowych bydgoskich wydarzeń: takiej jedności Polaków i takiego wielkiego społecznego porywu nie było ani przedtem, ani potem”.

Spotkanie z Jerzym Maksymiukiem

Byliśmy umówieni zaraz po próbie. Pytania miałam ściśle przygotowane, wiadomo – Maestro nie ma czasu. Jak się okazało, nie miał też humoru. Wracał z próby spocony i pełen irytacji. Ale gościnnie otworzył drzwi garderoby.

– *Pan zmęczony...* – zaczęłam.

– *Nie wychodzi, po prostu nie wychodzi* – odrzekł z pasją – *jestem zniechęcony.*

– *Ze też Pan, mając taką światową publiczność, ulega zniechęceniu.*

– *I to kompletnemu. Rzuciłbym to wszystko. Pani wybaczy, że zjem tę kanapkę, nie zdążyłem wcześniej. Czy mogę się przebrać?*

– Chciałbym Pana prosić o spotkanie – zaczął młody człowiek, który wszedł do garderoby wraz ze mną – tu wiele rzeczy rozprasza – dodał. Patrzył Mistrzowi błagalnie w oczy i wyjaśniał: – Jestem asystentem na Akademii Muzycznej. Czy byłby Pan w stanie ze mną się spotkać?

– *Chcieć chciałbym, ale kiedy mam wieść osobiste życie, jeśli każdą chwilkę oddaję ludziom? Należę do tych, którzy mówią, co myślą. Powiedziałem w audycji radiowej, że coś zadyrygowałem nie tak, jak trzeba. W Ameryce taka szczerość naturalna. Ale u nas powiedzą: ten wspaniały Maksymiuk przyznał się do pomyłki. A drudzy: więc on też się myli! Z dziennikarzami nie lubię rozmawiać – za język, którego oni obecnie używają strasznie niechlujny, pełen ułatwień.*

Przerywa nam telefon z Warszawy.

– *W czym problem?* – irytuje się Maestro do słuchawki. – *Nie mogę dyrygować tego, co chcę? Walców Berga nie mogę grać w Polsce?! Znowu te pieniądze! W Szkocji pracuję, to tam zagram. Odsyłam do żony, ona jest poinformowana o wszystkim. Państwo jesteście najlepszą polską orkiestrą.*

– *To była Sinfonia Varsovia* – wyjaśnia nam Maksymiuk, odkładając słuchawkę i dodaje, patrząc na młodego muzyka:

– *Odpowiedź dla Pana winna być negatywna. Moja żona by Pana oddaliła, ale dobre serce, odziedziczone po matce sprawia, że się z Panem spotkam. Chociaż lepiej nie zawracać głowy kapelmistrzowi przed koncertem. Gdy będę rozmawiał ze wszystkimi, nie będę mógł się skupić. A ludzie myślą, że przyjechał tu cudotwórca i zrobi genialny koncert.*

Zwrócił się teraz w moim kierunku:

– *Pani pyta o moje zdanie o dyrektorze Szwalbem? Opinia będzie tylko w połowie pozytywna. Dzisiaj pierwsza jej część. Ale proszę nie notować.*

Więc nie notuję. A Maestro sięga do roku 1961, gdy zajął I miejsce w Ogólnopolskim Konkursie Pianistycznym im. Ignacego Paderewskiego, zainicjowanym przez Szwalbego w bydgoskiej Filharmonii i przypomina, że nie otrzymał wtedy od niego propozycji serii koncertów, a był przecież wówczas młodym, zdolnym pianistą. A Szwalbe go tak zostawił własnemu losowi. Nawet o ten jeden koncert, który mu się należał jako laureatowi, musiał się upominać. Może dlatego, że nie miał wówczas nazwiska? Szwalbe lubił zapraszać do Filharmonii sławnych artystów. Tworzył swoją wielkość.

– *Dlaczego nie mogę tego zapisać? Prawda oczyszcza.*

– *To Pani zdanie jest tylko w części prawdziwe. Prawda też zabija. Po co komu prawda?! Mnie nie można dziś powiedzieć prawdy o moim zdrowiu, trzeba skłamać. Gdyby tak było, że prawdę się mówi bez ogródek, to Chrystus na ziemi by wygrał. Ale jest przecież życie, różne sytuacje zaplątane, zagmatwane. Dla jednego to jest prawdą, dla drugiego tamto. Jest niewiadoma. Może zapisana w genach.*

– *Pan stawia odwieczny problem, poruszony na przykład przez Szaniawskiego w Żeglarzu. A wracając do naszych czasów: tyle było kłamstwa w PRL-u.*

– *A czy teraz jest lepiej, kiedy ludzie nie ukrywają, że liczy się stanowisko i korzyści osobiste?!*

– *To może banalne pytanie: czym jest dla Pana muzyka?*

– *To nie jest pytanie banalne. Muzyka jest częścią mojej wypowiedzi. To, czego Pani nie powiem, zagram. I wydobędę to z orkiestry. Tylko, że spalam się niepotrzebnie. Dyrygować, to nie „wyciągać”, „wyrwać” z orkiestry, a dopin-gować. No więc muzyka jest dla mnie częścią emocjonalnego przekazu.*

- Emocje są u Pana najważniejsze. To się czuje.
- *Tak, choć długo w intelektualnym podtekście rozkosz widziałem.*
- Może wbrew sobie uciekał Pan w intelektualizm...
- *Być może. A zmieniając temat – wie Pani, ja jestem próżny: cieszę się, że orkiestra góralska przyszła mnie w Bydgoszczy witać na dworcu kolejowym. Pomyślałem sobie – innych tak nie witają. Mówię to szczerze, ale niech Pani nie pisze.*
- Już zapisałam.
- *Dziś trafiła Pani na moje złe parametry. Więc tę drugą część wypowiedzi*
- *moje dobre zdanie o Szwalbem – powiem jutro, po koncercie.*

* * *

Koncert był jak zwykle wspaniały i publiczność, po brzegi wypełniająca salę koncertową Filharmonii, zgotowała Mistrzowi owację na stojąco. Maestro wrócił do garderoby uspokojony, rzekłabym ukojony i oto, co mi powiedział prosząc o zanotowanie:

– *Szwalbe – to Wielki Budowniczy. Jego rozmach, dążenie i działanie zawsze szło w parze. Bardzo cenię go za kreatywną organizację, widoczną w powstaniu i działalności wszystkich założonych przez niego instytucji. On posiada romantyczny temperament i gdy coś postanowi, wprowadza to w życie z ogromną siłą i konsekwencją. Działają u niego zgodnie dwa elementy: wyobrażenie i wykonanie.*

Przed chwilą grałem w Filharmonii Pomorskiej VII Symfonię Beethovena. Ten gmach jest jego dziełem i świetna organizacja administracji też jest jego dziełem. Jego duch stale jest tu obecny, choć Szwalbe już tu nie pracuje. Winszuję mu i gratuluję z całego serca, życząc wiele lat szczęścia.

Więź dość niekonwencjonalna

Wspomina Stefan Pastuszewski, ówczesny wiceprezydent Bydgoszczy (rok 1996):

„Dyrektora Andrzeja Szwalbego poznałem bliżej w połowie lat siedemdziesiątych. Jak na tamte czasy było to dość niekonwencjonalne spotkanie dla mnie, wówczas młodego dziennikarza – ale już zdecydowanego opozycjonisty – bardzo radosne. Dyrektor pokazał mi projekt Stanisławowskiego Orła z koroną, który miał zdobić gmach Akademii Muzycznej; zapytał o opinię. Poczuję się dumny i zaszczycony; pogratulowałem koncepcji i odwagi.

Dziś, ilekroć przechodzę ulicą Słowackiego i widzę na szczycie byłego starostwa koronowanego Ptaka, tylekroć myślę o tym przedziwnym związku duchowym, jaki zadzierzgnął się wówczas między Dyrektorem a mną. Jak dziś pamiętam spokojne, ufne oczy Andrzeja Szwalbego i uczucie, jakie mnie wówczas przepelniło. Przecież pracowałem w „Ilustrowanym Kurierze Polskim”, piśmie koncesjonowanym przez komunistów – a On jednak mi zaufał.

Efektem tej więzi były moje starania o podjęcie pracy w Filharmonii Pomorskiej – w czasie, kiedy wyszedłem z więzienia po internowaniu i nie mogłem znaleźć jakiegokolwiek zatrudnienia. Wszystko było na jak najlepszej drodze; Dyrektor wiele ryzykował. Ale tym razem bariery okazały się nie do pokonania nawet dla niego, który przecież tak wiele barier pokonywał.

Bezpośrednią współpracę podjąłem z Dyrektorem Andrzejem Szwalbem w ramach Społecznego Komitetu Odbudowy Zachodniej Pierzei Starego Rynku w Bydgoszczy. Współzakładając ów komitet wiedziałem,

że Dyrektor, dzięki któremu Bydgoszcz kulturą stanęła, jest gorącym zwolennikiem odbudowy zniszczonej przez hitlerowców części Starego Rynku – uważając, że właśnie ona była znakiem charakterystycznym naszego grodu. Komitet ów istnieje do dzisiaj, choć z uwagi na recesję nie działa intensywnie. Trzeba jednak zaznaczyć, że Dyrektor Szwalbe wniósł do jego prac świetną koncepcję dodania do funkcji sakralnych odbudowanego kościoła św. Ignacego Loyoli – funkcji kulturalnych. Byłaby to stylowa sala koncertowa, a także miejsce innych przedsięwzięć związanych z kulturą chrześcijańską.

Jeszcze do niedawna korzystałem z konsultacji Dyrektora w pracach nad ustawą reprivatyzacyjną. Szwalbe – a objawił się tu Jego kunszt prawniczy – wprowadził szereg poprawek zabezpieczających interesy instytucji kulturalnych, zagrożone przez trywialny liberalizm, który chciałby wszystko, nawet Wilanów, Krasiczyn, Ostromecko – oddać w prywatne ręce.

Pamiętam też Dyrektora z sytuacji codziennych, może niezaliczających się do wielkich, ale z pewnością świadczących o niezwykłości człowieka i jego osobistej postawie życiowej. Pamiętam, jak Andrzej Szwalbe dbał o kulturę zajmowania miejsc w kościele św. Marcina i Mikołaja, gdzie Filharmonia Pomorska organizowała nietypowe koncerty; jak – już emerytowany – pilnował drzwi w czasie koncertu w fordońskiej synagodze. Skromność, rzeczowość i bycie „na miejscu” – oto cechy, które najbardziej mi u Dyrektora imponują. Z ich powodu, ale nade wszystko z uwagi na niesyzyfową, bo niezwykle owocną, choć ciężką jak u Syzyfa na rzecz bydgoskiej i narodowej kultury pracę, dzięki której gród nad Brdą stał się mocarzem na muzycznych arenach kraju i Europy – kiedy przyszło przywrócić tytuł Honorowego Obywatela Bydgoszczy – cieszę się, że w pierwszym rządzie przypadł on Dyrektorowi Szwalbemu”.

(Tekst zamieszczony w specjalnym wydaniu Bydgoskiego Informatora Kulturalnego w czerwcu 1993 roku z okazji przyznania Szwalbemu tytułu Honorowego Obywatela Bydgoszczy).

Zamienić w kształt rzeźbiarski

Mówi Michał Kubiak:

„Kiedy wiosną 1995 roku przystępowałem do pracy nad portretem rzeźbiarskim Andrzeja Szwalbego, wiedziałem że czeka mnie zadanie o tyle interesujące, co trudne zarazem. Do tej pory w pracy nad portretem, poza nielicznymi wyjątkami, służyły mi materiały fotograficzne, lektury, słowem ikonografia, dotycząca osoby portretowanej. Tym razem miałem przed sobą żywego modela, z którym kontakt podczas pracy okazał się równie interesujący, co tworzenie rzeźby. Może tajemnica tego związku tkwi w tym, iż portret, jak bodaj żadna inna forma sztuki, związany jest z naturą, z modelem i te odniesienia stwarzają odbiorcy możliwość nawiązania kontaktu bliższego z dziełem. Portret rzeźbiarski Andrzeja Szwalbego ma charakter współczesny. Starłem się utrwalić w nim to, co niewidzialne, co jest odbiciem wędrówki w głąb wyobraźni, by to, co wewnętrzne, zamienić w kształt rzeźbiarski. O sile stworzonych argumentów artystycznych, zdolnych przebić się przez gąszcz przyzwyczajień, nawyków, konwencji, zdecydował bezpośredni kontrakt z portretowanym, z którym dyskurs o sztuce rzeźby otwierał w trakcie pracy nad portretem nowe pola widzenia. Miałem okazję przekonać się o tym, że sztuka rzeźby, utrwalonej w brązie, jest bardzo bliska panu Andrzejowi, że czuje ją, jak żadną inną technikę tej dyscypliny sztuki.

Odwiedzając moją pracownię wielokrotnie, dzielił się spostrzeżeniami na temat nowych kwater w Drzwiach Błogosławieństw, odlewanych w brązie”.

Warto dodać, że Michała Kubiaka, autora nie tylko tego popiersia, ale również znajdujących się w Filharmonii portretów rzeźbiarskich Czesława Miłosza, Artura Rubinsteina i Stefana Kisielewskiego – Szwalbe od dawna zainteresowany twórczością tego wybitnego artysty, często od-

wiedział jego pracownię, szczególnie w okresie, gdy Kubiak dłuższy czas pracował nad Drzwiami Błogosławieństw dla bydgoskiej bazyliki z okazji podniesienia jej do godności Papieskiej Bazyliki Mniejszej. Przedstawiając biblijną ideę ośmiu błogosławieństw w 16 kwaterach nawiązuje Kubiak do tysiącletniej historii Kościoła, ale i do dziejów Bydgoszczy również, zwłaszcza martyrologii miasta podczas II wojny światowej.

Na przykład kaseton: „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości”, nawiązuje do tragicznych wypadków bydgoskiego Września 1939 – egzekucji na Starym Rynku. Rzeźbiarz oparł się na dokumentach archiwalnych – wstrząsających fotografiach rozstrzeliwanych bydgoszczan, którzy w ostatnim momencie odruchowym gestem rąk usiłują zasłonić wystawione na lufy karabinów serca...

Zwraca uwagę interpretacja hasła: „Błogosławieni miłosierni” – artysta pokazuje szeregi tych, którzy jako swe powołanie uznali czynienie miłosierdzia. Jest wśród nich Wincenty à Paulo i współczesne Bractwo Miłosierdzia, ale w tłumie bydgoszczan przed Bazyliką są też portrety ludzi z bydgoskiego środowiska. Wśród nich drobna postać Szwalbego, którego nazwano „demiurgiem bydgoskiej kultury”, ale on sam ma się za jednego z jej działaczy.

Obecność ludzi ze środowiska nie powinna w tym kasetonie Drzwi Błogosławieństw zaskakiwać. Przecież kultura, tak nisko dziś wyceniana (w sensie finansowym), jest w istocie swej ważnym dziełem miłosierdzia w dziedzinie ducha...

Rok 1998

Kisiel o Szwalbem

– Szwalbe o Kisielu

Stefan Kisielewski, słynny Kisiel, też nie pominął Andrzeja Szwalbego w swych *Pismach wybranych*, a konkretnie w *Dziennikach*, wydanych przez Iskry, bulwersujących ostrą, często zbyt subiektywną opinią o znanych w kraju osobach, z którymi autor się stykał na przestrzeni lat. A uczynił to z właściwą sobie ironią i nawet pewną zjadliwością, co było w jego zwyczaju. W Zeszytcie nr 15, na str. 844 czytamy:

„Nowy uniwersytet w Toruniu jest naprawdę wspaniały, Bydgoszcz też prezentuje się niezłe, tylko że «usługi», zwłaszcza gastronomia, są fatalne, ale to wynika z «socjalizmu». Dyrektor Filharmonii, Szwalbe, zrobił mi tutaj sporą reklamę, afisze jak byki, przeciwnie niż w Gdańsku, gdzie młodych ludzi, którzy organizowali mi odczyt, chcą wyłać z uniwersytetu. Mieszkam w hotelu «Brda», bardzo miłym, zresztą hotelarstwo bardzo się tu podniosło (...). Pogoda piękna, wszystko kwitnie, słowem – wrażenia pozytywne! Myślę, że chytrus Szwalbe umyślnie mnie tu pięknie urządził – liczy na jakąś propagandę w prasie”.

„Chytrus Szwalbe” sam odbił na ksero ów fragment, nie taki więc znowu chytrus, bo może bym tę wypowiedź pominęła. Jak zresztą można nie kochać Kisielewskiego za to, kim był dla narodu w okresie komuny. Filharmonia Pomorska ma go w szczególnej estymie także za muzykę, przez niego komponowaną, w ogóle za niepowtarzalną osobowość. I w bydgoskiej Filharmonii, w galerii portretu rzeźbiarskiego, stoi jego popiersie dłuta Michała Kubiaka – bardzo prawdziwe.

Dla Andrzeja Szwalbego Kisiel jest postacią znaczącą z wielu względów:

– Myślę, że Kisiel i ja mamy podobne widzenie rzeczywistości powojennej Polski. Cenię jego pisarstwo, zwłaszcza cotygodniowe felietony, pisane przez lata, nic jednak nie zdota dorównać jego znaczeniu jako kronikarza, uczestniczącego w bieżącym życiu kraju – „Dzienniki” są na miarę „Kronik” Prusa. Musimy do nich przyłożyć miarę nie tylko świadectwa historycznego, ale i swobodnego rodzaju literackiego. Inna rzecz, że pozwala tu sobie Kisiel na pewnego rodzaju grymaszenie – im bardziej kogoś lubi, tym bardziej się nad nim znęca, ale życzliwość w gruncie rzeczy jest gdzieś głęboko zakodowana.

Uderza mnie fakt, że Kisiel był patriotą typu pragmatycznego, odznaczał się konkretnym sposobem widzenia spraw. On niesłychanie boleje nad tym, co się Polsce przydarzyło w związku z zaistnieniem PRL – ale potrafi cieszyć się ze wszystkiego, co nosi znamię czegoś dobrego, właściwego kierunku w danej sprawie. Gdy ktoś twierdzi, że PRL to nie Polska – ten Kisielu nie zrozumie. On nie uważał, że „im gorzej, tym lepiej”, nie miał takiego sposobu myślenia. Uznawał działanie nie poprzez destrukcję, lecz przez naprawę – drobnymi kroczkami marsz ku przyszłości Polski. I moje myślenie jest podobne.

Oczywiście, jego dezynwoltura, niechęć, żółć pochodzi z żalu za Polską historyczną, która skończyła się i nie wróci, a jej miejsce zajął PRL. On zdaje sobie sprawę, że koła historii się nie odwróci. Widzi, że doszli do głosu ludzie pazerni, prymitywni, którym jest wszystko jedno, byleby tylko ich interes był chroniony – w tym swój najwyższy cel upatrują. Dostrzega jednak w dalekiej przyszłości jakiś zdrowy odruch tej masy ludzi – być może ona przeciwstawi się ztu i wejdzie na prostą historyczną drogę upominania się o prawa dla państwa polskiego, jego suwerenność itd. Ale to zbyt dalekie – dlatego Kisiel staje się głębokim pesymistą. PRL trwa, ale nie jest to finis Poloniae.

Cenna jest jego diagnoza historiozoficzna: wielki przetom nastąpił pod koniec wojny, cała generacja odeszła, zaistniało coś nieprzyjemnego i niezrozumiałego – ale Kisiel nie mówi, że to nie jest Polska, lecz że inna Polska. W rozmowie ze mną użył określenia: ta nowa Polska – i ona jego dezynwolturze podlegała.

W mojej teorii nie było pesymizmu, bo mnie o ratowanie wartości humanistycznych chodziło, o zaszczepienie ich, przekazanie tym nowym ludziom – żeby wartości ogólnoludzkie, narodowe znalazły swoich kustoszów, którzy je w dalszą przyszłość poniosą. Ale jest niezwykle ważne, że diagnoza tej wielkiej

powojennej odmiany identyczna u Kisiela i u mnie. I jest to widzenie pozytywistyczne, organiczne w gruncie rzeczy.

Zdaję sobie sprawę, że moja idea jest oświeceniowa i wywodzi się z przekonania, że wiedza to cnota. Rozumiem dziś, że tak prostych znaków równości nie można stawiać, ale faktem jest, że jeśli ludzie są kulturalnie ogładzeni, mądrzejsi – to już jest wiele. Wtedy łatwiej zrobić kolejny krok – w kierunku dobra moralnego, bycia człowiekiem lepszym. Po to czynimy ich słuchaczami koncertów, by byli światlejsi i możemy mieć tylko nadzieję, że wtedy łatwiejsza będzie ich droga ku dobru. Ale to są dwa różne, oddzielne kroki każdego człowieka: ku wiedzy, sztuce – i ku cnocie.

Wracając do Kisiela: był racjonalistą i konstruktywistą w muzyce (organizacja dźwięku), a jako Polak należał do własnego obozu. Zapraszałem go, bo chodziło mi o to, by poszerzyć zakres naszych wolności i swobód – poprzez jego obecność, jego wystąpienie w Filharmonii. Liczyłem na to, że „po Kisielu” będziemy mogli sobie pozwolić na jakiś krok – i ludzie to zaakceptują.

Uczestniczył czynnie w przemianach

Janusz Kutta:

„(...) to Szwalbe sprawił, iż Bydgoszcz postrzegana jest w kraju i daleko poza jego granicami jako znaczący i niekwestionowany ośrodek muzyczny. Lecz aktywność twórcza bohatera opowieści nie ograniczała się li tylko do muzyki. Był współinicjatorem utworzenia Bydgoskiego Towarzystwa Naukowego i walnie przyczynił się do stworzenia temu stowarzyszeniu mocnych podstaw organizacyjnych i materialnych. Jemu powierzono rozbudowę Pomorskiego Domu Sztuki i Biura Wystaw Artystycznych. On też był autorem koncepcji budowy w Bydgoszczy Teatru Muzycznego i Dramatycznego. Nie było w mieście nad Brdą i Wisłą wydarzenia naukowego i kulturalnego, na którym Szwalbe by nie wycisnął swojego piętna.

Duże nadzieje na głębokie przeobrażenia wiązał Szwalbe z przełomowym dla Polaków rokiem 1989. Sprawował wtedy jeszcze urząd dyrektora ukochanej Filharmonii Pomorskiej. Zachodzące w kraju rewolucyjne przemiany pobudzały dodatkowo jego społeczną aktywność. Bacznie obserwował poczynania władz administracyjnych i samorządowych.

Radowały go ich sukcesy i rosnąca samorządność mieszkańców. Martwiły potknięcia, niekiedy rażące błędy ludzi, pełniących odpowiedzialne funkcje. Wiem coś o tym. Rozmawiałem z nim o niejednej sprawie i niejednym ważnym zagadnieniu. Jego opinie i uwagi były zawsze głęboko przemyślane i wyważone. Nigdy nie forsował swojego zdania. Potrafił słuchać i pięknie się różnić. Do końca twórczy, uczestniczył czynnie w przemianach, które i jemu znacznie poszerzyły pole działania. Po czterdziestu

latach przeszedł w stan spoczynku. Jego macierzysta instytucja obdarzyła go, jakże słusznie, tytułem Honorowego Dyrektora.

Pozbawiony obowiązków i trosk związanych z administrowaniem dużej przecież instytucji, rzucił się w wir działalności społecznej, zawsze mu bliskiej. Zabierał głos we wszystkich sprawach istotnych dla miasta i regionu. Szczególnie mu bliska stała się idea powołania w Bydgoszczy uniwersytetu. W czasie debaty nad podziałem administracyjnym kraju z pasją opowiadał się za utrzymaniem odrębnego regionu bydgoskiego.

Przez lata śledziłem publiczne wystąpienia Szwalbego, czytałem jego bogatą korespondencję z władzami. Z dużym znanstwem wypowiadał się w sprawach istotnych dla miasta nad Brdą i Wisłą, głos jego był zawsze wysłuchiwany z największą uwagą.

Andrzej Jan Szwalbe był człowiekiem burzliwego dwudziestego stulecia. Przez ponad półwiecze czynnie uczestniczył w wydarzeniach przełomowych dla Rzeczypospolitej i Bydgoszczy. Zawsze pozostawał sobą. Raz powziętą ideę realizował z iście żelazną konsekwencją”.

Rok 1997

Kompleks prowincji

Zdzisław Pruss

Piosenka A. Szwalbego

(Na melodię: *Odrobinę szczęścia w miłości*)

*O czym marzyć zaczyna senior, nestor, jubilat
Kiedy wieku osiąga już kwiat,
Kiedy śpi, gdy się ocknie gdzieś na sesji owocnej
Czego chce, aby dał mu świat?*

*Odrobinę szczęścia w Bydgoszczy
W szarym mieście czegoś barwnego,
Jakieś szklane domy i mosty
Z Sulimy i z Żeromskiego...*

*Przed operą perskie kobierce
Filharmonia złotem lśni
Przed teatrem zaś same „merce”
Stoją – i aktorzy w nich...*

*Gdy deptakiem piechotą idąc wpadam wciąż w błoto
gdy Gdańskiej przeraża mnie brud
To nadziei nie tracę – wiem, że wkrótce zobaczę
Metropolię – ja tu, u Brdy wód!*

*Nie ma wyjścia – trzeba w Bydgoszczy
Tworzyć wizję miasta wielkiego
Za Krakowem puścić się w pościg
I słuchać mnie – Szwalbego*

*Profesorów ściągnąć tu w szereg
Docentami, „zalać się”
A gdy będzie już uniwersytet
To wam spokój dam. Adieu.*

Piosenka Zdzisława Prussa, śpiewana przez aktorkę Teatru Polskiego, Romę Warmus, wchodziła w skład jego „Szopki Bydgoskiej” (premiera: 2.01.1999).

„Zażywać” Szwalbego

Mówi Zdzisław Pruss, popularny bydgoski satyryk i poeta (rok 1996):

„Pokazuję Szwalbego na wesoło w mojej noworocznej szopce. Ale poważnie trzeba stwierdzić jedno: przykład Andrzeja Szwalbego – to duża dawka optymizmu dla tych, którzy przedsięwzięją szerokie plany przestające ich odwagę. Oni niewątpliwie «zażywają» Szwalbego (niczym witaminę A.S.) ku ugruntowaniu przekonania, że optymizm i silna wola zwycięża.

Dlatego Honorowy Dyrektor Filharmonii w tylu różnych gremiach wciąż występuje – czy idzie o dyskusję na temat miasta, jego kultury i przyszłości, czy o sprawę regionu kujawsko-pomorskiego, czy wreszcie o powstanie Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego. Ten kruchy człowiek, gdy przemawia w tych szanownych gremiach, polemizuje – pełen jest twórczej energii. On nie uznaje straconych pozycji! To Szwalbe-wizjoner. Ktoś mógłby postawić zarzut: fantasta! Ale z dzieł przez niego zamierzonych tak bardzo przeważającą ilość udało mu się zrealizować, że ten zarzut nie ma racji bytu. Bo Andrzej Szwalbe zawsze był realistą, nie błędził w chmurach. I on stanowi najlepsze antidotum na bydgoski kompleks prowincji”.

Zawierzenie...

– Mówi się – zadaję pytanie Szwalbem – że wszyscy tak naprawdę w życiu mamy jednakowe szanse. A ślepi, głusi?

– *O ludziach ślepych, głuchych myślę, że świat piękna nie musi być przed nimi zakryty – ten, do którego ja zbliżam się nieśmiało. I to jest właśnie najbardziej fascynujące. Przekraczając próg, nie wiemy, czy tam, po drugiej stronie, nie zostanie nam odjęte owo piękno, obecne w świecie na ten specyficzny, wzniosły sposób. To jest dla mnie wielka pociecha – i nieustanne dążenie, żeby na to zasłużyć.*

– Można przecież i tak spojrzeć na wieczność: niebo – to intensywne do granic przeżycie piękna i prawdy w bliskości Boga, a piekło – to intensyfikacja brzydoty, zła, w oddaleniu od Niego. A przecież istnieje wielu ludzi, którzy – jak sami mówią – „żyją, aby żyć”, a więc żeby wegetować, przetrwać, „przebąknąć” ten żywot. Czy oni również będą mieć wieczność na tę samą miarę?

– *Istnieje jednak Boże miłosierdzie, które pokieruje ich losem. W prawostawiu odpowiada mi najbardziej właśnie akt miłosierdzia nieskończonego i powszechnego zbawienia. Uważam, że chrześcijaństwo powinno być bardziej paschalne, mniej zajęte moralnością, a bardziej samym aktem odkupienia. Jestem głęboko przekonany, że ci skazani na potępienie, jakoś się w końcu „zalażą” na Boże miłosierdzie, bo On jeden wie, jaka jest miara ich woli – na ile była ona rzeczywiście wolna, a na ile niedorozwinięta.*

– Uważa Pan, że tych spraw nie należy dociekać?

– *Istnieje pewne niebezpieczeństwo w owej stałej próbie ciągłego rozumienia, myślenia, zgłębiania – można stać się gnostykiem, który za zbawienie uważa już sam fakt, że wie. W gnozie, która ma daleką tradycję, przejawia się*

platonizm i neoplatonizm. Według gnostyków Bóg jest daleki, niepoznawalny, jedynie zsyła co pewien czas proroka czy mesjasza, ale Słowo jest w Nim – nie ma mowy o wcieleniu. Tylko jak można być zbawionym przez to, że się wie? Sokrates też głosił, że trzeba wiedzieć, aby być lepszym. Dziś wiemy, że to nie wystarczy. Ale niewątpliwie jest coś frapującego w tym, że się poznaje, wnika, rozumie – jeśli przez to zaczyna się kochać...

Osobiście stawiam na zawierzenie, ale i na zrozumienie. Wiem, że tu nie dorastam, bo Bóg otacza się Tajemnicą. Niepotrzebne są mi dowody, owo włożenie palca w ranę, nie chcę widzieć Boga na kształt gorejącego krzaka czy postaci Zmartwychwstałego Chrystusa. Urzeka mnie światło zrozumienia nie w kategoriach logistycznych, w rachunku zdań – lecz w pięknie ułożenia transcendencji. To jest prawdziwie mądre i na kształt mądrości piękne. I to jest mój największy wzlot, na jaki mogę się zdobyć. Bezpośrednie spojrzenie na Absolut jest mi odjęte – nie jestem mistykiem. Piękno świata transcendentnego jest dla mnie dowodem jego prawdziwości. I nie jest dla mnie czymś niepojętym, że są trzy postaci Bóstwa i dwie natury Chrystusa. Dobrze mi z tym, że jest to niezrozumiałe. Im więcej zagadek, tym bliżej sedna rzeczy – Prawdy. I najpiękniejszym obrazem jest dla mnie wspomniana już Trójca Święta Rublowa – właśnie przez wrażenie całkowitej harmonii, zrozumienia, miłości, tajemnicy.

A niewierzących rozumiem i nigdy nie czułem do nich obcości. To jest tak, jak ze słyszeniem trójdźwięku, widzeniem koloru – nie każdemu jest to dane. Oni nie mogą przekroczyć tego progu, poczuć tego smaku. To musi być wielkie cierpienie. Jest im to zadane jako niedoskonałość, tak jak mnie „zadana” jest wada serca.

Bas głosi wieczność...

Jak młodzi odbierają to nasycenie Bydgoszczy muzyką, niech świadczy przykład Agaty Urbańskiej, która jest autorką pracy magisterskiej pt. *Bydgoskie universum gobelinowe*, pisanej pod kierunkiem dr. Bogusława Mansfelda w Zakładzie Pedagogiki Artystycznej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. We wstępie do swej pracy magisterskiej Agata Urbańska zastanawia się, dlaczego w szkole średniej tak lubiła chodzić do Filharmonii. Bo zarówno gmach ze swą wielkością, wystrojem, atmosferą, i przede wszystkim piękne koncerty, budowały jej wyobraźnię. Filharmonia była jakby innym światem, nastrajała, pozwalała wznieść się duchem poza szarą rzeczywistość. Doznania emocjonalne, dźwięki, kolory, światła – cała ta niepowtarzalna otoczką, jaka towarzyszyła nieodmiennie wyprawom Agaty do Filharmonii, sprawiła, że zapragnęła poznać osobę, która stworzyła takie warunki rozwoju muzyki. Interesował ją twórca największego w Polsce zbioru gobelinu współczesnego. Lubiała przystawać w Filharmonii przed tymi ogromnymi tematycznymi tapiseriami: uderzał ją temat i charakter, czuła, że każdy z nich jest metaforą o uniwersalnym zasięgu treści.

* * *

Z listu Andrzeja Szwalbego do red. Urszuli Guźleckiej:

– *Na początek – anegdota. Odwiedził mnie kiedyś, w latach siedemdziesiątych, p. Marian Konieczny, krakowski rzeźbiarz, który chciał się zorientować, gdzie będzie stało popiersie Pendereckiego jego dłuta, jeden z cyklu portretów współczesnych kompozytorów polskich. Chodziliśmy po naszych przestronnych hallach i w pewnym momencie mój gość dał wyraz swemu odczuciu, że są one, szczególnie zaś główne foyer, jakieś takie puste, nieprzytulne, raczej – niego-*

ścienne. „Dobrze by Pan zrobił, wieszając na tych ścianach gobeliny, może obrazy, w każdym razie jakieś malarstwo”.

No i zaczęło się ocieplanie wnętrza!

Powstanie trzydziestu, bez mała, gobelinów zajęło 14 lat żmudnej, ale i pasjonującej, pracy. Od 1978 roku, kiedy zaczęły wykluwać się pomysły do „Koncertu polskiego”, aż do początku przyszłego, jak przewidujemy, 1992 roku, gdy około 1 lutego zejdzie z krosna ostatnia z ostromeckich grotesek emblematycznych.

Dzisiaj obliczyłem – po raz pierwszy, dotąd ten problem jakby uszedł mojej uwadze – że do wytworzenia całego zbioru trzeba było uruchomić nie mniej, aniżeli sześćdziesiąt stanowisk z tkaczkami. To już poważna manufaktura.

Właśnie – manufaktura, to jest właściwe słowo. Mysimy bowiem tkali olbrzymią większość naszych gobelinów metodą klasyczną, jak na przykład w Angers w XIII wieku, czy we Flandrii wieku XVI. Malarz tworzył karton i kalki, według których następnie tkaczki interpretowały malowidło, przenosząc je na tkaninę. Praca nigdy nie zapłacona: na 1 cm wchodziło 5–6 nitok osnowy i każdy nowo położony kolorowy wątek dawał przyrost niespełna 1 mm, może pół milimetra grubości.

A powstawały przecież formaty 4 m x 2,5 m („Koncert”), 3,40 x 2,55 m („Harmonia sfer” i „Mare Nostrum”), 1,45 mx 1,75m („Groteski ostromeckie”). To trud benedyktyński, równy powszechnie czczonej pracy iluminatorów średniowiecznych i skrybów.

Upamiętniły się nam nazwiska cichych bohaterów tego kolosalnego przedsięwzięcia, pań: Grażyny Szuchnik, Agaty Zielińskiej, Elżbiety Kity, Krystyny Rataj, że wymienimy w tym miejscu tylko niektóre z tego grona.

Większość autorów kartonów, podobnie jak i tkaczek, rekrutowała się z Gdańska, gdzie instytucjonalne oparcie dla realizacji gobelinów dała Państwo Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Do jej grona profesorskiego należeli najwybitniejsi twórcy projektów-kartonów, artyści malarze: Kazimierz Ostrowski, Kiejstut Bereźnicki, Mieczysław Olszewski, Jerzy Krechowicz, Jerzy Zabłocki. Nadzór artystyczny spoczywał początkowo w rękach prof. Józefy Wnukowej, była przy tym autorką gobelinu o św. Wojciechu, zajmowała w ogóle lwią pozycję w zespole twórców, jej postura kojarzyła mi się nieodparcie z postacią prof. Lissy – ruchliwość, głos, temperament, niesłychana żywotność. Potem nadzorem zajęła się p. Magdalena Ussarewiczowa, zresztą też autorka kilku kartonów. Nadzór techniczny należał do

artysty Krzysztofa Charytoniuka, pochodzącego ze środowiska chyba starowierów na Mazurach, w każdym razie wychowanego w klimacie cerkwi i doskonale czującego te sprawy. Jest on też autorem gobelinu na temat Musica Antiqua Europae Orientalis.

Wetnę farbowata do wszystkich gobelinów gdańskich p. Janina Basty – ktoś niezwykły zupełnie, o żelaznym oku do koloru, jak ją charakteryzowała p. Wnukowa.

Drugim biegunem gobelinów bydgoskich było Zakopane, ze swą pracownią tkactwa artystycznego i tutaj osobiście czuwał nad wykonaniem swego „Kwartetu zapustnego” Tadeusz Brzozowski. Mniejsza też była tu rola tkaczek, rosto niepomierne znaczenie autora, który, niezależnie od wcześniej sporządzonych kartonów, osobiście ingerował w proces tkania i na bieżąco rozstrzygał problemy malarskie.

Do tradycji gobelinów, czy arrasów, należą cytaty. Mamy je i w gobelinach bydgoskich. Pochodzą z wersów Owidiusza, Wergilego, Horacego, ze Słowackiego, Krasickiego, z „Kroniki” Wincentego zw. Kadłubkiem, z księgi Genesis, z pierwszych słów Ewangelii św. Jana. Przy tym pismo, w którym są podane, bywa niekiedy bardzo ciekawe. Oto „Na początku było Słowo” jest wytkane w głagolicy, którą zdobyłem via Belgrad w Dalmacji i Pentateuch Pięcioksiąg jest wypowiedziany w języku i piśmie greckim. Prócz tego łacina i polski.

(Z listu Szwalbego do red. Urszuli Guźleckiej z dn. 30.12.1991 r.)

* * *

Zanim przejdziemy do głębszej analizy bydgoskiego gobelinowego universum, wyłożonej przez Szwalbego m.in. w listach do zaproszonych do współpracy twórców: prof. Józefy Wnukowej, Jerzego Krechowicza, Tadeusza Brzozowskiego – warto zejść na chwilę na ziemię, by nadmienić, że Szwalbe starał się też o mieszkania dla tkaczek sprowadzonych z Gdańska, by zapewnić im lepsze warunki pracy na rzecz kolekcji, skutecznie mu w tym pomagał ówczesny prezydent miasta, Wincenty Domisz.

* * *

A teraz niech przemówi sam pomysłodawca:

„Zbiór gobelinów w Filharmonii Pomorskiej tym jest szczególny, że podporządkowany naczelnej koncepcji i jednolitemu programowi, snuje swą opowieść

o rzeczach ważnych tak, jak to ongi czyniły wielkie cykle tkanin średniowiecznych oraz renesansowych. Wprawdzie brakuje mu jakiejś czytelnej anegdoty lub wyraźnego wątku fabularnego, który by nas wprowadzał w rzeczywistość naturalną, czy mitologiczną, ale za to mówi o przypadkach, jakie przytrafiły się ludzkiej myśli, która pragnęła wniknąć w tajniki człowieczej egzystencji.

Bo też człowiek jest centrum, wokół którego krążą wszystkie cykle gobelinowe, człowiek w swoich wielokierunkowych uwarunkowaniach. Każdy z cykli, a jest ich cztery, traktuje o pewnym antropologicznym temacie, a wspólnym mianownikiem dla wszystkich jest czas, wikłający w siebie każdego z nas przemożnie i, zdawałoby się, nieodwołalnie.

Więc przede wszystkim czas historyczny, tak dobitnie występujący na pierwszy plan w «Koncercie polskim». Oto cztery fragmenty, wybrane z dziejów ojczystrych: Kazimierza Ostrowskiego «Kapela Rorantystów» na XVI-wiecznym Wawelu, jako świadek Złotego Wieku; Kiejstuta Bereźnickiego «Pożegnanie Ojczyzny», zgodnie z tytułem, nadanym najpopularniejszemu z polonezów Michała Kleofasa Ogińskiego; apoteoza zwycięskiego poloneza As-dur Chopina u Kazimierza Śramkiewicza; «Ad Matrem» Mieczysława Olszewskiego, zwiastujące przyszłość – nierozpoznaną jeszcze, przed wszystkimi zakrytą, groźną”.

(Ze wstępu Andrzeja Szwalbego do wydawnictwa *Harmonia sfer i Mare Nostrum*)

* * *

Bydgoszcz, dnia 8 lutego 1979 r.

Pani prof. Józefa Wnukowa

Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Gdańsku

Szanowna Pani Profesor,

Panu Bereźnickiemu proponowałbym wprowadzić do „Pożegnania Ojczyzny” słynną apostrofę księcia poetów, mistrza polskiego klasycyzmu i warmińskiego (tym więc lepiej!) biskupa Ignacego Krasickiego:

*Święta miłości kochanej ojczyzny,
Czują cię tylko umysły poczciwe!
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,*

Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe. (...)

Zanim pojawił się skoczny wiersz Wybickiego, wyposażony następnie w melodię mazurka, zwanego „Mazurkiem Dąbrowskiego”, ten „Hymn do miłości Ojczyzny” z 1774 roku był niemalże oficjalnym hymnem narodowym – i w tej roli, obok „Mazurka Dąbrowskiego” egzystował niemal do połowy XIX wieku.

Jak pisze Czesław Zgorzelski w świetnej pracy: „Od oświecenia ku romantyzmowi i współczesności”, apostołę „śpiewały codziennie szeregi uczniów Szkoły Rycerskiej, a później słowa jej powtarzały liczne pokolenia spiskowców, powstańców i zesańców” (...). Krasicki był synem tej samej epoki klasycyzmu polskiego co i Ogiński. Znakomicie więc będą przylegały do siebie w jednym i tym samym gobelinie reminiscencje obu wybitnych postaci, których dzieła wzbogaciły symbolikę narodową przełomu XVIII/XIX wieku. Żyje dotąd w pamięci narodowej i polonez „Pożegnanie Ojczyzny”, i apostoła. W sąsiednim gobelinie p. Sramkiewicza jak kontrapunkt wyjdzie nam prościutki i bardzo wzruszający wiersz Wybickiego. W warstwie czysto poetyckiej stanowiłby silny kontrast do wyważonej we wszystkich wymiarach strofy Krasickiego, ale przecież tym samym, co i ona, owiany duchem. Zaczynają się więc układać nam wewnętrzne elementy kompozycji nie tylko w warstwie malarskiej, ale także treściowej i symbolicznej.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i najlepsze pozdrowienia dla Pani Profesor i Pani Autorów

Andrzej Szwalbe

* * *

Bydgoszcz, dnia 8 lipca 1980 r.

Szanowna Pani Profesor,

Gdy patrzę na projekt „Poloneza” i zestawiam go z utkaną już niemal w całości predellą, w której tak chwalebnie zaznaczyło się dążenie do kolorystycznego wysubtelnienia, co czyni z niej fragment zupełnie porywający, to wydaje mi się, że ostra w konturze i kontraście bieli – czerni, typowo Steinwayowska klawiatura jest w tej chwili o wiele za twarda, za ostra. Skojarzenia muzyczne

wskazywałyby na potrzebę zastosowania i w tym miejscu czulszej gry półtonów, większego liryzmu i miękkości, gdyż w polonezach Chopina, w miejscach nawet najbardziej ekstatycznych i tym samym silnych dynamicznie, nigdzie nie wychodzimy poza piękny artystycznie dźwięk, nigdzie nie ma miejsca na ostrość czy kanciastość.

Najprawdopodobniej wzorcem dla autora gobelinu był Steinway, czy Bechstein współczesny, szczerzący swe zęby i raczej tendujący ku czystej sferze skojarzeń z Gershwinem, Prokofiewem, Bełą Bartokiem (*Allegro Barbaro!*). O ileż więcej poezji znajduję w pozólktych ze starości płytkich klawiaturach (klawisze nie są tak wysokie, jak obecnie) XVIII- i XIX-wiecznych fortepianów. A że mamy ich w swojej kolekcji filharmonicznej aż około trzydziestu, posyłam fotografię jednego z nich – mianowicie Pleyela, godnie reprezentującego wykwiłtne tradycje słynnej firmy paryskiej. O ileż bogatszy jest ten instrument różnorodnością barw i artykulacji i subtelniejszy dynamicznie od współczesnych, technicznych „maszyn” do grania. A Chopin grał właśnie na czymś takim i moc jego polonezów wyrastała nie z fizycznej siły brzmienia, lecz z głębokiego liryzmu i kontrastu typowo dramatycznego.

Głosuję więc za przetworzeniem w tym kierunku gobelinowej klawiatury i pozostaję z wyrazami głębokiego szacunku.

Dyrektor

Andrzej Szwalbe

* * *

„Przecież nie zasługiwałyby na swe miano człowiek, gdyby nie powstawał przeciwko temu, co go ogranicza, więc przede wszystkim przeciw nieuchronności przemijania, gdyby nie tęsknił do nieśmiertelności. Taką postawę sprzeciwu najdobitniej wyraża postać niewieścia w «Ad Matrem». I chyba jeszcze jedno odczytujemy w jej geście – w tym ekstatycznym odrzuceniu w tył głowy: on brzmi jak protest, jak sprzeciw wobec bezduszności kosmosu i skrajnego determinizmu, będącego jego podstawową zasadą”.

(Ze wstępu Szwalbego do *Harmonii sfer i Mare Nostrum*)

Gdańsk, 20.06.1980 r.

Szanowna Pani Profesor!

Zapewne już Pani zauważyła, bardzo mi na tym zależy, by „Ad Matrem” p. Olszewskiego przejawiało tchnienie nieskończoności. Otóż przyjmując, iż najgłębszą warstwę znaczeniową (nie plastyczną) tego dzieła jest wołanie człowieka o odzew jakiś, wszakże ginące w bezmiarze zimnego i wrogiego człowiekowi kosmosu, wszechświata – wiązałem tę sytuację z ujawniającym się jakoby w niej automatycznie walorem nieskończoności. Zupełnie jakby pomiędzy wszechświatem i nieskończonością istniał stosunek niemalże tożsamości.

A przecież ta nieskończoność, którą mam na myśli – idealna, absolutna, jest z innej zupełnie płaszczyzny bytu, w której nie ma znaczenia jakiegokolwiek wymiar przestrzeni względem czasu. I skąd wiadomo, czy życie duchowe takiej bezgranicznej drobiny, jak jednostki wobec kosmosu, nie jest bliższym nieskończoności punktem odniesienia – od całego Universum? Całego – godzi się powiedzieć teraz zwłaszcza, gdy fizykalne pojęcie nieskończoności skurczyło się dość nagle, bo pod wpływem teorii Einsteina do rozmiarów rozszerzającego się (na razie, do czasu) Wszechświata. Ale i w historii filozofii zawsze uprawniona – co najmniej – była wątpliwość, czy aby w rzeczywistości materialny i rzekomo bezmierny wszechświat jest egzemplifikacją idealnej, absolutnej nieskończoności? A obecnie? Obecnie może jeszcze nieskończoność matematyków i filozofów przechowa ją dla ludzkości. Wracajmy wszakże do naszego gobelinu, w którym pragniemy uzyskać przeczucie idealnej nieskończoności poprzez zawartą w nim uniwersalistyczną treść.

Mówiła mi dzisiaj Pani Profesor o gamie kolorystycznej, w której ma być rozegrany wierzchołek gobelinu. Myślę, że daje ona sposobność w kontraście do mrocznych niebieskości partii dolnej – do ukazania czegoś jak brzask, czy świt, rozjaśnienie, czy – tak właśnie! – prześwit Heideggerowski. Słynny prześwit, który spojrzeniu otwiera drogę ku następnym głębiom i rejonom, już tylko przeczuwanym. Muzyka Góreckiego chętnie otwiera się na taką hermeneutykę, która z pewnym powodzeniem bywa do niej stosowana (Bohdan Pocij). Poza tym mam na uwadze sprawę ram cyklu i jego diapazonu. Co do ram

najpierw – stanowi je z jednej strony uwikłany tysiącem detali w historię rodzimą gobelin p. Ostrowskiego „Koncert na Wawelu”, z drugiej – „Ad Matrem” p. Olszewskiego, otwierające się ku temu, co już ponadczasowe. A to napięcie pomiędzy obu krańcowymi biegunami wyznacza też skalę diapazonu całego cyklu – zupełnie niezwykłą.

Pozostaję z wyrazami głębokiego szacunku

Andrzej Szwalbe

* * *

Dołączamy jeszcze do tego cyklu *panneau* Józefy Wnukowej pod tytułem „Morze Prusów”, traktujące o narodzinach najdawniejszej i pierwszej w ogóle polskiej legendy państwowej. Mamy do czynienia w nich wszystkich z postacią czasu najbardziej uchwytną i wciąż doświadczaną. Jakże jednak sytuacja ta się zmienia w miarę, gdy przechodzimy do kolejnego cyklu pod tytułem „Harmonia sfer”. A stanowi tę harmonię rytm zdarzeń, stanów i procesów, określających ludzką egzystencję: w *malowidle* Kiejstuta Bereźnickiego odnajdujemy narodziny i śmierć, okres dziecięcy i dojrzały, miłość i nieuchronne rozstania. Oto kamienie milowe szlaku, jaki wszyscy mają do przemierzenia. Zanurzeni bez reszty w medium czasu, jakże inaczej doświadczamy go, aniżeli poprzedni: tamten, historyczny, przyjmowaliśmy jako kogoś, kto przychodzi z zewnątrz, był on bowiem czymś całkowicie zobiektywizowanym, przedmiotowym. Ten natomiast, związany z każdą z osobna egzystencją, niezależnie od tego, kiedy i gdzie istniejącą, jest najgłębiej naszym własnym czasem, wyłącznie subiektywnym. Tym bardziej zaś okazuje się takim, im dalej sięgamy w obszar psychiki ludzkiej, by odnaleźć tam dalekie odbicie powszechnej harmonii, której cząstką przecież jesteśmy.

Wydaje mi się, że dzięki temu otrzymujemy klucz do rozszyfrowania dzieła Jerzego Krechowicza również pod tytułem „Harmonia sfer” (co wszakże w tym przypadku brzmi dość przekornie).

(Ze wstępu Szwalbego do *Harmonii sfer*...)

* * *

Bydgoszcz, dnia 26 marca 1983 r.

W. Pani Profesor

Józefa Wnukowa

Szanowna Pani Profesor,

Myslałem wiele o Pani idei przeciwstawienia sobie grup św. Wojciecha oraz Prusów i dochodzę do wniosku, że jest ona znakomita – także z muzycznego punktu widzenia. Klasyczna forma wywodzi się w muzyce z opozycji dwóch podstawowych tematów. Mamy je w „Mare Prussorum” – „Mare Nostrum”. Z jednej strony Oni – groźni w swym milczeniu, z drugiej przyszły patron Polonorum, od wewnątrz promieniujący światłem pokoju i siły, na swój sposób radosny. I oto mamy zawiązek dramatu, tragedii, symfonii, gdyż nad znikającym w opadających dysonansach motywem pierwszym zaczyna się rozrastać i potęgnić chorał Wojciechowy w blasku trąb, waltorni i puzonów. Oczywiście zwycięski, i tak w finale mamy apoteozę. Będziemy przeto mieli wreszcie gobelin muzyczny immanentnie, co uważamy za wielką szansę, a także następną po „Ad Matrem” dominantę w zbiorze.

Z największą ciekawością czekamy na projekt w skali 1:1.

Z wyrazami szacunku i najlepszymi pozdrowieniami

Andrzej Szwalbe

* * *

Pan doc. Jerzy Krechowicz

Gdańsk-Zaspa

Szanowny Panie Docencie!

Po szczegółowym przeanalizowaniu rozlicznych wątków Pańskiego, jakże interesującego projektu gobelinu „Harmonia sfer”, które zdają się sprowadzać do dwóch głównych nurtów, mianowicie egzystencjalnego i antropologicznego, doszedłem do wniosku, że najbardziej zsyntetyzowałby je i uwypuklił fragment wersetu dwudziestego szóstego z rozdziału pierwszego Genesis zanotowanego zwykłym pismem greckim z łacińską transliteracją:

„Uczyńmy człowieka na obraz nasz i podobieństwo”. Z tymi słowami, nasyconymi mądrością i jakże godnymi, pojawi się nowy wymiar ludzkiego istnienia – pomiędzy narzuconą życiu codziennością, a wezwaniem do najwyższych przeznaczeń. Fotokopie całego tekstu, w formacie 18 x 24 cm, z odznaczającego się oryginalnością litery greckiej zabytku siedemnastowiecznego proveniencji włoskiej, dostarczę do końca bieżącego miesiąca. Volumin ten pochodzi ze zbiorów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego.

Pozostaję z wyrazami szacunku

Dyrektor mgr Andrzej Szwalbe

* * *

Fragment rozważań Szwalbego nad wymową gobelinów:

„O ile interwencja jakichś przemożnych impulsów może zakłócić harmonię życia wewnętrznego i zagrozić wolności człowieka, to z otwartą determinacją, jako konstruktywną zasadą, spotykamy się w świecie «Rosiń i zwierząt». Rządzi nimi konieczność, a upływ czasu jest odmierzany następstwem epok geologicznych, zjawisk astronomicznych, czasokresów, w ciągu których giną i powstają całe gatunki przyrodnicze. To świat istot rzeczywistych, jak «Ptaki» Jerzego Zabłockiego, czy będących wytworem fantazji, jak «Jednorożec» Jerzego Krechowicza. A obok przyrody ożywionej: «Dmuchawiec» Kazimierza Ostrowskiego, mieszczący w sobie ogromne obszary także i przyrody nieożywionej, czego przykładem: «Na dnie morskim» Magdaleny Usarewiczowej i «Lapidarium» Mieczysława Olszewskiego.

Wszystko to, łącznie z nieogarnionym kosmosem, uzyskuje sens dla siebie poprzez przeciwstawienie światu człowieka – i przez ten fakt zostaje z nim związany na zawsze”.

* * *

Bydgoszcz, dnia 11 października 1984 r.

W. Pan, prof. Tadeusz Brzozowski

Wielce Szanowny Panie Profesorze,

Zwracam się do Pana z uprzejmym zapytaniem, czy mógłby Pan wykonać dla Filharmonii cztery malowidła o charakterze sztalugowym, jako dzieła ostateczne lub jako tzw. kartony (też na płótnie, techniką trwałą), do późniejszego przetransponowania na tapiserie, tkane metodą klasyczną (malowidła zostałyby umieszczone na czterech polach o wymiarze 185 cm x 300 cm, w pionie każde). Tematem poszczególnych malowideł miałyby być najpierw zjawiska najzupełniej elementarne dla wszelkiej doczesności, a więc:

– Czas;

– Przestrzeń,

a następnie idee wynikające już z poczucia transcendencji, a ujmowane przez filozofów jako:

– Wieczność i Trwanie;

– Istnienie, Bycie.

W oczekiwaniu na odpowiedź, pozostaję z wyrazami głębokiego szacunku

Dyrektor

Andrzej Szwalbe

* * *

Niespodziewanie w Rzymie Tadeusz Brzozowski umarł na skutek zawału. Szwalbe, wstrząśnięty tym nagłym odejściem wielkiego artysty, mówił do mnie:

– Prosiłem Tadeusza Brzozowskiego o temat wieczności, trwania, istnienia, a także czasu i przestrzeni. On to sprowadził do kwartetu, w którym każdy z głosów prowadzi swoją kwestię na temat wieczności, istnienia, przestrzeni, czasu. I tak powstał „Kwartet zapustny”, przedziwnie sarmacki z pozorów, w którym „Bas głosi wieczność”, a „Baryton rzecz o istnieniu”, natomiast „Tenor rozważa przestrzeń” i „Mezzosopran oswoja czas”. Właśnie – czas.

– I tak „Bas głosi wieczność”, „Baryton rzecz o istnieniu”, a „Mezzosopran oswaja czas” – to jednocześnie rzecz o ulotności naszego istnienia.

– Niewątpliwie tak i Tadeusz Brzozowski zdawał sobie z tego sprawę. Gdy u nas bywał, bo przyjeżdżał w związku z gobelinami i galerią malarstwa współczesnego dla Ostromecka – pełen był planów. Zaczął nosić się z tematem jeszcze jednego gobelinu: dla Muzeum Czartoryskich w Krakowie. Miał on nosić tytuł „Z szlachtą polską polski lud”. W jednym z listów donosił mi, że ma już nici do tego gobelinowego wątku: szlachta będzie tkana złotem, a srebrem lud. Nie zdążył już tego zrealizować, ale zaufani pracownicy dokończyli – slajd otrzymałem od bliskiego współpracownika artysty, Marka Kosowskiego, specjalisty tkactwa. Niestety, w Rzymie Tadeusz Brzozowski dostał zawału i umarł. Jeszcze przed podróżą otrzymałem od niego list: „Trudno mi uwierzyć, że lecę do Rzymu”.

* * *

W dziesiątą rocznicę śmierci wybitnego artysty, w maju 1997 cykl bydgoskich gobelinów „Kwartet zapustny” powędrował do Warszawy na wielką ogólnopolską wystawę, zorganizowaną przez Muzeum Narodowe przy współudziale muzeów Wrocławia, Krakowa, Zakopanego pn. „Tadeusz Brzozowski 1918–1987”. W związku z ekspozycją wyszedł ogromny, pięknie wydany katalog-album, a w nim zamieszczone zostały m.in. reprodukcje „Kwartetu” i listy Andrzeja Szwalbego do Brzozowskiego. Sam Szwalbe, podobnie jak Eleonora Harendarska, należeli do Komitetu Honorowego wystawy.

Mnie jednak najbardziej wzruszają dyskretne, a trwałe przyjaźnie, jakie zawiązuje Szwalbe z artystami, z którymi współpracuje. Bo przyjaźń może istnieć tylko między ludźmi o tej samej sile ducha. I ulotność ludzkiego istnienia nie ma na to wpływu.

Wycieczki za miasto i w głąb duszy miasta

– Oderwijmy się na chwilę, Panie Dyrektorze, od natrętnej współczesności i wybierzmy na wycieczkę do Ostromecka.

– *Stajemy się coraz bardziej duchowo właścicielami Ostromecka. Wydawałoby się, że romantyzm, który odcisnął na tym miejscu największe piętno, przeżył się nie tylko jako okres w dziejach myśli i sztuki. Jeśli jednak będziemy romantyzm odbierać jako postawę pełną intuicji i dynamizmu w przeciwieństwie do empirii, „szkiełka i oka”, jakie propagował klasycyzm – to możemy powiedzieć bez przesady, że naznaczył on swym piętnem dwa stulecia i w XX wieku w różnych dziedzinach życia. Do jego najnowszych przejawów należy na przykład Powstanie Warszawskie.*

– Wróćmy do Ostromecka. Co uderzyło Pana szczególnie w tym zespole pałacowo-parkowym?

– *Jest to dla Pomorza ważny obiekt zabytkowy, któremu romantyczny park nadaje oblicze jako całości. Poprzez ten kompleks zieleni z połowy XIX wieku, powstałej na miejscu ogrodu barokowego, zdominowany został krajobraz Ostromecka od owego czasu aż po dzień dzisiejszy. Oczywiście akcent romantyczny jest tu zjawiskiem wielowarstwowym. Stary Pałac – to klasycyzm, nowy – neorenesans. Te dwie epoki współgrają ze sobą. W okresie klasycyzmu narodził się język romantyczny, specjalny sposób wyrażania zjawisk. Widać to szczególnie na przykładzie Chopina, który wyszedł z klasycyzmu, jeśli idzie o formę – jest ona żelazna, wszechwładna. Ona to sprawia, że duch romantyczny nie staje się amorficzny. W przypadku Ostromecka mamy podobne zjawisko: szkoła klasycyzmu przyniosła doskonałą dyscyplinę artystyczną. Nie jest*

on zaplanowany według jakiegoś porywu – prezentuje świetny warsztat twórczy, podporządkowany zwartej dyscyplinie artystycznej. Doskonale z parkiem romantycznym harmonizuje neogotyckie mauzoleum.

– Mówił Pan o szeregu komponentów parku romantycznego w Ostromecku.

– Zieleni arcybogata już konserwowana, zaczyna ożywać! Jak pięknie i zgodnie z modą romantyczną rozwiązana! Pamiętajmy, że park barokowy objawiał się przybyszowi w całej swojej krasie siecią subtelnych alejek, regularnych, obsadzonych przyszczyżonymi drzewami. Przeciwnie, park romantyczny ewoluuje do myślenia o nieskończoności. Nie ujawnia zbyt pospiesznie swych tajemnic, wciąż pragnie zaskoczyć nas czymś nieznanym. Wężowe zakręty alejek tyleż odstaniają, co i zakrywają. Jest to skryty apel do przybysza, by wędrować. To park perypatetyków. Namawia też do kontemplacji ale w ruchu, nie w dużych grupach, lecz samotnie. W parku romantycznym pierwiastek krajobrazowy dosięgnął szczytu.

– Park ostromecki powstał z krajobrazów lasów nadwiślańskich.

– Właśnie! Projektant włączył rozległe połacie lasu, polany, niewielkie tylko czyniąc ingerencje. Dodał egzotyczne drzewa, uzyskał roztopienie się bez reszty parku w krajobrazie, którego granicę stanowi Wisła. Po lekturze Dymitra Lichaczowa o „Poezji ogrodów” właśnie w obecności Wisły widzę czynnik konstytuujący park. Romantyczny park wymaga, jak rzekłem, do swego zaistnienia ruchu, zmienności, a któż lepiej wnosi te wartości od Wisły, która tu właśnie pięknym przelosem płynie. I to poczucie dali, niezmiernie odległości wymaganej od wielkich założeń romantycznych, osiągamy przede wszystkim za sprawą Wisły. Te wiślańskie skarpy – dwa brzegi wyniosłe, zwieńczone lasem mieszanym, który biegnie po sam Gdańsk – są strefą krajobrazu chronionego. Poprzez inkorporowanie do pierwotnego ogrodu całej pierzei leśnej, znakomicie wpisującej się w ten krajobraz, staną się te tereny przedmiotem troski i szczególnej ochrony – nie zagrozi niebezpieczeństwo wycinania.

– Z biegiem czasu stanowić będą rozległy park krajobrazowy.

– Z pewnością. Dzięki Wiśle pojawia się też pewna karta narodowej historii, która powinna dotrzeć do świadomości bydgoszczan. Tymczasem, pomimo zbliżenia przez Fordon do Wisły, Bydgoszcz pozostała grodem nad Brdą.

I właśnie poprzez Ostromecko Bydgoszcz ujrzy swą Wisłę, przebudzi się nad nią, otworzy na nią jak Warszawa, Toruń, Płock. Byłoby to związane z całą poetyką narodowych przeżyć i tradycji, zaklętych w tej rzece. Oczywiście Wisła i tak kiedyś weszłaby w symbiozę z Bydgoszczą, ale jaka byłaby jakość tego wejścia? Jeżdżono kiedyś przecież do Fordonu na obiady i spacer, przejażdżki łódką po Wiśle. Ale takie wejście nie daje napięcia intelektualnego, jakie wielka rzeka wnosi w organizm miasta, gdy posiada własną hipostazę, która egzystuje w umysłach ludzkich. Dla warszawianina Wisła jest nie tyle zbiornikiem wodnym, co żywą postacią, spowitą we mgłę mitów i legend. Żeby tak Bydgoszcz swoją Wisłę zaczęła widzieć, a przestała w niej dostrzegać tylko „ciek wodny”! Tego bez udziału poetów, malarzy nie doświadczymy. Trzeba więc rzucić zaproszenie w stronę artystów: przybywajcie do Ostromecka, twórcie pejzaże, wiersze. To jest program na lata następne.

* * *

Na razie powołany został, jako samodzielna jednostka, Zespół Pałacowo-Parkowy, podlegający miastu.

Rok 1996

Wizji Ostromecka ciąg dalszy

No i znowu wyprawa w przyszłość – Andrzej Szwalbe kontynuuje swoją wizję Ostromecka:

– Aby w pełni wykorzystać to wspaniałe miejsce, warto stworzyć w Ostromecku także muzeum szlachty pomorskiej i chłopstwa pomorskiego. Wzbogacilibyśmy w ten sposób swą wiedzę o Pomorzu – ujrzelibyśmy ubiegłowieczne wspólnoty menonitów, o których pisał Grass w swym „Błaszonym bębenu”, a którzy dotrwali do czasów obecnych. Obok w polu naszego widzenia pojawiłoby się autentyczni Holendrzy i hugenoci, którzy masowo przybyli z Francji po nocy św. Bartłomieja. Prócz tego Austriacy, wygnani z Salzburga, Szwajcarzy ciągnący do Prus Książęcych i po drodze osiadający na Pomorzu. Dzieje tych przybyszów to białe plamy w historii Pomorza. A przecież żyły tu znakomite polskie rodziny Przepędowskich, Tuchołków, Działyńskich, Czapskich. Sprawa wymaga długich studiów nad życiem dworów, wsi, osad, konwentów, rozlicznych opactw i parafii. Poprzez powołanie muzeum złożylibyśmy hołd tej nieistniejącej już warstwie: szlachcie oraz chłopstwu pomorskiemu, którzy byli solą tej ziemi.

– W świetle przytoczonych wyżej argumentów widać wyraźnie, dlaczego przywiązuje Pan taką wagę do restauracji Ostromecka, odnowienia parku, przywrócenia życia całemu kompleksowi, tak związanemu z tradycją.

– Zawsze będę akcentował wagę tradycji – inaczej może w mentalności narodu wytworzyć się jakaś pustka. Romantyzm, na którym na równi z klasycyzmem się wychowałem, niejednokrotnie pchał Polaków ku decyzjom niepraktycznym, ale był mieczem narodowej wyobraźni. I właśnie jeśli idzie o wyobraźnię jest dziś czas na wołanie na alarm. Chodzi mi o świadomość estetyczną społeczeństwa. Zatracimy ją, jeśli nie będziemy chronić takich enklaw romantyzmu jak

Ostromecko – podobnie jak chronimy piękno katedr gotyckich, renesansowych kolumn. Ostromecko, które, nota bene, przez całe swoje dzieje było w rękach polskich (Ostromeccy, Dorpowscy, Mostowscy, Schönbornowie), a jedynie przez 60 lat władali nim Alvenslebenowie, w końcu i tak mocno spolszczeni. Ten piękny kompleks zabytkowy, otoczony romantycznym parkiem – powinien zapładniać naszą wyobraźnię. Jeśli chcemy uprawiać rolę pod zasiew nowego, zachować trzeba najszlachetniejsze uprawy, z których nowe może dopiero wyrosnąć.

– W czym widzi pan największe zagrożenie?

– W myśleniu wyłącznie biznesowym. Nie zaliczam go do myślenia nacechowanego refleksją, umiłowaniem piękna. To pragmatyczne myślenie nie może zastąpić sposobu poznawania rzeczywistości, jaki niesie prawdziwa sztuka, umiłowanie tradycji. Dlatego z całą świadomością sięgam do przeszłości, skąd można się wiele nauczyć, zwłaszcza gdy idzie o wizję Polski nie tylko bogatej w dobra materialne, ale widzącej, czerpiącej szczęście w tym życiu z myśli, refleksji, odczuwania, podziwiania piękna i mądrości...

Miasto skazane na wielkość...?

– Jak kształtował się Pana stosunek do Bydgoszczy – miasta obcego przecież dla człowieka przybyłego z Warszawy?

– *Nie pozwoliłem sobie nie lubić miasta, choć początkowo wiele rzeczy mnie drażniło – inny sposób odczuwania, inne idiomy, pewna rubaszność w podejściu. Znalazłem się w obcym świecie i po cichu niektóre rzeczy postanowiłem zmienić. Gdy poznałem niewątpliwe wartości ludzi Pomorza, pewne ich przywary zacząłem lubić jako barwę lokalną, przydającą kolorytu. No i dzięki żonie, Dobrusi, zakochanej w Bydgoszczy, w wielkim stopniu zyskałem zdolność pozytywnej oceny. To z kolei bardzo mnie wzbogaciło. Mieszkańcy są rzetelni w tym fundamentalnym znaczeniu, że realizują podjęte zobowiązania. A to dużo.*

– A w czym Pan zobaczył potencjalną wielkość Bydgoszczy?

– *W jej możliwościach. Trzeba tylko, żeby mieszkańcy w nie uwierzyli.*

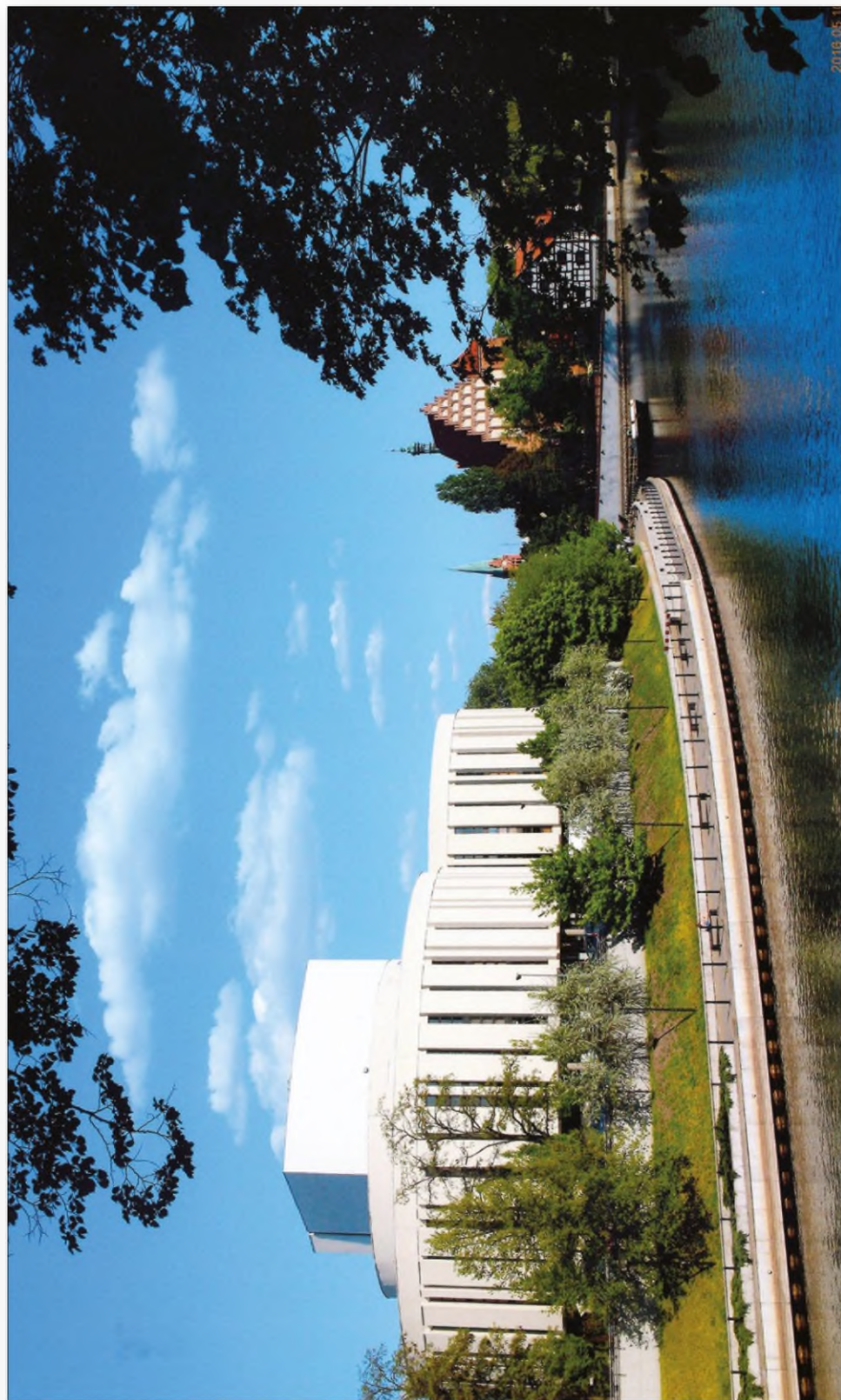
– Czym jest więc tradycja?

– *Odpowiem Pani w ten sposób: człowiek w niej nie zakorzeniony nie może związać się z ziemią, czuje się uboższy – i jest to kompleks ubóstwa bardzo dotkliwego, które wpływa na całą sylwetkę duchową człowieka, odbiera mu pewność, śmiałość, poczucie siły, które zyskuje się poprzez zakorzenienie.*

– Co tkwi u podłoża chłodu tego miasta?

– *Niewątpliwie kompleks niższości, głęboko gdzieś tkwiąca niewiara, że tu może zaowocować coś naprawdę dobrego. Stąd równanie w dół, by nic nie wyrastało ponad przeciętność, stąd też niewdzięczność wobec tych, którzy poza przeciętność wykraczają.*

Musi więc miasto uwierzyć w siebie. Podobnie jak człowiek z kompleksem niższości jest raczej nie lubiany i pomijany, bo skrycie wszystkich podejrzewa o lekceważenie, miasto, zarażone niewiarą w siebie, nie może przywiązać lu-



Fot. Wiesława Woźna

2018.05.11

Opera Nova, której społecznym inwestorem był Andrzej Szwalbe, budowana w latach 1976–2006 według projektu Józefa Chmiela i Andrzeja Prusiewiczza



Fot. Wiesława Wolna

Biblioteka Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego

dzi rzutkich, utalentowanych, bo ma do nich stosunek trochę podejrzliwy – odpycha jakby w obawie, że oni obnażą wszystkie jego małości i kompleksy.

A szkoda, bo w ten sposób wiele dobrych chęci zostało zmarnowanych, wiele nadziei na wzajemną bliskość – zawiedzionych. Niejednokrotnie ci, co chcieli zobaczyć w Bydgoszczy swą „najmniejszą ojczyznę” – udali się szukać szczęścia gdzie indziej. To wielka strata potencjału tkwiącego w ludziach, którzy chcą się tu zakorzenić. A każdy z nas jakąś prowincję musi uznać za swoją. Słowo „prowincja” nie ma tu negatywnego znaczenia. Istnieje piękne powiedzenie: „kto nie jest z prowincji, jest znikąd”. Jeśli nie chcemy być znikąd, musimy to powiedzenie uznać za drogowskaz.

(K. Starczak-Kozłowska, wywiad z A. Szwalbem z 1979 r. pt. Kto nie jest z prowincji, jest znikąd)

– Powiedział Pan przed laty o Bydgoszczy: „miasto skazane na wielkość”.

– *I wydaje się dziś, że ta idea uzyskała dodatkowe wsparcie, może być łatwiej realizowana niż przed laty to sobie wyobrażaliśmy. Symptomy wielkiej Bydgoszczy widać w handlu, a i przemysłowo jesteśmy na tyle silni, by w zjednoczonej Europie być partnerem regionów innych państw, zwłaszcza przemysł chemiczny i rolnictwo towarowe wybija się na czoło. Bydgoszcz na pewno będzie stanowić gospodarczą stolicę okręgu dolnej Wisły i ważny ośrodek kulturalny.*

– A jako centrum intelektualne?

– *Bydgoszcz pod tym względem podciągnęła się na przestrzeni lat bardzo, zwłaszcza gdy idzie o plastykę, literaturę, że nie wspomnę o muzyce. Rozwinęło się u nas szkolnictwo wyższe: Akademia Medyczna, Wyższa Szkoła Muzyczna, Akademia Techniczno-Rolnicza, Wyższa Szkoła Pedagogiczna.*

– Mówiąc o Pana działalności jako długoletniego dyrektora Filharmonii Pomorskiej, a jednocześnie społecznego inwestora tylu ważnych obiektów i instytucji kulturalnych, dotykamy niemal wszystkich sfer bydgoskiej kultury, a także poniekąd nauki. Czy Pana wielostronne działania znajdują dziś swoją kontynuację?

– *Na pewno tak. Nie ustał nawet wielki wysiłek, żeby sfinalizować budowę Opery, która była projektowana jako opera dla całego regionu właśnie. Znako-*

micie działa BWA, gdzie również przeświet między budynkami wykorzystany jest na cele ekspozycyjne, bo miejsca nie starcza. Gdy wyprowadzi się Opera, cały budynek Pomorskiego Domu Sztuki powinien być wykorzystany na cele plastyczne, na stałą ekspozycję współczesnej sztuki Bydgoszczy i regionu. Że rozwój kultury i sztuki w Bydgoszczy idzie w upragnionym przez nas kierunku – widać to chociażby w poziomie krytyki literackiej, plastycznej, teatralnej. Wiadomo, że łatwiej ewokować same procesy twórcze niż refleksję nad nimi, która przychodzi trochę później. Jest ona jak przysłowiowa sowa Minery, wylatująca o zmierzchu. Są i inne gwarancje pomyślnego rozwoju sztuki w naszym mieście. Udziela ich system szkolnictwa wyższego artystycznego – muzycznego, być może będzie i plastyczne na przykład w WSP, przekształconej na uniwersytet. Cenne, że ma ono charakter z natury rzeczy konserwatoryjnego kształtowania postaw, twórczych osobowości.

– Zauważył Pan, że Bydgoszcz nie ma już tak silnego zadawnionego kompleksu prowincji?

– *Tak, to wielka radość. Na naszych oczach się to stało! Nie jesteśmy już miastem prowincjonalnym, co prześladowało nas kiedyś. Ludzie urodzeni w powojennej Bydgoszczy nie mają już żadnych skrępowań, a nowe pokolenie jest w pełni świadome swego wielkomięjskiego pochodzenia. Bydgoszcz przekroczyła pewien próg wielkości, pozbyła się kompleksów, poczucia niższości, nabrała nawet pewnej śmiałości.*

– Pan należał do tych, którzy wyprowadzili Bydgoszcz z zaścianka.

– *Odczytałem tylko znaki czasu. Bydgoszcz sama dojrzała do świadomości swojego znaczenia i roli.*

– W naszych rozważaniach gdzieś na boku została Warszawa – Pana miasto urodzenia i młodości.

– *Tęsknię do niej coraz bardziej, ale moją „wypracowaną” najbliższą ojczyzną jest Bydgoszcz. Przyznaję: myślenie o niej – to moje hobby.*

– Nie zawsze bywa ona wdzięczna.

– *Do jej uroku należy pewna chropawość.*

– Pan stale zajęty myśleniem o przyszłości. A nasza teraźniejszość?

– *Będzie mgieniem tylko. To chwila ulotna i przelotna, taka na jaką nas stać. Więcej w niej dobrego, niż złego – i to jest zadatek pozytywny. Zatraska-*

nie budzi jedynie pewne prostactwo życia politycznego, co można wytłumaczyć tym, że elity polityczne jeszcze nie są ukształtowane. Za pewien czas nabiorą ogłady, a co najważniejsze – zaplecza etycznego. W miarę duchowego kształtowania ich sposób bycia będzie stawał się właściwy, godny, więc to, co dziś nas razi – złóżmy na karb okresu przejściowego.

– Zmieni się również postrzeganie kultury?

– *Znając prawidłą rozwoju dziejowego, należy mieć nadzieję, że gdy dokonają się wszystkie procesy prywatyzacji i rozwoju przedsiębiorstw, nowa elita również w sprawach kultury będzie na tyle światła, iż będzie się czuła zaszczycona, że może ją wspierać. Proszę zwrócić uwagę, że wszystkie systemy władcze właśnie w kulturze widziały urzeczywistnienie swej dziejowej misji – Napoleon, Ludwikowie, cesarze austriaccy, monarchowie angielscy. U nas również ci członkowie elity, którzy wolą pójść na mecz futbolowy niż na przykład na koncert, zastąpieni zostaną przez tych, którzy z satysfakcją wolą posłuchać muzyki. Takie są prawa sublimowania się elit.*

Rola outsidera...

– Mówił Pan o konieczności intelektualnego skoku miasta?

– *Skrzetność, pracowitość związana z ciężkim urobkiem wciąż jest cechą dominującą miasta. Bydgoszcz przed tym, jakże ważnym, przeznaczeniem trochę się broni – żeby przejść na drogę bardziej wysublimowaną w sferze twórczości.*

Niemniej ten proces musi się odbywać – i widzę taką zależność: gdy Bydgoszcz nie jest dostrzegana, a przed nią wysuwa się Gdańsk, Poznań czy chociażby Toruń, to przyczyna tkwi w tym, że taka wytwórczość w sferze fizycznej nie budzi zaciekawienia, a jedynie to, co się dzieje w sferze kultury. Bydgoszcz musi więc zyskać twarz ośrodka intelektualnego – od tego zawisła jej ocena w skali nowej Europy.

I nie może to być tylko postępowanie metodą małych kroków. Tu potrzebny jest wzlot, skok, zaistnienie nowych jakości. Chcąc osiągnąć coś, co się waży – trzeba zdobyć się na śmiałość skoku intelektualnego, ryzyko skoku. Trzeba do tego innego sposobu poruszania się w skali społecznej. Inaczej będzie Bydgoszcz miastem podrzędnym, nieciekawym.

Wołanie o pójście dalej, odbicie się od dotychczasowego poziomu – to moja rola outsidera, bydgoszczanina z wyboru.

O szczęściu

Dziesięć lat temu zwróciłam się do Szwalbego z takim pytaniem:

– Pan należy do ludzi, którzy potrafią nadawać realne kształty swoim ideom. Więc chyba Pana mogę spytać: co to jest szczęście?

– *Nad tym tematem, przyznam, nie zastanawiałem się. Owszem, były momenty szczęśliwe i nacechowane bólem, nie próbowałem jednak definiować szczęścia, ani pomnażać jego zasobów. Na swój dorobek nie patrzę, nie lubię podsumowań, jubileuszy. Tak, proszę Pani, nie chcę uwięzić szczęścia, nie jest mi ono potrzebne. Dla mnie istnieje tylko praca plus dążenie. Przyjemność największa – gdy coś dobrego przeczytam lub zrozumiem, co jeszcze można uczynić.*

– Tak Pan mówił w wywiadzie o znamienym tytule: *Szczęście nie jest mi potrzebne* dziesięć lat temu:

– *Dziś dalej o szczęściu w potocznym tego słowa znaczeniu niewiele mam do powiedzenia. Myślę, że jest ono produktem ubocznym, nie może być celem samym w sobie. Niemożliwe jest do osiągnięcia inaczej niż przez realizację ważnych zadań życiowych, tych, które człowiek przed sobą stawia, ale nie mogą one dotyczyć tylko jego samego. No bo wówczas cóż to jest za szczęście? Jakiś ulotny stan, chwila, moment. Nie warto tym sobie zawracać głowy, igrać z czymś tak nietrwałym i nieuchwytnym, jak szczęście.*

– Profesor Tatarkiewicz w swej książce „O szczęściu” określa szczęście jako stałe i uzasadnione zadowolenie z życia.

– *To wspaniała książka, ale tak zdefiniowany przez niego stan świadomości niemożliwy jest chyba do osiągnięcia. Tak na co dzień, niejako z marszu, nie da się szczęścia zatrzymać. Uskrzydla nas dążenie, uszczęśliwia moment realizacji. To są chwile tylko. A potem pojawia się nowe dążenie i znowu moment*

radości. Cieszymy się, że osiągnięcie celu daje radość innym – bez tego nie ma stanu, który Pani nazywa szczęściem. No i trzeba biec dalej – tak wyglądało całe moje życie.

– Myśli Pan, że istnieje swoista równość w przydziale szczęścia – tylko że jedni sobie na nie zapracowują, drudzy nie?

– *Tak, i ci drudzy bywają niespełnieni, nieszczęśliwi. Pragnę jednak zaznaczyć, że szczęścia – choć ja unikałbym tego słowa, a zastąpił go głęboką satysfakcją z życia – doznałem, nie tylko przez realizowanie dążenia, lecz także przez myślenie, odczuwanie świata. Mam świadomość, że idziemy tą wąską ścieżką między życiem a śmiercią, z głęboko gdzieś ukrytą nadzieją – a jest nią potrzeba sensu.*

– Nasuwają mi się słowa Herlinga-Grudzińskiego: „z materii w rozpadzie, ze śmierci zanurzonej w życiu wydobywa się jakby daleki odblask nieuchwytnego światła”.

– *Zwornik Świata rozumie nas w naszej nicości. To przeświadczenie uszczęśliwia. I znowu użyłem określenia, przed którym się wzbraniałem.*

– Mówił Pan o potrzebie sensu...

– *Ja ten sens znalazłem w dążeniu, kształtowaniu rzeczywistości. Jednocześnie z pokorą przystaję przed tym, co nienazwane i co wymyka się poznaniu. Świadom jestem, że ludzki los ma wymiar transcendentny, a człowiek sam, mimo swej ograniczoności, zanurzony jest w odwiecznym porządku kultury, w Bożym porządku natury.*

* * *

– Więc dzisiejsze Pana spojrzenie na szczęście?

– *Może to Panią zdziwi, ale szczęście zarysowuje mi się jako rodzaj łaski. Nie chodzi tu o łaskę żywą, którą otrzymujemy od Boga, ale o ową łaskę intelektualną, która pozwala nam odczuć świadomość szczęścia, mimo że jesteśmy zmęczeni, udręczeni i brak nam ochoty na żywsze manifestacje naszego stanu. Nawet wówczas czujemy, że jesteśmy nią, tą łaską otoczeni.*

W istocie łaski leży to, że chcę ją mieć, przyzywam ją, ale istnieje jakaś jej suwerenność, samodzielność, która decyduje, czy mnie swym ramieniem otoczyć.

Ludzie często nie wiedzą, czy są w stanie tej łaski. Nie utożsamiam však z nią owego spokoju, który wiąże się z tym, że swoje zrobiłem. To jest mój stan wewnętrzny, subiektywny – owo przeświadczenie, że jest Ktoś nade mną, Kto się mną opiekuje i swą łaską otacza.

Powtarzam: mogę być zbolaty, leżeć w łóżku szpitalnym i być szczęśliwy – obiektywizując to szczęście, sprowadzając je nie do przyjemnych stanów, lecz do abstrakcyjnego duchowego klejnotu, którym jestem lub nie obdarzony. Być może, mam nad sobą tarczę łaski – szczęściem jest jej doznawanie nawet bez świadomości tego faktu. Może ktoś, kto mnie wówczas widzi, powie, że chyba jestem szczęśliwy.

Na codzień mylimy szczęście ze stanem psychofizycznym – gdy się dobrze czujemy, mamy komfort psychiczny i fizyczny. Może wówczas w obiegowym znaczeniu jesteśmy uważani za szczęśliwych – ale nasze prawdziwe szczęście, ta ogromna łaska – znajduje się w rękach Wielkiego Dysponenta.

– Biorąc jednak pod uwagę wspomnianą definicję prof. Tatarkiewicza – powinien Pan mieć „trwałe i uzasadnione zadowolenie z życia” – zrobiwszy tyle dla bydgoskiej kultury?

– *Nie wypada mi o tym mówić. Nie jestem dobrym rachmistrzem w zestawieniu własnych aktywów i pasywów. To tak, jakby ktoś powiedział: ja już jestem święty, proszę państwa!*

– Bo właśnie przestałby być świętym, wygłaszając takie słowa? Ale Pańska działalność tak jest wymierna, rzekłabym: namacalna w dobrych owocach.

– *O, nie, bo wiele wątpliwości wynika z niepełności i niedoskonałości poczynań, błędów, niedociągnięć i grzechów, jakimi droga nasza jest usłana. Ta świadomość obciąża cieniami naszą ścieżkę – w miarę upływu lat obraz wykazuje coraz więcej niedoskonałości. Co do niejednej motywacji można mieć wątpliwości. I coraz więcej jest momentów, w których z żalem człowiek nad sobą samym się pochyla – że był tak niedoskonałym, niedobrym. O, nie, to nie jest obraz coraz piękniejszy, posągowy, bo coraz liczniejsze są cienie... Rachunek nie jest na tyle pozytywny, jednoznaczny, by obiektywnie go ocenić.*

A jeśli kiedyś, w wywiadzie, powiedziałem Pani, że szczęście nie jest mi potrzebne – to miałem na myśli owo szczęście w obiegowym tego słowa znacze-

niu, w sensie zadowolenia z życia, dobrego samopoczucia. Ale w sensie łaski, która nas opromienia – potrzebne jest każdemu.

Sens życia

– Jeśli nie podejmiemy wysiłku przebudowania naszego myślenia w wypadku kardynalnego życiowego błędu – nawiązałam do naszych poprzednich rozmyślań o sumieniu – następuje, co sama stwierdziłam, coś w rodzaju wewnętrznego umierania. Gdy zdobędziemy się na ten trud – możemy dojść natomiast do odrodzenia.

– Tu zbliżamy się do refleksji nad sensem życia – podjął wątek Andrzej Szwalbe – trzeba ciągle od nowa podejmować ten trud, o którym Pani mówi, żeby zdobyć się na coś takiego, z czego wyniknąć może nasza kolejna pożyteczna praca czy nawet droga. Jest to algorytm, dla niektórych droga ad absurdum, bo droga nieskończona. Ale mnie to właśnie jest bliskie: ów obowiązek ciągłego myślenia, poznawania, wartościowania zjawisk, żeby wyciągnąć odpowiednie wnioski. Może dla kogoś jest to punkt widzenia bardziej statyczny, mniej w nim dynamiki, pierwiastka przestrzenności, bardziej związany jest z trwaniem w czasie.

Być może takie rozumienie sensu życia jest dla mnie właściwe, ponieważ muzykę traktuję jako znaczącą część istnienia. Kilkanaście lat ćwiczenia na fortepianie nauczyło mnie szacunku dla działań, które trwają w czasie. Nałożyły się na to doświadczenia życiowe i tak powoli człowiek wychodząc w swym życiu z przestrzennego bycia – zaczyna później układać je w ciągi czasowe. Nigdy zresztą nie byłem namiętnym podróżnikiem, mogłem sobie zawsze odmawiać podróży. Ale zawsze musiałem myśleć, przewartościowywać, przetwarzać.

– I to jest zasadnicza treść Pana życia? – spytałam zapatrzona w te jego podróże wewnętrzne, tak bogate w doznanie tego, co ja nazywam esencją, głębią, a może po prostu mądrością.

– Skoro ma się okazję oglądać tyle krajobrazów wewnętrznych – Szwalbe w lot chwyta moją myśl niewyrażoną w słowach – niknie żądza ogląda-

nia tego, co na zewnątrz. Nie gustowałem nigdy w cyrku, wielkich zabawach, korowodach tanecznych, choć patrzeć na nie lubiłem – ale mogłem się odwrócić w każdej chwili.

– *Może to kwestia wyobraźni?*

– *Może. Wystarczy mi usłyszeć dźwięk odrzutowca, nie muszę oglądać pokazów lotniczych. Buduję obraz świata niczym Żyd nad Talmudem czy innymi księgami. Doskonale rozumiem tych ludzi o zapadłych piersiach i oczach wyblakłych od czytania – oni mieli w sobie cały świat. Rozumiem także tych, którzy przy świeczkach łojowych rozczytywali się w dziełach Tomasa z Akwinu – jest on dla mnie niedościgłym wzorem myślenia doprowadzonego do ostatecznych konsekwencji. Na tej zasadzie mogę zrozumieć muzykę bezdźwięczną i malarstwo bezbarwne, abstrakcyjne czy konceptualne, bo te zjawiska w czysto pojęciowej formie, odarte z materialnej postaci, bliższe są Absolutu. Nie mogą pokazać się w bogactwie dźwięku, kształtu czy barwy, doprowadzone są do swej istoty.*

– *Czy tak uważał Pan zawsze?*

– *Nie. Na to złożyła się suma doświadczeń życiowych, trzeba też było posłużyć się niejedną lekturą. No i wyjść ku swym myślowym twórcom w zgodzie z własnym przekonaniem najgłębszym, że mamy niepisane prawo te parę kroków postawić, sprawdzając się wciąż od nowa. Może dlatego u mnie koniec początkowi się kłania.*

O dobrym sąsiedztwie

„Wszechnica bydgoska powstaje, najnaturalniej w świecie, jako emanacja lokalnej społeczności naukowej i kulturalnej, której dalszy rozwój wiąże się z przekroczeniem progu akademickości przez własne szkolnictwo wyższe – humanistyczne przede wszystkim. Równocześnie społeczność ta zdaje sobie doskonale sprawę z faktu, iż przeoranie intelektualne całej metropolii, tudzież bezpośrednio związanego z nią zaplecza – rejonu, nie nastąpi bez kreowania uczelni typu uniwersyteckiego, bez osmozy wartości naukowych i kulturowych do szerszych warstw, i vice versa, socjalnych do świata intelektu.

I właśnie ta okoliczność powoduje, że nie sposób wyobrazić sobie Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, tak silnie uwarunkowanego przez cały zespół czynników hic et nunc obowiązujących, kolizyjnym w czymkolwiek z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika, naznaczonym silnie cechą uniwersalizmu. Zarysowują się więc, pocieszająco, dwie rzeczy naraz – quasi-komplementarność w przedmiocie oraz – co ma niemal rangę odkrycia dokonanego w coraz bardziej zatłoczonym świecie – istnienie rasowej «pustaci» osiedleńczej, kulturalnej i cywilizacyjnej pomiędzy dawnym Hinterpommern Brandenburgią i obszarem nadnoteckim. Ciekawe, swoją drogą, jak słabo absorbowata ta kraina wpływy, mogące iść od fundacji uniwersyteckich XV wieku Rostoku i Gryfii, albo XVI wieku Królewca i Frankfurtu Nadodrzańskiego. Obecnie tereny latyfundialne znalazły się w rejonie promieniowania ośrodków w Gdańsku, Szczecinie i – może nawet przede wszystkim – Bydgoszczy, do której tradycyjnie ciążą, od 1772 roku począwszy. Można wręcz powiedzieć, iż Bydgoszcz stanęła wobec pewnego, historycznego egzaminu. A ma szansę go zdać pomyślnie, o ile zdoła tak poszerzyć już istniejące struktury w Wyższej Szkole Pedagogicznej przede wszystkim, by zawarły w sobie niezbędne dla uniwersyteckości dyscypliny i kierunki, które znajdujemy

zarówno w skromniutkiej, wojną jeszcze pachnącej toruńskiej jednodniówce na inaugurację UMK w dniu 5 stycznia 1946 roku – Wydział Humanistyczny, Wydział Matematyczno-Przyrodniczy, Wydział Prawa i Nauk Społecznych, Wydział (właściwie Sekcja) Sztuk Pięknych; jak również w luksusowym druku z okazji «Saecularia Nona Almae Matris Bononiensis» w 1988 roku, czy też w prospekcie Towarzystwa Naukowego KUL, działającego w ramach pięciu wydziałów: teologicznego, filozoficznego, historyczno-filologicznego, nauk społecznych i prawnych. Należy bowiem ufać, że wyprofilowany, w toku wiele setek lat liczącej praktyki pedagogicznej, rdzeń akademickiej uczelni humanistycznej i nauk tzw. ścisłych, nomotetycznych, zaowocuje kształtowaniem osobowości otwartych, chłonnych, rozwojowych. Być może właśnie na takim tle zaistniała idea Szkoły jako hegemonia życia kulturalnego i intelektualnego Miasta, reprezentowana m.in. przez profesora UMK Bogdana Głębowicza, który w latach siedemdziesiątych był rektorem WSP.

Chyba warto było wspomnieć o tym teraz, gdy profil wszechnicy bydgoskiej staje się funkcją dobrosąsiedzkich stosunków obu uczelni i miast, a przynajmniej jest nią w jakimś stopniu. To dzięki swej niezbywalnej pedagogiczności, która istotowo wiąże Szkołę z kształtującą się Wszechnicą, ta ostatnia uzyskuje jeszcze jeden, usuwający ewentualne kolizje, wyróżnik tyleż zaszczycający, co i wiążący (*Alma Mater studiorum, magistrorum discipulorumque*). Nie inną bowiem może być w tym miejscu i czasie, jak pochylająca się uważnie nad szkolnictwem Kujaw i Nadnoteci, przyjmująca w opiekę niewątpliwe talenty, pielęgnująca je, doprowadzająca do rozkwitu. Nie inaczej dokona się przeorańie intelektu regionu i jednej jego, przy tym największej, stolicy.

Ale pedagogiczność ma w sobie coś ze służby, nie obce jej jest też poświęcenie – przynajmniej w naszym kręgu kulturowym. Powstaje uzasadnione pytanie, czy uda się te wartości wykrzesać, pomimo wszystko, w epoce, która się mieni postmodernistyczną, co najczęściej znaczy niby – zdroworozsądkową, z mocnym nalotem nieudawanego cynizmu?

Tymczasem nie przeorze się intelektualnie tutejszej gleby, o ile nie rozwinię się i nie umocni imperatyw kształcenia rozległego, samorzutnie wciąż rozszerzanego na dziedziny pozornie od siebie odległe – autodydaktycznego głównie, choćby za cenę szlachetnego dyletantyzmu, a przecież, wobec wyostrzonej dziś

do granic absurdu specjalizacji – zbawiennego, chroniącego horyzont intelektualny człowieka przed zawężeniem do szpary nieledwie. Kształcenia już nie ciągłego, a codziennego wręcz, by jako tako pojąć pędzący świat. Czy nasza Wszechnica pracuje nad tym zagadnieniem? Oto, jakie są dla niej wyzwania.

U najbardziej szacownych wypływa promieniowanie uniwersyteckie ze szkatuły królewskiej. Mogą wszakże u zarania innych być klejnoty nie mniej szlachetne, jako to miłość do wiedzy u pewnej społeczności, jej szacunek dla wartości humanistycznych, zamysł nad etosem współczesnych i potomnych. One też potrafią stanąć za fundament pewny, sprzyjający wytłanianiu się stopniowemu architektury pociągającej i o cechach własnych, nie naśladowniczej, tym samym dobrosąsiedzkiej, nawet – pomocniczej”.

Andrzej Szwalbe

Bydgoszcz, w sierpniu 1998 r.

(Wypowiedź zamieszczona w Biuletynie nr 4 pt. *Uniwersytet w Bydgoszczy – rozczarowania i nadzieje* pod red. H. Gasiuła, Bydgoszcz, październik 1998)

O iskrę elitarności i myślenie „samo w sobie”

Z właściwą sobie pasją Andrzej Szwalbe włącza się w bliską mu od lat, bo od początku powstania BTN, ideę powołania w Bydgoszczy wszechnicy uniwersyteckiej, mimo oporu, jaki stawia część władz egzystujących w tym mieście uczelni i niewiary zakompleksionych bydgoszczan, że tu się coś tak wielkiego narodzić może. Żywo uczestniczy w dyskusjach nad nazwą przyszłej wszechnicy, pisze dziesiątki listów do miejscowej prasy na temat swojej wizji. Woli jednak pozostać na boku jako doradca, nie wchodzi w skład Społecznego Komitetu ds. Powołania Uniwersytetu, ale w każdym jego posiedzeniu, serdecznie zapraszany, uczestniczy. Podczas sesji naukowej pt. „Uniwersytet dobrem wspólnym i ponadczasowym”, która odbyła się w gmachu Filharmonii, powie te znamienne słowa:

„(...) mówiąc w tym miejscu, w Filharmonii Pomorskiej, jestem zdeterminowany w swej wypowiedzi. Nie mogę tu inaczej powiedzieć, jak kilka słów na rzecz najbardziej elitarnego «urządzenia» w dziedzinie kultury, życia duchowego człowieka, jakim jest uniwersytet. Odwołuję się też do swego doświadczenia filharmonicznego, które kazało mi w 1953 roku dostrzec w każdym człowieku pewną iskrę elitarności”.

Przecież do tej nieuświadomionej przez przeważającą część ówczesnych bydgoszczan „iskry” odwoływała się cała działalność Filharmonii Pomorskiej od jej zarania, apelując do tych, którzy jeszcze nie wiedzieli, że będą melomanami. Ale on, Dyrektor, głęboko w tę potrzebę piękna, właściwą każdemu człowiekowi, wierzył – i przez lata działalności swej placówki uskrzydlił Bydgoszcz muzycznie. Co więcej, stworzył z grodu nad Brdą,

zdominowanego przez nowych przybyszów po wojnie – miasto muzyczne z całym zapleczem (Akademii Muzycznej, Dzielnicy Muzycznej itd.). I nie tylko w elicie kulturalnej, ale i w przeciętnych zjadaczach chleba tak wyrobił potrzebę kontaktowania się z muzyką, że dziś tłumy stają u drzwi Filharmonii.

Czy to nie był prawdziwy „cud”: przemysłowa, technokratyczna Bydgoszcz – miastem muzycznym?! A przecież nie jest nim Toruń, miasto uniwersyteckie...

Tak więc on, Andrzej Szwalbe, miał prawo niejako wymagać, aby teraz cud się powtórzył i miasto powołało taki uniwersytet, który by sprawił, że 400-tysięczna Bydgoszcz pokocha myślenie „samo w sobie” – myślenie humanistyczne. Bo tego – jak zauważył – najbardziej bydgoskiej społeczności w gruncie rzeczy brakuje. Rozumował trzeźwo: „z jednej strony uniwersytet jest dlatego konieczny, że są już pewne możliwości, pewien zasób środków, ludzi, inaczej mówiąc rachunek aktywów. A z drugiej strony rachunek potrzeb, jeszcze raz potrzeb, a wśród nich przede wszystkim przeorania bydgoskiej mentalności”.

I tu sprawa jest poważna, bo „miasto ma jeszcze ciągle tę trochę zakutą drobnomieszczańską mentalność, której wykorzystać dotąd się nie dało. Przyzwyczajone przez lata zaborów i wojny do pruskiego drylu, niełatwo podniesie głowę, by dostrzec jakieś nowe horyzonty. Stąd nieufne, a nawet nieżyczliwe traktowanie ludzi samodzielnie myślących, niezależnych, zwłaszcza tych, którzy przybyli z zewnątrz”. Casus: profesor psychologii Henryk Gasiul. Ponad trzy lata pracował społecznie nad ideą przyszłego uniwersytetu, zaproszony do Bydgoszczy w tym celu. Napisał niezliczoną ilość listów, wykonał z domowego telefonu setki rozmów, założył Fundację na rzecz Utworzenia Uniwersytetu, kieruje wydawaniem Biuletynu Uniwersyteckiego. I oto zostaje jakby odsunięty – miasto nie powołało go na swego pełnomocnika do spraw uniwersytetu.

Wzburzona, mówię o tym Szwalbemu:

– Człowieka tak zaawansowanego w działaniach na rzecz przyszłej uczelni, rzeczoznawcę, społecznika, profesora tej rangi, co Henryk Gasiul, po prostu odstawić?

– Tak, to zostało załatwione typowo „po bydgosku”. Ale prof. Gasiuła nikt nie odwoływał i całe zadanie wciąż przed nami. Czy Pani nie rozumie, że Bydgoszcz trzeba nauczyć, co to właściwie jest uniwersytet i jakie osobowości powinny w nim wykładać, by miał on odpowiednią rangę i rozmach? A oni, bydgoszczanie, chcieliby mieć wszystko małe, nawet pomnik Kazimierza Wielkiego miałby być w ich przekonaniu mały, przytulny, żeby można było przy nim w ciszy posiedzieć. My musimy zająć się fundamentalnymi sprawami przyszłej uczelni – jakie będą katedry, instytuty, gdzie biblioteki trzeba zbudować i jakim znakomitym znawcom przedmiotu z terenu kraju proponować katedry. W tym celu potrzebne są pieniądze, duże pieniądze i miasto musi je wyasygnować. A jeśli idzie o prof. Gasiuła – nie wolno się dać załamać. Napisałem do niego na ten temat.

Nota bene z prof. Gasiulem Szwalbe od dłuższego już czasu prowadził ożywioną korespondencję na temat zasad ideowych uczelni, myślenia uniwersyteckiego, przesłanek struktury uniwersyteckiej. To była wymiana listów między ludźmi o podobnym formacie duchowym i podobnej hierarchii wartości. Szwalbe był pełen uznania dla społecznej pasji Gasiuła, jego głębokich przemyśleń. Tym razem jego list do profesora brzmiał nieco inaczej.

Bydgoszcz, dnia 22 stycznia 1997 r.

Szanowny Panie Profesorze,

dziękuję za list, który otrzymałem oraz Biuletyn Uniwersytecki nr 3. Biuletyn ładnie się prezentuje i poziomem prac zamieszczonych, tudzież stroną graficzną składa dobre świadectwo o Wydawcy i Społecznym Komitecie. Czekamy na kolejne sesje uniwersyteckie, referaty i dyskusje. Z tego może coś dobrego i trwałego wyniknąć. List jest natomiast smutny. Pan nie może sobie pozwolić na chwilę choćby zwątpienia w celowość podejmowanych wysiłków, gdyż Pan właśnie znaczy Uniwersytet w Bydgoszczy, Pan posiada, tylko i wyłącznie, jego ideę, jako całości, jakiegokolwiek odejście Pana od wytyczonego zamiaru oznaczałoby pożegnanie się z realnością idei uniwersyteckiej w tym mieście. Nasze nastroje, ludzi Panu będących do pomocy, mogą fluktuować, poglądy również – dla Pana, niestety, ten luksus nie jest dostępny.

Ja, na przykład, ostatnio myślę o UKW, jako wszechniczy humanistycznej sensu stricto, gdyż właśnie potrzeba takiej uczelni uniwersyteckiej dla Bydgoszczy, w ostatnim czasie, szczególnie ostro się przede mną zarysowała. A wynikało to nie z czego innego, jak z chęci znalezienia jakiejś myśli przewodniej i wiążącej wszelkie moje prace dla Bydgoszczy w jedną, względnie logiczną całość. Znalazłem ją w wartościach humanistycznych i dla ściśle własnych potrzeb sformułowałem pewną teorię, nie bacząc zbytnio na to, czy ktoś inny podobnej już wcześniej nie ułożył. Na wszelki wypadek sięgnąłem po Teorię Estetyczną znanego „frankfurczyka” Th. W. Adorno i sobie teraz ją testuję, na razie z nienajgorszym wynikiem. (...) Właściwie mnie o to i chodzi, byśmy powrócili do takiego stanu ducha, w którym zdolni będziemy jak najwięcej miąkszu dostępnej nam rzeczywistości dostrzec przez pryzmat Prawdy, Dobra i Piękna. Ogół w ten sposób przyswojonych, tzn. przewartościowanych faktów będzie stanowił nasze zaplecze humanistyczne. Właściwie nie ma wiedzy, czy umiejętności szlachetnej, której przedmioty nie dałyby się nacechować tą szczególną, „dodatkową” wartością humanistyczną. Zupełnie, jak u Gaussa.

Oczywiście pragnąłbym, aby to zaplecze humanistyczne, czy inaczej, po staroświecku, bogactwo duchowe u każdego z naszych współmieszkańców, czyli u każdego z nas było jak największe, najrozleglejsze i najbardziej wielostronne. Znając, z kolei, mniej więcej naszą zbiorową umysłowość, czyli przeciętny poziom intelektualny oraz zdolność pojmowania, uważałbym za rzecz najistotniejszą, aby UKW stał się przede wszystkim siecią takich uskrzydlających wartości. Dlatego widzę „na szczycie naszych prac” te dyscypliny, które Niemcy określają jako humaniora, bo wydają mi się one, tradycyjnie, dysponować największym bogactwem faktów, przyswajanych w charakterze wartości humanistycznych.

Łączę wyrazy szacunku

Andrzej Szwalbe

Właśnie, żarliwe wspieranie cudzych bezinteresownych dążeń zawsze stanowiło jedną z najpiękniejszych cech Szwalbego. Zainteresowała mnie listowna wymiana poglądów między prof. Gasiulem a Szwalbem na te-

mat istotnych przyczyn trudności w zaistnieniu uniwersytetu. Prof. Gasiul zauważył, że „jeśli istnieje w ludziach czy społecznościach świadomość dążenia do realizacji wartości, do ich osiągania, wtedy też pojawia się fundament, który staje się wyrazem duchowości danej osoby czy społeczności i w końcu przez nią klimatu miasta”. Dla wyjaśnienia stanu tutejszej mentalności Gasiulowi podstawą zdaje się być David Riesman i jego *Samotny tłum*. Konstatuje: „To właśnie stan braku wewnątrzsterowności, która winna być nasycona wartościami, ujmując szeroko humanistycznymi – i z niej czerpać swoje natchnienie, stanowi największą przeszkodę dla zaistnienia Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego. Dominująca zewnątrzsterowność w mentalności tego środowiska staje się swoistym przekleństwem”.

Ten list profesor zakończył zresztą entuzjastycznym okrzykiem: „Jedno jest dla mnie istotne – to fakt, że mogę spotkać człowieka, który potrafi chwytać realność zastaną w tak konkretnej i wielowymiarowej płaszczyźnie. Szczególnie za to dziękuję Panu”.

Szwalbe skomentował ów list tak:

– Niestety, profesor ma rację. Bydgoszcz ma świadomość zewnątrzsterowną. Nie posiada własnych źródeł opinii, lecz idzie za ostatnim bodźcem, jaki się aktualnie narwiął, na przykład za sprawą środków masowego przekazu – do następnego popchnięcia, być może w drugą stronę. To miasto nie ma własnego zdania, przyjmuje takie, jakie się w danym momencie „narwinie” – to dobre słowo dla określenia owej specyficznej choroby społecznej, właściwej dla całej populacji.

Ta wielka aglomeracja, z przyległościami wojewódzkimi prawie milionowa, ma biedną, zattuczoną, pozbarwioną swego „ja” świadomość telewizyjną. To tak, jakby ktoś w kinie myślał kolejnymi obrazami, które ogląda. Jeśli na podstawie takich „fundamentów” realizuje się strategia tworzenia – to ona nie może spełnić podstawowych zadań. Dlatego prof. Gasiul musi być w idei tworzenia uniwersytetu wykorzystany jak dotąd, bo on zna świadomość tego miasta. Nie możemy dopuścić, żeby się załamał.

Jak kukłę posadzić za stołem!

– Łatwo Panu radzić innym, by się nie załamywali, bo Pan był zawsze doceniany przez to miasto. Inni, niestety, nie.

Przyglądam się Szwalbemu, gdy wyrzuciłam z siebie te słowa. Patrzył na mnie spokojnie, lecz odpowiedział mi tonem, w którym czaiła się nutka tłumionego podenerwowania. Jak go znam od lat – po raz pierwszy pojawił się taki ton w jego głosie:

– I tu się Pani myli – ja dobrze wiem, co to znaczy niedocenywanie przez to miasto.

– ???

– Tak, proszę Pani, czułem się autentycznie skopany bezpośrednio po otrzymaniu Honorowego Obywatelstwa Bydgoszczy. Natychmiast po tym fakcie, który przecież powinien mieć jakąś reperkusję – całkowicie o mnie zapomniano. Nadchodziły dni mych urodzin, imienin, świąt – nawet kartki nikt mi nie wysłał ze strony miasta. Powoływano komitety w dziedzinach żywo mnie interesujących, zwoływano zebrania i rozmaite gremia ważne dla miasta – i nikt o mnie nawet nie wspomniął. To po cholere mnie Honorowym Obywatelom uczyniono?! Żeby chociaż mnie jak kukłę chcieli za stołem obrad posadzić! Ale nie – zupełna martwota. Byłem tak wyczerpany, że w pewnym momencie wyrzuciłem dyplomem o ziemię! Tak, proszę Pani, do tego mnie doprowadzili.

– Co Pan uczynił wówczas, by zmierzyć się z tym problemem?

– Musiałem jednak wzburzenie pohamować i zacząć przypominać się Bydgoszczy w rozmaity sposób. Gdy zdarzało się, że zachciało się miastu mieć jednak ze mną jakiś kontakt – pozwalałem sobie do tej materii powrócić. Musiałem się przypominać, zabierając głos w rozmaity sposób – na łamach prasy, czy też poprzez listy, kierowane do władz w sprawach dla przyszłości miasta i regionu

istotnych. Dla przykładu: gdy przyszły przepychanki z regionem, gdy niepewna była przyszłość województwa – stać mnie było na napisanie 17 sążnistych rozpraw na temat regionu, województwa, samorządu, sejmików! I teraz czuję się jak człowiek, który w tym mieście gotowy jest do rozwiązywania pewnych zadań, przed nim stojących.

– Ale i wówczas byli przecież ludzie, którzy o Panu nie zapomnieli.

– *Tak, byli tacy, na przykład Stefan Pastuszewski, Eleonora. No i Pani tyle wywiadów ze mną przeprowadziła na łamach prasy...*

A więc, myślę sobie, gdyby się Szwalbe wówczas poddał tej inercji, byłby może przegrany, jak wielu, którzy coś dobrego dla tego miasta zrobili i naktnęli się na jego niewdzięczność. Ale on się nie dał.

Teraz, gdy rozmawiał ze mną, tylko na chwilę mogłam go sprowokować do odsłonięcia miejsc bolesnych, zabliźnionych. I czuję, jak już się w sobie zamknął, grawitując ku szerokim horyzontom przyszłej Bydgoszczy.

Ta rozmowa miała miejsce półtora roku temu, w styczniu 1997 roku. Dziś może by sprawy tak ostro nie ujął. Ale nic nie zmienia faktu, że Bydgoszcz jest jego miastem ukochanym nade wszystko, choć nie jest to łatwa miłość. Pomyślałam sobie, że refleksje w powyższej rozmowie zawarte, są ciągle aktualne. I zrozumiałam, że Bydgoszcz cierpi na groźną bolączkę: nie ma wśród mieszkańców człowieka, który by był duchowym przywódcą, wpływał na samookreślenie się miasta. Tę rolę spełnia tu tylko Szwalbe – autorytet prawdziwy, niekwestionowany. Tak, Bydgoszcz czeka na przywódcę, który by ją powiódł ku wyższemu rewirovi świadomości. I jej „guru” na tej drodze jest właśnie człowiek najbardziej niestrudzony w dążeniu: Andrzej Szwalbe.



Fot. Wiesława Wołna

„Trzy Gracie” projekt Jerzego Buczkowskiego, rok 1989, nadbrzeże Brdy



Fot. Wiesława Wolna

Zabytkowe spichrze nad Brdą z „Przebodzącym przez rzekę”

Przypisy do tematu miasta

Bydgoszcz, dnia 21 stycznia 1999 r.

Wojewódzkie Biuro

Planowania Przestrzennego

Otrzymany elaborat z datą styczniową, zgodnie z tradycją, zawiera w przyjemnej formie, pierwszą chyba próbę strategii miastotwórczej Bydgoszczy w nowej sytuacji administracyjnej, jest krótką sumą wiedzy o mieście pomiędzy Gdańskiem a Poznaniem i słusznie podkreśla znaczenie stołeczności wojewódzkiej dla ukonstytuowania się Bydgoskiego Obszaru Metropolitalnego.

Proponuję więc wzbogacić to spojrzenie o aspekt Bydgoszczy, jako półmilionowej – z najbliższym otoczeniem – metropolii, położonej dokładnie pomiędzy Warszawą a Berlinem. Nie wydaje mi się bowiem możliwe, by planista niemiecki, sytuujący właśnie powstającą, na naszych oczach, wielomilionową, kolejną światową metropolię w tym miejscu, stanął ze swym myśleniem na granicy państwowej na Odrze, parę kilometrów od przedmieść Berlina. Czy my wiemy, jaką rolę przewidział m.in. dla Bydgoszczy? A jeśli nawet żadnej nie dostrzega, to czy nie powinniśmy przypadkiem my, jako najbardziej zainteresowani, czym prędzej złożyć wygodnej i korzystnej dla nas samych oferty współpracy, której i tak nie sposób wykluczyć, gdyż z naszym półmilionowym potencjałem i tak wejdziemy w strefę wzajemnego współoddziaływania z takim kolosem, w jakąś wzajemną grawitację. Przy czym będzie to kohabitacja gospodarcza i całą swą siłę, dla naszej Bydgoszczy miastotwórczą, okaże tutaj przemysł, rzemiosło, handel i – żeby nie za bardzo trywializować zagadnienia o ogromnej doniosłości – także sztuka, kultura, nauka, w niektórych dziedzinach na pewno.

Czyż, zresztą, nie było tak zawsze, iż miejskość Bydgoszczy napędzał żywioł gospodarczy, szczególnie w okresie powstawania kapitalizmu i rynku, kiedy stąd szły, specjalnie do Berlina buty, obrabiarki, odlewy żeliwne i ciężkie maszyny, meble, fortepiany, także rzeźby i dobre malarstwo (Lepcke, Leistikow). Miasto tworzyły w tym czasie kubatury fabryk i warsztatów, czynszówki robotnicze, rezydencje właścicieli, ich teatry, reduty, kluby. I jeśli zaczniemy poszukiwać substytutów dla nieco umniejszonej siły miastotwórczej Bydgoszczy administracyjnej, to czy nie we wzroście przemysłu, rzemiosła i handlu przede wszystkim, czy nie w Berlinie właśnie, który jawi mi się, gdy stoję na Potsdamer Platz, jako nowy wielki kontynent?

No tak, bardzo to pięknie wygląda na papierze, ale czy się zdołamy przebroić z myślenia głównie administracyjnego, jurydycznego, na nową dzielność w przedsiębiorczości skrytą, w sprzedawaniu towaru, by potrzebny był nowy, by ożył wreszcie nasz stagnacyjnie nastawiony przemysł i zaczął się rozbudowywać, a nie likwidować „zgodnie z przepisami prawa”. Wszyscy, z naszymi notablami w pierwszym rządzie, nikogo z tego rachunku nie wypuszczając, powinniśmy poczuć się Przedstawicielami, tzn. akwizytorami bydgoskiego przemysłu, rzemiosła i handlu, jak również rolnictwa dookólnego, z którego produkcyjne soki szerokim nurtem płyną. Mamy tyle pięknych i doprawdy na wysokim poziomie warsztatowym napisanych historii Miasta, kto więc i kiedy zdobędzie się na pierwszą historię gospodarczą?

Po to, m.in., aby uskrzydlić naszą, nieco omdlałą wyobraźnię, pchnąć ją na tory poszukiwań w gospodarce nowych, a w gruncie rzeczy, jedynie odnawianych dążeń do uczynienia z przedsiębiorczości gospodarczej realnej siły miastotwórczej, aby legitymizować te kroki, czasem, nawet odkurzać i odbudowywać zakurzone i zatarte stare tropy. By, w wyimaginowanej ankiecie, gdy nam przyjdzie wypełniać rubrykę „Bogactwa naturalne”, nie postawić poziomej kreski, lecz z całą świadomością wpisać: „Siły społeczne, o zdecydowanie prorynkowych postawach i aspiracjach, ukształtowane w dobie powstawania kapitalizmu, nie rozproszone, lecz zintegrowane, po prostu społeczeństwo Bydgoszczy i tylu jeszcze innych miast Kujaw, Nadnotecia, Pomorza”. Wiem od przyjaciół z Berlina, że z największym natężeniem uwagi ślęczą przy swoich rysownikach nad węzłowymi problemami technologii XXI wieku. Myślę z nadzieją, że

gdzie jak gdzie, ale w Bydgoszczy to powinno się nam powieść z wyłonieniem takich sił wytwórczych i intelektualnych – twórczych, jakie staną się lokomotywą wzrostu i wielokierunkowego rozwoju Metropolii, byśmy, opuściwszy Wschód i stojąc po drugiej stronie niewidzialnego Rubikonu, nie zaczęli się zaciągać do litościwej kolejki, która i tu, a jakże, się szykuje, po odpisiki jakies, procenciki itp. remuneracje dla dzielnych w proszeniu.

Pozostaję z wyrazami szacunku

Andrzej Szwalbe

Piękno jest początkiem...

– Chyba nie zaskoczy Pana frapujące mnie powiedzenie: „Piękno jest początkiem wszystkich definicji”?

– *Pyta mnie Pani o mój stosunek do piękna, przytaczając to wspaniałe zdanie, które już nie wiadomo czyjego jest autorstwa. Myślę, że chodzi tu o relacje między pięknem a prawdą. Otóż wszystkie moje zbliżenia do prawdy pozwalają mi ustalić, że prawda – to sformułowanie, sąd, teoria, która posiada odpowiedni stopień doniosłości. Odróżnić bowiem należy prawdy zwykłe, pospolite, od tych, które nas zastanawiają. I właśnie próby odpowiedzi szukałbym w słowie „zastanawiają”, a więc są zdolne zafrapować, porwać, zawładnąć nami. Mamy w tym wypadku do czynienia ze zjawiskiem podobnym do oglądu dzieła sztuki. Coś jest piękne – stajemy zdumieni, zaskoczeni. Chcielibyśmy zawładnąć tym faktem, mieć go na własność, być przezeń wzbogaceni.*

Tak podobnie przeżywamy uczucia wobec piękna i prawdy – bo prawda blisko piękna jest położona. Być może na tej definicji zaważyło „profesjonalne skrzywienie” człowieka parającego się sztuką czy też jej upowszechnieniem. Zawsze stawałem wobec bliskości piękna oczarowany, podobnie jak wobec odkrytej prawdy, czy to na kartach książki, czy też w rozmowie, rozmyślaniach. A może to moja słabość widzenia prawdy przez piękno?

– A czym jest dla Pana piękno moralne?

– *Jest pięknem dobra wówczas, gdy rzeczywistość jest oceniana zgodnie z wyższą obiektywną prawdą, a nie wedle chwilowych ludzkich zachcianek. Nie można oddzielić Piękna, Dobra i Prawdy – przecież mamy do czynienia z Triadą. Każdy, kto zajmuje się poważnie Dobrem, natrafi na Prawdę i Piękno – i na odwrót. Bo ta Triada, dotycząca spraw najważniejszych, najwyższych, dotyczących Absolutu – to w istocie jedna istność. Ja zacząłem od*

Piękna, może dlatego, że zawodowo jest mi najbliższe – i doszedłem do Dobra i Prawdy, a później dopiero wniknąłem w ich wzajemne stosunki. Myślę, że każdy, kto podejmuje pogłębiony namysł nad światem, do tego dochodzi, tylko nie każdy widzi potrzebę artykułowania swych przemyśleń. Podobnie jak ludzie, kolejne epoki różnie traktowały wzajemne odnoszenie się Prawdy, Dobra i Piękna, na przykład romantyzm nie stawiał Piękna na najwyższym piedestale, a raczej takie wartości, jak Wolność i Miłość, czyli Dobro. Piękno ma się tu realizować niejako przy okazji, jako pochodna pewnej istotnej Prawdy – wielkich zmaganiań o wolność i godność człowieczą.

– No i najtrudniejszy z testów: wyznawane wysokie wartości humanistyczne, a osobiste podwórko życiowe, publiczne też.

– *Tyle dałoby się na dzień dzisiejszy powiedzieć: odejścia od powinności, które wartości implikują, nie pozbawiają ich immanentnej wartościowości. One pozostają nienaruszone w sercu błędzącego. I na tym bowiem polu rozgrywa się odwieczny problem winy, łaski, przebaczenia. Prawda, Dobro i Piękno nie mogą przecież „trochę” tylko przestać być sobą.*

* * *

– Jak starał się Pan realizować swą teorię jedności sztuk – mamy najwięcej przykładów w samej Bydgoszczy: przede wszystkim jedność sztuk i nauki w samej Filharmonii: międzynarodowe festiwale, a jednocześnie kongresy muzykologiczne, kolekcja gobelinów, zbiór rzeźby kameralnej, zabytkowych fortepianów. Powstanie BTN, budowa BWA, opery, Dzielnica Muzyczna, Wyższa Szkoła Muzyczna, Instytut Muzykologii, Ostromecko. Właściwie wszystko, co Pan przez lata robił służyło temu celowi.

– *I tu dochodzę do ostatniej poprzeczki: uniwersytetu – wszechznany Kazimierza Wielkiego. Żeby przeorał pomorską glebę, jeszcze niestety trochę pierwotną. Ważne może być posłannictwo humanistyczne tego uniwersytetu, pod warunkiem sprowadzenia odpowiedniej kadry, żeby nie traciła z pola widzenia horyzontu wartości aż do transcendencji, która stanowi próbę sprawczą każdej prawdziwej humanistyki.*

Właśnie uniwersytet powinien być tą wielką płaszczyzną, dzięki której zaczną wyrastać wartości humanistyczne. Taka mi się marzy struktura tego uniwersyte-

tu. Wtedy dopiero będzie można powiedzieć, że sprawdzilo się to, co Filharmonia próbowała stworzyć na swym gruncie – potączyć zjawiska pozornie tylko odległe.

Ale ta świadomość nie wszędzie jeszcze dotarła. Gdy w Filharmonii „zawracalem głowę” malarstwem, gobelinami itp., pytano w Bydgoszczy: „Po co on to robi?”. Mądry Kościół wcześniej doszedł do konstatacji tego, co ludzkie i co ma wymiar piękna, w łączeniu fresków, sztuki epitafilej i muzyki instrumentalnej. Weźmy „Requiem” Mozarta, „Stworzenie świata” Haydna czy „Mszę h-moll” Bacha. Widać tu całe dojrzałe koneserstwo, doświadczenie smaku estetycznego i wielkiej mądrości, która z katedr potrafiła wnosić modlitwy do Boga w tak zróżnicowanym materiale.

Te rozważania moje i działania, którym poświęciłem życie, upoważniają mnie do rozsnucia szerokiego horyzontu umiejętności humanistycznych – od nauki ku filologiom, historii sztuki, gdzie człowiek jawi się w wymiarze przyrodzonym i – co chciałbym zaakcentować – koniecznie nadprzyrodzonym, transcendentnym – bo dopiero wtedy może stanąć w blasku prawdy, przekroczyć siebie.

– Więc owo powiedzenie: „Piękno jest początkiem wszystkich definicji” trzeba może pojmować łącznie z drugim: „Człowiek jest wszystkich rzeczy miarą” – jak w V w.p.n.e. powiedział Protagoras z Abdery. Czyli: wszystkie rzeczy są dla człowieka takie, jak on je widzi.

– Myślę, że w powiedzeniu Protagorasa tak naprawdę nie chodzi bynajmniej o to, że człowiek wyznacza wszystkie miary, lecz raczej, że stojąc wśród lasu umiejętności, sztuk i przeżyć najwyższych, mistycznych powinienem on znaleźć własną miarę – bo te wszechrzeczy wyznaczają jego miarę skromną i właściwą: że jest obrazem Boga, sam wyróżniony wśród stworzeń. Nie powinien sobą przysłaniać wspaniałości świata nadprzyrodzonego. Nie powinien też uznać się za gospodarza tego naszego świata, lecz w goście pokory i zastanowienia, a także podziwu wobec złożoności i wspaniałości wszechrzeczy, poczuć się wędrowcem, który dziwnym trafem wędruje po tym świecie. Apollinijskie „Poznaj samego siebie” oznacza przecież: „Znaj swoje miejsce”.

– A słynny renesansowy kwadrat z człowiekiem w środku?

– Kto bez udziału pogłębionej humanistyki jest w stanie zrozumieć, że ten tylekroć reprodukowany renesansowy kwadrat z człowiekiem w środku – nie

oznacza, że jest on miarą wszechrzeczy, lecz że powinien zobaczyć swą małość i w tym się znaleźć. Tak jak „Mysliciel” Rodina, z głową opartą na rękach, w pokornym pochyleniu ramion. Dopiero w tym geście zawarte jest zrozumienie prawdy i swoista wielkość człowieka. Bez transcendencji uchwycenie horyzontu ponadczasowego, nadnaturalnego jest niemożliwe. Tej całej wieczności, która trwa i jest rzeczywistości najwyższym kształtem. Ta świadomość powinna być obecna, albo choćby wyczuwalna, w każdej nucie, w każdym pociągnięciu pędzlem, w każdym słowie. Jeśli autor nie ma na uwadze tylko tego, co przemijalne, jego wzrok wewnętrzny sięga dalej, głębiej, poszerza się jego świat.

– Kiedy zdążyła dotrzeć do Pana tak głęboka świadomość istnienia?

– Życie szło jakoś tym torem. To były sprawy jakby oczywiste, których nie zawsze zachodziła potrzeba nazwania po imieniu. A teraz dopiero pilną potrzebą staje się zebranie tych przemyśleń, ich wypowiedzenie i przekazanie innym.

* * *

– Tyle mówiliśmy o pięknie, ale jeszcze pozostaje ono dla nas zagadką, „owocem, na który patrzemy, nie wyciągając ręki”. Tak widziała je Simone Weil. Czy więc da się uchwycić i zdefiniować piękno?

– Nie znajdziemy wspólnej miary, na którą byśmy się wszyscy zgodzili. Piękno ukryte lepsze jest od jawnego, jak zauważył Heraklit. Cóż, pozostałem zwykłym patriotą piękna, który starał się, by go w naszym życiu było jak najwięcej. Widzę je zarówno w jasności, symetrii i skończoności kształtu klasycyzmu, jak i w owym Dionizyjskim duchu bliższym romantyzmowi. Nie mam jednolitej recepty. Jest to dla mnie niewątpliwie pierwiastek boski, absolutny, powodujący najczystsze, bezinteresowne wzruszenie, przenoszący nas w wyższe sfery myślenia i odczuwania. Bałbym się bliżej określać piękno, do końca je wyjaśniać, aby nie było z nim tak, jak z cudowną zabawką nam daną, na którą nie wiadomo, czyśmy zasłużyli: gdy zaczniemy ją rozbierać, po pewnym czasie znajdziemy się w posiadaniu wielkiej ilości kótek, sprężynek – i czar pryska, można powiedzieć, że jest już po zabawie. Dodam tylko, że najbardziej odpowiada mi Norwidowskie przeświadczenie, iż dążenie do piękna uwikłane jest w podstawowe zmagania z przeznaczeniem, kosmosem i z Bogiem też.

– Może takie piękno miał na myśli Gogol, gdy mówił: „Nie powinniśmy zwracać uwagi na to, czy nasze słowa mają jakiś wpływ, czy nas ktoś słucha. Najważniejsze, że potrafimy pozostać wierni pięknu do końca naszych dni, pokochać je tak, by nie martwić się niczym, co wokół nas się dzieje”. Ale jak zachować taką postawę w naszej zwichrowanej epoce?

– *Można i trzeba dziś widzieć w centrum zainteresowań tę wolność, o którą obecnie światu najbardziej chodzi, tak stał się liberalny. Ale musi być ten promień wolności przelamany przez pryzmat natury etycznej. Z tego rodzi się piękno. Jak widzi Pani, leży ono też u progu definicji wolności. Czyż nie jest więc początkiem wszystkich definicji?*

* * *

Pewnego wrześniowego wieczoru wracałam do domu poprzez zieloną i rozedrganą dźwiękami najpiękniejszej muzyki klasycznej Dzielnicę Muzyczną – ze spotkania z człowiekiem, któremu miasto za życia wzniosło popiersie, uczyniło Honorowym Obywatelem. W Bydgoszczy, jego „najmniejszej ojczyźnie” z wyboru, mieście uznanym za ciężkie i trochę zimne, nie tylko nie napotykał kłód rzucanych pod nogi, lecz wręcz przeciwnie – pomagali mu wszyscy, niezależnie od opcji politycznej. Uczyniono wiele, by wykazać, że trud tego człowieka jest doceniony. Może dlatego, że udowodnił, iż niemal wszystko da się dla miasta zrobić i „skazana na wielkość” Bydgoszcz dorośnie do naszych marzeń.

Gdy w 1998 roku obchodził 75-lecie urodzin, w Filharmonii urządzono wspaniały koncert na jego cześć, Orkiestra Symfoniczna pod batutą znakomitego Romana Kofmana wykonała *LX Symfonię* Beethovena, przybyły tłumy i zgotowały mu niekończącą się owację. A życzenia i gratulacje napłynęły z całego świata.

Sława, o którą nigdy nie zabiegał, zapukała do drzwi Andrzeja Szwalbego. Sława wybiera nielicznych. Jak powiedział Leszek Kołakowski, rzadkość należy do jej definicji. Ilu ubiega się o jej błyszczące laury, ale ona lubi ozdabiać nimi tych, którzy z natury skromni, działają, nie myśląc o rozgłosie.

To są ci, o których powiedziano w Biblii: „Kto ma, będzie mu dane”. Bo oni, w dążeniu niezłomni, a przy tym uczciwi i może dlatego trochę szarzy – mają wiele do ofiarowania innym. Przede wszystkim przykład, że może jednak warto poświęcić życie tej niepopularnej dziś Triadzie: Pięknu, Dobru i Prawdzie, które kształtem są Miłości.



część III*

Wizja i spełnienie...

* Autorka trzecią część książki napisała w latach 2015–2018



Niezrealizowane pragnienie Andrzeja Szwalbego – pełnej rekonstrukcji w historycznym kształcie Zachodniej Pierzei Starego Rynku



Ściana ostatniej szansy

Rozmowa z Andrzejem Adamskim – przewodniczącym Społecznego Komitetu Rekonstrukcji Zachodniej Pierzei Starego Rynku w Bydgoszczy im. Andrzeja Szwalbego

Pisząc tę książkę 19 lat temu, wspomniałam o mniej znanej dziedzinie aktywności Andrzeja Szwalbego, a dotyczącej rekonstrukcji tzw. zachodniej pierzei bydgoskiego Starego Rynku.

Andrzeja Adamskiego – przewodniczącego Społecznego Komitetu Rekonstrukcji Zachodniej Pierzei Starego Rynku w Bydgoszczy spotykam w miejscu, które jest sercem miasta – na Starym Rynku właśnie. Tu, na owej nieistniejącej od czasów II wojny światowej pierzei zachodniej, stał przed wojną pojezuicki kościół pw. św. Ignacego Loyoli, który swym pięknem zachwycał nie tylko bydgoszczan, ale i turystów. Ukończony w 1648 roku, barokowy w wystroju, naznaczony dwiema pięknymi wieżami, wznoszącymi się wysoko nad Starym Rynkiem – stanowił prawdziwą ozdobę miasta.

* * *

– Jak Pani wie, pragnieniem rzesz bydgoszczan było i jest zrekonstruowanie najważniejszej, „bydgoskiej ściany” – czyli zachodniej pierzei Starego Rynku, zburzonej w 1940 roku na polecenie niemieckich okupantów. To bydgoska ikona, miejsce najważniejszych wydarzeń, uświęcone krwią niewinnych bydgoszczan we wrześniu 1939 roku. Tu, w centralnym punkcie miasta, stał ów zabytkowy kościół pojezuicki, przed którym Niemcy dokonali egzekucji 55 bydgoszczan, jakoby w odpowiedzi na „krwawą nie-

działę” z 3 września 1939 roku. Odcisk ręki jednego z rozstrzeliwanych księży utrwałił się na ścianie kościoła i hitlerowcy nie mogli zlikwidować tego znaku. To nie jest legenda, że ten niezwykle fakt miał miejsce – są świadkowie, w tym mój ojciec...

– **Na bazie przemian ustrojowych 1989 roku jedną z pierwszych bydgoskich inicjatyw było powołanie w 1990 roku Społecznego Komitetu Odbudowy Zachodniej Pierzei.**

– Inicjatywa zrodziła się w umysłach wybitnych bydgoszczan, z Jerzym Sulimą-Kamińskim na czele. Wśród członków Stowarzyszenia był Andrzej Szwalbe, który mówił: „Ściana zachodnia powinna zbierać jak w soczewce wszystkie sygnały świetlne, biegnące ku teraźniejszości od zdarzeń przeszłych, syntetyzować je i symbolizować. Architektura jest bowiem nie tylko derywatem historii, ale także jej świadkiem i głosicielką”.

– **Piękna maksyma!**

– Ale to jeszcze nie koniec cytatu. Szwalbe nazwał tę pierzeję „ścianą ostatniej szansy, dzięki której Bydgoszcz może uzyskać potwierdzenie swojej tożsamości historycznej”.

– **Jacy bydgoszczanie na przestrzeni 26 lat odegrali znaczącą rolę w sprawie rekonstrukcji zachodniej pierzei Starego Rynku ?**

– Oprócz Jerzego Sulimy-Kamińskiego, Stefan Pastuszewski, Ryszard Kabaciński, Sebastian Malinowski. No i pierwszy w odrodzonej po upadku komunizmu Polsce Honorowy Obywatel Bydgoszczy, Andrzej Szwalbe, który podczas zebrania 26 marca 2001 roku przyjął zaszczytną funkcję Honorowego Przewodniczącego Społecznego Komitetu Rekonstrukcji Zachodniej Pierzei Starego Rynku. Choć siły nie pozwalały już mu na zbyt dużą aktywność, służył nam swym autorytetem, dodając determinacji w bardzo trudnych działaniach, gdyż nasza idea nie zyskiwała uznania wszelakich władz, które kolejno rządziły miastem.

– **Tak, to było zaledwie rok przed śmiercią Szwalbego, gdy został waznym Honorowym Przewodniczącym...**

– Dla niego zburzony w czasie okupacji kościół jezuicki „symbolizował tradycje I Rzeczypospolitej”, a schodząc na teren Pomorza – tradycje wielkomiejskie Bydgoszczy, gdyż – jak mówił Andrzej Szwalbe: „ten kościół już w XVII wieku promował Bydgoszcz do miast wielkich”. Przyjmując w 2001 roku zaszczytną rolę honorowego przewodniczącego, pełnił ją do ostatnich chwil swego życia. A z inicjatywy Sebastiana Malinowskiego na pierwszym zebraniu po jego śmierci stał się Andrzej Szwalbe Patronem Stowarzyszenia, które nosi jego imię.

– **Kto dziś w mieście jest za odbudową pierzei zachodniej?**

– Towarzystwo Miłośników Miasta Bydgoszczy od lat. Dalej przewodniczący Rady Estetyki przy Prezydencie Miasta, prof. Dariusz Markowski oraz konserwator zabytków. Rafał Bruski, Prezydent Bydgoszczy, też się wypowiedział za rekonstrukcją zachodniej pierzei w historycznym kształcie na jednym ze spotkań. Poza tym Polskie Towarzystwo Historyczne, Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, Akcja Katolicka, Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych... W sumie kilka tysięcy głosów bydgoszczan, w tym również członkowie Stowarzyszenia Andrzeja Szwalbego Dziedzictwo. Coraz bardziej społeczeństwo przekonuje się do odbudowy zachodniej pierzei, świadomość społeczna rośnie, a jest szansa na pieniądze europejskie – UE wspiera takie nawiązanie do tradycji.

W przeszłości była to świątynia, na schodach której rozgrywały się ważne wydarzenia historyczne. Tu zostały podpisane traktaty welawsko-bydgoskie po potopie szwedzkim w 1657 roku. Tu w roku 1807 ogłoszono dekret o powstaniu Księstwa Warszawskiego. Tu odprawiono mszę św. za duszę księcia Józefa Poniatowskiego, generała i dowódcy polskich sił zbrojnych w kampanii napoleońskiej, który po przegranej bitwie narodów pod Lipskiem w 1813 roku zginął w falach Elstery. Tu wreszcie, w obecności gen. Józefa Hallera w 1920 roku rozegrały się historyczne uroczystości, związane z powrotem Bydgoszczy do Macierzy. I tu też odbyło się

pożegnanie miasta z Leonem Wyczółkowskim, któremu wdzięczna Bydgoszcz wyprawiła piękny, uroczysty pogrzeb.

– **No a w czasach II wojny światowej rozegrała się pod kościołem św. Ignacego Loyoli, jak mówiliśmy, tragedia masowych egzekucji bydgoszczan. Papież Jan Paweł II, będąc w Bydgoszczy w 1999 roku, powiedział: „Bydgoszcz została naznaczona szczególnym znamieniem prześladowania dla sprawiedliwości”.**

– Te słowa głęboko oddają męczeństwo Bydgoszczy podczas II wojny światowej. I to powinno znaleźć upamiętnienie w pierzei zachodniej. Odbudowany byłby kościół św. Ignacego Loyoli plus cztery budynki, w tym gmach Muzeum Miejskiego, które tam przed wojną było, a w którym po odbudowie mieściłoby się np. Muzeum Martyrologii Miasta z widokiem na stojący na Starym Rynku pomnik umęczonych bydgoszczan.

A czy Pani wie, że w głównym ołtarzu kościoła św. św. Piotra i Pawła znajduje się obraz Niepokalanego Poczęcia NMP, pędzla Maksymiliana Piotrowskiego – uratowany z tego nieistniejącego dziś kościoła św. Ignacego Loyoli? A w katedrze bydgoskiej na Starym Rynku umieszczony jest cudowny krzyż z ołtarza głównego, a także obraz Najświętszego Serca Jezusa, ławy i konfesjonały.

– **Jak widzi Pan rekonstrukcję pierzei zachodniej Starego Rynku, którą Szwalbe nazwał „ścianą ostatniej szansy” dla tożsamości historycznej miasta?**

– Konieczna jest rekonstrukcja w pełnym kształcie historyczno-architektonicznym. Także świątyni. To mógłby być, w moim przekonaniu, po odbudowie kościół rektorski, akademicki miasta Bydgoszczy, którego tak w Bydgoszczy brakuje.

– **Jest Pan zwolennikiem szacunku dla tradycji. Drugi nurt optujących za odbudową pierzei zachodniej bydgoszczan – to ci, którzy chcą, by odbudowany kościół św. Ignacego Loyoli był swoistą świątynią sztuki wysokiej i służył jako sala koncertowa czy miejsce poważnych imprez**

kulturalnych, zważywszy, że w rejonie Starego Rynku jest kilka czynnych kościołów.

– Te stanowiska należałoby przedyskutować. Wdzięczni jesteśmy Andrzejowi Szwalbemu, że sprawę rekonstrukcji pierzei zachodniej Starego Rynku rozumiał i mocą swego autorytetu propagował. Środowisko nasze zawsze czerpało siły od osobowości popierających pragnienia przywracania utraconej tożsamości naszego miasta.



On ruszył Bydgoszcz z miejsca

Rozmowa z Józefem Banaszakiem – kierownikiem Katedry Ekologii Instytutu Biologii Środowiska Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego

Ukoronowaniem wizji Andrzeja Szwalbego miał być uniwersytet, nazwany przezeń Wszechnicą, nawiązującą już w nazwie do najlepszych tradycji polskiej nauki. Za życia doczekał się realizacji tylko pierwszego etapu – przekształcenia bydgoskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Akademię Bydgoską im. Kazimierza Wielkiego, sam uniwersytet powstał w kilka lat po jego śmierci, mianowicie w roku 2005.

W 12 lat po powołaniu Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego odwiedzam malowniczo położoną w zabytkowym gmachu przy Alei Ossolińskich siedzibę Instytutu Biologii Środowiska tego uniwersytetu, by porozmawiać z prof. Józefem Banaszakiem, który brał czynny udział w jego zakładaniu, a dziś kieruje Katedrą Ekologii w Instytucie Biologii Środowiska UKW. Wracamy do wydarzeń sprzed kilkunastu lat.

* * *

– Mój udział w powstaniu uniwersytetu przypadł na koniec istnienia Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy. Kierowałem tą uczelnią jedynie przez jedną kadencję 1996–1999. Od jej powołania była to dość słaba szkoła wyższa z jeszcze gorszą opinią, chociaż przy stosunkowo dużym potencjale rozwoju, dużej liczbie studiującej młodzieży, znaczącym udziale studentów zaocznych, czasem przekraczających liczbę studentów dziennych – i gotowości środowiska, to jest miasta zwłaszcza, do

stworzenia nowocześniejszej uczelni. Zrozumiałem, że warto podjąć to wyzwanie.

– **Już u progu swojej kadencji rektorskiej zajął się Pan sprawą przekształcenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej w uniwersytet?**

– Mówiłem o tym już w swojej pierwszej mowie inauguracyjnej 3 października 1996 roku. Niebawem też opracowałem raport o stanie i perspektywach rozwoju uczelni.

– **Jaka była reakcja środowiska naukowego WSP, gdy Pan swoje zamiary konkretyzował od zaraz, już w pierwszym roku urzędowania?**

– Ku mojemu zdumieniu, te moje zamierzenia spotkały się, co zabrzmiało zaskakująco, właśnie głównie z oporem wewnętrznym. Dlaczego? Potrzebny był wysiłek w kierunku spełnienia wymogów, stawianych dwóm typom uczelni wyższych – akademii lub uniwersytetowi. Należało zdobyć uprawnienia do doktoryzowania i prawa do habilitacji, zwiększyć liczbę profesorów, a przynajmniej pracowników samodzielnych. Z pomocą przyszły mi władze miasta, a szczególnie ówczesny prezydent Bydgoszczy, Henryk Sapalski i wiceprezydent Stefan Pastuszewski.

– **Co powodowało największe trudności?**

– Niezmiernie trudne było zwiększenie efektywności badawczej własnych pracowników i woli ich rozwoju naukowego. Słaba była baza naukowa, a jeszcze bardziej – wola własnego rozwoju, czyli zdobywania w terminie stopni naukowych. Wielu adiunktów wolało pozyskiwać środki poprzez nadmierną liczbę zajęć dydaktycznych. Nie mniej po trzech latach kadencji, wzmocnienia kadrowego uczelni i zdobyciu minimum koniecznych uprawnień, mogłem wystąpić z wnioskiem do Sejmu o przekształcenie WSP w Akademię Bydgoską im. Kazimierza Wielkiego. Wybrałem drogę inicjatywy parlamentarnej. I tutaj odnieśliśmy sukces. Głosami poparcia powyżej 100 parlamentarzystów 6 maja 1999 roku złożyłem wniosek do ówczesnego Marszałka Sejmu RP Macieja Płażyńskiego.

– Tymczasem 18 maja tego roku przegrał Pan wybory na kolejną kadencję rektora Wyższej Szkoły Pedagogicznej...

– Zdecydowała o tym tak społeczność akademicka, nienadążająca za koniecznymi zmianami, rozwojem własnym, chęć władzy moich oponentów itd. Niemniej decyzją Sejmu WSP została przekształcona w roku 2000 w Akademię Bydgoską im. Kazimierza Wielkiego. To nie był jeszcze uniwersytet, ale to było już jego przedpole.

– **To był niewątpliwy sukces, a sukces ma wielu ojców.**

– Pomińmy ten temat. Natomiast wśród sprzymierzeńców działań prouniwersyteckich – osobą, u której w czasie trudnych walk o Akademię i przyszły Uniwersytet zawsze znajdowałem zrozumienie i wsparcie, był Andrzej Szwalbe. Osobiście poznałem go dopiero na początku mojej kadencji rektorskiej. Odtąd nasze kontakty były dość częste i różnorodne, od przypadkowych spotkań na ulicy, kiedy wymienialiśmy gorące uwagi o bieżących sprawach, po umówione spotkania w naszych domach czy w gabinecie rektorskim. Poza tym dyrektor dość często przysyłał do mnie listy, w których komentował moje działania prouniwersyteckie, albo były to myśli ogólniejsze na temat kultury i nauki. Mam w swoim archiwum kilka z nich.

– **Może zacytujemy fragmenty niektórych.**

– Pierwszy list Szwalbego pochodzi z 28 października 1997 roku i zawiera uwagi, poczynione po lekturze mojego artykułu na temat działań prouniwersyteckich. Oto on:

Szanowny Panie Rektorze, jestem Panu wdzięczny za podanie w ostatnich „Promocjach Pomorskich” informacji o powstającym Uniwersytecie Bydgoskim. Dla miłośnika idei uniwersyteckiej w naszym mieście będą cenne dalsze wiadomości o pracach, wiodących do uwieńczenia sukcesem tego najważniejszego dla Metropolii przedsięwzięcia, zwłaszcza dane o stopniowym dorabianiu się praw do doktoryzowania, tudzież – habilitowania na tle ewoluującej struktury Uczelni. Słusznie też Pan czyni, wytwarzając stopniowo, ale i systematycznie, atmosferę uzasadnionej dumy z osiągnięć i jeszcze większych możliwo-



Fot. Wiesława Wolna

Andrzej Szwalbe przyczynił się do powstania w 2005 roku Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego. Na zdjęciu: Wydział Matematyki, Fizyki i Techniki UKW przy Placu Weysenhoffa, wybudowany w 1906 roku



Fot. Wiesława Woźna

Collegium Copernicanum UKW w eklektycznym gmachu szkoły średniej wybudowanej w latach 1905-1906, według projektu Carla Zaara i Rudolfa Vahla

ści rodzącej się w tonie WSP Almae Mater, stanowiącej niezbywalny składnik etosu uniwersyteckiego.

– **Po tym liście spotkał się Pan ze Szwalbem?**

– Zaprosiłem dyrektora Szwalbego do rektoratu, by porozmawiać o uniwersytecie. Po tym spotkaniu otrzymałem kolejny list, w którym A. Szwalbe m.in. pisze (22.12.1997):

Bydgoska Wszechnica. Bardzo mi się spodobał zapowiadany przez Pana Rektora krok w górę z nazwą Akademii. No bo rzeczywiście, na cóż to czekać, trzeba się umacniać na każdym zdobytym już szczeblu wyżej. Ja sobie natomiast całkiem upodobałem nazwę „Wszechnicy”. Jest to zwykłe tłumaczenie łacińskiej universitas libera magistrorum discipulorumque, nazwa na razie przez nikogo w Polsce niezajęta, mogąca natomiast powołać się na arcyciekawę i szlachetną antecedenzję w postaci Wolnej Wszechnicy Polskiej z lat dwudziestych w Warszawie z oddziałem w Łodzi (...).

– **Dyrektor Szwalbe miał wizję szerokiego uniwersytetu w stylu Jagiellońskiego. Obok Bydgoszczy muzycznej, którą zresztą sam stworzył, widział Bydgoszcz stojącą sztuką plastyczną i filozofią.**

– Już w liście z 28 października 1997 roku pisał do mnie o potrzebie „powołania do życia jeszcze i Wydziału Sztuk Pięknych, bo muzyka, na ogół, mocno się już w naszej Bydgoszczy okopała, ale plastyce właśnie brakuje tego zwieńczenia w postaci studiów wyższych malarskich, graficznych, rzeźbiarskich, wnętrzarskich, których wybitni przedstawiciele tutaj działają w charakterze wolnych artystów, ale, niestety nie przekazują swych umiejętności młodszym talentom”.

– **Jak widać, Andrzej Szwalbe był dla Pana, a Pan dla niego – kimś bardzo ważnym, gdy szło nie tylko o powstanie Uniwersytetu, ale i jego profil. Wnikał nawet w takie konkretne ustalenia, jak idea powołania wydziału artystycznego na przyszłej uczelni.**

– Podejmowałem próby w tej sprawie. Zorganizowałem nawet spotkanie u siebie z przedstawicielami środowiska artystycznego. Niestety, jed-

na kadencja na zrealizowanie tego, co by nie powiedzieć, kosztownego kierunku studiów, nie wystarczyła. Mój następca nie był tym absolutnie zainteresowany. A szkoda, bo w Bydgoszczy jest sporo znakomitych malarzy i rzeźbiarzy. Tymczasem to, co dzisiaj jest w UKW, trudno nazwać ośrodkiem sztuki.

– Dalej poszedł bydgoski Uniwersytet Technologiczno-Przyrodniczy, organizując kierunek: wzornictwo, cieszący się dużym zainteresowaniem.

– Niewątpliwie. Wracając do WSP, za mojej kadencji filozofię udało mi się wzmocnić zapraszając do pracy u nas prof. Marka Szulakiewicza, ale mój następca może nie poznał się na znakomitym filozofie, z którym się rozstał, a który dzisiaj jest znaczącą postacią na UMK, autorem wielu znakomitych książek.

– Kim więc był dla Pana Szwalbe w czasie kierowania przez Pana bydgoską WSP?

– Jak wykazałem, przedstawiając fragmenty jego listów do mnie z tamtego czasu, dyrektor Andrzej Szwalbe był w czasie mojego rektoratu na WSP i starał o przyszły uniwersytet nieformalnym, ogromnie przyjaznym i ważnym doradcą. A gdy starania moje i niewielkiego grona osób, popierających moje usiłowania, wsparte działaniem parlamentarzystów – zostały uwieńczone powodzeniem w roku 2000 i Akademia powstała – był jedynym, który mi gratulował.

– On nie miał postawy „zewnątrzsterownej”, żeby użyć określenia prof. Henryka Gasiuła. Nie kierował się tym, jak w danym momencie widziany jest przez środowisko człowiek działający w sferze kultury i nauki. Miał swoje zdanie głęboko przemyślane.

– To zawłaszczanie przez moich następców trwa do tej pory. I w takim podejściu upatruję biedę tego miasta. Nie doceniamy własnych ludzi. Tak trwa niszczenie samych siebie. I tego miasta.

– **Z uwagi na jego wieloletnie zasługi w powstawaniu uniwersytetu czynił Pan starania o przyznanie mu Doktoratu Honorowego tej uczelni?**

– Tak, a przede wszystkim ze względu na jego zasługi dla miasta jako twórcy kultury bydgoskiej, organizatora bazy dla tejże kultury, twórcy Filharmonii Pomorskiej i wieloletniego jej dyrektora, podjąłem starania o przyznanie mu Doktoratu Honorowego naszej uczelni w 1998 roku. Nie zdążyłem. Następca nie kontynuował rozpoczętych działań. Wielki Szwalbe – nie waham się użyć tego słowa! I Wielki Przyjaciel Almae Mater! Był w jakimś sensie człowiekiem opatrnościowym... Czułem się silniejszy dzięki niemu.

– **Czym byłyby Bydgoszcz bez niego...?**

– Może zachowałyby mentalność powiatowego miasta, choć była stolicą województwa. On to rozumiał i umiał wznosić się ponad małość Bydgoszczy. Nie zrażał się, że tu nie było środowiska, prawdziwej elity, że panowała tu niszcząca atmosfera wobec tych, którzy przybyli z zewnątrz i chęcią czegoś dokonać.

– **A jak jest dziś w tym względzie?**

– Do dziś miasto zdaje się odcinać od wysokiej kultury, o czym świadczy chociażby likwidacja poważnego, decyzyjnego urzędu, jakim był Wydział Kultury UM, a wprowadzenie w to miejsce Biura Kultury Bydgoskiej, czy też odmowa środków finansowych na odlew zaprojektowanego i wykonanego przez Michała Kubiaka – pomnika Leona Wyczółkowskiego, który był jedną z kluczowych postaci w historii Bydgoszczy. Owszem, dobrze odtworzona fontanna „Potop” stała się od niedawna ozdobą miasta, ale będę się upierał: pomnik *Wyczółka* – europejskiej sławy artysty, który miastu podarował swoją ogromną kolekcję, powinien znaleźć się przed *Domkiem Wyczółkowskiego* na Wyspie Młyńskiej. Tymczasem, gdy rok 2012 ogłoszony był w Polsce Rokiem Wyczółkowskiego, w Bydgoszczy wygłoszono wówczas tylko referat z tej okazji i posadzono dąb.

– **A czy bydgoski Uniwersytet Kazimierza Wielkiego jest spełnieniem marzeń Andrzeja Szwalbego i humanistycznego środowiska Bydgoszczy?**

– Na razie niestety nie, ze względu na dość niski poziom, o czym świadczą rankingi ostatnich kilku lat. Ale na szczęście uniwersytet nie może stanąć w miejscu, jego siłą jest stałe doskonalenie się. Tylko wtedy staje się niezbywalny. Szwalbe to doskonale rozumiał. Ale wiedział, że na to trzeba czasu.

– **Więc „dajmy czasowi czas”, jak śpiewał Edward Stachura – uczelnia jest zbyt młoda, by mówić o jej zastoju. Musi minąć czas.**

– Ważne, że Szwalbe, dyrektor Filharmonii, w swej jakże owocnej działalności dbał o bazę i nadbudowę. Powołał Akademię Muzyczną, z myślą, by jej absolwenci znajdowali pracę w Filharmonii i innych instytucjach muzycznych miasta. Swe wizje realizował, jak wszyscy wiemy, kompleksowo, o czym świadczy też stworzona przez niego cała Dzielnica Muzyczna, czy powołane przezeń Ostromecko i Lubostroń – wspaniałe ośrodki kultury blisko poza granic miasta. Wszystko, co powołał, rozwija się, zmierza ku lepszemu. Jako meloman z Poznania – tu, w grodzie nad Brdą odnalazłem moje miasto muzyki. Bo Bydgoszcz muzyką stoi! Szwalbe – to był człowiek „osobny”, niekwestionowana wielkość. On ruszył Bydgoszcz z miejsca i dla tego miasta nie ma już odwrotu...



To nie była praca, lecz rodzaj misji

Rozmowa z Marią Błaszczak – w czasach dyrekcji Szwalbego: najpierw pracownikiem biblioteki Filharmonii, a potem kierownikiem działu pracy artystycznej Capelli Bydgosiensis i Orkiestry Symfonicznej

– Jak się zaczął Pani 24-letni „romans z Filharmonią Pomorską” za dyrekcji Andrzeja Szwalbego?

– Zaczęłam pracę w Filharmonii w 1967 roku – od biblioteki. A było to wówczas miejsce zupełnie niezwykle, niesamowite, jedyne. W Polsce drugiej takiej biblioteki nie było. Najpierw przez dwa miesiące przychodziłam do Filharmonii zupełnie bezpłatnie, przed pracą w szkole, by zapoznać się ze specyfiką tej pracy. Prowadziło się rozmowy z dyrektorem Filharmonii o wszystkim, a on panował nad każdym detalem i sondował mnie, czy będę miała tyle samozaparcia, by tej służbie oddać się całkowicie.

– Wówczas nie było w kraju literatury zachodniej na temat muzyki, czy płyt z zachodniej Europy.

– Szwalbe przez Ars Polona sprowadzał za dewizy światowe dzieła z „żelaznej kurtyny” na temat wykonawstwa muzyki dawnej, budowy starych instrumentów oraz materiały nutowe, encyklopedie muzyczne. A także dzieła malarskie, które pokazywały te instrumenty. No i biblioteka była „bijącym sercem Filharmonii”. Pięknie urządzona: rzeźby, niezwykle żyrandole. On kochał to miejsce. Stworzył ogromną płytotekę, obfitującą w nagrania muzyczne z całego świata. Wszystko to służyło zarówno organizowanym przez Szwalbego międzynarodowym festiwalom i kongresom muzykologicznym, Capelli Bydgosiensis, jak i Orkiestrze Symfonicznej,

no i oczywiście budowniczym dawnych instrumentów, które musiały przez lutników i organmistrzów polskich być zbudowane.

– Jak ta cała tytaniczna praca Filharmonii znajdowała wyraz w Pani obowiązkach służbowych?

– Oprócz ośmiu godzin pracy trzeba było obsługiwać absolutnie wszystkie koncerty wieczorne i traktować to jako przyjemność. W ciągu dnia przygotowywałam fiszki do sprowadzonych z zagranicy materiałów po francusku, angielsku i niemiecku. No a potem wieczorem koncert – i tu zaczynała się dalsza robota. Siedzieliśmy z dyrektorem w ostatnim rzędzie sali koncertowej. Ja przynosiłam z sobą plik fiszek i podawałam mu podczas koncertu do sprawdzenia. W całkowitym milczeniu, bo trwał przecież koncert. On odznaczał ołówkiem dobrze wykonaną fiszkę, a źle wykonaną zaznaczał na swój sposób. Każda minuta była wykorzystana. Ktoś, kto nie wytrzymał takiego podejścia do pracy, odchodził po miesiącu, wielu innych – jak ja – zostawali na całe zawodowe życie.

– W Pani wypadku to było prawie ćwierć wieku.

– Bo to nie była praca, lecz rodzaj misji, której się poddawaliśmy. On porywał nas swym przykładem – pracował całymi dniami. Pamiętam go z późnych lat sześćdziesiątych. To był wulkan energii. Gdy coś szło nie tak, potrafił wpadać w szał. Później łagodniał. Bo on w tym samym czasie budował Biuro Wystaw Artystycznych, pracował nad koncepcją przebudowy Dworca PKP w Bydgoszczy, walczył o bydgoskie hotele w związku z międzynarodowymi festiwalami muzycznymi i Kongresami Muzykologicznymi, jakie organizował. A w grodzie nad Brdą był wówczas tylko hotel „Pod Orłem” – i nic więcej. W związku z pierwszym Festiwałem i Kongresem Muzykologicznym MAEO w 1966 roku Szwalbe doprowadził do zbudowania Domu Filharmonika jako hotelu dla festiwalowych gości. Po zakończeniu pozyskał ten Dom dla artystów, których angażował do Capelli i Orkiestry Symfonicznej – śpiewacy, dyrygenci, muzycy tu zamieszkali. Zabiegał i czuwał nad budową Hotelu „Brdą”.

– **Tak tworzył środowisko muzyczne Bydgoszczy.**

– W Bydgoszczy nie było środowiska muzycznego – Szwalbe dopiero je stworzył. Połowa członków Orkiestry Symfonicznej plus połowa artystów Capelli Bydgestiensis otrzymała tu mieszkania. I tak działając na wszystkich frontach, dyrektor Szwalbe z prowincjonalności wynosił Bydgoszcz do muzycznej potęgi.

– **Jak odbieraliście jego dążenia?**

– Jak własne. Przekonywało nas do niego bezwarunkowo to, że jako dyrektor ważnej muzycznej placówki bardzo wysokie morale stawiał sobie. Dlatego mógł sobie pozwolić wobec nas na najwyższe wymagania.

– **Zadziwiła ascetyczna skromność dyrektorskich pomieszczeń, zarówno sekretariatu, jak i gabinetu.**

– Jego gabinet – to było właściwie wielkie biurko i naprzeciw rząd krzesel. Wzywał nas do siebie i siadaliśmy na owych pięciu czy sześciu krzesłach, aby wziąć udział w naradzie. W międzyczasie przyjmował 20 telefonów – dzwonił malarz, inżynier, budowniczy... Stąd nasze wizyty trwały bardzo długo. Gdy dzień był bardziej gorący – rozmowy z nami mógł przeprowadzić dopiero wtedy, gdy wszystkie firmy i biura, z którymi miał stały kontakt, były już pozamykane.

– **Wtedy otwierał przed wami swój słynny zeszytik...**

– A w nim kartkę, na której każdy miał swój kącik. Ja byłam zapisana w prawym górnym rogu. Gdy sprawa związana z danym pracownikiem była już załatwiona – wymazywał ją. To był jego komputer. Wszystko wiedział i nad nami wszystkimi czuwał. Niczego nie można było zamieść pod dywan. Gdy już prześwietlił każdego z nas, dawał mu duże kompetencje. Niezwykła była jego umiejętność porozumiewania się z nami, nie trzeba było dużo mówić czy wyjaśniać.

– **Ale oddać Filharmonii cały swój czas w praktyce absolutnie nienormowany, trzeba było bezwzględnie?**

– Tak, ale Filharmonia była prawdziwą świątynią sztuki i myśmy pod jego wpływem godzili się na naszą misję służenia jej z bezgranicznym oddaniem. To był człowiek natchniony do działania w danej dziedzinie sztuki w najszerszym aspekcie. Gobeliny, rzeźby, obrazy zamawiał u najwybitniejszych polskich artystów. Jeździł do pracowni malarzy, rzeźbiarzy, miał stały kontakt, na przykład, z Tadeuszem Brzozowskim, który wykonał cztery najważniejsze gobeliny, wiszące we foyer Filharmonii. Jeździliśmy z dyrektorem do Gdańskiej ASP, gdzie tkane były wielkoformatowe gobeliny. Zapraszał czasami nawet mego męża, aby jechał z nami i tak wciągał go jako wolontariusza.

– **Stworzył również pracownię gobelinów w górnym foyer Filharmonii.**

– Zatrudnił tkaczki i one na drugim piętrze tkwały ileś lat, aż wszystkie dzieła były ukończone. Pod nadzorem niemieckich budowniczych klawesynów zatrudnił też odpowiednich rodzimych fachowców. Zbudowali pierwsze w Polsce kopie historycznych klawesynów, a nie było wówczas tradycji ani możliwości sprowadzenia do Polski tego typu instrumentów. W Filharmonii powstała manufaktura i zostały zbudowane 4 klawesyny. Organy koncertowe z kolei zamawiał u znanej firmy Rieger-Kloss. Dodatkowo dwa instrumenty organowe z jego polecenia zostały zbudowane przez tę firmę dla Akademii Muzycznej, jeden dla Szkoły Muzycznej w Inowrocławiu oraz jeden dla UMK w Toruniu. Gdy rozmawiał przez telefon z kimś z tej firmy, przedstawiał się żartobliwie: „Ja jestem ten Szwalbe, który w większej ilości handluje organami”.

– **Jak sobie dawał radę z taką ilością spraw, kontaktów, terminów?**

– Może unaocznę to mało znanym szczegółem: we wczesnej epoce działań Szwalbego jego troskliwy ojciec przynosił mu po godzinach pracy obiady do Filharmonii. My, jego pracownicy, z którymi właśnie, po oficjalnych godzinach pracy, obradował, siedzieliśmy na krzesłach, Dyrektor akurat rozmawiał przez telefon, a ojciec stawiał obiad na biurku. Szwalbe dalej prowadził rozmowę telefoniczną, więc bywało, że zniecierpliwiony ojciec łyżką próbował go karmić, żeby zupa nie ostygła i raz nawet makaron

wpadł do słuchawki. Dyrektor zdenerwował się i zawołał: „Widzisz, że nie mogę tu jeść!”. W takim tempie pracował, że nie miał czasu na posiłek.

– **Nigdy nie miał własnego samochodu?**

– Nigdy, tylko służbowy. A w nim pulpicik i lampkę – całą podróż spędzał przy pracy. Do Warszawy często jeździł, a my przygotowywaliśmy mu materiały do kolejnej batalii w Ministerstwie Kultury o fundusze. Pani Władzia, która była asystentką w sekretariacie, a pełniła też rolę gońca, pierwsza wychodziła w tym dniu z Filharmonii, najpierw zmierzała do domu Dyrektora po kanapki na drogę, a potem na dworzec kolejowy, gdzie w wagonie zajmowała mu miejsce, bo on wpadał do pociągu w ostatniej chwili, prosto z Filharmonii. Na każde imieniny od władz otrzymywał nową teczkę, godną dyrektora Filharmonii Pomorskiej. Dziękował, ale używał tylko swoją starą, tak jak długie lata nosił te same porządne garnitury, buty...

– **Kim wy, pracownicy, byliście dla niego?**

– Byliśmy jego rodziną. Po ojcowsku nas traktował, pouczał, strofował, bo byliśmy młodzi, nawet czasami krzyczał. My też traktowaliśmy go jak ojca. Stosował pewien rygor, nawet wnikał w to, żebyśmy my, młode kobiety, do pracy ubierały się skromnie, uważał, że mój ulubiony strój – czerwony garnitur – jest nieodpowiedni, prowokujący i przeszkadza swym charakterem w pracy. Nawet spytał mnie, czy mogę przestać go nosić. Stroju nie zmieniłam i on się z tym pogodził. On mógł sobie na takie uwagi pozwolić, bo był kryształowo czysty i wiadomo było, że ma na uwadze powagę i prestiż instytucji. Wszyscy wiedzieli, że jego muzą i największym skarbem jest jego żona, Dobruchna.

– **A ta jego owiana legendą uczciwość...**

– Uczciwy był tak drobiazgowo, że gdy udawał się do Warszawy i po drodze zajeżdżał do Ciechocinka – kazał to maleńkie odstępstwo od trasy rozliczać. Gdy za granicą nie wydał całej sumy na delegację – zwracał pozostałą resztę i Ministerstwo Kultury miało z tym pro-

blem. Był też abstynentem alkoholowym. Przyjechał kiedyś dyrygent rosyjski, siedzieliśmy akurat w gabinecie, gdy ów dyrygent wniósł prezent dla dyrektora Filharmonii. Książka wyglądała na starodruk, który Szwalbe oczarowany rozpakował i wówczas okazało się, że pod imitującą stary druk okładką kryją się dwie butelki trunku. Trzeba było wówczas widzieć minę Dyrektora...

– **Nagradzał was?**

– Gdy na to zasłużyliśmy – bardzo, również pieniężnie. Wymagał, ale doceniał. Z nikim jednak na „ty” nie przechodził, nie spoufalał się z nikim.

– **A wrogów jak obłaskawiał?**

– Po prostu przedstawiał im swój punkt widzenia i starał się włączyć tę osobę w realizację swoich dalekosiężnych poczynań. Nigdy o nikim źle się nie wyrażał, nie pozwalał sobie na ironię czy złośliwość. Kochał muzyków – mieszkania, telefony, a także przedszkola i żłobki ich dzieciom załatwiał. W konfliktach był znakomitym graczem. Najpierw posyłał zwaśnionego muzyka do szefa działu czy kadrowego, czyli osób mediacyjnych, które przyjmą pierwsze ciosy, a on, Szwalbe, będzie znał sprawę z obu stron. No i ów skłócony muzyk na poszczególnych szczeblach tak się wyzłościł, że pozbywał się agresji i wychodził z gabinetu Dyrektora po rozmowie prawie zadowolony, choć przyszedł z awanturą.

– **A na zebraniach, naradach jak się zachowywał?**

– Nigdy nie zabierał głosu w czasie dyskusji. Dopiero na samym końcu zabierał głos, jakby puentował. W żadnej pochopej dyskusji nie brał udziału.

– **Nudzić się przy nim nie można było.**

– O nie, tak wielkie wewnętrzne bogactwo sobą reprezentował – a zostawił potencjał na całe życie. Drugiego człowieka o takim formacie nie spotkałam. Konsekwentny do imentu i nieustępliwy. Najbardziej, zdawałoby się, utopijne pomysły i wizje wcielał w życie. Ideę przenikania

się sztuk realizował w najwyższym wymiarze, najwybitniejsze autorytety wśród artystów zapraszał, by na bydgoskiej kulturze odcisnęły swoje piętno, a jednocześnie wprowadzał atmosferę normalności, skromności, zwyczajności. Bez limitu sprawiedliwy, dawał poczucie bezpieczeństwa. I sam był szczęśliwy, bo cechował go brak troski o własną karierę, o stronę materialną. Dlatego byliśmy mu tak oddani, bo cel nadrzędny decydował. Tego nie zrozumie nikt, kto z nim nie pracował. A nadrzędna była dlań służba dla sztuki, piękna – i miasta, które wybrał i pokochał. Wszystkich nas tym zarażał...

Był jak opoka

Wspomina Ewa Chałat, która w dziale organizacji pracy artystycznej Filharmonii Pomorskiej pracowała w latach 1983–1991.

Pierwsza praca, pierwszy dyrektor, pierwsze wspomnienie: uważne spojrzenie szarobłękitnych oczu za okularami głęboko zapuściło „sondę” w świeżo upieczonej absolwentkę poznańskiego uniwersytetu. I pierwsze pytanie: „Lubi pani kulturę?”. Pozornie proste, ale w sumie streszczające wszystko, co stanowiło motor działań dyrektora Szwalbego.

W sekretariacie (szef wolał mieć narybek na oku) dostawiono dla mnie biurko: starego „grzmota” z magazynu, którego nogi, najeżone drzazgami, zahaczały (cenne w latach osiemdziesiątych) rajstopy. W czasie mego terminowania szybko zdałam sobie sprawę, w jak niezwykle miejsce udało mi się trafić i jak nietuzinkowy jest człowiek, będący moim zwierzchnikiem. Jego erudycja i solidne klasyczne wykształcenie przerastały niejednego nauczyciela akademickiego. Widziałam, jakim szacunkiem darzą go długoletni współpracownicy, jakim jest on dla nich autorytetem w życiu, nie tylko zawodowym.

Potrafił rozbudzić zdolność samodzielnego, zaangażowanego działania. Czuwał z daleka. Do Dyrektora przychodziło się w „sprawach beznadziejnych” – zawsze wysłuchał, był jak opoka.

Co nie znaczy, że nie wiedział o sprawach rutynowych! Żadna z podpisywanych umów, żaden afisz, wieszany na mieście, nie były przeoczone i tego nas uczył: dbałości o każdy szczegół.

Codzienny poranny rytuał: postać Dyrektora za matową szybą w drzwiach, „dzień dobry paniom” – „dzień dobry panie dyrektorze”, czap-

ka lub kaszkiet i palto na wieszak, teczka (słynna!) na biurko, później podawana przez sekretarkę herbatka, koniecznie słabiutka (koloru słomki).

Wspomnę swą „wpadkę”: dostałam pierwsze własne mieszkanie i pojechałam (w godzinach pracy!), aby je odebrać. Kiedy uskrzydłona zlatywałam po schodach fordońskiej spółdzielni, wpadłam prosto na dyrektora Szwalbego i kadrowego, którzy załatwiali tam przydział mieszkań dla muzyków. O, losie! Kara była, ale dyrektor jako prawnik uwzględnił wszystkie „okoliczności łagodzące”. Przyznam, że ta „metoda marchewki” dobrze podziałała na mnie. Także kilka lat później, gdy osobiste kłopoty spowodowały szczerą „spowiedź” i wypłakiwanie się w chustkę do nosa. Wysłuchał mnie z ojcowskim zrozumieniem i tak też potraktował.



„Kto nie jest z prowincji jest znikąd...”

Marek Chamot, dr nauk humanistycznych, prof. nadzw. Wyższej Szkoły Gospodarki w Bydgoszczy historyk, kulturoznawca, regionalista, dyrektor Centrum Partnerstwa Wschodniego WSG, współautor III tomu „Historii Bydgoszczy”, wydanej przez BTN

– W jakich okolicznościach spotkał się Pan z Andrzejem Szwalbe po raz pierwszy i jak Pan współdziałał z nim w jego dążeniach, związanych z rozwojem nauki w Bydgoszczy ?

– O Andrzeju Szwalbe słyszałem w czasach mojej młodości, w latach siedemdziesiątych, ponieważ współpracownikiem w początkowym okresie tworzenia i istnienia Bydgoskiego Towarzystwa Naukowego był mój ojciec, Jan Chamot. W późniejszym okresie o Dyrektorzcie słyszałem relacje od mojego teścia, Henryka Kulpińskiego, który był jego wielkim admiratorem. Teść był bardzo zaangażowany w promowanie historii Bydgoszczy...

–...Za co, dodajmy, Pana teść, Henryk Kulpiński, został uhonorowany przez Bydgoszcz ulicą swego imienia. A Pan, będąc już po doktoracie, jako wykładowca UMK, stał się członkiem redakcji miesięcznika „Promocje Pomorskie”...

–.. Bo, podobnie jak Pani, zostałem tam zaproszony przez Ewę Grzybowską – Łukaszek, redaktor naczelną, której bardzo wiele zawdzięczam.



Fot. Wiesława Wolna

Siedziba Bydgoskiego Towarzystwa Naukowego, założonego przez Andrzeja Szwalbego w roku 1959



Fot. Wiesława Wołna

Pomnik Kazimierza Wielkiego, założyciela miasta Bydgoszczy, dłuta Mariusza Białeckiego

Dzięki niej nauczyłem się redakcyjnego i dziennikarskiego rzemiosła oraz głębiej wtajemniczony zostałem w Szwalbowski idee.

– Z zespołem „Promocji”, przypomnijmy, związany Pan był od drugiego numeru, od 1988 roku i pełnił Pan – w latach 1992–2006 przez 14 lat funkcję zastępcy redaktora naczelnego. Przypadła też Panu rola ostatniego redaktora naczelnego pisma w latach 2007 i 2008...

– Pamiętam, że już w numerze zerowym „Promocji” na okładce umieszczone zostało motto Andrzeja Szwalbego, które cytuję z pamięci: „Dzieła o najwyższym locie muszą mieć lokalną metrykę...”.

– Nawiązując do przywołanego przez Pana cytatu, mówiącego o roli, jaką Szwalbe przywiązywał do „najmniejszej ojczyzny”, a więc regionu, czyli prowincji, z której się wywodzimy – przeprowadziłam w owym czasie z nim wywiad, który nosił znamieny tytuł, nawiązujący do jego słów: „Kto nie jest z prowincji, jest znikąd...”

– Naprawdę warto przypomnieć „Promocje Pomorskie”, do których pisaliśmy, a które z biegiem czasu zmieniły nazwę na „Promocje Kujawsko-Pomorskie”, nazywane skrótowo „Promocjami”. Periodyk skupiał się na nauce, gospodarce, kulturze i ochronie środowiska. Założycielka pisma, Ewa Grzybowska-Łukaszek inspirowała się w znacznym stopniu wizjami Andrzeja Szwalbego

– W I–ym wydaniu mojej książki „Życie na przełomie”, a także w edycji obecnej, w rozdziale pt. „Ten Orzeł wróci...” Ewa Grzybowska-Łukaszek z przejęciem opowiada, jak dyrektor Szwalbe nie bacząc na nic – Piastowskiego Orła w Koronie umieścił na frontonie gmachu Akademii Muzycznej w stanie wojennym, w 1982 roku! Oczywiście na krótko, bo ówczesne władze komunistyczne szybko Orła w Koronie zdjęły... Szwalbe bardzo żywo zareagował na wypadki marcowe, które rozegrały się w naszym mieście w 1980 roku, inspirował upamiętnienie ich poprzez postawienie kamienia memorialnego przed Urzędem Wojewódzkim, nawet sformułował napis na tym obelisku...

– To jego dążenie nasz Klub Bydgoski zrealizował w siedemnaście lat potem. Klub powstał, by wspierać wszelkie działania, które potwierdzić mogą tezę, że to miasto ma ogromny potencjał, zarówno ludzki, jak i materialny, że może go wykorzystać – i że chcemy podkreślać naszą bydgoską tożsamość, integrować środowiska. Jako wiceprzewodniczący Klubu Bydgoskiego zadbałem, aby jego powstanie zbiegło się z próbą przywrócenia pamięci o bydgoskim Marcu 1981 roku. Zrealizowaliśmy projekt „Pamięć”, ufundowaliśmy kamień memorialny którego efektem było upamiętnienie wydarzeń marcowych – jednych z najważniejszych w historii miasta

– **Była to realizacja wielkiego dążenia Szwalbego... A Pan za badanie i promowanie dziejów bydgoskiej Solidarności i historii niepodległości Polski odznaczony został medalami: „Pro Patria”, Komisji Edukacji Narodowej, a także Medalem Kazimierza Wielkiego. Wróćmy do „Życia na przełomie” formacji ustrojowych, jakie przyszło wieść Andrzejowi Szwalbe – „Promocje” często przypominały jego postać i dokonania...**

– Udostępniały mu również łamy, gdzie publikował swoje przemyślenia, aż do śmierci w roku 2002. W pewnym momencie E. Grzybowska-Łukaszek poleciła mi odwiedzać Andrzeja Szwalbego w jego mieszkaniu przy ul. Dworcowej, aby nagrywać jego wypowiedzi i spisane publikować w „Promocjach”. Dzięki temu miałem okazję bliżej poznać Dyrektora i nie raz z nim rozmawiać. Zawsze przyjmował mnie z atencją, która trochę onieśmielała, ale mówił niezmiernie ciekawie, poruszając kwestie – od filozoficznych do wizji rozwoju bydgoskiej nauki. Bardzo pochłaniały go dążenia do utworzenia uniwersytetu w Bydgoszczy. Miał nadzieję na powstanie na tym uniwersytecie w jakiejś formie wydziału sztuki, który prowadziłby badania nad sztuką i tworzył silne środowisko naukowe, zajmujące się teorią sztuki i kultury. Wspominał też o konieczności badań nad historią kultury regionalnej i archiwizacji dorobku sztuki regionu...

– **A teraz pytanie z pozoru oczywiste, może zbyt proste, ale ponieważ rośnie młode pokolenie bydgoszczan, które mało wie o dokonaniach**

Szwalbego – może jednak warto je zadać: w jaki sposób Andrzej Szwalbe przysłużył się do powstania Bydgoskiego Towarzystwa Naukowego...?

– Nauka i jej rozwój była A. Szwalbem bardzo bliska. Już w początkowym okresie swojej działalności na stanowisku dyrektora Filharmonii Pomorskiej był żywo zainteresowany tworzeniem zorganizowanego środowiska naukowego w Bydgoszczy. Dążąc do zorganizowania szerszego ruchu naukowego odwołał się zatem także do środowiska ludzi kultury i sztuki, którzy byli w stanie wesprzeć dążenia bydgoskich naukowców w tworzeniu towarzystwa naukowego.

– Początki nie mogły być łatwe...Mówimy o połowie lat 50-tych, kiedy należało przekonać do idei towarzystwa naukowego nie tylko środowisko naukowe Bydgoszczy, ale także władze lokalne...

– Przełom październikowy w 1956 roku, który kończył pierwszy okres powojennego odradzania się życia kulturalnego w Bydgoszczy, pod wieloma względami był okresem trudnym, nierzadko pionierskim, ale dającym podstawy do późniejszego, już na o wiele większą skalę, rozwoju życia kulturalnego. Bydgoszcz nie mogła się rozwijać bez znaczącego i liczego środowiska naukowego. Andrzej Szwalbe doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Wyrósł na czołową postać w wąskim początkowo gronie bydgoskiej inteligencji. Pamiętajmy, że dopiero w 1951 roku powołano w Bydgoszczy pierwszą wyższą uczelnię – Wieczorową Szkołę Inżynierską, przeznaczoną dla dokształcania kadr, zatrudnionych w bydgoskim przemyśle.

– Kiedy pojawiła się pierwszy raz idea utworzenia w Bydgoszczy towarzystwa naukowego?

– W 1945 roku. Trudności wynikały z dysproporcji między wysoką rangą administracyjną i gospodarczą Bydgoszczy, a niedostatecznym wymiarem życia intelektualnego w tym mieście. Była też niechęć i duży opór czynników politycznych, wrogich wówczas wszelkim działaniom inteligencji.

– Wiadomo, w owych ciężkich czasach stalinizmu inteligencja była uważana za warstwę co najmniej ideowo podejrzaną...

– Zatem brak towarzystwa naukowego w Bydgoszczy aż do 1959 roku, należy wiązać z brakiem społecznej świadomości potrzeby życia naukowego oraz zbyt wąskiej warstwy inteligencji. Na to nakładała się, jak mówiliśmy, określona postawa ówczesnych władz. Zatem w sprawie powołania towarzystwa naukowego największe zainteresowanie i aktywność, poza naukowcami, wykazały środowiska kulturalne, dziennikarskie, animatorzy i organizatorzy kultury oraz społecznicy. Podczas obrad Sejmiku Kultury już w 1957 roku Szwalbe wypowiedział słynne słowa, że w Bydgoszczy potrzebne jest coś w rodzaju wszechnicy, aby pogłębić pracę naukową. Użył swojego ulubionego zwrotu – wszechnica, czyli *universitas* – uniwersytet.

– Powołanie w Bydgoszczy wszechnicy–uniwersytetu nie tylko leżało mu na sercu do końca życia, ale walnie przyczynił się do jego powstania, wysłał w tej sprawie dziesiątki pism. Można też powiedzieć, że Andrzej Szwalbe odegrał również kluczową rolę w tworzeniu towarzystwa naukowego w Bydgoszczy?

– Niewątpliwie. Podczas Sejmiku Kultury w 1957 roku był jednym z największych orędowników zorganizowanego ruchu naukowego w mieście. Właśnie w tym czasie zebrał grupę humanistów, którzy tworzyli najliczniejszą część grupy założycielskiej. Utworzono Komitet Organizacyjny Bydgoskiego Towarzystwa Naukowego. Działał do 1959 roku, czyli do chwili formalnego powołania BTN i wybrania jego pierwszego Tymczasowego Zarządu.

– Gdzie nastąpiło uroczyste powołanie BTN ?

– W głównej mierze za sprawą Andrzeja Szwalbego otwarcie BTN miało miejsce w styczniu 1959 roku w gmachu Filharmonii Pomorskiej. Było to symboliczne zwieńczenie sukcesem jego wieloletnich i niełatwych starań. On pokładał w BTN wielkie nadzieje, od początku wskazując jako dalekosiężny cel – utworzenie w Bydgoszczy uniwersytetu. Prezesem Tymczasowego Zarządu został prof. Eugeniusz Domański, a Andrzej Szwalbe – członkiem zarządu.

– **Pierwsza kadencja Zarządu BTN przebiegała w latach 1959–1962 pod kierunkiem prezesa prof. E. Domańskiego i sekretarza generalnego – Andrzeja Szwalbe...**

– W tym okresie w BTN pojawiła się liczna grupa uczonych, a wśród nich profesorowie: Jan Małecki, Ernest Pischinger, Lech Jaśkowski. W uznaniu zasług dla utworzenia BTN Andrzej Szwalbe został, z okazji 20-lecia Towarzystwa, jego Honorowym Członkiem. Wcześniej pozostawał przez dłuższy okres sekretarzem BTN z uwagi na swą rolę założyciela i pierwszego organizatora.

– **Posiedzenia Towarzystwa nadal odbywały się w gmachu Filharmonii Pomorskiej?**

– Tak. Dyrektor miał przemożny wpływ na kierunki podejmowanych prac naukowych i publikacji BTN. Zauważalna jest też koincydencja między działalnością artystyczną Filharmonii, a tematami naukowymi, pojawiającymi się w bydgoskim środowisku naukowym.

– **Tym bardziej, że od 1966 roku A. Szwalbe organizował międzynarodowy festiwal muzyczny połączony z również międzynarodowym kongresem naukowym *Musica Antiqua Europae Orientalis*.**

– Przy okazji tych festiwali i kongresów powstawało wiele prac naukowych, będących wynikiem badań muzykologicznych, czy szeroko pojętej kultury muzycznej, artystycznej.

– **Czy adaptacja kamieniczek przy ul. Jezuickiej na siedzibę BTN – to również zasługa Szwalbego?**

– Tak.

– **A dalsze koleje losu BTN...**

– Powstanie kolejnych uczelni wyższych w Bydgoszczy początkowo sprzyjało rozwojowi Towarzystwa, w którym od połowy lat 60-tych inicjatywę całkowicie przejęli uczeni akademicy. W latach 80-tych rola Towarzystwa maleje, z uwagi na skupienie pracy naukowej i publikacji prac badaw-

czych w uczelniach. Niemniej BTN odegrał historyczną rolę katalizując kształtowanie się w Bydgoszczy konkretnego ośrodka akademickiego z uniwersytetami włącznie. I pamiętać należy, że pionierami tworzenia się naukowego środowiska w Bydgoszczy byli humaniści–społecznicy...



Fortepiany z przeszłością i przyszłością

Rozmowa z Andrzejem Gawrońskim, kierownikiem pracowni pałacowej w Zespole Pałacowo-Parkowym w Ostromecku

– Położone obok Bydgoszczy Ostromecko – to prawdziwa perła architektury barokowej i neoklasycystycznej, której Andrzej Szwalbe nadał rangę ośrodka kultury narodowej, uczynił „bydgoskim Wilanowem”. Pan od 10 lat związany jest z Miejskim Ośrodkiem Kultury w Bydgoszczy, a od kilku lat – z Miejskim Centrum Kultury, z ramienia którego działa Pan jako instruktor-kurator w Zespole Pałacowo-Parkowym w Ostromecku, promuje też Pan Ostromecko jako redaktor naczelny „Kuriera Ostromeckiego”.

– Nie zapominajmy, że „Kurier Ostromecki” swego czasu wydawał już Andrzej Szwalbe. Jako pracownik MOK zawsze chciałem pracować w Ostromecku, to było takie moje marzenie i widać czasem marzenia się spełniają. Często sam zazdroszczę sobie, że w tym miejscu pracuję.

– Został Pan kierownikiem pracowni pałacowej – żadna z wielu imprez kulturalnych i artystycznych w tutejszym Zespole Pałacowo-Parkowym nie dzieje się bez Pana wiedzy. Ale nas interesuje przede wszystkim fakt, że po remoncie Pałacu Starego, zwanego Pałacem Mostowskich, trafiła do tego pałacu Kolekcja Dawnych Fortepianów, zgromadzonych przez Andrzeja Szwalbego, nosząca jego imię. Jak wiadomo, kolekcja nie miała wcześniej szczęścia do odpowiedniego miejsca ekspozycji.

W Ostromecku, w Pałacu Mostowskich, jej losy ostatnio odmieniły się kardynalnie.

– Przypomnijmy: kolekcja miała osiem przewodzek. Przekazana miastu Bydgoszcz przez Filharmonię Pomorską im. I. Paderewskiego w 1990 roku, została przez nasze miasto w 2008 roku przekazana MOK-owi. Kiedy Miasto Bydgoszcz wyremontowało Pałac Stary, umieszczono w nim kolekcję, przez co zyskała wreszcie godne miejsce oraz odpowiedni klimat dla części swych eksponatów.

–Tu, zgodnie z dawną wizją Szwalbego, mogła też stać się punktem zainteresowania mieszkańców Bydgoszczy i okolic...

–...którzy przybywają do Zespołu Pałacowo-Parkowego w Ostromecku na koncerty, spotkania z ciekawymi ludźmi, liczne imprezy artystyczne, czy spotkania naukowe. Dla przykładu, naszym stałym partnerem jest np. bydgoska Akademia Muzyczna, która wytrawnym melomanom daje muzyczne uczty w Pałacu Nowym w Ostromecku pod stałym hasłem: „Akademia w Pałacu”. Szykuje też atrakcje dzieciom pod nazwą: „Akademia Dzieciom”. Założony 6 lat temu przez absolwentkę bydgoskiej Akademii Muzycznej, Martę Roniek-Koślińską, Chór Miejskiego Centrum Kultury też przybywa do Ostromecka z koncertami. Miłośnicy sztuki różnych dyscyplin zapraszani są przez nas na spotkania autorskie, wernisaże, promocje książek. Ludzie nauki organizują tu konferencje i sympozja, wielu przyciągają imprezy plenerowe w parku, utrzymanym w stylu angielskim i włoskim.

– Wiem, że chcecie zainteresować i tych, którzy w weekendy przyjeżdżają do Ostromecka na spacer po tym rozległym parku krajobrazowym, usytuowanym na przepięknych terenach Dolnej Wisły – czy też na obiady w Pałacu Nowym, mieszczącym wykwintną restaurację „Pałacową”.

– Mamy bogatą ofertę kulturalną. Organizujemy wiele spotkań artystycznych i naukowych na wysokim poziomie, a także akcje bardziej popularne, np. koncerty jazzowe czy warsztaty gry na bębnach. Chodzi nam bowiem

o szerokie spektrum zainteresowanych, pragniemy, aby Ostromecko funkcjonowało w świadomości bydgoszczan jako miejsce, gdzie stale coś się dzieje interesującego. Na strychu Pałacu Nowego pracownię ma artysta malarz, performer, muzyk Grzegorz Pleszyński, który gra koncerty i prowadzi wykłady o sztuce dla naszych gości.

– **A kolekcja starych fortepianów Szwalbego stanowi tu nie lada atrakcję, zwłaszcza od dwóch lat, gdy nastąpiła jej niezwykła promocja ze strony warszawskiego Instytutu Muzyki i Tańca. Pisał Pan w „Kurierze Ostromeckim” w numerze 4 z 2016 roku: „Fortepiany Andrzeja Szwalbego znalazły się w Żelazowej Woli”. Jak to było możliwe?**

– Jeszcze niedawno wydawało się niemożliwe, a jednak... Fotografie instrumentów autorstwa Waldemara Kielichowskiego zaistniały na wystawie pn. „Fortepiany z przeszłością” w Żelazowej Woli, we wrześniu 2016 roku! Miejsce narodzin Chopina, niezwykle pod każdym względem, wzbogacone zostało zdjęciami trzech najważniejszych polskich kolekcji fortepianów – a nasza, jak się okazało, zajmuje drugie miejsce w kraju. Obejmuje około 60 fortepianów polskich i obcych, zbudowanych w czasie ostatnich 200 lat, w tym największą w Europie grupę fortepianów wykonanych w wytwórniach, znajdujących się na ziemiach polskich.

– **Cieszymy się, że Warszawa doceniła bydgoski zbiór Andrzeja Szwalbego i kolekcja jego imienia w Ostromecku uważana jest dziś za jeden z trzech nie tylko najliczniejszych, ale i najważniejszych zbiorów fortepianów w Polsce.**

– Przede wszystkim dzięki prof. Beniaminowi Voglowi, znakomitemu muzykologowi, który jest znawcą i współtwórcą bydgoskiej kolekcji. To on zainspirował wpisanie zbioru do ogólnopolskiej cyfrowej dokumentacji przez warszawski Instytut Muzyki i Tańca. Nie doszłoby do tego, gdyby nie wizyta profesora w 2015 roku w Ostromecku...

–... goszczącego, dodajmy, w Ostromecku na zaproszenie Stowarzyszenia Andrzeja Szwalbego „Dziedzictwo”, które swoje Colloquia Ostro-

meckie organizuje w Pałacu Starym. Profesor Vogel wsparł w ten sposób pomysł Pana, by ponownie poddać inwentaryzacji znajdującą się w Pałacu Starym w Ostromecku kolekcję Szwalbego.

– Wizyta współtwórcy bydgoskiej kolekcji stała się dla nas wstępem do nawiązania współpracy z warszawskim Instytutem Muzyki i Tańca. Już to, że kolekcja znalazła się wśród zbiorów, opisanych na portalu internetowym Instytutu obok najważniejszych polskich kolekcji – brzmi dumnie. Zyskaliśmy potwierdzenie, że słusznie stawiamy na tę kolekcję, bo ona dodaje blasku całemu Zespołowi Pałacowo-Parkowemu w Ostromecku. W 2016 roku, na 670 rocznicę urodzin Bydgoszczy, miała miejsce tzw. nowa odsłona kolekcji: w sali na parterze wyeksponowano dodatkowe instrumenty, w tym fortepian Krall i Seidler należący do wielkiego polskiego kompozytora, Zygmunta Noskowskiego. Pałac Stary ozdobiły także obrazy i rzeźby – depozyty z Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy. Obiekt zyskał także profesjonalny monitoring. Premierę miał również...

– **Piękny, wysmakowany pod względem edytorskim album Beniamina Vogla, przy współudziale Joanny Gul i Agaty Mierzejewskiej, *Kolekcja zabytkowych fortepianów im. A. Szwalbego w Ostromecku*. O rosnącym znaczeniu w ostatnich latach Kolekcji Dawnych Fortepianów im. Szwalbego i wynikłej z waszej współpracy z Instytutem Muzyki i Tańca świadczy też Ogólnopolska Konferencja Instrumentologiczna, która w 2017 roku odbyła się w Ostromecku.**

– Jej organizatorami było Miejskie Centrum Kultury w Bydgoszczy, Instytut Muzykologii Uniwersytetu Wrocławskiego oraz warszawski Instytut Muzyki i Tańca. To były trzy dni pełne spotkań, wykładów i paneli dyskusyjnych. Co jednak najbardziej zaintrygowało mieszkańców Bydgoszczy i okolic, to koncerty na zabytkowych instrumentach, które odbywały się w Pałacu Starym wieczorami każdego dnia konferencji.

– **Skąd pomysł na organizację takiego wydarzenia w Ostromecku? Zacytujmy tu może Agatę Mierzejewską, która jest muzykologiem i kura-**

torem cyfrowej kolekcji instrumentów, stworzonej przez Instytut Muzyki i Tańca w Warszawie. Powiedziała: „Dlaczego w Ostromecku? Bo to właśnie tam znajduje się jedna z trzech największych kolekcji instrumentów w Polsce. Poza tym pałac w Ostromecku dysponuje zarówno zapleczem konferencyjnym, jak i koncertowym. To najlepsza możliwa lokalizacja”. Tyle pani Agata. Jak widać, w Ostromecku ostatnio wydarzenie goni wydarzenie. Bo następnym jest reaktywacja i odsłona jednego z najcenniejszych dawnych fortepianów Kolekcji im. Szwalbego.

– Chodzi o odrestaurowanie fortepianu firmy Krall&Seidler, należącego do Zygmunta Noskowskiego. Uroczystej odsłony dokonano z okazji powrotu Bydgoszczy do Macierzy, 20 stycznia 2018 roku w Pałacu Starym. Sala w którym znajduje się instrument nosi od tego dnia imię Zygmunta Noskowskiego. A że można na tym cennym instrumencie koncertować – potwierdził tego wieczoru recital Mariusza Klimsiaka, znakomitego pianisty, wykładowcy Akademii Muzycznej. W uroczystości wziął udział Witold Szulc – aktor, praprawnuk kompozytora, który zagrał na fortepianie swego przodka i zaśpiewał kolędę autorstwa Noskowskiego.

– Nazajutrz odbył się koncert Aleksandry Moliszewskiej.

– Planujemy rozpocząć cykl prelekcji i koncertów w Pałacu Starym zatytułowany „Wieczory z Noskowskim”, który ma na celu przypomnienie sylwetki tego wybitnego kompozytora i zainteresowanie słuchaczy muzyką graną „na żywo” – na dawnym instrumencie, co jest rodzajem swoistej podróży w czasie. A jednocześnie promujemy młodych zdolnych artystów – w lutym jako pierwsza wystąpiła 18-letnia, utalentowana pianistka i wokalistka, Maja Babyszka, studentka Akademii Muzycznej w Bydgoszczy. W marcu miał miejsce koncert młodej pianistki Emilii Biskupskiej. Koncerty gramy w sobotnie popołudnia. Po koncercie goście zapraszani są na słodki poczęstunek do gabinetu Andrzeja Szwalbego, gdzie przy kawie można porozmawiać z artystą i wspominać Pana Dyrektora. Nawiazaliśmy także współpracę z Fundacją Noskowskiego w celu pozyskania środków na bieżącą konserwację kolekcji

– **Kolekcja dawnych instrumentów ma, jak widać, udział w tworzeniu w Bydgoszczy wokół muzyki dawnej klimatu sprzyjającego integracji sztuk, jak to uwielbiał Szwalbe.**

– A także klimatu sprzyjającego ofiarności bydgoszczan. Dzięki moim staraniom uzgodniona została kwestia dużej darowizny na rzecz kolekcji i remontu jednego z cennych instrumentów, najprawdopodobniej Bechsteina. Chodzi o kilkadziesiąt tysięcy od anonimowych darczyńców.

– **Panie Andrzeju, Pana cechuje pasja zarówno w promowaniu bydgoskiej Kolekcji Dawnych Fortepianów, jak i samej idei Andrzeja Szwalbego.**

– Bo on był alfą i omegą, *spiritus movens* wszystkiego, co tu w Ostromecku rozwija się i pięknieje. On stoi za tym wszystkim. Jedno z jego wizjonerskich działań – Kolekcja Dawnych Fortepianów, nosząca dziś jego imię – kryje w sobie nie tylko piękno dawnych instrumentów, ale i wielką wartość patriotyczną, związaną z nieprzepartym dążeniem Polaków do niepodległości. Gdy nasz naród był przez 120 lat w niewoli – Polacy produkowali fortepiany, do 1830 roku działało ponad 25 fabryk fortepianów, działających w podbitym przez zaborców kraju! Później liczba fabryk wzrosła do kilkudziesięciu. W czasach wielkiej prosperity największe z nich wytwarzały rocznie kilkaset instrumentów. Pod zaborami nasi rodacy śpiewali, grali na nich Chopina i czuli niemal namacalnie, że „jeszcze Polska nie zginęła”.

– **Podobno ludzi poznajemy po wdzięczności, a Pan jest w sposób widoczny wdzięczny Szwalbemu. Oto jeden z przykładów: wcześniejszą inicjatywą Pana było stworzenie wśród sal ekspozycyjnych Kolekcji w Pałacu Mostowskich, na drugim piętrze – wzruszającego „gabinetu Andrzeja Szwalbego”.**

– Tak, to mój pomysł: z Filharmonii Pomorskiej ściągnąłem pamiątki po nim, dałem moje radio, z którego rozlega się do zwiedzających jego głos. Jego idee nie zestarzały się do dziś, stawiał na wartości uniwersalne, ponadczasowe oraz piękno najlepszej polskiej tradycji narodowej.



Fot. Wiesława Wolna

Neoklasycystyczny Pałac Nowy (1835–1848) w Zespole Pałacowo–Parkowym, obejmującym dwa pałace w Ostromecku. Oddział Miejskiego Centrum Kultury z salą koncertową i kolekcją dawnych fortepianów



Fot. Wiesława Wolna

Andrzej Szwalbe był społecznym inwestorem budowy gmachu Biura Wystaw Artystycznych, wzniesionego w roku 1970

- To wyznanie przypomina wręcz credo, zawarte w dawnych modlitwach, największego w Ameryce Północnej plemienia indiańskiego Nawaho: „Piękno, wśród którego żyjesz, piękno, według którego żyjesz”.
- Tak, to piękno zobowiązuje, by na nim oprzeć swoje życie.

- W Pana zdaniu tkwi kwintesencja jakże ważnego dziś, w dobie panoszenia się relatywizmu moralnego, przesłania Andrzeja Szwalbego, który wskazywał na słynną platońską Triadę: Dobro, Prawdę i Piękno – jako cel naszych dążeń i źródło naszej siły duchowej w wędrówce po meandrach życia. A nawiązując do jego dalekosiężnych wizji: czy nie powinno, Pana zdaniem, w przyszłości powstać w Bydgoszczy Europejskie Centrum Instrumentologiczne – jak utrzymuje Marek Pietrzak, Konsul Honorowy Węgierskiego Konsulatu w Bydgoszczy?
- Świetny pomysł, którego jestem gorącym orędownikiem – takie Centrum powinno powstać, ale przede wszystkim poprzez bydgoskie uczelnie wyższe: Akademię Muzyczną i Uniwersytet Kazimierza Wielkiego.



Szkoda życia na atrapy kultury

Rozmowa z Magdaleną Gill – zastępcą redaktora naczelnego „Tygodnika Bydgoskiego”¹

Jest rok 2017 i dociera do mnie wiadomość tak optymistyczna, że aż niewiarygodna, a jednak prawdziwa: pojawił się w Bydgoszczy tygodnik, którego jednym z ważnych celów i zadań stała się popularyzacja dorobku Andrzeja Szwalbego! Oto dowód: numer zerowy „Tygodnika Bydgoskiego” – bo tak zwie się ów periodyk – ukazał się w grudniu 2016 roku, do momentu naszej rozmowy wyszło 17 numerów – a w 9 z nich zamieszczone były artykuły na całą stronę, poświęcone któreśmu z wielkich dzieł Szwalbego. I każdorazowo umieszczana jest stała duża ramka, z portretem Szwalbego i kilkoma zdaniem o jego dokonaniach, zapowiadającymi też temat aktualnie publikowanego artykułu. Także moja książka pt. *Życie na przelomie* i bliskie już pojawienie się jej rozszerzonej drugiej edycji (z inicjatywy Stowarzyszenia Andrzeja Szwalbego „Dziedzictwo”) – doczekała się w „Tygodniku Bydgoskim” artykułu pt. *Jeszcze bogatsza opowieść o Szwalbem*.

Inicjatorem popularyzacji na łamach „Tygodnika Bydgoskiego” całości kształtu dzieła Szwalbego, ukazywania, jak rozwijają się i owocują jego dokonania we współczesnej rzeczywistości, jest Piotr Florek, prezes Centrum Promocji i Reklamy „Remedia”, wydawca „Tygodnika”, który znalazł

¹ Magdalena Gill – w latach 1997–2016 dziennikarz i redaktor bydgoskiej „Gazety Wyborczej”; w latach 2017–2018 – zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Bydgoskiego”, od marca 2018 roku – kierownik Redakcji Nowych Mediów w Polskim Radiu Pomorza i Kujaw w Bydgoszczy.

w zastępczyni redaktora naczelnego, Magdalenie Gill, prawdziwą entuzjastkę tej idei, a także jej realizatorkę. Bo to właśnie ona nie tylko redagowała, lecz była też autorką tych obszernych artykułów czy wywiadów o bydgoskim wizjonerze.

* * *

– Pani Magdaleno, redaguje Pani, pisze i zamieszcza, nawet co tydzień, artykuły dotyczące wizjonerskiej działalności Andrzeja Szwalbego i jej efektów, a także ludzi, którzy się z nim zetknęli. Skąd taka pasja?

– Przede wszystkim stąd, że drugiego takiego człowieka jak on w Bydgoszczy nie było i pewnie długo nie będzie. Gdy byłam początkującą dziennikarką, zawsze nam mówiono: „We wszystkim, co dotyczy Bydgoszczy – dzwońcie do Szwalbego!”. Ten człowiek żył tym miastem jak nikt. Był już na emeryturze, gdy mówił mi: „Moje myśli wciąż krążą po Bydgoszczy. Ciągle zastanawiam się, co jeszcze mógłbym zrobić dla tego miasta”. A przecież zrobił tyle, co nikt inny.

– Przeprowadzała Pani z nim wywiady pod koniec lat 90.

– Tak, pracowałam wtedy w bydgoskiej „Gazecie Wyborczej”. Pierwszy wywiadywiad nosił znamieny tytuł od zdania, które Szwalbe w nim wypowiedział, a które odtąd wędruje ze mną przez całe moje zawodowe życie: „Szkoda życia na atrapy kultury”. Rzeczywiście szkoda czasu, który nam jest dany na coś, co nie jest dążeniem do prawdy, a w kulturze – do wielkości.

– Dla kogo Pani prowadzi na łamach „Tygodnika” aż tak aktywną popularyzację działalności Szwalbego?

– Dla wszystkich, by przypomnieć, co zrobił dla Bydgoszczy Szwalbe, a dla młodego pokolenia – żeby wiedziało, kim był. Mojemu pokoleniu dużo mówi to nazwisko. Ale mój syn ma 17 lat i gdy go zapytałam, odrzekł, że coś tam o Andrzeju Szwalbem słyszał... Młodzież w Bydgoszczy powinna o nim dużo wiedzieć.

– A czym dla Pani samej jest podejmowanie teraz, po latach, tematyki, związanej ze Szwalbem?

– Dla mnie to trochę jak „powrót do domu”. Andrzej Szwalbe był szefem mojego ojca, Edwarda Piórka, który jest muzykiem, obecnie kapelmistrzem Orkiestry Dętej Inowrocławskich Kopalń Soli „Solino”. Przez lata był puzonistą Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Pomorskiej. Ja uczyłam się w Państwowym Zespole Szkół Muzycznych im. Artura Rubinsteina w Bydgoszczy, potem ukończyłam muzykologię na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Andrzeja Szwalbego spotkałam na początku mojej pracy w redakcji „Gazety Wyborczej”. Potem rozmawialiśmy wielokrotnie. Zachwycił mnie erudycją, mądrością, swoistym szarmanckim stylem bycia i determinacją w działaniu. Uderzał przy tym skromnością, a to jest cecha ludzi wielkich. Teraz, gdy po prawie 20 latach zmieniłam redakcję i rozpoczęłam pracę w „Tygodniku Bydgoskim”, w moim zawodowym życiu – ku wielkiej radości – Andrzej Szwalbe pojawił się ponownie.

– Za życia i po śmierci Szwalbego rozmawiała Pani nieraz z wybitnymi kompozytorami, których on zapraszał do Filharmonii, a ci najwięksi komponowali utwory na jego zamówienie.

– Przykładem jest Kilar, który podkreślał, jak bardzo Szwalbe go inspirował. Powiedział, że jego poematu „Siwa mgła”, na orkiestrę i baryton solo, by nie było, gdyby nie zamówienie Szwalbego w 1979 roku. Górecki też nam zazdrościł Szwalbego i pytał, dlaczego nie ma go w Katowicach! Dla niego gotów był dwukrotnie przeprowadzić się do Bydgoszczy i omal tego nie zrobił.

– Jak pisze dr Aleksandra Kłaput-Wiśniewska – Szwalbe proponował nawet Góreckiemu stanowisko rektora usamodzielnionej właśnie Akademii Muzycznej.

– Zaś Antoni Wit, ówczesny dyrektor Filharmonii Narodowej w Warszawie, gdy z nim rozmawiałam telefonicznie, wspominał lata 1974–1978, gdy był szefem artystycznym naszej filharmonii, jako: „wspaniały okres

w swoim życiu, w którym mógł urzeczywistnić marzenia artystyczne”. I że wiele się od Szwalbego – prawdziwego managera kultury – nauczył. Uznawał się w tym względzie za jego ucznia.

– W ostatnim czasie, w dużych artykułach na łamach „Tygodnika Bydgoskiego” zamieściła Pani obszernie wspomnienia Stanisława Gałońskiego, dyrygenta i muzykologa, współorganizatora i pierwszego szefa artystycznego Capelli Bydostiensis. Gałoński był parę lat temu zaproszony do Ostromecka przez Stowarzyszenie Andrzeja Szwalbego „Dziedzictwo”, a w 2017 roku przez bydgoską Filharmonię na 55-lecie Capelli Bydostiensis. Z prof. Mirosławem Pietkiewiczem, którego wspomnienia też zamieściła Pani na całą szpaltę w „Tygodniku Bydgoskim”, zetknęła się Pani dzięki Stowarzyszeniu Andrzeja Szwalbego „Dziedzictwo”?

– Tak. Profesor Mirosław Pietkiewicz, który – jako prodziekan, a później prorektor – w latach 1974–1981 kierował obecną Akademią Muzyczną w Bydgoszczy, na początek będącą filią PWSM w Łodzi – był w roku 2017 gościem Stowarzyszenia, które w Ostromecku urządza cykliczne już od paru lat spotkania z ludźmi związanymi z dokonaniem Szwalbego. Spotkanie z prof. Pietkiewiczem odbyło się podczas Kolokwium Ostromeckiego w Pałacu Mostowskich. Na moją prośbę przed tym spotkaniem prof. Pietkiewicz napisał dla „Tygodnika Bydgoskiego” obszernie wspomnienie, dotyczące swojej współpracy z Andrzejem Szwalbem.

– Co utkwiło z tego, co głosił Szwalbe, najgłębiej w Pani pamięci?

– Ta jego ogromna wiara w możliwości Bydgoszczy. Widział Bydgoszcz zawsze wielką i ku tej wielkości dążył. Nikt chyba przed nim, ani po nim nie potrafił tak patrzeć na nasze miasto. Jednocześnie, po przeczytaniu raz jeszcze Pani książki *Życie na przełomie*, gdzie zamieszcza Pani tyle rozmów z Andrzejem Szwalbem, uświadomiłam sobie, że bliski mi jest także jego świat wartości – pojmowanie zawierzenia Bogu, sensu życia, sumienia, naszego podejścia do innych ludzi, piękna, dobra i zła. Bardzo bliski jest mi

stosunek Andrzeja Szwalbego do drugiego człowieka. Ja też, tak jak on, w młodości ceniłam u ludzi przede wszystkim intelekt.

– **Może posłuchajmy, Pani Magdaleno, jak on sam mówi o tym na str. 246 I wydania mojej książki *Życie na przełomie*: „To się zmieniało z biegiem lat. Kiedyś niewątpliwie ceniłem giętkość myślową, erudycję, zasób wiedzy. Dziś coraz bardziej doceniam coś, co jest poza tymi nabytymi atrybutami: dobroć, łagodność, przyzwoitość. Dziwię się, że te podstawowe wartości odrzucałem kiedyś dla nabytych, że nie doceniałem ludzkiego podłoża na rzecz talentu, osiągnięć naukowych czy artystycznych. Dopiero w toku praktyki zrozumiałem, jak złudny jest blask erudycji”.**

– Ja też, po życiowych zawirowaniach, zrozumiałam, że w człowieku najważniejszy jest nie intelekt, lecz właśnie ludzka uczciwość, empatia, dobroć... Bardzo cenię też w ludziach zdolność do czynu, a nie tylko mówienia. I tu Szwalbe był niedościgniony. Słów nigdy nie rzucał na wiatr. Dało się to odczuć zwłaszcza podczas uroczystego pogrzebu, jaki wyprawiło mu miasto, gdy pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Wszyscy, którzy przemawiali nad jego trumną, mówili o jego czynach.

– **No cóż, powiedziano przecież: „Po owocach ich poznacie”.**

Rozmowę przeprowadzono w maju 2017 r.



Cugli życia nie wypuszczał z rąk

Rozmowa z Urszulą Guźlecką – dziennikarką Telewizji Polskiej w Bydgoszczy, długoletnią prezenterką magazynu kulturalnego, autorką seitek reportaży i programów, głównie o tematyce kulturalnej

– Aby wyobrazić sobie trudy, również te całkiem prozaiczne, bo związane z finansami, jakie musiał Andrzej Szwalbe pokonać, by realizować swoje wizjonerskie dążenia – przejdźmy do konkretów. Znane było niezwykle oszczędne operowanie przez dyrektora społecznymi funduszami, które na realizację swych dążeń zdobywał, a których wówczas, jak wiadomo, w PRL-u brakowało. Niektórzy mówili, że rozdzielał je na kolejne przedsięwzięcia w sposób graniczący ze skąpstwem.

– To była oszczędność dobrze pojęta, wynikała z szacunku dla podatników. Reprezentował pokolenie ludzi, którzy przeżyli wojnę, doznali biedy i miał wiele szacunku dla ludzi, którzy pieniądze na cele społeczne dawali. Przecież Filharmonia powstała ze składek społeczeństwa.

– **Próbujemy, jak Pani widzi, doszukać się w nim słabostek, żeby nie był spizowy.**

– Choć był! Już za życia stał się legendą, krążyły o nim różne opowieści, czasami zabawne. A to najlepiej świadczy, że był KIMS. O osobach mało znaczących rzadko się rozmawia. Pojawiając się na wybranych wydarzeniach kulturalnych wnosił jakiś niezwykle powiew u r o c z y s t o ś c i . Gdy na pierwszych festiwalach operowych zjawiał się z żoną, wszyscy z pewnym podnieceniem szeptali, że sam Szwalbe przyszedł. Jeśli ON się pojawił, to znaczy, że musiało dziać się coś naprawdę waż-

nego. Swoją obecnością podnosił rangę każdego przedsięwzięcia kulturalnego. Był niekwestionowanym autorytetem, choć często postrzegany był jako dziwak, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Wiadomo było, że ma swoje wizje, swój świat i byle kto do niego nie trafi, nie zrozumie go. On rzeczywiście był człowiekiem, rzecz można, osobnym, nieszukającym poklasku, a niezłomną wolą potrafił tyle dokonać, że pociągał za sobą ludzi z prawa i z lewa. Kiedyś powiedział mi, że odpoczynek go męczy, że tak naprawdę odpoczywa w pracy. Podkreślał, że skazany jest na pracę jak koń perszeron.

– Pani zrobiła o nim dwa filmy w 1998 roku do „Magazynu Kulturalnego TV” w Bydgoszczy – jeden o jego dzieciństwie, drugi o dokonaniach. Jak wyglądały przygotowania do spotkania z człowiekiem tak skrupulatnym jak on?

– Do rozmowy z Dyrektorem trzeba było być bardzo dobrze przygotowanym. Miał taką wiedzę, że od razu wyczuwał braki. No i oczywiście musiał być też precyzyjnie ustalony temat rozmowy, termin nagrania. Jeśli chodzi o termin, to zawsze konsultował datę i godzinę z małżonką, co mi się bardzo podobało – ta atencja, z jaką traktował Panią Dobrusię – swoją żonę. Zawsze miałam sporą tremę, kiedy szłam na Dworcową, do Państwa Szwalbe, ale potem sama rozmowa była prawdziwą uczcą duchową. Jego styl wypowiedzi, piękna polszczyzna, poczucie humoru – wszystko to sprawiało, że człowiek, rozmawiając z nim, sam wznosił się na wyżyny.

Anrzej Szwalbe znał się na ludziach i miał duży zmysł obserwacji. Umiał też pięknie słuchać, co dziś niewielu potrafi. Uczył nas innego spojrzenia na Bydgoszcz, jako na miasto, które ma w sobie ogromny potencjał. Zwłaszcza muzyczny. Z wykształcenia był prawnikiem, ale to muzyka była mu najbliższa. W swoich wizjach wybiegał daleko w przyszłość i czas pokazuje, że się nie mylił.

– W wywiadach dla tygodnika „Fakty” nieraz dyskutowałam z nim na temat jego głębokich przekonań religijnych – jego wiara była żarliwa i miała mocny filozoficzny podkład.

– Nigdy nie romawialiśmy o wierze, nie czynił sztandaru z wiary, traktował ją jako swoją osobistą sprawę. Na pewno zaś był romantykiem twardo stąpającym po ziemi, człowiekiem czynu. Starał się „cugli życia nie wypuszczać z rąk”.

– **To nie był człowiek układów.**

– Absolutnie. Wszystko osiągał ciężką pracą. W niej szukał spełnienia, radości, pogody ducha. W pracy odpoczywał. Warto też podkreślić nie tylko jego pracowitość, ale też takt i kulturę osobistą. Wszystkie sądy miał głęboko przemyślane i nigdy nie mówił źle o ludziach. Przynajmniej ja tego nigdy nie słyszałam. Do niego pasowało słowo: harmonia. Myślę, że w miejsce rewolucji wołał zawsze ewolucję. Jeśli chodzi o Filharmonię Pomorską, to postawił na swoją „uczennicę” – Eleonorę Harendarską, która kontynuowała Jego wizję tej instytucji i sprawdziła się przez 30 lat. Doczekali się naprawdę wiernych, wspaniałych melomanów, którzy od ponad 50 lat spotykają się na koncertach. Kiedy kogoś z nich nie ma, denerwują się, pytają przyjaciół o przyczynę nieobecności.

– **Może dlatego taki dobry duch kryje się za jego dziełami, że on siebie nie stawiał na pierwszym miejscu.**

– Dla niego Piękno było najważniejsze. I publiczność.

– **I nie samo tylko Piękno – lecz ta głoszona przezeń Triada – Prawda, Dobro i Piękno. Ponieważ sprawy kultury wysokiej widział całościowo, zrówno w wymiarze artystycznym, jak i moralnym, jego dokonania nabrały takiego rozmachu, że z zaściankowej Bydgoszczy zaczęło wyzierać miasto kultury.**

– Z każdym – także z władzami – postępował delikatnie, ale i konsekwentnie. Dzięki temu swoją koncepcję przeprowadzał z reguły bardzo skutecznie. Pewnie dlatego, że potrafił przekonać do swoich pomysłów niedowiarków. Mówił zresztą pięknym językiem polskim, do którego czasem wtrącał łacińskie sentencje. Wszyscy zresztą wiedzieli, że kto jak kto,

ale Szwalbe Bydgoszczy krzywdy nie zrobi. Jeśli coś zaproponował, to znaczy, że musi mieć to dobrze przemyślane.

– **O tej jego nieskazitelnej polszczyźnie mówi Pani ze szczególną atencją. Warto tu przypomnieć: w 2011 roku przyznano Pani jako dziennikarce polskiej TVP tytuł „Mistrza Mowy Polskiej”. Szkoda, że dziś zanika pielęgnowanie pięknej polszczyzny. Ale to oddzielny temat. Idźmy dalej tropem Szwalbego – nikt nie może odmówić mu czegoś najważniejszego: odwagi w realizacji swoich wizji.**

– Przykładem chociażby muzyka sakralna, wykonywana w czasach PRL-u, podczas zainaugurowanych przez Andrzeja Szwalbego Festiwalu Muzyki Dawnej Europy Środkowej i Wschodniej. Kto w latach sześćdziesiątych na taką skalę prezentował muzykę sakralną? To były lata walki o państwo świeckie. A Andrzej Szwalbe proponował melomanom – obok klasyki i współczesnej muzyki polskiej – sporą dawkę dzieł o wyjątkowym wymiarze duchowym i religijnym. To samo było z Ignacym Janem Paderewskim, którego muzyka rzadko gościła w salach koncertowych, a w Bydgoszczy nie tylko ją grano, ale i sam Paderewski został patronem Filharmonii Pomorskiej. Bardzo ujęła mnie też koncepcja docierania z koncertami do małych miejscowości. Ten „kaganek muzyki” trafiał w jakimś sensie pod strzechy. Tu także daje o sobie znać przenikliwość Andrzeja Szwalbego, który w ten sposób chciał wychować przyszłych melomanów. Teraz muzycy przyjeżdżają do publiczności, ale może kiedyś ta publiczność przyjedzie posłuchać orkiestry w Filharmonii. Musi tylko rozsmakować się w muzyce.

– **Może dla przeciwwagi do epokowych poczynań Andrzeja Szwalbego – jakaś pogodna anegdota?**

– To, co powiem, wygląda na anegdotę, ale to prawda. Występował kiedyś w Filharmonii Stefan Stuligrosz z „Poznańskimi Słowikami”, który lubił czasami powiedzieć coś zza dyrygenckiego pulpitu. Andrzej Szwalbe siedział wówczas na sali. W pewnym momencie Stuligrosz odwrócił się do publiczności i – nie wiadomo dlaczego – wyraził podziw dla świętej pamięci Szwalbego, jak się wyraził. Podkreślił, że ten wielki człowiek

zostawił po sobie w Bydgoszczy tak wspaniałą salę koncertową i wielkie tradycje muzyczne. Po tych słowach na sali zapanował przez moment lodowaty chłód, ludzie nie wiedzieli, jak reagować. W przerwie koncertu organizatorzy szybko pobiegli do niego, informując, że Szwalbe żyje i jest obecny na koncercie. Stuligrosz, trochę skonfudowany, w drugiej części koncertu sprostował swą omyłkę mówiąc, że pomylił Szwalbego z kimś innym. A Andrzej Szwalbe potraktował tę niefortunną wypowiedź zapewne z dużym poczuciem humoru.

– **Wróćmy do współczesności naszego miasta.**

– Bydgoszcz na pewno jest miastem, w którym dużo się dzieje, zwłaszcza w muzyce. Dwa renomowane festiwale w Filharmonii Pomorskiej, Bydgoski Festiwal Operowy, Festiwal „Muzyka u źródeł”, „Rzeka Muzyki”, Konkurs Pianistyczny im. I.J. Paderewskiego, Konkurs Wokalny im. Paderewskiego, a do tego cała gama koncertów – także w plenerze. Jest w czym wybierać. Tym bardziej, że przyjeżdżają znakomici wykonawcy i zespoły z całego świata. Tu kształtowała się osobowość artystyczna Rafała Blechacza, tu wykladał w Akademii Muzycznej Vadim Brodski. To o czymś świadczy. Wystarczy chcieć z tej oferty skorzystać. Kiedy się z nią zapoznamy, zobaczymy, że nie jesteśmy gorsi od innych dużych ośrodków.

– **„Potencjalna wielkość Bydgoszczy tkwi w jej możliwościach” – mówił Szwalbe i dodawał: „trzeba tylko, żeby mieszkańcy w nie uwierzyli”. Może teraz nadszedł taki czas? Dlatego ogromnie pobudzająca zdaje się być rola prestiżowej nagrody o nazwie „Laur Szwalbego”, przyznawanej przez Prezydenta Miasta, począwszy od 2002 roku, tym, którzy przyczyniają się do promocji Bydgoszczy w Polsce i w świecie, jednym słowem, swym działaniem dodają znaczenia miastu w kraju i za granicą.**

– Są to najczęściej ludzie sztuki, nauki, ale również i świata techniki, przemysłu. Dla przykładu: w 2007 roku otrzymał „Laur Szwalbego” były szef PESY, Tomasz Zaboklicki, rok później – Eleonora Harendarska, długoletnia dyrektor Filharmonii Pomorskiej, następczyni Andrzeja Szwalbego. W 2014 roku „Laur Szwalbego” przypadł w udziale

prof. Zygmunta Mackiewicza, prezesowi Stowarzyszenia Od-
budowy Bydgoskiej Fontanny „Potop”, a w 2016 – Katarzynie Popo-
wej-Zydroń, prof. Katedry Fortepianu Akademii Muzycznej w Byd-
goszczy, której studenci zdobywają czołowe miejsca na konkursach
pianistycznych w kraju i za granicą.

**– A Pani otrzymała „Laur Szwalbego” zaledwie rok temu, w 2017 roku,
z okazji 671 rocznicy urodzin Bydgoszczy. Gdy podczas uroczystego
koncertu z tej okazji zabrzmiały utwory Mozarta w wykonaniu Capel-
li Bydgostiensis, obchodzącej właśnie swe 55-lecie – „Laur Szwalbego”
wręczono Pani za „działalność kulturalną oraz popularyzację muzyki
poważnej na antenie Telewizji Polskiej”.**

– Każde wyróżnienie cieszy, ale „Laur Szwalbego” jest dla mnie nagrodą
wyjątkową, przede wszystkim ze względu na patrona. Wszystko, co po-
wstało w tym mieście w II połowie XX wieku – a co dotyczy kultury –
opiera się na dokonaniach Andrzeja Szwalbego. On jest tym źródłem.



To był człowiek renesansu

Rozmowa z Eleonorą Harendarską – muzykologiem, była dyrektor Filharmonii Pomorskiej im. I.J. Paderewskiego

– Muzyka rozbrzmiewa w Dzielnicy Muzycznej niemal bez przerwy, bo obok Filharmonii działa Akademia Muzyczna, Zespół Szkół Muzycznych. A Ty w samym sercu tego muzycznego centrum, w Filharmonii bydgoskiej, przepracowałaś okrągłe 50 lat, w tym jako dyrektor, następczyni Szwalbego – 25 lat. Czym jest dla Ciebie muzyka?

– Cokolwiek powiedziałabym na ten temat, ktoś inny ujął to piękniej.

– Może więc przywołam słowa Debussy'ego: „Muzyka jest matematyką tajemną, której elementy sięgają nieskończoności. Nie jest ograniczona do mniej lub więcej niemego odtwarzania natury, lecz zdolna jest wykrywać utajone związki między naturą a wyobraźnią”. To, co zacytowałam, zdawałoby się świadczyć o elitarności muzyki poważnej, tymczasem obserwując wypełnione po brzegi Filharmonii Pomorskiej, przypominają się słowa Karola Szymanowskiego: „Muzyka jest najbardziej demokratyczną ze sztuk”.

– Ale to jest sprawa wychowania sobie podczas wielu dziesięcioleci słuchaczy w szerokich kręgach bydgoskiego społeczeństwa. Na koncerty przyjeżdżają też do Bydgoszczy melomani ze Szczecina, Łodzi, Gdańska, Krakowa. Zwrócił mi na to uwagę dyrektor hotelu „Holiday Inn” w Bydgoszczy, bo ludzie zamawiają w związku z koncertami miejsca w hotelu przez internet. Tymczasem Marszałek naszego województwa nie przychodzi, choć jest zapraszany, nawet na uroczyste inauguracje krajowych i międzynarodowych

festiwali. Nie odwołuje też zarezerwowanych miejsc. Inny przykład: na wydanie naszej reprezentacyjnej płyty „Ave Maria” Filharmonia nie dostała od Marszałka ani złotówki. Władze marszałkowskie obiecywały, że zakupią 100 płyt jako ewentualne prezenty dla gości i nie uczyniły tego.

– Powiedz, jak dziś, już z dystansu, widzisz swoje 25 lat przewodzenia Filharmonii Pomorskiej?

– Zaczęłam swoją kadencję w 1990 roku, akurat w momencie, gdy nastąpił przełom polityczny. Wszystko się waliło, nastał czas chaosu, likwidowania instytucji. Z tej nędzy trzeba było Filharmonię wyprowadzić, a tymczasem nie zawsze nawet starczało na wypłaty dla pracowników. Toczyła się walka o przetrwanie. Chodziło o to, by nie upaść – a to nie było proste. W 21 postulatach Solidarności nie było ani jednego o kulturze.

– Należałaś do Solidarności.

– Solidarność – to był wybuch społeczny w obronie prawdy i godności, bo ludzie nie wytrzymywali zakłamania i arogancji komunistycznej władzy. Ale wtedy, na początku lat dziewięćdziesiątych, uzasadnione były obawy, że poważne instytucje kulturalne zejdą na margines. Na kulturę nie patrzono wówczas łaskawym okiem. Minister Leszek Balcerowicz powiedział: „Ludzie najpierw muszą mieć pełne żołądki, a potem będą przychodzić na kulturę”. Chciałam go spytać: „A kiedy to nastąpi?”. Szwalbe za swej kadencji dostawał pieniądze na Filharmonię na cały rok, więc wiedział, jak nimi gospodarzyć – ja, niestety, nie, bo bywało że dostawałam „na dekadę”, na 10 dni tylko. I trzeba było dać sobie radę.

– Z czego jesteś najbardziej dumna z perspektywy lat?

– Z tego przede wszystkim, że udało mi się przez 25 lat przeprowadzić Filharmonię, utrzymując nie tylko jej stabilność, ale i pozycję. To nie tylko moje zdanie. Dzwonił do mnie Jerzy Maksymiuk, często zapraszany do naszej Filharmonii – a osobiście znam go 50 lat. Powiedział: „Przeglądałem programy koncertów za Twojej kadencji – to było bardzo ambitne!” Ale dziś czasy skłaniają ku populizmowi.

– **Co budziło Twój niedosyt?**

– Ze mojego marzenia – sprowadzania artystów światowej sławy – nie można było spełniać, bo po prostu nie stać nas było na zapraszanie ich ze względu na brak środków finansowych.

– **Jak układała się współpraca ze Szwalbem, zanim zostałaś dyrektorem?**

– Już po pierwszym miesiącu chciałam odejść. On był przyzwyczajony do innych ludzi, miał inny bagaż wiadomości. Nasze stosunki układały się burzliwie. Kiedyś rzucił za mną krzesłem. Na początku mojej pracy w Filharmonii mówił na przykład: „Czy musi Pani malować paznokcie? To ludzi rozprasza”. Ale córki go wychowały i potem już nie miał takich pretensji.

– **Niełatwo było przejąć pałeczkę po tak silnej osobowości?**

– „Ja nie chcę być dyrektorem Filharmonii!!” – zaprotestowałam, gdy powiedział, że we mnie widzi swą następczynię. Miałam i mam swoje kongresy, wydawnictwa, żyłam innymi sprawami. Odpowiedział: „Pani Eluniu, musi Pani”. Jeden z przyjaciół dobrze mi wtedy poradził: „Bądź po prostu sobą. Szwalbe to jest Szwalbe, a ty jesteś ty. Nie chodzi o to, by być konkurencją”. To mi pomogło. Ale muszę przyznać, że Andrzej Szwalbe traktował mnie jak córkę. Denerwował się, że palę, zabierał papierosy, tłumaczył, ale tu miał rację, bo odbiło się to na moim zdrowiu. W ogóle bardzo ciekawie się z nim współpracowało.

– **Potrafiłaś się mu przeciwstawić?**

– Tak, i czasem przyznawał mi rację. On bardzo przejmował się losem pracowników. Gdy mnie aresztowano za udział w Solidarności – to był rok 1984 – ogromnie go to dotknęło. Martwił się, jak Iza, moja córka, sama sobie w tym czasie poradzi.

– **Jak odbyło się przejście gabinetu, gdy przeszedł na emeryturę?**

– To był jego wybór. Ja nie chciałam jego gabinetu. Powiedziałam mu: „Pan dalej będzie tam urzędował”. Odpowiedział z mocą: „Nie, pani Eluniu”.

– **Mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych.**

– To bzdura, że każdego człowieka można zastąpić. Są ludzie nie do zastąpienia i Szwalbe do nich należy.

– **Jaka jest więc sytuacja kultury wysokiej, tak promowanej przez Szwalbego, a potem przez Ciebie w dzisiejszej Bydgoszczy?**

– Mieszkańcy Bydgoszczy – to nie są ludzie otwarci, którzy mieliby wielkie wizje, jeśli idzie o kulturę. No i braknie, niestety, w tym mieście prawdziwych elit, które by się o miejsce dla kultury wysokiej upomniały. Chodzi o ludzi wykształconych, myślących, bezinteresownych, wrażliwych, którzy odważyliby się zabrać głos. Ludzi, z wizją pokroju Szwalbego. Mam żal, że kultura jest tu tak postrzegana. To mogłoby być miasto muzyki...

– **Mówisz: mogłoby. A przecież chyba jest...**

– Bydgoszcz uważa się za miasto muzyki. Ale gdyby nim była, promowałyby muzykę. Tymczasem, jak śmiesznie niskie są nakłady na nią. Za dużo wydaje się na sport. Nie jestem przeciw sportowi, ale przecież nie tylko kultura fizyczna powinna być popierana. W Bydgoszczy są niezwykle warunki rozwoju kultury muzycznej. Nie ma drugiego miasta, które miałoby tak rozbudowane instytucje muzyczne. Mamy piękne Stare Miasto, Filharmonię, Operę, szkolnictwo muzyczne wyższe i średnie. Jest niezwykle Wyspa Młyńska, środek miasta przecina wstęga Brdy. Przyjezdni są zachwyceni Bydgoszczą. Ale to miasto ma trudności z wybiciem się. Często się zdarza, że wykształceni absolwenci tutejszej Akademii Muzycznej wyjeżdżają z Bydgoszczy szukać szczęścia gdzie indziej. A tu, dla przykładu, Wrocław czy Toruń idzie jak burza. Przykład Torunia wykazuje, ile może zrobić dla miasta rozumiejący kulturę prezydent miasta, jakim jest Michał Zaleski.

– **Tymczasem wytwarzane są animozje między naszymi miastami...**

– Wyspa Młyńska miała być wyspą malarzy, artystów, clochardów, a zamiast tego odbywają się tam rozrywkowe masówki sobotnio-niedzielne dla żadnych „chleba i igrzysk”. Bo tylko rozrywka jest promowana. A ja

chciałam, żeby ludzie odwiedzili na Wyspie Młyńskiej ciekawe muzea, spotkali się tam z pięknem sztuki, zwłaszcza plastycznej. Przecież tam znajduje się Muzeum Leona Wyczółkowskiego i jeden z największych zbiorów malarstwa współczesnego, zgromadzonych za czasów dyktowania Aurelii Boruckiej-Nowickiej.

– **Bydgoska Filharmonia dysponowała, dzięki Szwalbemu, wielką kolekcją współczesnego malarstwa**

– Jego 200 obrazów liczącą kolekcję, w skład której wchodziły dzieła najwybitniejszych współczesnych polskich malarzy i grafików w rodzaju Szajny, Hasiora, Stażewskiego – przekazałam w imieniu Filharmonii w depozyt bydgoskiemu Muzeum w roku 2014.

– **Ale wróćmy do gmachu Filharmonii, wzniesionego przez Szwalbego. Unia Europejska, jak wiem, za Twojej dyktacji, dała Filharmonii fundusze na duży remont, instrumenty, założenie klimatyzacji.**

– Tak, przeszło 5 milionów euro. Ale potrzeby są tak ogromne. No cóż, 60 parę lat temu, gdy Filharmonię Szwalbe budował, nikt nie myślał o odpowiednich salach prób dla orkiestry, garderobach, windach dla niepełnosprawnych i seniorów, pokojach dla artystów, czy o większej liczbie toalet lub też wielkim parkingu dla publiczności.

– **Przypomnijmy: gmach powstawał w latach pięćdziesiątych, w czasach tzw. stalinowskich.**

– Nawiasem mówiąc, Szwalbe, zgłaszając pomysł budowy sali koncertowej w Bydgoszczy w lutym 1952 roku, motywował przebiegle, że nowy gmach dla istniejącej Pomorskiej Orkiestry Symfonicznej, której był dyrektorem, będzie służyć jako miejsce odbywania spotkań partyjnych i związkowych oraz akademii zakładowych. To trafiło władzom do przekonania.

– **To był dyplomata wysokiej klasy! Filharmonię budowano wszak w czynie społecznym, ale bez poparcia ówczesnych władz byłoby to niemożliwe i on doskonale zdawał sobie z tego sprawę.**

– No i oczywiście budując, oszczędzano na wszystkim. Wówczas, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, „klimatyzacja” wyglądała tak, że braliśmy z rzeźni bryły lodu i kładliśmy w piwnicy. Klimatyzacja potrzebna jest na gwałt, choćby ze względu na konieczność czerpania powietrza na dach budynku, by nie zaproszył się ogień w przewodach. Z kolei w piwnicy podchodzi woda. Nie ma też zapadni, choć była w projekcie. A węzła ciepłowniczego od 50 lat nie dało się wymienić. Jednym słowem: artystycznie Filharmonia stoi wysoko, technicznie – nie.

– **Za to mamy przepiękną salę koncertową, prawdziwą harmonię wielu rodzajów sztuk w kularach, no i rewelacyjną akustykę.**

– Pod tym względem Bydgoszcz jest nie do pobicia! I dlatego sali koncertowej Filharmonii nie można ruszyć. Projektant akustyki, prof. Straszewicz, okazał się w tym przypadku genialny, choć nawet takim jak on nie zawsze udało się później podobne mistrzostwo osiągnąć.

– **Szwalbe prowokował Bydgoszcz do wszechstronnego rozwoju kultury wysokiej.**

– Dziś władarze miasta o tym zapomnieli. Rozpanoszyła się popkultura. A wielka szkoda, bo jak powiedział św. Jan Paweł II: „Bez kultury naród ginie”.

– **Uważało się, że biznes pomoże kulturze.**

– To są, niestety, mrzonki. Tego nas uczono w Stanach Zjednoczonych, dokąd otrzymałam stypendium i wraz z grupą wyróżniających się polskich dyrektorów placówek kulturalnych uczestniczyłam w seminarium na temat „Kultura w dobie wolnego rynku”. Okazuje się, że marketing tylko lansuje towar, a dopiero sponsoring jest ważny. To on buduje image, wizerunek instytucji. Tymczasem dziś wszystko zmierza w kierunku populizmu.

– **Przytoczyłaś wyżej, co na ten temat powiedział Balcerowicz, ówczesny wicepremier, ale to była sytuacja początku lat dziewięćdziesiątych**

– tymczasem to samo pytanie, które chciałaś mu wtedy zadać, mogłabyś zadać i dzisiaj. Jak na tym tle określiłabyś Szwalbego?

– W niełatwych latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych czynił wszystko, żeby to było miasto sztuki.

– **Jak dziś Szwalbe widziałby to swoje ukochane miasto z wyboru?**

– Myślę, że z dużym smutkiem by patrzył. Bo to nie jest realizacja jego marzeń. Nigdy nie był za populizmem. I miał rację. Nie można od kultury wymagać, by dostosowywała się do ludzi, którym niepotrzebna jest sztuka. Kiedyś ktoś z teatru przyszedł do mnie, jako dyrektora Filharmonii, bym „dla kiboli” zorganizowała koncerty. Powiedziałam: „Na koncert każdy może przyjść i nie ma u nas oddzielnych imprez muzycznych dla „świata kiboli”. Do niskich potrzeb nie możemy się dostosowywać, mimo że wszystko przez globalizację zmierza do populizmu. Tymczasem to właśnie kultura decyduje o tożsamości narodu.

– **Nieoceniony Szwalbe w swych wizjach rozwoju społecznego uważał, że z czasem elity polityczne dorosną do mecenatu. W pierwszym wydaniu mej książki zamieściłam jego powiedzenie z 1998 roku, którego fragment przywołam: „Elity polityczne jeszcze nie są ukształtowane. Za pewien czas nabiorą ogłady, a co ważniejsze – zaplecza etycznego” – i jeśli idzie o kulturę wysoką, dodał: „Nowa elita będzie na tyle światła, iż będzie się czuła zaszczycona, że może ją (tzn. kulturę) wspierać”.**

– Miejmy nadzieję, że to nastąpi...



On tworzył humanistykę tego miasta

Rozmowa z prof. zw. dr. hab. Jerzym Kaszubą – rektorem Akademii Muzycznej im. Feliksa Nowowiejskiego w Bydgoszczy

Profesor Jerzy Kaszuba wita mnie na progu swego gabinetu w siedzibie Akademii Muzycznej, w pięknym, zabytkowym gmachu dawnego bydgoskiego starostwa, w centrum stworzonej przez Szwalbego Dzielnicy Muzycznej, zwanej tak od skupienia tu głównych instytucji muzycznych. Założona i przez lata prowadzona przez naszego skutecznego wizjonera słynna Filharmonia Pomorska im. Ignacego Jana Paderewskiego niejako sąsiaduje z Akademią Muzyczną. A obok mamy Zespół Szkół Muzycznych im. A. Rubinsteina, zaś całość zdaje się ogarniać również przeniknięty muzyką, przyległy do Filharmonii i Akademii – Park Jana Kochanowskiego, gdzie wśród zieleni witają nas posągi wielkich polskich i światowych kompozytorów.

Profesor Jerzy Kaszuba, rektor Akademii – to ceniony pedagog i artysta, laureat nagród na konkursach akordeonowych u schyłku lat siedemdziesiątych w Niemczech i w Polsce. Występował w owych latach na renomowanych festiwalach, takich jak np. „Styryjska Jesień” w Graz, w Austrii, czy w Polsce: „Poznańska Wiosna Muzyczna”, „Warszawska Jesień”. Od roku 1980 związany jest z bydgoską Akademią Muzyczną, najpierw jako pedagog gry na akordeonie, a od lat dziewięćdziesiątych wchodzi w skład zespołu rektorskiego tej uczelni.

– Pracuje Pan w zespole rektorskim Akademii Muzycznej w Bydgosz-
czy 18 lat, pełniąc funkcję rektora w latach 1999–2005 i ponownie od
roku 2012 jest Pan rektorem.

– Przez te wszystkie lata bardzo dobrze układa nam się współpraca w ze-
spole rektorskim Akademii...

**–... co niewątpliwie przyczynia się do jej rozwoju. Cofnijmy się więc na
chwilę w czasie – do początków Akademii Muzycznej, powołanej m.in.
przez Andrzeja Szwalbego, która dziś uchodzi za jedną z przodujących
akademii muzycznych w kraju. Od czego zaczynała?**

– Powstała w 1974 roku jako filia Akademii Muzycznej w Łodzi, pro-
wadzonej wówczas przez docenta Zenona Płoszaja. Już po pięciu latach
nasza Akademia uzyskała samodzielność, co świadczy o dynamice jej roz-
woju od samego początku. W chwili założenia, w 1974 roku, ta uczelnia
miała jeden wydział – instrumentalny, a studiowało zaledwie 25 osób. Już
w rok potem doszedł drugi wydział – wychowanie muzyczne.

– **A dziś?**

– Dziś mamy blisko 700 studentów studiów I stopnia, II stopnia, studiów
doktoranckich oraz słuchaczy studiów podyplomowych. Są też kursy spe-
cjalistyczne w języku angielskim dla pianistów – studiuje u nas 30 cudzo-
ziemców, to duży stopień umiędzynarodowienia. Mocno stoi dyrygentura,
kompozycja, wokalistyka, instrumentalistyka, rozwija się reżyseria dźwię-
ku. Prowadzimy siedem kierunków, prawie wszystkie, jakie mają uczelnie
muzyczne w kraju. Udało nam się pozyskać do naszej kadry naukowej
światowe nazwiska, których tu nie będziemy wymieniać, bo nazwisk tych
zbyt dużo.

– **Uczelnia wasza wydała słynnego zwycięzcę Konkursu Chopinowskie-
go w 2005 roku, Rafała Blechacza, który zaczął w bydgoskim Zespole
Szkół Muzycznych.**

– Niewątpliwie Rafał Blechacz – to sukces całego bydgoskiego środowi-
ska muzycznego, nie tylko Akademii. Wysoko zaszedł też Stefan Nehring,

zwycięzca wielu konkursów pianistycznych, finalista XVII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Chopina w Warszawie w 2015 roku, a obecnie zwycięzca konkursu w Tel Avivie.

– Był Pan współorganizatorem i jurorem ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów akordeonowych. Jako wykonawca, solista i kameralista dokonał Pan też wielu prawykonań muzyki polskich kompozytorów. W czasie kierowania uczelnią bydgoską udało się wprowadzić nowe kierunki i specjalności – muzykę jazzową, rozrywkową oraz muzykę kościelną...

– Wychodząc naprzeciw wieloletnim postulatom bydgoskiego środowiska muzycznego od 2003 roku wprowadziłem kształcenie w zakresie muzyki jazzowej, a w chwili obecnej przygotowujemy się do powołania kierunku: muzyka kościelna i jego otwarcie planujemy już w bliskiej przyszłości.

– Napotykał Pan w swych działaniach na rzecz rozwoju uczelni na trudności?

– Same trudności! Ale po to one są, by je pokonywać. I władze miasta pomagały mi w trudnościach dnia powszedniego.

– Uczelnia Wasza przygotowuje przyszłych artystów, którzy zasilają Filharmonię Pomorską, Operę Nova i Zespół Szkół Muzycznych. Zagłębmy do tematu: wychowanie młodzieży, któremu tyle miejsca poświęcał Andrzej Szwalbe, gdy pracowałam nad pierwszym wydaniem tej książki w 1998 roku. Niezależnie od niekończących się rozmów o swych młodzieńczych latach i wychowaniu zarówno w domu rodzinnym, jak i przedwojennym gimnazjum warszawskim im. Reja – przesłał do mnie wówczas trzy oddzielne listy, zamieszczone w książce – o wadze stawiania młodemu człowiekowi wymagań, by wydobyć cały jego potencjał, otworzyć na świat, wpoić pojęcie misji, jaka stoi przed nim i każdym z nas, wychować dla służby ojczyźnie. W tym celu, jak twierdził, trzeba dzieciom i młodzieży stawiać „całe poligony niespełnionych pożądań”. Czy Pana zdaniem, młode pokolenie zna



Fot. Wiesława Wolna

Powstała w 1974 roku Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna, przemianowana w 1982 roku na Akademię Muzyczną im. Feliksa Nowowiejskiego, mieści się od 1975 roku w byłym budynku starostwa, wybudowanym w 1906 roku, według projektu E. Saltzwedela



Fot. Wiesława Wolna

Rzeźba portretowa Andrzeja Szwalbego dłuta Michała Kubiaka. W tle gmach Akademii Muzycznej

pojęcie służby wobec narodu i społeczeństwa, tak akcentowane przez Szwalbego?

– Zawód muzyka, do którego u nas młodzi się przygotowują – to przede wszystkim wychowanie dla służby muzyce, społeczeństwu. Nigdy nie wiadomo, czy ten gorzki trud, jakiego się podejmują, gnani wewnętrzną potrzebą, kształcąc się przez lata muzycznie na coraz wyższym poziomie – będzie w ogóle zauważony, nie mówiąc już, że doceniony... To nie jest atrakcyjny fach. Oni wybierają tę drogę rozwoju duchowego i artystycznego nie patrząc na nic – realizując swoje marzenia.

– A więc idealisci – jak się z nimi obejdzie życie...?

– Szwalbe też był idealistą, ale stąpał twardo po ziemi. Był silny sobą – i to dlatego, że odebrał takie, jak Pani mówi, wychowanie zarówno w domu, jak i w przedwojennym warszawskim Gimnazjum im. Reja, a do przekraczania siebie, do samodyscypliny i dążeń ponadjednostkowych, a co za tym idzie, do wielkości dopingowała go mądra matka. Inna sprawa, że może w Jego osobowości tkwił imperatyw tak szerokiej i skutecznej działalności. Ale na pewno nie zbudowałby niczego bez swego humanizmu. Bo żeby realizować swoje wizje, trzeba mieć plan moralny plus ciekawość świata, plus wolność, plus wiedzę. A przy tym wolność nie może być anarchią, czyli przeszkadzaniem innym.

– A Pan, Rektorze, jakie otrzymał wychowanie?

– W rodzinie nikt nie poświęcił się muzyce, niemniej rodzice popierali moje dążenia. I miałem szczęście do dobrych nauczycieli – wiele im zawdzięczam. Najpierw był to Ireneusz Cugowski w szkole muzycznej pierwszego stopnia, który obudził moją ogromną ciekawość świata muzyki i odkrył moje powołanie. Potem Mieczysław Sztajkowski dał nam wielką wolność w dziedzinie poszukiwań muzycznych i to na wysokiej jakości instrumencie, który z Niemiec sprowadzał. No a prof. Włodzimierz Lech Puchnowski, legenda polskiego akordeonu, podczas studiów w Wyższej Szkole Muzycznej w Warszawie – uświadomił, jaką potęgą jest akordeonistyka. Do tej edukacji dołączyć trzeba by po drodze nauczycieli języka pol-

skiego, historii, sztuki. Wszystko to sprawiło, że lata szkolne i studenckie były dla mnie okresem wielkiej dynamiki, wprost łykania wiedzy i sztuki. Naprawdę miałem szczęście do ludzi.

– Wspomniał Pan o szczęściu, a spojrzenie Andrzeja Szwalbego na filozoficzne pojęcie szczęścia ewaluowało z latami – rozmawiałam z nim o tym na łamach bydgoskich periodyków kulturalnych dwukrotnie, zanim ten temat pojawił się w pierwszym wydaniu mojej książki o Szwalbem. Najpierw był mój wywiad z nim o znamienym tytule: *Szczęście nie jest mi potrzebne* – bo d a ż e n i e było jego szczęściem. A pod koniec życia mówił w drugim wywiadzie na ten temat – że szczęście to rodzaj łaski, której doznajemy niezależnie od stanu zdrowia czy aktualnej życiowej sytuacji, jeśli czujemy się spełnieni, a „koniec początkowi się kłania”.

– Dla mnie szczęście ma wymiar konkretny – móc realizować swoją pasję w dziedzinie muzyki.

– Wygląda na to, że zasłużył Pan na swoje szczęście. Zagłębiliśmy się w filozofię życia i działania. Czas wracać do Akademii i jej rozlicznych akcji muzycznych – także poza gmachem Akademii. Sama uczestniczyłam w jednym z koncertów waszego Operowego Forum Młodych, które co roku towarzyszy każdej edycji mającego swą niezaprzeczalną renomę Bydgoskiego Festiwalu Operowego w gmachu Opery Nova.

– Tak, to nasza inicjatywa, serdecznie poparta przez dyrektora Opery Nova, Macieja Figasa: podczas przerw tego dużego Festiwalu my prezentujemy przedstawienia uczelni muzycznych z terenu Polski i Europy, które pokazujemy w Sali Kameralnej bydgoskiej Opery Nova.

– Powodzeniem cieszą się też majowe koncerty waszych dyplomantów w sali koncertowej Filharmonii Pomorskiej z towarzyszeniem Orkiestry Symfonicznej Filharmonii. Może parę słów o innych interesujących akcjach Akademii, także poza jej siedzibą, w czasie roku akademickiego i wakacji.

– Poza ponad 40 koncertami, które dajemy w salach koncertowych naszej uczelni, organizujemy w podbydgoskich pałacach, przez Szwalbego przywróconych kulturze polskiej, szereg koncertów, na przykład w Lubostroniu „Koncerty Pałacowe” we współpracy z Pałacem Lubostron, a w Ostromecku – koncerty: „Akademia w Pałacu” i „Akademia Dzieciom”, czy koncerty „Musica Spiritus Movens” we współpracy z Diecezją Bydgoską. W lecie mamy też koncerty: „Akademia w zabytkach Bydgoszczy”, na przykład w Katedrze nad Brdą. Na wszystkie nasze imprezy w salach koncertowych Akademii Muzycznej wstęp jest wolny, podobnie jak poza Akademią na „Musica Spiritus Movens”, „Akademia w zabytkach Bydgoszczy”, czy „Akademia Dzieciom”.

– W jakim okresie swej działalności rektorskiej nawiązał Pan bliższy kontakt z człowiekiem, który ponad 40 lat temu powołał Akademię i wszystko się zaczęło...?

– Parę razy spotkałem się z Andrzejem Szwalbem już pod koniec jego życia, w latach 1999–2002. Rozmawialiśmy o Akademii Muzycznej i Uniwersytecie – marzyły mu się głębokie struktury humanistyczne miasta, zwłaszcza muzykologia. Był przeniknięty ideą szybkiego stworzenia Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego i widział to w kategoriach rozbudzenia Bydgoszczy dla idei humanistycznej, bo ciągle brakowało mu w tym mieście krzewienia głębokiego humanizmu.

– Nie uważa Pan, Rektorze, że ten skromny, niepozorny wręcz człowiek cechował się niebywałym poziomem i obfitością wiedzy humanistycznej?

– Rozmowa z nim – to była prawdziwa uczta duchowa. On, można powiedzieć, czynił wszystko, by pchnąć miasto w kierunku jego wielkości.

– Właśnie – to był temat mojego wywiadu z Andrzejem Szwalbem w latach siedemdziesiątych, w „Promocjach”, który nosił tytuł: *Miasto skazane na wielkość*. Pan już właściwie odpowiedział na pytanie, w jaki sposób dyrektor Filharmonii widział drogę, na której Bydgoszcz może dążyć do wielkości.

– Tak i powtarzam: przede wszystkim poprzez poszerzenie swych horyzontów humanistycznych, ugruntowanie humanistycznej wiedzy. I Szwalbe poprzez wszystkie lata swej działalności uparcie do tego dążył.

– **Czy miasto poszło tą drogą?**

– Niewątpliwie w dziedzinie muzycznej tak. Siłą miasta stała się muzyka! Dziś Bydgoszcz jest bardzo silna muzyką.

– **Wszędzie spotykam się ze zdaniem, że muzyka ma pierwszeństwo w tym mieście, ale proszę o namacalne przykłady na dziś.**

– Dowodzi tego m.in. zarówno stosunek władz miasta do instytucji muzycznych, jak i reakcje społeczeństwa w postaci oddźwięku na nasze inicjatywy, wypełnione sale koncertowe. No i harmonijna współpraca Akademii Muzycznej z Filharmonią, Zespołem Szkół Muzycznych, Operą. Tak piękny kontakt i zgodna współpraca wszystkich wymienionych instytucji dobitnie świadczy o sile muzycznej Bydgoszczy. Takiego harmonijnego współdziałania nie spotkamy chyba w żadnym innym mieście. Nasi profesorowie wykładają w Zespole Szkół Muzycznych, który reprezentuje wysoki poziom, są członkami Orkiestry zarówno w Filharmonii, jak i w Operze Nova. Nasi absolwenci znajdują w tym mieście pracę w wymienionych instytucjach, nie narzekają na brak zatrudnienia.

– **A jak z perspektywy dążeń Szwalbego plasuje się miejsce bydgoskiego Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w kulturze miasta i regionu?**

– Musimy pamiętać o jednym: Uniwersytet Kazimierza Wielkiego jest uczelnią młodą. Potrzeba jeszcze czasu i ogromnej cierpliwości, by jego cenną kadrę kreować dalej. To dzieje się już i będzie trwać bezustannie. Bądźmy więc optymistami, pamiętając, że uczelnie mają w swej strukturze niezbywalny model stałego rozwoju.

– **Spójrzmy jeszcze na to ukochane miasto z wyboru, jakim stała się dla Szwalbego Bydgoszcz. Czy w tym mieście w przyszłości, jak twierdził, „skazanym na wielkość” – ukształtowały się elity i czy funkcjonowanie**

elit jest dziś możliwe w dobie supremacji relatywizmu moralnego i populizmu?

– To jest szerszy problem, dotyczący nie tylko Bydgoszczy. Gdy patrzymy na ludzi zajmujących się polityką, życiem społecznym – sprawa nieraz napawa niepokojem. Na porządku dziennym są antagonizmy, lekceważenie mających przeciwne zdanie.

– **W 1992 roku robiłam wywiad z ks. prof. Józefem Tischnerem, pt. *Pytać pytających*. Profesor mówił o tym, że w naszym narodzie zanika sztuka mądrego dialogu, w którym pytamy o racje drugiego i jesteśmy przez niego pytani o nasze racje.**

– Tak, to szerszy problem, którego tu nie rozwiążemy.

– **Wróćmy więc do siły muzycznej Bydgoszczy, tak budowanej przez Szwalbego – a jej wyrazem jest też konkretna już wizja niezwyklej nowej siedziby waszej Akademii, której główny campus ma szansę stać się jedną z wizytówek muzycznych i architektonicznych miasta?**

– Akademia Muzyczna otrzymała od miasta działkę w śródmieściu dla zlokalizowania tam swej siedziby głównej. Planujemy tu kompleks koncertowo-parkowy, jakiego będzie mogło nam pozazdrościć niejedno miasto, nie tylko polskie. Nowy gmach ma powstać nad będącym tam dzikim dziś jeziorkiem, które zostanie zachowane, podobnie jak część zieleni tego obecnie dzikiego parku. Nowa siedziba Akademii będzie miała przeszklone foyer, które latem będzie się rozsuwać od strony parku i jeziorka – publiczność nad wodą na skarpie słuchać będzie koncertu, a muzycy usytuowani będą częściowo pod dachem. Budowa Akademii rozpocznie się w 2018 roku.

– **Minister Kultury zgodził się na tę inwestycję, niewątpliwie doceniając poziom waszej Akademii. Funkcjonalność czy architektura? Podobno taki problem mieli do rozwiązania zaproszeni do jury konkursu architektki z Warszawy, Krakowa i Torunia.**

– I jedno, i drugie zostało wzięte pod uwagę. Nowy campus będzie łączył piękno z funkcjonalnością, a dzięki swemu potencjałowi może stać

się nową ikoną architektury Bydgoszczy. Będzie zresztą jakby przedłużeniem Dzielnicy Muzycznej, bo od Filharmonii dochodzi się doń pieszo. Przystaniemy być rozproszeni w siedmiu budynkach, w różnych punktach miasta, w których gnieździła się uczelnia, a administrowanie nimi było uciążliwe.

– Taki campus, jako nowy model przestrzenny potrafi zmienić oblicze nie tylko architektoniczne miasta. Wygrywa, jak widać, optymistyczna wizja Bydgoszczy, kreślona przez Szwalbego – uroda miasta muzyki coraz bardziej rzuca się w oczy. Zza tej wizji zdaje się wyłaniać uśmiechnięta twarz Szwalbego – skutecznego wizjonera...

– Tak, to Andrzej Szwalbe zaczął ów ruch ku muzycznemu i uniwersyteckiemu wizerunkowi naszego miasta. Nie powoływał tylko konkretnych instytucji – on tworzył, podkreślam, humanistykę miasta. Te konkretne elementy swych poczynań tworzył kompleksowo, by się wzajemnie uzupełniały. To były w jego rozumowaniu narzędzia kultury humanistycznej, podnoszącej potencjał miasta, co dziś widać z perspektywy czasu.

(Rok 2017)



„Obudowywał” muzykę sztuką i nauką

Rozmowa z dr hab. Aleksandrą Kłaput-Wiśniewską, teoretykiem muzyki, adiunktem Akademii Muzycznej w Bydgoszczy, starszym wykładowcą Katedry Teorii Muzyki i Kompozycji, kierownikiem Pracowni Kultury Muzycznej Pomorza i Kujaw

– Podjęła się Pani ważnego dzieła, wydając w 2007 roku książkę pt. *Wielka Filharmonia*. Dotąd nie było takiego kompendium, a obejmuje ono całokształt działalności bydgoskiej Filharmonii w latach 1953–1990, do końca dyrekcji Andrzeja Szwalbego. Pani monografia pokazuje trzy zasadnicze nurty w działaniu Filharmonii.

– Przedstawiłam dokonania Filharmonii Pomorskiej w trzech płaszczyznach: jako ośrodka muzyki, nauki i sztuki.

– Jak te trzy ośrodki działalności, będące dzięki Szwalbemu motorem napędowym poczynań Filharmonii, tworzyły, według Pani, jedność jej programu i dokonań?

– Opracowując strategię funkcjonowania instytucji, którą kierował, należy podkreślić, że Szwalbe stawał się jednocześnie reżyserem i inspiratorem wielu pomysłów, obejmujących najróżniejsze dziedziny nauki i sztuki. Przez całe życie był wierny integralności szeroko rozumianej kultury z nauką i problematyką społeczną. W jego wyobraźni kształtowały się – na wzór podziwianych przez niego renesansowych akademii i oświeceniowych towarzystw nauk – ośrodki i miejsca, ogniskujące interdyscyplinarne działania.

– Jak to Pani określa, Szwalbe „obudowywał” muzykę sztuką i nauką, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, gdy miał już za sobą okres udziału Filharmonii w powojennym budowaniu powszechnego dostępu do kultury, a potem okres upowszechniania, regionalizacji itd. Starał się o sale koncertowe i odpowiednie miejsca organizacji koncertów w Toruniu, Włocławku, Grudziądzu, Inowrocławiu. Prześledźmy może jego szerokie działania w tym zakresie na przykładzie Torunia.

– Wykorzystując atmosferę promocji Torunia w związku z obchodami Roku Kopernikowskiego, Szwalbe naciskał na wybudowanie i wyposażenie w Toruniu nowej sali koncertowej. Taką rolę miała w jego koncepcji spełniać nowa aula Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Dzięki staraniom dyrektora zakupiono do niej fortepian koncertowy Steinway, negocjowano też zakup organów czeskiej firmy Rieger-Kloss. Chodziło o kompleksowe ożywienie życia muzycznego regionu, ze szczególną rolą grodu Kopernika. Szwalbe widział bowiem w perspektywie „dwusiedzibowość” Filharmonii. Bydgoszcz miała być siedzibą zespołu symfonicznego, wykonawstwa muzyki od XVIII do XX wieku, zaś Toruń chciał uczynić centrum muzyki dawnej. Filharmonia w pojęciu Szwalbego miała służyć aglomeracji bydgosko-toruńskiej, której powstanie, według niego, było kwestią czasu.

– Druga wielka sprawa, której podjął się Andrzej Szwalbe – to jego intensywne i skuteczne zabiegi o nadanie rangi ośrodków kultury narodowej i nauki takim zespołom pałacowym, jak Ostromecko, Lubostroń, Nawra...

– Ostromecko przekształcić chciał w coś „w rodzaju Wilanowa i Łazienek” dla Bydgoszczy – i to mu się w pełni udało, bo po renowacji wnętrz powstało tętniące życiem miejsce koncertów i spotkań naukowo-artystycznych. W Starym Pałacu umieścił kolekcję zabytkowych fortepianów, a Nowy Pałac miał stać się muzeum zabytkowych instrumentów klawiszowych, dętych i smyczkowych. Marzyło się nawet Szwalbememu swoiste muzeum sztuki organowej. A ponieważ działał, jak to było w jego zwyczaju, kompleksowo, rozległy park wokół pałaców ostromeckich miał być

nie tylko miejscem ekspozycji rzeźby plenerowej. Chciał, aby tereny wokół parku przeznaczone były na wszechstronną rekreację. Tę funkcję zapewnić miałby wybudowany koło Nowego Pałacu „orbisowski” hotel o specjalnym standardzie (z basenem i sauną), a tereny wokół parku i pałacu miały być przeznaczone na boiska trawiaste do siatkówki, kometki, ringo, a także kręgielnie, szachy terenowe, placyki rekreacyjne z poidełkami, altany, kaskady wodne, pijalnia wody ostromeckiej. Na terenie łąk nadwiślańskich i starorzeczy przewidywał tereny do jazdy konnej, pola golfowe, tor saneczkowy. Sukcesor Ostromecka, dawny właściciel, Ludolf von Alvensleben, zaproszony przez Szwalbego, zdobył się wówczas na wielki gest – ustanowienie Filharmonii właścicielem pałacu.

– Czytałam o Ludolfie von Alvenslebenie – to był doprawdy niezwykle arystokrata, potomek hrabiowskiej rodziny, który wychowany przez ojca w duchu polskim, czuł się do tego stopnia polskim patriotą, że należał do takich naszych narodowych organizacji patriotycznych, jak „Strzelec”. Będąc przeciwnikiem nazizmu, oddany bez reszty naszej ojczyźnie, służył w wojsku polskim w stopniu oficera. W 1939 roku brał udział w wojnie obronnej. A w 1944 roku szedł jako ochotnik z armią Andersa. To wzruszająco piękna postać w naszej najnowszej historii.

– Szwalbe umiał nawiązać twórczy kontakt z takimi ludźmi i sprawić, że Filharmonia stała się użytkownikiem Starego Pałacu w Ostromecku. Ale będąc nim nie mogła jednak, po odejściu Szwalbego z funkcji dyrektora, zabezpieczyć środków finansowych na realizację swych zamierzeń. Szkoda, że Filharmonia pozbyła się Pałacu Starego w Ostromecku. To porażka kompleksowych idei Szwalbego.

– Ale zgromadzoną przez niego Kolekcję Dawnych Fortepianów umieściło Miejskie Centrum Kultury, które stało się właścicielem kolekcji w 2008 roku – w Pałacu Starym w Ostromecku, po remoncie obiektu w 2016 roku. Znaczenie Kolekcji, jako jednej z trzech najważniejszych w Polsce rośnie. A bliski jej temat to: „Andrzej Szwalbe i muzyka dawna”,

czemu poświęcona była w 2017 roku V Międzynarodowa Konferencja Naukowa, zorganizowana w Bydgoszczy przez Stowarzyszenie Andrzeja Szwalbego „Dziedzictwo”, w którego zarządzie Pani zasiada.

– Dlaczego w tym roku skupiliśmy się na muzyce dawnej? Bo była w działalności Szwalbego specyficzną ścieżką, której poświęcał bardzo wiele uwagi. Z jednej strony powstała dużo wcześniej, z jego inspiracji, Capella Bydgostiensis, która była pierwszym zespołem w Polsce, grającym muzykę dawną, z drugiej – toczyły się badania i poszukiwania utworów. W Bydgoszczy zaczęły odbywać się kongresy Musica Antiqua Europae Orientalis, budowane były kolekcje instrumentów, muzyką dawną inspirowane były nawet niektóre gobeliny.

– **To rozległy, oddzielny temat. Przejdźmy do drugiego obiektu, który też uczynił Szwalbe bliskim Bydgoszczy ośrodkiem kultury i sztuki – pałacu w Lubostroni.**

– Poczynając od powołania tu Międzynarodowych Wakacji (Kursów) Muzykologicznych, Szwalbe chciał Lubostroniowi nadać miano Pracowni Wieku Oświecenia jako filii regionalnej pracowni naukowo-badawczej BTN. A dziś odbywają się tu koncerty i spotkania artystyczne.

– **Trudno doprawdy wyczerpać zagadnienie: starania Szwalbego o restytucję obiektów zabytkowych i upamiętnienie miejsc, związanych z tradycją muzyczną i dawną świetnością kultury muzycznej w naszym regionie. Tu trzeba wymienić również Nawrę, Szafarnię...**

–...a także Pelplin, Chełmno, Koniojady, Pieranie, Fordon, Włocławek. Koncepcje i pomysły Szwalbego w tej mierze były tym cenniejsze, że wymyślone, nazwane i zainicjowane w sytuacji niesprzyjającej ich realizacji, w okresie PRL. To imponuje szczególnie dziś, w czasach, gdy coraz częściej jedynie wypełnia się doraźne zadania, a nie powołuje rzeczy z niebytu, jak on to czynił.

– **Wróćmy jednak do czasów obecnych. Pani krąg zainteresowań jako naukowca – to szeroko rozumiana kultura muzyczna Pomorza i Kujaw**

od XIX wieku po czasy obecne. Pracownia Kultury Muzycznej Pomorza i Kujaw, którą Pani kieruje – można by rzec, kontynuuje dążenia Szwalbego w dziedzinie zgłębiania tradycji naukowych i artystycznych regionu. Co roku, jako kierownik i pracownik naukowy Pracowni, organizuje Pani konferencje naukowe o tematyce, związanej z kulturą muzyczną regionu.

– Nasza Pracownia Kultury Muzycznej Pomorza i Kujaw – jako jednostka Katedry Teorii Muzyki i Kompozycji Akademii Muzycznej im. F. Nowowiejskiego w Bydgoszczy – od 1991 roku prowadzi interdyscyplinarne badania naukowe, mające na celu kompleksowe opracowanie dziejów muzyki i kultury muzycznej na Pomorzu i Kujawach na podstawie indywidualnych projektów badawczych pracowników naukowych Akademii Muzycznej oraz członków Zespołu Badawczego, grupującego teoretyków muzyki, muzyków, muzykologów i historyków, pracujących zarówno w Akademii, jak i współpracujących z nami naukowców z innych uczelni w regionie oraz pasjonatów regionalnych badań muzyczno-historycznych. Wypowiadają się więc o dziejach kultury muzycznej Pomorza i Kujaw nie tylko profesjonaliści – muzycy, teoretycy, historycy, ale i pasjonaci. Prowadzimy też bazę internetową, gdzie pojawiają się wydarzenia muzyczne, nagrania, archiwalne dokumenty. Pracownia ma również kontakt z pasjonatami muzycznej Bydgoszczy spoza kraju.

– To fascynujące: docieracie dziś do przedwojennych bydgoskich muzyków poprzez szczególny rodzaj pasjonatów – bydgoszczan z pochodzenia, rozsianych po całym świecie?! Proszę o przykłady.

– Jednym z tych, których udało się odnaleźć, jest bydgoszczanin, kompozytor, Józef Kropiński, który będąc w czasie wojny w niemieckich obozach koncentracyjnych w Auschwitz i Buchenwaldzie, komponował tam piękną, przejmującą muzykę, podnoszącą ducha. Jego syn nawiązał z nami kontakt, odnalazł zdjęcia, pamiątki, postać ożyła. Jego nazwisko figuruje zresztą w *Encyklopedii Bydgoszczy*.

– Takich postaci, szukających swoich korzeni w Bydgoszczy, można by wymienić więcej?

– Na przykład Witold Miller, działacz przedwojennego Towarzystwa Muzycznego w Bydgoszczy, zamieszkał po wojnie w USA, a teraz jego syn przesłał nam wspomnienia swego ojca. Z kolei córka Jerzego Jasińskiego, znanego działacza w dziedzinie odbudowy życia muzycznego w Bydgoszczy po wojnie, Irena Jasińska-Zurawska, po II wojnie światowej przekazała nam archiwalne programy koncertów w naszym mieście, listy Wandy Wiłkomirskiej i największych polskich artystów, co świadczy o tym, że był w Bydgoszczy silny ośrodek muzyczny przed powstaniem Filharmonii, a Wiłkomirska nazwała wówczas Pomorski Dom Sztuki i Pomorską Orkiestrę Symfoniczną nawet Bydgoską Filharmonią.

– **Mimo że nie było jeszcze gmachu Filharmonii...**

– A mówiono wtedy, kwestionując zasadność budowy Filharmonii, że na naszym terenie nie ma tradycji muzycznych. Szwalbe udowadniał, że jest wręcz przeciwnie! On zresztą umiał do tej tradycji nawiązywać i ją utrwalać, o czym świadczy chociażby z jego inspiracji umieszczone w różnych miejscach tablice pamiątkowe, związane z działalnością w regionie na przykład Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego, Bartłomieja Wardeńskiego, czy mieszkającego przed wojną w Bydgoszczy Karola Szymanowskiego. Jeśli Bydgoszcz jest jeszcze miastem muzyki – to zasługa Szwalbeggo.

– **W ostatnim wypowiedzianym przez Panią zdaniu kryje się pewien sceptycyzm pod adresem teraźniejszej Bydgoszczy jako miasta muzycznego, zawarty zwłaszcza w słówku: „jeśli”.**

– Szwalbe był w swych działaniach tak skuteczny, że Filharmonia stanowiła centrum życia muzycznego w Bydgoszczy. Teraz mamy większą różnorodność. Na przykład porównując Bydgoski Festiwal Muzyczny z Bydgoskim Festiwalem Operowym, musimy stwierdzić, że ten drugi ma większą widownię, lepszą prasę, jest bardziej ceniony. Rzecz w tym, że zmieniły się realia funkcjonowania Filharmonii. Kiedyś była główną instytucją w regionie, a dziś są orkiestry we Włocławku, Toruniu, Inowrocławiu... Status bydgoskiej Filharmonii, jako ośrodka o szczególnym znaczeniu dla narodowej kultury, nie jest przez to jakby trochę mniejszy, ale konkurencja rośnie...

– **Jak to się ma w odniesieniu do czasów Szwalbego?**

– Wówczas cechowało Filharmonię prawdziwe nowatorstwo, czego przykładem była grająca na dawnych instrumentach Capella Bydgosiensis. Tu podkreślić należy ogromny wkład Stanisława Gałońskiego i Włodzimierza Szymańskiego, ich chęć oddania brzmieniowego muzyki tamtego czasu – to było nowością na polską skalę. Dwa zespoły reprezentowały Filharmonię Pomorską na forum międzynarodowym. To wyróżniało Bydgoszcz, nie tylko Orkiestra Symfoniczna. W ogóle był to okres związanych z Filharmonią silnych osobowości artystycznych. W dzisiejszych czasach dostrzec można w niektórych działaniach Filharmonii Pomorskiej coś jakby syndrom wypalenia.

– **Jak temu zapobiec?**

– Filharmonia nadal wiele czyni na rzecz regionu, ale może formułę Bydgoskiego Festiwalu Muzycznego należałoby odmienić? Ludzie może dziś oczekują pewnej muzycznej ekstrawagancji? Muzykę trzeba „podprawiać”, takie są tendencje naszych czasów.

– **Nie wszyscy są zwolennikami „podprawiania” muzyki symfonicznej. Powszechnie uważa się, że Bydgoszcz ma dziś ogromny potencjał muzyczny, można rzec: muzyką stoi.**

– Niewątpliwie. Mamy w Bydgoszczy dwie wielkie instytucje muzyczne – Filharmonię Pomorską i Operę Nova, a w dodatku – fenomen Akademii Muzycznej im. F. Nowowiejskiego, która stała się wiodącym ośrodkiem polskiej pianistyki, o poziomie której świadczą choćby pokonkursowe prezentacje jej studentów, uczestniczących w imponującej liczbie i to z wielkimi sukcesami, w XVII Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim w Warszawie w 2015 roku. Mieliśmy najsilniejszą reprezentację zakwalifikowanych do tego konkursu młodych artystów.

– **Przypomnijmy: zwycięzca Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego z roku 2005, genialny Rafał Blechacz, był uczniem Zespołu Szkół Muzycznych w Bydgoszczy, a potem studentem naszej Akademii Muzycznej w klasie prof. Katarzyny Popowej-Zydroń...**

–...która od 2010 roku zasiada w jury Konkursu Chopinowskiego, a podczas XVII Konkursu, w roku 2015, była przewodniczącą jury. Jak widać, wykluwają się tu, w Bydgoszczy, pod okiem profesjonalistów, prawdziwe talenty. Ważne tylko, żeby utalentowani absolwenci bydgoskiej Akademii zechcieli tu zostać i zasilali skład artystyczny tutejszych instytucji muzycznych.

– **Wierzę, że magia wielkiej symfoniki, a z drugiej strony rzesze stałych, zagorzałych fanów tej placówki – pozwolą zachować ukochanej od ponad 60 lat, przez kilka pokoleń stałych bywalców, Filharmonii Pomorskiej – jej dawny blask i znaczenie.**

– Właśnie o to zabiegał całe swe życie Andrzej Szwalbe...



My, artyści, jesteśmy Don Kichotami

Rozmowa z dr Michałem Kubiakiem, wybitnym artystą rzeźbiarzem, byłym wykładowcą na Uniwersytecie Techniczno-Przyrodniczym

Z Michałem Kubiakiem spotykam się w muzycznym centrum miasta, zwanym Dzielnicą Muzyczną. W Parku Kochanowskiego popiersia wielkich kompozytorów, a wokół samego gmachu Filharmonii – posągi Chopina, Paderewskiego, Moniuszki, Karłowicza, Grażyny Bacewicz... Dziś wśród tych wielkich postaci znalazł się i Andrzej Szwalbe. Ale jakby z wrodzoną sobie skromnością. Jego wykuta w brązie przez Michała Kubiaka idąca postać – o wielkości przeciętnego przechodnia, zdaje się mieszać z tłumem, zmierzającym do Filharmonii.

– O Twojej pracy nad rzeźbiarskim portretem Szwalbego, znajdującym się we foyer Filharmonii, rozmawialiśmy przed 19 laty, w I wydaniu tej książki, a teraz stoimy pod drugim twoim upamiętnieniem Szwalbego – przed Filharmonią. Powiedz, przyjaźniłeś się z Andrzejem Szwalbem?

– Przyjaźń to może za duże słowo. Zналиśmy się i często spotykaliśmy, zwłaszcza gdy robiłem jego portret rzeźbiarski. Wtedy raz na tydzień, lub raz na dwa tygodnie przychodził do mnie – tych wizyt było może z 10. W końcu spytał mnie: „Czy ja już mogę iść do fryzjera?”. Prosiłem go bowiem, aby nie strzygł się, dopóki tego portretu rzeźbiarskiego nie skończę.

– Do stworzonej przez Ciebie z inspiracji Szwalbego, znajdującej się w Filharmonii, niemal galerii postaci rzeźbiarskich, należy też popieranie Czesława Miłosza i jego żony Karoliny.

– Noblistę poznałem osobiście dzięki Andrzejowi Szwalbemu.

– **To jeszcze jeden dowód, że Szwalbe miał szczególny dar zwracania ku sobie ludzi utalentowanych, by popychać ich ku wielkim inicjatywom.**

– Ten człowiek był motorem wielu niezwykle ważnych działań ponadregionalnych! Dla przykładu: chciał, aby Bydgoszcz przyznała Czesławowi Miłoszowi swe Honorowe Obywatelstwo i zwrócił się z tym do Rady Miasta, ale ta nie zgodziła się. Wtedy to, w 1995 roku, do Filharmonii na spotkanie zatytułowane „Mistrzowie literatury” Miłosz przybył wraz z małżonką Karoliną. Byłem akurat na wakacjach, ale po powrocie dostałem od znajomych tyle jego fotografii, że wówczas, w 1997 roku, stworzyłem portret rzeźbiarski Miłosza. A po śmierci jego żony, Karoliny, w 2002 roku odezwał się do mnie sam noblista z Krakowa z prośbą o wykonanie jej portretu rzeźbiarskiego, co uczyniłem w 2003 roku.

– **W Dzielnicy Muzycznej w Bydgoszczy, w pobliżu Filharmonii, stoi bez postumentu pomnik Szwalbego Twego autorstwa. Jego postać naturalnego wzrostu, jakby zmierzająca do gmachu Filharmonii, zdaje się kroczyć po ziemi.**

– Utrwaliłem w ten sposób Szwalbego w naszym mieście po prostu z wdzięczności. Nikt tego pomnika u mnie nie zamawiał. Zdobyłem prywatnego sponsora na ten cel, miasto nie dało nawet grosza.

– **Czy nie warto by podnieść nieco i postawić na postumencie wykonaną przez Ciebie postać Honorowego Dyrektora Filharmonii, która trochę ginie w tłumie zmierzających do gmachu Filharmonii.**

– Może warto by było, ale to się wiąże z kosztami, kto je poniesie?

– Rozumiem, zresztą takie ujęcie postaci Szwalbego, niewyrastającej rozmiarem ponad przechodzących, zdaje się podkreślać skromność

tego wybitnego człowieka. Czy do podejmowania innych inicjatyw rzeźbiarskich Szwalbe też Cię zachęcał?

– Oczywiście. Wprawdzie sama inspiracja powstania moich Drzwi Błogosławieństw w bydgoskiej Bazylice Wincentego ą Paulo była dziełem księdza proboszcza, Edmunda Karuka, ale gdy te Drzwi wykonałem, Szwalbe zaczął od razu naciskać, bym stworzył również Drzwi Dekalogu w tej świątyni. On zawsze widział szerokie spektrum ważnych spraw. Ale kościół nie podtrzymał tej inicjatywy.

– Są jeszcze twoje Drzwi Jubileuszowe w bydgoskiej Farze, dziś Katedrze.

– Pomysłodawcą był proboszcz bydgoskiej Fary, prałat Zbigniew Maruszewski. Zgłosiło się 13 sponsorów. Szwalbe, widząc taki odzew, jakże by się cieszył, ale to był rok 2002 i on, niestety, już nie żył.

– Po śmierci Szwalbego powstały Twoje dalsze znamienne pomniki rzeźbiarskie, które zdobią ulicę Gdańską, główną ulicę miasta – „Wędrowiec” (2004), „Rejewski” (2005). Ale Ciebie już widzieliśmy w nowej roli: wykładowcy w Zakładzie Wzornictwa Uniwersytetu Technologiczno-Przyrodniczego w Bydgoszczy. Uczelnia typowo techniczna. Szwalbe by się zdziwił, że właśnie tam powstał taki zakład, a nie na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego.

– Bo humanistyczny w założeniu Uniwersytet Kazimierza Wielkiego nie poczynił starań – o co tak chodziło Szwalbemu – w kierunku stworzenia Wydziału Sztuk Pięknych. I wydział zbliżony profilem powstał na UTP.

– Siłą wykładowców poznańskiej Akademii Sztuk Pięknych?

– Tak się po prostu stało, katedra, o którą tak zabiegał Szwalbe przed śmiercią, przyjechała z Poznania! Od roku 2007 prowadziłem tam Pracownię Rzeźby, a na Akademii gdańskiej zrobiłem doktorat pt. *Portret rzeźbiarski a osobowość*. Prowadząc kierunek wzornictwo, a więc ucząc sztuki użytkowej, która zawsze wyrasta z jakichś korzeni, uczy się jednocześnie od podstaw projektowania – rysunku, rzeźby, malarstwa, grafiki, fotografii – dyscyplin związanych ze sztuką czystą.

- **Czy taki obrót spraw jest spełnieniem marzeń Szwalbego?**
- Dobrze, że choć w takim stopniu Bydgoszcz spełniła jego dążenia...

- **Słyszałam, że w 10 lat po śmierci Szwalbego miasto zniszczyło Twoją piękną inicjatywę upamiętnienia pomnikiem Leona Wyczółkowskiego, który należy do patronów tego miasta, a jego imię nosi bydgoskie Muzeum Okręgowe, które posiada wielką kolekcję jego dzieł.**
- O randze tego malarza świadczy fakt, że rok 2012 został ogłoszony w Polsce Rokiem Leona Wyczółkowskiego. Wykonałem projekt jego pomnika rzeźbiarskiego, który miał przedstawiać Wyczółka siedzącego przed sztalugami, a stanąć miał ów pomnik na Wyspie Młyńskiej. Odląłem go w brązie, projekt, owszem, przyjęto, ale nie zrealizowano. Miasto po prostu zignorowało ten temat, choć przyjęło opracowany przeze mnie i moją żonę, Małgosię, projekt obchodów Roku Wyczółkowskiego. No i „została trąbka, pompka i rowerek”, jak mówi porzekadło, a miało być na Wyspie Młyńskiej „światło i dźwięk” przed pomnikiem Leona Wyczółkowskiego, usytuowanym przed Muzeum jego imienia. Projekt, w skali 1/10 odlany w brązie, jest dotąd w posiadaniu muzeum.

- **Czy nie warto by było jednak rozważyć powrót kolekcji obrazów i grafik Wyczółka do zrewaloryzowanego, zabytkowego gmachu Muzeum Leona Wyczółkowskiego przy ul. Gdańskiej a jego pomnik Twojego projektu mógłby stanąć na przylegającym skwerze?**
- To nie pochłonęłoby wielkich pieniędzy w porównaniu ze środkami, wydawanymi przez miasto na masowe imprezy na Wyspie Młyńskiej.

- **A jest okazja po temu: w 2019 roku mija 95. rocznica od chwili, gdy ten wielki malarz, profesor, ojciec polskiej grafiki współczesnej, Europejczyk gdy idzie o sławę – w 1924 roku przekazał Bydgoszczy pierwsze prace z wielkiej kolekcji, jaką miastu ofiarowała po jego śmierci żona Franciszka.**
- Ale, niestety, władarze miasta dla kultury, zwłaszcza wysokiej, nie mają żadnego zrozumienia i wiele cennych inicjatyw spała na panewce...To miasto nie jest mecenasem kultury, lecz rzeczy populistycznych.

– Według Ciebie Bydgoszcz nie przywiązuje ludzi do siebie? A przecież podobno w jakimś ogólnopolskim rankingu znalazła się na piątym miejscu jako „miasto przyjazne ludziom” i warte zamieszkania.

– To miasto jest „przyjemne do życia” pod warunkiem, że nie chce się w nim robić nic, co wyrasta ponad przeciętność. Kto chce tu wykazać inicjatywę, spadnie od razu na dół. Albo potraktowany zostanie zgodnie z porzekadłem: „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść”. Bydgoszcz nie wyzwala twórczych inicjatyw, ale je niszczy. Ciebie też tak potraktowano, gdy założyłaś w 1993 r. Kwartalnik Artystyczny i prowadząc go przez parę lat odniosłaś sukces wtedy Cię odsunęto...

–... co stało się przyczyną mojej emigracji... Teraz zapytam Cię o bardziej „przyjemną” sprawę – o finanse na kulturę.

– Nie umiem już zebrać o środki do realizacji moich zamierzeń twórczych. Dziś jakoś brak funduszy na kulturę, a na sport są... Szwalbe stawiał na kulturę jako wizytówkę regionu, a dziś od kultury w poważnym tego słowa znaczeniu się odchodzi i można powiedzieć, że kultury wysokiej się nie dostrzega, powoli jest ona w zaniku. Nie ma recenzji z koncertów, wystaw, spektakli teatralnych, w ogóle nie ma recenzentów. Jacyś nieprzygotowani do tego dziennikarze czasami naskórkowo opisują spektakle, ale ich nie recenzują. Ludzie nie gromadzą już, jak kiedyś, rzeźb, książek w swoich mieszkaniach, nie potrzebują tego. Młodzi o wytatuowanych rękach chodzą po deptakach, życie stało się skomercjalizowane... Lansowane są wartości, które trudno zaaprobować i wszystko powoli schodzi na psy...

– A wy, artyści?

– My, artyści staliśmy się Don Kichotami... A przecież sztuka kształtuje wewnątrz człowieka, nie nauka.

– Jak powiedział Lec: „Nauka opisuje świat, ale pogodzić z nim może jedynie sztuka”.

– Człowiek powinien być twórczy do końca życia. Kiedyś czasy były trudne, a można było realizować swe zamierzenia. Dziś czasy są niby łatwe, a jakże ciężko temu wewnętrznemu nakazowi bycia twórczym, bycia artystą, nadać realne kształty w postaci zrealizowanych dokonań.

– **Na tym tle olbrzymieje postać Szwalbego.**

– Jego znaczenie jest przepastne. Nie waham się użyć tego wielkiego słowa. On nadał ton kulturze muzycznej i plastycznej Bydgoszczy. Ta postać wciąż rośnie.

– **To posiane przez niego Piękno zatacza kręgi...**

– On jest w całym tego słowa znaczeniu człowiekiem epoki. Wyznaczał kierunki kultury wysokiej, zwłaszcza muzycznej, co do dziś w Bydgoszczy procentuje.

– **Tymczasem obecnie Bydgoszcz niewątpliwie pięknieje...**

– Ale nie duchem...





Ikona Bydgoszczy

Mówi Elżbieta Krzyżanowska – obecnie pełnomocnik dyrektora Filharmonii Pomorskiej ds. inwestycji.

– Kiedy Szwalbe nawiązał z Panią bliższy kontakt poprzez korespondencję?

– W latach 1998–2002, gdy jego pasją było przekształcenie Ostromecka w ośrodek kultury narodowej. Wysyłał do mnie – a wówczas byłam wiceprezydentem Bydgoszczy – regularnie listy o swej wizji Ostromecka. Uzbierało się ich kilkanaście, bardzo ciepłych i serdecznych, czułem bowiem moje zaangażowanie. Remont i renowację pałacu – jako radna uczestnicząca w pracach Komisji Kultury i Nauki – uważałam za sprawę priorytetową. Pytano mnie, dlaczego tak walczę o Ostromecko – wówczas zniszczone, smutne miejsce, zaniedbany ośrodek kształcenia głuchoniemych. A ja byłam zauroczona wizją Szwalbego... Gdy zaczęliśmy ze środków budżetowych miasta remont obiektu, musiałam wyprowadzić stamtąd siedem mieszkających tam rodzin; przeniosłam je do Fordonu. Potem pojawiły się fundusze unijne.

– Czy spełniła się wizja Szwalbego odnośnie Ostromecka?

– O, tak! Cały ten niezwykły Zespół Pałacowo-Parkowy stał się bardzo dynamicznym ośrodkiem kultury. Park i pałace są nie tylko pięknie odrestaurowane, ale, jak chciał Szwalbe, skupili się wokół Ostromecka ludzie z pasją – literaci, muzycy, plastycy.

– A co stało się z listami Szwalbego do Pani w sprawie Ostromecka?

– Wszystkie listy Szwalbego z tamtego czasu złożyłam w Wydziale Kultury Urzędu Miejskiego, czego żałuję, bo nie wiem, jaki jest ich los. Zachowałam jedynie akt notarialny, dany mi przez Andrzeja Szwalbego do przechowania – o przekazaniu przez dotychczasowego właściciela Ostromecka, Ludolfa von Alvenslebena, który czuł się Polakiem – Pałacu Nowego, czyli dobra rodowego Alvenslebenów – Filharmonii Pomorskiej. Zastrzegął w tym dokumencie konieczność prowadzenia w Pałacu działalności kulturalnej.

– **Przypomnijmy: Ludolf Alvensleben był z serca i duszy Polakiem. Działał w polskich organizacjach – w Strzelcu, a w czasie II wojny światowej walczył w wojsku polskim w stopniu oficera i przeszedł z Anderssem cały szlak bojowy.**

– Dziś Pałac Nowy, podobnie jak Stary, jest własnością Miejskiego Ośrodka Kultury. I – co ważne – Pałac Nowy umie sam na siebie zarobić, bo oprócz działalności kulturotwórczej jest część pomieszczeń, będących ekskluzywnym zapleczem hotelowo-restauracyjnym. Kilka lat temu odbyło się w Pałacu Nowym wesele mojej córki.

– **Kim był Szwalbe dla Bydgoszczy?**

– Drugi taki się nie narodził! Bydgoszcz miała wielkie szczęście, że się z nią związał. Przed nim miasto było szare – on je uczynił barwnym – i to w różnych aspektach tego słowa. Umiał wciągnąć innych w swe widzenie miasta przyszłości, zarazić swą pasją. Myślał nawet – mówił mi o tym – o lśniących w słońcu wieżach zburzonego przez hitlerowców kościoła Jezuitów na Starym Rynku – walczył przeciw o jego odbudowę.

– **Stał nawet na czele Stowarzyszenia Odbudowy Zachodniej Pierzei Starego Rynku. Ale wracając do Pani losów związanych ze Szwalbem – po latach trafiła obecnie Pani do ukochanej przez Szwalbego Filharmonii Pomorskiej jako pełnomocnik dyrektora do spraw inwestycji.**

– To dla mnie niesamowite wyzwanie, jestem zaszczycona i szczęśliwa, że znowu duch Szwalbego stanął na mojej drodze. Zdaję sobie sprawę,

jaka to ogromna odpowiedzialność. Nowy dyrektor, Maciej Puto, podjął starania, by wielka wizja rozwoju Filharmonii, przez Szwalbego z pasją stawiana – była kontynuowana. Dzieło, również jako gmach, wymaga za-
dbania, żeby służyło przyszłym pokoleniom melomanów, bo jest w złym
stanie technicznym. A jest to miejsce wyjątkowe, świątynia sztuki nie tylko
muzycznej, ale i plastycznej.

– Renowacje nie naruszają formy budynku?

– Oczywiście, bo Filharmonia, ze swą salą koncertową o genialnej aku-
styce, jest ikoną Bydgoszczy. Niemniej obiekt wymaga zarówno grun-
townego remontu, jak i rozbudowy, m.in. o drugą salę kameralną, która
zbudowana zostanie w pobliżu budynku Filharmonii, ale pod ziemią.
Tu uwzględnione będą odpowiednie warunki zarówno dla muzyków, jak
i melomanów. Nowa część powinna być dziełem najlepszych architek-
tów artystów, którzy potrafią docenić i podkreślić walory istniejącego,
zabytkowego obiektu. Zespół autorytetów, uczniów prof. Witolda Stra-
szewicza, którego dziełem jest słynna w świecie akustyka bydgoskiej Fil-
harmonii, niedawno zakończył badania akustyczne istniejących sal kon-
certowych i będzie czuwał nad wszystkimi pracami remontowymi, dając
gwarancję zachowania jej znakomitej akustyki.

Rada Miasta Bydgoszczy wyraziła zgodę na sprzedaż trzech działek, na
których będzie możliwa rozbudowa Filharmonii, chodzi tylko o procedurę
zmiany planu zagospodarowania przestrzennego miasta, co w tym roku
ma być zakończone. Garaże i parkingi pod ziemią, a nie pod gmachem
Filharmonii, też nie zakłócą dotychczasowego widoku, który tak kochamy.



Był promotorem wszystkich moich poczynań

Rozmowa z prof. Wenancjuszem Kurzawą, muzykiem, byłym prorektorem, obecnie profesorem Akademii Muzycznej

– Jak zaczęła się Pana praca w Filharmonii?

– Pracując jako muzyk w operze poznańskiej, studiowałem jednocześnie w Akademii Muzycznej w Poznaniu. Gdy byłem na IV roku, Andrzej Szwalbe wystąpił do mnie z propozycją pracy w Filharmonii Pomorskiej.

– On sprowadzał do bydgoskiej Filharmonii dobrze rokujących, młodych artystów.

– W Poznaniu zarabiałem 1700 zł, a on zaoferował mi 2700 zł i – co ważne – mieszkanie! Budował Dom Filharmonika przy ulicy 3 Maja 16, który najpierw pomyślany był jako hotel dla gości festiwalowych. Miałem żonę i dwoje dzieci – a tu trzypokojowe mieszkanie. Czułem się, jakbym wygrał w totolotka. Był rok 1960, gdy pojawiłem się w kontrabasach.

– Zwróciło Pańską uwagę, jak Szwalbe tworzył Orkiestrę Symfoniczną?

– Czynił wszystko, żeby była znakomita! W 1962 roku założył Capellę Bydgosiensis, w której grali artyści z Orkiestry Symfonicznej. Grałem w obu tych orkiestrach.

– Do podjęcia ilu nowych inicjatyw Andrzej Szwalbe Pana sprowokował?

– Był promotorem wszystkich mych poczynań! Zacząłem uczyć się na flecie prostym, następnie na viola da gamba, zostałem kontrabasistą, potem objąłem stanowisko koncertmistrza. Moja droga awansu szła jednak w kierunku pedagogicznym. Sześć lat prowadziłem wykłady w łódzkiej Akademii, na co Szwalbe mi pozwalał, zwalniając mnie na wyjazd do Łodzi raz w tygodniu. Tak doszedłem do docenta, potem do profesury.

– Gdy Szwalbe powoływał Akademię Muzyczną w Bydgoszczy, uczestniczył Pan w jej zakładaniu formując Wydział Kontrabasu.

– Na Wydziale Kontrabasu zaczynałem od jednego studenta – był nim Andrzej Karasiuk, dziś profesor Akademii Muzycznej w Madrycie. Dużo moich studentów zdobywało wielkie uznanie, a jeden z nich, Szymon Marciniak, należy do znanych artystów. Dyrektora Szwalbego interesował każdy sukces studenta – przychodził i gratulował. Dozgonnie jestem mu wdzięczny za to, co zrobił dla kultury i dla mnie osobiście. Pozornie surowy, w rzeczywistości bardzo był łagodny i skromny.

– Brano dyrektora Filharmonii nawet czasem za woźnego i zdarzyło się kilkakrotnie, że gdy ktoś spoza Bydgoszczy odwiedzał Filharmonię, podchodził do niego i pytał: gdzie jest dyrektor?

– Tak, dyrektor Andrzej Szwalbe na pewno strojem nie podkreślał swego stanowiska. Dla nas był jak ojciec, ale z nikim się nie „fraternizował”, z nikim nie był na ty – utrzymywał pełen dystans wobec wszystkich pracowników. Zawsze był fair, sam dla siebie sterem, żeglarzem, okrętem... Mógł być doradcą ministerialnym, z góry ogarniał wszystko.

– A jak żyło się w owych czasach, gdy zespół Filharmonii Pomorskiej, tak intensywnie muzykując w kraju, tyle jeździł po świecie?

– Bardzo skromnie egzystowaliśmy w naszej Filharmonii w owych czasach. Mieliśmy ogromną ilość audycji szkolnych, przygotowujących przyszłych słuchaczy, wiele koncertów abonamentowych z myślą o oddziaływaniu

kulturowym na całe województwo – a więc nie tylko Bydgoszcz, Toruń, ale wiosną i jesienią także Inowrocław, Szafarnia, Włocławek... Dalej były koncerty zagraniczne: Czerkasy na Ukrainie, Berlin, Lunéville i Nancy (Francja), Regio Emilia, Mediolan (Włochy), Czechosłowacja, Rumunia. Ale bankietów po koncertach po prostu nie było.

– **Nie było takiej tradycji...?**

– Raczej nie. Szwalbe skąpił na bankietach, uważał, że obowiązki przede wszystkim – i wcale nam to nie przeszkadzało. Pierwszy bankiet w moim życiu miał miejsce, gdy nasza Orkiestra Symfoniczna wystąpiła u Fiata i Martiniego – to był dla nas szok, pierwsze zetknięcie z wielkim światem. Tak, to były cudowne lata, budowały naszą mentalność, uczyły nas życia. Szwalbe skąpił na winie, ale kupował dla Filharmonii cenne, bo niezwykle wartościowe dzieła współczesnej sztuki plastycznej, drogie i cenne gobeliny, stare fortepiany – spojrzenie na całokształt kultury miał wszechstronne. I jeszcze jedną wspaniałą posiadał cechę: umiał dziękować. A dziś – co szczególnie daje się zauważyć w naszym mieście, panuje bardziej prostackie: „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść”.

– **Pan też to odczuł?**

– Też czułem się zapomniany. Nawet na trzydziestolecie Akademii Muzycznej nie zostałem zaproszony. Po raz pierwszy zaproszono mnie po wielu latach na czterdziestolecie powstania Akademii. Ale nie trzeba daleko szukać: Szwalbe też nie jest dziś doceniony, jego pamięci nie przekazuje się następnym pokoleniom. Spójrzcie, jaką małą uliczkę mu poświęcono przy samej Filharmonii... Stałem kiedyś na tej uliczce i pytałem o niego przechodzących młodych i starych ludzi. Tylko jedna osoba wiedziała, kim był człowiek, którego nazwisko ta uliczka nosi. Chodzi o to, że sztuka przez duże „S” nie jest dziś w Bydgoszczy zauważana. Gazety się rozpisują, gdy występuje sportowiec, a gdy muzyk, to pojawia się tylko mała wzmianka. A dzisiejsi dziennikarze, ich styl wypowiedzi... Porównajmy: Szwalbe, jego pisma i listy, których wiele wysyłał – może staromodne, ale wyszukane w swym stylu, wypieszczone, pełne odniesień filozoficznych. I jaka w nich nienaganna polszczyzna!

– **Więc jak to dziś jest z tą Bydgoszczą, która jest nazwana „przyjaznym miastem” i dobrym miejscem do życia?**

– No cóż, „piekiełko bydgoskie” ciągle żywe, ciągnie w dół tych, którzy wyrastają ponad przeciętność i pragną czegoś dokonać. Po dawnemu szewc zazdrości księdzu, że kanonikiem został, ot małomiasteczkowa zawiść, zaścianek, choć duża, wydawałoby się, aglomeracja...



Skuteczny wizjoner

Rozmowa z Henrykiem Martenką, dziennikarzem, pisarzem, autorem książek o muzycznej Bydgoszczy, prezesem Stowarzyszenia Andrzeja Szwalbego „Dziedzictwo”, dyrektorem Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. I.J. Paderewskiego, kanclerzem *Paderewski Piano Academy*.

* * *

Na początek trochę moich wrażeń z konferencji w zespole Pałacowo – Parkowym w Ostromecku. Bywałam nieraz na tych konferencjach i spotkaniach, organizowanych przez Stowarzyszenie Andrzeja Szwalbego „Dziedzictwo”. Po raz pierwszy w 2013 roku, krótko po rejestracji Stowarzyszenia. Konferencja odbywała się pod nazwą „Andrzej Szwalbe i jego dziedzictwo – kulturowa tożsamość Bydgoszczy”. Rok później w podwojach pałacowych Ostromecka uczestniczyłam w odbywającej się kolejnej akcji Stowarzyszenia Andrzeja Szwalbego „Dziedzictwo”, w spotkaniu z wybitnym muzykiem i dyrygentem, u startu swej kariery związanym z Andrzejem Szwalbem i bydgoską Filharmonią – Antonim Witem, dziś dyrektorem Filharmonii Narodowej w Warszawie. Maestro z ogromnym sentymentem wspominał Honorowego Dyrektora Filharmonii, podkreślając nie tylko jego oddanie idei popularyzowania piękna i jedności sztuk, ale też umiejętność zdobywania i oszczędzania na ten cel pieniędzy państwowych.

W 2015 roku udało mi się trafić w Ostromecku na spotkanie z zaproszonym przez Stowarzyszenie Dziedzictwo gościem, prof. dr. Benjaminem

Voglem, specjalistą w dziedzinie instrumentoznawstwa, autorem wydane-
go w 2016 roku, przez Miejskie Centrum Kultury, pięknego i wysmako-
wanego opracowania pt. *Kolekcja Zabytkowych Fortepianów im. Andrzeja
Szwalbego*. Dwa lata później, w grudniu 2017 roku, Stowarzyszenie zorga-
nizowało X Colloquium w Pałacu Mostowskich w Ostromecku, którego
gościem był Petr Šeřf, czeski współpracownik Andrzeja Szwalbego. Nie-
długo potem odbyła się **V Międzynarodowa Konferencja Naukowa pod
nazwą „Andrzej Szwalbe i muzyka dawna”**, przygotowana przez Stowarzy-
szenie i przeprowadzona w Bibliotece Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego.

* * *

– Wymieniłam wyżej tylko kilka z licznych przykładów aktywności Sto-
warzyszenia, którego Pan jest współzałożycielem i prezesem. Co roku
w grudniu organizowane są też przez Stowarzyszenie konferencje na-
ukowe na temat dokonań Andrzeja Szwalbego. Materiały sesji wydawane
są w formie książkowej. Może więc parę słów o celach Stowarzyszenia.

– Należy do nich nie tylko popularyzacja wiedzy o postaci i dorobku byd-
goskiego wizjonera kultury, ale także inicjowanie badań naukowych nad
kulturą umysłową regionu. Chodzi tym samym o szeroką promocję idei
Szwalbego, jaką jest łączenie ponad podziałami wszystkich twórczych po-
czynañ, wykraczających poza samą Bydgoszcz, a więc integracja środowisk
naukowych i artystycznych regionu.

– To temat-rzeka, do którego jeszcze nieraz wrócimy. Tematem spo-
tkania dzisiaj niech będzie Andrzej Szwalbe jako wizjoner, o czym Pan
mówił jeszcze z 2012 roku, w 10. rocznicę śmierci Andrzeja Szwalbego,
w wystąpieniu zatytułowanym: „Wizjoner”, którym otworzył Pan sesję
w bydgoskiej Wyższej Szkole Gospodarki na temat: „Kultura – od teorii
do praktyki”. Mówiąc o Szwalbem jako wizjonerze, odwołał się Pan do
filmu Wernera Herzoga „Fitzcarraldo”, opowiadającym o Irlandczyku,
który nie bacząc na żadne przeszkody chce w dżungli zbudować... ope-
rę. I o dziwo, to mu się, po niezwykłych przejściach, udaje.

– Fitzcarraldo to uniwersalna ikona wizjonera, człowieka mającego swą *idée fixe*, podobnie jak przywołany przeze mnie chiński reformator Deng Xiao Ping, który w latach osiemdziesiątych XX wieku przyjechał na błotniste, słabo zaludnione tereny na zachód od rogatek Hong Kongu i zlecił budowę miasta, które by potęgą zawstydziło jeszcze wtedy brytyjski Hong Kong. Tak powstało Shen Zhen, dziś 11-milionowa, arcybogata metropolia, nazwana przez „Financial Times” fabryką świata. Wizjoner nie tylko podporządkowuje sobie rzeczywistość, ale potrafi ją zreorganizować według swej wizji.

– **Pan wyraził się lapidarnie w swym wystąpieniu: „Wizjoner potrafi rzeczywistość lepić po swojemu”...**

– Andrzej Szwalbe był wizjonerem, łączącym obie wymienione cechy. „Lepił” rzeczywistość według planu, który sobie ułożył. Widział ją gotową, jak malarz widzi przyszły obraz, nim go namaluje, a kompozytor słyszy swój utwór, zanim go zapisze. Szwalbe był polifonistą, widział i słyszał swe projekty przestrzennie. Muzyka, kultura, miasto, region, kraj. Gdyby był uczonym i dano by mu szansę kreowania badań naukowych, Bydgoszcz miałaby dziś uniwersytet w pierwszej piątce rankingów.

– **Szwalbe trafił w Bydgoszcz w określone środowisko kultury.**

– Chciała Pani powiedzieć: w ciasny krąg miejscowych melomanów, którym *ad hoc* zaczął przewodzić. To naturalna cecha wizjonera, bo jego wizje automatycznie wyznaczają mu pozycję lidera. Dziś, jak mantrę wymienia się sekwencję idei Szwalbego, które w ciągu lat zrealizował: początek lat pięćdziesiątych – założenie orkiestry symfonicznej, a pod koniec lat pięćdziesiątych orkiestra gra już w nowo wybudowanej siedzibie. Wkrótce pojawia się tam unikatowy zespół madrygalistów, powstanie załóżek kolekcji XIX-wiecznych fortepianów, portrety rzeźbiarskie, gobeliny, współczesne malarstwo i kongresy naukowe, międzynarodowe festiwale muzyczne, pianistyczny konkurs imienia Paderewskiego... Szwalbe planował w ponadkrajowym diapazynie. Pozbawiony resentymentów, jako pierwszy prawil o berlińsko-bydgoskich filiacjach, antycypując nasz czas przynajmniej o pokolenie.

– **Chce Pan powiedzieć, że wizje Szwalbego były na owe czasy oszałamiające?**

– Rozmachem oszałamiały, inspirując nie tylko zapyziałą Bydgoszcz lat pięćdziesiątych XX wieku, ale przekazując ważniejszym od siebie ośrodkom idee nowe i ludzi nieprzeciętnych. Najpierw przyjeżdżali oni do nas. Z Poznania do Bydgoszczy przybył Mieczysław Tomaszewski, początkowo dyrektor Pomorskiej Orkiestry Symfonicznej, który stąd wyjechał do Krakowa, by objąć po legendarnym wydawcy, Tadeuszu Ochlewskim – Polskie Wydawnictwo Muzyczne. Z Krakowa do Bydgoszczy przybył Stanisław Gałoński, założyciel Capelli Bydgostiensis, który wróciwszy po latach pod Wawel, założył tam siostrzaną Capellę Cracoviensis.

– **Bydgoszczy dedykowali, pisane na zamówienie Szwalbego, dzieła: Krzysztof Penderecki, Henryk Mikołaj Górecki, Wojciech Kilar, Romuald Twardowski...**

– Do Bydgoszczy przyjeżdżali uczeni z warszawskiego uniwersytetu: ks. prof. Hieronim Feicht i prof. Irena Poniatowska, aby pod auspicjami Szwalbego debatować z uczonymi z całego świata na kongresach Musica Antiqua Europae Orientalis. Ich sława rychło uzasadniła otwarcie w Bydgoszczy stacji muzykologicznej Uniwersytetu Warszawskiego.

– **...która działała bardzo krótko, bo Bydgoszcz wtedy jeszcze do niej nie dorosła.**

– To oddzielny temat, zaś kończąc wymienianie niezwykłych poczynań Szwalbego – tu, w Bydgoszczy, uważnie słuchani przez dyrektora z jego dyskretnego miejsca w ostatnim rzędzie sali, zdobywali najważniejsze w karierze szlify dyrygenckie najlepsi polscy kapelmistrzowie z maestro Antonim Witem, obecnie szefem Filharmonii Narodowej, na czele.

– **Szwalbe wierzył w to miasto mimo jego, jak mówił, „zatłuczonej telewizyjnej świadomości”...**

– Kreując spektakularne wydarzenia kulturalne, wiedział, że miasto, w którego metropolitalną misję wierzył dwie dekady wcześniej, niż zadekla-

rowali to politycy, musi mieć porządny dworzec kolejowy i hotel. I towarzystwo nauk, stymulujące niemrawe życie naukowe. Musi mieć sale wystawiennicze, operę, wreszcie – uniwersytet. I musi przywrócić do życia Ostromecko – bydgoski Wilanów, koronę dziedzictwa Szwalbego.

– I wszystko to stało się jakby za dotknięciem różdżki czarodziejkiej, choć Szwalbemu zajęło 40 lat żmudnych dążeń i działań.

– Czterdzieści lat isticie Hezjodowych prac i dni, jakie Szwalbe – z umysłowości pozytywista, a jak wszyscy z pokolenia Kolumbów romantyk, poświęcił swemu miastu z wyboru, zaowocowało czymś dla miasta bezcennym – własnym wizerunkiem, genem tożsamości. On był strategiem, patrzącym daleko do przodu i na boki, twórcą innowacyjnym, co jest wartością poszukiwaną wszędzie i przez wszystkich.

– Wyprzedził, jak wszyscy wizjonerzy, swój czas...

– Pojęcia, wypełnione przez Szwalbego treścią: *wizerunek, marka, innowacyjność*, nie istniały za jego życia w potocznym języku. Wizjoner nie jest planistą. Może być natchnionym architektem, jak Fitzcarraldo, albo urbanistą, jak Deng Xiao Ping. Istotne jest, by jak Andrzej Szwalbe, miał wrażliwość mistyka, ale kalkulował jak inwestor.

* * *

– Panie Henryku, pasjonujące zagadnienia, związane z Andrzejem Szwalbem, a tyzące istoty wizjonerstwa, zajęły nam tyle czasu, że nie starczyło miejsca na rozwinięcie innego ważkiego tematu, jakim jest Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. I. Paderewskiego, którego jest Pan dyrektorem.

– Przypomnijmy, że Konkurs powołał w 1961 roku Andrzej Szwalbe jako dyrektor Filharmonii Pomorskiej, a Jerzy Maksymiuk został laureatem I Konkursu. Od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku konkursy organizuje Towarzystwo Muzyczne im. I.J. Paderewskiego w Bydgoszczy. Konkurs w 2010 roku przyjęty został do Światowej Federacji Międzynarodowych Konkursów Pianistycznych z siedzibą w Genewie. W 2017 roku

miął swoją X edycję. Zgłosiło się blisko dwustu kandydatów, zaś w konkursie wystąpiło około 50 pianistów z 19 krajów.

– I takie są długofalowe efekty działań bydgoskiego wizjonera...

Filharmonia Pomorska była salonem Bydgoszczy

Wspomina Halina Maternowska – była śpiewaczka Zespołu Madrygalistów Capelli Bydgestiensis

Filharmonia Pomorska w latach mego pobytu była salonem Bydgoszczy. Dyrektorem był pan Andrzej Szwalbe. Zajmował się niemal wszystkim. Dziś można powiedzieć, że to wielki przedsiębiorca i biznesmen ówczesnego czasu. Świetny organizator różnych wydarzeń artystycznych. Oprócz dużej Orkiestry Symfonicznej powołał do życia pierwszy w Polsce Zespół Muzyki Dawnej. Jest to do dziś kameralny zespół instrumentalny.

Ongiś działał również zespół wokalny (Madrygalistów). Te dwa zespoły przyjmą nazwę: Capella Bydgestiensis. Kierownictwo muzyczne obejmuje Stanisław Gałoński, później Włodzimierz Szymański. Ten zespół skupiał artystów muzyków i śpiewaków niemal z całej Polski. Z tego też powodu Dyrektor Szwalbe zadbał, by muzycy mieli gdzie mieszkać. Z jego inicjatywy wybudowano tzw. Dom Filharmonika. Bardzo wielu muzyków i śpiewaków miało to szczęście – zamieszkać blisko Filharmonii. Dzięki tej bliskości mogliśmy być zawsze dyspozycyjni.

Również bardzo ważną rzeczą było sprowadzanie przez Dyrektora dawnych instrumentów i tworzenie pięknej kolekcji do oryginalnych wykonań utworów muzycznych. Zadbał on równocześnie o bibliotekę muzyczną. Myślę, że żadna filharmonia nie miała tak wspaniałych zbiorów. Oczywiście dołączyć trzeba płytotekę. Pieczę nad biblioteką miała Maria Błaszczak, często bardzo zwinnie biegając między rega-

łami. Na tamten czas była to skarbnica fantastycznych nagrań muzyki dawnej.

Należy również wspomnieć o nauce gry na tych instrumentach. Dyrektor wysyłał w tym celu wielu muzyków i śpiewaków, wraz ze Stanisławem Gałońskim, do Belgii. Tam odbywały się specjalne kursy, w których uczestniczyli również muzycy z całej Europy. Pan Gałoński wraz z muzykami przywieźli stamtąd sporo wiedzy i pięknie ją wykorzystali: koncerty odbywały się w Sali Kameralnej, w dużej Sali Koncertowej, ale chyba najczęściej we foyer przy świecach. W tak urokliwej atmosferze wspaniale było wykonywać dawną muzykę i myśleć, że również słuchać – dowodem była sala wypełniona po brzegi. Na koncerty w dużej sali Filharmonii Dyrektor wchodził bezszelestnie ostatnimi drzwiami i cichusieńko siadał na miejscu w ostatnim rzędzie.

Oprócz koncertów organowych w Filharmonii Dyrektor zadbał o poznawanie muzyki dawnej poza Bydgoszczą. Jeździliśmy więc po małych miejscowościach, zazwyczaj w niedzielę. Wtedy ludzie z gospodarstw wiejskich mieli czas i chętnie przychodzili posłuchać muzyki, wykonywanej na instrumentach z poprzednich epok. Przychodzili odświętnie ubrani, oczywiście z dziećmi, które siadały w pierwszych rzędach. Na takie koncerty jeździł z nami prelegent. Pamiętam piękne opowieści, wprowadzające do programu koncertu, wygłaszane przez pana Janusza Cegiełłę i pana Marka Dyżewskiego. Ci przychodzący, ciekawi wydarzeń, z dobrego serca wielokrotnie przygotowywali jakiś mały poczęstunek czy herbatę. Publiczność ta zawsze oklaskiwała nas bardzo gorąco, ze szczerą radością.

Tak więc ten mały, kameralny zespół, spełniał swoją misję. W tym właśnie wielkie zasługi miał dyrektor, Andrzej Szwalbe, bo wszystko działało się z jego inicjatywy. Stawiając przed nami nowe wyzwania artystyczne, podsycał naszą pasję do muzyki...



Robił swoje

Rozmowa z dr. Stefanem Pastuszewskim, poetą i pisarzem, byłym wiceprezydentem Bydgoszczy i radnym, założycielem i sekretarzem redakcji miesięcznika literackiego „Akant”

Z dr. Stefanem Pastuszewskim, wiceprezydentem Bydgoszczy w latach 1994–1998, radnym, założycielem i sekretarzem redakcji miesięcznika literackiego „Akant” – spotykam się dziś w naszym mieście pod jedyną w swoim rodzaju fontanną, dwa lata temu przywróconą Bydgoszczy, a od ponad 100 lat związaną z tym miastem, o nazwie „Potop”. Ten niezwykle wodotrysk, a jednocześnie największa w Europie rzeźba z brązu o tematyce biblijnej, odsłonięty w 1904 roku, został w 1943 roku przetopiony przez najeźdźców hitlerowskich na cele wojenne. Po 70 latach odtworzony, co zawdzięczamy ogromnemu poparciu bydgoszczan, a konkretnie staraniom działającego od 2002 roku Stowarzyszenia Odbudowy Bydgoskiej Fontanny „Potop” z prof. Zygmuntem Mackiewiczem na czele. Zasłużony profesor odszedł do wieczności w roku 2015, a jego postać niemal od razu upamiętniona została w pobliżu fontanny w formie siedzącej na ławeczce z brązu dłuta Michała Pronobisa (także autora rekonstrukcji fontanny). Siadam na ławeczce, obok brązowej postaci profesora, jak to czyni dookoła wielu mieszkańców Bydgoszczy, rozmówanych w spoglądaniu z tej perspektywy na potężną i piękną rzeźbę przestrzenną „Potopu”, strzelającą w górę strumieniami wody, usytuowaną na tle parku w centrum miasta, a będącą manifestacją niebanalnego artyzmu. Latem bydgoszczanie odwiedzają ją tłumnie, zwłaszcza wtedy, gdy wspomniane Stowarzyszenie Odbudowy Fontanny zaprasza



Fot. Wiesława Wolna

Już w 1983 roku Andrzej Szwalbe wystąpił z pomysłem odbudowy fontanny *Potop*.
Pomysł ten został zrealizowany w 2014 roku.



Fot. Wiesława Wolina

Pomnik Walki i Męczeństwa na Starym Rynku. W głębi katedra Matki Bożej Pięknej Miłości

w weekendy na cykl pięknych koncertów, od 2016 roku noszących nazwę „Fontanna Muzyki”. Są one jeszcze jednym potwierdzeniem wypowiedzianej w skrócie przez Jerzego Puciatę prawdy: „Bydgoszcz – to muzyka bez wątpienia...”

Dlaczego akurat tu umawiam się ze Stefanem Pastuszewskim? Może dlatego, że należał on do aktywnych propagatorów idei rekonstrukcji fontanny, a w wymienionym Stowarzyszeniu Odbudowy Fontanny pełnił funkcję inżyniera nadzoru rekonstrukcji. Jest też autorem książki *Bydgoska fontanna Potop*. Magia tego miejsca, w którym się właśnie znajdujemy, jest nieprzeparta, ale nie sama fontanna jest tematem naszej rozmowy, lecz oczywiście Andrzej Szwalbe. Tym razem jako człowiek dialogu, który w latach osiemdziesiątych upominał się o odbudowę Potopu.

– Jak układał się dialog Szwalbego z władzami w okresie PRL?

– Andrzej Szwalbe uważał, że władza powinna służyć społeczeństwu i zwracał się do niej, mając zawsze jasno wykrystalizowaną wizję takich czy innych rozwiązań w sferze kultury. Jako typ relacji z ówczesną władzą przyjmował formę dialogu. Niemniej, występując z dobrze uargumentowanymi wnioskami i sugestiami, mądrze wykorzystywał w tym dialogu swój rosnący z roku na rok autorytet oraz fakt, że poprzez koneksje z wielkim światem artystycznym – co tu dużo mówić – imponował, prostackim bardzo często, funkcjonariuszom partyjnym.

– Mówiono, że w sposób nienarzucający się, dyskretny, starał się niejako edukować ówczesne władze nie tylko w kwestii kolejnego swego wielkiego przedsięwzięcia, ale i związaną z tym wiedzą o kulturze...

–...czyli w zakresie szeroko pojętego kulturoznawstwa, co jako żywo, przypominało „taktykę wciągania we wspólną sprawę”. Także poprzez zbudowanie pozytywnego mostu emocjonalnego. Pisał na przykład do prezydenta miasta, Romana Jasiakiewicza: „Jakaż to radość, że przyjdzie nam – kolekcjonerom i miłośnikom sztuk pięknych oraz filozofii, estetom i myślicielom, wyczuć pod palcami chropowatą fakturę gobelinu, utkanego z nici złocistych, nici srebrzystych”.

– **Tak, Szwalbe, był dyplomatą dużej klasy!**

– Niewątpliwie. Przecież zdawał sobie sprawę, że wobec władz musi być w pozycji raczej proszącej. Ale granica między prośbą i żądaniem jest bardzo płynna. Wiedział o tym i odpowiednio umiał rozłożyć akcenty. Na pewno nie z pozycji proszącej 12 lutego 1981 roku napisał do Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KW PZPR: „Uprzejmie komunikuję, że MKZ NSZZ Solidarność zwrócił się do Filharmonii Pomorskiej o urządzenie koncertu *in memoriam* Leona Barciszewskiego. Koncert tego rodzaju może się odbyć 6 marca br. (...) Myślę, że ta interesująca inicjatywa stwarza dobrą okazję do zaakcentowania patriotycznych wartości i miejscowych tradycji, pożądanym w aktualnym czasie”. I tu mądrze powołał się pan Andrzej na wypowiedź prof. Kazimierza Michałowskiego: „Warszawę i Bydgoszcz łączą postacie niezłomnych prezydentów: Stefana Staryńskiego i Leona Barciszewskiego”.

– **Czy mógł ktoś tak sformułowany list zanegować, nawet będąc władzą? Tę, jak to Pan nazwał, „grę słów i znaczeń” toczył Szwalbe z władzami do końca PRL, by realizować swe dalekosiężne cele.**

– Świetnie wyczuwając ducha czasu w okresie Solidarności, coraz bardziej dystansował się od rzeczywistości realnego, rozpadającego się socjalizmu. Dla dobra sprawy muzycznej uczestniczył jednak w tej grze, aby, jak mówiłem, robić swoje.

– **Jeden z przykładów takiego podejścia znalazł się w pierwszym wydaniu mojej książki, w rozmowach z Ewą Łukaszek pt. „Ten orzeł wróci!” oraz z Panem („Więź trochę niekonwencjonalna”) – w szerszej wypowiedzi Pana z 1993 roku w związku z przyznaniem Szwalbemu Honorowego Obywatelstwa Bydgoszczy. Chodzi mi o starania Szwalbego i jego wnioski z dn. 27 kwietnia 1981 roku do KW PZPR w sprawie umieszczenia orła w koronie na gmachu PWSM.**

– Pisał Szwalbe wówczas, że trzeba „nawiązać wątlutką arkę przymierza, ale zawsze przymierza między władzą a ludem”. Ale komuniści szykowali się już do stanu wojennego i nie potrzebowali żadnej „arki przymierza”,

tak więc po trzech tygodniach od umieszczenia orła w koronie na frontonie gmachu Akademii Muzycznej – Filharmonia musiała go zdjąć.

– To wiemy. Ale jak przewidział w swym dalekosiężnym spojrzeniu Szwalbe: „Ten orzeł wróci” – i dziś zawsze, gdy przechodzę obok Akademii Muzycznej im. Feliksa Nowowiejskiego – nie mogę ukryć wzruszenia widząc na szczycie owej pięknej siedziby dawnego starostwa królującego orła w koronie, o którego pozycję tam w górze, nad miastem, 35 lat temu walczył nasz XX-wieczny Konrad Wallenrod – Andrzej Szwalbe. Bo jego dialog z komunistyczną władzą – to był swoisty wallenrodizm (jak zauważyła muzyk Maria Fengler), dzięki któremu z sukcesem osiągał on zamierzone cele w dziedzinie kultury i sztuki. A jak, zdaniem Pana, odbierał Pan Andrzej nową rzeczywistość po 1989 roku? Pan o tym wiedział od niego bezpośrednio, bo w owym czasie często się z Panem spotykał.

– Zdziwiony był niskim stopniem koncyliarności nowej władzy, nieumiejętnością prowadzenia przez nią dialogu. Dyrektora zaskakiwał też brak wystarczającej troski o kulturę i naukę, z czym dzielił się ze mną jako z ówczesnym przewodniczącym Komisji Kultury i Nauki RMB. Mówił mi o braku decyzyjności i gołosłowności nowych władców. Szukał dróg wyjścia dla kontynuacji rozpoczętego przezeń w 1949 roku dzieła doprowadzenia bydgoskiej kultury na szczyty.

– Było to tym trudniejsze, że od 1991 roku był na emeryturze, a jednak starał się dotrzymać kroku czasom zmiany...

– Pozornie był doceniany: w 1993, w dwa lata po przejściu na emeryturę, władze miasta przyznały mu tytuł Honorowego Obywatela Bydgoszczy...

–...i natychmiast zapomniały o nim zupełnie, nie zapraszając do współpracy nad perspektywami miasta, co doprowadziło tego urodzonego wizjonera i działacza wielkiego formatu do takiego wyczerpania, że w pewnym momencie, jak mi się zwierzał: „Wyrznąłem dyplomem o ziemię – do tego mnie doprowadzili!”. To są jego słowa, zamieszczone przeze

mnie w pierwszym i obecnym wydaniu tej książki, w rozdziale: „Jak kukłę posadzić za stołem?!”. Ale on umiał sobie i z taką martwością poradzić konstruktywnie. Po prostu powiedział mi wtedy: „musiałem wszędzie się przypominać w rozmaity sposób – na łamach prasy, czy też poprzez listy, kierowane do władz w sprawach dla miasta i regionu istotnych. Dla przykładu, gdy przyszły przepychanki z regionem, gdy niepewna była przyszłość województwa – stać mnie było na napisanie 17 sążnistych rozpraw na temat regionu, województwa, samorządu, sejmików (...)”.

– I znów, jak w zgrzebnych latach pięćdziesiątych, usiłował przekonywać i edukować kolejnych władców, lecz tym razem władza ta była bardziej odporna na głos fantazji i rozsądku zarazem. Uparcie szukał możliwości dialogu, lecz w zasadzie go nie znajdował.

– I nawet Pan wówczas jako wiceprezydent miasta w latach 1994–1998 nie mógł przeforsować zmiany stanowiska nowych elit władzy poprzez przypominanie zasług Szwalbego, by ta nowa władza doceniła, ile może zyskać w dziedzinie kultury poprzez dialog z takim człowiekiem?

– Próbowałem nieraz, ale nie znajdowałem zrozumienia. Nowa władza szła swoją drogą, licząc się przede wszystkim z populistycznymi falami. W społeczeństwie kultury masowej i szalejących egoizmów oraz w państwie demokracji medialnej nie było miejsca dla wybitnego, a przecież dbałego o dobro wspólne historiozofa- indywidualisty...Niesłusznie etykietowano go nawet jako człowieka starego systemu...

–...że też Bydgoszcz – jego ukochane miasto z wyboru, tak go potraktuje, tego się Szwalbe nie spodziewał.

– Właśnie, czy taka musiała być postawa miasta wobec człowieka, który tyle dla niego uczynił, starając się wznieść je na szczyty kultury muzycznej i nie tylko?! Przecież człowieka oceniać trzeba po jego dziełach i intencjach działania! A on, aby zrealizować swoje zamierzenia w sferze kultury wysokiej, władze PRL-u traktował tylko instrumentalnie.

– Chce Pan powiedzieć, że miasto okazało się niewdzięczne?

– Niestety, Bydgoszcz – to nadal nie jest miasto dla kultury i ludzi, którzy chcą w tym mieście coś nieprzeciętnego w dziedzinie sztuki zrealizować. Nie szanuje się ich, chętnie się ich pozbywa. Pani też zabrano „Kwartalnik Artystyczny”, który Pani tu założyła. A przedtem jako publicystka i krytyk teatralny pisała Pani dla tego miasta przez 20 lat.

– **Wielka aktorka polska, Wanda Siemaszkowa, która w Bydgoszczy w 1920 roku wzięła w dzierżawę na pięć lat Teatr Miejski i została jego dyrektorem – już w ciągu dwóch lat wyreżyserowała 14 sztuk z ambitnego repertuaru, a dodatkowo prawie od razu założyła w Bydgoszczy Szkołę Dramatyczną oraz Dom Aktora i zainaugurowała cykl wykładów publicznych... A mimo wszystko miasto już po dwóch latach wypowiedziało jej umowę na prowadzenie teatru, bo preferowany był przez władze lżejszy repertuar. Trudno się dziwić, że ta wielka artystka, jedna z największych postaci w historii polskiego aktorstwa, powiedziała potem z goryczą: „Bydgoszczanom golonka i kufel piwa w zupełności wystarczą”. Na szczęście były to lata dwudzieste XX wieku – i prawie wiek minął od tego czasu.**

– Ale jakby pozostała mentalność miasta, rzekłbym „radarowa” – w zależności od istniejącej sytuacji i opinii z zewnątrz, na przykład z telewizji. Andrzej Szwalbe takie podejście widział i zdefiniował, mówiąc, że: „Bydgoszcz ma zatłuczoną mentalność telewizyjną”. Mści się, niestety, dzisiejsze powierzchowne myślenie większości, w tym również władz samorządowych. A stoi za tym panujący obecnie, w XXI wieku, sploty systemu moralności, szum informacyjny i bałagan w dziedzinie hierarchii wartości na korzyść sztuki masowej oraz wartości materialnych. Króluje konsumpcjonizm.

– **Co więc pozostało?**

– Powtarzam: robić swoje i rozmawiać z tymi, którzy mają wpływ na rzeczywistość. No i oddzielać sztukę wysoką od masowej.

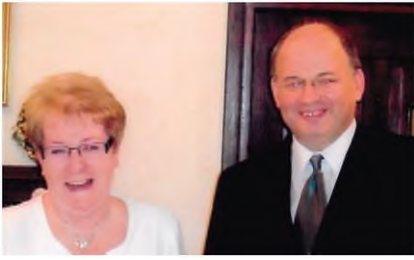
– **Kim jest dla Pana Andrzej Szwalbe?**

– To mój mistrz duchowy w sensie wewnętrznego nakazu działania i konsekwencji w pracy. „Owoce pojawią się później” – mawiał.

– W rozmowach i wywiadach, jakie wówczas, przed laty z nim przeprowadziłam, Szwalbe – optymista, gdy idzie o długofalowy rozwój duchowy ludzkości, bliski w tym filozofii Teilharda de Chardin – wyrażał jednak żywą nadzieję, że nowe elity władzy dorosną kiedyś do zrozumienia roli kultury i sztuki przez duże „S”.

– Ale zdawał sobie sprawę, że jest to proces długotrwały.

– Może więc na koniec przypomnijmy ów znamienny cytat z Teilharda de Chardin, który 27 lat temu wybrałam na motto pierwszego numeru (0/93), „Kwartalnika Artystycznego”: „Postęp nie jest tym, co ma na myśli tłum, a co, ku jego oburzeniu, nigdy nie nadchodzi. Postęp nie jest natychmiast rozkoszą, dobrobytem ani spokojem. Nie jest odpoczynkiem. Nie jest też bezpośrednio, sam przez się, dobrem. Postęp jest w swej istocie siłą i to najbardziej niebezpieczną z sił”.



On łączył ludzi...

Rozmowa z Ewą Stąporek–Pospiech, dyrektor Państwowego Zespołu Szkół Muzycznych w Bydgoszczy, inicjatorką Międzynarodowych Konkursów Młodych Pianistów „Artur Rubinstein in Memoriam” oraz z prof. Wojciechem Pospiechem – kierownikiem Katedry i Zakładu Muzykoterapii Collegium Medicum

Czas na odwiedzinę u państwa Pospiechów. Znamienne: mieszkają przy ul. Kozińskiego – nieopodal, przy tej samej uliczce mieszkał i tworzył w latach 1921–22 Karol Szymanowski. Dzięki staraniom Szwabego na budynku przy Kozińskiego 5, gdzie kompozytor swoje „Chłopiewnie” napisał – umieszczono tablicę upamiętniającą ten fakt.

Zarówno Ewa jak i Wojciech Pospiechowie rozpoczynali swą karierę muzyczną w założonej przez Andrzeja Szwabego Capelli Bydgosciensis – jako soliści zespołu kameralistyki muzyki dawnej. Dyrektor Filharmonii Pomorskiej im. I. Paderewskiego zapewniał młodym dobre warunki rozwoju. Zebrał unikalną, dużą bibliotekę, dotyczącą tego typu muzyki i kupował instrumenty do jej wykonywania z najlepszych pracowni w Europie, starał się o stypendia artystyczne. Ewa Stąporek–Pospiech otrzymała wówczas roczne stypendium w Bratysławie.

– Capella Bydgosciensis była zespołem, który reaktywował utwory Mikołaja Gomułki, Wacława z Szamotuł, Mikołaja Zielińskiego, Henryka Góreckiego, Bartłomieja Pękiela... – mówi E. Pospiech. Powołana zresztą była, by wskrzeszać żywą polską muzykę dawną na kopiach oryginalnych instrumentów. Dyrektor Szwalbe sprowadzał na jej temat całe traktaty,

mówiące o tym, jak realizować i odczytywać tę muzykę – jego biblioteka miała charakter prawdziwego ewenementu! On nie tylko pierwszy sprowadzał klawesyny z Ameryki, a nasz stroiciel w Filharmonii uczył się składania owych klawesynów z udziałem ich twórców – ale zorganizował też w Filharmonii sesję muzyki klawesynowej, na którą przyjechały znakomitości w tej dziedzinie: z Krakowa nestorka klawesynu, prof. Elżbieta Stefańska, a z Poznania – prof. Elżbieta Brecz-Budny. Capella Bydgosciensis nagrała wiele płyt z perłami polskiej muzyki dawnej – Średniowiecza, Renesansu, Baroku... Wówczas kierował Capellą przez szereg lat Włodzimierz Szymański. I tu trzeba dodać, że Bydgoszcz, niestety, wyrządziła mu dużą krzywdę odsuwając go po odejściu Szwalbego – a był Włodzimierz Szymański artystą najdalej w Polsce zaawansowanym w stylistyce wykonawstwa dawnej muzyki. Andrzej Szwalbe widział w nim cechy charakterystyczne człowieka Renesansu i Baroku.

– Do tego wątku jeszcze wrócimy... – przerywam, zwracając się do pana Wojciecha – jak odbierał pan Szwalbego w tamtych latach Capelli Bydgosciensis?

– On stawiał bardzo poważne wyzwania, ukierunkowywał nasze działania, stwarzał możliwości rozwoju. Powiedział mi, że zbudowałem swoiste laboratorium sztuki baroku poprzez swoje wykonawstwo jako Haute-contre tenor jedyny w Polsce, bo ja potrafiłem znaleźć się w mentalności epoki Baroku.

– A jaki wpływ, pani Ewo, miał Szwalbe na cieszący się znakomitą opinią w świecie, zainicjowany i do dziś prowadzony przez Panią Międzynarodowy Konkurs Młodych Pianistów „Artur Rubinstein in memoriam”, mający swe członkostwo w EMCY, czyli w Unii Konkursów Muzycznych dla Młodych z siedzibą w Monachium. Jego 12. edycja odbyła się w 2016 roku, a pierwsza miała miejsce w 1993 roku, po nadaniu prowadzonemu przez Panią Zespołowi Szkół Muzycznych – imienia Artura Rubinsteina.

– Zacząć należałoby od tego – odpowiada Ewa Pospiech – że impulsem do nadania przeze mnie Zespołowi Szkół Muzycznych imienia Artura

Rubinsteina było moje osobiste zetknięcie się, jako licealistki, z tym wielkim artystą w 1963 roku, gdy Andrzej Szwalbe zaprosił Rubinsteina do Bydgoszczy i miał on koncert w bydgoskiej Filharmonii. Szwalbe sprowadzał i innych wielkich artystów, np.: Witolda Małcużyńskiego, Świątosława Richtera, Luciano Pawarottiego, Roberto Benzi, Leopolda Stokowskiego... Konkurs imienia Artura Rubinsteina zainicjowałam w 1993 roku, widząc w nim realizację mojej pasji, która stała się też ideą przewodnią konkursu: wyłaniać utalentowanych młodych muzyków do lat 21, dla których może to być wejściem w poważną karierę muzyczną. Oczywiście przed rozpoczęciem Konkursu „Rubinstein in memoriam” zwróciłam się do Andrzeja Szwalbego, jako mego byłego szefa, a nade wszystko niezwykłego wizjonera i wielkiego autorytetu – o wyrażenie zdania na ten temat. Zaaprobował moje poczynania w całej rozciągłości. Zaproponował też, by wprowadzić do Konkursu dzieła Karola Szymanowskiego, artysty uznanego za „kontynuatora geniuszu Fryderyka Chopina” – a trzeba wiedzieć, że Rubinstein był pierwszym odtwórcą dzieł Szymanowskiego. Obaj wybitni kompozytorzy byli zresztą przyjaciółmi. I ja wstawiłam do programu wykonanie Szymanowskiego „Symfonii koncertującej na fortepian i orkiestrę symfoniczną”.

– **Czy Szwalbe przewidział niezwykle rozkwit Konkursu im. Rubinsteina, jego rangę międzynarodową?**

– Po dwóch edycjach Konkursu w latach 1995 i 1997 rozmawiałam z dyrektorem, który wyraził zadowolenie, że Konkurs się rozwija.

– **Zadowolenie to za mało powiedziane, bowiem Szwalbe wyraził się o Konkursie w jednym ze swych listów wręcz entuzjastycznie: „projekt znakomicie przyszłościowo pomyślany, świetnie i profesjonalnie urzeczywistniany”.**

– Niemniej wtedy, w 1997 roku Szwalbe w rozmowie ze mną podkreślił, że Konkurs tak naprawdę zaistnieje za 15 lat w swojej pełnej dojrzałości. I tak się stało. Laureaci mojego Konkursu z 2002 roku, którzy zajęli I i II miejsce: Julia Awdiejewa i Rafał Blechacz w niedługim czasie stali

się laureatami pierwszej nagrody Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w Warszawie. Wsławił się zwłaszcza Rafał Blechacz – uczeń naszego Zespołu Szkół Muzycznych z klasy prof. Katarzyny Popowej-Zydroń. Walentina Igoshina miała zaledwie 14 lat, gdy wygrała nasz Konkurs im. Rubinsteina, a po 20 latach też została laureatką Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego. Nasz Konkurs był jej pierwszym konkursem w życiu i pierwszym wyjazdem zagranicznym.

– Wizerunek muzycznej Bydgoszczy pogłębiają organizowane z pięknymi tradycjami wielkie, międzynarodowe festiwale i konkursy muzyczne, które, oprócz omawianego Konkursu Młodych Talentów im. Rubinsteina, w większości zainicjował Andrzej Szwalbe.

– Niewątpliwie tak – mówi prof. Wojciech Pospiech – bo zarówno Międzynarodowy Festiwal Musica Europae Orientalis, dalej Bydgoski Festiwal Muzyczny jak i Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Ignacego Jana Paderewskiego – też zainicjowany był przez Andrzeja Szwalbe. Wszystkie te festiwale i konkursy muzyczne mają swoje miejsce, swoją rangę, wagę i znaczenie. Szwalbe łączył ludzi. Budował operę, choć wiedział że nie będzie jej dyrektorem, a młody dyrektor Opery Nova, Maciej Figas, nie tylko dokończył budowy, ale z roku na rok przyczynia się do rozświetlenia Bydgoszczy w świecie – Międzynarodowym Festiwalem Operowym.

– Pan, Panie Wojciechu, prowadzi też wydział wokalny w Zespole Szkół Muzycznych i audycje muzykoterapii w Radiu Pik. Trzyma Pan więc niejako rękę na pulsie muzycznej Bydgoszczy. Proszę powiedzieć, jak to jest dziś z duchowym dziedzictwem Szwalbego?

– O dziedzictwie Szwalbego nie wolno zapominać, ale czasy, niestety, temu nie sprzyjają. Ci, co coś nieprzeciętnego w sferze kultury starali się robić dla Bydgoszczy albo odeszli, odjechali lub umilkli, przez to miasto nierzadko skrzywdzeni, jak wspomniany Włodzimierz Szymański.

– A tych skrzywdzonych jest więcej – dodaje Ewa Pospiech – chociażby Andrzej Walden, pamiętny dyrektor i wspaniały reżyser bydgoskiego te-

atru, który chronił od zapomnienia i pięknie wystawiał wartościowe sztuki. Bezszelestnie wyjechał z Bydgoszczy... No, a przykład Pani, założycielki Kwartalnika Artystycznego...

–... a Ewa Studencka– Kłosowicz, chluba bydgoskiego teatru, przez lata laureatka pierwszych nagród na festiwalach Teatrów Polski Północnej szybko została zapomniana. Nie zapraszano jej nawet, jak mi mówiła, na Międzynarodowy Dzień Teatru.

– Nieprzeciętny talent aktorski Ewy Studenckiej – odpowiada pan Wojciech – która powinna być obsadzana do ostatnich lat swego życia w kreatywnych rolach w Teatrze Polskim – był traktowany obojętnie aż do wykluczenia jej włącznie. Zabrakło w tym mieście elit, a tym samym zabrakło w Bydgoszczy realizatorów myśli Szwalbego na miarę XXI wieku.

– Dlaczego tak się dzieje?

– Może jakieś światełko na tę sytuację rzuci moje wspomnienie sprzed lat – zamyśla się pan Wojciech. – Kiedyś prof. Franciszek Wesołowski, szef wydziału Muzyki Dawnej Akademii Muzycznej w Łodzi, wysłał mnie na Festiwal Bratislava Cantat, gdzie miał wykłady na temat Baroku włoskiego, a muzyka Baroku wiąże się z moją życiową pasją. Wywiązała się dyskusja, w której żywo uczestniczyłem. Prof. Antonina Kawecka powiedziała do mnie wtedy: „ – Chłopcze, ty to po prostu kochasz”. Uznałem tę wypowiedź za wiodącą recenzję dla mnie. Siła jest w miłości, w dawaniu. Dziś za mało jest dawania, za dużo brania. Wszyscy zamknęci są w sobie, chcą mieć splendor i to jest dla nich najważniejsze. A człowiek nie rozwija się, jeśli nie daje, a usiłuje tylko brać.

– Tu, Panie Wojciechu, warto zacytować Goethego: „Nie chodzi przecież o to, by burzyć, ale by budować ku czystej radości wszystkich ludzi”. I mała refleksja: 28 października 1994 roku na łamach „Dziennika Wieczornego” rozmawiał ze mną, jako naczelną „Kwartalnika Artystycznego”, Zdzisław Pruss, a wywiad nosił tytuł: „Piękno zbawi świat”. Dziś, po latach, bym dodała: Samo Piękno, bez Dobra, nie zbawi świa-

ta. Zresztą Dobro jest składnikiem prawdziwego Piękną, podobnie jak Prawda. Tak dochodzimy do jedności Prawdy, Dobra i Piękną, czyli platońskiej Triady, której tak hołdował Szwalbe w swych dalekosiężnych dążeniach i realizacjach...



Perła w koronie

Rozmowa z Maciejem Puto, dyrektorem Filharmonii Pomorskiej

– Na czym Pan, jako od września 2015 roku dyrektor Filharmonii Pomorskiej, buduje dzień dzisiejszy i przyszłość bydgoskiej Filharmonii?

– Buduję na skale – na tradycyjnych wartościach, a więc w dziedzinie muzyki – na klasyce. Rozumiem, że mentalność ludzi zmienia się w ciągu wieków i dziś, w XXI wieku, punktem ogniskowym stał się internet. Jako dyrektor Filharmonii zmiany te wykorzystywać muszę i wykorzystuję w dystrybucji informacji, ale internet nie zastąpi żywej relacji z odbiorcami, zbiorowych emocji. W tym uniwersalnym nurcie sztuki przez duże „S” odnajduję prawdziwą rolę Filharmonii, czyli zachowanie klasycznego koncertu i żywego kontaktu.

– Andrzej Szwalbe niezachwianie wierzył i stale powoływał się na „Te Trzy” – Dobro, Prawdę i Piękno. Czy Pan wierzy w Triadę?

– Oczywiście, inaczej nie startowałbym na stanowisko dyrektora Filharmonii. A ponieważ nie czuję się na siłach sprawy artystyczne wprowadzać w pełnym wymiarze, powołałem na dyrektora artystycznego Kaia Bumann. Cenię jego osobowość, otwartość, miłość do muzyki oratoryjno-kantatowej i znanstwo innych dziedzin sztuki. Świadczą o tym jego dokonania, chociażby „Wiek Miłosza” w Filharmonii Bałtyckiej.

– Co konkretnie Pan jako dyrektor Filharmonii kontynuuje z dążeń Szwalbego?

– Zacząłem od edukacyjnych koncertów, bo edukacja artystyczna traktowana jest ostatnio po macoszemu. Kontynuuję „koncerty z nianią”, wprowadzone przez Eleonorę Harendarską. Chodzi tu przede wszystkim o dostępność do dóbr kultury. Rodzice mogą podczas koncertu oddać dziecko pod opiekę wykwalifikowanych opiekunów, odpada więc wymówka, że nie mają z kim zostawić dziecka w domu. Staram się też o poszerzenie kolekcji dzieł sztuki, i wzbogacenie jej o współczesną sztukę. Poszerzenie kolekcji kosztuje, więc na razie, co udało mi się zrobić w tej mierze – to ekspozycje czasowe. Nawiązując do wizji Andrzeja Szwalbego, który tworzył trwały wizerunek Filharmonii jako Świątyni Sztuk Pięknych – w chwili obecnej prezentuję część obrazów, które powstały podczas V Pleneru Malarskiego im. Leona Wyczółkowskiego. W prawym Foyer Filharmonii, dzięki współpracy z Andrzejem Kobiakiem senatorem RP, mecenasem i miłośnikiem sztuki, prezentuję do końca sezonu radosny koloryt płócien Jana Bonawentury Ostrowskiego oraz pełne groteski malarstwo Waldemara Marszałka.

– A odnośnie modernizacji samej siedziby Filharmonii?

– Planuję rozbudowę i remont gmachu, który ma już 60 lat i widoczne jest zmęczenie materiału. Trzeba zastosować nowe technologie. Brak wind i podjazdów – a chcę wprowadzić takowe i dla niepełnosprawnych. Potrzebne są parkingi podziemne. Jesteśmy już na etapie ustalenia programu funkcjonalno-użytkowego, opracowanego i przyjętego uchwałą Zarządu Województwa Kujawsko-Pomorskiego. To pierwszy taki ważny dokument. Ale najpierw konieczne jest przeprowadzenie zmian w planie zagospodarowania przestrzennego miasta, a jest to proces, który może potrwać do dwóch lat. W tej chwili mamy już przyrzeczenie władz miasta w sprawie sprzedaży gruntów, stanowiących własność miasta, a położonych w bezpośrednim sąsiedztwie Filharmonii.

– W tych wszystkich remontach i modernizacjach gmachu, jakie nastąpią w planowanym czasie, jaką generalną zasadę Pan przyjmuje?

– Moją dewizą jest nienaruszalność sali koncertowej, tej naszej bydgoskiej „perły w koronie”. A więc nie naruszyć w żadnym wypadku akustyki sali

koncertowej, słynnej z tego powodu w Europie. Mamy swoje cudo, musimy je chronić.

– **Słyszając to, melomani oddychają z ulgą.**

– Dla mnie sala koncertowa jest ważniejsza, niż cała architektura tego gmachu. No a jeśli idzie o jego modernizację, przyświeca mi hasło naszych poprzedników, szczególnie bliskie Szwalbemu: Bydgoszcz to „mały Berlin”, jak mówiono. Berlin – nowoczesna metropolia, łączy klasyczne bryły z ultranowoczesnymi. Chciałbym, aby klasyczna bryła Filharmonii Pomorskiej zwieńczona była czymś ultranowoczesnym.

– **Ale gmach Filharmonii to już jest zabytek – i ta klasyczna bryła jest piękna sama w sobie. A jakie działania w dziedzinie jedności sztuk, głoszonej przez Andrzeja Szwalbego Pan podejmuje?**

– Najważniejsze, żeby nie tylko wieczorem, ale cały dzień melomani i w ogóle miłośnicy sztuki mogli w Filharmonii przebywać, zwiedzając mieszczącą się w jej wnętrzu galerię sztuki, odwiedzając salon wydawniczy, a także restaurację. Konieczne jest nie tylko poszerzenie foyer. Chodzi mi o Filharmonię jako otwartą instytucję, syntezę wielu sztuk, o czym myślał przecież Andrzej Szwalbe. Potrzebna jest też sala kameralna na 300-350 osób, odizolowana akustycznie, żeby mogły odbywać się dwa koncerty jednocześnie. Zbudowana zostanie oczywiście poza gmachem Filharmonii. Myślę również i o hotelu dla artystów. W nowym obiekcie też widzę salę do prób, ćwiczeniówki. Gdzie ten obiekt powstanie – nie jestem w stanie powiedzieć, bo nie ma jeszcze koncepcji urbanistycznej.

– **Szerokie plany, gdzie znajdują się na to pieniądze?**

– Staramy się je pozyskać, choć łatwo nie jest. Złożyliśmy do programu operacyjnego Unii Europejskiej pn. „Infrastruktura i środowisko” zapotrzebowanie na ponad 15 mln. Życzliwość i otwartość Zarządu Województwa sprawia, że liczymy też na budżet wojewódzki, a myślimy również o funduszach z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Urzędu Miasta.

– **Finanse to oddzielny temat, którego nie będziemy tu szerzej rozwijać. Wróćmy do spraw merytorycznych: co się będzie w najbliższym czasie działo?**

– Zacieśnienie kontaktów z Towarzystwem Muzycznym, głównym organizatorem Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Paderewskiego. W 1961 roku ten konkurs wyszedł z Filharmonii, zainicjowany przez Szwalbego. Jego głównym laureatem był wtedy Jerzy Maksymiuk. No i oczywiście cieszący nas już swoją 55. edycją Bydgoski Festiwal Muzyczny, który wpisany jest w statut naszej instytucji. Od ubiegłego roku BFM odbywa się pod hasłem „Kontrasty”. W 2016 roku były to kontrasty w pojmowaniu idei: „Wolność”, w tym roku hasłem będzie „Polska i sąsiedzi”. Chcemy przybliżyć kulturę muzyczną naszych geograficznych sąsiadów. Bo na styku kultur rodzi się to, co najciekawsze. Pragniemy wnikać w to, co nas łączy i co nas dzieli. Myślimy o sąsiadach zewnętrznych i wewnętrznych, dlatego wprowadzimy też muzykę Żydów i Romów. Forma naszego festiwalu może będzie się zmieniać, pojawią się może nowe cykle koncertowe, ale klasyka, światowa symfonia nadal będzie królować.

– **A z nowszych inicjatyw?**

– Chciałbym wprowadzić duże koncerty plenerowe, bo jest to szansa szerokiego pokazania działalności Filharmonii na koniec sezonu. Są też kontynuowane koncerty dla seniorów, dla których Eleonora Harendarska prowadziła „Poranki muzyczne”, a bilety bardzo ulgowe dla ludzi złotego wieku już zostały wprowadzone na większość koncertów Filharmonii. Szkoły otrzymują oferty na koncerty lub my udajemy się z koncertami do szkół. W sumie organizujemy ponad 100 audycji edukacyjnych miesięcznie, a więc 1200 rocznie, bo jest kilka ekip na miejscu i kilka wyjeżdżających, tak że robimy dla szkół parę audycji dziennie dla kilku grup wiekowych.

– **Dziś, w dobie cywilizacji konsumpcyjnej zmienia się wrażliwość, podejście do sztuki. Jak w związku z tym zdobywacie młodzież? Czy stosujecie dla młodych jakieś specjalne metody uatrakcyjniania koncertów?**

– Oczywiście. Na przykład oprócz dawania młodzieży wartościowej klasycznej muzyki angażujemy się w inne formy przekazu. Działamy nie tylko na słuch, ale i na wzrok – są projekcje wizualne podczas koncertów.

– **Jak widać z naszej rozmowy, a także z mojego bywania na koncertach w Filharmonii, nie ma żadnego „burzenia murów” w stosunku do Pana poprzedników: założyciela i długoletniego dyrektora Filharmonii, Andrzeja Szwalbego, potem Dyrektora Honorowego tej placówki, a także Eleonory Harendarskiej, którzy kolejno prowadzili Filharmonię Pomorską im. Paderewskiego przez pół wieku.**

– Może być różnica temperamentu, estetyki, ale żadnej rewolucji nie przewiduję. Sztucznie pojęta nowoczesność, a zwłaszcza ponowoczesność, to w wielu wypadkach ślepy zaułek sztuki. Może dlatego teatr w Polsce jest dziś w odwrocie... Ale muzyka w Bydgoszczy – nie jest w odwrocie! No cóż, jesteśmy w służbie sztuki elitarniej – tego się wstydzić nie trzeba.

– **Ale nie jest to sztuka egalitarna, która porywałaby szerokie rzesze tych, których Słowacki nazwał „zjadaczami chleba” – co aktualne staje się zwłaszcza dziś.**

– Badania naukowe wykazują, że w każdym rozwiniętym społeczeństwie zaledwie 4% populacji to odbiorcy sztuki wysokiej. A jednak niezaprzeczalnie trzeba ją rozwijać dla tych 4% ludzi, bo na ich barkach spoczywa odpowiedzialność za pozostałe 96%.

– **Ma Pan na myśli rozwój duchowości i poczucia piękna u tych 96%?**

– Tak. I dlatego jeszcze raz powtarzam: nowoczesność w dystrybucji, lecz prezentacja sztuki w formie klasycznej! A mówiąc o kulturze wysokiej, przytoczę może na koniec słowa Waldemara Dąbrowskiego, obecnie dyrektora Teatru Wielkiego – Opery Narodowej. Według niego człowiek poddany działaniu kultury żyje mądrzej, pracuje wydajniej i precyzyjniej, lepiej wychowuje dzieci, krótko mówiąc: same plusy. Kultura bowiem jest czynnikiem rozwoju cywilizacyjnego, a nie freskiem, ozdabiającym rze-

czywistość. Zatem kulturę postrzegać należy nie jako koszt, lecz jako inwestycję, która przyniesie w przyszłości dywidendę!



Radość odkrywania dawnego piękna

Rozmowa z Anną Szarapką, teoretykiem muzyki w Zespole Szkół Muzycznych w Bydgoszczy

– Przywołuje Pani Nikolausa Harnoncourta, austriackiego wiolonczelistę i dyrygenta, założyciela Concentus Musicus Wien, który w książce pt. *Muzyka mową dźwięków* stwierdza, że w naszych czasach: „muzykę dawną potraktowaliśmy jedynie jako miłą ozdobę naszej codzienności, przestaliśmy ją rozumieć jako całość”. W swojej rozprawie naukowej *Wartość historyczna i narodowa Kolekcji pianin i fortepianów im. Andrzeja Szwalbego* cytuje go Pani...

– Żeby udowodnić, że dzięki Szwalbememu mamy w Bydgoszczy znakomite warunki, by realizować postawione przez Harnoncourta tezy, czyli powrócić do muzyki dawnej, dotykając jej materialnych podstaw, ponieważ już od 30 lat dysponujemy ponad 50 fortepianami i pianinami, zbudowanymi w XIX wieku. Ich konstrukcja, a przede wszystkim mechanika młoteczkowa, wymaga innej techniki gry i sprzyja uzyskaniu dźwięku o innej barwie, dzięki czemu, jak podkreśla Harnoncourt, wydobyć możemy nie tylko nowe piękno, ale i nowy rodzaj przeżycia estetycznego.

– Szwalbe znakomicie zdawał sobie z tego sprawę. Już po stworzeniu kolekcji, w 1980 roku pisał z entuzjazmem do pianistki Alicji Mikusek: „Jeszcze raz dziękuję za pionierski i artystycznie doniosły recital

na staruszku Woźnickim (...). Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy u progu doniosłych, artystycznie nowych światów dźwiękowych, które mogą się nam odsłaniać w miarę zgłębiania dalszych tajników starych fortepianów”.

– W tym miejscu warto podkreślić, że w 11. rocznicę śmierci Szwalbego, 11 listopada 2013 roku podpisana została Deklaracja Ostromecka pomiędzy zarządzającym kolekcją Miejskim Centrum Kultury a Stowarzyszeniem im. Andrzeja Szwalbego „Dziedzictwo”, w której obie strony wyraziły mocne przekonanie o doniosłej wartości kolekcji, konieczności rewitalizowania instrumentów i znalezienia dla tych unikatowych zabytków godnego miejsca na terenie zespołu pałacowo-parkowego w Ostromecku, w planowanym Muzeum Kultury Muzycznej Pomorza i Kujaw.

– Zamierzeniem było zgromadzenie w nim wszystkich instrumentów kolekcji oraz przywracanie ich do życia koncertowego. Czy to ostatnie jest możliwe?

– Według rzeczoznawczej ekspertyzy, pewna część fortepianów, po generalnej renowacji, mogłaby spełniać nie tylko funkcję historyczną, ale i użytkową. Pasja, z jaką Szwalbe zabrał się do gromadzenia dawnego instrumentarium, wynika, jak wszystko, co czynił, z szerokiego kontekstu jego idei, wpisanych w konkretne działania, związane również z powstaniem Festiwalu Muzyki Polskiej, Capelli Bydgosiensis oraz triennale Musica Antiqua Europae Orientalis – a także z apelem Ośrodka Dokumentacji Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki.

– Jak Szwalbe powiększał stan liczebny kolekcji?

– Tylko w ciągu dwóch lat – od 1978 do 1979 roku zakupił 22 instrumenty. W następnych latach wzbogacał kolekcję. W 1987 roku prof. Benjamin Vogel opisał już 44 egzemplarze: 34 fortepiany, w tym 28 skrzydłowych, 6 stołowych, 7 pianin, harmonikord, pianolę i klawikord. Obecny zbiór liczy ponad 50 instrumentów.

– Wartość historyczna kolekcji?

– Instrumenty reprezentują różne rozwiązania w zakresie techniki fortepianu, pokazując jej rozwój na ziemiach polskich w XIX wieku. Są też ciekawe przykłady fortepianów importowanych, wyprodukowanych przez znakomite firmy europejskie.

– **A mówiąc o polskich wytwórniach...**

– Warto też zwrócić uwagę na wątek bydgoski kolekcji. Są dwa fortepiany, wyprodukowane przez działającą na Pomorzu firmę rodziny Wiszniewskich. Wytwórnia ta, założona przez Jakoba Bernharda Wiszniewskiego (seniora) od 1822 roku istniała najpierw w Bydgoszczy, potem w Gdańsku. W kolekcji znajduje się jego fortepian skrzydłowy z 1840 roku z tabliczką firmową, prezentującą herb Gdańska z orłem piastowskim w koronie.

– **Jedną z ważniejszych i bardziej cenionych polskich firm była wytwórnia Antoniego Kralla i Józefa Seidlera...**

– Niewątpliwie. Forteipiany tej firmy, działającej w Warszawie od 1830 do 1897 roku, cenił Stanisław Moniuszko, który sam posiadał jej instrumenty, a także uczestniczył w ich sprzedaży dla melomanów w Wilnie. W kolekcji bydgoskiej znajdują się trzy fortepiany skrzydłowe tej firmy z roku 1845, 1871, 1890. Forteipian z 1890 roku to jeden z ciekawszych. Otrzymał go w darze od społeczeństwa polskiego znakomity polski kompozytor, uczeń Stanisława Moniuszki, twórca poematu symfonicznego „Step” – Zygmunt Noskowski. Jest tabliczka z napisem: „Zygmuntowi Noskowskiemu w 25-lecie Jego działalności kompozytorskiej 1865–1890 – RODACY”.

– **Jak instrument ten trafił do ostromeckiej kolekcji?**

– Do końca lat osiemdziesiątych XX wieku był w posiadaniu rodziny kompozytora, a w 1979 roku Andrzej Szwalbe odkupił go od synowej kompozytora z Poznania, Eugenii Noskowskiej.

– **Po renowacji, w styczniu 2018 roku nastąpiła reaktywacja tego cennego fortepianu...**

– Tak, stał się instrumentem koncertowym, na którym są wykonywane dzieła samego Noskowskiego, o czym świadczyły dwa piękne koncerty podczas uroczystości reaktywacji, jaka miała miejsce w Zespole Pałacowo-Parkowym w Ostromecku. To pierwszy wśród ponad 50 zabytkowych instrumentów z Kolekcji Fortepianów im. Andrzeja Szwalbego, na którym można koncertować.

– **Słusznie Pani napisała: „Każdy z instrumentów reprezentuje własną, niepowtarzalną historię”.**

– I ta historia często związana jest z narodową wartością kolekcji. Na przykład fortepian firmy Kaspra Zdrodowskiego z Warszawy był przed 1850 rokiem własnością mieszkańca Warszawy, zesłanego na Syberię za działalność rewolucyjną. W 1939 roku instrument ten trafił do rodziny Jelinaków z Żyrardowa i od nich został odkupiony przez Filharmonię. Z kolei w pudle rezonansowym fortepianu firmy Augusta Cyfrowicza znaleziono złoty sygnet z wygrawerowanym napisem „Wolność – 29 listopada 1830 roku” – a więc data wybuchu Powstania Listopadowego...

– **Wśród instrumentów kolekcji im. A. Szwalbego znajduje się też fortepian firmy Buchholtz, o którym przypuszcza się...**

–...że mógłby być nawet słynnym fortepianem, wyrzuconym przez carskich żołdaków z pałacu Zamoyskich w 1863 roku – na którym prawdopodobnie grał Chopin...

– ???

– W 1826 roku Maria Szymanowska przywiozła z Londynu do Warszawy fortepian typu angielskiego, który stał się modelem dla fortepianów firmy Buchholtza, a ten wprowadził własne dalsze udoskonalenia. Instrumenty tej firmy były bardzo cenione przez muzyków i, jak podała siostrzenica Chopina, Ludwika z Jędrzejewiczów Cichomska, Chopin uczył się grać na fortepianie firmy Buchholtz – tym, który „w Warszawie w roku 1863 w pałacu hr. Zamoyskich spalonym został”. Instrument znajdujący się w bydgoskiej kolekcji datowany jest na rok 1841, kiedy Chopin od 10 lat przebywał w Paryżu.

– **To podważa wiarygodność tej informacji...**

– A jednak inżynier Włodzimierz Grabowski, potomek hrabiowskiej rodziny, wyjaśnił, że: „instrument był własnością mieszkającej również w pałacu Zamoyskich rodziny Grabowskich, których częstym gościem bywał (co potwierdzają źródła) młody Chopin”. W roku 1863, jak i inne sprzęty, fortepian został wyrzucony.

– **Jeśli tu idzie o autentyczny fortepian Chopina, sprawa była tak głośna na cały kraj, że Norwid w swym słynnym arcydziele *Fortepian Chopina* przedstawił brutalny akt wyrzucenia tego bezcennego dla narodu instrumentu na bruk z okna pałacu na Krakowskim Przedmieściu, co miało miejsce podczas Powstania Styczniowego, na przełomie 1863/64. Ten niewątpliwy akt zemsty żołdaków rosyjskich za zamach na gen. Berga – Norwid skomentował słowami: „Ideal sięgnął bruku”, które nabrały znaczenia symbolicznego i często są cytowane. Zemsta żołdaków wynikała z tego, że w muzyce Chopina zawarty jest nie tylko geniusz, klasyczne piękno – ale i siła narodowej historii, jej synteza...**

– Rzecz w tym, że, jak utrzymuje Grabowski, instrument przypisywany Chopinowi był wyrzucony przez rosyjskich żołdaków nie na bruk, lecz „z mieszkania Grabowskich w pałacu, prawdopodobnie nie przez okno, ale na klatkę schodową, co umożliwiło przekupienie żołnierzy i schowanie fortepianu w piwnicy, dzięki czemu ocalał”. Tak utrzymuje ten potomek hrabiowskiej rodziny. Hrabia Władysław Grabowski umieścił fortepian w pałacu Grabowskich w Żeliszewie koło Siedlec. Po wojnie instrument miał swoje dzieje, trafił do leśniczego, trudniącego się pokątnym handlem meblami w Daleszycach koło Kielc, skąd odkupiła go Anna Gocławska, a następnie trafił do kolekcji bydgoskiej w 1985 roku, kupiony od Kazimierza Rogalskiego z Wyszkowa.

– **No tak, prawdopodobieństwo autentyczności po takich kolejach losu jest naprawdę nieduże... Ale gdy idzie o Chopina i pamiątki po nim – każda legenda, nie tylko prawda, nabiera specyficznego posmaku, stwa-**

rza pole do narodowej wyobraźni. Ważnym poznawczo eksponatem jest z kolei pianola firmy Weber/Aeolian co. Ltd z 1927 roku...

– Ten instrument wyprodukowany został w jednej z najbardziej znanych na świecie fabryk fortepianów w Ameryce. Bydgoska pianola stanowi połączenie pianina o krzyżowym układzie strun i dolnotłumikową mechaniką angielską z układem pneumatycznym, napędzanym mechanicznie lub silnikiem elektrycznym, służącym do odczytu muzyki, nagranej uprzednio na taśmie. Bydgoska pianola stała się w 2001 roku inspiracją do edycji płyty z muzyką, wykonaną przez Jana Ignacego Paderewskiego, nagraną na rolkach Welte-Mignon w 1925 roku przez Małgorzatę Polańską i Lecha Tołwińskiego.

– 17 czerwca 2010 roku Jerzy Godziszewski koncertem na fortepianie firmy Krall i Seidler otworzył – jak Pani pisze – nowy etap losów kolekcji zabytkowych fortepianów, które zostały przywrócone bydgoszczanom w nowo powstałej „przestrzeni kulturalnej miasta” – w „Cafe Pianola” w centrum Bydgoszczy. Ale Pianoli już nie ma...

– Szkoda, że Pianoli nie ma... Kolekcję przeniesiono do Ostromecka, a tam – z uwagi na brak miejsca – można oglądać jej fragment. Na szczęście ostatnio, dzięki inicjatywie prof. Beniamina Vogla, nastąpiło uznanie tej kolekcji w skali ogólnopolskiej. Tu podkreślić trzeba cenną inicjatywę Instytutu Muzyki i Tańca w Warszawie, który w 2015 roku przeprowadził cyfrową dokumentację fortepianów w polskich zbiorach. Kolekcja Andrzeja Szwalbego w Ostromecku, której właścicielem jest MCK, udostępniła swe zbiory, ponownie poddane inwentaryzacji z inicjatywy Andrzeja Gawrońskiego.

– I zyskała znakomitą ocenę!

– Może części tych niezwykłych instrumentów da się wrócić życie, czyli – niepowtarzalny w naszej epoce dźwięk pod palcami wykonawcy... Jak mówi pani Marzena Matowska, dyrektor Miejskiego Centrum Kultury w Bydgoszczy, które jest właścicielem kolekcji, „te pianina, fortepiany są cenne (...) ze względu na tych, którzy mają się dopiero nimi cieszyć. Bo radość jest istotą tej kolekcji”. I dodaje: „To radość trwania wbrew historii”.

– No cóż, na godną prezentację kolekcja czekała tyle lat... I nie tylko na prezentację, chodzi przecież o to, by mogła promieniować jako niewyczerpane źródło inspiracji dla artystów muzyków, ludzi nauki, i w ogóle, czcicieli piękna.



Patrzył perspektywicznie 50 lat do przodu

Rozmowa z Alicją Weber, wykładowcą na Akademii Muzycznej, byłą dyrektorką bydgoskiej Opery

Z Alicją Weber – byłą dyrektorką Opery bydgoskiej, dziś wykładowczynią na Akademii Muzycznej w Bydgoszczy, spotykam się w muzycznym centrum miasta – w pobliżu zarówno Akademii Muzycznej, jak i Filharmonii, pod niedużą, a piękną fontanną, tańczącą, grającą kolorami i muzyką podczas koncertów w Filharmonii.

– Jestem z pochodzenia lwowianką, której rodziną w 1945 roku znalazła się w Bydgoszczy. Zamieszkaliśmy przy ulicy Cieszkowskiego, nieopodal Filharmonii Pomorskiej i wszystkie jej poczynania stały mi się bliskie już od wczesnej młodości. Uczestniczyłam nie tylko w koncertach, ale i organizowanych przez Filharmonię sesjach, spotkaniach naukowych. Wszystko to pasjonowało mnie w najwyższym stopniu. Może dlatego, gdy w 1967 roku kończyłam studia w Wyższej Szkole Muzycznej w Sopocie, Andrzej Szwalbe zwrócił się do rektora tej uczelni, że pragnie zatrudnić mnie jako sekretarza Festiwalu Muzyki Polskiej. Poszłam do Filharmonii i przez dwa lata byłam na etacie, a gdy po jakimś czasie zaczęłam pracować w Wydziale Kultury WRN w Bydgoszczy, starałam się wspierać inicjatywy Szwalbego, dotyczące na przykład zakupu instrumentów czy wyjazdów zagranicznych orkiestry symfonicznej i Capelli Bydgosiensis.

– Wspomniałaś o drugiej, kameralnej orkiestrze Filharmonii – Capelli Bydgosiensis. Znałaś czasy jej świetności, gdy prowadził ją najpierw Stanisław Gałoński, a potem przez 20 lat Włodzimierz Szymański.

– Warto parę słów poświęcić Włodzimierzowi Szymańskiemu, który jako dyrygent, specjalista od muzyki dawnej, był przez prawie 20 lat (1971–1990) dyrektorem artystycznym Capelli Bydgosiensis. W skład tego zespołu wchodził Zespół Madrygalistów i orkiestra kameralna, w której muzycy grali zarówno na dawnych, jak i współczesnych instrumentach. Pamiętajmy, że objąwszy funkcję po Stanisławie Gałońskim, Szymański walnie przyczynił się do sukcesów i rozkwitu artystycznego Capelli w kraju i za granicą. Zespoły Capelli koncertowały na wszystkich ważnych festiwalach krajowych i zagranicznych, odbywały tournée po krajach Europy. Szymański wzbogacił instrumentarium Capelli, stale poszukiwał i rekonstruował stare kompozycje muzyki dawnej, dokonując w tym obszarze szeregu prawykonań. Jako dyrygent zyskiwał przychylne recenzje krytyków, miał też zdolności oratorskie, oklaskiwane przez słuchaczy. Wielokrotnie poprzedzał bowiem swoje koncerty ciekawymi komentarzami.

– I taki twórca należy, niestety, dziś do artystów zapomnianych, choć wniósł niemałe zasługi w kreowaniu znaczenia Capelli na forum ogólnopolskim i europejskim. Ale wróćmy do czasu, gdy obserwowałaś, jak już w latach pięćdziesiątych Andrzej Szwalbe zajął się budową Opery, przejęty ideą wzniesienia dla niej nowego gmachu na miarę wielkiej i pięknej przyszłej Bydgoszczy.

– On patrzył perspektywicznie 50 lat do przodu i dlatego mógł nakreślić i zrealizować tyle swych marzeń i dążeń, które są chlubą naszego miasta. Budowa Opery trwała ponad 30 lat. Już w 1961 roku Szwalbe ogłosił konkurs architektoniczny na gmach opery i nie zrażał się tym, że komunistyczne władze uważały operę za przeżytek burżuazji. Upór i determinacja robiły swoje. Szwalbe doczekał otwarcia Międzynarodowych Festiwalu Operowych, zainaugurowanych przez dyrektora Macieja Figasa w 1994 roku, w ciągle niedokończonym gmachu, gdy widownia była jeszcze w stanie surowym, a sala ogrzewana dmuchawami. Rolę szatni pełniły wówczas

przenośne wieszaki, zaś betonowe podłogi pomalowano farbą emulsyjną, aby kurz budowy nie wciskał się do gardeł śpiewaków i widzów.

– Tak, dla Szwalbego nie było przeszkód i złych dróg w niezłomnym dążeniu do celu.

– On umiał wszystkie swoje wizje doprowadzić do końca lub niemal do końca. Odszedł parę lat przed oficjalnym otwarciem Opery Nova, które miało miejsce w 2006 roku. Miał w sobie niezwykłą zdolność przekonywania. Tak, był człowiekiem upartym, a nawet marudnym, gdy trzeba było w Ministerstwie starać się o fundusze – i zawsze osiągał swoje *pro publico bono*.

– Nie będąc naukowcem, wyczuwał potrzebę badań naukowych na temat kulturowej przeszłości miasta i regionu.

– Przecież w Bydgoszczy był w okresie międzywojennym Teatr Miejski, działało konserwatorium, były tradycje chóralne. Na tych terenach działał wówczas w latach 1932–1934, odnajdując tradycje muzyczne regionu, ks. prof. Hieronim Feicht, światowej sławy muzykolog i pedagog muzyczny. Szwalbe, będąc dyrektorem Filharmonii, nawiązał z Hieronimem Feichtem, wówczas profesorem UW i PWSM w Warszawie, żywe kontakty, organizując sesje muzykologiczne, inicjując badania naukowe i referaty, które zlecał Bydgoskiemu Towarzystwu Naukowemu.

– I co z tymi badaniami?

– Bydgoska uczelnia muzyczna przejęła te badania. Kontynuujemy je, nic nie zostało zaprzepaszczone. Tak, Filharmonia – to było w PRL okno na świat.

Korzenie i skrzydła...

„Są dwie rzeczy, które możemy dać dzieciom: korzenie i skrzydła” - to mądre zdanie stanowiło hasło jubileuszu 15-lecia Zespołu Szkół nr 28 w Bydgoszczy, kiedy to Patronem szkoły został, z inicjatywy dyrekcji, Andrzej Szwalbe, w wyniku przeprowadzonego przez szkołę plebiscytu. Uroczystość miała miejsce 8 grudnia 2006 roku, a nadanie wymienionej placówce szkolnej – wielkiej, bo liczącej wówczas 1300 uczniów, lecz położonej z dala od centrum, w dzielnicy Fordon - imienia bydgoskiego wizjonera, stało się nie tylko dla tej szkoły, ale i dla miasta aktem na tyle ważnym, że patronat nad doniosłą uroczystością przejął sam prezydent miasta, Rafał Bruski.

„Imię jest znakiem, którego symbole identyfikujemy z pewnymi wartościami” – czytamy w kronice szkolnej. Słusznie, bowiem poszukiwanie autorytetów, postaci godnych naśladowania – to od wieków szczególna misja szkoły. A któż mógłby stanowić silniejszy autorytet moralny, niż Andrzej Szwalbe - ze swoją pracowitością, odpowiedzialnością, dobrocią, no i tą niesłychaną pasją działania na rzecz miasta, która przyniosła tak konkretne, namacalne efekty kultury i nauki....

Znamienne, że z chwilą wyboru na Patrona – Honorowego Obywatela Bydgoszczy - miasto zaczęło w sposób szczególny opiekować się szkołą, zwłaszcza Filharmonia Pomorska, która udostępniła uczniom darmowe koncerty jako rodzaj nagrody za naukę, a także zaproszenia dla nauczycieli i pracowników szkoły oraz okazjonalnie - rodziców dzieci. To jeden ze sposobów propagowania wśród młodzieży, grona pedagogicznego i pracowników szkoły - muzyki poważnej. Niewątpliwą rolę odgrywa tu dzia-

łający już od 2006 roku Szkolny Klub Melomana. Dyrektor Eleonora Harendarska, która była inicjatorem roztoczenia pieczy nad szkołą w sensie muzycznego sponsoringu – napisała, w Dniu Nadania Imienia, w 2006 roku, do dyrektora omawianego Zespołu Szkół nr 28, Marzeny Mirowskiej, piękny list, poświęcony nie tylko dokonaniom Szwalbego - podkreślając ogromne zagrożenia, jakie stwarza w XXI wieku zastraszający brak autorytetów, zacytowała słowa św. Jana Pawła II: „Przyszłość świata zależy od kultury...”

Także Stowarzyszenie Andrzeja Szwalbego Dziedzictwo wychodzi na przeciw potrzebie rozszerzania przez społeczność omawianej szkoły wiedzy o Patronie - stale zaprasza uczniów i nauczycieli szkoły na organizowane przez Stowarzyszenie konferencje i colloquia naukowe, poświęcone dalekosiężnym działaniom Szwalbego, a członkowie Stowarzyszenia odbywają spotkania w szkole, zwłaszcza podczas Tygodnia z Patronem. Nad mającym miejsce w 2016 roku jubileuszem 25-lecia Szkoły objęła patronat Telewizja Polska SA. Oddział w Bydgoszczy, a dyrektor Filharmonii, Maciej Puto, przesłał głęboki w treści list gratulacyjny...

Jak widać Andrzej Szwalbe jest dla miasta imieniem magicznym, które otwiera wszystkie drzwi...I ta świadomość napawa dumą zarówno nauczycieli jak i uczniów.

A jak sama szkoła czci pamięć człowieka, którego imię nosi? Sposobów jest wiele. Ogłoszono m.in. konkurs gazetek klasowych o Patronie, a także konkurs na projekt sztandaru. Z inicjatywy samorządu uczniów klasy wzięły udział w zbiórce pieniędzy na sztandar szkoły, związany z Patronem, a do głównego projektu sztandaru wykorzystano elementy prac uczniów i nauczycieli Gimnazjum nr 2, które dotąd wchodziło w skład omawianego Zespołu Szkół.

Nawiasem mówiąc w 2017 szkoła zmieniła nazwę na: Szkoła Podstawowa nr 67 z Elementami Sportowymi, oczywiście imienia Szwalbego. Ogłoszony został konkurs literacki na temat wiedzy o Szwalbem – oto znamieny urywek wiersza uczennicy, M. Kocińskiej:

„Od muzyki nikt z nas nie stroni

Bo naszym wzorem Dyrektor Filharmonii”

Ciekawe, że na lekcjach techniki zastosowano nawet grę dydaktyczną o Andrzeju Szwalbem – Mózg Elektryczny udzielał odpowiedzi dotyczących życia Patrona, a zajęcia tego typu przygotowała mgr. Teresa Siółkowska.

Dużą rolę w popularyzacji Patrona odgrywa biblioteka szkolna, która była współorganizatorem konkursu na projekt Sztandaru. Biblioteka gromadzi też materiały dydaktyczne, dotyczące pracy nad przybliżeniem dokonania Szwalbego, a wszystkie są dostępne zarówno dla uczniów, jak i nauczycieli. Są to: scenariusze zajęć edukacyjnych i godzin wychowawczych, dokumentacja konkursów, quizów, prezentacji multimedialnych, dalej albumy, prace plastyczne, wykonane przez uczniów. Wzruszyło mnie, że wśród pomocnych materiałów, przybliżających sylwetkę Patrona, poczesne miejsce zajmuje wymieniona w Kronice Szkoły moja książka: „Życie na przełomie”, jej I wydanie...

12 listopada, w rocznicę śmierci Andrzeja Szwalbego, co roku, obchodzony jest Dzień z Patronem. Odbywają się wtedy spotkania z ludźmi, którzy znali Szwalbego, a członkowie Poczty Sztandarowej szkoły składają wiązanek kwiatów oraz zapalają znicz na grobie pana Andrzeja. Idąc „śladami Patrona” odwiedzają Dzielnicę Muzyczną, gdzie przed Filharmonią znajduje się jego pomnik...

Bogatszy program ma Tydzień z Patronem, który również odbywa się w Zespole Szkół nr 67 co roku, w rocznicę imienin pan Andrzeja. Dla przykładu 28.11.2016 miał miejsce konkurs dla klas piątych pod nazwą „Znamy patrona naszej szkoły”. Oprócz konkurencji, sprawdzających wiedzę o Andrzeju Szwalbem, należało również wykonać plakat na temat życia i działalności Patrona. Na pewno duże znaczenie mają, przeprowadzone na godzinach wychowawczych i na lekcjach historii, godziny wiedzy o Andrzeju Szwalbem. Nastrój w szkole podnoszą podczas Tygodnia z Patronem spotkania z muzyką klasyczną podczas długich przerw. Warto wymienić też konkurs plastyczny i fotograficzny pt. „Miejsca w Bydgoszczy związane z Andrzejem Szwalbe”.

– Niech zobaczą, jak można tchnąć życie w miasto; jak można działać na rzecz miasta; jak wiele można zmienić - wyjaśnia pani Natalia Kuna z tego Zespołu Szkół.

A Mikołaj Gabinecki, uczeń, mówi z wielkim uznaniem o Patronie:
– Potrafił zmieniać słowa w czyny...

* * *

Jak można przybliżyć dokonania Szwalbego – przytoczmy poczynania innej szkoły, może nietypowej, bo szkoły specjalnej – a rozpatrzmy przykład jednego tylko projektu...

Pani Barbara Krawczyk, nauczycielka języka polskiego w Zespole Szkół Specjalnych nr 31 w Bydgoszczy, najpierw długo pracowała ze swymi uczniami nad wiedzą o Andrzej Szwalbem korzystając z internetu, by można było sformułować projekt edukacyjny pt. „Co pozostawił po sobie dla bydgoszczan, Andrzej Szwalbe?” - który młodzież następnie realizowała. Zanim to jednak nastąpiło, pani Basia wielokrotnie prowadziła swych uczniów, lekko niepełnosprawnych, piszących nawet wiersze - śladami Andrzeja Szwalbego i jego dokonań, a więc np. szlakami Dzielnicy Muzycznej i pomników kompozytorów w Parku Kochanowskiego, który po rewaloryzacji odzyskał pełnię blasku...Uczniowie zatrzymywali się przy zwieńczonym Białym Orłem w Koronie dawnym gmachu bydgoskiego Starostwa, będącego siedzibą założonej przez Szwalbego Akademii Muzycznej, a pani Basia opowiadała im, jak dyrektor Filharmonii Pomorskiej w stanie wojennym czynił starania, by zdjęty w PRL-u Orzeł w Koronie powrócił na szczyt gmachu...

Spacerując wokół siedziby Filharmonii Pomorskiej, wzniesionej przez Szwalbego, uczniowie stawali przed postaciami Moniuszki, Chopina, Paderewskiego...Wchodzili razem do wnętrza Filharmonii, by podziwiać kolekcję portretów rzeźbiarskich i gobelinów. Tak ich urzekła atmosfera tej świątyni sztuki, że wieczorem chcieli wspólnie posłuchać w Filharmonii koncertu...

Wiele czasu spędzili też pod Operą Nova, w tym szczególnym miejscu nad Brdą, które Szwalbe obrał za najlepsze dla nieistniejącego jeszcze gmachu opery i jako społeczny inwestor, nie zrażając się trudnościami, przez 30 lat kierował jego budową...

Pojechali też razem z panią Basią do Ostromecka i nie tylko błądzili po rozległym parku krajobrazowym, ale w Pałacu Starym zatrzymywali się przy pięknych i cennych fortepianach przeszłości, zwiedzając ich wielką, o wysokim znaczeniu kolekcję, zgromadzoną przez Szwalbego, drugą co do wielkości w kraju. Podziwiali zresztą oba zabytkowe pałace, z których Andrzej Szwalbe uczynił przepiękny ośrodek kultury narodowej, określony jako „bydgoski Wilanów”.

Przechadzali się uliczką koło Filharmonii, noszącą dziś imię Andrzeja Szwalbego. Oczywiście najpierw przybyli na ul. Dworcową i długo stali pod kamienicą, w której na drugim piętrze pół wieku mieszkał twórca i dyrektor Filharmonii, Andrzej Szwalbe. co upamiętnia tablica, zawieszona na ścianie tego budynku...

W tych wędrówkach zobaczyli też akademik, wygospodarowany przez Szwalbego dla studentów założonej przez siebie Akademii Muzycznej i inny, adaptowany przez niego na mieszkania dla artystów, przyjmowanych do założonej przez siebie Orkiestry Symfonicznej Filharmonii i Capelli Bydostiensis. Podziwiali piękny gmach Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego przy Rondzie Weissenhoffa, a dowiedzieli się, że Szwalbe czynił wielkie, owocne starania, by ten uniwersytet powstał – i stało się to krótko po jego odejściu do wieczności...

A kiedy zatrzymali się przy ul. Kozińskiego pod tablicą, na której Szwalbe upamiętnił pobyt w Bydgoszczy wielkiego polskiego kompozytora, Karola Szymanowskiego. – jeden z uczniów zamyślił się głęboko i rzekł:

– Jeden człowiek, a tyle rzeczy po sobie zostawił...

Może on właśnie najprościej ujął to, kim był Andrzej Szwalbe dla Bydgoszczy...?

* * *

Można by jeszcze przytoczyć interesujący projekt edukacyjny, ostatnio wdrożony w Ostromecku przez pracowników Miejskiego Centrum Kultury: do szkół rozesłane zostały zaproszenia do udziału w spotkaniach edukacyjnych, związanych z zyskującą coraz większe uznanie w kraju Ko-

lekcją Dawnych Fortepianów, zgromadzoną przez Szwalbego i mającą swą siedzibę w ostromeckim Pałacu Starym. Przy okazji, słuchając koncertów na odrestaurowanym właśnie słynnym fortepianie Zygmunta Noskowskiego, który znajduje się w Kolekcji - młodzież może poznać twórczość tego wybitnego kompozytora. I tu wkracza fragment wielkiej polskiej historii kultury XIX wieku, godny Ostromecka - przekształconego przez Szwalbego w piękny i ważny ośrodek kultury narodowej pod Bydgoszczą, zwany „małym Wilanowem”...

* * *

Najciekawsze byłyby jednak zajęcia, dzięki którym można pogłębić osobisty stosunek uczniów do bydgoskiego wizjonera. Mam na myśli szczerze i spontaniczne wypowiedzi samych uczniów - jak widzą dziś nie tylko dokonania Andrzeja Szwalbego, ale i jego osobowość - czy tego niezwykłego człowieka nie traktują li tylko jako postaci pomnikowej...? Czy jest im bliski w kształtowaniu charakteru, podejściu do życia, stosunku do świata i ludzi...?

Zapytam ich o to, gdy z niniejszą książką zawitam do Szkoły Nr 67 i do innych bydgoskich szkół.... Chodzi o to, żeby Szwalbe nie był widziany tylko „w światłach reflektorów” swych dokonań, lecz by młodzież czuła, jak zza dzieł wyłania się człowiek...

Czy Andrzej Szwalbe może być postacią naprawdę bliską młodym w XXI wieku...? W tym celu warto wejść z uczniami w koleiny losu naszego bohatera, w jego niełatwą ścieżkę życia, zwłaszcza w dzieciństwo i młodość - a to umożliwi moja książka „Życie na przełomie”, która dzieciństwu i latom młodzieńczym pana Andrzeja poświęca wiele miejsca unaoczniając młodemu pokoleniu, że fenomen tej niezwykłej osobowości kształtował się poprzez stawianie sobie wymagań.

Warto o tym mówić w dobie wychowania bezstresowego, bo to dziś temat niemal zapomniany, niemodny...A jak inaczej, bez umiejętności stawiania wymagań - obudzić w młodych nieprzepartą chęć dążeń i osiągnięcia ważkich celów...?

Zakończenie

Uwielbiam Bydgoszcz, coraz bliższą mi mimo tylu lat rozłąki... Żeby jednak nie popaść w ekstazę na temat tej mojej „najbliższej ojczyzny” z wyboru, pokazałam w swej książce, że Andrzej Szwalbe, z umysłowości pozytywista, był z pokolenia Kolumbów romantykiem, niegodzącym się na małość miasta, również w sferze moralnej, a podłożem jej jest, jak twierdził – relatywizm moralny, przed którym stale przestrzegał, jako przed filozofią życia, siejącą destrukcję i zniszczenie wartości.

Przez lata, przeprowadzając ze Szwalbem wywiady, odbywałam z nim „wędrowki” po tym mieście, które chciał widzieć nie tylko wielką metropolią, ale i ważnym centrum kultury. Słuchałam jego wyznań i przemyśleń na temat perspektyw Bydgoszczy, którą Szwalbe uznał za „miasto skazane na wielkość”, choć pogrążona była jeszcze w szarości PRL, a potem w trudnym okresie transformacji.

Przytoczmy jeszcze raz fragment mojej rozmowy, jaką przeprowadziłam z nim na łamach tygodnika „Fakty” w latach osiemdziesiątych:

– W czym zobaczył Pan potencjalną wielkość Bydgoszczy?

– W jej możliwościach. Tylko trzeba, żeby mieszkańcy w nie uwierzyli.

* * *

Moi rozmówcy z trzeciej, dopisanej po 19 latach części książki, często podkreślali niewdzięczność, jako jedną z twarzy małości grodu nad Brdą, wynikającą być może, jak utrzymywał Szwalbe, z kompleksu prowincji. Jej ofiarą padła zarówno największa bydgoska aktorka po wojnie, Ewa

Studencka-Kłosowicz, Włodzimierz Szymański, który założoną przez Szwalbego Capellę Bydgosiensis doprowadził do rozkwitu, prof. Henryk Gasiul, gdy zrobił już wszystko, by przygotować grunt pod powstanie uniwersytetu w Bydgoszczy, dalej autorka tej książki, a nawet sam Andrzej Szwalbe.

Bo przecież był w tym przejaw niewątpliwej małości, gdy po przyznaniu Dyrektorowi w 1993 roku Honorowego Obywatelstwa Bydgoszczy – miasto – jak mówił – natychmiast zapomniało o nim zupełnie. Musiał przeżywać frustracje, a nawet niespotykaną u niego złość (rozdział: „Jak kukłę posadzić za stołem?!”). Zapomnienie, jakiego doznał wtedy ze strony miasta, uznanego przezeń z wyboru za najbliższe sercu, doprowadziło go do tego, że, jak mi wyznał, rzucił w pewnym momencie dyplomem Honorowego Obywatela o podłogę.

Ale człowiek tego formatu, co Szwalbe, umiał sobie i z taką sytuacją poradzić. Zaczął „atakować” władze miasta sążnistymi, mądrymi, wnikliwymi rozprawami o aktualnej sytuacji regionu kujawsko-pomorskiego itp. I gdy napisał tych rozpraw 17, to od nowa słuchano jego głosu z wielkim szacunkiem i poważaniem, zapraszano na ważne obrady dotyczące miasta i regionu.

Być może, że niewdzięczność, z jaką Bydgoszcz potraktowała w tym momencie Szwalbego, a w innych okolicznościach tych, którzy chcieli coś nieprzeciętnego dla miasta zrobić – to już przeszłość, bo Bydgoszcz się zmienia. Świadczy o tym piąte miejsce w kraju, gdy idzie o atrakcyjność zamieszkania, a także uzyskanie określenia „miasta przyjaznego”, czy wreszcie panująca w kraju opinia „miasta muzyki” jako efekt wcielonych w życie marzeń i dążeń Szwalbego. Staje się też dziś Bydgoszcz – tak przewidywaną przez niego – dużej metropolią.

Jeszcze tylko trzeba by odbudować elity, których głos nie tylko w dziedzinie kultury wysokiej, ale i w sprawach dotyczących ważnych decyzji moralnych byłby powszechnie szanowany.

Dlatego po blisko 20 latach od I wydania tej książki, dopisując jej nową część dotyczącą współczesnej Bydgoszczy – trzy szczególnie ważne pytania zadawałam moim rozmówcom i sobie: Na ile Bydgoszcz wyzbyła się swoich kompleksów? Jak miasto rozwija dalekosiężne dążenia i doko-

nania Szwalbego? Na ile wizja Bydgoszczy przyszłości, widzianej przez Szwalbego w kategorii „miasta, skazanego na wielkość”, nabiera realnych kształtów...?

* * *

Kontynuowane, co tydzień przez ponad rok, pięciogodzinne rozmowy ze Szwalbem przed napisaniem I edycji książki, były dla mnie nie tylko wielką przygodą intelektualną. Dlaczego tak dociekliwie penetrowałam wszystkie przemyślenia, idee, dążenia i wcielane w życie efekty działalności Dyrektora? Może dlatego, że coraz bardziej pochłaniało mnie pasjonujące dochodzenie z nim do istoty sprawy – do sedna i sensu ludzkiej egzystencji. Czyli, mówiąc prościej, pod wpływem tych rozmów coraz wyraźniej rysowało się odwieczne ludzkie pytanie: co po nas zostaje...?

Czy człowiek jest trzcina, wprawdzie myślącą, ale chwiejącą się na wietrze, jak głosił Pascal, czy też jest w stanie przekroczyć samego siebie, wznieść się ponad kruchość własnego ciała i przypisane nam jakże przelotne trwanie w czasie, co Cyprian Norwid ujął w często cytowanym wersecie o istocie człowieczego losu:

(...)

Gorejąc nie wiesz, czy stawasz się wolny

Czy to co Twoje będzie zatracone

Czy popiół tylko zostanie i zamęt (...)

Czy zostanie

Na dnie popiołu gwiazdzisty dyjament

Wiekuistego zwycięstwa zaranie?

Wydaje się, że za życia i niestrudzonych, a jakże efektywnych działań Andrzeja Szwalbego, wyłania się odpowiedź na owo Norwidowskie zmaganie się ze zrozumieniem najgłębszego sensu naszego życia na ziemi. „Czy to, co twoje, będzie zatracone”? Otóż nie, jeśli „kształtem jest Miłości”! Zapytany przeze mnie, skąd czerpał główną inspirację do tyłu inicja-

tyw na rzecz miasta i regionu, pan Andrzej powiedział z właściwą sobie prostotą: „Z miłości do kultury polskiej jako takiej”.

Tak, nie wahał się użyć słowa: *Miłość*. Wyniósł ją zarówno z rodzinnego domu, ze swego przedwojennego warszawskiego gimnazjum, z atmosfery nadającej ton dwudziestolecu polskiego międzywojnia. Dlatego dziś nie powinniśmy z ironią traktować tej Triady, która wywodzi się od Platona, a której on, Szwalbe, przez wszystkie swe działania służył wiernie, powołując się wciąż od nowa na Te Trzy – *Prawdę, Dobro i Piękno...*

W Filharmonii ta Triada znajduje wyraz na każdym kroku. Człowiek, gdy tam wejdzie, przestaje się spieszyć, uspokaja się. Działa nie tylko muzyka, ale i te piękne kolekcje gobelinów, malarstwa, rzeźby... A po wyjściu z Filharmonii dalej obcujemy z tą niezwykłą atmosferą – witają nas posągi wielkich polskich kompozytorów wokół gmachu i wyzierające zza gęstej zieleni parku, wykute w marmurze postacie słynnych, światowych kompozytorów i muzyków, a obok wita nas Akademia Muzyczna – i cała Dzielnica Muzyczna wokół Filharmonii zdaje się oddychać pięknem. A dalej, nad Brdą, monumentalna sylweta budowanej przez Szwalbego 30 lat Opery Nova. To miejsce, gdzie piękno roztacza się też w postaci międzynarodowych festiwali operowych, a latem płynie z amfiteatru „rzeką muzyki”. No a parę kilometrów za miastem – te kiedyś zaniedbane podbydgoskie pałace: Ostromecko, Lubostroń – dziś, dzięki Szwalbemu – ośrodki kultury narodowej, będące również potwierdzeniem rangi kultury wysokiej w wizerunku miasta...

Andrzej Szwalbe w swojej „miłości do kultury polskiej jako takiej” nie uważał miłości do Bydgoszczy za zaściankowość, nie krył, że to był motor jego działania. Miał w sobie tę wielką patriotyczną śmiałość, którą wyniósł z dwudziestolecia międzywojennego. Nie krył przywiązania do regionu, ziemi rodzinnej, tradycji. „Kto nie jest z prowincji, jest znikąd” – podkreślał, śledząc nierozzerwalną więź między tradycją, wyniesioną z regionu a współczesnością.

Pochłonięty takim widzeniem przyszłości może dlatego mógł w sobie rozwinąć ów geniusz, którym został obdarzony – umiejętność wyprzedzania czasu, w którym przyszło mu żyć. Znowu wróćmy na chwilę do Nor-

wida, który powiedział: „(...) bo jedni z nas mijają czas, drudzy mu ledwo dośpieszą”. Szwalbe mijał swój czas, aby rozwijać i nadawać realny kształt swej wizji grodu nad Brdą.

Czy Bydgoszcz mu „dośpieszy” – by użyć neologizmu Norwida – w realizowaniu tego wewnętrznego nakazu, sięgającego poza jednostkowe ludzkie życie? Dajmy czasowi czas... Ale pamiętajmy, co powiedziano o Szwalbem: „On ruszył Bydgoszcz z miejsca i dla tego miasta nie ma już odwrotu”.



Wyspa Młyńska z widokiem na Katedrę i Biały Spichlerz

Krystyna Starczak-Kozłowska

– notka biograficzna

Absolwentka Uniwersytetu M. Kopernika w Toruniu, pisarka, dziennikarka, publicystka, krytyk teatralny. W Polsce przez wiele lat wchodziła w skład redakcji tygodnika społeczno-kulturalnego „Fakty” – ceniona zwłaszcza za recenzje teatralne i wysokiej próby reportaże o tematyce społecznej. Przez jakiś czas związana z „Przeglądem Artystyczno-Literackim” – miesięcznikiem wydawanym na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Zawsze była dziennikarką niezależną, nie związaną z ówczesnym systemem politycznym. W 1980 roku stworzyła w „Faktach” komórkę „Solidarności”, działającą przy Polskim Radiu, w 1981 wybrana jako elektor na krajowy zjazd NSZZ „Solidarność”.

W 1993 roku założyła w Bydgoszczy Kwartalnik Artystyczny i jako jego redaktor naczelna nadała mu rangę i zasięg ogólnopolski. Po dwóch latach, gdy „Kwartalnik” odniósł sukces w kraju, została odsunięta, co spowodowało, że znalazła się za oceanem...

Wciąż wracając jednak w różny sposób do ukochanego miasta, jakim jest dla niej Bydgoszcz – napisała książkę biograficzną pt. „Życie na przełomie”, poświęconą Andrzejowi Szwalbemu, wybitnemu kreatorowi kultury, twórcy min. Filharmonii w Bydgoszczy. W pierwszej części, będącej rodzajem sagi rodzinnej, w literacki sposób przedstawione zostało dzieciństwo i młodość Szwalbego, kształtowanie się jego postawy życiowej i osobowości na tle międzywojennej i wojennej Warszawy. W cz. II pokazane zostały, nie tylko dzieła tego niezwykle skutecznego w działaniu wizjonera

w trakcie ich powstawania, lecz on sam jako człowiek – jego widzenie rzeczywistości, stosunek do Boga i ludzi, świat wartości na tle trudnego czasu zmiany formacji ustrojowej w Polsce. Książka, wydana w 1999 roku, staraniem Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego w Bydgoszczy przez Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, doczekała się wysokiej oceny w skali ogólnopolskiej – w opiniotwórczym, krajowym miesięczniku „Odra” w 2000 r. ukazała się recenzja Juliusza Tyszki pt.: „Ważna książka z Bydgoszczy”.

* * *

W środowisku polonijnym Kanady Krystyna Starczak-Kozłowska stale współpracuje z prasą polonijną w Toronto, kontynuuje swoją działalność jako autorka reportaży i recenzentka. Wydaje w Toronto tomik poezji pt.: „Dotyk traw”, w 1998r. zostaje jedną z laureatek VII Międzynarodowego Konkursu Poezji Emigrantów w USA, w Nowym Jorku. Wielokrotnie otrzymuje nagrody dziennikarskie – za popularyzowanie w Kanadzie piękna, kultury i tradycji polskiej.

I tak za duży reportaż „W Polskę idziemy...”, otrzymała w 2003 roku ogólnopolską Główną Nagrodę Starosty Jeleniogórskiego „Liczyrzepa” w kategorii: „najlepsza promocja zagraniczna...”. Za wielki reportaż prasowy, tym razem o Mazurach, pt. „Bóg śpi na Mazurach...” – dostaje I nagrodę w konkursie na reportaż z XIV Światowego Forum Mediów Polonijnych Tarnów – Olsztyn 2006. W roku 2011 cykl reportaży pt. „Polska jaka jest...”, przyniósł jej nagrodę w konkursie na XIX ŚFMP: Tarnów – Poznań – Wielkopolska, a reportaż o Pomorzu Zachodnim pt. „Jaśnie Pani Ojczyzna...” – Główną Nagrodę na XX Światowym Forum Mediów Polonijnych: Tarnów – Szczecin – Zachodniopomorskie w roku 2012.

* * *

Przyjrzyjmy się wymienionym wyżej tytułom nagrodzonych reportaży: „W Polskę idziemy...”, „Bóg śpi na Mazurach...”, „Polska jaka jest...”, „Jaśnie Pani Ojczyzna...” Jak widać, sens pracy pisarskiej i publicystycznej na

amerykańskim kontynencie, gdzie znalazła pole do działania – Krystyna Starczak-Kozłowska upatruje wciąż w promowaniu w Kanadzie swej ojczyzny, której, uważa, warto poświęcić wszystkie siły, by dodać jej blasku wśród narodów świata...

Jej przedostatnia, w Kanadzie napisana książka pt. „Kanada uskrzydłona polskością”, też wpisuje się w ideę ukazania ojczystej kultury jako źródła naszej tożsamości. Książka wydana została pod patronatem Kanadyjsko-Polskiego Instytutu Badawczego w Toronto a prezes Instytutu, dr. Joanna Lustanski, napisała o niej tak: „Almanach ten, nie mający swego odpowiednika na rynku publikacji polonijnych, wzbogaci niewątpliwie wiedzę na temat współczesnej Polonii kanadyjskiej, jej charakteru i przemian i będzie mógł stanowić materiał badawczy dla przyszłych pokoleń”.

* * *

O Andrzeju Szwalbe, niepospolitym Polaku, pisała parę razy reportaże w Kanadzie – aby świat dowiedział się o tym niezwykłym wizjonerze i wyjątkowym człowieku...

W związku z 25 rocznicą przyznania Andrzejowi Szwalbe Honorowego Obywatelstwa Bydgoszczy, autorka od 2015 roku pracowała nad nową wersją swojej przed 19 laty wydanej książki pt. „Życie na przełomie”. którą niniejszym oddajemy do rąk czytelników. Uaktualniona, poszerzona i uzupełniona o całą III część książka pokazuje owoce działalności Szwalbego – nie tylko z perspektywy współczesnej Bydgoszczy, ale i osób, które albo kontynuują to, co ten wielki bydgoski wizjoner zapoczątkował, albo mogą rzucić światło na jego niezwykłą osobowość.

Opowieść o Andrzeju Szwalbem, wydana z dotacji Urzędu Miasta Bydgoszczy przy współudziale Stowarzyszenia Andrzeja Szwalbego Dziedzictwo, które zainspirowało autorkę do stworzenia II edycji – przede wszystkim ma jednak na celu pokazanie Szwalbego jako człowieka...

**Andrzej Szwalbe
w bydgoskiej
przestrzeni publicznej**

Fot. Anna Kopeć



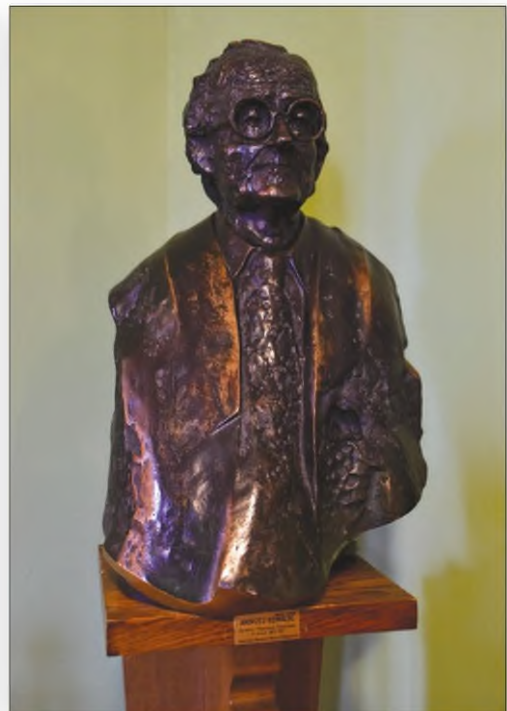
Dyplom Honorowego Obywatela Bydgoszczy (1993 rok)



Nagroda „Laur Andrzeja Szwalbe-go” (od 2002 roku)



Tablica pamiątkowa na domu, w którym mieszkał Andrzej Szwalbe przy ul. Dworcowej 75 (wmurowana 30 czerwca 2003 roku)



Popiersie Andrzeja Szwalbe, dłuta Michała Kubiaka, w foyer Filharmonii Pomorskiej (od 1996 roku)



Dąb Andrzeja Szwalbego w Alei Dębów przy Al. Ossolińskich (od 11 listopada 2003 roku)



Nazwa ulicy (od 2005 roku)



Ulica A. Szwalbego, koło Filharmonii

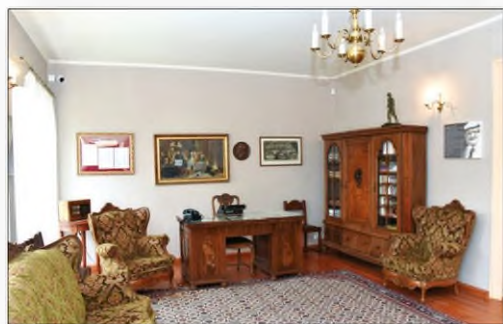


Imię Andrzeja Szwalbego nosi szkoła przy ul. Marcina Kromera 11 (od 2006 roku)



Figura z brązu Andrzeja Szwalbego na placu przed Filharmonią Pomorską, wykonana przez Michała Kubiaka (w 2007 roku)

Portret Honorowego Obywatela Miasta Bydgoszczy, pędzla Jerzego Puciaty, w hallu Rady Miasta Bydgoszczy przy ul. Jezuickiej 1



Gabinet Andrzeja Szwalbego w Pałacu Starym w Ostromecku (od 2011 roku)



Stowarzyszenie Andrzeja Szwalbego *Dziedzictwo* (zarejestrowane 18 stycznia 2013 roku) wraz ze swoimi dokonaniem, promującymi sylwetkę swego patrona. Na zdjęciu: materiały pokonferencyjne, wydane przez Stowarzyszenie.



Okolicznościowy wystrój tramwaju linii nr 1, nr boczny 174 (od 2018 roku)



Grób Andrzeja Szwalbego i jego żony, znajdujący się na cmentarzu Najświętszego Serca Pana Jezusa przy ul. Ludwikowo 4. Ulokowany jest przy głównej alei, za kaplicą.

Spis treści

Pisali o „Życiu na przełomie”	7
Od autorki	15
część I	
Kraj lat młodości	25
Barwy dzieciństwa – Brochocinek	27
Smaki dzieciństwa – Warszawa	38
Dziecięce lektur	47
Wyprawy dzieciństwa – Płock	51
Drzewa Mazowsza	62
Rodzinne curriculum vitae – Szwalbowie	67
Sobierajowie	72
Ojciec	82
Matka	94
Okruszki pamięci... Opowieść Marii Sutkowskiej	103
Wspomina Maria Ziemecka-Słodzińska	106
Wizja ogrodów i kształt ideału... ..	109
Lata dwudzieste, lata trzydzieste... ..	122
Lektury poważne	129
„Moje uniwersytety”	135
Zwornik Świata... ..	139
Niebo rozpada się nad nami... ..	142

Uczestnik nieludzkich zdarzeń	156
Świadkowie czasu	161
Spotkania niespełnione... ..	167
Stanąć ponad młodością... ..	177
Narodowy Don Kichot...?	182
Kosmos leży po stronie stworzonej... ..	185
A jeśli komu droga otwarta... ..	189

część II

Poczucie dali... ..	199
Kraj trudnego patriotyzm	201
Dobrosława	213
Wraca nuta liryczna – romans życia... ..	221
Wartości i prace	231
Powołanie z niebytu	242
„Naród sobie”	251
Ja i filozofia po zakończeniu wojny. O sumieniu	253
Co nosimy w sobie...? Inni o Szwalbem	258
Ten Orzeł wróci!	264
Spotkanie z Jerzym Maksymiukiem	268
Więź dość niekonwencjonalna	271
Zamienić w kształt rzeźbiarski	273
Kisiel o Szwalbem – Szwalbe o Kisielu	275
Uczestniczył czynnie w przemianach	278
Kompleks prowincji	280
„Zażywać” Szwalbego	282
Zawierzenie... ..	283
Bas głosi wieczność... ..	285
Wycieczki za miasto i w głąb duszy miasta	297
Wizji Ostromecka ciąg dalszy	300
Miasto skazane na wielkość...?	302

O szczęściu	307
Sens życia	311
O dobrym sąsiedztwie	313
O iskrę elitarności i myślenie „samo w sobie”	316
Jak kukłę posadzić za stołem!	321
Przypisy do tematu miasta	323
Piękno jest początkiem...	326

część III*

Wizja i spełnienie...	333
Ściana ostatniej szansy (<i>rozmowa z Andrzejem Adamskim</i>)	335
On ruszył Bydgoszcz z miejsca (<i>rozmowa z prof. Józefem Banaszakiem</i>)	340
To nie była praca, lecz rodzaj misji (<i>rozmowa z Marią Błaszczak</i>)	347
Był jak opoka (<i>wspomina Ewa Chałat</i>)	354
„Kto nie jest z prowincji jest znikąd...” (<i>rozmowa z dr prof. Markiem Chamotem</i>)	356
Fortepiany z przeszłością i przyszłością (<i>rozmowa z Andrzejem Gawrońskim</i>)	363
Szkoda życia na atrapy kultury (<i>rozmowa z Magdaleną Gill</i>)	370
Cugli życia nie wypuszczał z rąk (<i>rozmowa z Urszulą Guźlecką</i>)	375
To był człowiek renesansu (<i>rozmowa z Eleonorą Harendarską</i>)	381
On tworzył humanistykę tego miasta (<i>rozmowa z rektorem, prof. Jerzym Kaszubą</i>)	388
„Obudowywał” muzykę sztuką i nauką (<i>rozmowa z dr hab. Aleksandrą Kłaput-Wiśniewską</i>)	397
My, artyści, jesteśmy Don Kichotami (<i>rozmowa z Michałem Kubiakiem</i>)	405
Ikona Bydgoszczy (<i>rozmowa z Elżbietą Krzyżanowską</i>)	411
Był promotorem wszystkich moich poczynań (<i>rozmowa z prof. Wenancjuszem Kurzawą</i>)	414

Skuteczny wizjoner (<i>rozmowa z Henrykiem Martenką</i>)	418
Filharmonia Pomorska była salonem Bydgoszczy (<i>wspomina Halina Maternowska</i>)	424
Robił swoje (<i>rozmowa ze Stefanem Pastuszeewskim</i>)	426
On łączył ludzi... (<i>rozmowa z Ewą i Wojciechem Pospiechami</i>)	433
Perła w koronie (<i>rozmowa z dyr. Maciejem Puto</i>)	439
Radość odkrywania dawnego piękna (<i>rozmowa z Anną Szarapką</i>)	445
Patrzył perspektywicznie 50 lat do przodu (<i>rozmowa z Alicją Weber</i>)	452
Korzenie i skrzydła.....	455
Zakończenie	461
Krystyna Starczak-Kozłowska – notka biograficzna	467



Krystyna Starczak-Kozłowska, absolwentka UMK w Toruniu, pisarka, dziennikarka, publicystka. W 1993 roku założyła w Bydgoszczy „Kwartalnik Artystyczny” i jako jego redaktor naczelna, w latach 1993-1995, nadała mu rangę i zasięg ogólnopolski. Autorka wydanej w 1999 r., staraniem Urzędu Miejskiego w Bydgoszczy, książki pt. „Życie na przełomie – opowieść o Andrzeju Szwalbe”, która doczekała się wysokiej oceny w skali ogólnopolskiej.

W Kanadzie dalej pisze reportaże i recenzje, wydaje w Toronto tomik poezji, pt. : „Dotyk traw”. Jedna z laureatek VII Międzynarodowego Konkursu Poezji Emigrantów w Nowym Jorku w 1998 r. Za popularyzowanie w Kanadzie piękna, kultury i tradycji polskiej wielokrotnie otrzymuje w latach 2003-2012 główne nagrody w konkursach na wielkie reportaże o Polsce, ogłaszanych przez Światowe Forum Mediów Polonijnych.

Jej książka, pt. „Kanada uskrzydłona polskością”, wydana w 2015 r. pod patronatem Kanadyjsko-Polskiego Instytutu Badawczego w Toronto, też wpisuje się w przyświecającą autorce ideę pokazania ojczystej kultury i dziedzictwa narodowego jako źródła naszej tożsamości.

A oto II-a, znacznie poszerzona edycja „Życie na przełomie”...

